

MARGARET MITCHELL

PRZEMINEŁO Z WIATREM

Tom 2

Gone With The Wind

Tłumaczyła Celina Wieniewska



ROZDZIAŁ XX

Kiedy gorące i gwarne dni sierpnia dobiegały końca, bombardowanie nagle ustało. Spokój, który spadł na miasto, był przerażający. Sąsiedzi spotykali się na ulicach i patrzyli sobie w oczy bez słowa, niespokojni i niepewni, co ich może czekać. Cisza po hałaśliwych dniach nie przyniosła napiętym nerwom ukojenia, ale jeszcze bardziej wzmogła napięcie. Nikt nie wiedział, dlaczego baterie jankeskie milczą. Od armii nie było wiadomości poza tym, że znaczna liczba żołnierzy została wycofana z fortyfikacji dokoła miasta i pomaszerowała na południe, by bronić kolei. Nikt nie wiedział, gdzie toczą się walki, - jeżeli się toczą - i jakie są ich losy.

Kursujące po mieście wiadomości szły pocztą pantoflową. Z braku papieru, farby drukarskiej i współpracowników, gazety musiały zawiesić działalność w chwili rozpoczęcia oblężenia, teraz więc najbardziej fantastyczne pogłoski rodziły się, nie wiadomo jak, i obiegały miasto. W złowrogiej ciszy tłumy napierały na kwaterę generała Hooda żądając informacji, gromadziły się pod urzędem telegraficznym i stacją w oczekiwaniu nowin, dobrych nowin, bo wszyscy przekonani byli, że milczenie dział Shermana oznacza odwrót Jankesów przed wojskami Konfederacji, aż do samego Daltonu. Wiadomości jednak nie było. Druty telegraficzne milczały, pociągi nie nadchodziły po jedynym pozostałym torze z południa, służby pocztowej nie było.

Jesień o suchych, dławiących upałach wtargnęła do nagle przycichłego miasta kładąc dodatkowy ciężar parnej suszy na zmęczone serca Scarlett, niespokojnej o losy Tary i z trudem zachowującej pozory równowagi, wydawało się, że już wieczność minęła od początku oblężenia, że do chwili, gdy zaczęła się złowróżbna cisza, żyła zawsze wśród huku armat. A przecież minęło zaledwie trzydzieści dni od rozpoczęcia oblężenia. Trzydzieści dni oblężenia! Pierścień czerwonych rowów strzeleckich otaczał miasto, słychać było monotony huk armat, które nigdy nie odpoczywały, długi szereg ambulansów i wozów ociekających krwią toczył się po drodze do szpitala, przepracowani grabarze wynosili ludzi jeszcze ciepłych i ciskali ich jak kłody w nieskończony rząd płytkich grobów - przez tylko trzydzieści dni!

I dopiero cztery miesiące temu Jankesi zaczęli się posuwać na południe od Daltonu! Tylko cztery miesiące temu! Scarlett wydawało się, gdy wspominała ów odległy dzień, że zdarzyło się to chyba w jej poprzednim życiu. To niemożliwe! Z pewnością więcej niż cztery miesiące. Ciągnęły się długo, jak całe życie.

Cztery miesiące! Ależ cztery miesiące temu Dalton, Resaka czy Góra Kennesaw to były

tylko nazwy stacji kolejowych. Teraz zaczęły znaczyć rozpaczliwe i daremne bitwy, stoczone podczas odwrotu Johnstona w stronę Atlanty. Teraz Dolina Brzoskwiniowa, Dekatur, Ezra i Dolina Utoy także przestały być ładnymi nazwami ładnych miejscowości. Już nigdy nie będzie można myśleć o nich jak o spokojnych miasteczkach, zamieszkałych przez dobrych znajomych, jak o zielonych dolinkach, dokąd jeździło się z przystojnymi oficerami na pikniki nad brzegami leniwych strumyków. Nazwy te bowiem także oznaczały bitwy, a miętka zielona trawa, na której Scarlett siadywała, porwana została kołami dział, zdeptana stopami rozpaczliwie walczących żołnierzy, zgnieciona ciężarem ciał konających. Leniwe zaś strumienie stały się teraz czerwieniejsze od gliniastej ziemi Georgii. Strumień Brzoskwiniowy był, jak mówiono, po przejściu przezeń Jankesów, purpurowy. Dolina Brzoskwiniowa, Dekatur, Ezra, Dolina Utoy... Były tu teraz nazwy grobów przyjaciół, nazwy zagajników i lasów, w których ciała gniły nie pogrzebane, nazwy czterech stron Atlanty, przez które Sherman starał się przejść ze swoją armią, a ludzie Hooda uparcie go odpierali...

Wreszcie nadeszły z południa nowiny, były niepokojące, zwłaszcza dla Scarlett. Generał Sherman starał się znowu zaatakować czwartą stronę miasta i znowu uderzyć na kolej do Jonesboro. Jankesi stali teraz wzdłuż kolei w wielkiej liczbie; nie tylko pojedyncze oddziały piechoty czy kawalerii, ale cała jankeska armia. Konfederatów odwołano z okopów dokoła miasta, by mogli stawić jankesom czoło. To tłumaczyło nagłą ciszę.

„Dlaczego Jonesboro? - myślała Scarlett, gdy strach ścisnął jej serce na myśl o Tarze. - Dlaczego zawsze atakują właśnie Jonesboro? Dlaczego nie wybierają innego miejsca do zaatakowania kolei?”

Od tygodnia już nie miała wiadomości z Tary, ostatnia zaś krótka kartka Geralda tylko wzmogła jej obawy. Stan Kariny pogorszył się nagle - była bardzo ciężko chora. I teraz może wiele dni minąć, zanim poczta zacznie funkcjonować, wiele dni, zanim Scarlett się dowie, czy Karina żyje, czy umarła. Och, czemuż nie pojechała do domu na początku oblężenia, nie zważając na Melanię!

Walki toczyły się pod Jonesboro - tyle w Atlantycie wiedziano; jakie były losy bitwy, nie wiedział nikt, więc po mieście krążyły najbardziej fantastyczne plotki. Wreszcie zjawiał się kurier z uspokajającą nowiną, że Jankesi zostali odparci. Przed ustąpieniem zdążyli jednak dokonać wypadu na Jonesboro, spalić stację, przeciąć druty telegraficzne i zerwać trzy mile szyn. Saperzy pracowali jak szaleni i naprawiali tory, ale musiało to potrwać jakiś czas jeszcze, bo Jankesi zdarli podkłady, podpalili je na stosie, na wierzch zaś położyli szyny, które, gdy się nagrzały do czerwoności, owinęły dokoła słupów telegraficznych. Bardzo trudno było zastąpić zniszczone szyny nowymi, bo najmniejszy nawet kawałek żelaza był w

wielkiej cenie.

Nie, Jankesi nie doszli do Tary. Ten sam kurier, który przywiózł depesze do generała Hooda, zapewnił o tym Scarlett. Po bitwie, w chwili gdy jechał do Atlanty, spotkał w Jonesboro Geralda, który uprosił go, aby zabrał list do Scarlett.

Ale co papa robił w Jonesboro? Młody kurier miał przy odpowiedzi zakłopotaną minę. Gerald szukał lekarza wojskowego, który by mógł z nim pojechać do Tary.

Stojąc w słońcu na ganku i dziękując młodemu człowiekowi za fatywę, Scarlett poczuła, że kolana się pod nią uginają. Karina pewnie umiera, skoro leczenie Ellen nie wystarczyło i Gerald szuka lekarza! Kiedy kurier znikł w tumanie czerwonego kurzu, Scarlett drżącymi palcami rozerwała kopertę Geralda. Tak mało było teraz papieru, że Gerald pisał między wierszami ostatniego listu Scarlett do niego i czytanie było bardzo utrudnione.

„Droga córko, matka i obie siostry mają tyfus. Są bardzo ciężko chore, ale nie wolno nam tracić nadziei. Zanim matka zachorowała, kazała mi napisać do Ciebie, abys pod żadnym pozorem nie przyjeżdżała do domu i nie narażała siebie i Wade'a. Matka przesyła Ci całusy i prosi, abys pomodliła się za nią”.

„Pomodlić się za nią!” Scarlett wbiegła po schodach do swego pokoju i padwszy na kolana przy łóżku zaczęła modlić się tak żarliwie, jak nigdy dotąd w życiu. Nie odmawiała różańca, tylko ciągle powtarzała jedne i te same słowa: - Matko Boska, nie pozwól jej umrzeć! Postaram się poprawić, jeżeli ją uratujesz! Błagam, nie pozwól jej umrzeć!

Przez cały następny dzień Scarlett poruszała się po domu jak zbite zwierzę, czekając na wiadomości, drżąc za każdym odgłosem kopyt końskich, zbiegając nocą po ciemnych schodach, gdy żołnierze pukali do drzwi - wiadomości z Tary nie było. Czowała się jak oddzielona od domu szerokością całego kontynentu, a nie dwudziestu pięciu milami zakurzonej drogi.

Poczta wciąż jeszcze nie działała, nikt więc nie wiedział, gdzie stoją konfederaci ani dokąd zmierzają Jankesi. Nikt nic nie wiedział poza tym, że tysiące żołnierzy szarych i niebieskich skoncentrowane są gdzieś między Atlantą a Jonesboro. Z Tary przez cały tydzień nie było ani słowa.

Scarlett widziała dość zachorowań na tyfus w szpitalu, aby zdawać sobie sprawę, ile znaczy tydzień w tej strasznej chorobie. Ellen była chora, może umierająca, a Scarlett siedziała oto bezsilnie, w Atlancie i, oddzielona dwiema armiami od domu, musiała opiekować się ciężarną kobietą. Ellen była chora - może umierająca... To przecież niemożliwe! Ellen nigdy nie chorowała... Sama myśl o tym wydawała się nieprawdopodobna i podważała podstawy życia Scarlett. Wszystkim zdarzało się chorować - nigdy Ellen. Ellen

doglądała chorych i przywracała ich do zdrowia. Nieprawda, że teraz ona jest chora? Scarlett chciała do domu. Wyrwała się do Tary z rozpaczą przerażonego dziecka, które tęskni za jedynym schronieniem, jakie zna.

Dom! Rozległy biały budynek o poruszanych wiatrem białych firankach, gruba koniczyna na trawniku, a nad nią roje pracowitych pszczół; na frontowych schodkach mały Murzynek odganiający kaczki i indyki od klombów, pogodne czerwone pola i mile, całe mile bielejącej w słońcu bawełny! Dom...

Czemuż nie pojechała do domu na początku oblężenia, gdy wszyscy uciekali z miasta! Mogła była wtedy zabrać ze sobą bezpiecznie Melanię.

„Ach, niech lichy porwie Melanię! - mówiła sobie w duchu tysiąc razy. - Dlaczego nie pojechała do Macon z ciotką Pitty? Tam jest jej miejsce, przy własnej rodzinie, a nie ze mną. Nie jestem nawet jej krewną. Jakim prawem krępuje mnie tak strasznie? Gdyby pojechała do Macon, ja mogłabym się dostać do domu, do mamy. Nawet teraz, nawet teraz postarałabym się przedostać do domu, bez względu na Jankesów, gdyby nie ten jej poród. Generał Hood dałby mi jakąś eskortę. To miły człowiek, ten generał Hood. Wiem, że z pewnością uprosiłabym go o eskortę i o białą chorągiew i przedostałabym się przez linie ognia. Ale muszę przecież czekać na to dziecko!... Och, mamó! Mamó! Nie umieraj!... Dlaczego ona wreszcie nie rodzi? Pójdę dziś do doktora Meade i zapytam go, czy nie można przyspieszyć porodu, abym mogła pojechać do domu - jeżeli dadzą eskortę. Doktor Meade powiedział, że Mela będzie miała ciężki poród. Drogi Boże! A jeżeli umrze! Może się zdarzyć, że Melania umrze... Melania może umrzeć. A Ashley... Nie, nie powinnam myśleć o tym, to nieładnie. Ale Ashley... Nie, nie powinnam o tym myśleć, bo i on pewnie już nie żyje. Ale wziął ode mnie słowo, że będę się nią opiekowała. Ale... jeżeli nie będę się nią opiekowała i ona umrze, a Ashley będzie jeszcze żył... Nie, nie powinnam o tym nawet myśleć. To grzech. Przynależałam przecież Bogu, że poprawię się, jeżeli Bóg uratuje mamę od śmierci. Och, gdybyż to dziecko wreszcie przyszło! Gdybym mogła się stąd ruszyć... do domu - ruszyć gdziekolwiek, byle daleko stąd...”

Scarlett nienawidziła teraz złowróznej ciszy miasta, które niegdyś kochała. Atlanta nie była już wesołym, rozbawionym miejscem. Była straszna - jak miasto dotknięte zarazą, i cicha, przeraźliwie cicha po rozgwarze oblężenia. Hałas i niebezpieczeństwo pocisków stanowiły pewną podniecie. W ciszy, która teraz nastąpiła, był tylko strach. Miasto zdawało się być nawiedzone przerażeniem, niepewnością, wspomnieniami. Cywile byli wymizerowani, a nieliczni żołnierze, których Scarlett spotykała, wyglądali jak wycieńczone konie, które ostatkiem sił pędzą do mety, choć czują, że wyścig jest już stracony.

Wreszcie nadszedł ostatni dzień sierpnia, a za nim przekonywające wiadomości, że właśnie gdzieś na południu toczą się najzaciętsze walki od czasu bitwy pod Atlantą. Atlanta, czekając na wieści o ich wyniku, przestała nawet śmiać się i żartować. Wszyscy wiedzieli już teraz o tym, co żołnierze wiedzieli od dwóch tygodni - że losy Atlanty się ważą, że jeżeli kolej do Macon wpadnie w ręce wroga, Atlanta będzie stracona.

Rankiem pierwszego września Scarlett przebudziła się z przytłaczającym poczuciem lęku - lęku, który towarzyszył jej do poduszki poprzedniego wieczora. Zamroczona snem, myślała: „Czym to ja się wczoraj martwiłam przed pójściem spać? Ach, tak, bitwą. Wczoraj była gdzieś bitwa! Och, a kto wygrał?” Usiadła na łóżku przecierając oczy i stroskane serce podjęło od razu wczorajszy ciężar.

Powietrze było duszne nawet o tej wczesnej godzinie, gorące zapowiedzią dnia wspaniałej pogody i bezlitosnego żaru słońca. Ulica za oknami była cicha. Nie skrzypiały po niej wozy ani wojsko nie wzbijało stopami tumanów kurzu. W kuchniach sąsiedztwa nie słychać było głosów murzyńskich ani przygotowań do śniadania, bo wszyscy sąsiedzi z wyjątkiem pani Merriweather uciekli do Macon. Z tych dwóch domów jednak także nie dochodziły głosy. Dalsza, handlowa część ulicy była spokojna, bo większość sklepów i biur zamknięto i zabito deskami, a właściciele znajdowali się gdzieś w okolicy z karabinami w ręku.

Cisza, która powitała Scarlett, wydawała się jej tego ranka bardziej straszna niż w tygodniu, który minął: Wstała pośpiesznie, bez zwykłego przeciągania się i ziewania, i podeszła do okna w nadziei, że ujrzy może któregoś z sąsiadów lub jakiś krzepiący widok. Ulica jednak była pusta. Zauważyła, że liście na drzewach są jeszcze zielone, ale suche i pokryte grubą warstwą czerwonego pyłu, że kwiaty przed domem, od dawna nie podlewane, stoją zwiędłe i żalosne.

Kiedy tak stała wyglądając przez okno, uszu jej doszedł odległy dźwięk, słaby i głuchy, jak grzmot nadchodzącej z daleka burzy.

„Deszcz - pomyślała w pierwszej chwili i dodała w duchu, jak przystało na wieśniaczkę - bardzo się nam przyda. - Potem, po sekundzie: - Deszcz? Nie! To nie deszcz! To działa!”

Z bijącym sercem wychyliła się z okna, łowiąc odgłosy dalekiego huku, starając się rozpoznać, z której strony dochodzą. Przytłumiona kanonada była jednak tak odległa, że nie mogła się przez dłuższą chwilę zorientować. - Boże, niechaj to będzie z Marietty! - modliła się. - Albo z Dekatur czy Doliny Brzoskwiniowej. Byle nie z południa! Byle nie z południa! - Chwyciła się kurczowo parapetu okna, wsłuchiwała się uważnie - dalekie huki wydały jej się teraz wyraźniejsze. Szły wyraźnie z południa.

Armaty na południu! Na południu leży przecież Jonesboro i Tara... Tara, a w niej Ellen!

Jankesi są może w Tarze, teraz, w tej chwili! Znowu zaczęła nasłuchiwać, ale krew szumiąca jej w uszach tłumiła dźwięki dalekich wystrzałów. Nie, to nie było jeszcze w Jonesboro. Gdyby strzelanie szło stamtąd, dźwięk byłby słabszy, mniej wyraźny. Jankesi muszą być jednak przynajmniej o dziesięć mil od Atlanty w stronę Jonesboro, koło małej osady Rough and Ready. Jonesboro leżało o niecałe dziesięć mil od Rough and Ready.

Działa na południu... To mogło zwiastować upadek Atlanty. Dla Scarlett jednak, niespokojnej o bezpieczeństwo matki, walki na południu oznaczały groźbę dla Tary. Chodziła po pokoju i załamywała ręce, bo po raz pierwszy nawiedziła ją jasno myśl, że szara armia może zostać pokonana. Myśl o tysiącnych rzeszach Shermana w pobliżu Tary uświadomiła jej w całej pełni zgrozę wojny - chociaż nie potrafiły tego dokonać huk dział, wstrząsające szybami w czasie oblężenia, ani brak żywności i ubrań, ani nie kończące się szeregi konających żołnierzy. Armia Shermana o kilka zaledwie mil od Tary! I nawet jeżeli Jankesi zostaną zwyciężeni, cofną się może traktem do Tary. A Gerald nie może się przecież schronić przed nimi, mając w domu trzy chore kobiety!...

Och, gdybyż teraz tam była, bez względu na Jankesów! Przemierzała pokój bosymi stopami, koszula nocna plątała się jej po nogach i im dłużej chodziła, tym bardziej potęgował się jej niepokój. Chciała do domu! Chciała do Ellen!

Z kuchni na dole usłyszała szcęk talerzy: to Prissy przygotowywała śniadanie. Głosu Betsy nie było słyhać. Ostry, melancholijny sopranik Prissy zawodził: „Jeszcze tylko kilka dni dźwigać będę ciężkie jarzmo...” Melodia denerwowała Scarlett, smutne słowa raziły ją, zarzuciwszy więc szlafroczek podreptała do hallu i na kuchenne schody i krzyknęła:

- Przestań się wydzierać, Prissy!

Usłyszała w odpowiedzi ponure: - Dobrze, p'sze pani. - Westchnęła głęboko, nagle zawstydzona.

- Gdzie jest Betsy?

- A bo ja wiem. Nie przyszła.

Scarlett poszła do drzwi Melanii i uchyliła je trochę, zaglądając do zalanego słońcem wnętrza. Melania leżała w łóżku w nocnej koszuli. Oczy miała zamknięte i podkrążone, twarzyczka była nabrzmiała, szczupłe ciało wzdęte i obrzydliwe. Scarlett złośliwie żałowała, że Ashley nie może jej widzieć w tej chwili. Wyglądała o wiele gorzej od innych kobiet w odmiennym stanie. Pod wzrokiem Scarlett otworzyła oczy i łagodny, serdeczny uśmiech rozświetlił jej twarz.

- Wejdz - poprosiła przewracając się z trudem na bok. - Nie śpię już od świtu, leżę i

myśle, i chciałabym się ciebie, Scarlett, o coś zapytać.

Scarlett weszła do pokoju i usiadła na łóżku tonącym w ostrym świetle słonecznym.

Melania wyciągnęła dłoń i objęła jej rękę łagodnym, przyjaznym uściskiem.

- Kochanie - powiedziała - martwię się, że znowu słyszeć armaty Prawda, że to w stronie Jonesboro?

Scarlett mruknęła „Hm” i serce jej znowu zabiło mocno na to przypomnienie.

- Wiem, jak się bardzo niepokoisz. Wiem, że gdyby nie ja, pojechałabyś do domu już w zeszłym tygodniu, kiedy dowiedziałas się o chorobie matki. Czy tak?

- Tak - rzekła Scarlett niechętnie,

- Scarlett, najmilsza. Byłaś dla mnie taka dobra... Rodzona siostra nie mogłaby być lepsza ani odważniejsza. Kocham cię za to. Bardzo mi przykro, że jestem ci ciężarem.

Scarlett otworzyła oczy ze zdumienia. Mela kocha ją? O, głupia!

- Słucha, Scarlett, leżałam tak teraz i rozmyślałam, i postanowiłam cię poprosić o wielką łaskę. - Uścisk jej zacieśnił się. - Gdybym umarła, czy zaopiekujesz się moim dzieckiem?

Oczy Melanii były teraz wielkie i pełne blasku.

- Zrobisz to?

Scarlett wyrwała rękę, bo zdjął ją lęk. Pod wpływem strachu głos jej stał się szorstki.

- Och, nie bądź głupia, Melu. Z pewnością nie umrzesz. Każdej kobiecie tak się wydaje przed pierwszym dzieckiem. Pamiętam, że i mnie się tak zdawało.

- Nie, nie tobie. Tyś się nigdy niczego nie bała. Mówisz tak teraz, aby mnie uspokoić. Nie boję się śmierci, ale boję się, aby się dziecku nic złego nie stało, jeżeli Ashley jeszcze... Scarlett, przyrzeknij mi, że jeżeli umrę, weźmiesz moje dziecko do siebie. Przystanę się wtedy bać. Ciocia Pitty jest za stara, aby mogła je wychować, a Honey i India są bardzo dobre, ale... Chcę, żebyś ty miała moje dziecko. Przyrzeknij mi, Scarlett. Jeżeli to będzie chłopiec, wychowaj go, aby stał się podobny do Ashleya, jeżeli dziewczynka, kochanie, chciałabym, aby była podobna do ciebie...

- Do stu tysięcy par beczek! - zawołała Scarlett zrywając się z łóżka. - Czy uważasz, że jest za wesoło, że jeszcze mówisz o śmierci?

- Przepraszam cię, kochanie. Przyrzeknij mi to tylko. Myślę, że poród zacznie się już dzisiaj. Pewna jestem tego. Proszę cię, przyrzeknij mi.

- Och, już dobrze, przyrzekam - rzekła Scarlett patrząc na Melę ze zdumieniem.

Czy Melania naprawdę była tak głupia, że nie wiedziała, iż Scarlett kocha Ashleya? Czy też wiedziała wszystko i czuła, że właśnie z powodu tej miłości będzie się dobrze opiekowała

jego dzieckiem? Scarlett miała w sobie dziką chęć wykrzyczenia tych pytań, ale zamarły jej one na ustach, gdy Melania dłoń jej przycisnęła na chwilę do swego policzka. Oczy jej stały się znowu pogodne.

- Dlaczego przypuszczasz, że to będzie już dzisiaj, Melu?

- Mam od samego rana bóle, ale nie bardzo wielkie.

- Masz bóle? Dlaczego nic o tym nie powiedziałaś? Posłałabym Prissy po doktora Meade!

- Nie, teraz jeszcze tego nierób, Scarlett. Wiesz dobrze, jak zajęty jest doktor, jak wszyscy są zajęci. Poślij mu tylko kartkę, że będziemy go potrzebowały dzisiaj w ciągu dnia. Zawiadom panią Meade, powiedz jej o wszystkim i poproś, aby przyszła tutaj i posiedziała przy mnie. Ona będzie wiedziała, kiedy trzeba będzie posłać po doktora.

- Och, przestań wreszcie myśleć o innych! Wiesz, że potrzebujesz doktora nie mniej niż każdy inny chory w szpitalu. Poślę po doktora już teraz.

- Nie, proszę cię, nie rób tego. Czasem trwa i cały dzień, zanim się dziecko urodzi, po prostu więc nie mogę narażać doktora, aby siedział tu godzinami, kiedy jest tak bardzo potrzebny tym biednym chłopcom. Poślij tylko po panią Meade. Ona się zna na wszystkim.

- No, dobrze już... - odrzekła Scarlett.

ROZDZIAŁ XXI

Kiedy Prissy zaniosiła Meli śniadanie, Scarlett posłała ją do pani Meade, po czym sama zasiadła z Wade'em do śniadania. Nie miała wcale apetytu. Rozdzierana nerwową obawą, czy Melania nie zaczyna właśnie rodzić, i gorączkowym wyczekiwaniem, czy nie dosłyszysz huku armat, ledwie mogła jeść. Serce jej zachowywało się bardzo dziwnie: przez kilka minut biło regularnie, potem zaczynało walić tak głośno i prędko, że aż jej tchu brakło. Ciężka, kleista potrawa z kukurydzy więzła jej w gardle, a mieszanka palonej kukurydzy i mielonych yamów, która uchodziła za kawę, wydawała jej się wstrętniejsza niż zwykle. Bez cukru i śmietanki smakowała jak piołun, bo melasa, którą dodawano dla smaku, wcale zadania swego nie spełniała. Po jednym łyku lury odsunęła filiżankę od siebie. Gdyby nie miała nawet innych powodów, zniechęciłaby Jankesów już choćby dlatego, że pozbawili ją wonnej porannej kawy z cukrem i śmietanką.

Wade był spokojniejszy niż zwykle i nie skarżył się jak co dzień, że musi jeść kukurydżę, której nie znośił. Łykał w milczeniu łyżeczkę po łyżeczce, które Scarlett podawała mu. do ust, i popijał głośno wodą. Łagodne jego brązowe oczy śledziły każdy ruch matki - były duże, okrągłe jak monety, a teraz malowało się w nich dziecięce przerażenie, jak gdyby udzieliły mu się ledwie skrywane obawy Scarlett. Kiedy skończył jeść, Scarlett kazała mu iść bawić się do ogrodu i z ulgą patrzyła, jak toczy się posłusznie po wydeptanej trawie w stronę swego kącika.

Wstała od stołu i niezdecydowanie zatrzymała się na chwilę koło schodów. Powinna była iść na górę, posiedzieć z Melanią i oderwać jej myśli od ciężkiej próby, która ją czekała, czuła jednak, że temu nie podoła. Że też ze wszystkich możliwych dni Melania właśnie ten sobie wybrała na poród. I że właśnie dziś musiała zacząć mówić o śmierci!

Usiadła na najniższym stopniu schodów. Starła się zapanować nad sobą, ale znowu zastanawiała się, jak wypadła wczoraj bitwa, jakie są losy dzisiejszej. Jakie to dziwne, że wielka bitwa toczy się o kilka zaledwie mil i że nic o niej nie wiadomo. Jaki dziwny jest spokój tego krańca miasta w porównaniu z dniem bitwy w Dolinie Brzoskwiniowej! Dom ciotki Pitty był jednym z ostatnich na północy miasta. Wobec tego, że walki toczyły się gdzieś daleko na południu, ulicą nie przechodziły oddziały wojska, nie przejeżdżały ambulanse, nie wlekli się ranni. Myślała nad tym, czy sceny takie rozgrywają się teraz w południowej stronie Atlanty, i dziękowała Bogu, że jej tam nie ma. Gdyby tylko wszyscy sąsiedzi poza Meade'ami i panią Merriweather nie byli uciekli z tego krańca Brzoskwiniowej! Czuła się teraz bardzo

samotna i opuszczona. Żałowała, że nie ma wuja Piotra, bo posłałaby go do dowództwa po nowiny. Gdyby nie Melania, poszłaby do miasta sama i dopytała się o wszystko. Nie mogła się jednak ruszyć, dopóki pani Meade nie przyjdzie. Pani Meade! Dlaczego jeszcze jej nie ma? I gdzie jest Prissy?

Scarlett wstała, wyszła na ganek i wyglądała doktorowej z niecierpliwością, ale ponieważ dom Meade'ów stał za zakrętem ulicy, nie mogła nic widzieć. Po dłuższej chwili ukazała się w ulicy Prissy, sama. Szła nie śpiesząc się, jak gdyby miała dużo czasu przed sobą, zamiatała spódnicą po ziemi i patrzyła jak to wygląda.

- Ruszasz się jak ślimak - ofuknęła ją Scarlett, kiedy Prissy wreszcie doszła do domu. - Co powiedziała pani Meade? Kiedy przyjdzie?

- Nie było jej w domu - rzekła Prissy.

- A gdzie jest? Kiedy wróci do domu?

- Widzi pani - zaczęła Prissy wolno, jak gdyby dobierając słowa, aby większej wagi nadać swoim wiadomościom. - Kucharka powiedziała, że pani Meade dostała o świtaniu wiadomość, że młodego panicza Filipa ranili, więc wzięła powóz, starego Talbota i Betsy, i wszyscy pojechali, aby przywieźć go do domu. Kucharka powiedziała, że bardzo ciężko ranny i że pani Meade pewnie nie będzie mogła tutaj przyjść.

Scarlett patrzyła na Murzynkę i hamowała się siłą, aby jej nie uderzyć. Murzyni zawsze byli bardzo dumni, kiedy przynosili złe wiadomości.

- No, więc czego tu stoisz jak malowana! Leć do pani Merriweather i poproś ją, aby tu przysłała albo przysłała swoją Murzynkę. Spiesz się!

- Kiedy ich także nie ma, Miss Scarlett. Wstąpiłam tam na chwilę po drodze do domu. Nie ma nikogo. Cały dom zamknięty. Pewnie poszły do szpitala.

- Dlaczego więc nie wracałaś tak długo? Jak cię posyłam, to idź, gdzie ci każę, i nie wstępuj mi nigdzie po drodze. Idź...

Przerwała i zamyśliła się. Kto jeszcze z bliskich znajomych był w mieście, kto mógłby jej pomóc? Była pani Elsing. Wprawdzie pani Elsing ostatnio nie okazywała Scarlett sympatii, ale bardzo lubiła Melanię.

- Idź do pani Elsing, wytłumacz jej wszystko dokładnie i poproś, aby była łaskawa tu przyjść. I, Prissy, słuchaj mnie uważnie. Pani Mela spodziewa się dziecka lada chwila i możesz być tutaj w każdej chwili potrzebna. Leć więc i natychmiast wracaj.

- Dobrze, p'sze pani - rzekła Prissy i odwracając się powlokła się w stronę furtki.

- Śpiesz się, ty łazęgo!

- Dobrze, p'sze pani.

Prissy przyśpieszyła trochę kroku, więc Scarlett wróciła do domu. Znowu zawahała się, czy ma wejść na górę do Melanii. Będzie jej musiała powiedzieć, dlaczego pani Meade nie może przyjść, a wiadomość, że Filip jest ciężko ranny, może ją bardzo wzruszyć. Trzeba będzie wymyślić jakieś kłamstwo.

Weszła do pokoju Melanii i spostrzegła, że śniadanie jej stoi na tacy nie tknięte. Melania leżała na boku, bardzo blada.

- Pani Meade jest w szpitalu - rzekła Scarlett. - Ale przyjdzie pani Elsing. Jak się czujesz?

- Nieźle - skłamała Melania. - Scarlett, czy u ciebie długo trwało, zanim się Wade urodził?

- Ach, skądże znowu - odparła Scarlett z udaną wesołością. - Byłam wtedy w ogrodzie i ledwie zdążyłam wrócić do domu. Mammy powiedziała, że to skandal, że tak rodzą tylko Murzynki.

- Mam nadzieję, że i ja urodzę jak Murzynka - rzuciła Mela nie wysilając się na uśmiech, który znikł po chwili pod wpływem bólu.

Scarlett popatrzyła na wąskie biodra Melanii z niezbyt wielką otuchą, ale rzekła uspokajająco: - Ach, to naprawdę nic strasznego.

- Tak, tak, wiem o tym. Wstydzę się, że jestem takim tchórzem. Czy... czy pani Elsing przyjdzie zaraz?

- Tak, zaraz - rzekła Scarlett. - Zejdę na dół, przyniosę trochę zimnej wody i obmyję cię. Bardzo dzisiaj gorąco.

Nalewała wodę do dzbanka, jak mogła najdłużej, i co dwie minuty biegała do drzwi frontowych i wyglądała, czy Prissy nie wraca. Ponieważ nie było jej widać, wróciła na górę, obmyła pokryte potem ciało Melanii i uczesała długie jej włosy.

Po upływie godziny usłyszała kroki z ulicy i przez okno zobaczyła Prissy, która wlokła się wolno do domu, znowu zamiatała spódnicą i kręciła głową z taką przesadą, jak gdyby miała przed sobą wielką i zainteresowaną widownię.

„Przyjdzie dzień, że wyłożę skórę tej dziewczynie” - pomyślała Scarlett zbiegając pędem na dół na jej spotkanie.

- Pani Elsing jest w szpitalu. Kucharka mi powiedziała, że przywieźli pociągiem dużo rannych żołnierzy. Kucharka gotuje zupę, aby zabrać do szpitala. Mówi, że...

- Mniejsza z tym, co mówi - przerwała Scarlett z wielkim zawodem. - Włóż czysty fartuch, bo chcę, abyś poszła do szpitala. Dam ci kartkę do doktora Meade, a jeżeli go tam nie będzie, dasz ją doktorowi Jonesowi albo innemu z lekarzy. A jeżeli mi się tym razem nie

pośpieszysz, obedrę cię żywcem ze skóry.

- Tak, p'sze pani.

- I spytaj się któregoś z panów o wiadomości. Jeżeli nie będą nic wiedzieli, wstąp na stację i wpytaj kolejarzy, którzy przywieźli rannych. Zapytaj, czy były walki pod Jonesboro lub w tamtych stronach.

- Boże miłosierny, Miss Scarlett! - nagły strach odmalował się na czarnej twarzy Prissy.

- Jankesi nie są chyba w Tarze, co?

- Nie wiem. Mówię ci, żebyś się zapytała o wiadomości z frontu.

- Boże miłosierny, Miss Scarlett! Oni zrobią krzywdę mojej mamie!

Prissy zaczęła nagle bardzo głośno beczeć. Płacz jej wzmógł jeszcze niepokój Scarlett.

- Przestań ryczeć! Jeszcze cię pani Melania usłyszy. Zmień teraz szybko fartuch.

Przynaglona do pośpiechu, Prissy pobiegła na tył domu, podczas gdy Scarlett pisała kilka słów na marginesie ostatniego listu Geralda do niej - jedynym kawałku papieru w domu. Kiedy go składała tak, aby jej prośba znalazła się na wierzchu, zauważyła słowa Geralda: „Twoja matka... tyfus... pod żadnym warunkiem... przyjeżdżać do domu...” Omal się nie rozpląkała. Gdyby nie wzgląd na Melanię, wyruszyłaby do domu w tej chwili, choćby miała całą drogę odbyć pieszo.

Prissy wypadła z domu teraz prawie biegiem, ściskając list w dłoni, a Scarlett wróciła na górę zastanawiając się, jak wytłumaczyć niezjawienie się pani Elsing. Melania jednak nie pytała o nic. Leżała na wznak, a że twarz miała spokojną i rozpozgodzoną, widok jej uspokoił Scarlett na chwilę.

Usiadła i zaczęła mówić o rzeczach bez znaczenia, ale myśli o Tarze i możliwej klęsce konfederatów nie dawały jej spokoju. Myślała o umierającej Ellen, o zajęciu Atlanty przez Jankesów, o paleniu domów, zabijaniu ludzi. Bez przerwy słychać było dalekie granie armat. Wreszcie znudziło jej się rozmawiać, więc tylko patrzyła przez okno na rozgrzaną, cichą ulicę i zakurzone liście na drzewach. Melania także milczała. Od czasu do czasu spokojna jej twarz kurczyła się bólem.

Po każdym napadzie bólu mówiła: - To naprawdę wcale tak bardzo nie bolało - Scarlett wiedziała jednak, że kłamie. Wolałaby głośne skargi od tego cierpienia w milczeniu. Wiedziała, że powinna współczuć Melanii, a nie mogła wykrzesać z siebie ani iskierki litości. Za bardzo przejęta była własnymi troskami. Raz spojrzała uważnie na wykrzywioną bólem twarz i zaczęła się zastanawiać, dlaczego wśród wszystkich ludzi na ziemi właśnie ona jest tutaj przy Melanii, w tej szczególnej chwili - ona, która nic z nią nie miała wspólnego, która nienawidziła jej i pragnęła jej śmierci. Może się zresztą życzenie jej spełni jeszcze przed

upływem dnia. Zimny, zabobny strach ogarnął ją na tę myśl. Życzenie sobie czyjejś śmierci przynosiło nieszczęście, równało się prawie klątwie. „Przekleństwo spada na przeklinającego” - mawiała często Mammy. Scarlett szybko zaczęła prosić Boga, aby Melania nie umarła, i gorączkowo o czymś mówiła, ledwie wiedząc, co mówi. Wreszcie Melania położyła gorącą dłoń na ręce Scarlett.

- Nie staraj się rozmawiać, kochanie. Wiem, jak jesteś zmartwiona. Bardzo mi przykro, że tyle ci sprawiam kłopotu.

Scarlett umilkła, ale nie mogła spokojnie usiedzieć. Co pocznie, jeżeli ani doktor, ani Prissy nie wrócą na czas? Podchodziła do okna, wyglądała na ulicę, siadała i znowu wstawała. Wreszcie zbliżyła się do okna po przeciwnej stronie pokoju.

Minęła jedna godzina, potem druga. Wybiło południe. Gorące słońce stało wysoko i żaden powiew wiatru nie poruszał spieczonych liści. Bóle Melanii stawały się coraz dokuczliwsze. Długie jej włosy kleiły się od potu, a koszula nocna przylegała do ciała. Scarlett znowu obmyśla jej twarz, nic nie mówiąc, bo zżerał ją strach. Boże wielki, cóż pocznie, jeżeli dziecko urodzi się przed przyjściem doktora? Co pocznie? Nie знаła się wcale na położnictwie. Stało się właśnie to, czego się obawiała od wielu tygodni. Liczyła, że Prissy znajdzie się na wysokości zadania, jeżeli nie będzie pod ręką doktora. Prissy znała się na tym. Zapewniała ją o tym przecież wielokrotnie. Gdzie jednak utkwiała teraz? Dlaczego nie wraca? Dlaczego nie przychodzi doktor? Scarlett znowu wyjrzała na ulicę. Nasłuchiwała uważnie i naraz zaczęła się zastanawiać, czy wydaje jej się, czy też rzeczywiście grzmot działał uciech w oddali. Znaczyłoby to w takim razie, że walka toczy się bliżej Jonesboro, czyli koło domu.

Wreszcie spostrzegła z daleka Prissy, idącą szybkim krokiem, i wychyliła się z okna. Prissy patrząc w górę dojrzała ją i otworzyła usta jak do krzyku. Scarlett widząc, że paniczny strach maluje się na jej małej, czarnej twarzy, i obawiając się, aby nie przstraszyła Melanii wykrzyknięciem na głos złych wiadomości, spieszenie przyłożyła palec do ust i odeszła od okna.

- Przyniosę trochę zimniejszej wody - rzekła patrząc w ciemne, podkrążone oczy Melanii i starając się uśmiechać. Potem szybko wyszła z pokoju, starannie zamykając za sobą drzwi.

Prissy siedziała na schodach w hallu i ciężko dyszała:

- Walki są koło Jonesboro, Miss Scarlett! Mówią, że biją naszych panów. O Boże, panienko! Co się stanie z nami, jak Jankesi tu przyjdą? Och, mój Boże, mój Boże...

Scarlett zamknęła jej dłonią usta.

- Na miłość boską, zamilcz!

Tak, co stanie się z nimi, gdy Jankesi przyjdą - co stanie się z Tarą? Odsunęła tę myśl od siebie i zajęła się bardziej aktualnymi sprawami. Gdyby zastanawiała się nad tym, zaczęłaby płakać i łkać jak Prissy.

- Gdzie jest doktor Meade? Kiedy przyjdzie?

- Nie widziałam go wcale, p'sze pani.

- Co takiego?

- Nie, nie ma go w szpitalu! Pani Merriweather i pani Elsing także nie ma. Jakiś człowiek powiedział mi, że doktor poszedł na stację do rannych żołnierzy z Jonesboro, ale, p'sze pani, ja się bałam tam iść - bo tam ludzie ciągle umierają. A ja się boję trupów....

- A gdzie są inni lekarze?

- Miss Scarlett, daję słowo, że żaden z nich nie chciał nawet przeczytać pani kartki. Chodzą po szpitalu, jak gdyby stracili zmysły. Jeden doktor powiedział mi: „Wynoś się do diabła! Nie zwracaj mi tutaj głowy dziećmi, kiedy mamy tylu umierających! Poszukaj jakiejś kobiety, żeby ci pomogła”. Więc ja potem przeszłam się koło stacji, jak mi panienka kazała, i pytałam o wiadomości i wszyscy mi mówili, że bitwa jest koło Jonesboro i ja...

- Mówisz, że doktor Meade jest na stacji?

- Tak, proszę pani.

- Prissy, słuchaj uważnie, co ci powiem. Ja sama pójdę po doktora Meade, chcę więc, abyś posiedziała przy pani Melanii i robiła wszystko, co ci każe. A jeżeli piśniesz słówkiem o tym, gdzie jest bitwa, sprzedam cię, jak mi Bóg miły. I nie mów jej, że nikt z lekarzy nie chciał przyjść. Czy rozumiesz?

- Tak.

- Obetrzyj oczy, nalej świeżej wody do dzbanka i idź na górę. Obmyj twarz pani Meli. Powiedz, że poszłam po doktora Meade.

- Czy pani Mela spodziewa się zaraz, Miss Scarlett?

- Nie wiem. Tak mi się zdaje, ale nie jestem pewna. Tyś powinna lepiej wiedzieć. Idź na górę.

Scarlett wzięła z konsolki w hallu duży kapelusz słomkowy i wcisnęła go na głowę. Spojrzała w lustro i machinalnie poprawiła stargane kosmyki włosów - ale odbicia swego nie widziała.

Dreszcz strachu wstrząsał nią całą, aż końce palców, którymi dotykała policzków, stały się zimne, chociaż jednocześnie pot wystąpił jej na czoło. Szybko wyszła z domu na gorącą ulicę. Słońce grzało niemiłosiernie, oślepiająco, a kiedy poszła szybko przez Brzoskwiniową, w skroniach zaczęły jej walić puls. Z daleka dochodził ją gwar wielu głosów. Już przy domu

Leydenów była bardzo zdyszana, bo gorset miała za mocno ściśnięty - kroku jednak nie zwolniła. Gwar głosów stał się silniejszy.

Od domu Leydenów do Pięciu Znaków ulica kipiała ruchem mrowiska, które ktoś właśnie poruszył. Murzyni biegali bezładnie, oszaleli ze strachu; na gankach płakały pozostawione bez opieki białe dzieci. Ulica zapchana była furgonami wojskowymi i ambulansami pełnymi rannych oraz wozami, na które naładowane były walizy i meble. Bocznyymi ulicami pędzili w stronę dowództwa jeźdźcy. Przed domem Bonnelów stał stary Amos i obejmował łeb ich konia. Przywitał Scarlett gwałtownym wywracaniem białkami.

- Jeszcze pani nie pojechała, Miss Scarlett? My teraz jedziemy. Starsza pani pakuje torbę.

- Jedziecie? Dokąd?

- Bóg jeden wie. Gdziekolwiek. Jankesi nadchodzą!

Scarlett pośpieszyła dalej, nie żegnając się nawet z Murzynem. Jankesi w drodze! Przy kaplicy Wesleya przystanęła na chwilę dla złapania tchu i uspokojenia mocno bijącego serca. Jeżeli nie uda jej się zapanować nad sobą, zemdleje z pewnością. Kiedy tak stała, opierając się o lampę, spostrzegła oficera na koniu, jadącego ulicą od Pięciu Znaków, nie namyślając się więc wbiegła na jezdnię i zatrzymała go.

- Proszę, niech pan poczeka! Proszę się zatrzymać!

Ściągnął cugle tak gwałtownie, że koń wspiął się na tylne nogi. Na twarzy jego malowało się zmęczenie i troska, ale mimo to szarmancko zerwał z głowy obdarty kapelusz.

- Czym mogę służyć?

- Proszę mi powiedzieć, czy to prawda? Czy Jankesi idą w stronę Atlanty?

- Obawiam się, że tak.

- Czy pan wie na pewno?

- Tak, łaskawa pani, niestety wiem. Do sztabu nadeszła przed półgodziną depeza z pola bitwy pod Jonesboro.

- Spod Jonesboro? Czy jest pan tego pewien?

- Tak, najzupełniej. Już teraz nie pora na piękne kłamstwa, łaskawa pani. Wiadomość, którą wiozłem, pochodziła od generała Hardee i brzmiała: „Przegrałem bitwę. Jestem w odwrocie”.

- Och, mój Boże!

Ciemna twarz zmęczonego mężczyzny patrzyła na nią bez wzruszenia. Zebrał cugle i włożył kapelusz.

- Proszę pana, jeszcze małą chwileczkę. Co mamy zrobić?

- Tego nie mogę pani powiedzieć. Armia wkrótce zacznie ewakuować Atlantę.
- To znaczy, że wyjdzie z miasta i zostawi nas na pastwę Jankesów?
- Tak mi się zdaje.

Koń ukłuty ostrogą ruszył jak na sprężynach. Scarlett została sama na środku ulicy, stojąc po kostki w czerwonym kurzu.

Jankesi nadchodzą. Wojsko wychodzi z miasta. Jankesi nadchodzą. Co ma teraz robić? Dokąd uciec? Nie, nie może uciec. Melania leży w łóżku i spodziewa się dziecka. Och, po cóż kobiety mają dzieci? Gdyby nie Melania, zabrałyby Wade'a i Prissy i ukryłyby się w lasach, gdzie by jej Jankesi nigdy nie znaleźli. Ale Melanii nie mogła ze sobą zabierać. Nie, teraz nie. Och, gdybyż była urodziła dziecko wcześniej, choćby wczoraj, może Scarlett mogłaby dostać ambulans, zabrać ją i gdzieś ukryć. Ale teraz - teraz musi odszukać doktora Meade i zmusić do pójścia z nią do domu. Może on umie przynaglić poród.

Zgarnęła spódnicę i pobiegła dalej, nogami wybijając słowa: „Jankesi nadchodzą! Jankesi nadchodzą!” Przy Pięciu Znakach gromadził się tłum ludzi biegających błędnie dokoła; tłoczyły się furgony, ambulanse i powozy, pełne rannych. Szmer, przypominający szum fal, wzbierał w ciszbie i rósł.

Naraz niezwykle widok uderzył oczy Scarlett. Grupy kobiet nadchodziły od strony toru kolejowego niosąc na ramionach wielkie szynki. Koło nich dreptały małe dzieci, uginające się pod ciężarem wiader melasy. Chłopcy ciągnęli wory mąki i kartofle. Jakiś stary mężczyzna pchał z trudem barylkę mąki na taczkach. Mężczyźni, kobiety, dzieci, czarni i biali, szybko, z naprężeniem w twarzach nieśli paczki, wory i skrzynki żywności - więcej żywności, niż widziała w ciągu roku. Tłum rozstał się nagle przed przechylnym na bok powozem. W pustej przestrzeni ukazała się delikatna i wąła pani Elsing, stojąca na koźle z lejcami w jednej, a batem w drugiej ręce. Była bardzo blada, bez kapelusza, a jej długie siwe włosy były rozwiane, gdy jak furia smagała konia. W powozie siedziała Murzynka jej, Melissa, przyciskając do siebie jedną ręką połów boczku, a drugą i obiema nogami starając się przytrzymać leżące koło niej pudełko i worki. Torba grochu pękła i ziarna rozsypywały się po ulicy. Scarlett zaczęła wołać do pani Elsing, ale głos jej nikał w gwarze. Powóz minął ją we wściekłym tempie.

Przez chwilę nie mogła pojąć, co to wszystko znaczy, potem jednak uświadomiwszy sobie, że składy intendentury znajdują się koło toru, zrozumiała: to dowództwo kazało je otworzyć, aby ludzie uratowali, co się da, przed przyjściem Jankesów.

Zaczęła się przepychać przez tłum, przez podniecony motłoch na placu Pięciu Znaków, i szła jak mogła najszybciej w stronę stacji. Pośród ambulansów spowitych chmurami kurzu

widziała sylwetki lekarzy i sanitariuszy pochylających się, podnoszących rannych, zaaferowanych. Bogu dzięki, że już za chwilę odnajdzie doktora Meade. Kiedy skręciła koło hotelu „Atlanta” i zobaczyła przed sobą stację i tor, stanęła jak wryta.

Pod promieniami bezlitosnego słońca, ramię przy ramieniu, głowa przy głowie, leżały setki rannych żołnierzy wzdłuż szyn, na peronach, przed budą stacyjną, w szeregach bez końca. Niektórzy leżeli sztywno i nieruchomo, większość wiała się w mękach w żarze słonecznym. Nad rannymi unosiły się roje much, łącząc po ich twarzach, szumiąc koło uszu - wszędzie widać było krew i brudne bandaże - zewsząd słychać jęki, okrzyki bólu i przekleństwa, gdy sanitariusze podnosili żołnierzy. Zapach potu, krwi, nie mytych ciał i odchodów, spotęgowany upałem, mdlił i obezwładniał. Pielęgniarki uwijali się wśród leżących pokotem ludzi i nierzadko następowali na rannych, którzy tylko tępo spoglądali na nich, czekając swojej kolejki.

Scarlett cofnęła się i ręką zakryła usta czując, że za chwilę zwymiotuje. Nie mogła iść dalej. Widywała rannych w szpitalu, po walkach w dolinie opatrywała ich na trawniku ciotki Pitty, ale czegoś podobnego nie widziała nigdy. Nigdy nie widziała nic tak strasznego jak te śmierzące, pokrwawione ciała w słonecznym upale. Było to piekło bólu, smrodu, wrzasku i pośpiechu - pośpiechu - pośpiechu! Jankesi nadchodzą! Jankesi nadchodzą!

Opanowała się i weszła w tłum wypatrując wysokiej postaci doktora Meade. Przekonała się jednak, że nie może go odszukać wzrokiem, bo jeżeli przestanie uważać na ziemię, zacznie deptać po nieszczęsnych żołnierzach. Uniosła spódnicę i torowała sobie drogę w stronę grupki ludzi, dających rozkazy pielęgniarzom.

Kiedy tak szła, gorączkowe dłonie chwyciły ją za suknię i głosy jęczały: - Pani! Wody! Wody, proszę! Na Boga, wody!

Pot spływał jej strugami po twarzy, gdy wyrywała spódnicę z czepiających się jej dłoni. Gdyby przypadkiem nadepnęła na jednego z tych ludzi, zaczęłaby z pewnością płakać albo by zemdląła. Przeskakiwała przez ciała umarłych, przez żołnierzy, którzy leżeli z oczyma w słupek, z rękoma na poszarpanych brzuchach, których brody sztywne były od krwi i z których strzaskanych szczęk wychodziły dźwięki mające chyba znaczyć: - Wody! Wody!

Jeżeli nie odszuka zaraz doktora Meade, zacznie histerycznie płakać. Spojrzała w stronę grupy ludzi pod dachem i zawołała jak mogła najgłośniej: - Doktor Meade!

Z grupy oddzielił się jakiś mężczyzna i spojrzał w jej kierunku. Był to doktor. Nie nosił marynarki, a rękawy koszuli miał zakasane po łokcie. Był uwalany krwią jak rzeźnik. Wyglądał na człowieka pijanego zmęczeniem, bezsilną wściekłością i piekącym współczuciem. Twarz miał szarą i zakurzoną, a spływający pot pozlewał mu się na policzkach

w strużki. Głos jego brzmiał jednak spokojnie i pewnie, kiedy krzyknął do Scarlett:

- Dzięki Bogu, że jesteś tutaj. Potrzebna mi jest każda para rąk.

Przez chwilę patrzyła na niego w zdumieniu i z przerażenia aż wypuściła z rąk spódnicę; opadła na brudną twarz rannego mężczyzny, który na próżno starał się odwrócić głowę, aby wydostać się spod tych ciepłych fałd. Co sobie doktor myślał właściwie? Kurz od strony ambulansów dławił ją, a wstrętne zapachy napełniały nos jak jakaś smrodliwa maź.

- Śpiesz się, dziecko! Chodź tutaj!

Zgarnęła znowu, spódnicę i poszła ku doktorowi przez, rzędy ciał, jak mogła najszybciej. Położyła mu rękę na ramieniu; poczuła, że doktor drży ze zmęczenia, ale na twarzy jego nie było słabości.

- Och, panie doktorze! - krzyknęła. - Musi pan ze mną iść, Melania ma bóle porodowe.

Spojrzał na nią, jak gdyby słowa te nie doszły do jego świadomości. Żołnierz, leżący u stóp Scarlett z głową wspartą na manierce, uśmiechnął się do niej.

- Dobrze się spisuje - powiedział wesoło.

Scarlett nawet na niego nie spojrzała, tylko dalej potrząsała ręką doktora.

- Chodzi o Melanię. Dziecko. Doktorze, musi pan iść do niej. Ona.. Ona... - Nie była to pora na konwenanse, a przecież trudno było wypowiedzieć te słowa w obecności setki obcych mężczyzn.

- Ma coraz większe bóle. Proszę pana, panie doktorze!

- Dziecko! Wielki Boże! - zagrzmiał doktor i na twarzy jego odmalowała się nagle nienawiść i pasja, pasja nie skierowana do niej ani do żadnej ludzkiej istoty, lecz raczej do świata, gdzie takie rzeczy mogły się zdarzać. - Czyś ty oszalała? Nie mogę tych ludzi zostawić. Umierają mi tutaj całe ich setki. Nie mogę ich zostawić dla jakiegoś tam dziecka. Niech ci jakaś kobieta pomoże. Poszukaj mojej żony.

Otworzyła usta, aby mu powiedzieć, dlaczego pani Meade nie może przyjść, i nagle je zamknęła. Nie wiedział, że Filip jest ranny! Zastanowiła się przez sekundę, czy byłby tutaj, gdyby wiedział. Miała prawie pewność, że nawet śmierć Filipa nie wpłynęłaby teraz na doktora, że zostałby dalej na tym miejscu, niosąc pomoc wielu ludziom, zapominając o sobie.

- Nie, pan musi ze mną iść. Pamięta pan, że pan sam mówił, że będzie miała ciężkie przejście... - Czy to rzeczywiście ona, Scarlett, mówiła tutaj na cały głos o tych wstydliwych sprawach?

- Mela umrze, jeżeli pan nie przyjdzie do niej.

Doktor odsunął brutalnie Scarlett i zaczął mówić, jak gdyby jej nie słyszał, jak gdyby nie wiedział, o co go prosi.

- Umrze? Tak, wszyscy umrą, wszyscy ci ludzie. Nie mamy bandażu, nie mamy maści ani chininy, ani chloroformu. Och, Boże, gdybym miał choć trochę morfiny! Choć trochę morfiny, dla najciężej rannych! Choć trochę chloroformu. Niech Bóg skarże Jankesów! Niechaj ich Bóg pokaże!

- Dobrze pan ich klnie, doktorze! - powiedział żołnierz z ziemi błyskając w uśmiechu zębami.

Scarlett zaczęła drzeć, a w oczach jej zakręciły się łzy przerażenia. Doktor nie chciał z nią iść. Melania umrze teraz, ponieważ ona życzyła sobie jej śmierci. Doktor z nią nie pójdzie...

- Na miłość boską, doktorze! Błagam pana!

Doktor Meade zagryzł wargi; odzyskał już spokój.

- Dziecko, postaram się, ale nie mogę ci tego przyrzec. Postaram się na pewno. Jak tylko załatwię się z tymi ludźmi. Jankesi zbliżają się i wojsko wychodzi z miasta. Nie wiem, co zrobią z rannymi. Nie ma już pociągów. Linia do Macon została zdobyta... Ale postaram się. Wracaj teraz do domu. Nie przeszkadzaj mi tutaj Bardzo jest łatwo przyjąć dziecko. Po prostu zwiąż tylko pepowinę...

Odwrócił się, bo adiutant dotknął jego ramienia. Zaczął mu dawać dyspozycje i wskazywać różnych rannych. Żołnierz u stóp Scarlett spojrział na nią ze współczuciem. Odeszła, bo doktor wcale na nią nie zwracał uwagi.

Szybko poszła przez gromadę rannych z powrotem na Brzoskwiniową. Doktor nie przyjdzie. Będzie się musiała sama tym zająć. Dzięki Bogu, że Prissy zna się na położnictwie. Głowa bolała ją od upału; czuła, jak do ciała przykleja się jej wilgotny od potu stanik. Myśli miała ciężkie tak samo jak nogi; jak gdyby w koszmarnym śnie chciała biec, a nie mogła ruszyć z miejsca. Myślała o długiej drodze do domu. Wydawało jej się, że nigdy nie dojdzie na miejsce.

Aż nagle słowa „Jankesi nadchodzą” znowu zaczęły towarzyszyć jej krokom jak refren. Serce poczęło bić mocniej i wstąpiło w nią nowe życie. Na Pięciu Znakach zmieszała się z tłumem, teraz tak gęstym, że zapełniał całe chodniki; poszła środkiem jezdni. Mijały ją długie szeregi żołnierzy pokrytych kurzem, mokrych ze zmęczenia. Zdawało się, że idą całe ich tysiące - brodaci, brudni, z karabinami na ramionach, przechodzili szybkim marszem. Przetoczyły się działa, żołnierze bili po grzbietach kawałami rzemienia ciągnące je chude muły. Furgony intendentury, pokryte podartym płótnem, podskakiwały na wybojach. Kawaleria, wznosząca tumany kurzu, przejeżdżała bez końca. Scarlett nigdy dotąd nie widziała tylu żołnierzy. Odwrót! Odwrót! Armia opuszczała miasto.

Spiesznie przechodzące szeregi odepchnęły ją z powrotem na zatłoczony trotuar. Poczwała zapach taniej żytniówki. W tłumie koło ulicy Dekatur stały kobiety wyzywająco ubrane, których kolorowe sukienki i umalowane twarze kłóciły się z wyglądem reszty ludzi. Były przeważnie wstawione, żołnierze zaś, których ramion się czepiały, byli zupełnie pijani. Dostrzegła rude loki tej wstrętnej kreatury, Belli Watling, usłyszała jej ostry śmiech, gdy starała się podeprzeć jednorękiego żołnierza, który potykał się i zataczał.

Kiedy przepchnęła się przez tłum aż do przecznicy za Pięciu Znakami, ciżba rzędła trochę. Zebrawszy w garść spódnice, znowu zaczęła biec szybciej. Przy kaplicy Wesleya była tak zadyszana, że zakręciło się jej w głowie i bardzo ją zemdlilo. Fiszbiny rozrywały jej zębra. Opadła na stopnie kościoła, głowę ukryła w dłoniach i oddech z wolna jej wrócił. Gdybyż mogła raz głęboko odetchnąć, całą jamą brzusznią. Gdybyż serce jej przestało walić, tłuc się i dudnić. Gdybyż w tym oszalałym mieście był ktoś, do kogo by się mogła zwrócić...

Nigdy w życiu dotąd nie musiała niczego robić sama. Zawsze był ktoś, kto ją wyręczał, kto opiekował się nią, zajmował, kto ją ochraniał i pieścił. Nie do uwierzenia, że znalazła się w takim położeniu. Ani przyjaciela, ani sąsiada, który by pomógł... Zawsze miała wokół siebie znajomych, sąsiadów, zaufane ręce, chętnych niewolników. Aż nagle w godzinie największej potrzeby nie było przy niej nikogo. Wierzyć się nie chciało, że była zupełnie sama, bardzo przerażona i z dala od domu.

Dom! Gdybyż przynajmniej była w domu, nie zważając na Jankesów... W domu, mimo że Ellen jest chora... Tęskniła za jej łagodną twarzą, za objęciem silnych ramion Mammy.

Wstała niepewnie i znowu ruszyła w drogę. Wreszcie zobaczyła dom i Wade'a kołyszącego się na furtce. Gdy ją zobaczył, nachmurzył się i zaczął płakać wyciągając do niej przygnieciony, zsiniały palec.

- Boli! - płakał. - Boli!

- Cicho! Cicho! Cicho! Bo ci dam klapsa. Idź do ogrodu, rób babki z piasku i nie ruszaj mi się stamtąd.

- Wade głodny - żalił się wkładając bolący palec do buzi.

- Nie mam na to rady. Idź do ogrodu i...

Spojrzała w górę i zobaczyła Prissy wychylającą się z okna pierwszego piętra. Na twarzy jej malowało się przerażenie, które znikło w chwili, gdy zobaczyła swoją panią. Scarlett skinęła do niej, aby zeszła na dół, i weszła do domu. Jak chłodno jest w hallu... Odwiązała kapelusz i rzuciła go na stół, przeciągając ręką po wilgotnym czole. Usłyszała otwarcie drzwi na górze i uszu jej doszedł cichy przeciągły jęk, jak z dna cierpienia. Prissy zbiegała na dół po trzy stopnie na raz.

- Czy doktor jest?

- Nie. Nie może przyjść.

- O Boże, Miss Scarlett! Pani Mela bardzo cierpi!

- Doktor nie może przyjść. Nikt nie może przyjść. Musisz sama przyjąć dziecko, a ja ci pomogę.

Prissy otworzyła szeroko usta, a język jej poruszał się bezgłośnie. Spojrzała z ukosa na Scarlett, zaczęła przestępować z nogi na nogę i wykręcać na wszystkie strony swe chude ciało.

- Nie patrz tak głupio! - zawołała Scarlett, rozwścieczona jej zachowaniem się. - O co chodzi?

Prissy cofnęła się tyłem na schody.

- O Boże, Miss Scarlett... - Strach i wstyd wyjrzały z jej oczu.

- O co chodzi?

- O Boże, Miss Scarlett! Doktor musi przyjść. Ja... ja... ja nie umiem przyjmować dzieci. Mama zawsze mi zabraniała być przy kobietach, które rodziły.

Scarlett aż skamieniała z przerażenia, a potem załapała ją wściekłość. Prissy dała susa w bok, gotowa do ucieczki, ale Scarlett przytrzymała ją mocno.

- Ty czarny kłamczuchu, co ty gadasz? Zapewniałaś mnie, że znasz się na tym. Co jest prawdą? Gadaj mi zaraz! - Potrząsała nią tak mocno, że kudłata jej głowa zaczęła się chwiać bezwładnie.

- Kłamałam, Miss Scarlett! Nie wiem, dlaczego tak skłamałam. Widziałam tylko raz, jak się dziecko rodzi, a mama mało mnie nie zabiła, że się przyglądałam.

Scarlett patrzyła na nią bez słowa. Prissy cofała się i starała się jej wyrwać. Przez chwilę nie chciało jej się uwierzyć w to, co słyszała, a kiedy uświadomiła sobie wreszcie, że Prissy nie więcej wie o przyjmowaniu dzieci niż ona sama, złość ogarnęła ją jak płomień. Nigdy w swoim życiu nie uderzyła niewolnika, teraz jednak wyrznęła dziewczynę w czarny policzek z całej siły swojej zmęczonej ręki. Prissy wrzasnęła wniebogłosy, bardziej z przerażenia niż z bólu, i zaczęła wyrywać się z jej uścisku.

Kiedy zaczęła krzyczeć, jęki na górze ucichły. Po chwili głos Melanii, słaby i drżący, zawołał:

- Scarlett! Czy to ty? Przyjdź tutaj, proszę!

Scarlett puściła Prissy. Dziewczyna chlipiąc usiadła na schodach. Przez chwilę Scarlett stała bez ruchu, patrząc w górę i słuchając cichych jęków, które rozlegały się znowu. Wydało jej się nagle, że jarzmo spada jej na kark, że przytwierdzony jest doń wielki ciężar, który

przytłoczy ją, gdy zrobi jeden krok naprzód.

Starła się przypomnieć sobie to wszystko, co robiła Mammy i Ellen, kiedy urodził się Wade, ale błogosławione zaćmienie bólów porodowych wspomnienia te spowiło mgłą. Przypomniała sobie jednak to i owo i rozkazującym głosem szybko zaczęła mówić do Prissy:

- Rozpal ogień pod kuchnią i nastaw wodę w kotle. Przynies wszystkie ręczniki, jakie masz, i ten kłębek bawełny. Poszukaj jakichś nożyczek. Nie opowiadaj mi, że nie możesz ich znaleźć. Musisz je znaleźć, i to szybko. Spiesz się.

Pchnęła Prissy tak mocno, że dziewczucha ruszyła w stronę kuchni. Potem wyprostowała się i poszła na górę. Niełatwą rzeczą będzie powiedzenie Melanii, że ona i Prissy mają przyjąć jej dziecko same.

ROZDZIAŁ XXII

Nigdy już chyba nie zdarzy się popołudnie dłużące się tak przeraźliwie ani tak gorące, ani pełne tylu leniwych, dokuczliwych much. Siadały całymi rojami na Melanii, choć Scarlett nie przestawała jej wachlować i ramiona bolały ją od poruszania szerokim liściem palmowym. Zdawało jej się, że wszystkie jej wysiłki idą na marne, bo kiedy odgoniła muchy z twarzy Melanii, siadały na jej spoconych stopach i nogach i wywoływały słabe okrzyki: - Och, gryzą mnie znowu!

Pokój tonął w półmroku, bo Scarlett ściągnęła zasłony dla ochrony przed upałem i światłem słonecznym. Cieniutkie promyczki słońca przedostawały się jednak przez małe otworki i szpary z boku okien. W pokoju było gorąco jak w piecu: przepocone odzienie Scarlett nie wysychało, tylko z godziny na godzinę stawało się bardziej wilgotne i lepkie. Prissy przycupnęła w kącie; była także spocona i cuchnęła tak wstrętnie, że Scarlett odesłałaby ją dawno z pokoju, gdyby nie obawa, że dziewczyna weźmie nogi za pas i w ogóle się więcej nie zjawi. Melania leżała na łóżku, na prześcieradle ciemnym od potu i mokrym od wody, którą Scarlett na nią przyskała. Przewracała się bezustannie, to na jeden bok, to na drugi - w lewo i w prawo.

Chwilami starała się usiąść, opadała jednak na poduszki i znowu zaczynała się przewracać. Z początku wstrzymywała się od krzyków i zagryzała wargi do krwi, aż Scarlett, która nie mogła tego znieść, rzekła ochryple: - Melu, na miłość boską, nie staraj się udawać zucha. Wrzeszcz, jeżeli masz ochotę. Nikt cię nie usłyszy, poza nami dwiema.

W miarę mijania godzin Melania zaczęła stękać coraz częściej i czasem nawet krzyczała. Słyszając to Scarlett kryła głowę w rękach, zatykała sobie uszy, wykręcała się na wszystkie strony - życzyła sobie śmierci. Wszystko było lepsze od bezsilnego patrzenia na takie męki. Wszystko lepsze od czekania na dziecko, które tak długo nie chciało się urodzić. Od czekania na dziecko, kiedy Jankesi byli już pewnie przy Pięciu Znakach.

Żałowała teraz gorąco, że swego czasu nie zwracała większej uwagi na szepty mężatek, dotyczące rodzenia dzieci. Czemuż tego nie robiła! Gdyby miała więcej zainteresowania dla takich spraw, potrafiłaby ocenić, czy poród Melanii trwa zbyt długo, czy też przebiega normalnie. Przypominała sobie niejasno opowiadanie ciotki Pitty o jakiejś znajomej, która miała bóle porodowe przez dwa dni i zmarła nie wydawszy dziecka na świat. Jeżeli więc i Melania będzie jeszcze jęczała przez dwa dni... Ale Melania była bardzo delikatna. Nie mogłaby wytrzymać dwóch dni takiego bólu. Umrze chyba, jeżeli dziecko się nie pośpieszy. I

jak Scarlett będzie mogła wtedy spojrzeć w oczy Ashleyowi - jeżeli żyje - i powiedzieć mu, że Melania umarła, mimo że przyrzekła mu, iż będzie się nią opiekowała?

Z początku Melania chwyciła rękę Scarlett, gdy szarpał ją mocniejszy ból, ale ścisnęła ją tak mocno, że mało jej kości nie miażdżyła. Po upływie godziny Scarlett miała ręce tak spuchnięte i posiniaczone, że nie mogła ich zgiać. Związała więc na supeł dwa długie ręczniki, przywiązała je do nóg łóżka i zasupłany koniec dała Meli do ręki. Melania trzymała się go jak pasa ratunkowego, naciągała go, rozluźniała, szarpała nim. Przez całe popołudnie słychać było jej głos, jak głos konającego w sidłach zwierzęcia. Chwilami puszczała ręcznik, przecierała dłonie i patrzyła na Scarlett oczyma rozszerzonymi z bólu.

- Mów do mnie. Proszę cię, mów do mnie - szeptała.

Scarlett zaczynała paplać byle co, aż Melania znowu chwyciła za węzeł i znowu zaczynała go szarpać.

Mroczny pokój pełen był żaru, bólu, brzęczenia much. Czas włókł się tak wolno, że Scarlett ledwie sobie mogła przypomnieć poranek. Wydawało jej się, że w tym nagrzanym, ciemnym, zapoconym miejscu przebywa już całe życie. Bardzo chciała krzyczeć za każdym jękiem Meli i tylko zagryzaniem warg do bólu mogła się powstrzymać od przejawów hysterii.

W pewnej chwili Wade podszedł na palcach pod drzwi i stał przez chwilę skomląc:

- Wade głodny!

Scarlett wstała, aby iść do niego, ale Melania wyszeptała: - Nie zostawiaj mnie samej. Proszę cię. Mogę to znieść, jak długo ty jesteś przy mnie.

Tak więc Scarlett musiała posłać na dół Prissy, aby odgrzała dzieciakowi resztki śniadania i nakarmiła go.

Zegar na kominku stanął, nie wiedziała więc, która jest godzina, ale kiedy zelżał upał w pokoju i promyki słońca, przedzierające się przez zasłony, pociemniały, odsłoniła okna. Ku swemu zdumieniu stwierdziła, że była pora przedwieczorna. Słońce, jak szkarłatna kula, stało nisko na niebie. Miała przez cały czas wrażenie, że żar południa nigdy nie minie.

Bardzo chciała wiedzieć, co się dzieje w mieście. Czy wszystkie wojska już wyszły? Czy Jankesi wkroczyli do miasta? Czy konfederaci oddadzą miasto bez wystrzału? Potem przypomniała sobie z dreszczem, jak mało jest konfederatów i ilu doskonale odżywionych ludzi ma Sherman. Sherman! Imię samego szatana nie wywołałoby w niej większego przerażenia.

Teraz nie było jednak czasu myśleć, bo Melania prosiła o wodę, to o zimny ręcznik na głowę., to aby ją po wachlować czy odgonić muchy z jej twarzy.

Ody zapadł zmierzch i Prissy, krzątając się jak czarny upiór, zapaliła lampę, Melania

osłabła. Zaczęła wołać Ashleya, raz po razie, jak gdyby w malignie, aż rozpaczliwa monotonia tego wołania napelniła Scarlett chęcią zdławienia jej głosu poduszką. Może jednak doktor przyjdzie. Gdybyż mógł przyjść prędzej! Tknięta nagłą nadzieją, zwróciła się do Prissy i kazała jej biec szybko do domu Meade'ów i sprawdzić, czy jest tam doktor lub pani Meade.

- A jeżeli doktora nie ma, zapytaj panią Meade lub kucharkę, co mamy robić. Poproś, aby tu przyszły zaraz!

Prissy ruszyła ostro. Scarlett przyglądała się, jak spiesznie idzie po ulicy, szybciej niż kiedykolwiek przedtem. Po dłuższej chwili wróciła - sama.

- Doktora nie było w domu przez cały dzień. Możliwe, że poszedł z żołnierzami. Miss Scarlett, wie pani, pan Filip nie żyje.

- Nie żyje?!

- Tak, proszę pani - rzekła Prissy, dumna z tej nowiny. - Talbot, stangret, powiedział mi to. Zastrzelili go...

- Dobrze, ale nie mów o tym teraz.

- Pani Meade nie widziałam. Kucharka mówi, że pani Meade myje go i ubiera, aby zdążyć go pochować, zanim Jankesi tu przyjdą. Kucharka mówi, że jak bóle będą bardzo wielkie, niech pani położy nóż pod łóżko pani Meli, to ból przetnie się na dwoje.

Scarlett miała ochotę znowu ją uderzyć za tę doskonałą radę, ale Melania otworzyła szeroko oczy i wyszeptwała: - Kochanie... czy Jankesi są blisko?

- Nie - rzekła Scarlett stanowczo. - Prissy zmyśla.

- Tak, proszę pani, znowu skłamałam - przytwardziła Prissy z zapalem.

- Pewnie są blisko - wyszeptwała Melania nie przekonana i ukryła twarz w poduszce. Głos jej stał się jeszcze bardziej głuchy.

- Biedne moje dziecko. Biedne moje dziecko. - I po długiej przerwie: - Och, Scarlett, nie zostawaj tutaj. Zabierz Wade'a i wyjedź.

Mela powiedziała właśnie to, co Scarlett myślała, ale głośne sformułowanie tych tajemnych myśli rozwścieczyło ją i zawstydziło: bała się, że strach maluje się wyraźnie na jej twarzy.

- Nie bądź głupia. Nie boję się wcale. Wiesz, że cię nie zostawię.

- To właściwie wszystko jedno. Umrę i tak. - I znowu zaczęła jęczeć.

Scarlett zesła omackiem po ciemnych schodach powoli, jak stara kobieta, powoli, trzymając się kurczowo poręczy, aby nie upaść. Nogi miała jak z ołowiu, drżała ze zmęczenia i wysiłku, drżała z zimna, bo ciało jej było zlane potem. Powlokła się wolniutko na ganek i ciężko usiadła na schodkach. Wyprostowała się z trudem, oparła o słupek i trzęsącymi,

palcami zaczęła odpinać stanik na piersiach. Noc tonęła w ciepłej, miękkiej ciemności. Scarlett patrzyła przed siebie, otepiała jak wół.

Było już po wszystkim. Melania nie umarła i mały chłopczyk, piszczący jak kociak, był teraz kapany przez Prissy. Melania spała.

Jak mogła spać po tym koszmarze przeraźliwych bólów i niezdarnej pomocy, która więcej bólu sprawiała niż ulgi? Jak się stało, że nie umarła? Scarlett czuła, że sama by z pewnością umarła przy takiej asyście. Ale kiedy wszystko się skończyło, Melania wyszeptala tak cichutko, że musiała się ku niej pochylić, aby usłyszeć: - Dziękuję ci... - I dopiero potem usnęła. Jakże mogła spać? Scarlett nie pamiętała zupełnie, że sama także spała po urodzeniu Wade'a. Nie pamiętała o niczym. Mózg jej był próżnią; świat cały był próżnią; nie było wcale życia przed tym dniem bez końca i nie będzie po nim - tylko ciężka, gorąca noc, tylko dźwięk ochrypłych, zmęczonych oddechów, tylko pot, który spływa zimną stróżką od pach do pasa, od bioder do kolan, lepki, gęsty, lodowaty.

Słyszała, jak oddech jej z głośnej regularności przechodzi w spazmatyczne łkanie, ale oczy miała suche i rozpalone, jak gdyby już nigdy nie miało być w nich łez. Wolno, z wysiłkiem podźwignęła się i zadarła ciężką spódnicę aż po same uda. Było jej jednocześnie gorąco i zimno, ale wystawienie ciała na powiewy nocy odświeżyło ją bardzo. Leniwie pomyślała, co by teraz powiedziała ciotka Pitty, gdyby widziała ją rozwaloną tutaj na ganku frontowym w podwiniętej spódnicy i odsłoniętych majtkach - było jej jednak wszystko jedno. Nie dbała już o nic. Czas zatrzymał się w miejscu. Był wczesny wieczór albo północ. Nie wiedziała i nie chciała wiedzieć.

Usłyszała na górze lekkie kroki i pomyślała: „Niechaj Bóg skarże Prissy”. Potem zaś zamknęła oczy i zmorzyło ją coś w rodzaju snu. Po nieokreślonej, ciemnej chwili Prissy była przy niej gadając z widocznym zadowoleniem:

- Dobrześmy się spisały, Miss Scarlett. Nawet mama nie zrobiłaby tego lepiej.

Scarlett patrzyła na nią w milczeniu, zbyt zmęczona, aby odpowiedzieć, zbyt znużona, aby jej robić wymówki, aby wyliczać jej przewiny - zarozumiałe przyznawanie się do umiejętności, której nie posiadała, przestרח, niesłychaną niezdarność, zupełną bezradność, gdy trzeba było szybko działać, złe podanie nożyczek, rozlanie wody z miednicy na łóżko, upuszczenie nowo narodzonego dziecka. A teraz przechwalała się jeszcze, że tak dobrze się spisała!

I Jankesi chcą dać wolność Murzynom! Niech się sami przekonają, co są warci!

Siedziała w milczeniu. Prissy wyczuwając jej nastrój cofnęła się na palcach w głąb ganku. Po długiej chwili, podczas której oddech Scarlett. uspokoił się i myśli trochę

uporządkowały, usłyszała słaby dźwięk głosów z drogi, tupot wielu nóg, zbliżający się od północy. Żołnierze! Wyprostowała się wolno i spuściła spódnicę, choć nikt nie mógł jej widzieć w ciemności. Kiedy żołnierze znaleźli się w nieokreślonej liczbie na wprost domu i przechodzili jak cienie, zawołała do nich:

- Proszę panów!

Cień jakiś oddzielił się od masy i zbliżył do bramy.

- Wychodzicie z miasta? Opuszczacie nas?

Cień zdjął, jak się zdawało, kapelusz, i spokojny głos przemówił z ciemności:

- Tak, łaskawa pani. Właśnie odchodzimy. Jesteśmy ostatni z zasieków na północy.

- Czy rzeczywiście, czy armia naprawdę się cofa?

- Tak, proszę pani. Jankesi nadchodzą.

Jankesi nadchodzą! Zapomniała o tym zupełnie. Gardło jej ścisnęło się nagle i nie mogła już nic więcej powiedzieć. Cień przesunął się dalej, zlał się z innymi i nogi żołnierzy dalej poczłapały w ciemności. „Jankesi nadchodzą! Jankesi nadchodzą!” W rytm tych słów maszerowali i słowa te wybijało jej gwałtownie walące serce każdym swoim uderzeniem. Jankesi nadchodzą!

- Jankesi nadchodzą! - wrzasnęła Prissy, tuląc się do Scarlett. - Och, Miss Scarlett, pozabijają nas wszystkich! Pokłują nas bagnietami! Za...

- Och, cicho mi bądź! - Dość straszne było, że musiała myśleć o tych wszystkich rzeczach, nie chciała ich jeszcze słyszeć. Obleciał ją znowu strach. Co ma teraz robić? Dokąd uciekać? Gdzie się zwrócić o pomoc? Wszyscy przyjaciele ją zawiedli...

Nagle przypomniała sobie Retta Butlera i obawy jej przysły. Dlaczego nie pomyślała o nim rano, kiedy kręciła się jak oszałała po mieście? Nienawidziła go, ale musiała przyznać, że był silny i mądry i że nie bał się Jankesów. Był jeszcze w mieście. Pewnie, że była na niego obrażona i że za ostatnim spotkaniem powiedział jej wiele rzeczy nie do wybaczenia. Mogła jednak przejść do porządku nad tymi sprawami, zwłaszcza w takiej chwili. Poza tym Rett miał konia i powóz. Ach, dlaczego nie pomyślała o nim wcześniej! Rett będzie mógł je zabrać z tego nieszczęsnego miejsca, wywieźć daleko od Jankesów, byle gdzie, dokądkolwiek.

Zwróciła się ku Prissy i zaczęła mówić z gorączkowym pośpiechem.

- Czy wiesz, gdzie mieszka kapitan Butler, gdzie jest hotel „Atlanta”?

- Tak, proszę pani, ale...

- No, więc idź tam teraz, jak możesz najszybciej, i powiedz mu, że go potrzebuję. Chcę, aby przyszedł tu zaraz i sprowadził swego konia i powóz albo ambulans, jeżeli może.

Powiedz mu o dziecku. Powiedz mu, że chcę, aby nas stąd zabrał. A teraz leć! Prędeży!

Wyprostowała się i pchnęła Prissy, aby biegła prędeży.

- Boże miłosierny, Miss Scarlett! Kiedy ja się boję biegać po nocy sama, po ciemku! A jeżeli mnie Jankesi złapią?

- Jeżeli szybko pobiegiesz, dogonisz tych żołnierzy i oni cię obronią przed Jankesami. Spiesz się.

- Kiedy się boję! A jeżeli kapitana Butlera nie będzie w hotelu?

- To zapytasz się tam, gdzie jest. Czy nie masz wcale rozumu? Jeżeli nie będzie go w hotelu, pójdziesz do barów na ulicy Dekatur i tam o niego spytasz. Idź do domu Belli Watling. Szukaj go wszędzie. Ty głupie stworzenie, czy nie rozumiesz, że jeżeli nie znajdziesz go teraz, Jankesi z pewnością wszystkich nas zabiją?

- Miss Scarlett, mama pasy że mnie by zdarła, gdybym weszła do baru czy do domu takiej kobiety.

Scarlett porwała się na równe nogi.

- No, a ja cię zbiję na kwaśne jabłko, jeżeli tam nie pójdziesz. A stanąć na ulicy i wołać kapitana też nie możesz? Albo zapytać się kogoś, czy kapitan jest w barze? Zabieraj się stąd, już!

Ponieważ Prissy wciąż jeszcze się nie ruszała i mrużąc przestępowała z nogi na nogę, Scarlett pchnęła ją znowu tak mocno, że dziewczyna omal nie spadła ze schodków.

- Idź mi zaraz, bo cię sprzedam. Nie zobaczysz nigdy w życiu ani matki, ani nikogo ze znajomych i będziesz pracowała w polu jak wyrobnica. Spiesz się!

- Boże miłosierny, Miss Scarlett...

Wreszcie pod mocnym dotknięciem ręki swojej pani Prissy zaczęła schodzić ze schodów. Potem furtka frontowa skrzypnęła. Scarlett krzyknęła jeszcze: - Biegnij, oślico!

Usłyszała tupot stóp Prissy puszczającej się biegiem naprzód, a potem wszystko ucichło.

ROZDZIAŁ XXIII

Po odejściu Prissy Scarlett leniwie powlokła się do hallu i zapaliła lampę. W domu było parno i gorąco, jak gdyby w murach jego osiadł cały żar południa. Otepienie jej z wolna mijało i żołądek domagał się jedzenia. Przypomniała sobie, że od poprzedniego wieczora nie jadła nic poza łyżką kukurydzy rano, więc biorąc lampę poszła do kuchni. Ogień w piecu przygasł już, ale izba była niemożliwie duszna. Znalazła pół twardej bułki z kukurydzy i zaczęła ją łapczywie gryźć, rozglądając się za innym jakimś jedzeniem. W garnku zostało jeszcze trochę gotowanej kukurydzy, zjadła ją więc wielką chochłą, nie wykładając wcale na talerz. Papka była nie dość słona, ale Scarlett była tak głodna, że nawet nie szukała soli. Zaspokoiwszy pierwszy głód wzięła lampę w jedną rękę, a kawałek bułki w drugą i wróciła do hallu, bo w kuchni było zbyt gorąco.

Wiedziała, że powinna iść na górę i posiedzieć przy Melanii, za słabej teraz, aby wołać, gdy będzie czegoś potrzebowała. Myśl jednak o powrocie do pokoju, w którym spędziła tyle koszmarnych godzin, wydawała się jej wstrętna. Scarlett nie mogła tam teraz wrócić, nawet gdyby Melania konała. Nie chciała już nigdy w życiu oglądać tego pokoju. Postawiła lampę na postumencie koło okna i wróciła na ganek. Było tu o wiele chłodniej, chociaż noc była bardzo ciepła. Usiadła na schodkach w kręgu bladego światła lampy i nadal żuła bułkę.

Kiedy skończyła, wróciło jej trochę siły, a wraz z nią kolący strach. Z ulicy słyszała jakieś hałasy, nie wiedziała jednak, co zwiastują. Rozróżniała tylko jakieś skłębione dźwięki, które to wzmagaly się, to przycichały. Pochyliła się naprzód, aby słyszeć lepiej. Z wysiłku tego aż zabolaly ją mięśnie. Chciała już wreszcie usłyszeć tętent kopyt i zobaczyć beztroskie, pełne pewności siebie oczy Retta, który by wyśmiał jej obawy. Rett zabierze ją i wszystkich daleko, daleko. Wszystko jej jedno dokąd.

Gdy tak siedziała wycężając słuch, zobaczyła nad drzewami jakiś blask. Zdziwiła się bardzo. Przyglądała mu się chwilę; blask spotęgował się. Ciemne niebo zaczęło różowieć, potem stało się jasno-czerwone, wreszcie nad wierzchołkami drzew Scarlett zobaczyła język ognia strzelający wysoko ku niebu. Porwała się na nogi i serce jej znowu zaczęło rozpaczliwie walić.

Jankesi przyszli! Z pewnością są już w Atlancie i palą miasto. Płomienie zdawały się buchać na wschód od centrum miasta. Strzelały coraz wyżej i wyżej, rozszerzały się wielką, czerwoną łuną przed jej przerażonym wzrokiem. Płonął chyba cały blok domów. Gorący wiatr, który teraz powiał, przyniósł zapach dymu w jej stronę.

Wbiegła po schodach do swego pokoju i wychyliła się z okna, aby lepiej widzieć. Niebo miało wstętny, żółtawy kolor; w powietrze wzbijały się duże tumany czarnego dymu i wisiały nad płomieniami niczym obłoki. Zapach dymu stawał się coraz mocniejszy. Scarlett myślała gorączkowo. Zastanawiała się, kiedy ogień dojdzie do ulicy Brzoskwiniowej i ogarnie dom, kiedy napadną ją Jankesi, dokąd ma uciec, co robić. Chór mocy piekielnych zdawał się rozlegać w jej uszach, w mózgu miała taki zamęt, strach tak ją obezwładniał, że musiała oprzeć się o okno, aby nie upaść.

- Muszę zebrać myśli - powtarzała sobie raz po raz. - Muszę myśleć.

Myśli jednak rozprzeczły się na wszystkie strony jak stado spłoszonych gołębi. Kiedy tak się opierała o okno, usłyszała ogłuszający wybuch, głośniejszy od huku dział. Od olbrzymich płomieni stało się jasno jak w dzień. Potem nastąpił drugi wybuch. Ziemia zdrząła, szyby górnych okien wypadły, odłamki szkła rozprysły się dokoła Scarlett.

Świat stał się piekłem hałasów i płomieni, ziemia dygotała od następujących teraz jeden po drugim wybuchów. Snopy iskier biły w niebo i leniwie opadały przez krwawe chmury dymu. Zdawało się Scarlett, że słyszy słabe wołanie z sąsiedniego pokoju, ale nie zwróciła na to uwagi. Nie miała czasu dla Melanii. Nie miała czasu na nic poza strachem, który płynął w jej żyłach szybko jak płomień po niebie. Czuła się oszalałym z przestachu dzieckiem, chciała ukryć głowę na łonie matki, aby nie patrzeć na ten widok. Gdybyż była w domu! W domu, z matką!

Poprzez szarpiące nerwy dźwięki usłyszała tupot szybko biegnących stóp, przesadzających po trzy stopnie naraz, i głos przypominający wycie psa. Prissy wpadła do pokoju, dobiegłszy do Scarlett schwyciła jej ramię uściskiem tak mocnym, jak gdyby chciała jej wyrwać kawał mięsa.

- Jankesi! - zawołała Scarlett.

- Nie, to nasi panowie! - wyjąkała Prissy ciężko dysząc i wpiła paznokcie w ramię Scarlett. - Palą huty, składy wojskowe i sklepy i, o Boże, Miss Scarlett, wysadzili w powietrze siedemdziesiąt wagonów kul armatnich i prochu! O Jezusie, wszystkich nas palą!

Znowu zaczęła przejmująco zawodzić i szczypać Scarlett, która aż krzyknęła z bólu i ze złości i uderzyła ją po rękę.

A więc Jankesów jeszcze nie ma! Jeszcze jest czas na ucieczkę! Zebrała wszystkie siły.

„Jeżeli się w tej chwali nie uspokoję - myślała - zacznę wrzeszczeć jak topiony kociak!”

Widok bezgranicznego strachu Prissy pomógł jej się opanować. Wzięła Murzynkę za ramiona i mocno nią potrząsnęła.

- Przestań się awanturować i mów do rzeczy. Jankesów jeszcze nie ma, ty idiotko! Czy

widziałaś kapitana Butlera? Co powiedział? Czy przyjdzie?

Prissy przestała krzyżeć i tylko szczękała zębami.

- Tak, proszę pani, znalazłam go w końcu. W barze, tak jak pani mówiła. Był...

- Mniejsza z tym, gdzie go znalazłaś. Czy przyjdzie? Czy prosiłaś, aby sprowadził tu konia?

- O Boże, Miss Scarlett, powiedział, że nasi panowie zabrali mu konia i powóz dla rannych.

- Wielki Boże!

- Ale przyjdzie...

- Co powiedział?

Prissy złapała oddech i trochę się uspokoiła, ale ciągle jeszcze wywracała oczyma.

- Więc, proszę pani, tak jak pani mówiła, znalazłam go w barze. Stałam na ulicy i wołałam go głośno, więc wyszedł. Jak tylko mnie zobaczył i zaczęłam mu wszystko opowiadać, żołnierze wysadzili w powietrze dom przy ulicy Dekatur i dom się zapalił, więc kapitan powiedział: chodź ze mną, i pociągnął mnie z sobą, i poleciliśmy do Pięciu Znaków, i wtedy powiedział: „No, więc co? Mów prędko”. Więc mówię, pani kazała powiedzieć, żeby pan kapitan przyszedł zaraz i przyprowadził konia i wóz. Pani Mela ma dziecko i pani koniecznie chce wyjechać z miasta. Więc on mówi: „Gdzie pani chce jechać?” Więc ja mówię: Ja nie wiem, proszę pana, ale chce wyjechać, nim Jankesy przyjdą, i chce, żeby pan nas zabrał. Więc zaczął się śmiać i powiedział, że zabrali mu konia.

Serce Scarlett zmartwiało, gdy i ta ostatnia nadzieja ją zawiodła. Jaka była głupia, że nie pomyślała, iż cofająca się armia zarekwiruje wszystkie pojazdy i konie, które jeszcze w mieście zostały. Przez chwilę była zbyt zgnębiona, aby słyszeć, co Prissy mówi, opanowała się jednak, by wysłuchać końca opowiadania.

- A potem powiedział: „Powiedz pani Scarlett, żeby była spokojna. Ukradnę dla niej konia, choćby to był ostatni w mieście. - I powiedział: - Już nieraz kradłem konie. Powiedz jej, że dostanie konia, choćby mnie za to mieli rozstrzelać. - Potem znów się zaśmiał i powiedział: - Teraz leć do domu”. - Ale zanim poszłam, znowu bum! Taki huk, że chciałam się zapaść pod ziemię, a on mówi, że to nic, tylko amunicja, którą nasi panowie wysadzają w powietrze, aby Jankesi jej nie dostali i...

- A więc przyjdzie tu? Przyprowadzi konia?

- Tak powiedział.

Scarlett odetchnęła z ulgą. Jeżeli był gdzieś w mieście jakiś koń, mogła być pewna, że Rett go zdobędzie. Mądry chłop ten Rett. Opuści mu wszystko, jeżeli wydostanie ich z

piekła. Uciec! Z Rettem nie będzie się niczego bała. Rett ich obroni. Dzięki Bogu, że Rett jest na świecie! Czując się mniej więcej bezpieczna, zaczęła myśleć o sprawach realnych.

- Obudź Wade'a, ubierz go i zapakuj trochę ubrania dla wszystkich. Włóż je do małego kuferka. I nie mów pani Meli, że wyjeżdżamy. Jeszcze nie. Ale na wszelki wypadek owiń dziecko w kilka grubszych ręczników i zapakuj jego pieluszki.

Prissy ciągle jeszcze czepiała się jej sukni i widać było tylko białka jej oczu. Scarlett odepchnęła ją znowu.

- Spiesz się! - krzyknęła.

Prissy czmychnęła jak królik.

Wiedziała, że teraz powinna uspokoić Melanię, wiedziała, że Mela jest pewnie przerażona do utraty zmysłów ogłuszającymi hukami, które słycać było bez przerwy, i luną świecą na niebie. Zdawać się mogło, że nastąpił koniec świata.

Nie mogła jednak zdobyć się na wejście do pokoju Meli już teraz. Zbiegła po schodach, aby zapakować porcelanę panny Pitty i trochę srebra, które zostawiła przed ucieczką do Macon. Kiedy jednak znalazła się w jadalni, ręce jej tak drżały, że stłukła trzy talerze. Wybiegła na ganek, aby znowu nasłuchiwać, znowu wróciła do jadalni i z hałasem zrzuciła teraz srebro na podłogę. Wypadało jej z rąk wszystko, czego dotknęła. W pośpiechu pośliznęła się na dywanie i upadła z hukiem, ale wstała momentalnie, tak że nawet nie zdała sobie sprawy z potłuczenia. Słyszała, że na górze Prissy miota się jak dzikie zwierzę, i odgłosy te zirytowały ją, bo biegała tak samo bez celu jak ona.

Po raz może dwunasty wybiegła na ganek, ale tym razem nie wróciła już do swego pakowania. Usiadła. Niemożliwe było, aby udało jej się cośkolwiek zapakować. Niemożliwe, aby cośkolwiek w ogóle robiła. Mogła tylko czekać z bijącym sercem na Retta. Zdawało jej się, że minęły już godziny, a on się nie zjawiał. Wreszcie daleko w ulicy usłyszała niemiły skrzyp nienaoliwionych osi i wolne, niepewne stąpanie kopyt końskich. Dlaczego nie jedzie szybciej? Dlaczego nie poganiam konia?

Odgłosy zbliżały się. Scarlett skoczyła na równe nogi i zawołała Retta po imieniu. Zobaczyła niewyraźnie, jak schodzi z kozła małego wozu, usłyszała szcęk zamka u bramy i wreszcie kroki. Po chwili ukazał się wyraźnie w świetle lampy. Ubrany był tak poprawnie, jak gdyby wybierał się na bal; nosił doskonale skrojone białe płócienne ubranie, haftowaną szarą kamizelkę jedwabną i koszulę o plisowanym gorsie. Szeroki kapelusz panamski siedział mu na głowie na bakier, a za pasek spodni zatknięte miał dwa obłożone kością słonową długie pistolety. W wypchanych kieszeniach marynarki miał naboje. Zbliżał się do domu sprężystym krokiem i piękną głowę trzymał jak pogański książę. Niebezpieczeństwa nocy, które Scarlett

doprowadziły do panicznego lęku, na niego podziałały jak narkotyki. Na ciemnej jego twarzy malowały się powściągane starannie dzikość i bezwzględność, które by przeraziły Scarlett, gdyby była dość przytomna, aby je zauważyć. Czarne jego oczy błyszczały, jak gdyby rozbawiony był tą całą sprawą, jak gdyby ogłuszające wybuchy i ponurą lunę traktował jak strachy dla małych dzieci. Scarlett rzuciła się ku niemu, gdy wszedł na schodki, śmiertelnie blada, z płonącymi gorączką oczyma.

- Dobry wieczór - powiedział przeciągając i zdjął szarmanckim gestem kapelusz. - Piękna dziś pogoda. Słyszałem, że wybiera się pani w podróż.

- Jeżeli zacznie pan teraz stroić żarty, nigdy więcej nie będę z panem rozmawiała - odpowiedziała drżącym głosem.

- Nie chce pani chyba powiedzieć, że się pani boi? - Udawał, że jest zdumiony, i uśmiechał się tak, że miała ochotę zepchnąć go od razu z wysokich schodków.

- A właśnie, że się boję! Boję się śmiertelnie i gdyby pan miał odrobinę rozumu, bałby się pan także. Nie mam jednak czasu na rozmowy. Musimy się stąd wydostać.

- Do usług łaskawej pani. Ale dokąd się pani właściwie wybiera? Przyjechałem tutaj z ciekawości, aby dowiedzieć się, jakie pani ma zamiary. Nie może pani jechać ani na północ, ani na wschód, ani na południe, ani na zachód, bo Jankesi są wszędzie dokoła. Jest tylko jedna droga, której nie zdążyli jeszcze zająć, i po niej właśnie cofa się armia. Droga ta. zresztą długo nie będzie wolna. Kawaleria generała Steve'a Lee walczy w ariergardzie pod Rough and Ready, aby powstrzymać wroga, dopóki nasze wojska nie przejdą. Jeżeli pojedzie pani za armią traktem McDonougha, zabiorą pani konia, a choć ta szkapa jest niewiele warta, miałem dużo kłopotu, zanim ją zdobyłem. Dokąd chce pani jechać?

Scarlett drżała i słuchała jego słów ledwie je słysząc. Teraz jednak w mgnieniu sekundy uświadomiła sobie. dokąd jedzie, poczuła, że przez cały ten straszny dzień wiedziała, dokąd chce pojechać. Do jedyne miejsce na świecie.

- Chcę jechać do domu - powiedziała.

- Do domu? Czy to znaczy do Tary?

- Tak, tak! Do Tary! Och, Rett, śpieszmy się teraz! Popatrzył na nią, jak gdyby myślał, że postradała zmysły.

- Do Tary? Boże miłosierny, Scarlett! Czy nie wie pani, że przez cały dzień toczyły się walki pod Jonesboro? Walczono na całej przestrzeni od Rough and Ready aż do środka miasta. Możliwe, że Jankesi są teraz koło Tary, możliwe że są w całym powiecie. Nikt nie wie, gdzie są w tej chwili, są jednak z pewnością w tamtych stronach! Nie może pani jechać do domu! Nie może się pani przedzierać przez linie jankeskie!

- Muszę jechać do domu! - zawołała. - Muszę! Muszę!

- Jest pani szalona - głos Retta zabrzmiał szorstko. - Nie może pani jechać w tamtą stronę. Jeżeli nawet uda się pani nie napotkać Jankesów, to lasy są pełne maruderów i dezertersów z obu armii. I wiele naszych oddziałów cofa się jeszcze z Jonesboro. Tak samo jedni jak drudzy zabiorą pani konia. Jedynym wyjściem jest pojechać za cofającym się wojskiem i modlić się, aby nie dostrzegli pani w ciemności. Do Tary nie może pani dotrzeć. Nawet gdyby pani tam dojechała, zastałaby pani dom w gruzach. Nie pozwolę pani jechać do domu. To czyste szaleństwo.

- Chcę jechać do domu! - wołała, a głos jej załamał się i potem podniósł w krzyk. - Chcę do domu! Nie zatrzyma mnie pan! Chcę do domu! Chcę do matki! Zabiję pana, jeżeli mnie pan zatrzyma! Chcę do domu!

Łzy przerażenia i zdenerwowania zaczęły spływać po jej twarzy, gdy wreszcie załamała się pod wpływem ciężkich przejść dnia. Biła Retta w piersi pięściami i znowu krzyczała - Pojadę! Pojadę! Albo nawet pójdę pieszo!

Nagle znalazła się w jego ramionach, mokry jej policzek oparł się o jego wykrochmaloną koszulę, bijące go ręce opadły. Rett gładził jej stargane włosy łagodnie, kojąco, i głos jego także brzmiał miękko. Tak łagodnie, tak spokojnie, tak naturalnie, bez drwin, że wcale się nie wydawał głosem Retta Butlera, ale jakiegoś miłego, silnego przyjaciela, który pachniał koniakiem i tytoniem - zapachami kojącymi, bo przypominały jej Geralda.

- Cicho, cicho, kochanie - mówił łagodnie. - Nie płacz. Pojedziesz do domu, moja mała, dzielna dziewczynko. Pojedziesz do domu, tylko nie płacz teraz.

Poczuła, że coś przesuwają się po jej włosach, i mimo wzburzenia zaczęła się zastanawiać, czy to mogą być jego usta. Był tak czuły, tak ją cudownie uspokajał, że chętnie by w jego ramionach pozostała na zawsze. Nic jej się z pewnością stać nie mogło, gdy otaczały ją ramiona tak silnego mężczyzny.

Rett poszperał w kieszeni, wyjął z niej chusteczkę i otarł oczy Scarlett.

- A teraz niech pani porządnie wyczyści nosek jak grzeczna dziewczynka - rozkazał z uśmiechem w oczach - i powie mi, co robić. Musimy się śpieszyć.

Posłusznie wydmuchała nos, drząc jeszcze ciągle, ale nie przychodziło jej na myśl, co by zrobić. Widząc, że wargi jej drżą, a oczy spoglądają na niego bezradnie, Rett przejął inicjatywę.

- Pani Wilkes już urodziła, prawda? Niebezpiecznie będzie ruszać ją teraz z miejsca, niebezpiecznie brać w długą drogę w tym koślawym wozie. Zostawimy ją lepiej u pani

Meade.

- Państwa Meade nie ma w domu. Nie mogę Meli zostawić.
- Dobrze więc. Ułożymy ją w wozie. Gdzie jest ta mała idiotka?
- Pakuje na górze kufer.

- Kufer? Nie może pani zabrać kufra do tego wozu. Ledwie pomieścicie się w nim wszyscy, a koła gotowe są odpaść lada chwila. Niech pani zawoła tę małą i każe jej położyć na dno wozu najmniejszy piernat, jaki jest w domu.

Scarlett wciąż jeszcze nie mogła zrobić kroku. Rett objął jej rękę w uścisku tak mocnym, że zdawało się, iż siła jego przepływa w ciało Scarlett. Gdybyż mogła być tak zimna i opanowana jak on! Pociągnął ją do hallu, ale i tam bezradnie spoglądała na niego i nie ruszała się z miejsca. Usta jego skrzywiły się drwiąco.

- Czy to pani jest tą bohaterską młodą damą, która zapewniała mnie, że nie boi się ani Boga, ani ludzi?

Wybuchnął nagle śmiechem i puścił ramię. Dotknięta, patrzyła na niego teraz z nienawiścią.

- Nie boję się wcale - rzekła.

- Ależ tak, boi się pani! Za chwilę gotowa pani zemdleć, a ja będę miał kłopot, bo nie mam przy sobie soli trzeźwiących.

W bezsilnej złości tupnęła tylko nogą, bo na nic innego nie mogła się zdobyć, i bez słowa wzięła lampę i poszła na górę. Rett szedł tuż za nią i Scarlett słyszała, jak śmieje się cicho do siebie. Śmiech jego dodał jej sił. Weszła do pokoju Wade'a, zastała go na kolanach Prissy, na wpół ubranego, znowu mającego napad czkawki. Prissy pochłipywała. Piernat na łóżku Wade'a był nieduży, kazała więc Prissy zanieść go na dół i położyć w wozie. Murzynka postawiła chłopca na ziemię i poszła, a Wade podreptał za nią, tak zainteresowany tym, co się dzieje, że przeszła mu czkawka.

- Chodźmy dalej - rzekła Scarlett kierując się do pokoju Melanii. Rett poszedł za nią z kapeluszem w ręce.

Melania leżała spokojnie, nakryta kołdrą aż po sam podbródek. Twarz miała śmiertelnie bladą, ale oczy jej, wpadnięte i bardzo podkrążone, były już pogodne. Nie okazała zdziwienia na widok Retta w swoim pokoju. Przyjęła to jako rzecz zrozumiałą. Starła się uśmiechnąć, ale uśmiech zamarł na jej wargach.

- Jedziemy do domu, do Tary - tłumaczyła Scarlett pośpiesznie. - Jankesi zbliżają się do miasta. Rett nas stąd zabiera. To jedyny ratunek, Melu.

Melania lekko i z wysiłkiem skinęła głową, po czym wskazała na dziecko. Scarlett

wzięła maleństwo na ręce i owineła je szybko w gruby ręcznik. Rett zbliżył się do łóżka.

- Będę się starał nie urazić pani - rzekł spokojnie, owijając Melę kołdrą. - Niech pani spróbuje objąć mnie za szyję.

Melania spróbowała, ale opadły jej ręce. Rett pochylił się, podłożył ramię pod jej plecy, drugie pod kolana, i podniósł ją ostrożnie. Nie krzyknęła, choć Scarlett widziała, że zagryza wargi z bólu i jeszcze bardziej blednie. Kiedy Scarlett podniosła wysoko lampę, aby poświecić Rettowi, i skierowała się ku drzwiom, Melania słabym gestem wskazała na ścianę.

- O co chodzi? - zapytał Rett cicho.

- Proszę - wyszeptała Melania starając się określić, o co jej chodzi. - Karolek.

Rett popatrzył na nią, jak gdyby zdawało mu się, że majaczy, ale Scarlett zrozumiała i rozzłościła się. Wiedziała, że Melania ma na myśli dagerotyp Karola, wiszący na ścianie pod jego szablą i pistoletem.

- Proszę - wyszeptała znowu Melania - szabla.

- Och, dobrze już - rzekła Scarlett i poświeciwszy Rettowi na schodach zawróciła i zdjęła z gwoźdźca szablę i pas z pistoletem. Trudno jej było znieść wszystko to na dół, a w dodatku jeszcze lampę i dziecko. Charakterystyczne dla Melanii było, że wcale nie była przejęta swoim stanem i niebezpieczeństwem ze strony Jankesów, którzy byli tuż, tuż, a troskała się o pamiątki po Karolu.

Kiedy Scarlett zdejmowała dagerotyp ze ściany, spojrzała z ukosa na twarz Karola. Wzrok jej spoczął na jego dużych piwnych oczach. Zatrzymała się na chwilę, aby lepiej mu się przypatrzeć. Więc to ten człowiek był jej mężem, spłodził z nią dziecko o oczach tak łagodnych i piwnych jak swoje... Mimo to, ledwie go pamiętała. Niemowlę na jej ręku wyciągało małe piąstki i cicho kwiliło, popatrzyła więc na nie. Po raz pierwszy uświadomiła sobie, że jest to dziecko Ashleya, i nagle resztkami sił pożałowała, że nie jest dzieckiem jej i Ashleya.

Prissy wbiegła właśnie na górę, więc Scarlett dała jej maleństwo. Zeszły pośpiesznie; lampa rzucała na ściany chybotliwe cienie. W hallu Scarlett zauważyła jakiś czepek, włożyła go więc zawiązując nerwowo wstążki pod brodą. Był to żałobny czepek Melanii, za mały na Scarlett, nie mogła sobie jednak przypomnieć, gdzie się podział jej własny.

Wyszła z domu niosąc lampę i starając się tak trzymać szablę, aby jej nie obijała nóg. Melania leżała już wyciągnięta w tyle wozu, obok niej był Wade i owinięte ręcznikiem niemowlę. Prissy weszła na wóz i wzięła dziecko na ręce.

Wóz był mały i boczne siedzenia bardzo wąskie. Koła wykrzywione były do wewnątrz. Wydawało się, że za pierwszym obrotem zupełnie odpadną. Scarlett spojrzała na konia i serce

jej zamarło. Było to małe, wyniszczone stworzenie, stojące z łbem spuszczone nisko, prawie dotykającym przednich nóg. Na grzbiecie miało rany i odparzenia i oddychało głośno i z trudem.

- Niezbyt wspaniały rumak, prawda? - zaśmiał się Rett. - Wygląda, jak gdyby miał zdechnąć przy dyszlu. Ale lepszego nie było. Kiedyś opowiem pani szczegółowo i barwnie, gdzie i jak go ukradłem i jak uniknąłem rozstrzelania. Tylko oddanie dla pani mogło mnie skłonić do tego, abym w obecnym stadium swojej kariery życiowej został koniokradaem - i to w dodatku złodziejem takiego konia. Pomogę pani wsiąść.

Wziął z rąk Scarlett lampę i postawił ją na ziemi. Przednie siedzenie zrobione było z wąskiej deski, opartej o boki wozu Rett podniósł Scarlett i posadził ją w wozie. „Jaka to wspaniała rzecz być mężczyzną tak silnym jak Rett” - pomyślała obciągając szeroką suknię. Z Rettem u boku nie bała się niczego - ani ognia, ani huków eksplozji, ani nawet Jankesów.

Z kolei Rett wdrapał się na kozioł i wziął lejce do rąk.

- Och, niech pan poczeka! - zawołała Scarlett. - Zapomniałam zamknąć frontowe drzwi.

Wybuchnął grzmiącym śmiechem i lekko uderzył konia po grzbiecie.

- Z czego się pan śmieje?

- Z pani, że chce pani zamknąć dom przed Jankesami - rzekł.

Koń ruszył z miejsca powoli i niechętnie. Lampa na chodniku paliła się nadal tworząc mały krążek światła, który zmniejszał się i nikił, w miarę jak się oddalali.

Rett skierował wolno poruszającego się konia na zachód od ulicy Brzoskwiniowej. Wywrotny wózek skakał po wyboistej drodze z taką gwałtownością, że Mela wydała stłumiony jęk. Ciemne drzewa łączyły swe gałęzie nad głowami jadących, ciemne milczące domy wynurzały się po obu stronach drogi, a białe sztachety parkanów błyszczały blado jak rzędy płyt grobowych. Wąska ulica była jak ponury tunel, ale poprzez sklepienie z gęstych liści przeświecała straszna czerwień łuny, a po ciemnej drodze cienie goniły się jak oszalałe widma. Zapach dymu stawał się coraz silniejszy, gorący powiew przynosił zgłęb głośm ze środka miasta, wrzaski, turkotanie ciężkich furgonów wojskowych i bezustanny tupot maszerujących stóp. Gdy Rett ściągnął konia i skierował go w inną ulicę, nowy ogłuszający wybuch rozdarł powietrze i olbrzymia rakieta płomieni i dymu wytrysnęła na zachodzie.

- To pewnie ostatni ładunek amunicji z pociągu - rzekł Rett spokojnie. - Dlaczego ci głupcy nie wysadzili tego rano? Mieli dość czasu. Wszystko się bardzo źle dla nas składa. Sądziłem, że okrążając centrum miasta ominiemy ogień i pijany motłoch na ulicy Dekatur i przedostaniemy się bezpiecznie na południowy wschód miasta. Musimy jednak w jakiś sposób przejechać przez ulicę Marietty, a wybuch ten, jak mi się zdaje, był właśnie w tamtej

stronie.

- Czy trzeba przejechać przez ogień? - zapytała Scarlett z drzeniem.

- Jeżeli się pośpieszymy, unikniemy tego może - odrzekł Rett i zeskoczywszy z wozu znikł w ciemnym jakimś podwórzu.

Kiedy wrócił, niósł w ręku gałąź, którą zaczął bezlitośnie smagać poraniony grzbiet zwierzęcia. Koń ruszył ciężkim kłusem, dysząc głośno. Wóz szarpnął się nagle z miejsca tak silnie, że wszyscy wstrząsnęli się jak ziarna maku w makówce. Niemowlę zapłakało. Prissy i Wade krzyknęli uderzając o siebie głowami. Melania nie wydała głosu.

Kiedy zbliżyli się do ulicy Marietty, drzewa zaczęły się przeredzać. Wysokie płomienie, szalejące nad budynkami, oświetliły ulicę i domy jaśniej niż w dzień, rzucając potworne cienie, rozwichrzone jak żagle statku tonącego podczas burzy.

Scarlett szczykała zębami, ale bała się tak bardzo, że nawet wcale nie zdawała sobie z tego sprawy. Było jej zimno i drżała, chociaż żar płomieni dawał się już we znaki na twarzach. Znalazła się w piekle. Gdyby mogła opanować drżenie kolan, zeskoczyłaby z wozu i z krzykiem zawróciłaby po ciemnej drodze do przystani cichego domu ciotki Pitty. Przynurła się bliżej do Retta, objęła go za ramię trzęsącymi się palcami i patrzyła na niego w oczekiwaniu jakiegoś słowa pociechy, uspokojenia. Na tle koszmarnego, purpurowego blasku, który ich otaczał, ciemny jego profil rysował się czysto jak rzeźba na antycznej monecie, okrutny, przerafinowany. Za dotknięciem Scarlett odwrócił się ku niej i oczy jego zaświeciły blaskiem nie mniej przerażającym od łuny. Wydał się Scarlett tak podniecony i pełen wzdury dla niebezpieczeństwa, jak gdyby czerpał z niej przyjemność, jak gdyby miłe mu było inferno, do którego się zbliżali.

- Proszę - rzekł kładąc rękę na jednym z pistoletów za pasem. - Jeżeli ktokolwiek, biały czy czarny, podejdzie do wozu od pani strony i będzie chciał wstrzymać konia, niech pani strzela, o nic nie pytając. Ale na Boga, niech pani w zdenerwowaniu nie strzeli w tę szkapę.

- Ja... ja mam własny pistolet - wyszeptała sięgając po broń ukrytą za stanikiem, zupełnie pewna, że jeżeliby nawet śmierć zajrzała jej w oczy, będzie zbyt przerażona, aby pociągnąć za cyngiel.

- Ma pani pistolet? A skąd?

- Należał do Karola.

- Do Karola?

- Tak, do Karola... mego męża.

- Czy pani naprawdę miała męża, droga Scarlett? - wyszeptał Rett i roześmiał się cicho. Dlaczego nie mógł nigdy być poważny? Czemu się nie śpieszył?!

- Skąd więc wzięłabym dziecko! - zawołała ze złością.
- Och, na to jest tyle sposobów...
- Niech się pan wreszcie uspokoje i pojedzie prędzej!

Rett jednak nagle wstrzymał konia. Byli już prawie na ulicy Marietty, w cieniu jakiegoś składu, jeszcze nie tkniętego przez płomień.

- Prędzej! - Było to jedyne słowo, które teraz pamiętała. - Prędzej! Prędzej!
- Żołnierze idą - powiedział.

Oddział szedł ulicą Marietty, między płonącymi budynkami wolno, ze zmęczeniem, trzymając karabiny byle jak; głowy mieli pochylone nisko, byli zbyt znużeni, aby się śpieszyć, zbyt znużeni, aby zwracać uwagę, czy spadną na nich płonące belki, czy będzie ich dusił dym. Nosili łachmany; byli tak obdarci, że oficerów od szeregowców odróżniało się tylko po obszarpanym rondzie kapelusza, przytrzymanym szpilką z girlandką „A.K.P.”¹. Wielu żołnierzy nie miało butów. Inni na głowach czy rękach nosili brudne bandaże. Przeszli nie patrząc w prawo ani w lewo, tak cicho, że gdyby nie odgłos kroków, mogliby się wydawać oddziałem duchów.

- Niech się im pani dobrze przyjrzy - zabrzmiał drwiący głos Retta - aby mogła pani opowiedzieć swoim wnukom, że widziała pani ariergardy naszej świętej sprawy w rozsypce.

Scarlett poczuła nagle, że nienawidzi Retta, nienawidzi tak mocno, że uczucie to w jednej chwili zwyciężyło strach, który wydał jej się teraz mały i nieważny. Wiedziała, że ocalenie jej i pozostałych osób w wozie zależy wyłącznie od niego, ale znenawidziła go za kpiny z wymizerowanych żołnierzy. Pomyślała o Karolu, który nie żył, o Ashleyu, który może także już umarł, o tych wszystkich dzielnych i wesołych młodzieńcach, którzy gnili w płytkich grobach, i zapomniała, że i ona także uważała ich kiedyś za głupców, Nic nie powiedziała, ale nienawiść i wstręt zapłonęły w spojrzeniu, którym obrzuciła Retta.

Kiedy mijali ich ostatni żołnierze, mały chłopak w ostatnim szeregu, wlokący karabin po ziemi, zachwiał się, zatrzymał i popatrzył za towarzyszami z twarzą tak otępiałą ze zmęczenia, że wyglądał jak lunatyk. Był tego wzrostu co Scarlett, tak drobny, że karabin wydawał się niemal większy od niego. Na brudnej twarzy nie miał zarostu. „Najwyżej szesnaście lat - pomyślała Scarlett - pewnie jest członkiem gwardii albo zbiegłym do wojska uczniem”.

¹ A. K. P. - Armia Konfederacji Południa.

Nagle, gdy mu się tak przypatrywała, pod chłopcem kolana załamały się i osunął się w piasek. Dwaj żołnierze odłączyli się bez słowa od ostatniego szeregu i zawrócili ku niemu. Jeden, wysoki i szczupły, o czarnej brodzie, spływającej do pasa, w milczeniu podał własny karabin i karabin chłopca drugiemu. Potem pochylił się i zarzucił sobie chłopca na ramię ze zręcznością atlety. Wolno poszedł za swoim oddziałem, pochyłony pod ciężarem niedorostka, który słaby, rozwścieczony jak dziecko, któremu starsi dokuczają, krzychał:

- Puść mnie, psiakrew! Puść mnie! Chcę iść sam!

Brodaty mężczyzna nic nie odpowiedział i mozolił się dalej, aż wreszcie znikł za zakrętem drogi.

Rett siedział cicho, luźno trzymając lejce, i patrzył za żołnierzami z dziwnym wyrazem twarzy. Naraz rozległ się w pobliżu trzask spadających belek i Scarlett ujrzała cienki język ognia, wzbijający się z dachu magazynu, w którego cieniu się kryli. Po chwili płomienie, rozwiane triumfalnie jak sztandary na wietrze, strzeliły wysoko w niebo. Dym zaczął ją dławić, Wade i Prissy kaszlali. Noworodek kichał cichutko.

- Och, na Boga, Rett! Czy pan oszalał! Prędzej! Prędzej!

Rett nic nie odpowiedział, tylko zdzielił konia gałęzią tak silnie, że nieszczęsne zwierzę pognało naprzód. Z największą szybkością, na jaką stać było konia, podskakiwali po wybojach ulicy Marietty. Przed nimi otwierał się tunel ognia, bo płonęły budynki po obu stronach krótkiej, wąskiej uliczki, prowadzącej do toru kolejowego. W nią teraz wjechali. Blask silniejszy od tuzina słońc oślepił ich oczy, żar palił im skórę, a trzaski i łaskoty szumiały boleśnie w uszach. Całą wieczność, jak im się zdawało, przebyli pośród piekła płomieni; po chwili znowu ogarnął ich półmrok.

Kiedy gnali po ulicy, a potem podskakiwali po szynach kolejowych, Rett machinalnie podcinał konia batem. Twarz miał spokojną i obojętną, jak gdyby zapomniał, gdzie się znajduje. Szerokie ramiona podał do przodu; podbródek wysunięty miał naprzód; zdawał się myśleć o czymś nieprzyjemnym. W spiekocie pożaru pot wystąpił mu na czoło i policzki, ale nie ocierał go wcale.

Wjechali w inną ulicę, potem jeszcze w inną, skręcali i kluczyli z jednej ulicy w drugą, aż Scarlett zupełnie straciła orientację. Szum płomieni ucichł za nimi. Rett wciąż jeszcze nic nie mówił, tylko regularnie smagał konia batem. Czerwona luna na niebie bladła teraz, droga stała się więc podwójnie ciemna i przerażająca. Scarlett marzyła, żeby Rett się odezwał, powiedział cokolwiek, choćby nawet drwinami lub docinkiem. On jednak milczał uparcie.

Mimo że nic nie mówił, dziękowała Bogu za jego obecność przy niej. Dobrze było mieć przy swoim boku mężczyznę, opierać się o niego, wyczuwać twarde mięśnie ramion i

wiedzieć, że osłania ją przed niezliczonymi niebezpieczeństwami, choć siedzi spokojnie i patrzy w milczeniu przed siebie.

- Rett - wyszeptała chwytając go za ramię - co bym ja poczęła bez pana? Jestem szczęśliwa, że pan nie poszedł do wojska!

Odwrócił głowę i rzucił na nią takie spojrzenie, że opuściła rękę i odsunęła się od niego. W oczach jego nie było już szyderstwa. Były teraz nagie - malował się w nich ból i dziwne jakieś zmieszanie. Zagryzł wargi i odwrócił głowę. Przez długą chwilę jechali znowu w milczeniu, przerywanym tylko słabym kwileniem dziecka i sapaniem Prissy. Nie mogąc dłużej znieść tego odgłosu, Scarlett odwróciła się i złośliwie uszczypnęła Murzynkę, tak że dziewczyna krzyknęła głośno, a potem zapadła w przerażone milczenie.

Wreszcie Rett skręcił konia pod kątem prostym; po chwili znaleźli się na szerszej, równiejszej drodze. Niewyraźne kontury domów rysowały się w coraz większej od siebie odległości. Po obu stronach szosy wyrosły ściany lasu.

- Jesteśmy za miastem - rzekł Rett krótko, ściągnając lejce - na głównej szosie do Rough and Ready.

- Niech pan jedzie! Nie zatrzymujmy się.

- Koń musi wytchnąć chwilę. - Potem odwrócił się ku niej i zapytał z namysłem - Scarlett, czy w dalszym ciągu zamierza pani zrobić to szaleństwo?

- Jakie szaleństwo?

- Czy jeszcze ciągle chce się pani przedostać do Tary? To przecież samobójstwo. Kawaleria generała Lee i armia jankeska dzielą panią od niej.

Och, dobry Boże! Czyżby nie chciał jej zabrać do domu, teraz, po wszystkim, co przecierpiała w tym strasznym dniu?

- Ależ tak! Tak! Chcę do domu! Błagam pana, niech się pan pośpieszy. Koń nie jest jeszcze zmęczony.

- Chwileczkę, z łaski swojej. Tą drogą nie może pani dojechać do Jonesboro. Nie może pani jechać równolegle do toru kolejowego. Walki toczyły się przez cały dzień na południe od Rough and Ready. Czy zna pani inne jakieś drogi czy ścieżki, które nie przechodzą przez Rough and Ready ani przez Jonesboro?

- O, tak! - zawołała Scarlett z ulgą. - Blżej Rough and Ready znam dróżkę, która prowadzi w bok od szosy do Jonesboro, przez całe mile. Jeździłam po niej konno z papą. Przechodzi koło majątku MacIntoshów, a to jest tylko o milę od Tary.

- Dobrze. Może wobec tego uda się pani ominąć Rough and Ready. Generał Lee był tam dziś po południu i stamtąd poprowadził odwrót. Możliwe że Jankesów jeszcze tam nie

ma. Może uda się pani przedostać tak, aby ludzie generała Lee nie zabrali pani konia.

- Mnie... mnie uda się przedostać?

- Tak, pani. - Głos Retta zabrzmiał szorstko.

- Ależ Rett... Pan... Czy pan z nami nie jedzie?

- Nie. Zostawiam was tutaj.

Scarlett rozejrzała się spokojnie dokoła. Popatrzyła na sine niebo nad głowami, na ciemne drzewa po obu stronach drogi, osaczające ich jak mury więzienia, na wystraszone postacie w tyle wozu - i wreszcie na Retta. Czy on oszalał? Czy też źle go zrozumiała?

Rett uśmiechał się teraz. Dostrzegła w niejasnym świetle białe jego zęby. Dawna ironia znowu czaiła się w jego oczach.

- Zostawia nas pan? Dokąd, dokąd pan idzie?

- Z wojskiem, droga pani.

Odetchnęła z ulgą i z irytacją. Dlaczego żarty muszą go się trzymać nawet w takiej chwili? Rett idzie do wojska! Po tym, co mówił o głupcach, których zwabia do szeregów bicie w bębny i puste słowa mówców - o głupcach, którzy zabijają się nawzajem, aby mądrzy ludzie robili na tym majątki!

- Och, mogłabym pana zadusić, że tak mnie pan nastraszył!

- Ja nie żartuję, droga Scarlett. I przykro mi bardzo, że nie ocenia pani mojej odwagi właściwiej. Gdzież pani patriotyzm i miłość dla świętej naszej sprawy? Teraz nadarza się pani jedyna sposobność powiedzenia mi, abym wracał z tarczą lub na tarczy. Ale niech się pani śpieszy, bo chcę mieć czas na mowę pożegnalną, zanim ruszę w bój.

Przeciągły jego głos był pełen kpiny. Drwił z niej znowu, ale czuła, że tym razem kpi także z samego siebie. O czym on mówił? O patriotyzmie, tarczy, mowach pożegnalnych? Niemożliwe przecież, aby mówił serio. Nie do uwierzenia, że tak swobodnie mówi o zostawieniu jej na ciemnej drodze - z kobietą, która może już w tej chwili umiera, z nowo narodzonego dzieckiem, głupią czarną dziewczuchą i przerażonym malcem - że chce zdać na nią ciężar przeprowadzenia ich przez całe mile pobojuwisk, przez rzesze maruderów, Jankesów, przez ogień i Bóg wie co jeszcze.

Kiedyś, gdy miała sześć lat, spadła z drzewa płasko na brzuch. Dokładnie przypominała sobie dotąd niemłą chwilę, zanim znowu odzyskała oddech. Teraz, gdy patrzyła na Retta, czuła się tak samo jak wtedy. Była bez tchu, oszołomiona i zbierało jej się na mdłości.

- Rett! Pan chyba żartuje!

Chwyciła go za ramię. Czuła, że łyzy przerażenia spadają jej na dłoń. Rett podniósł jej rękę do ust i lekko pocałował.

- Egoistka do końca, prawda? Myśli pani tylko o swojej cennej skórze ani trochę o walecznej Konfederacji. Niech pani pomyśli, jak nasze wojska będą zbudowane moim zjawieniem się pięć minut przed północą.

W jego głosie brzmiała złośliwa czułość.

- Och, Rett - płakała - jak pan może coś podobnego zrobić? Dlaczego mnie pan opuszcza?

- Dlaczego? - zaśmiał się serdecznie. - Maże z powodu głupiego sentymentalizmu, który kryje się w sercach nas wszystkich, południowców. Może, może dlatego, że się wstydzę? Któż to może wiedzieć?

- Wstydzi się pan? Powinien pan umrzeć ze wstydu. Zostawia nas pan tutaj same, bezradne...

- Droga Scarlett! Pani nie jest bezradna. Osoba tak samolubna i energiczna jak pani nigdy nie jest bezradna. Niech Bóg ma w swojej opiece Jankesów, w których ręce pani wpadnie.

Zsiadł nagle z wozu. Ponieważ Scarlett przyglądała mu się osłupiała że zdumienia, obszedł wóz dookoła i zbliżył się do niej.

- Niech pani zsiądzie - rozkazał.

Popatrzyła na niego, nic nie mówiąc. Wyciągnął ręce, wziął ją silnie pod pachy i postawił na ziemi koło siebie. Pociągnął ją parę kroków za wóz. Czowała, jak kurz i żwir wpadają jej w pantofle i ranią stopy. Cicha, gorąca ciemność ogarnęła ją jak sen.

- Nie chcę wcale, aby mnie pani rozumiała czy przebaczyła. Nie zależy mi na tym ani trochę, bo nigdy sam sobie nie wybaczę tego idiotyzmu ani go nie zrozumiem. Zły jestem, że tyle donkiszoterii kryje się jeszcze we mnie. Ale piękny nasz kraj potrzebuje teraz każdego mężczyzny. Czy nie to mówił nasz dzielny gubernator Brown? Wszystko zresztą jedno. Idę na wojnę. - Zaśmiał się nagle swobodnym, gromkim śmiechem, który zbudził echa w ciemnym lesie.

- „Nie mógłbym cię kochać, najdroższa, tak mocno, gdybym honoru nie kochał więcej”. To stosowna cytata, prawda? Na pewno lepsza od wszystkich słów, jakie sam mógłbym wymyślić w tej chwili. Bo kocham cię, Scarlett, mimo że owej nocy na ganku nie chciałem się do tego przyznać.

Głos jego brzmiał pieszczotliwie. Dłońmi, które były ciepłe i mocne, powiódł po jej nagich ramionach. - Kocham cię, Scarlett, za to, że jesteś tak bardzo do mnie podobna... Za to, że oboje jesteśmy renegatami i egoistami. Żadne z nas nie dba o to, czy świat idzie na psy, byle nam było dobrze i przyjemnie.

W ciemności mówił coś dalej i Scarlett słyszała słowa, ale nie chwytiała ich sensu. Z trudem uświadamiała sobie, że Rett zostawia ją tutaj samą, w obliczu niebezpieczeństwa Jankesów. Powtarzała sobie w myślach: „Zostawia mnie samą. Opuszcza mnie”. Ale nie budziło to w niej żadnego wzruszenia.

Rett otoczył rękoma jej stan i ramiona, poczuła twarde mięśnie jego ud przy swoim ciele; guziki marynarki gniotły jej piersi. Gorąca fala namiętności, przerażającej, ogłuszającej, ogarnęła ją teraz każąc zapomnieć o czasie, miejscu i okolicznościach. Poczowała się bezwładna jak lalka z gałganków, gorąca, słaba i bezbronna. Ramiona Retta były kojące.

- Czy nie chciałabyś zmienić zdania o tym, co ci proponowałem miesiąc temu? Nic tak nie dodaje animuszu jak niebezpieczeństwo i śmierć. Bądź dobrą patriotką, Scarlett. Pomyśl o tym, że żołnierzowi idącemu na śmierć należą się piękne wspomnienia.

Całował ją teraz i wąsy jego łechtaly ją po ustach - całował ją wolno, gorącymi wargami, które tak były leniwe, jak gdyby mieli przed sobą jeszcze długą noc. Karol nigdy jej tak nie całował. Pocałunki Tarletonów czy Calvertów nigdy nie doprowadzały jej do takiego stanu, że drżała i że było jej na przemian gorąco i zimno. Rett odchylił jej ciało do tyłu; wargi jego powędrowały po jej szyi do miejsca, gdzie duża kamea zdobiła stanik. - Najdroższa moja - szeptał. - Najdroższa.

Nagle zobaczyła wóz ciemniejszy na drodze i usłyszała ostry głosik Wade'a:

- Mamo! Wade się boi!

Od razu, w jednej chwili, wróciła jej przytomność. Przypomniała sobie z dreszczem to, o czym zapomniała na chwilę - że sama także się boi i że Rett opuszcza ją, że ją ten przekłety łotr opuszcza. I mimo to ma jeszcze czoło stać tu na środku drogi i obrażać ją nikczemnymi propozycjami! Wściekłość i nienawiść wezbrała w niej znowu. Wyprostowała się i jednym ruchem wyrwała z jego objęć.

- Och, ty łotrze! - zawołała i gorączkowo zaczęła szukać gorszych jeszcze wyzwisk, jakimi Gerald obdarzał pana Lincolna, MacIntoshów lub narowiste muły, ale żadne słowa nie przychodziły jej na myśl. - Ty wstrętny, nikczemny, tchórzliwy człowieku! - A ponieważ nie mogła wymyślić nic dostatecznie obraźliwego, wyciągnęła rękę i uderzyła go po ustach z całą siłą, na jaką ją było stać. Rett cofnął się o krok i podniósł dłoń do twarzy.

- Ach - powiedział spokojnie. Nic nie mówiąc patrzyli przez chwilę na siebie w ciemności. Scarlett słyszała ciężki oddech Retta i sama dyszała ciężko, jak po długim biegu.

- Mieli rację! Wszyscy mieli rację! Nie jesteś dżentelmenem!

- Moja droga Scarlett - powiedział - jakie to nie na czasie!

Wiedziała, że kpi z niej znowu, i myśl ta dodała jej bodźca.

- Idź teraz! Idź już! Spiesz się. Nie chcę cię nigdy więcej w życiu oglądać. Mam nadzieję, że trafi cię kula armatnia i rozerwie w milion kawałków. Nie...

- Daj spokój reszcie. Rozumiem mniej więcej, co chcesz powiedzieć. Mam nadzieję, że będziesz miała wyrzuty sumienia, kiedy życie swoje złożę w ofierze na ołtarzu ojczyzny.

Słyszała, że śmieje się idąc w stronę wozu. Widziała, jak zatrzymał się. Słyszała, że coś mówił, ale głos jego był teraz zmieniony, uprzejmy i pełen szacunku, jak zwykle, gdy zwracał się do Melanii.

- Pani Wilkes?

Odpowiedział mu z wnętrza wozu przerażony głos Prissy:

- O, Boże, panie kapitanie! Pani Mela zemdląca już dawno temu!

- Czy żyje? Czy oddycha?

- Tak, proszę pana, oddycha.

- Wobec tego, to lepiej dla niej. Gdyby była przytomna, nie wiem, czy zniosłaby ten ból. Opiekuj się nią dobrze, Prissy. Masz tu parę groszy. Staraj się już bardziej nie zgłupieć.

- Dobrze, p'sze pana. Dziękuję panu.

- Do widzenia, Scarlett.

Wiedziała, że odwrócił się ku niej i patrzył na nią, ale nic nie powiedziała. Dławiła ją nienawiść. Słyszała kroki jego oddalające się po żwirze drogi i przez chwilę widziała zarys jego ramion w ciemności. Potem znikł. Kroki jego przycichły. Zapadła cisza. Wróciła wolno do wozu, a kolana ugięły się pod nią.

Dlaczego Rett odszedł w ciemność, w bój za sprawę dawno przegraną, w świat, który oszalał? Dlaczego poszedł on, który lubił wino i kobiety, dobre jedzenie i miękkie łóżka, cienką bieliznę i delikatną skórę, on, który nienawidził Południa i wykpiwał głupców, którzy za nie walczyli? Teraz w swoich lakierowanych butach udał się w drogę, na której panował głód, czekały go ciężkie trudy, strapienia a mógł też zostać ranny. U kresu tej drogi była śmierć. Nie powinien był iść. Był bogaty, lubił komfort i wygodę. Poszedł jednak, zostawiając ją samą pośród nocy ciemnej jak ślepoty, w drodze do domu, od którego dzieliła ją armia jankeska. Teraz dopiero przyszły jej na myśli wyzwiska, jakimi chciała go obrzucić. Było jednak za późno. Oparła głowę o pochylony łeb konia i zaczęła płakać.

ROZDZIAŁ XXIV

Jasny blask porannego słońca, przeciekający przez gałęzie drzew, zbudził Scarlett. Sztywna jeszcze od niewygodnej pozycji, w jakiej spała, nie mogła sobie przez chwilę przypomnieć, gdzie się znajduje. Słońce oślepiało ją, twarde deski wpijały jej się w ciało, na nogach zaś leżał jakiś wielki ciężar. Starając się usiąść, przekonała się, że ciężarem tym był Wade, śpiący z głową opartą o jej kolana. Nagie stopy Melanii dotykały prawie jej twarzy; pod siedzeniem wozu leżała Prissy, skulona jak czarny kot, między nią zaś a Wade'em wciśnięte było niemowlę.

Naraz uświadomiła sobie wszystko. Poderwała się do pozycji siedzącej i szybko rozejrzała dokoła. Dzięki Bogu, nie widać Jankesów! Kryjówka jej nie została w nocy odkryta! Przypomniało jej się teraz wszystko: koszmarna jazda od chwili, gdy kroki Retta ucichły na drodze, nie kończąca się noc, mroczna droga, pełna wybojów, po których wóz podskakiwał, głębokie rowy po obu jej stronach, w które zapadał; wariacka, spotęgowana strachem siła, z jaką ona i Prissy wydobywały z nich koła. Z nagłym dreszczem wspominać zaczęła, ile to razy skręcała w pola i lasy, słysząc kroki żołnierzy i nie wiedząc, czy to wrogowie, czy swoi - przypomniawszy sobie obawę, aby chrząknięcie, kichnięcie lub czkawka Wade'a nie zdradziły ich obecności maszerującym oddziałom.

Ach, ta ciemna droga, po której ludzie sunęli jak duchy, rozmawiając szeptem - a słyhać było tylko człapanie nóg po piasku, szcęknięcie uprzęży, skrzyp siodeł. I, ach, ów straszny moment, gdy chory koń zaparł się, a kawaleria i lekka artyleria minęły ich w ciemności, tuż tuż, tak blisko, że wyciągnąwszy rękę można by dotknąć żołnierzy, tak blisko, że czuła zapach ich spoconych ciał!

Kiedy wreszcie zbliżyła się do Rough and Ready, dostrzegła nieliczne ogniska obozu ariergardy Steve'a Lee, oczekującej rozkazu odwrotu. Scarlett krążyła po jakimś zaoranym polu, dopóki odblask ognisk nie znikł za nią. Potem błądziła w ciemności i płakała, bo nie mogła odnaleźć wąskiej drogi polnej, którą znała tak dobrze. Kiedy ją wreszcie odnalazła, koń upadł i nie chciał się ruszyć, nie chciał nawet wstać, mimo że obie z Prissy ciągnęły go za uzdę.

Musiła go wyprząc. Wgramoliła się nieprzytomna ze zmęczenia na tył wozu i wyciągnęła zbolale nogi. Pamiętała niejasno, że zanim sen skleił jej powieki, usłyszała głos Melanii, słaby głosik, który prosił nieśmiało: - Scarlett, czy mogłabym dostać trochę wody?

Odpowiedziała: - Nie ma wody - i zasnęła, zanim słowa te przebrzmiały.

Teraz był ranek, świat był spokojny i pogodny - zielony i złoty od plam słonecznego światła. I nigdzie nie było widać żołnierzy. Scarlett była głodna, w gardle jej zaschło z pragnienia, członki miała obolałe i pokurczone i nie posiadała się ze zdumienia, że ona, Scarlett O'Hara, która potrafiła spać tylko na najcieńszym płótnie i najmniejszym piernacie, spędziła noc jak wyrobnica - na twardych deskach.

Oślepiąca jeszcze światłem, spojrzała na Melanię i omal nie krzyknęła z przerażenia. Melania leżała bez ruchu, tak blada, jakby już nie żyła. Wyglądała jak trup. Trup starej kobiety o zniszczonej twarzy i zmierzwionych włosach. Po chwili jednak z uczuciem ulgi przekonała się, że pierś jej wznosi się i opada w takt płytkich oddechów: Melania przeżyła tę straszliwą noc.

Ocieniła dłonią oczy i rozejrzała się dokoła. Spędziły najwidoczniej noc pod drzewami czyjegoś ogrodu, bo przed sobą widziała wysypaną żwirem i piaskiem ścieżkę skręcającą w aleję cedrów.

„Ależ to jest przecież dwór Mallorych!” - pomyślała i serce jej zabiło z radości na myśl o znajomych.

Nad plantacją wisiała jednak grobowa cisza. Trawa i karłowate krzaki porozcinane były kopytami i kołami, zdeptane tysiącem stóp; ziemia była stratowana. Popatrzyła w stronę domu, ale zamiast starego budynku o białych okiennicach, który znała tak dobrze, ujrzała długi prostokąt szerniałych fundamentów i dwa wysokie kominy z przydymionych cegieł, wystające między osmalonymi liśćmi drzew.

Westchnęła z drżeniem. Czy i Tarę znajdzie zrównaną z ziemią, pograżoną w śmiertelnej ciszy?

- Nie mogę teraz o tym myśleć - rzekła spieszenie do siebie. - Nie mogę sobie pozwolić na takie myśli. Znowu zacznę się bać, gdy będę o tym myślała. - Ale mimo woli serce jej zaczęło walić, a każde jego uderzenie zdawało się mówić: - Do domu! Prędko! Do domu! Prędko!

Powinna ruszyć natychmiast. Przede wszystkim jednak trzeba się postarać o jedzenie i wodę, głównie o wodę. Mocnym szturchnięciem zbudziła Prissy. Dziewczyna zaczęła wywracać oczyma, rozglądając się dokoła.

- O Boże, Miss Scarlett, myślałam już, że się zbudzę w Ziemi Obiecanej!

- Jeszcze jesteś stamtąd daleko - rzekła Scarlett przyglądając sobie włosy. Twarz miała wilgotną, a ciało już znowu pokryte potem. Czowała się brudna, niechlujna i lepka, wydawało jej się, że śmierdzi. Suknie miała zmięte i wygniecione, ponieważ w nich spała. Nigdy dotąd, w całym swoim życiu, nie czuła się bardziej zmęczona i zboląta. Mięśnie, o których istnieniu w

ogóle nie wiedziała, bolały ją od wysiłków poprzedniej nocy, a każdy ruch sprawiał ostry ból.

Znowu spojrzała na Melanię. Mela miała teraz oczy otwarte szeroko. Były to oczy osoby chorej, rozszerzone gorączką, podkrążone i podsiniałe. Spękane jej wargi rozchyliły się i wyszeptala błagalnie: - Wody...

- Wstawaj, Prissy! - rozkazała Scarlett. - Pójdziemy do studni i napompujemy wody.

- Ależ proszę pani! A może tam są upiory? Może tam leży jakiś trup?

- Ja i z ciebie zrobię upiora, jeżeli w tej chwili nie zejdziesz z wozu - rzekła Scarlett, z trudem gramoląc się na ziemię.

Wtedy dopiero przypomniała sobie konia. Na miłość boską! Co pocnie, jeżeli zdechł w nocy! Był ledwie żywy, kiedy go wyprzęgła. Obiegła wóz dookoła i zobaczyła go: leżał na boku. Jeżeli zdechł już, przeklnie Boga i sama będzie musiała umrzeć. Ktoś w Biblii tak właśnie zrobił. Przeklął Boga i umarł. Wyobrażała sobie dokładnie, co ten człowiek wtedy czuł. Koń jednak żył - oddychał z trudem, miał na wpół przymknięte oczy, ale żył. Woda przyda się także i jemu.

Prissy niechętnie, bardzo postępując, zlazła z wozu i ociągając się poszła za Scarlett aleją. Za ruinami domu rząd bielonych chat murzyńskich stał pod drzewami milczący i opuszczony. Między chatami a domem była studnia; pod daszkiem wisiało wiadro nisko nad wodą. Wyciągnęły je wspólnymi siłami, a kiedy zimna, lśniąca woda wynurzyła się z ciemnej głębi, Scarlett nachyliła kubek ku sobie i zaczęła pić głośno i łakomie.

Piła długo, rozlewając wodę, aż rozżalone słowa Prissy: - Ale mnie się też chce pić. Miss Scarlett - przypomniały jej o istnieniu innych.

- Odwiąż węzeł, zanieś wiadro do wozu i daj się napić wszystkim. Resztą napój konia. Czy pani Melania nie powinna by nakarmić dziecka? Mały gotów umrzeć z głodu.

- Kiedy, na Boga, Miss Scarlett, pani Mela nie ma pokarmu, i nie będzie miała.

- Skąd wiesz?

- A bo ja dużo takich kobiet widziałam.

- Nie zaczynaj mi się tylko znowu przechwalać. Wczoraj bardzo niewiele wiedziałas o rodzeniu dzieci. Spiesz się teraz. Ja poszukam czegoś do jedzenia.

Poszukiwania Scarlett okazały się płonne - dopiero w sadzie znalazła kilka jabłek. Żołnierze jednak i tutaj byli, bo drzewa były ogołoczone. Jabłka, które zbierała z ziemi, były przeważnie nadpsute. Wybrała jednak co najlepsze, napelniła nimi spódnicę i poszła po miękkiej ziemi w stronę wozu. Żwir wpadał jej w pantofle. Dlaczego nie pomyślała poprzedniego wieczora o włożeniu grubszych trzewików? Dlaczego nie wzięła kapelusza o większym rondzie? Dlaczego nie zabrała nic do jedzenia? Postąpiła jak szalona. Myślała

jednak, że Rett się lepiej nią zaopiekuje.

Rett! Splunęła z obrzydzeniem na samą myśl o nim. Jakże go nienawidziła! Jak podle się zachował! A ona jeszcze stała z nim na środku drogi i pozwalała mu się całować - i było jej to miłe! Szalona! Rett był godzien pogardy!

Wróciwszy do wozu dała wszystkim po jabłku, a resztę rzuciła na dno. Koń wstał już teraz, ale nie zdawało się, aby go woda bardzo orzeźwiła. W świetle dziennym wyglądał jeszcze żałośniej niż wieczorem. Boki miał zapadnięte jak stara krowa, zebra rysowały mu się tuż pod skórą, a grzbiet stanowił jedną wielką ranę. Scarlett starała się go nie dotykać, gdy zakładała mu uprząż. Wsuwając mu wędzidła do pyska, zauważyła, że prawie nie ma zębów. Był stary jak świat! Skoro Rett już ukradł konia, dlaczego nie wybrał lepszego?

Wsiadła na kozioł i lekko smagnęła konia gałęzią po grzbiecie. Zacharczał i ruszył naprzód, biegł jednak tak wolno, gdy skierowała go na szosę, że pieszo przestrzeń tę przemierzyłyby znacznie prędzej i bez żadnego wysiłku. Och, gdybyż nie miała ze sobą Melanii, Wade'a, noworodka i Prissy! Jak szybko poszłyby do domu! Pobieglaby nawet, pobiegła bez zatrzymywania się, po tej drodze, która prowadziła już wprost do Tary, do matki!

Znajdowali się nie więcej niż o piętnaście mil od domu, ale przy tempie tej starej chabety droga mogła im zająć cały dzień, bo należało często przystawać, aby koń mógł wypocząć. Cały dzień! Scarlett popatrzyła na czerwony gościniec, pocięty w głębokie rowy od kół armatnich i ciężkich furgonów. Godziny upłyną, zanim dowie się, czy dom w Tarze stoi jeszcze na miejscu i czy Ellen jest w domu. Godziny miną, zanim dobiegnie kresu tej podróży pod palącym, wrześniejącym słońcem.

Obejrzała się na Melanię, która znowu leżała z przymkniętymi oczyma, odwiązała wstążki swego czepka i podała go Prissy.

- Nakryj tym twarz pani Meli, żeby słońce jej tak nie świeciło w oczy. - Potem, gdy słońce zaczęło ją palić w głowę, pomyślała: „Przed końcem dnia będę piegowata jak perliczka”.

Nigdy w życiu nie była dotąd na słońcu bez kapelusza czy woalki, nigdy nie powoziła bez rękawiczek, które by chroniły białą skórę jej miękkich dłoni. A teraz wystawiona na słońce siedziała na koźle połamanego wozu, brudna, spocona, głodna, nic nie mogąca innego przedsięwziąć, jak wlec się żółtym krokiem po opustoszałej okolicy. A jeszcze niewiele tygodni temu była tak bezpieczna! Tak niedawno temu i ona, i wszyscy jej bliscy wierzyli, że Atlanta nigdy nie skapitułuje, że Georgia nigdy nie zostanie zdobyta! Z małej jednak chmurki, która przed czterema miesiącami ukazała się na północnym zachodzie, wyrosła wielka burza,

potem grzmiący huragan, który zmiotł cały jej świat, wyrwał ją z bezpiecznego życia i pozostawił samą pośród tego straszego, upiornego zniszczenia.

Czy Tara jeszcze istnieje? Czy też przeminęła z wiatrem, który hulał po Georgii?

Zdzieliła batem zmęczonego konia i poganiała go bezlitośnie, a chybotliwe koła wozu rzucały ich pijanie z lewa na prawo.

W powietrzu czuć było śmierć: W promieniach popołudniowego słońca znajome pola i gaje stały zielone i ciche - ciche tak niezmiernie, że przerażenie ścisnęło serce Scarlett. Każdy pusty, rozdarty pociskami dom, który mijali, każdy wysoki sterczący komin nad osmalonymi dymem ruinami, zwiększał tylko jej niepokój. Od poprzedniego wieczora nie spotkali ani żywej duszy. Owszem - trupy ludzi, koni i mułów, leżące przy drodze, spuchnięte, pokryte muchami, ale ani żywego stworzenia. Nie słychać było dalekiego poryku bydła ani śpiewu ptaków, ani szumu drzew. Tylko zmęczone człapanie kopyt konia i słabutki płacz dziecka Melanii przerywały milczenie.

Okolica tak wyglądała, jak gdyby zaciążył nad nią zły czar. „Albo gorzej jeszcze - myślała Scarlett z lękiem - jak dobrze znana i droga twarz matki, piękna i wreszcie spokojna po przedśmiertelnych cierpieniach”. Wydawało jej się, że znajome lasy pełne są duchów. Tysiące ludzi poległo w walkach pod Jonesboro. Leżeli tu jeszcze w tych lasach, gdzie popołudniowe słońce ukośnie i niepokojąco przeświecało między nieruchomymi liśćmi - swoi i wrogowie - i patrzyli na nią i na jej chybotliwy wóz oczyma przesłoniętymi krwią i czerwonym pyłem, szklanymi, strasznymi oczyma.

- Mamo! Mamo! - wyszeptała. Gdybyż wreszcie mogła zobaczyć Ellen! Gdybyż tylko, z łaski Nieba, Tara stała jeszcze na miejscu, gdybyż mogła zajechać przed dom długą aleją cedrową, wejść do pokojów, zobaczyć miłą, słodką twarz matki, poczuć raz jeszcze dotknięcie jej miękkich, kształtnych dłoni, które umiały odpędzać strachy - chwycić się jej sukni, i ukryć twarz w fałdach! Matka wiedziałaby, co zrobić. Nie dopuściłaby do śmierci Melanii i jej dziecka. Przegnałaby precz wszelkie upiory lęki spokojnym swoim: „No, cicho już, cicho!” Ale matka była chora, może umierająca.

Scarlett zaczęła znów siec batem wynędzniałe boki konia. Trzeba się śpieszyć! Wlekli się po tej drodze bez końca przez cały długi, upalny dzień. Wkrótce zapadnie noc i zostaną sami pośród zniszczenia, które czuć było śmiercią. Szarpnęła mocniej lejce i znowu uderzyła konia, a zbolące ramiona aż paliły ją od wysiłku.

Gdybyż tylko udało jej się dotrzeć do dobrych objęć Tary i Ellen i złożyć tam brzemię zbyt wielkie jak na jej młode barki - umierającą kobietę, zgłodniałe niemowlę, małego synka, przerażoną Murzynkę, którzy od niej oczekiwali siły i decyzji, z jej naprężonych pleców

czerpali odwagę, której sama nie miała, i siłę, którą dawno straciła.

Wymęczony koń nie reagował ani na razy bata, ani na szarpanie lejc, tylko włókł się wolno, potykając się o kamienie i tak się przy tym chwiejąc, jak gdyby gotów był paść. Mimo to o zmroku rozpoczęli ostatni etap długiej podróży. Minawszy ostatni zakręt polnej drogi, wjechali na gościniec. Do Tary została jeszcze tylko mila!

Z cienia wyłonił się zarys żywopłotu z bzów włoskich, które znaczyły granicę majątku MacIntoshów. Scarlett wstrzymała konia naprzeciw alei dębowej, prowadzącej od drogi do domu starego Angusa. W gęstniejącym mroku popatrzyła w aleję. Nie było widać ani światełka. Dwór i chaty murzyńskie były ciemne. Wyteżając wzrok ujrzała widok, z którym zdążyła się już zżyć w ciągu tego straszego dnia - dwa wysokie kominy, jak olbrzymie nagrobki nad ruinami dwóch pięter, i porozwalane, ciemne okna, jak ślepe oczy.

- Hola! - zawołała z całych sił. - Hola!

Prissy szarpnęła ją w szalonym przerażeniu. Scarlett odwracając się spostrzegła, że dziewczyna nieprzytomnie wywraca oczyma.

- Niech pani nie woła, Miss Scarlett! Niech pani przestanie! - szepnęła drżącym głosem.
- Nie wiadomo, co odpowie!

„Boże drogi! - pomyślała Scarlett z dreszczem. - Boże drogi! Ona ma rację. Nie wiadomo, co może się tu zjawić”.

Trzepnęła konia lejcami i pognęła go naprzód. Widok domu MacIntoshów ugasił w niej ostatnią isierkę nadziei. Dom był spalony, w ruinie, pusty, jak wszystkie dwory na plantacjach, które tego dnia minęli. Tara była o pół mili stąd, stała przy tej samej szosie, na szlaku armii. Tara także zatem zrównana została z ziemią. Zastanie tylko szerniałe cegły, zobaczy gwiazdy świecące przez dziurawy dach, nie będzie Ellen ani Geralda, ani dziewcząt, Mammy ani Murzynów - tylko ta straszna cisza, wszystko ogarniająca.

Po cóż wbrew zdrowemu rozsądkowi puściła się w tę szaloną drogę, po cóż wlokła z sobą Melanię i jej dziecko? Lepiej byłoby, gdyby umarli w Atlancie, niżby po torturach tego dnia upału i podróży w wyrotnym wozie mieli umierać na cichych ruinach Tary!

Ale Ashley zostawił Melanię pod jej opieką. „Opiekuj się nią, Scarlett” - powiedział. Och, jaki piękny był ten smutny dzień, kiedy pocałował ją na pożegnanie, zanim opuścił ją na zawsze! „Będiesz się nią opiekowała, prawda? Przrzeknij mi!” I Scarlett przrzekła. Po cóż związała się taką obietnicą, obowiązującą podwójnie, ponieważ Ashleya nie było już na świecie! Nawet teraz, w ostatecznym wyczerpaniu, nienawidziła Melanii, nienawidziła cichutkiego kwilenia jej dziecka, które coraz cichsze i cichsze przerywało ciszę. Przrzekła jednak, teraz więc należeli do niej, tak samo jak Wade i Prissy, i musiała walczyć o nich i

ratować ich, póki starczy jej sił czy tchu. Mogła była zostawić ich w Atlancie, zawieźć Melanię do szpitala i opuścić. Ale gdyby to zrobiła, nie mogłaby nigdy spojrzeć w oczy Ashleyowi ani na tym świecie, ani w zaświatach, nie potrafiłaby mu powiedzieć, że dopuściła, aby żona jego i dziecko umarli między obcymi.

Ach, Ashley! Gdzież on był teraz, gdy ona mozoliła się po tej upiornej drodze z żoną jego i dzieckiem? Czy żył? Czy myślał o niej za kratami Rock Island? Czy też umarł na ospę wiele miesięcy temu i gnił teraz we wspólnym grobie z setkami innych konfederatów?

Scarlett wystraszyła się okropnie, gdy w zaroślach koło siebie usłyszała niespodziewany szmer. Prissy głośno krzyknęła i rzuciła się na spód wozu. Melania poruszyła się z wysiłkiem i ręką poszukała dziecka, a Wade zakrył oczy i przycupnął na miejscu, zbyt przerażony, by płakać. W krzakach zatrzeszczało coś pod ciężarom kopyt i uszu ich doszedł niski, przeciągły ryk.

- To tylko krowa - rzekła Scarlett głosem zachrypłym z przerażenia. - Uspokój się, Prissy. Przygniotłaś dziecko i nastraszyłaś panią Melę i Wade'a.

- To duch - jęczała Prissy wierząc się na dnie wozu i nie podnosząc głowy.

Odwracając się z namysłem Scarlett podniosła gałąź, która jej służyła za bat i uderzyła nią Prissy po plecach. Była zbyt wyczerpana, zbyt wystraszona, aby tolerować czyjąkolwiek słabość.

- Usiądź, idiotko - powiedziała - bo złamię ten kij na tobie.

Prissy jęcząc podniosła głowę i patrząc ostrożnie w bok przekonała się na własne oczy, że rzeczywiście z krzaków wynurzyła się krowa, brązowo-białe bydlę, które błagalnie patrzyło dużymi wylęknionymi oczyma. Krowa otworzyła pysk i znowu zamuczała jakby z bólu.

- Może jest ranna? Ryczy jakoś dziwnie.

- Pewnie ma pełne wymiona i trzeba by ją może wydoić - rzekła Prissy opanowując się trochę. - To jedna z krów pana MacIntosha, które Murzyni zagnali do lasu. Jankesi jej chyba nie spostrzegli.

- Zabierzemy ją z sobą - szybko postanowiła Scarlett. - Będziemy miały mleko dla dziecka.

- Jak mamy zabrać krowę, Miss Scarlett? Nie możemy jej zabrać. Po co nam krowa, tym bardziej ta, dawno nie dojona. Ma wymiona tak pełne, że ledwie nie pękną. Dlatego ryczy.

- Wobec tego, że znasz się na tym tak dobrze, zdejm halkę, podrzyj ją na pasy i przywiąż krowę do tyłu wozu.

- Miss Scarlett, pani wie, że nie mam od miesiąca ani jednej halki, a gdybym nawet miała, to bym jej także nie podarła. Nigdy nie miałam do czynienia z krowami. Boję się krów.

Scarlett odłożyła lejce i podniosła spódnicę. Obrzeżona koronką halka była ostatnią ładną i całą sztuką ubrania, jaką miała. Odwiązała tasiemkę w talii i zdjęła halkę mnąc w palcach cienkie płótno. Rett przywiózł jej materiał i koronkę z Nassau, ostatnim transportem, który przemycił przez blokadę. Sama szyla ją przez tydzień. Teraz wzięła ją za obręb i szarpnęła, potem włożyła między zęby i gryzła, aż materiał poddał się i rozdarł przez całą długość. Szarpała wściekle, darła obiema rękami, aż wreszcie pasy płótna znalazły się w jej rękach. Powiązała końce ich w supły palcami, które pokryte bąblami krwawiły teraz i trzęsły się ze zmęczenia.

- Załóż jej to na rogi - rozkazała. Prissy nie ruszyła się z miejsca.

- Ja się boję krów, Miss Scarlett. Nigdy nie miałam nic do czynienia z krowami. Nie jestem żadną Murzynką z pola. Jestem od pokojów.

- Przede wszystkim jesteś głupią Murzynką i kupując ciebie mój ojciec zrobił kapitalne głupstwo - rzekła Scarlett powoli, zbyt zmęczona, aby się złościć. - A jak tylko będę mogła lepiej ruszyć ręką, tak cię spiorę batem, że popamiętasz.

Prissy rozpaczliwie wywracała oczyma, patrząc na przemian to na stanowczą twarz swojej pani, to na krowę, która nie przestawała ryczeć żałośnie. Scarlett wydała jej się stosunkowo mniej groźna, wobec tego chwyciła się kurczowo wozu i została na swoim miejscu.

Powoli, sztywno, Scarlett zsunęła się z kozła. Każdy ruch sprawiał jej niewymowne cierpienie. Nie tylko Prissy bała się krów. Scarlett także zawsze się ich bała, nawet najłagodniejsza krowa wydawała jej się groźna, teraz jednak miała tyle problemów do rozwiązania, że nie było czasu na zajmowanie się takimi drobiazgami. Na szczęście krowa była bardzo łagodna. W bólu swoim szukała tylko ludzkiego towarzystwa i pomocy i zachowywała się spokojnie, gdy Scarlett zarzuciła jej na rogi pętlę z jednego końca podartej halki. Drugi koniec przywiązała do tyłu wozu. Gdy zaczęła już zawracać w stronę kozła, ogarnęło ją tak wielkie zmęczenie, że zakręciło jej się w głowie. Musiała się oprzeć o wóz, aby nie upaść.

Melania otworzyła oczy i widząc Scarlett pochyloną nad sobą, wyszeptwała: - Kochanie, czy jesteśmy już w domu?

W domu! Na dźwięk tego słowa gorące łzy napłynęły Scarlett do oczu. Dom. Melania nie wiedziała, że domu już nie ma i że są same w szalonym, opustoszałym świecie.

- Jeszcze nie - powiedziała siląc się na spokój - ale niedługo już zajedziemy.

Przybłąkała się do nas krowa, będziemy więc miały mleko dla ciebie i dla dziecka.

- Biedne maleństwo - szepnęła Melania starając się bezskutecznie dotknąć dziecka bezwładną ręką.

Wdrapanie się z powrotem na kozioł pochłonęło wszystkie siły Scarlett, ale wreszcie i tego dokonała i znowu wzięła lejce do rąk. Koń stał z głową nisko zwieszoną i nie chciał ruszyć. Scarlett zaczęła go bezlitośnie okładać batem. Prosiła Boga, aby jej wybaczył bicie chorego zwierzęcia. Jeżeli Bóg nie zechce, to trudno. Do Tary było już niedaleko i po przebyciu jeszcze ćwierci mili koń mógł sobie nawet paść przy drodze, jeżeli mu się tak podobało.

Wreszcie ruszyli powoli. Wóz zaskrzypiał, a krowa żałośnie muczała za każdym krokiem. Głos zboląłego bydłęcia tak szarpał nerwy Scarlett, że miała ochotę zatrzymać wóz i odwiązać krowę. Na co im ona, kiedy i tak nikogo nie zastaną w Tarze! Nie umiała jej nawet wydoić, a gdyby nawet wiedziała, jak się do tego zabrać, krowa skopałaby prawdopodobnie każdego, kto by dotknął jej bolących wymion. Skoro jednak krowa już była, rozsądniej było ją zatrzymać. Bardzo niewiele poza nią miała teraz w majątku.

Oczy Scarlett zasły mgłą wzruszenia, gdy wreszcie dojechali do małej kotlinki: za następnym pagórkiem leżała już Tara! Nagle zmartwiała. Koń nie zdoła ich podciągnąć na wzgórze. Wzniesienie wydawało jej się bardzo łagodne, bardzo nieznaczne, gdy brała je galopem na swej szybkiej jak strzała klaczy. Niemożliwe, aby stało się tak strome od czasu, gdy była tu ostatnio! Koń w żaden sposób nie wyciągnie na szczyt pagórka ciężko naładowanego wozu.

Zsiadła niezgrabnie i wzięła zwierzę za uzdę.

- Wsiądź, Prissy - rozkazała - i weź Wade'a. Weź go na ręce albo poprowadź koło siebie. Dziecko ulóż przy pani Meli.

Wade wybuchnął płaczem i szlochaniem i mówił coś, z czego Scarlett zrozumiała tylko:
- Ciemno... ciemno... Wade boi się!

- Miss Scarlett, ja nie mogę chodzić. Mam spuchnięte nogi, nie mogę włożyć butów, i zresztą Wade i ja tak dużo nie ważymy i...

- Wyłaż wreszcie! Wyłaż, bo cię ściągnę siłą! A potem zostawię cię samą w ciemności. Spiesz się teraz!

Prissy zaskrzeczała i ukradkiem popatrzyła na ciemne drzewa, które stały po obu stronach drogi. Mogły wyciągnąć do niej gałęzie i porwać ją w nieznaną, gdyby opuściła swoje schronienie w wozie. Położyła jednak dziecko obok Melanii, wygramoliła się na ziemię, po czym wyjęła Wade'a z wozu. Chłopczyk szlochał tuląc się do niej rozpaczliwie.

- Uspokój go. Nie mogę tego znieść - rzekła Scarlett biorąc konia za uzdę i mimo oporu ciągnąc go za sobą. - Bądź mężczyzną, Wade, przestań płakać, bo dam ci klapsa.

„Po co Bóg wymyślił dzieci - pomyślała z pasją, ponieważ właśnie wykręciła sobie nogę w kostce na ciemnej drodze - bezużyteczne, płaczące stworzenia, zawsze wymagające opieki, zawsze ludziom zawadzające”. W zmęczeniu swoim nie miała już sił na współczucie dla wystraszonego dziecka, które dreptało obok Prissy, trzymało się kurczowo jej ręki i pociągało nosem. Czuła tylko złość, że go urodziła, tylko zdziwienie, że w ogóle poślubiła Karola Hamiltona.

- Miss Scarlett - szepnęła Prissy łapiąc się ramienia Scarlett - nie jedźmy do Tary. Nie ma ich tam. Wszyscy uciekli. Może już nie żyją... i mama moja, i oni wszyscy.

To echo własnych myśli tak rozwścieczyło Scarlett, że strząsnęła gwałtownie czepiające się jej palce.

- Daj mi wobec tego rączkę Wade'a. Ty możesz sięść sobie i zostać tutaj.

- Nie! Nie! Nie!

- No, to bądź wreszcie cicho!

Jak wolno wlokła się ta szkapa! Ślina z wilgotnego pyska konia ściekała jej na rękę. Przez głowę przeleciała jej melodia pierwszych taktów pieśni, którą niegdyś śpiewała z Rettem - reszty nie mogła sobie przypomnieć:

Jeszcze tylko kilka dni dźwigać będę ciężkie brzemię...

„Jeszcze tylko kilka kroków - powtarzała sobie w duchu raz po raz - jeszcze tylko kilka kroków dźwigać będę ciężkie brzemię”.

Wreszcie dotarli do szczytu wzgórza. Przed sobą widzieli już dęby Tary - ciemną, wysoką masę drzew na tle mrocznego nieba. Scarlett rozejrzała się na wszystkie strony, czy nie zobaczy jakiegoś światła. Nie było nic widać.

„Nie ma ich! - pomyślała i serce jej zawisło w piersi jak ołowiany ciężar. - Nie ma!”

Skierowała konia w stronę podjazdu; cedry, łączące się nad ich głowami, pogrzyły ich w nieprzeniknionej czerności. Patrząc w długi, ciemny tunel i wyteżając wzrok zobaczyła przed sobą - czy zobaczyła? czy też zmęczone oczy spletały jej figła? - białe mury Tary, zamazane i niewyraźne. Dom! Dom! Najdroższe, białe mury, okna z powiewającymi firankami, szerokie werandy - czy rzeczywiście widziała je przed sobą w mroku? Czy też ciemność łaskawie zakryła przed nią widok równie straszny jak ruiny domu MacIntoshów?

Aleja cedrowa zdawała się nigdy nie kończyć, a koń, uparcie dając się ciągnąć, szedł coraz wolniej. Oczy Scarlett znowu wybiegły w ciemność. Dach wydawał się nietknięty. Czy to możliwe, czy to możliwe? Nie, to nieprawdopodobne. Wojny nie mogło powstrzymać nic,

nawet mury tak mocne jak mury Tary, zbudowane, by przetrwać pięćset lat. Wojna nie mogła ominąć Tary...

Niejasny zarys nabierał kształtu. Scarlett pociągnęła konia szybciej za sobą. Białe ściany naprawdę majaczyły w ciemności. Tara ocalała! Dom! Rzuciła uzdę i przebiegła szybko parę ostatnich kroków, wyrwała się naprzód chcąc się przytulić do ścian. Nagle zobaczyła majaczący w mroku jakiś cień, który wynurzył się z czarnej, frontowej werandy i stanął u szczytu schodków. Tara nie było opuszczona. Ktoś był w domu!

Chciała wydać okrzyk radości, ale głos uwiązł jej w gardle. Dom był tak ciemny i pusty. Postać nie poruszyła się wcale i o nic nie pytała. Co się tu stało? Co się stało? Tara stała nietknięta, a przecież okryta całunem tej samej przeraźliwej ciszy, która wisiała nad nieszczęsną okolicą. Postać poruszyła się wreszcie. Szttywno i powoli zaczęła schodzić ze schodów.

- Papa? - zapytała Scarlett ochryple, niepewna, czy to naprawdę Gerald. - To ja, Scarlett. Wróciłam do domu.

Gerald skierował się w jej stronę, milczący jak lunatyk, wlokąc za sobą sztywną nogę. Zbliżył się do niej i przyglądał z osłupieniem, jak gdyby uważał ją za marę senną. Wyciągnął dłoń i położył ją na jej ramieniu. Scarlett poczuła, że ręka ta drży. Ojciec zbudził się teraz z koszmarne go snu do stanu półświadomości.

- Córko - powiedział z wysiłkiem. - Córko!

Po czym znowu zamilkł.

„Boże! Przecież to zupełny starzec!” - pomyślała Scarlett.

Ramiona Geralda zwisały bezradnie. Na twarzy, rysującej się przed nią niewyraźnie, nie było już śladów męskiej siły i niespożytej żywotności; patrzące na nią oczy Geralda miały ten sam prawie przerażony wyraz, co oczy małego Wade'a. Gerald był teraz małym, złamanym staruszkciem.

Scarlett, ogarnięta lękiem przed nieznanym, które zdawało się wylazić z ciemności, stała teraz jak skamieniała. Patrzyła na ojca, a wszystkie pytania zamarły jej na wargach.

Z wozu rozległ się cichy płacz niemowlęcia. Gerald zdawał się z wysiłkiem budzić z osłupienia.

- To Melania i jej dziecko - szepnęła Scarlett szybko. - Jest bardzo chora, przywiozłam ją do domu.

Gerald zdjął rękę z ramienia Scarlett i wyprostował się. Idąc wolno w stronę wozu przypominał trochę dawnego dziedzica Tary, śpieszącego na powitanie gości. Powtórzył zapamiętane z dawnych czasów słowa:

- Kuzynko Melanio!

Melania odpowiedziała coś niewyraźnie.

- Kuzynko Melanio, Tara jest odtąd pani domem. Dwanaście Dębów spłonęło. Niech pani zamieszka z nami.

Myśl o cierpieniach Melanii przywróciła Scarlett siły. Przypomniała sobie, że jak najprędzej należy ułożyć Melanię i dziecko na miękkim łóżku i zrobić koło niej to wszystko, co można w danych warunkach zrobić.

- Trzeba ją będzie zanieść. Nie może chodzić.

Rozległ się tupot nóg i jakaś ciemna postać wynurzyła się z frontowych drzwi. Pork zbiegł po schodach.

- Panienska Scarlett! Panienska Scarlett! - wołał.

Scarlett chwyciła go mocno za ramiona. Pork, nieodłączna część Tary, drogi jej sercu jak mury domu i chłodne korytarze! Czują, jak lzy jego spadają jej na ręce, kiedy dotykał jej nieśmiało, mówiąc: - Tak się cieszę, że panienska przyjechała! Tak się...

Prissy wybuchnęła płaczem i powtarzała bezładnie: - Pork, Pork, kochany! - A mały Wade, ośmielony oznakami słabości starszych, popłakiwał: - Wade chce pić!

Scarlett musiała zapanować nad sytuacją.

- W wozie leży pani Melania z malutkim dzieckiem. Pork, musisz ją zanieść na górę bardzo ostrożnie i ułożyć w tylnym pokoju gościnnym. Prissy, weź dziecko i Wade'a do domu i daj Wade'owi trochę wody. Pork, czy jest gdzieś w pobliżu Mammy? Powiedz jej, że mi jest potrzebna.

Pobudzony rozkazującym tonem Scarlett, Pork zbliżył się do wozu i zaczął grzebać w głębi. Jęk wyrwał się z ust Melanii, kiedy na wpół ją podniósł, na wpół wyciągnął z pośłania, na którym leżała tyle godzin. Wreszcie jednak znalazła się w mocnych objęciach Murzyna i głowa jej zwiśla bezwładnie na jego ramieniu. Prissy, z niemowlęciem na ręku, ciągnąc za sobą Wade'a, poszła za Porkiem po szerokich schodkach i po chwili znikła w ciemnym hallu.

Scarlett niecierpliwie objęła dłoń ojca pokrzwawionymi palcami.

- Czy już wyzdrowiały, tatusiu?

- Dziewczęta miewają się lepiej.

Zapadło milczenie. W nagłej ciszy zaświtała Scarlett myśl, zbyt straszna, aby dała ująć się w słowa. Nie mogła, w żaden sposób nie mogła wypowiedzieć tego pytania. Przelykała raz po raz ślinę, a krtań miała tak suchą, że nie mogła mówić. Czy to było odpowiedzią na przerażającą zagadkę milczenia Tary? Wyczuwając jej nieme pytanie, Gerald przemówił:

- Matka twoja... - powiedział i urwał.

- A... mama?

- Matka twoja umarła wczoraj.

Trzymając ojca mocno pod rękę, Scarlett poprowadziła go do dużego hallu. Wyminęła w ciemności krzesła o wysokich oparciach, pusty postument do dubeltówek, stary kredens o nogach w kształcie pazurów i wiedziona instynktem skierowała się do małego kantorku na tyłach domu, gdzie Ellen zawsze ślęczała nad nie kończącymi się rachunkami. Wchodząc do tego pokoju z pewnością zastanie matkę przy biurku. Ellen podniesie głowę znad ksiąg, odłoży pióro i z szumem spódnic wstanie, aby powitać zmęczoną córkę. Ellen z pewnością nie umarła, mimo że ojciec tak mówił, mimo że powtarzał jak papuga, która umie tylko jedno zdanie: - Umarła wczoraj, umarła wczoraj, umarła wczoraj.

Dziwne, że nic nie czuła poza zmęczeniem, które pętało jej nogi jak uścisk żelaznych łańcuchów, i głodem, od którego trzęsły się jej kolana. O mamie pomyśli później. Teraz musi myśleć o niej wyrzucić z głowy, bo gotowa zacząć dreptać bezmyślnie jak Gerald albo szlochać monotonnie jak Wade.

Pork zszedł po ciemnych schodach i spieszenie przypadł do Scarlett, cisnąc się do niej jak zmarznęte zwierzę do ognia.

- A światło? - zapytała. - Pork, dlaczego w domu tak ciemno? Przyniesź świece.

- Oni zabrali wszystkie świece, Miss Scarlett, tylko jedna jest, której używaliśmy do ważnych rzeczy, a ta już prawie wypalona. Mammy, kiedy dogląda panienek, pali zamiast świece szmatę umoczoną w świńskim tłuszczu.

- Przyniesź tę resztę świece - rozkazała. - Przyniesź ją tu do mamy poko... do kantorku.

Pork podreptał do jadalni, Scarlett zaś poszła po omacku do ciemnego pokoiku i opadła na kanapę. Gerald ciągle trzymał ją jeszcze pod rękę, bezradnie, wymownie, ufnie, jak ufne są tylko małe dzieci i starcy.

„To starzec, stary zmęczony człowiek” - pomyślała Scarlett znowu i zastanowiła się przez mgnienie oka, dlaczego wcale jej to nie obchodzi.

Płomień światła zachybotał w pokoju, gdy wszedł Pork, niosąc na wpół wypaloną świecę, przylepioną do podstawki. Ciemna jaskinia odżyła. Zarysowała się stara, wysiedziana kanapa, wysoki sekretarzyk, zdający się sięgać sufitu, rzeźbione, wysokie krzesło matki przed nim, półka na ścianie, pełna jeszcze papierów zapisanych pismem Ellen, zniszczony dywan - wszystko, wszystko takie samo, tylko że nie było Ellen, Ellen pachnącej werbeną, Ellen o słodkim spojrzeniu skośnych oczu. Scarlett poczuła lekki ból w sercu, jak gdyby splot nerwów przecięty ostrym nożem na gwałt chciał wrócić do życia. Nie trzeba, aby teraz odżywał. Dość będzie jeszcze życia na oddawanie się temu cierpieniu. Byłe tylko nie teraz!

Pozwól, Boże, nie teraz!

Spojrzała na ziemistą twarz Geralda. Po raz pierwszy w życiu widziała go nie ogolonego, rumiana niegdyś twarz ojca pokryta była srebrną szczecina. Pork postawił świecę na postumencie i podszedł ku Scarlett. Czuła, że gdyby był psem, położyłby w tej chwili łeb na jej kolanach i skomlał, dopóki nie pogładziłaby go po głowie.

- Park, ilu nam zostało Murzynów?

- Miss Scarlett, te podłe Murzyny, uciekły, niektórzy poszli z Jankesami i...

- Ilu zostało?

- Ja jestem, panienko, i Mammy. Przez cały dzień pielęgnowała młodsze panienki. I Dilcey, teraz ona jest przy panienkach. Nas troje, Miss Scarlett.

„Nas troje” - gdzie była setka Murzynów? Scarlett z wysiłkiem wyprostowała bolącą szyję i podniosła głowę. Wiedziała, że głos jej nie może się załamać. Ku jej zdumieniu słowa padały tak chłodno i swobodnie, jak gdyby nigdy nie było wojny i jednym skinieniem dłoni mogła przywołać do siebie dziesięcioro służby.

- Pork, umieram z głodu. Czy jest co do jedzenia?

- Nie. Oni wszystko zabrali.

- A w ogrodzie?

- Do ogrodu puścili konie.

- Nawet na grzędy bulw?

Coś w rodzaju uśmiechu pojawiło się na grubych wargach Murzyna.

- Miss Scarlett, zapomniałem zupełnie o bulwach. Pewnie tam jeszcze są. Jankesi nigdy nie widzieli yamów i myśleli, że to zwykłe korzenie, i...

- Wkrótce wszędzie księżyc. Idź do ogrodu, wykop mi parę bulw i upiecz. Czy nie ma mąki kukurydzianej? Ani suszonego groszku? Ani kurcząt?

- Nie, panienko, nie ma. Wszystkie kurczęta, których nie zdążyli zjeść, przytroczyli sobie do siodeł.

Oni. Oni. Oni. Czy nie było końca temu, co „oni” zrobili? Czy nie wystarczyło im palenie i zabijanie? Czy musieli jeszcze skazywać na głód kobiety, dzieci i bezradnych Murzynów w kraju, który spustoszyli?

- Miss Scarlett, mam trochę jabłek, które Mammy zakopała pod domem. Jedliśmy je dzisiaj.

- Przynieś je tutaj, nim pójdziesz kopać bulwy. I słuchaj, Pork, czuję się bardzo słabo. Czy jest trochę wina w piwnicy, choćby porzeczkowego?

- Och, Miss Scarlett, do piwnicy poszli nasamprzód.

Mdłości, spowodowane głodem, bezsennością, wyczerpaniem i strasznymi ciosami, które na nią spadły, ogarnęły ją tak nagle, że musiała się schwycić rzeźbionych róż, które czuła pod ręką.

- Nie ma wina - rzekła tępo, przypominając sobie niezliczone szeregi butelek w piwnicy. Zbudziło się jakieś wspomnienie.

- Pork, a co z tą żytniówką w dębowej baryłce, którą papa zakopywał pod altaną?

Nowy uśmiech rozjaśnił czarną twarz, uśmiech zadowolenia i szacunku.

- Miss Scarlett, o, panienka jest najmądrzejsza z dzieci! Całkiem zapomniałem o tej baryłce. Ale, Miss Scarlett, ta wódka nie jest dobra. Leży tam pewnie już od roku, a zresztą wódka nie jest dobra dla pań.

Jacy głupi byli Murzyni! Nigdy nie potrafili o niczym pomyśleć z własnej inicjatywy. I Jankesi takim ludziom chcieli dać wolność?

- Dla mnie i dla papy będzie w sam raz dobra. Spiesz się, Pork, wykop baryłkę, przynieś dwie szklanki, trochę mięty i cukru, to przyrządzę nalewkę.

- Panienko, przecież panienka wie, że cukru nie ma w Tarze od dawna. Miętę zjadły konie, a oni potłukli wszystkie szklanki.

„Jeżeli Pork jeszcze raz powie «oni», zacznę płakać. Nic na to nie poradzę” - pomyślała. Głośno zaś powiedziała: - No, więc śpiesz się i przynieś wódkę. Wypijemy ją tak, jak jest. - A kiedy szedł ku drzwiom: - Poczekaj, Pork. Tyle jest jeszcze rzeczy do zrobienia, o których nie pomyślałam... A tak. Przyprowaźdź tu konia i krowę, krowę trzeba koniecznie wydoić, a konia napoić i wyprząc. Powiedz Mammy, aby się zajęła krową. Powiedz jej, że musi ją jakoś obrządzić. Dziecko pani Melanii gotowe umrzeć jeżeli nie dostanie czegoś do jedzenia, i...

- Pani Mela nie ma., nie może...? - przerwał Pork taktownie.

- Pani Mela nie ma pokarmu. (Dobry Boże, mama zemdlalaby przecież, słysząc coś podobnego).

- No to, Miss Scarlett, moja Dilcey zaopiekuje się dzieckiem pani Meli. Moja Dilcey ma nowe dziecko i dość mleka na wykarmienie obojga.

- To ty masz nowe dziecko, Pork?

Dzieci, dzieci, dzieci. Po co Bóg stwarza tyle dzieci? Ależ nie, to nie Bóg je stwarza. To głupi ludzie.

- Tak, panienko, dużego, grubego chłopca. Ma...

- Więc powiedz Dilcey, aby zostawiła panienki. Ja się nimi zajmę. Powiedz, aby nakarmiła dziecko pani Melanii i posiedziała przy niej. Mammy powiedz, aby wydoiła krowę,

a tego biednego konia zaprowadź do stajni.

- Kiedy nie ma już stajni, Miss Scarlett. Porąbali ją na drzewo do ognisk.

- Nie chcę wiedzieć, co zrobili! Powiedz Dilcey, aby się tym wszystkim zajęła. A ty Pork, wykop najpierw tę wódkę, a potem parę słodkich kartofli...

- Ale, Miss Scarlett, nie mam czym sobie poświecić.

- Możesz sobie przecie zapalić smolną głównię, prawda?

- Kiedy nie ma główni. Oni...

- Więc poradź sobie inaczej... Wszystko mi jedno jak. Wykop je, jak chcesz, byle prędko. Śpiesz się teraz.

Pork wybiegł z pokoju, bo głos Scarlett zabrzmiał ostro: została sama z Geraldem.

Poklepała go lekko po udzie. Zauważyła, że mięśnie jego, dawniej twarde od konnej jazdy, teraz są zwiotczałe. Powinna coś zrobić, aby wyrwać ojca z tej apatii - ale nie spyta przecie o matkę. To zrobi później, kiedy będzie się mogła na to zdobyć.

- Jak to się stało, że nie spalili Tary?

Gerald popatrzył na nią przez chwilę, jak gdyby nie słyszał słów, musiała więc powtórzyć pytanie.

- Jak... - mamrotał - przecie w domu był ich sztab.

- To Jankesi... byli w domu?

Wydało jej się nagle, że ukochane ściany zostały skalane. Dom rodzinny, święty, ponieważ mieszkała w nim Ellen, i ci... ci...

- A tak, byli tutaj, córko. Widzieliśmy za rzeką dym z Dwunastu Dębów, zanim tu przyszli. Panna Honey i panna India, i niektórzy z Murzynów już dawniej schronili się do Macon, a więc nie martwiliśmy się zbytnio. My jednak nie mogliśmy stąd wyjechać. Dziewczęta były bardzo chore i twoja matka... nie mogliśmy jechać. Nasi Murzyni uciekli, nie wiem dokąd. Skradli wozy i muły. Mammy, Dilcey i Pork nie uciekli. Dziewczęta... twoja matka... nie mogliśmy ich ruszać.

- Tak, tak.

Niechże ojciec nie mówi o matce! O wszystkim innym. Może nawet i to powiedzieć, że generał Sherman w tym pokoju, kantorku mamy, miał swój gabinet. Lub cokolwiek innego.

- Jankesi posuwali się w stronę Jonesboro, aby przeciąć tor kolejowy i przyszli drogą od rzeki, całe tysiące, armaty, i kawaleria, tysiące. Wyszędłem na ganek na ich spotkanie.

„O, dzielny mały Gerald!” - pomyślała Scarlett z wezbranym sercem. Gerald wyszedł na spotkanie wroga przed drzwi Tary, jak gdyby stała za nim cała armia!

- Powiedzieli mi, że bym sobie poszedł, bo chcą spalić dom. A ja odpowiedziałem, że

mogą mi go spalić nad głową. Nie mogliśmy się ruszyć, dziewczęta, twoja matka, były...

- A potem? „Czy ojciec musi ciągle wspominać Ellen?”

- Powiedziałem im, że w domu są chore, że tyfus, że umrą, jak je z miejsca ruszyć. Jak chcą, niech spalą nam dach nad głowami. Nie chciałem w żadnym wypadku wyjeżdżać, opuszczać Tary.

Głos mu nagle zamarł. Zaczął się bezmyślnie rozglądać po ścianach. Scarlett zrozumiała. Zbyt wielu irlandzkich przodków tłoczyło się za Geraldem, zbyt wielu ludzi, którzy umierali na nędznych poletkach, walcząc do ostatka, ale nie opuścili ziemi, na której żyli, orali, kochali i płodzili synów.

- Powiedziałem, że spalą dom nad głowami trzech umierających kobiet. Ale my domu nie opuścimy. Młody oficer był... był dżentelmenem.

- Jankes dżentelmenem? Ależ tatusiu!

- Dżentelmenem. Odjechał galopem i prędko wrócił z kapitanem i lekarzem, który zaopiekował się dziewczętami i twoją matką.

- Wpuścisz Jankesa do ich pokoju?

- Miał opium. My nie mieliśmy lekarstw. Uratował twoje siostry. Zuela miała krwotoki. Był bardzo dobry i miły. I kiedy złożył raport, że są chore, nie spalili domu. Zapełnili wszystkie pokoje z wyjątkiem pokoju chorych. Generał ze swoim sztabem. A żołnierze...

Przerwał znowu, jak gdyby zbyt zmęczony, by mówić dalej. Nie ogolony podbródek opadł mu ciężko w fałdach skóry na szyję. Po chwili ciągnął z wysiłkiem dalej:

- Rozbili obóz dokoła domu, wszędzie, w bawelnie, w zbożu. Pastwisko było aż niebieskie od mundurów. W nocy widać było tysiące ognisk. Porąbali płoty na podpałkę i szopy, i stajnię, i wędzarnię. Pozarzynali krowy, wieprze i kurczęta, nawet moje indyki.- Drogocenne indyki Geralda. A więc i ich nie ma. - Pozabierali rzeczy, nawet obrazy - trochę mebli, porcelanę...

- A srebro?

- Pork i Mammy zrobili coś ze srebrem, ukryli je w studni, ale tego nie pamiętam. - Głos Geralda brzmiał gniewnie. - Potem stąd dowodzili bitwą, z Tary, było dużo hałasu, ludzie przyjeżdżali konno i kręcili się ciągle. A potem działa w Jonesboro brzmiały jak grzmoty, nawet dziewczynki je słyszały, mimo że były bardzo chore, i ciągle tylko powtarzały w kółko: „Tatusiu, zrób coś, żeby przestało grzmieć”.

- A... a mama? Czy wiedziała, że Jankesi są w domu?

- Nie... nic już nie wiedziała.

- Dzięki Bogu - rzekła Scarlett. Przynajmniej tego Bóg mamie oszczędził. Matka nie

wiedziała, że wrogowie są w pokojach na dole, nie słyszała armat pod Jonesboro, nie dowiedziała się, że ziemia, którą ukochoła, deptana jest stopami Jankesów.

- Ja mało ich widziałem, bo byłem na górze z dziewczynkami i z twoją matką. Rozmawiałem przeważnie z tym młodym lekarzem. Był dobry. Taki dobry, Scarlett. Kiedy kończył całodzienną pracę przy rannych, przychodził i siedział z nami. Zostawił nam nawet trochę lekarstw. Przed odjazdem powiedział mi, że dziewczęta wyzdrowieją, ale mama.....Jest bardzo wątpła - powiedział - zbyt delikatna, aby to przetrzymać”. Powiedział, że podkopała swoje siły...

W milczeniu, które zapadło, Scarlett zaczęła sobie wyobrażać, jak matka musiała wyglądać w owych ostatnich dniach - szczupła pocieszycielka Tary, pielęgnująca chorych, pracująca bez wytchnienia, nie śpiąc i nie jedząc, aby inni mogli wypoczywać i jeść.

- A potem odeszli. Potem odeszli.

Zamilkł na długą chwilę, po czym wziął dłoń Scarlett w swoją.

- Szczęśliwy jestem, że jesteś w domu - powiedział z prostotą.

Od strony kuchennego ganku rozległo się jakieś szuranie. Biedny Pork, przez czterdzieści lat uczony, aby wycierać buty przed wejściem do pokoju, nie zapomniał o tym nawet w takiej chwili. Wszedł, ostrożnie niosąc dwie bańki. Poprzedził go silny zapach ściekającego po ich powierzchni trunku.

- Dużo rozlałem, Miss Scarlett. Bardzo trudno wlewać wódkę z barylki do bańki.

- Już dobrze, Pork, bardzo ci dziękuję. - Wzięła od niego wilgotną banię i czerpak i skrzywiła się trochę.

- Wypij to, tatusiu - powiedziała podając ojcu wódkę w czerpaku. Wzięła od Porka drugą banię, pełną wody. Gerald podniósł trunek do ust, posłuszny jak dziecko, i przełknął głośno. Podała mu z kolei wodę, ale potrząsnął przecząco głową.

Kiedy wzdęła sobie czerpak i chciała zacząć pić, zauważyła, że ojciec patrzy na nią z wyrazem potępienia w oczach.

- Wiem, że damy nie zwykły pijać trunków - rzekła krótko. - Dziś jednak nie jestem damą, tatusiu, a w nocy dużo mam jeszcze roboty.

Odetchnęła głęboko, przechyliła czerpak i szybko się napiła. Trunek popłynął gorącym strumieniem przez gardło do żołądka: palił ją i sprowadzał łzy do oczu. Znowu odetchnęła głęboko i napiła się.

- Kasiu Scarlett - rzekł Gerald z nutą stanowczości w głosie, pierwszą, jaką słyszała od czasu swego powrotu - teraz już dość. Nie wiesz, co to trunek, i za chwilę będziesz wstawiona.

- Wstawiona? - Roześmiała się złym śmiechem. - Wstawiona? Mam nadzieję, że się upiję. Chciałabym być pijana jak szewc i o niczym nie pamiętać.

Napiła się jeszcze. W żyłach jej płynął teraz ciepły strumień, rozgrzewał jej całe ciało aż po końce palców. Jakie błogosławione uczucie sprowadzał ten przyjemny ogień. Zdawał się przenikać nawet do pokrytego warstwą lodu serca, przywracał jej siły. Widząc zdumienie i urazę na twarzy Geralda, poklepała go znowu po kolanie i starała się uśmiechnąć zalotnie, dawnym uśmiechem, który tak lubił.

- Jakże możesz myśleć, że będę wstawiona, papo? Czy nie jestem twoją córką? Czy nie odziedziczyłam najmocniejszej głowy w claytońskim powiecie?

Prawie uśmiechnął się do niej. Wódka pokrzepiła i jego. Scarlett podała mu ją znowu.

- Teraz napijesz się jeszcze trochę, a potem zaprowadzę cię na górę i położę do łóżka.

Przerwała nagle. Jak to, przecież w ten sposób zwracała się do Wade a - do ojca nie powinna była tak przemawiać. To dowodziło braku szacunku. Gerald jednak słuchał uważnie jej słów.

- Tak, położę cię do łóżka - dodała lekko - dam ci jeszcze jeden łyk wódki, może nawet pełen czerpak, a potem będziesz spał. Sen dobrze ci zrobi. Scarlett jest tutaj, więc nie potrzebujesz się o nic kłopotać. Pij, papo.

Znowu posłusznie wypił. Scarlett wzięła go pod rękę i pociągnęła do kanapy.

- Pork...

Pork wziął banię w jedną rękę, ramię Geralda założył sobie na drugą. Scarlett podniosła dopalającą się świecę i wszyscy troje skierowali się wolno do ciemnego hallu, potem zaś po kręconych schodach na górę, do pokoju Geralda.

Pokój, w którym Zuela i Karina leżały mamrocząc coś niewyraźnie i rzucając się na wspólnym łóżku, śmierdział okropnie od szmaty palącej się w miseczce tłuszczu wieprzowego i stanowiącej jedyne źródło światła. Kiedy Scarlett otworzyła drzwi, ciężka atmosfera pokoju o zamkniętych oknach, pełnego wyziewów lekarstw, choroby i topiącego się tłuszczu przyprawiła ją o mdłości. Niech sobie doktorzy mówią, że świeże powietrze szkodzi chorym. Jeżeli ona ma tutaj siedzieć, musi mieć czym oddychać, bo inaczej umrze. Otworzyła wszystkie okna; odetchnęła głęboko zapachem liści dębowych i ziemi, ale ta odrobina świeżego powietrza trochę tylko rozpędziła odory, które od całych tygodni gromadziły się w dusznym pokoju.

Karina i Zuela, blade i mizerne, spały niespokojnie i budziły się często, aby szeptać coś z szeroko otwartymi, wytrzeszczonymi oczyma. W tym samym podwójnym łóżku z baldachimem gwarzyły ze sobą w czasie minionych, szczęśliwych dni. W kącie pokoju stało

puste, wąskie empirowe łóżko z rzeźbami w głowach i w nogach, łóżko, które Ellen przywiozła z Savannah. W nim właśnie leżała w czasie choroby.

Scarlett usiadła przy siostrach i przyglądała im się bezmyślnie. Wódka, którą wypijała na pusty od dawna żołądek, plątała jej figle. Chwilami siostry wydawały jej się dalekie i malutkie, a bezładne ich słowa brzmiały jak szum owadów, to znowu wynurzały się naprzeciw niej wielkie, groźne i szły ku niej z błyskawiczną szybkością. Czowała się zmęczona, ostatecznie wyczerpana. Mogłaby się położyć i spać przez całe dni.

Gdybyż przynajmniej w chwili przebudzenia się mogła poczuć, że Ellen potrząsa delikatnie jej ramieniem i mówi: „Już późno, Scarlett. Nie bądź leniuszkiem”. Ale tego nie doświadczy już nigdy. Gdybyż była na świecie Ellen, ktoś starszy od niej, mądrzejszy i wytrwalszy, do którego mogłaby się zwrócić! Ellen, na której łonie mogłaby złożyć głowę, na której barki mogłaby przerzucić swoje ciężary!

Drzwi otwały się cicho. Weszła Dilcey z dzieckiem Melanii przy piersi i bańką wódki w rękę. W niejasnym, niepewnym świetle wydawała się szczuplejsza niż dawniej, a indiańskie cechy występowały teraz wyraźniej w jej twarzy. Kości policzkowe miała bardziej wystające, orli nos wydawał się ostrzejszy, a miedziana skóra lśniła żywszym odcieniem. Wypłowiała suknię perkalową miała odpiętą do pasa; spod niej było widać jej duże brązowe piersi. Dziecko Melanii pożądliwie przyciskało malutkie usteczka do ciemnej sutki, tuląc drobne piąstki do miękkiego ciała kobiety, jak kociak tuli się do ciepłego brzucha matki.

Scarlett wstała chwiejnie i położyła dłoń na ramieniu Dilcey.

- To ładnie, żeś została tutaj, Dilcey.

- Jakże ja mogłam uciec z tą hołotą murzyńską, Miss Scarlett, kiedy ojciec pani był taki dobry, że kupił mnie razem z moją małą Prissy, a mama pani była taka miła?

- Usiądź, Dilcey. Czy dziecko dobrze ssie? A jak się miewa pani Mela?

- Dziecku nic nie jest, było tylko głodne, a ja mam pod dostatkiem tego, co potrzeba głodnemu dziecku. Pani Melania też przyjdzie do siebie. Nie umrze z pewnością, Miss Scarlett. Niech się panienka wcale nie martwi. Widziałam wiele takich jak ona, czarnych i białych. Bardzo jest zmęczona, zdenerwowana i boi się o dziecko. Ale ja ją uspokoiłam, dałam jej resztkę tego, co zostało w bańce, więc teraz śpi.

A więc żytniówka przydała się całej rodzinie! Scarlett pomyślała niemądrze, aby dać może małemu Wade'owi kieliszek wódki, to wreszcie przejdzie mu czkawka.

Więc Melania nie umrze. I kiedy Ashley wróci do domu, jeżeli w ogóle wróci... Nie, o tym także pomyśli później. Tyle będzie miała do myślenia później! Tyle zagadnień trzeba będzie rozwikłać, tak wiele postanowić. Gdybyż mogła tę chwilę rachunku sumienia odwlec

na zawsze. Drgnęła nagle, słysząc dziwny skrzyp i rytmiczne „Krr-bum-krr-bum”, które przerwało ciszę na dworze.

- To Mammy czerpie wodę do obmycia panienek. Ciągłe je kapiemy - tłumaczyła Dilcey stawiając bańkę na stole między szklankami i butelkami lekarstw.

Scarlett roześmiała się nagle. Musiała mieć dobrze poszarpane nerwy, skoro przeraził ją skrzyp żurawia studziennego, dźwięk związany z najwcześniejszymi jej wspomnieniami. Dilcey popatrzyła na nią uważnie, z twarzą nieruchomą i bardzo poważną, ale Scarlett czuła, że Dilcey ją rozumie. Zapadła głębiej w fotel. Och, jak chętnie pozbyłaby się ciasnego gorsetu, kołnierza, który ją dławił, i pantofli pełnych piasku i żwiru, raniących jej nogi.

Żuraw skrzypiał wolno, gdy sznur nawijał się na blok, a każde skrzypnięcie sprowadzało wiadro bliżej powierzchni. Za chwilę Mammy będzie przy niej - niania Ellen i jej własna. Siedziała w milczeniu, bezmyślnie. Niemowlę, już najedzone, kwiliło, bo nie mogło trafić do piersi. Dilcey, także milcząca, podała ją dziecku i kołysząc je w ramionach, Scarlett zaś wsłuchiwała się w wolne kroki Mamy na podwórzu. Jaka wielka cisza była w powietrzu! Uszy jej chwytaly najlżejsze dźwięki.

Hali na górze zdawał się drzeć, gdy Mammy zbliżała się do pokoju chorych. Wreszcie weszła uginając się pod ciężarem dwóch drewnianych wiader, a pocziwa jej czarna twarz była smutna jak morda skrzywdzonego zwierzęcia.

Oczy jej rozjaśniły się na widok Scarlett, białe zęby błysnęły w uśmiechu, gdy stawiała wiadra na ziemi. Scarlett pobiegła ku niej i złożyła głowę na jej szerokich, obwisłych piersiach, do których tuliło się tyle już głów, czarnych i białych. „Tutaj oto jest ostoja trwałości - myślała - pozostałość po dawnym niezmiennym życiu”. Pierwsze słowa Mammy rozwiały jednak to wrażenie.

- Więc moje dziecko wróciło do domu! Och, Scarlett, co my wszyscy pocznjemy teraz, kiedy Miss Ellen leży w grobie? Och, Scarlett, dlaczego to ja także nie umarłam z Miss Ellen! Nie mogą sobie miejsca bez niej znaleźć. Nic nam teraz nie zostało, tylko nędza i smutek. Tylko ciężkie brzemię, kochanie, tylko ciężkie brzemię.

Kiedy tak Scarlett tuliła się do piersi Mammy, te dwa słowa zwróciły jej uwagę. „Ciężkie brzemię”. One to właśnie monotonna brzmiały w jej mózgu przez całe popołudnie. Teraz ze ściśniętym sercem przypominała sobie resztę pieśni:

*Jeszcze tylko kilka dni dźwigać będę ciężkie brzemię,
które nigdy nie zelżeje.*

Jeszcze tylko kilka dni - potem zwałę się na drodze...

„Które nigdy nie zelżeje” - zapisała sobie te słowa w pamięci. Czy ciężar jej nigdy nie

zelżeje? Czy powrót do Tary zamiast upragnionego wypoczynku przyniesie jej tylko zwiększone obowiązki? Wyrwała się z ramion Mammy i wyciągając rękę pogładziła ją po pomarszczonej, czarnej twarzy.

- Kochanie, twoje biedne rączki! - Mammy popatrzyła że zgrozą na pokryte pęcherzami i strupami zeschniętej krwi dłonie Scarlett. - Scarlett, a przecież powtarzałam ci ciągle a ciągle, że damę poznaje się po jej rękach... i twarz też masz opaloną!

Biedna Mammy, ciągle jeszcze pewna ważności spraw błahych, mimo że wojna i śmierć otarły się o nią tak blisko! Za chwilę powie, że młode panienki o zniszczonych rękach i piegach na twarzy nigdy nie złapią męża. Scarlett uprzedziła tę uwagę.

- Mammy, chcę, abyś mi opowiedziała wszystko o mamie. Nie mogłam znieść, aby papa mówił o niej...

Łzy pociekły z oczu Mammy, kiedy się pochyliła, aby przenieść wiadra. W milczeniu ustawiła je koło łóżka i odwijając kołdrę zaczęła zdejmować nocne koszule z Zueli i Kariny. Scarlett patrząc w chybliwym świetle na siostry dostrzegła, że Karina leży w czystej, ale podartej koszuli, a Zuela owinięta jest w stary szlafroczek z brązowego płótna, obsyty postrzępioną irlandzką koronką. Mammy płakała w milczeniu, obmywając wychudłe ciała dziewcząt kawałkiem starego fartucha.

- Scarlett, to Slattery'owie, ci Slattery'owie, ta wstrętna biała hołota, winni są śmierci pani Ellen. Ja mówiłam jej i powtarzałam, że nie warto nic robić dla „białej nędzy”, ale Miss Ellen była tak stanowcza i miała tak miękkie serce, że nie mogła odmówić nikomu, kto ją o coś prosił.

- Slattery'owie? - zapytała Scarlett ze zdziwieniem. - Co oni mają z tym wspólnego?

- U nich zaczęła się ta choroba - Mammy ściereczką wskazała na dwie nagie dziewczyny, z których woda ściekała na wilgotne prześcieradło. - Córka pani Slattery, Emma, zachorowała na to, więc pani Slattery przybiegła w te pędy do Miss Ellen, jak zawsze, kiedy się u nich coś wydarzyło. Dlaczego sama swego dziecka nie doglądała? Miss Ellen miała i tak więcej ciężarów, niż mogła udźwignąć. Ale pojechała do nich i pielęgnowała tę Emmę. A wcale sama zdrowa nie była, Scarlett. Matka twoja już od dawna nie czuła się dobrze. Nie mieliśmy tu dość jedzenia, bo wojsko kradło nam wszystko. Miss Ellen zawsze jadła jak ptaszek. A ja mówiłam jej i powtarzałam, żeby dała spokój tej białej nędzy, ale nic mnie nie chciała słuchać. Więc potem, kiedy Emmie było już lepiej, położyła się panienka Karina. Tak, tyfus przeleciał przez drogę i złapał Karinę, potem położyła się Zuela. Więc Miss Ellen zaczęła także leczyć panienki.

Tymczasem niedaleko nas były już walki, Jankesi byli za rzeką, myśmy nie wiedzieli,

co się z nami stanie, parobcy uciekali co noc, ja chodziłam prawie bez głowy. Ale Miss Ellen była zimna jak ogórek. Martwiła się tylko strasznie o panienki, bo nie można było dostać lekarstw ani nic. A jednej nocy, kiedyśmy obmyły panienki może już z dziesięć razy, powiedziała do mnie: „Nianiu, oddałabym duszę diabłu za trochę lodu na głowy moich dziewczynek...”

Nie pozwalała tu wchodzić panu Geraldowi ani Róży, ani Tinie, nikomu, tylko mnie, bo ja miałam kiedyś tyfus. A potem i ją samą zmogło, Scarlett, a ja od początku wiedziałam, że z tego nie wyjdzie.

Mammy wyprostowała się i otarła fartuchem zapłakane oczy.

- Szybko ją zmiotło, Scarlett, i nawet ten miły jankeski doktor nic jej nie zdołał pomóc. Nie wiedziała wcale, co się z nią dzieje. Wołałam ją i mówiłam do niej, ale nie poznawała swojej starej niani.

- Czy... czy wspominała mnie, czy mnie wołała?

- Nie, kochanie. Zdawało się jej, że znowu jest młodą dziewczynką w Savannah. Nikogo nie wołała po imieniu.

Dilcey drgnęła i ułożyła sobie śpiące dziecko na kolanach.

- Miss Scarlett, owszem, wołała. Wołała kogoś.

- Ty lepiej zamknij buzię, indiańska Murzynko! - zwróciła się Mammy z gwałtowną pogrózką do Dilcey.

- Cicho, Mammy! Kogo wołała, Dilcey? Tatusia?

- Nie. Nie twego tatusia. Było to tej nocy, kiedy spaliła się bawełna...

- Czy bawełna spalona? Powiedźcie mi zaraz!

- Tak, spalili ją wszystką. Żołnierze wywlekli ją z szopy na podwórze i zaczęli wołać: „Teraz zapalimy największy stos w całej Georgii!” - i spalili ją.

Trzyletni zbiór bawełny - sto pięćdziesiąt tysięcy dolarów poszło z dymem!

- I ogień oświetlił wszystko jak w dzień. Baliśmy się, że dom się zapali, a w tym pokoju tak było jasno, że można by szpilkę znaleźć na podłodze. A kiedy widać było ogień za oknem, zdawało się, jakby się Miss Ellen przebudziła, bo usiadła na łóżku i zaczęła wołać głośno, raz za razem: „Filip! Filip!” Nigdy przedtem nie słyszałam takiego imienia, ale było to na pewno imię i ona je wołała...

Mammy stała jak skamieniała i bez słowa patrzyła na Dilcey. Scarlett ukryła twarz w dłoniach. Filip - któż to był i czym był dla mamy, że umarła z jego imieniem na ustach?

Długa droga z Atlanty dobiegła wreszcie końca. Kresem jej, zamiast ramion Ellen, stał się nagi mur. Odtąd już nigdy Scarlett nie będzie spoczywała bezpieczna pod dachem ojca,

otoczona miłością matczyną jak miękkim puchem. Nie miała już teraz bezpiecznej przystani, do której mogłaby wrócić. Cofnięcie się ani odwrót nie mogły już zmienić faktu, że znalazła się w ślepych zaułku. Nie było nikogo, na którego barki mogłaby złożyć część swego brzemienia. Ojciec był stary i otepiały, siostry chore. Melania wątła i słaba, dzieci bezradne, Murzyni zaś spoglądali na nią z dziecięcą ufnością, czepiając się jej sukien, wiedząc, że córka Ellen będzie dla nich taką ostoją, jaką była Ellen.

Za oknem, w słabym blasku księżycy, widziała przed sobą Tarę. Murzyni uciekli, pola były zniszczone, spichrze puste. Plantacja krwawiła przed jej oczyma jak ciało, własne jej ciało - wolno tracące krew. To był kres jej drogi: drżący starzec, choroby, głodne usta i bezradne ręce, ciągnące ją za suknię. U kresu tego stała ona, Scarlett O'Hara Hamilton, dziewiętnastoletnia wdowa z małym dzieckiem...

Co mogła poradzić? Ciotka Pitty i Burrowie z Macon mogli wziąć Melanię z dzieckiem do siebie. Jeżeli dziewczęta wyzdrowieją, będzie się nimi musiała zaopiekować rodzina Ellen, czy zechce, czy nie. Ona zaś i Gerald będą się mogli zwrócić do wujów Andrzeja i Jakuba o pomoc.

Popatrzyła na chude ciała siostr, okryte wilgotnym prześcieradłem, ciemnym od wody. Nie lubiła Zueli. Teraz uświadomiła to sobie wyraźnie. Nigdy jej nie lubiła. Nie kochała Kariny - nie potrafiła kochać istot słabych. Obie były jednak tej samej co ona krwi, były częścią Tary. Nie, nie mogła dopuścić do tego, aby pędziły życie w domu swoich ciotek jako ubogie krewne. O'Harowie mieliby się stać ubogimi krewnymi, żyjącymi łaskawym chlebem i poniewierką? Och, nigdy!

Czy naprawdę nie było żadnego wyjścia z tej ślepej uliczki? Zmęczony mózg Scarlett pracował tak wolno... Podniosła ręce do głowy z takim trudem, jak gdyby to nie powietrze, a woda stawiała opór jej ramionom. Wzięła ze stołu bańkę i zajrzała do niej. Na dnie jej było jeszcze trochę wódki. W niejasnym świetle trudno było określić dokładnie, ile. Dziwne, że ostry zapach nie raził jej teraz wcale. Piła wolno, ale trunek nie palił jej już, czuła tylko przyjemne ciepło.

Odstawiła pustą bańkę i rozejrzała się dokoła. To wszystko musiało być snem - pokój pełen dymu, wychudłe dziewczęta, bezkształtna i olbrzymia Mammy, siedząca przy łóżku, Dilcey, nieruchoma jak brązowa statua, z różowym, śpiącym przy piersi maleństwem - snem, z którego zbudzi ją zapach szynki, smażonej w kuchni, beztroski śmiech Murzynów, skrzyp jadących na pola wozów i dłoń Ellen potrząsająca lekko jej ramieniem.

Potem odkryła, że leży we własnym pokoju, na własnym łóżku, że blade światło księżycy przesiewa się przez mrok, a Mammy i Dilcey rozbierają ją ostrożnie. Gorset nie

męczył jej już teraz, mogła głęboko i spokojnie oddychać całymi płucami i przeponą. Czuła, że ściągają jej delikatnie pończochy, i usłyszała, że Mammy, obmywając jej poranione stopy, mamrocze niewyraźne słowa pociechy. Jaka chłodna była woda, jak dobrze było leżeć na miękkiej pościeli, pozwalać się rozbierać jak dziecko. Wzdychała, rozprężyła mięśnie, a po jakimś czasie, po roku lub sekundzie została sama, pokój zaś stał się jaśniejszy, bo promienie księżycy padały teraz na łóżko.

Nie wiedziała, że jest pijana zmęczeniem i wódką. Czuła tylko, że opuściła znużone ciało i unosi się gdzieś nad nim, gdzie nie ma bólu i zmęczenia, że widzi wszystko z nadludzką jasnością.

Oglądała świat nowymi oczyma, ponieważ gdzieś, w długiej drodze do Tary, zostawiła swoje dzieciństwo. Nie była już teraz ulepiona z miękkiej gliny, na której każde nowe wrażenie zostawia ślad. Glina stwardniała o jakiegoś porze tego nieokreślonego dnia, który trwał tysiąc lat. Po raz ostatni dzisiaj dawała sobą powodować jak dziecko. Odtąd będzie już kobietą, której pierwsza młodość minęła.

Nie, nie mogła i nie chciała się zwracać o pomoc do rodziny Geralda czy Ellen. O'Harowie nie korzystają z niczyjej łaski. O'Harowie potrafią sami dbać o siebie. Brzemie, jakie musiała dźwigać, należało wyłącznie do niej - ciężary przeznaczone są dla dość silnych do ich noszenia ramion. Myślała bez zdziwienia, patrząc na wszystko z wysoka, że ramiona jej są dość silne, aby znieść teraz wszystko, bo zniosły już najgorsze, co mogło jej się zdarzyć. Nie wolno jej opuścić Tary. Była w większej mierze własnością czerwonych pól niż pola jej własnością. Korzeniami swymi wrosła głęboko w czerwoną jak krew ziemię i niczym bawełna czerpała z niej soki. Zostanie w Tarze i jakoś ją utrzyma, utrzyma ojca i siostry, Melanię, dziecko Ashleya i Murzynów. Jutro - och, jutro!... Jutro założy jarzmo na szyję. Jutro będzie musiała zrobić tyle rzeczy. Iść do Dwunastu Dębów i do majątku MacIntoshów i przekonać się, czy nie znajdzie czegoś w spustoszonej ogrodzie; iść na moczary nadrzeczne i poszukać, czy nie ma tam świń lub drobiu; dotrzeć do Jonesboro i Lovejoy z biżuterią Ellen - tam muszą być ludzie, którzy sprzedadzą jej trochę żywności. Jutro, jutro - mózg jej reagował coraz wolniej i wolniej, jak zegar, który przestaje działać, ale jasność wizji została.

Naraz często powtarzane opowiadania rodzinne, którym przysłuchiwała się od dzieciństwa znudzona, niecierpliwa, rozumiejąc je tylko na wpół, stały się klarownie jasne. Gerald bez grosza założył Tarę; Ellen przeboleła jakiś tajemniczy żal; dziadek Robillard przeżywszy upadek tronu Napoleona stworzył nową fortunę na żyznej ziemi Georgii; pradziadek Prudhomme wykarczował sobie małe królestwo w dżungli haitańskiej, stracił je, po czym odzyskał powszechny szacunek w Savannah. Długa linia przodków Scarlett walczyła

wraz z powstańcami irlandzkimi o wolność Irlandii i ginęła na szubienicy. O'Harowie zaś, którzy padli pod Boyne, walczyli do ostatka o swoją własność.

Wszyscy przeżyli niszczące ciosy, ale nie ugięli się pod nimi. Nie złamał ich upadek cesarstwa ani sztylety zbuntowanych niewolników; nie złamała wojna, bunty, wygnania i konfiskaty. Zły los zginał im czasem karki, serc nie złamał nigdy. Nie narzekali - walczyli. A kiedy opuszczały ich siły, umierali wyczerpani, ale nieugięci. Wszyscy ci dawni ludzie, których krew płynęła w żyłach Scarlett, zdawali się cicho poruszać w świetle księżycowym. Nie dziwiła się wcale, że widzi tych swoich przodków, którzy najgorsze przeciwności losu przekuwali na lepsze. Tara była jej przeznaczeniem - walką, którą musi wygrać.

Obróciła się sennie na bok. Powolna, pełzająca czarność zalała jej duszę. Czy cienie te stały koło niej naprawdę, czy szeptały jej słowa otuchy, czy też śniła o tym tylko?

- Wszystko jedno, czy jesteście tu koło mnie, czy nie ma was wcale - wyszeptała przez sen - dobranoc... i dziękuję wam za wszystko.

ROZDZIAŁ XXV

Następnego ranka ciało Scarlett było tak sztywne i zbolące od wielu mil chodzenia i wstrząsów na wozie, że każdy ruch sprawiał jej nieznosny ból. Twarz miała czerwoną od opalenizny, dłonie pokryte pęcherzami, język obłożony, gardło wyschnięte, jak gdyby wypalone i pragnienie takie, że nie mogła go niczym ugasić. Czaszka jej pękała, kręciło się jej w głowie i czuła mdłości, jak w pierwszych tygodniach ciąży. Nie mogła znieść zapachu yamów, które podano jej na śniadanie. Gerald mógłby jej łatwo wytłumaczyć, że są to naturalne skutki pierwszego w jej życiu nadużycia alkoholu, ale Gerald niczego nie spostrzegł. Prezydował przy stole - siwy staruszek, o błędnych, wyblakłych oczach - i patrzył na drzwi z głową przechyloną na bok, aby prędzej usłyszeć szelest spódnic Ellen, z daleka już poczuć zapach werbeny.

Kiedy Scarlett usiadła, wyszeptał: - Poczekamy na panią O'Hara. Spóźnia się jakoś. - Scarlett podniosła obolałą głowę i popatrzyła na ojca z przerażeniem i niedowierzaniem, spotkała jednak wzrok Mammy, która stała za krzesłem Geralda. Wstała od stołu, podniosła dłoń do gardła i spojrzała raz jeszcze na ojca. Patrzył na nią nieprzytomnie; ręce mu drżały, a głowa chwiała się leciutko.

Do owej chwili nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo liczyła na to, że Gerald jednak pokieruje nią, powie jej, co ma robić. Ale teraz... Poprzedniej nocy wydawał się prawie normalny. Wprawdzie nie przejawiał dawnego temperamentu i żywości, ale mówił przynajmniej do rzeczy. Podwójny cios, jakim było najście Jankesów i śmierć Ellen, odebrał mu rozum. Scarlett chciała coś powiedzieć, ale Mammy zaczęła gwałtownie potrząsać głową i ocierać fartuchem czerwone oczy.

„Och, czy papa naprawdę stracił rozum? - pomyślała i wydawało jej się, że głowa jej pęknie od tego nowego strapienia. - Nie, nie. Po prostu oszołomiony jest teraz tym wszystkim. Wróci do siebie. Musi do siebie wrócić. Co ja pocznę, jeżeli już taki zostanie? Nie mogę teraz o tym myśleć. Nie mogę myśleć ani o nim, ani o mamie, ani o żadnej z tych strasznych rzeczy. Nie, nie mogłabym tego teraz przetrzymać. Zbyt wiele jest innych spraw do rozstrzygnięcia, o których potrafię myśleć tylko wtedy, gdy nie będę myślała o rzeczach nieodwołalnych”.

Nie tknąwszy jedzenia wyszła z jadalni na kuchenny ganek, gdzie na schodkach siedział Pork, boso, w strzępach swojej niegdyś najlepszej liberii, i łupał orzeszki ziemne. W głowie jej biły młoty, a jaskrawe światło słoneczne kłuło ją w oczy. Utrzymanie się na nogach

wymagało tak wielkiego wysiłku woli, że starała się mówić bardzo lakonicznie, nie przestrzegając form elementarnej grzeczności, którą Ellen nauczyła ją stosować do Murzynów.

Zadawała pytania tak oschle, a polecenia dawała tak rozkazująco, że Pork wysoko podniósł brwi ze zdumienia. Miss Ellen nigdy tak nie mówiła do nikogo, nawet jeżeli przyłapała na kradzeniu kur czy arbuzów. Scarlett znowu zapytała o stan pól, ogrodu, o żywy inwentarz, a zielone jej oczy miały twardy, ostry blask, którego Pork nigdy w nich dotąd nie widział.

- Proszę pani, koń zdechł w nocy. Leżał tam, gdzie go przywiązałem, z nosem wetkniętym w przewrócone wiadro od wody. Nie, krowa żyje. To panienka nic nie wie? Ocielila się w nocy. Dlatego tak ryczała.

- Twoja Prissy będzie doskonałą akuszerką - zauważyła Scarlett z ironią. - Mówiła, że krowa dlatego ryczy, że trzeba ją wydoić.

- Ale bo, proszę pani, Prissy nie ma być akuszerką od krów - rzekł Pork taktownie. - A na zrządzenia boskie nie trzeba sarkać, bo to cielę znaczy, że krowa będzie miała dużo mleka i śmietanki dla panienek, a jankeski doktor powiedział, że im tego potrzeba.

- Dobrze już, dalej. Czy został nam jakiś inwentarz?

- Nie. Tylko jedna stara maciora i jej młode. Wygnałem je na moczary tego dnia, jak Jankesi przyszli, ale Bóg wie, jak je stamtąd sprowadzić. To bardzo zła świnia.

- Już ją jakoś sprowadzisz. Zabierz się zaraz z Prissy do jej odszukania.

Pork był dotknięty i oburzony.

- Miss Scarlett, to zajęcie dla parobka. Ja zawsze byłem Murzynem do pokojów.

W oczach Scarlett pojawił się zły uśmiech.

- Albo sprowadzicie we dwoje tę maciorę, albo pójdziecie stąd, jak poszli parobcy.

Łzy pojawiły się w oczach Porka. Ach, żeby to pani Ellen była tutaj! Ona rozumiała wszystko i zdawała sobie sprawę, jaka przepaść dzieli powinności parobka od obowiązków Murzyna do pokojów.

- Iść stąd, Miss Scarlett? A dokąd ja miałbym pójść, panienko?

- Nie wiem i mało mnie to obchodzi. Ale wszyscy w Tarze, którzy nie zechcą pracować, będą musieli iść za Jankesami. Możesz to ode mnie wszystkim powiedzieć.

- Dobrze, proszę pani.

- A co z kukurydzą i bawełną, Pork?

- Z kukurydzą? Na Boga, Miss Scarlett, przecież oni w kukurydzę puścili konie, a tę resztę, której konie nie zjadły i nie zniszczyły, zabrali. A bawełnę potratowały furgony i

armaty, zostało tylko kilka akrów, w dole, nad strumykiem, bo tych nie zauważyli. Ale o tę bawełnę nie warto się kłopotać, bo tam nie ma jej więcej niż trzy bele.

Trzy bele. Scarlett przypomniała sobie setki bel, które rodziła Tara, i serce zapiekło ją znowu; Trzy bele. Nędzarze Slattery mieli nie o wiele mniej. Co gorsza, była jeszcze kwestia podatków. Rząd Konfederacji przyjmował za podatki bawełnę zamiast pieniędzy, ale trzy bele nie starczą nawet i na to. Mało zresztą przyjdzie z bawełny i jej, i Konfederacji, bo parobków i tak nie było i nie było komu jej zbierać.

„O tym także nie będę myślała teraz - powiedziała sobie. - Podatki nie są sprawą kobiety. Tymi sprawami powinien się zająć papa, ale papa... o papie pomyślę kiedy indziej. Konfederacja będzie się musiała obejść bez moich podatków. Teraz musimy mieć przede wszystkim coś do jedzenia”.

- Pork, czy był ktoś z was w Dwunastu Dębach albo u MacIntoshów, aby przekonać się, czy tam nic nie zostało w ogrodach?

- Nie, proszę pani! Myśmy nie wychodzili z Tary. Jankesi mogliby nas złapać.

- Poślę Dilcey do MacIntoshów. Może ona tam coś znajdzie. Ja pójdę do Dwunastu Dębów.

- Z kim, panienko?

- Sama. Mammy musi zostać z panienkami, a pan Gerald nie może iść.

Pork zaczął przytaczać argumenty, które do reszty rozwścieczyły Scarlett. W Dwunastu Dębach mogą być Jankesi albo źli Murzyni. Nie powinna tam sama chodzić.

- Dość tego, Pork. Powiedz Dilcey, aby poszła natychmiast. A ty i Prissy sprowadźcie tu maciorę i jej małe - rzekła krótko i wykręciła się na pięcie.

Stary czepek Mammy, spłowiwały, ale czysty, wisiał w kuchni na kołku. Scarlett włożyła go przypominając sobie, jak z poprzedniego życia, kapelusz z fryzowanym zielonym piórem, który Rett przywiózł jej kiedyś z Paryża. Wzięła duży wiklinowy koszyk i wolno zeszła na dół, bo każdy krok zdawał się łamać jej czaszkę, zginać kręgosłup.

Droga do rzeki, czerwona i spalona od słońca, prowadziła między zniszczonymi polami bawełny. Nie było przy niej drzew, które by dawały cień; słońce paliło Scarlett przez czepek Mammy, mimo że był on z grubego, podwójnego perkalu, kurz, wzbijany jej stopami, osiadał jej w nosie i w gardle i suszył je tak, iż zdawało się, że gdy przemówi, pękną jej śluzówki. Szosa pocięta była koleinami od ciężkich kół armatnich, nawet czerwone rowy po obu jej stronach rozorane były głęboko. Krzaczki bawełny wkopane były w ziemię przez kawalerię i piechotę, które artyleria zepchnęła z wąskiej drogi na pola. Tu i ówdzie na szosie i polach leżały kawałki uprzęży, sprzączki, manierki, spłaszczone kołami i przydeptane kopytami,

guziki, niebieskie czapki, stare skarpetki, kawały pokrwawionych szmat - odpadki po armii w marszu.

Scarlett minęła grupę cedrów i niski mur z cegieł, okalający cmentarzyk rodzinny, starając się nie myśleć o nowym grobie wykopanym obok trzech małych mogiłek jej braciszków. Och, Ellen... Powlokła się na szczyt zapyłonego pagórka, minęła kupę popiołu i kikut komina - pozostałości po domu Slatterych - i pomyślała dziko, że dobrze by było, aby z całego ich plemienia został tylko popiół. Gdyby nie rodzina Slatterych... gdyby nie ta wstrętna Emma, która miała bękartą z dawnym ich rządcą - Ellen żyłaby dotąd.

Jęknęła, bo ostry kamyk zranił jej spuchniętą stopę. Co ona tu właściwie robi? Dlaczego Scarlett O'Hara, piękność powiatu, chluba Tary, wlecze się niemal boso po tej wyboistej drodze? Małe jej stopy stworzone są przecież do tańca, nie do marszu, lekkie pantofelki - do wyglądanego spod kolorowych jedwabów sukien, nie do zbierania kurzu i ostrego żwiru. Urodziła się, aby być pieszczona i psuta - a teraz oto, chora i obdarta, musi szukać żywności w ogrodach sąsiadów, aby nie umrzeć z głodu.

U stóp pagórka była rzeka. Splątane gałęzie stojących nad nią drzew wyglądały chłodno i spokojnie. Scarlett ciężko usiadła na brzegu i ściągając resztki pantofli i pończoch zanurzyła rozpalone stopy w chłodnej wodzie. Dobrze byłoby móc posiedzieć tutaj przez cały dzień, z dala od bezradnych oczu mieszkańców Tary, tu, gdzie tylko szum liści i bulgot wody przerywał ciszę. Po chwili niechętnie włożyła pończochy i trzewiki i powlokła się dalej pod drzewami, wzdłuż brzegu, mokrego od mchu. Jankesi spalili most, pamiętała jednak, że o sto jardów dalej znajduje się kładka w miejscu, gdzie łózysko rzeki się zwęża. Przeszła przez nią ostrożnie i poszła pod górę. Do Dwunastu Dębów zostało jej tylko pół mili.

Stare dęby wyglądały tak jak dawniej, jak za czasów Indian, ale liście ich były teraz brązowe od ognia, a gałęzie opalone i ponadłamywane. Za nimi widać było ruiny domu Jana Wilkesa, spopielone resztki okazałego dworu, którego fasada o białych kolumnach wieńczyła pagórek. Głęboka jama, kiedyś będąca piwnicą, fundamenty z kamienia polnego i dwa wysokie kominy były wszystkim, co po domu zostało. Jedna na pół spalona kolumna upadła na trawnik, przygniatając krzaki jaśminu.

Scarlett usiadła na niej, zbyt przygnębiona tym widokiem, aby iść dalej. Ruina Dwunastu Dębów dotknęła ją głębiej, niż wszystko, co widziała dotąd. Tutaj oto, w pyle u jej stóp, leżała duma Wilkesów. Taki był kres tego gościnnego, miłego domu, gdzie zawsze przyjmowano ją serdecznie, domu, którego chciała być panią. Tutaj tańczyła, bawiła się i flirtowała; tutaj z bólem w sercu i zazdrością widziała, jak Melania uśmiecha się do Ashleya. Tutaj także, w chłodnym cieniu drzew, Karol Hamilton gwałtownie ucisnął jej dłoń, kiedy

przyjęła jego oświadczenia.

„Och, Ashleyu - pomyślała - mam nadzieję, że nie żyjesz! Nie zniosłabym myśli, abyś miał to kiedyś oglądać!”

Ashley tutaj brał ślub, ale syn jego i syn jego syna nigdy już nie wprowadzą tu swoich oblubienic. Nie będzie już ślubów ani narodzin w domu, który Scarlett tak kochała, którym tak bardzo chciała rządzić. Dom przestał istnieć i wydawało jej się teraz, jak gdyby pod jego popiołami legli wszyscy Wilkesowie.

- Nie mogę teraz o tym myśleć. Nie mogę tego znieść. Pomyślę o tym później - rzekła na głos, odwracając wzrok.

Szukając ogrodu warzywnego przeszła z trudem przez ruiny, przez zdeptane klomby róż, niegdyś z taką czułością pielęgnowane przez panny Wilkes i dalej - przez podwórze, ruiny wędzarni, szop i kurników. Płot dokoła ogrodu został wyrwany, a niegdyś świetnie utrzymane grzędy doświadczyły tego samego losu co w Tarze. Miękka ziemia poznaczona była odciskami kopyt i ciężkich kół, jarzyny wdeptane głęboko w ziemię. Nie miała tutaj czego szukać.

Wróciła przez podwórze i po ścieżce poszła w stronę cichego rzędu bielonych chat murzyńskich, wołając „Hola!” Nie odpowiedział jej żaden głos. Nawet pies nie zaszczekał. Murzyni Wilkesów uciekli prawdopodobnie albo poszli za Jankesami. Wiedziała, że każdy z niewolników miał własny ogródek, chciała się przekonać, czy zostało coś jeszcze.

Poszukiwania jej zostały uwieńczone powodzeniem, była jednak zbyt zmęczona, aby cieszyć się widokiem rzepy i kapusty, zwiędłej z powodu suszy, ale całej, oraz grochu i fasoli, poźółkłych, ale jeszcze jadalnych. Usiadła na ziemi i zaczęła kopać drżącymi rękoma, wolno napelniając koszyk. W Tarze będzie dzisiaj dobra kolacja, mimo że brakuje tłuszczu do doprawienia jarzyn. Doda się może trochę tego boczku, którego Dilcey używała do oświetlenia. Będzie trzeba powiedzieć Dilcey, aby zaczęła używać smolnych główki, a tłuszcz zostawiła do gotowania.

Tuż przy schodach jednej z chat odkryła małą grządkę rzodkiewek i poczuła nagły głód. Ostra rzodkiew o piekącym smaku powinna jej doskonale zrobić. Ledwie otrząsnawszy rzodkiew z piasku, odgryzła połowę i zaczęła szybko jeść. Rzodkiew była stara, twarda i tak gorzka, że łzy nabiegły Scarlett do oczu. Ledwie ją przełknęła, gdy zbuntował się jej pusty żołądek; musiała się położyć w miękkim piasku i zwymiotować.

Zapach ciał murzyńskich, dochodzący z chaty, potęgował jeszcze jej mdłości. Nie mając dość siły, aby je zwalczyć, wymiotowała bez przerwy, a chata i drzewa szybko wirowały dokoła niej.

Po upływie długiej chwili poczuła, że leży twarzą na ziemi miękkiej i wygodnej jak puchowa poduszka: z trudem poczęła zbierać myśli. To ona, Scarlett O'Hara, leżała przed chatą murzyńską, pośród ruin, zbyt osłabiona i chora, aby się poruszyć, a nikt w świecie nie wiedział o tym ani się tym nie przejmował. Nikogo by to zresztą nie obeszło teraz, bo każdy miał zbyt wiele własnych kłopotów, aby się jeszcze i o nią troszczyć. I wszystko to naprawdę działo się z nią, Scarlett O'Hara, która nigdy sama nie podnosiła z podłogi rozrzuconych pończoch ani nie zawiązywała sznurowadeł - Scarlett, której bóle głowy i złe nastroje były zawsze przedmiotem najczulszej troski.

Gdy tak leżała bezwładnie, zbyt słaba, aby walczyć ze wspomnieniami i cierpieniem, opadły ją troski i zaczęły krążyć koło niej jak kruki nad padliną. Nie miała teraz sił, aby sobie powiedzieć: „Pomyślę później, kiedy będę mogła lepiej to znieść”. Zupełnie, co prawda, nie mogła znieść swoich myśli, ale wbrew woli musiała myśleć o swoich najbliższych. Myśli szarpały jej mózg jak szpony i ostre dzioby. Przez niewiadomą chwilę leżała w upale słonecznym bez ruchu, z twarzą zarytą w piasek, rozpamiętywała sprawy minione, ludzi, którzy zmarli, życie, które przeminęło na zawsze - i spoglądała w ciemne perspektywy twardej przyszłości.

Kiedy wreszcie wstała i znowu spojrzała na czarne ruiny Dwunastu Dębów, głowę miała podniesioną do góry, a z twarzy jej uleciał na zawsze wyraz młodości, świeżej, piękności i dobroci. Sprawy minione należały do przeszłości. Zmarli nie powstaną już nigdy. Leniwe bogactwo dawnych dni przeminęło, aby nigdy nie wrócić. W chwili gdy zakładała na rękę ciężki koszyk, Scarlett wiedziała, czego chce i jakie będzie jej życie.

Nie było powrotu, więc musiała iść naprzód.

W ciągu następnych pięćdziesięciu lat na przestrzeni całego Południa setki kobiet o zgorzkniałych oczach, patrzących wstecz na minione czasy i zmarłych ludzi, wywoływały bolesne i zbędne wspomnienia, a biedę znosiły z gorzką dumą, bo żyły przeszłością. Scarlett nie oglądała się nigdy za siebie.

Popatrzyła na szerniałe kamienie i po raz ostatni przywołała przed oczy obraz Dwunastu Dębów, jaki znała niegdyś - dom bogaty i wyniosły, symbol pewnej klasy ludzi i pewnej stopy życiowej. Potem, uginając się pod ciężarem kosza, puściła się w drogę powrotną do Tary.

Głód znowu zaszarpał jej pustym żołądkiem, powiedziała więc głośno: - Boga biorę na świadka, Boga biorę na świadka, że Jankesi nie pokonają mnie nigdy. Przetrwam to wszystko, a jak wojna się skończy, nigdy w życiu nie będę więcej głodna. Ani ja, ani nikt z moich bliskich. Choćbym miała kraść i zabijać - Bóg mi świadkiem, że nigdy więcej głodna nie

będę.

W następnych dniach Tara mogła uchodzić za bezludną wyspę Robinsona Crusoe, tak była cicha, tak zupełnie odcięta od reszty świata. Świat odległy był od niej zaledwie o kilka mil, ale mogło się wydawać, że całe przestrzenie obszarów wodnych rozciągają się między Tarą a Jonesboro, Fayetteville czy Lovejoy, nawet między Tarą a plantacjami sąsiadów. Śmierć starego konia pozbawiła ich jedyne go środka komunikacji, a nikt nie miał czasu ani siły pieszko przebywać czerwone mile.

Chwilami, w dniach pracy do upadłego, rozpaczliwej walki o żywność i ciągłych trosk o trzy chore kobiety, Scarlett nagle wyteżęła słuch - czy nie usłyszy od strony chat dobrze znanego, ostrego śmiechu Murzyniełek, skrzypu wozów powracających z pól, grzmiącego tętentu ogiera Geralda, który mknął przez pastwisko, zajeżdżania powozów przed dom i wesołych głosów sąsiadów wstępujących na popołudniowe plotki. Na próżno jednak nasłuchiwała. Droga była cicha i pusta i nie wzbijały się na niej tumany czerwonego kurzu, wróżące przyjazd gości. Tara była wyspą na morzu czerwonych pól i falistych zielonych pagórków.

Gdzieś daleko był świat i ludzie, którzy jedli i spali bezpiecznie pod własnym dachem. Gdzieś daleko dziewczęta w trzy razy nicowanych sukniach wesoło flirtowały i śpiewały: „Gdy się skończy straszna wojna”, podobnie jak Scarlett niewiele tygodni temu. Gdzieś daleko toczyła się wojna, grzmiąły armaty, paliły się miasta, a mężczyźni umierali w szpitalach, wśród smrodliwych, mdłych zapachów. Gdzieś daleko maszerowała bosa armia w brudnych samodziłach, walczyła, spała - głodna i pełna znużenia, które zastępuje stracone nadzieje. Gdzie indziej znowu wzgórze Georgii niebieszczyły się dobrze odżywionymi Jankesami na sytych koniach o lśniącej sierści.

Poza Tarą wojna i cały świat. Na plantacji jednak wojna i świat istniały tylko jako wspomnienia, które należy odganiać, gdy w chwilach wyczerpania zaczynają niepokoić człowieka. Świat otaczający odsuwał się na daleki plan wobec potrzeb pustych lub na wpół pustych żołądków, życie zaś ograniczało się do dwóch pokrewnych myśli: o pożywieniu i o tym, jak je zdobyć.

Jedzenie! Jedzenie! Dlaczego żołądek miał lepszą pamięć niż dusza? Scarlett umiała odgonić cierpienie, ale nie głód. Co ranka, leżąc w półśnie, nie pamiętając jeszcze o wojnie i głodzie, kulila się sennie na posłaniu i czekała, aż dojdzie ją przyjemna woń smażonej szynki i świeżych bułek. I co ranka tak bardzo węszyła zapachy jedzenia, że budziła się naprawdę.

Żywność Tary składała się teraz z jabłek, bulw, orzeszków ziemnych i mleka, ale nigdy nie było dość nawet i tego. Na widok takiego samego jedzenia trzy razy w ciągu dnia, Scarlett

musiała wspominać dawne czasy, dawne posiłki, stół oświetlony kandelabrami i wonne zapachy w powietrzu.

Jakże mało dbali wtedy o jedzenie, ile się marnowało! Bułki, placki kukurydziane, sucharki i wafle ociekające masłem - wszystko to spożywano na raz. Szynka stała na jednym końcu stołu, kurczęta pieczone na drugim, jarzyny pływały w sosie lśniącym tłustością, na porcelanie w kwiatki leżały stosy fasoli, smażone dynie, marchewka w sosie śmietanowym tak gęstym, że można go było nożem krajać. A potem były trzy desery, aby każdy miał to, co lubi: legumina czekoladowa, galaretka waniliowa i tort owocowy z kremem. Wspomnienie tych smacznych posiłków potrafiło sprowadzać łzy do oczu Scarlett - czego nie zdołała uczynić śmierć ani wojna - wywoływało w jej pustym żołądku głodowe mdłości. Apetyt, nad którym Mammy zawsze tak ubolewała, zdrowy apetyt dziewiętnastoletniej dziewczyny wzmożł się teraz trzykrotnie z powodu ciężkiej i bezustannej pracy, której dawniej nie znała.

Ale nie tylko ona jedna bywała głodna w Tarze; gdziekolwiek spojrzeła, wzrok jej padał na głodne twarze, białe i czarne. Wkrótce już i Karina, i Zuela zaczęły zdradzać nienasycony apetyt rekonwalescentek. Mały Wade skomlał monotonna: - Wade nie chce yamów. Wade głodny.

Inni także sarkali:

- Miss Scarlett, jak nie dostanę więcej do jedzenia, nie będę mogła karmić dzieci.
- Miss Scarlett, nie będę mógł rąbać drzewa, jak będę głodny.
- Kochanie, kiedy już będzie prawdziwe jedzenie?
- Córko, czy musimy jeść bulwy na obiad?

Tylko Melania nie skarżyła się nigdy. Melania, której twarz stawała się co dzień mizerniejsza i bledsza i nawet we śnie nosiła wyraz bólu.

- Nie jestem dziś głodna, Scarlett. Daj Dilcey moją porcję mleka. Ona karmi. Chorzy ludzie nie mają apetytu.

Ta jej łagodna wytrwałość więcej denerwowała Scarlett niż dokuczliwe jęklive pytania reszty domowników. Tamtych mogła uspokoić gorzkim sarkazmem - i robiła to stale - wobec dobroci Melanii była jednak bezradna i pełna urazy. Gerald, Murzyni i Wade garnęli się teraz do Melanii, bo mimo swego osłabienia była dla nich dobra i tkliwa - w przeciwieństwie do Scarlett, która nie umiała i teraz okazać żadnego uczucia.

Wade zwłaszcza ciągle przesiadywał w pokoju Melanii. Działo się z nim coś niedobrego, ale Scarlett nie miała czasu zastanawiać się nad tym. Uwierzyła Mammy na słowo, że chłopczyk ma robaki, i nakarmiła go miksturą z ziółek i kory, którą Ellen dawała na robaki dzieciom murzyńskim. Po zażyciu lekarstwa dzieciak stał się jeszcze bledszy. W

dniach owych Scarlett niewiele o nim myślała. Stanowił dla niej jeszcze jeden kłopot, był jeszcze jedną gębą do nakarmienia. Kiedyś, w przyszłości, gdy przeminie wreszcie ten wyjątkowy okres, będzie się ze swoim synkiem bawiła, będzie mu opowiadała bajeczki i uczyła go abecadła. Teraz nie miała na to ani czasu, ani ochoty. Ponieważ zaś plątał się zawsze koło niej w chwilach, gdy była najbardziej zmęczona i zatroskana, często ofukiwała go ostro.

Złościło ją, że głośnie jej nagany wywołują w okrągłych oczach dziecka wyraz tak ostrego strachu - Wade wyglądał jak niedorozwinięty, kiedy się czegoś przelał. Scarlett nie zdawała sobie sprawy, że mały chłopiec żyje w stałym przerażeniu, którego by nawet człowiek dorosły nie mógł znieść. Strach nie opuszczał Wade'a nigdy, przenikał go i sprawiał, że dzieciak budził się w nocy z krzykiem. Niespodziany szmer czy głośniejsze słowo przyprawiało go o drżenie, bo w głowie jego szmery i podniesione głosy skojarzyły się nierozdzielnie z Jankesami, Jankesów zaś bał się bardziej niż Prissy upiorów.

Do czasu obłączenia znał tylko szczęśliwe, spokojne, uregulowane życie. Mimo że matka nigdy nie poświęcała mu wiele uwagi, wszyscy pieścili go i lubili - do owej nocy, gdy wyrwany ze snu zobaczył niebo w płomieniach i usłyszał ogłuszające wybuchy. Nocy tej i następnego dnia po raz pierwszy dostał klapsy od matki i usłyszał jej podniesiony głos. Dawne życie w miłym domu przy ulicy Brzoskwiniowej, jedyne, jakie znał, uleciało i Wade nie mógł przyjść do siebie po jego utracie. Podczas ucieczki z Atlanty rozumiał tylko tyle, że ścigają go Jankesi, dotąd więc jeszcze żył w ustawicznym strachu, że Jankesi porwą go i pokraja na kawałki. Ilekroć Scarlett krzyczała na niego, słabł z przerażenia, bo niejasna jego dziecięca pamięć podsuwała mu na myśl tę straszną chwilę, gdy uczyniła to po raz pierwszy. Teraz więc Jankesi i gniewne głosy skojarzały się w jego myślach na zawsze i zaczął się bać matki.

Scarlett zauważyła wreszcie, że dzieciak jej unika, i w rzadkich chwilach, gdy nie kończące się obowiązki pozwalały jej zastanowić się nad tym, martwiła się bardzo. Wolałaby już, by czepiał się jej spódnicy. Drażniło ją, że uciekał do pokoju Melanii, gdzie bawił się z nią w gry, które mu wymyślała, albo słuchał bajek, które mu opowiadała. Wade uwielbiał tę cicię o łagodnym głosie, zawsze uśmiechniętą, która nigdy nie mówiła: - Cicho bądź, Wade! Nie zwracaj mi głowy! - albo: - Wade, na miłość boską, przestań się wreszcie kręcić!

Scarlett nie miała czasu ani chęci pieścić go teraz, była jednak zazdrosna widząc, że robi to Mela. Kiedy pewnego dnia zastała go stojącego na głowie w łóżku Melanii i była świadkiem, jak zwałił się na chorą, uderzyła go mocno.

- Czy nie wiesz, że ciocia jest chora i że nie wolno jej męczyć? Idź sobie na podwórce,

baw się tam i nie przychodź mi tu więcej.

Melania jednak wyciągnęła słabą rękę i przytuliła płaczące dziecko do siebie.

- Cicho, cicho, Wade. Nie chciałeś mnie przecież potrącić, prawda? On wcale mi nie przeszkadza, Scarlett. Pozwól mu zostać ze mną. Pozwól, abym się nim opiekowała. To jedyna rzecz, jaką mogę robić, dopóki nie wyzdrowieję, a ty i bez niego masz pełne ręce roboty.

- Nie bądź dzieckiem, Melu - rzekła Scarlett oschle. - Nie przychodzisz do zdrowia tak szybko, jak by należało, więc koziółki Wade'a po twoim brzuchu mogą ci tylko zaszkodzić. Słuchaj, Wade, jeżeli jeszcze raz przyłapię cię na łóżku cioci, wyrzucę cię stąd na dobre. I przestań mi chlipać. Ciągle byś tylko chlipał. Staraj się być mężczyzną.

Wade wybiegł z pokoju płacząc i ukrył się za domem. Melania zagryzła wargi i łzy ukazały się w jej oczach, stojąca zaś w hallu Mammy, świadek tej sceny, popatrzyła ponuro na Scarlett i zaczęła głośno sapać. Nikt jednak w owym czasie nie ośmielał się Scarlett sprzeciwić. Obawiano się jej ostrego języka, obawiano się nowej istoty, która pojawiła się w jej skórze.

Scarlett królowała teraz w Tarze niepodzielnie. Jak u wielu osób, niespodzianie wyniesionych do władzy, tak i u niej na plan pierwszy wybiła się skłonność do poniewierania ludźmi. Nie dlatego, iżby była z gruntu niedobra. Była tak przerażona odpowiedzialnością i niepewna siebie, że stawiała się. surowa dla innych, aby nie domyślili się jej słabości i nie odmawiali posłuszeństwa. Poza tym jednak znajdowała pewną przyjemność w krzyczeniu na ludzi i świadomości, że się jej boją. Przynosiło to ulgę jej napiętym nerwom. Zdawała sobie sprawę z tego, że zmieniła się bardzo. Czasem, kiedy na jakiś jej rozkaz Pork z urazą wydymał dolną wargę, a Mammy mruczała: - Pewne osoby bardzo się teraz panoszą - zastanawiała się, gdzie się podziały jej dobre maniery. Uprzejmość i łagodność, które Ellen starała się w niej wyrobić, opadły z niej szybko, jak opadają liście z drzew za pierwszym podmuchem jesieni.

Ellen powtarzała jej stale i zawsze: „Bądź stanowcza, ale łagodna w stosunku do podwładnych, szczególnie zaś Murzynów”.

Gdyby jednak była teraz łagodna, Murzyni siedzieliby w kuchni przez cały dzień i rozmawiali bez końca o dawnych dobrych czasach, kiedy Murzyn z pokojów nie musiał spełniać funkcji parobka.

„Kochaj swoje siostry i opiekuj się nimi. Bądź dobra dla strapionych - mawiała Ellen. - Okazuj tkliwość ludziom smutnym i nieszczęśliwym”.

Scarlett nie mogła teraz kochać swoich sióstr. Były jej po prostu ciężarem. Jeżeli zaś

chodzi o opiekowanie się nimi, to czy nie kąpała ich, nie czesała i nie karmiła kosztem codziennego chodzenia na poszukiwanie jarzyn? Czy nie nauczyła się doić krowy, mimo że serce stawało jej w gardle, gdy ta straszliwa bestia nastawiała na nią rogi? Okazywanie dobroci było tylko stratą czasu. Gdyby była dla sióstr przesadnie dobra, leżałyby bez końca w łóżkach, ona zaś chciała, aby jak najprędzej stanęły na nogach, bo potrzebne jej były jeszcze cztery ręce do pomocy.

Dziewczęta przychodziły do zdrowia powoli i leżały w swoich łóżkach wychudłe i słabe. Podczas ich choroby świat cały się odmienił. Przyszli Jankesi, uciekli Murzyni, umarła matka.

Trzech tych wydarzeń nie mogły pojąć. Czasem wydawało im się, że są jeszcze nieprzytomne i że to wszystko było snem. Zresztą i Scarlett była tak zmieniona, że było niemożliwością, aby istniała naprawdę. Kiedy pochylała się nad poręczą ich łóżka i mówiła, jaka czeka je praca, jak tylko wyzdrowieją, patrzyły na nią jak na upiora. Nie mogły zrozumieć, że nie mają już setki niewolników, którzy by na nie pracowali. Nie mogły pojąć, że panny O'Hara mają się zniżyć do fizycznej pracy.

- Ależ, siostró - mówiła Karina, a dziecinnie jej twarzyczka była zmartwiała ze zdumienia - przecież ja nie mogę łupać drewek! Zniszczyłabym sobie ręce!

- Popatrz na moje - odpowiadała z okrutnym uśmiechem Scarlett pokazując jej swoje zgrubiałe i pełne odcisków dłonie.

- To obrzydliwe z twojej strony, że w ten sposób mówisz do małej i do mnie! - płakała Zuela. - Kłamiesz, bo chcesz nas nastraszyć. Gdyby mama tu była, nie pozwoliłaby ci w ten sposób do nas mówić! Łupać drwa na opa! Rzeczywiście!

Zuela patrzyła z nienawiścią na starszą siostrę, bo była przekonana, że Scarlett mówi to wszystko, aby jej dokuczyć. Zuela omal nie umarła, straciła matkę, była samotna i przerażona, chciała więc, aby ktoś ją pieścił i litował się nad nią. Zamiast tego Scarlett opierała się co dzień o poręcz łóżka i obserwowała jej poprawę z brzydkim nowym błyskiem w zielonych oczach, mówiąc o ścieleniu łóżek, gotowaniu jedzenia, noszeniu wiader wody i łupaniu drewek. A tak przy tym wyglądała, jak gdyby mówienie tych okropnych rzeczy sprawiało jej przyjemność.

Było tak istotnie. Poganiała Murzynów i drażniła siostry nie tylko dlatego, że była zmartwiona, przemęczona i zdenerwowana, ale dlatego także, że pomagało jej to zapomnieć o rozczarowaniu, jakie sama czuła, kiedy wszystkie nauki matki okazały się teraz bez sensu.

Wszystko, czego nauczyła się od matki, nagle straciło wartość, Scarlett więc nie przestawała się dziwić. Nie przychodziło jej na myśl, że Ellen nie mogła przewidzieć upadku

świata, w którym wychowała swoje córki, że nie mogła przypuszczać, iż zniknie ta warstwa społeczna, wśród której miały się obracać. Nie przychodziło jej na myśl, że gdy Ellen uczyła ją, aby była łagodna i miła, uczciwa i dobra, skromna i prawdomówna, widziała przed nią spokojną przyszłość, podobną do własnego swego życia bez zdarzeń. „Życie dobrze się obchodzi z kobietami, które są właśnie takie” - mawiała Ellen.

Scarlett myślała z rozpaczą: „Nic mi z tego, czego mnie nauczyła! Cóż mi teraz przyjdzie z dobroci? Co z uprzejmości? Lepiej byłoby, gdybym umiała orać albo skubać bawełnę jak Murzynka. Och, mammo, nie miałaś racji!”

Nie zastanawiała się wcale, że uporządkowany świat Ellen przeminął na zawsze, a na jego miejsce pojawił się świat brutalny, świat w którym zmieniły się wszystkie zasady i wszelkie wartości. Widziała tylko, a raczej zdawało jej się, że widzi, iż matka jej omyliła się, zmieniała się więc jak najszybciej, aby czoło stawić nowemu światu, do którego nie była przygotowana.

Nie zmieniała się tylko miłość jej do Tary. Choćby wlokła się bardzo zmęczona do domu, w chwili gdy widziała białe ściany przed sobą, serce jej pęczyło miłością i radością powrotu. Gdy wyglądała z okna na zielone łąki, czerwone pola i gąszcz lasu nad moczarami, wypełniało ją poczucie piękna. Miłość jej do tej falistej, jasnoczerwonej ziemi, do tej dobrej gleby, która miała kolor krwi, granatu, cegły, cynobru, i tak cudownie rodziła zielone, usiane gwiazdami białego puchu krzaczki bawełny, była jedynym uczuciem w Scarlett, które nie uległo zmianie, choć zmieniło się wszystko inne. Nigdzie w świecie nie było takiej jak ta ziemi.

Patrząc na Tarę lepiej rozumiała, dlaczego ludzie toczą wojny. Rett mylił się mówiąc, że wojny są prowadzone dla pieniędzy. Nie, boje toczyły się o morgi ziemi miękko pociętej pługiem, o łąki świeżo skoszone, o żółte, leniwe rzeki i białe domy stojące pośród magnolii. To były jedyne rzeczy, o które warto walczyć - czerwona ziemia, która będzie ziemią synów, ziemia mająca rodzić bawełnę dla synów tych synów, i wnuków.

Zdeptana ziemia Tary była jedynym, co Scarlett zostało teraz, gdy nie było już matki ani Ashleya, gdy Gerald był ogłupiały nieszczęściem, a pieniądze, Murzyni, bezpieczeństwo i stanowisko znikły przez noc. Jak z innego życia przypominała sobie pewną rozmowę z Geraldem o ziemi i dziwiła się, że była zbyt młoda, zbyt głupia, aby zrozumieć, co miał na myśli mówiąc, że ziemia jest jedyną w świecie rzeczą, o którą warto walczyć.

- Bo to jest jedyna rzecz trwała... a dla każdego, kto ma w sobie choć kroplę irlandzkiej krwi, ziemia jest matką... To jedyna rzecz, dla której warto pracować, o którą warto walczyć i umierać.

Tak, warto było walczyć o Tarę. Scarlett więc z prostotą i bez pytania przyjęła tę walkę. Nikt w świecie nie mógł jej odebrać Tary. Nikomu nie pozwoli rzucić siebie i swoich bliskich na pastwę losu czy litości krewnych. Utrzyma Tarę, choćby miała bić się o nią do upadłego.

ROZDZIAŁ XXVI

W dwa tygodnie po powrocie z Atlanty zaczął Scarlett ropieć największy pęcherz na stopie. Noga spuchła jej tak, że nie mogła włożyć pantofla i musiała kuśtykać na pięcie. Rozpacz ją ogarniała, kiedy patrzyła na ślimaczącą się ranę na dużym palcu. Co będzie, jeżeli wywiąże się z tego gangrena i będzie musiała umrzeć z braku pomocy lekarskiej? Mimo że życie jej było teraz trudne, nie miała najmniejszej ochoty go porzucić. Cóż by się stało z Tarą po jej śmierci?

Bezpośrednio po swoim powrocie Scarlett miała nadzieję, że Gerald przyjdzie do siebie i obejmie rządy, ale teraz nadzieja ta opuściła ją zupełnie. Teraz wiedziała, że chcąc nie chcąc musi myśleć o losach plantacji i wszystkich jej mieszkańców, ponieważ Gerald ciągle jeszcze siedział bez ruchu jak zjawa senna, przeraźliwie daleki, bardzo łagodny. Na wszystkie jej prośby o radę odpowiadał niezmiennie: - Rób, jak uważasz za stosowne, córko. - Albo gorzej jeszcze: - Poradź się matki, kotku.

Ojciec nigdy nie przyjdzie do siebie. Scarlett zrozumiała teraz tę prawdę i przyjęła ją bez wzruszenia; do końca życia będzie stale czekał na Ellen i słuchał, czy nie nadchodzi. Przebywał w jakiejś dalekiej, mglistej krainie, gdzie czas stał w miejscu, a Ellen zawsze była w sąsiednim pokoju. Główna sprężyna jego życia pękła z chwilą jej śmierci, a z nią razem minęła jego pewność siebie, zawadiactwo i wielka żywotność. Ellen była widownią, przed którą rozgrywał się dramat życia Geralda O'Hary. Teraz kurtyna zapadła na zawsze, lampy zgaszono, widzowie nagle znikli, a stary zdumiony aktor został na scenie sam i czekał bezmyślnie, aż przyjdzie pora na jego rolę.

Tego ranka dom był cichy, bo wszyscy z wyjątkiem Scarlett, Wade'a i trzech chorych wyszli na moczary, aby schwycić świnię. Nawet Gerald ożywił się trochę i podreptał przez pola opierając się jedną ręką na ramieniu Porka, a w drugiej trzymając zwój sznura. Zuela i Karina dopóty płakały, aż zasnęły - co zdarzało im się przynajmniej dwa razy dziennie, gdy myślały o Ellen - a łzy żalu i słabości spływały im we śnie po zapadniętych policzkach. Melanią, która tego dnia po raz pierwszy usiadła w łóżku, przykryta połatany prześcieradłem, siedziała między dwoma niemowlętami, z jasną główką jednego na jednej piersi, a kędzierzawym łebkiem dziecka Dilcey na drugiej. Wade siedział w nogach jej łóżka i przysłuchiwał się bajce o wrózkach.

Scarlett wydawał się nieznośny ten spokój Tary, bo zbyt ostro przypominał jej śmiertelną ciszę okolic, przez które przejeżdżała podczas podróży z Atlanty. Krowa i cielę od

wielu godzin nie wydały ani głosu. Ptaki nie świergotały za oknem i nawet hałaśliwa rodzina drozdów, która od wielu pokoleń mieszkała między głośno szumiącymi liśćmi magnolii, milczała tego dnia. Przysunęła do okna swojej sypialni niskie krzesło i siedząc z podciągniętą za kolana suknią, z rękami opartymi o parapet okna, patrzyła na podjazd, na trawnik przed domem i puste pastwisko za szosą. Obok siebie postawiła wiadro wody źródlanej, w którym co parę minut zanurzała chorą nogę, krzywiąc się przy tym z bólu.

Złożyła głowę na rękach, bardzo nieszczęśliwa. W chwili gdy była najbardziej potrzebna, musiała jej się właśnie taka rzecz przytrafić. Ci głupcy nigdy nie złapią maciory. Przez tydzień szukali prosiąt i łapali po jednym, teraz po dwóch tygodniach maciora była jeszcze na wolności. Scarlett była pewna, że gdyby mogła pójść na moczary, sama schwytałaby maciorę na łące bez trudu.

Ale co dalej, nawet jeżeli maciora zostanie schwytana? Co potem, kiedy zje się już i ją, i jej prosiaki? Życie potoczy się dalej, apetyty będzie trzeba wciąż zaspokajać. Zbliżała się zima i Tarze groził brak żywności, bo nawet i nędzne resztki jarzyn z ogrodów sąsiedzkich były na wyczerpaniu. Trzeba mieć groch suszony i sorgo, mąkę i ryż, i... ach, tyle jeszcze rzeczy. Kukurydzę i bawełnę do wiosennych zasiewów i trochę nowego odzienia. Skąd miała wziąć na to wszystko i czym za to zapłacić?

W sekrecie przetrząsnęła kieszenie Geralda i jego szkatułkę z pieniędzmi, ale znalazła tylko trochę bonów pożyczki wojennej i trzy tysiące dolarów w walucie Konfederacji. „To wystarczy na jeden skromny obiad dla wszystkich - myślała z ironią - teraz, gdy waluta Konfederacji nic nie jest warta”. Gdyby jednak miała nawet pieniądze i mogła gdzieś dostać żywność, jak miała ją przywieźć do Tary? Czemu Bóg dopuścił, aby ten stary koń zdechł? Nieszczęsna, skradziona przez Retta szkapina bardzo by się teraz im przydała. Gdzież się podziały piękne, gładkie muły, które pasły się na łące za drogą, gdzie rosło konie cugowe i jej mała klacz, i kucyki dziewcząt, i wielki ogier Geralda, wierzgający i kopiący ziemię. Och, czegoż by nie dała za najbardziej choćby narowistego muła?

Wszystko jedno - jak tylko wygoi jej się noga. pójdzie pieszo do Jonesboro. Będzie to najdłuższy spacer w jej życiu, niemniej jednak pójdzie. Nawet jeżeli Jankesi obrócili miasto w perzynę, z pewnością znajdzie kogoś w okolicy, kto powie jej, gdzie można dostać żywność. Przed oczyma stanęła jej wychudła twarzyczka Wade'a. Powtarzał, że nie lubi yamów, chciał kurczę pieczone i ryż z sosem.

Jasne, padające na ogród promienie słońca pociemniały nagle, a drzewa osnuła łzawa zasłona. Scarlett oparła głowę na rękach i starała się zapanować nad łzami. Były teraz bardzo nie na czasie. Łzy miały sens tylko wtedy, gdy w pobliżu był jakiś mężczyzna, od którego

chciało się wsparcia. Kiedy tak siedziała, mocno zaciskając powieki, aby wstrzymać łzy, usłyszała nagle tętent kopyt. Nie podniosła głowy. Zbyt często wyobrażała go sobie w ciągu dni i nocy ostatnich dwóch tygodni, tak samo zresztą jak szelest spódnic Ellen. Z początku zabiło jej serce, jak zwykle w takich chwilach, potem jednak powiedziała sobie surowo: - Nie bądź głupia.

Tętent ucichł jednak w sposób zupełnie naturalny, jak przy wstrzymywaniu konia, potem zaś rozległo się rytmiczne skrzypienie żwiru. Ktoś naprawdę przyjechał, któryś z Tarletonów czy Fontaine'ów! Wyrzała szybko. Ujrzała jankeskiego kawalerzystę.

Bez namysłu skryła się za firanką i jak urzeczona przyglądała mu się przez grube fałdy materiału, ciężko dysząc z przerażenia. Na siodle siedział wygodnie tegi, ordynarny z pozoru mężczyzna, o czarnej brodzie, rozwiewającej się nad niedopiętą kurtką munduru. Małe jego, blisko siebie osadzone oczki spokojnie patrzyły na dom spod daszka niebieskiego kepi. Kiedy wolno zsiadał z konia i zarzucił uzdę na palik, Scarlett odetchnęła głęboko, jak po mocnym uderzeniu w dołek. Jankes, Jankes z długim pistoletem u pasa! A ona była w domu sama, z dziećmi i trzema chorymi!

Kiedy z ręką na kolbie Jankes szedł wolno aleją, rozglądając się małymi oczkami w lewo i w prawo, przed oczyma duszy Scarlett przewijał się kalejdoskop obrazów: opowiadania ciotki Pittypat, jak to Jankesi bezbronne kobiety dźgają nożami, jak palą domy nad głowami umierających, jak zabijają płaczące dzieci - wszystkie nieopisane okrucieństwa, które kryły się w dźwięku słowa „Jankes”.

Pierwszym jej odruchem była chęć ukrycia się w szafie czy pod łóżkiem, ucieczka przez kuchnię na moczary, byle co - byle go nie widzieć. Potem usłyszała ostrożne kroki żołnierza na frontowych schodkach i w hallu i zrozumiała, że ucieczka będzie niemożliwa. Zbyt przerażona, aby się poruszyć, słyszała, jak przechodzi na dole z pokoju do pokoju, jak kroki jego stają się pewniejsze i głośniejsze, ponieważ nikogo nie spotkał. Teraz był w jadalni, za chwilę przejdzie do kuchni.

Na myśl o kuchni wściekłość zagrała w piersiach Scarlett tak ostro, że poczuła ją w sercu jak uderzenie nożem - i strach jej uleciał przed tą przemożną furią. Kuchnia! Tam na palenisku stały dwa garnki: w jednym dusiły się jabłka, w drugim - mieszanka z jarzyn, z takim trudem zebranych w Dwunastu Dębach i ogrodzie MacIntoshów - obiad, który miał starczyć dla dziesięciorga głodnych osób, a nie zaspokoiłby nawet dwóch. Scarlett od wielu godzin walczyła z apetytem, czekając na powrót domowników, myśl więc, że Jankes może zjeść ich skąpy posiłek, napełniła ją pasją.

Niechże ich Bóg pokarze! Spadli jak szarańcza i skazali Tarę na powolne konanie, a

teraz znowu wracają, aby okraść ją z nędznych resztek! Puste jej kiszki skręcały się z głodu. Nie, ten Jankes więcej już kraść nie będzie.

Zrzuciła z nogi stary pantofel i szybko podreptała bosą w stronę komody, nie myśląc wcale o bolącym palcu. Otworzyła bezszelestnie górną szufladę i wyjęła z niej ciężki, przywieziony z Atlanty pistolet, broń, którą nosił Karol, a której nie zdążył użyć. Ze skórzanej, wiszącej na ścianie pod jego szablą ładownicy wyjęła nabój. Nabiła pistolet dłonią, która nawet nie drgnęła. Szybko i cicho przebiegła przez korytarz na schody i oparła się o poręcz jedną ręką, drugą zaś trzymała pistolet oparty o udo i ukryty w fałdach sukni.

- Kto tam? - zawołał nosowy głos, zatrzymała się więc w połowie piętra, a krew tak mocno zaszumiła jej w uszach, że ledwie słyszała słowa żołnierza. - Stać, bo strzelam! - powiedział.

Stał w drzwiach jadalni, podany do przodu, w napięciu, w jednej ręce trzymając pistolet, w drugiej małą szkatułkę z drzewa różanego, w której leżał złoty napaśnik, złote nożyczki i mała żołądz ze szmerglu. Scarlett miała nogi zimne aż po kolana, ale wściekłość paliła jej policzki. Szkatułka z przyborami do szycia Ellen w rękach tego łotra! Chciała krzyknąć: „Odlóż to! Odlóż to, ty wstrętny psie!”, ale słowa uwięzły jej w gardle. Patrzyła tylko przez poręcz schodów na Jankesa i widziała, jak na twarzy jego w miejsce czujności pojawia się na wpół wzgardliwy, na wpół pochlebny uśmiezek.

- A więc w domu ktoś jest - powiedział wsuwając pistolet za pas, po czym wszedł do hallu i stanął naprzeciw Scarlett. - Czy śliczna panienska jest zupełnie sama?

Szybko, jak błyskawica wysunęła broń nad balustradą i wymierzyła w brodatą twarz Jankesa. Zanim zdążył sięgnąć po broń, nacisnęła cyngiel. Zachwiała się, gdy pistolet wystrzelił, gdy huk wybuchu zabrzmiał w jej uszach, a gryzący dym nappełnił nozdrza. Mężczyzna runął tyłem na podłogę tak gwałtownie, że aż zadrżały meble. Szkatułka wypadła mu z ręki i zawartość jej rozsypała się dokoła. Nie zdając sobie sprawy z tego, co robi, Scarlett zbiegła po schodach i stanęła nad nim, wlepiając oczy w resztki twarzy nad brodą, w krwawą jamę zamiast nosa, w szkliste oczy wypalone prochem. Kiedy tak patrzyła, dwie strużki krwi zaczęły ciec po wywoskowanej podłodze, jedna z twarzy, druga z tyłu czaszki Jankesa.

Tak, nie żył. Na pewno. Zabiła człowieka.

Dym wzbil się wolno do sufitu, a czerwone strużki rozszerzyły się koło jej stóp. Stała nie wiedząc jak długo. W ciszy upalnego poranka każdy nic nie znaczący dźwięk czy zapach stawał się wyolbrzymiony - szybkie walenie jej serca, lekki szelest liści magnoliowych, daleki, żalorny głos ptaka z moczarów i słodki zapach kwiatów za oknami.

Zabiła człowieka - ona, która nigdy nie brała udziału w polowaniu z nagonką, która nie mogła znieść kwiku zarzynanego wieprza ani pisku królika w sidłach. „To mord! - pomyślała tępo. - Popelniłam morderstwo. Och, przecież to niemożliwe!” Oczy jej spoczęły na krótkiej owłosionej dłoni na podłodze, tuż przy skrzyneczce, i nagle znowu odżyła, poczuła w sobie okrutną, drapieżną radość. Teraz potrafiłaby zdeptać trupa i rozkosz sprawiałoby jej ciepło krwi na bosych stopach. Wymierzyła karę za Tarę - i za Ellen.

Na górze rozległy się pośpieszne, niepewne kroki, po czym ustały. Po chwili dał się słyszeć także chrzęst metalu. Scarlett wróciło teraz poczucie czasu i rzeczywistości. Spojrzała w górę i u szczytu schodów ujrzała Melanię w połatanej dziennej koszuli, w której leżała w łóżku, w słabej ręce dźwigającą szablę Karola. Oczy Meli objęły całą scenę na dole - rozciągnięte ciało w niebieskim mundurze, leżące w kałuży krwi, skrzyneczkę z rozrzuconymi drobiazgami tuż obok, bosą Scarlett z poszarzałą twarzą, trzymającą kurczowo długi pistolet.

W milczeniu Mela popatrzyła na Scarlett. Na łagodnej jej twarzy świeciła teraz ponura duma i aprobata, a w uśmiechu malowała się okrutna radość, równa chyba uczuciom, które przepełniały Scarlett.

„Ależ, ależ ona podobna jest do mnie! Rozumie, co czuję! - myślała Scarlett w czasie tej długiej chwili. - Zrobiłaby z pewnością to samo na moim miejscu!”

Z dreszczem przyjrzała się wątlej, bliskiej zemdlenia kobiecie, dla której żywiła dotąd tylko pogardę i nienawiść. Teraz, zapominając o niechęci do żony Ashleya, poczuła dla niej podziw. Z nagłą jasnością i bez jakiegokolwiek domieszki niskich uczuć zrozumiała, że pod łagodnym głosem i gołębimi oczyma Melanii kryje się niezłomne jak stal serce, że mimo spokoju, cechuje ją ogromna odwaga.

- Scarlett! Scarlett! - zabrzmiały zza zamkniętych drzwi przerażone głosiki Zueli i Kariny, a Wade wrzeszczał: - Ciociu! Ciociu! - Melania przyłożyła palec do ust i kładąc szablę na najwyższym stopniu schodów, zawróciła do pokoju chorych.

- Nie bójcie się, dziewczynki! - powiedziała ze sztuczną wesołością. - Siostra wasza chciała oczyścić z rdzy pistolet Karola i wyobraźcie sobie, że wystrzelił w jej rękę, a więc teraz biedaczka trzęsie się ze strachu... Słuchaj, Wade, wyobraź sobie, że mamusia właśnie strzeliła z pistoletu twego tatusia. Kiedy będziesz duży, pozwoli może i tobie strzelić.

„Jak ona doskonale kłamie! - pomyślała Scarlett z podziwem. - Ja bym tego tak szybko nie wymyśliła. Ale po co kłamie? I tak wszyscy będą się musieli dowiedzieć, co zrobiłam”.

Popatrzyła znowu na trupa i teraz, kiedy wściekłość i przerażenie ustąpiły, ogarnął ją wstręt. Reakcja była tak silna, że zadrżały jej kolana. Melania znowu przywlokła się ku

schodom i zaczęła schodzić na dół, trzymając się mocno poręczy i przygryzając dolną wargę.

- Wracaj do łóżka, głuptasie, zaszkodzisz sobie tylko! - zawołała Scarlett, Melania jednak, półnaga, nie przestawała z trudem schodzić do hallu.

- Scarlett - wyszeptała - musimy go stąd zabrać i pochować. Może nie był sam, więc jeżeli go tu znajdują... - Oparła się na ramieniu Scarlett.

- Był chyba sam - rzekła Scarlett. - Nie widziałam z okna nikogo więcej. To pewnie dezerter.

- Nawet jeżeli tak jest, lepiej, aby nikt się o tym nie dowiedział. Murzyni mogą się wygadać, a wtedy ciebie uwiężą. Scarlett, musimy go gdzieś ukryć, zanim oni wrócą do domu.

Pobudzona do czynu gorączkowym głosem Melanii, Scarlett zamyśliła się głęboko.

- Mogłabym go zakopać w kącie ogrodu pod altaną. Grunt tam jest miękki, bo Pork niedawno wykopał baryłkę z wódką. Ale jak go tam przenieść?

- Weźmiemy go za nogi i zawlecjemy na miejsce - rzekła Mela stanowczo.

Podziw Scarlett dla niej wzmógł się jeszcze, mimo że przyznawała się do tego niechętnie.

- Ty nie mogłabyś pociągnąć nawet i kota. Ja go tam przeniosę sama - rzekła szorstko. - Wracaj do łóżka. Zabijesz się. Nie waż mi się pomagać, bo zaniosę cię na górę.

Na bladej twarzy Melanii zakwitł słodki uśmiech.

- Bardzo jesteś kochana, Scarlett - rzekła i łagodnie dotknęła wargami jej policzka. Zanim Scarlett otrząsnęła się ze zdziwienia, Melania rzekła: - Jeżeli poradzisz sobie z nim sama, ja uporządkuję tę kałużę, zanim oni wrócą do domu i, Scarlett...

- Co takiego?

- Czy uważasz, że byłoby to bardzo nieuczciwe, gdybyśmy przeszukały jego tornister? Może ma coś do jedzenia.

- Nie, wcale tak nie uważam - rzekła Scarlett zła, że nie przyszło jej to wcześniej do głowy. - Ty zajmij się tornistrem, a ja przeszukam mu kieszenie.

Pochylając się nad trupem ze wstrętem, rozpięła guziki jego munduru i systematycznie zaczęła opróżniać kieszenie.

- Boże święty! - szepnęła wyciągając wypchany, owinięty gałganem woreczek. - Melu, Melu, tu jest pełno pieniędzy!

Melania nic nie odpowiedziała, ale usiadła nagle na podłodze i oparła się o ścianę.

- Otwórz woreczek sama - rzekła drżącym głosem. - Ja słabo się czuję.

Scarlett rozerwała szmatę i drżącymi palcami otworzyła portmonetkę.

- Melu, Melu, popatrz tylko!

Melania spojrzała i źrenice jej rozszerzyły się. W beładnej masie była tam garść zielonych dolarów Stanów Zjednoczonych, pomieszana z banknotami Konfederacji, na samym zaś spodzie błyskały trzy sztuki złota - jedna dziesięcio- i dwie pięciodolarowe.

- Nie licz tego teraz - rzekła Mela, gdy Scarlett zaczęła przebierać w pieniądzach. - Nie mamy czasu.

- Czy zdajesz sobie sprawę, Melanio, iż pieniądze te znaczą, że będziemy jedli?

- Tak, tak, kochanie. Wiem o tym, ale teraz naprawdę nie mamy czasu. Przejrzyj resztę kieszeni, a ja opróżnię tornister.

Scarlett bardzo niechętnie odłożyła woreczek. Otwierały się przed nią radosne perspektywy, miała prawdziwe pieniądze i konia Jankesa - a więc jedzenie! Musiał jednak istnieć jakiś Bóg, który opiekował się ludźmi, chociaż dziwne miał sposoby okazywania swojej opieki! Usiadła i popatrzyła na portmonetkę z uśmiechem. Jedzenie! Melania wyjęła ją z jej rąk.

- Śpiesz się! - powiedziała.

W kieszeniach spodni niczego nie znalazła, z wyjątkiem kawałka świecy, scyzoryka, grudki tytoniu i sznurka. Melania wydobyla z tornistra małą paczkę kawy, którą powąchała z lubością, jak najpiękniejsze perfumy, suchary, i, nagle poblądłszy - miniaturę małej dziewczynki, w złotej, wysadzonej drobnymi perełkami ramce, broszkę z granatów, dwie szerokie złote bransolety z małymi breloczkami, złoty napastrzek, małą srebrną filiżankę dziecięcą, złote nożyczki do haftów, pierścionek z diamentem i parę długich kolczyków z diamentami w kształcie gruszki, które z pewnością, na oko sądząc, ważyły przeszło karat każdy.

- Złodziej! - szepnęła odsuwając się od sztywniejącego ciała. - Scarlett, on to wszystko na pewno ukradł!

- Rozumie się - rzekła Scarlett. - A tutaj przyszedł, aby okraść i nas.

- Cieszę się, żeś go zabiła - rzekła Melania ponuro. - Teraz śpiesz się, kochanie, i zabierz go stąd.

Scarlett pochyliła się, wzięła trupa za buty i zaczęła ciągnąć. Był ciężki, tym bardziej, że nagle odeszły ją siły. Co będzie, jeżeli nie dowlecze go na miejsce? Odwracając się tyłem do ciała, wzięła jego nogi pod ramiona i zaczęła w ten sposób iść naprzód. Ciało poruszyło się, szarpnęła więc znowu. Chora noga, o której zapomniała w podnieceniu, teraz pulsowała tak gwałtownie, że musiała z bólu zacisnąć zęby i przenieść ciężar ciała na piętę. Ciągnąc i wysilając się, ociekając potem, wywlokła trupa z hallu, a czerwony ślad znaczył jej przejście.

- Jeżeli i na podwórzu będą ślady, nie będzie można ich ukryć - powiedziała ciężko dysząc. - Daj mi swoją koszulę, Melu, okreć ją jego głowę.

Błada twarz Melanii stała się szkarłatna.

- Nie bądź głupia, nie będę się na ciebie patrzyła - rzekła Scarlett. - Gdybym miała halkę czy pantalon, zużyłabym je na to.

Przysunawszy się do ściany Melania ściągnęła przez głowę połataną koszulę i w milczeniu podała ją Scarlett, sama zaś zakryła się rękami, jak mogła najlepiej.

„Dzięki Bogu, że ja nie jestem tak skromna” - pomyślała Scarlett, bardziej wyczuwając niż widząc rozpaczliwe zakłopotanie Melanii, gdy owijała płótnem pogruchotaną twarz trupa.

To ciągnąc Jankesa, to przystając, dowlokła go wreszcie do kuchennego ganku i zatrzymując się, aby obetrzeć wierzchem dłoni spocone czoło, obejrzała się ukradkiem na Melę, która, oparta o ścianę, podciągała chude kolana do piersi. „Jak głupio z jej strony, że w takiej chwili pamięta jeszcze o skromności” - pomyślała Scarlett ze złością. To należało widać do jej przesadnie dystygowanych manier, które Scarlett napawały pogardą. Naraz zawstydziła się swoich myśli. Ostatecznie - ostatecznie Melania zwlokła się z łóżka tak niedługo po porodzie i przysłała jej z pomocą, niosąc zbyt ciężką dla siebie broń. To wymagało odwagi, tego gatunku odwagi, której Scarlett nie posiadała wcale - ostrej jak stal, cierpliwej odwagi, jaką Melania okazała podczas okropnej nocy upadku Atlanty i w czasie długiej podróży do domu. Była to ta sama nieuchwytna, nieefektowna odwaga, cechująca wszystkich Wilkesów, cnota, której Scarlett nie rozumiała, ale której, acz niechętnie, oddać musiała hołd.

- Wracaj do łóżka - rzuciła przez ramię. - Umrzesz, jeżeli tego nie zrobisz. Ja tu sprzątnę sarna, jak tylko go pochowam.

- Wytrę to wszystko dywanikiem - szepnęła Melania patrząc z obrzydzeniem na kałużę krwi.

- No, więc zabijaj się, jeśli chcesz, mnie to nic nie obchodzi! A jeżeli ktoś z nich wróci do domu, zanim skończę, zatrzymaj ich w mieszkaniu i powiedz, że koń przybłąkał się sam, nie wiadomo skąd.

Melania drżąc siedziała w słońcu porannym. Przykryła dłońmi uszy, gdy rozległ się szereg tępych uderzeń - to głowa zabitego uderzała o schodki.

Nikt nie pytał, skąd się wziął koń. Oczywiście było, że zabłąkał się po bitwie; wszyscy bardzo się cieszyli. Jankes leżał w płytkiej norze, którą mu Scarlett wykopała pod obrosłą winem altaną. Podpórki, dokoła których wiły się grube gałęzie wina, były już przegniłe, więc tego samego wieczora Scarlett tak długo siekła je kuchennym nożem, aż runęły i masa liści

nakryła grób. Nigdy potem nie wspominała Murzynom, że należy umocnić podpórki, oni zaś, choć może wiedzieli, dlaczego tego nie robi, nigdy jej o tym nie przypomnieli.

Z płytkiego grobu nie wyszedł duch, który by ją straszył podczas długich, bezsennych nocy. Wspomnienie tego czynu nie wywoływało w niej wstrętu ani wyrzutów sumienia. Dziwiła się tylko sobie, bo wiedziała, że miesiąc wcześniej nie potrafiłaby czegoś podobnego dokonać. Śliczna młoda pani Hamilton, o rozkosznych dołeczkach, długich kolczykach i bezradnych, naiwnych minkach - zgruchotała twarz silnego mężczyzny na prosek i pochowała go sama w pośpiesznie wygrzebanej jamie! Scarlett uśmiechała się ponuro, myśląc o zdumieniu, jakie możliwość podobnej sytuacji wywołałaby wśród tych, którzy ją znali.

„Nie będę i o tym myślała - postanowiła. - Przeszło, skończyło się, byłabym oślicą, gdybym go nie zabiła. Zdaje mi się, że musiałam się trochę zmienić od chwili przybycia do domu, bo w przeciwnym razie nie mogłabym tego zrobić”.

Ilekrót czekało ją teraz jakieś nieprzyjemne i trudne zadanie, czaiła się w niej niewyraźna myśl, która dodawała jej siły: „Popelniałam morderstwo, więc z pewnością i to będę mogła zrobić”.

Zmieniała się więcej, niż przypuszczała; skorupa, która zaczęła się tworzyć dokoła jej serca, gdy leżała w ogrodzie niewolników w Dwunastu Dębach, twardniała teraz i rosła.

Mając konia Scarlett mogła się teraz osobiście przekonać, co się dzieje z sąsiadami. Od czasu przybycia do domu wielokrotnie zastanawiała się z rozpaczą: „Czy tylko my jedni ocaleliśmy w całym powiecie? Czy resztę dworów puszczono z dymem? Czy też wszyscy zdążyli uciec do Macon?” Mając świeżo w pamięci ruiny Dwunastu Dębów, domu MacIntoshów i nędznego domostwa Slatterych, prawie się bała dowiedzieć prawdy. Lepiej jednak było przekonać się o najgorszym, niż nie mieć pewności. Postanowiła przede wszystkim pojechać do Fontaine'ów - nie dlatego, że byli najbliższymi sąsiadami, ale ponieważ miała nadzieję zastać tam starego doktora. Melanii potrzebny był lekarz. Nie przychodziła do zdrowia tak szybko, jakby należało, a Scarlett była przestraszona jej śmiertelną bladością.

Pierwszego zaraz dnia, gdy mogła wsunąć pantofel na chorą nogę, siadła na jankeskiego konia. Jedną stopę założywszy w skrócone strzemię, a drugą podkurczywszy na kuli, aby czuć się jak w damskim siodle, udała się przez pola do Mimozy, przygotowana, że zastanie ruiny.

Ku zdumieniu swemu i radości ujrzała żółty, otynkowany dom stojący jak dawniej wśród drzewek mimozy, wyglądający tak samo jak dawniej Ciepła radość, granicząca prawie ze szczęściem, ogarnęła ją, gdy trzy panie Fontaine wyszły z domu, aby powitać ją pocałunkami i okrzykami zdumienia.

Kiedy jednak ucichły czule powitania i wszystkie panie zasiadły w jadalni, dreszcz przeszył Scarlett. Jankesi nie dotarli wprawdzie do Mimosy, bo leżała zbyt daleko od szosy i Fontaine'owie mieli jeszcze dotąd żywność i inwentarz, ale mimo to nad Mimosą wisiała ta sama dziwna cisza co nad Tarą i całą okolicą. Wszyscy niewolnicy z wyjątkiem czterech służących uciekli, przerażeni nadejściem Jankesów. Na plantacji nie było ani jednego mężczyzny, jeżeli nie liczyć synka Sally, Joe, zaledwie wyrosłego z powijaków. W wielkim domu mieszkały babcia Fontaine, siedemdziesięcioletnia kobieta, synowa jej, znana dotąd jeszcze jako „młoda pani”, mimo że przekroczyła już pięćdziesiątkę, i Sally mająca niecałych lat dwadzieścia. Były odcięte od sąsiadów i nie miały opieki, ale nie można było po nich poznać, że się boją. Prawdopodobnie dlatego, że młoda pani i Sally za bardzo się bały kruchej jak porcelana, ale niezłomnej babci, aby się skarżyć na cokolwiek. Scarlett także się bała starej pani, która miała przenikliwe oczy i ostry język, dawniej często dający jej się we znaki.

Chociaż nie było między nimi pokrewieństwa i dzieliła je tak wielka różnica wieku, łączyła je wspólność usposobienia i doświadczeń. Wszystkie trzy nosiły ufarbowaną w domu żałobę, wszystkie były zmęczone, smutne, stroskane, wszystkie zgorzkniałe goryczą, która nie przejawiała się w dąsach czy skargach, ale dawała się wyczuć za ich uśmiechami i słowami serdecznego powitania. Niewolnicy ich uciekli, pieniądze straciły wartość, mąż Sally, Józio, padł pod Gettysburgiem, a młoda pani także była wdową, bo młody doktor Fontaine zmarł na dyzenterię w Vicksburgu. Dwaj synowie jej, Aleks i Tonio, byli gdzieś w Wirginii, ale nie wiadomo było, czy jeszcze żyją: stary zaś doktor Fontaine wyruszył dokądś z kawalerią Wheelera.

- A stary głupiec ma siedemdziesiąt trzy lata, chociaż udaje młodzika, i tak jest pokrecony reumatyzmem, że ledwie łązi - rzekła babcia, najwyraźniej dumna ze swego męża, bo spojrzenie jej zadawało kłam słowom.

- Czy wiedzą panie może, co się dzieje w Atlancie? - zapytała Scarlett, kiedy się wygodnie rozsiadły przy stole. - Jesteśmy w Tarze jak odcięci od świata.

- Ależ, dziecko - rzekła babcia biorąc na siebie prowadzenie rozmowy, co zawsze było jej zwyczajem - i my jesteśmy w tym samym położeniu. Nie wiemy nic poza tym, że Sherman zdobył wreszcie miasto.

- A więc zdobył je... Co robi teraz? Gdzie się toczą walki?

- Jakże mają wiedzieć o tym trzy samotne kobiety ze wsi, które nie widziały listu ani gazety od całych tygodni? - rzekła ostro starsza pani. - Jedna z naszych Murzynek rozmawiała z inną Murzynką i stąd mamy nowiny. Mówią, że Jankesi przysiedli w Atlancie, aby pozwolić wytchnąć swoim ludziom i koniom, ale czy to prawda, czy nie, nie mogę ci powiedzieć.

Pewnie, że potrzeba im odpoczynku po walce, do jakiej ich zmusiliśmy.

- I pomyśleć, że już tak dawno jesteś w Tarze, a my nic nie wiedziałyśmy o tym! - wtrąciła młoda pani. - Och, jakże jestem zła na siebie, że nie pojechałam zobaczyć, co się u was dzieje! Ale tutaj było tak dużo do roboty, gdy większość czarnych uciekła, że nie mogłam się po prostu ruszyć z domu. Powinnam była jednak znaleźć czas na to. Nie postąpiłam po sąsiedzku. Byłyśmy jednak przekonane, że Jankesi spalili Tarę, tak samo jak Dwanaście Dębów i dom MacIntoshów i że wszyscy twoi uciekli do Macon. Nie przypuszczaliśmy, że ty wróciłaś do domu, Scarlett.

- Jakże mogłyśmy przypuszczać, że Tara ocalała, kiedy Murzyni pana O'Hary przejeżdżali tędy wystraszeni i z błędnymi oczyma i mówili, że Jankesi zabierają się do palenia domu? - przerwała babcia.

- I widziałyśmy stąd... - zaczęła Sally.

- Przepraszam, ja mówię - rzekła babcia krótko. - Mówili, że Jankesi rozbili obóz koło Tary i że twoja rodzina wybiera się do Macon. I tej właśnie nocy widziałyśmy łunę pożaru w waszych stronach. Stała na niebie tak długo i tak przeraziła naszych Murzynów, że wszyscy po tym uciekli. Co się paliło?

- Nasza bawełna, wartości stu pięćdziesięciu tysięcy dolarów - rzekła Scarlett z goryczą.

- Dziękuj Bogu, że nie dom - rzekła babcia opierając podbródek na lasce. - Bawełnę zawsze można zasadzić, domu - nie. Ale, ale, czy zaczęliście już zbiory?

- Nie - odparła Scarlett - większa część pól została zniszczona. Myślę, że zostało nam najwyżej trzy bele, na najdalszym polu nad strumykiem. Ale co nam z tej bawełny przyjdzie? Wszyscy nasi parobcy uciekli, więc kto ma ją zbierać?

- Na miłość boską, „wszyscy nasi parobcy uciekli i nie ma komu jej zbierać!” - przedrzeźniła babcia i spojrzała z ukosa na Scarlett. - A ty, czy nie masz rąk, panienko, albo twoje siostry?

- Ja miałabym zbierać bawełnę? - zawołała Scarlett z takim oburzeniem, jak gdyby ją babcia namawiała do zbrodni. - Jak parobek? Jak „biała nędza”? Jak kobiety Slatterych?

- „Biała nędza”, powiadasz? No i powiedzcie same, czy dzisiejsza generacja kobiet nie jest zepsuta? Pozwól sobie powiedzieć, moja droga, że kiedy byłam młodą dziewczyną i ojciec mój stracił cały majątek, mnie wypadało pracować w polu ucziwie, własnymi rękoma, dopóki ojciec nie zarobił dość znowu, aby kupić niewolników. Kopałam swój rząd i zbierałam bawełnę, i potrafię to zrobić i teraz, jeżeli zajdzie potrzeba. A zajdzie z pewnością. „Biała nędza”, rzeczywiście!

- Ależ, mam! - zawołała synowa rzucając na dwie młode kobiety błagalne spojrzenie,

aby pomogły jej uspokoić starszą panią. - To było dawno temu, w zupełnie innych czasach, dużo się odtąd zmieniło.

- Czasy są zawsze te same, gdy trzeba uczciwie pracować - odrzekła stara pani nie dając się ugłaskać. - I wstyd mi za twoją matkę, Scarlett, że stoisz tutaj i wypowiadasz zdania, iż uczciwa praca zmienia porządných ludzi w hołotę. „Kiedy Adam orał, a Ewa przędła”...

Chcąc zmienić wreszcie temat rozmowy Scarlett zapytała pośpiesznie: - A co słyhać u Tarletonów i Calvertów? Czy domy ich spalone? Czy uciekli do Macon?

- Do Tarletonów Jankesi wcale nie dotarli. Plantacja ich leży na uboczu, podobnie jak nasza. U Calvertów byli, skradli im bydło i namówili wszystkich Murzynów, aby z nimi uciekli - zaczęła Sally.

Babcia znowu jej przerwała.

- Obiecali czarnym dziewczuchom suknie jedwabne i złote kolczyki - od tego zaczęli. A Kasia Calvert opowiadała, że niektórzy z żołnierzy zabrali te głupie dziewczyny ze sobą na siodła. No, wynikną z tego co najwyżej żółte dzieci, i nie zdaje mi się, aby krew jankeska miała poprawić rasę Murzynów.

- Ach, mamó!

- Nie róób takiej zgorzzonej miny, Janko. Jesteśmy wszystkie mężatkami, prawda? I ostatecznie widziałyśmy Mulatów nie raz.

- Dlaczego nie spalili domu Calvertów?

- Dom ocalał dzięki „rdzennemu” akcentowi drugiej pani Calvert i ich jankeskiego rządcy, Hiltona - rzekła stara pani, która o byłej guwernantce dotąd mówiła „druga pani Calvert”, mimo że pierwsza umarła przed dwudziestu laty.

- „Jesteśmy gorliwymi zwolennikami Unii” - przedrzeźniała stara pani cedząc słowa przez nos. - Kasia mówiła, że we dwoje zapewniali pod słowem, że wszyscy Calvertowie są przysięgłymi Jankesami. A pan Calvert umarł na froncie, Raiford padł pod Gettysburgiem. Cade zaś jest z armią w Wirginii! Kasia tak tym była przygnębiona, że zapewnia, iż wolałaby, aby dom spalili. Mówi, że Cade pęknie ze złości, jak wróci do domu i dowie się o tym. Takie są skutki, gdy człowiek żeni się z Jankeską - nie ma to dumy ani honoru i zawsze myśli tylko o własnej skórze... A jak się stało, że nie spalono Tary?

Przez chwilę Scarlett zawahała się, co odpowiedzieć. Wiedziała, że następnym pytaniem będzie: „Jak się miewają rodzice i siostry? Jak się czuje mamusia?” Czuła, że nie potrafi opowiedzieć o śmierci Ellen. Czuła, że jeżeli powie o tym w obecności tych życzliwych kobiet czy bodaj o tym pomyśli, wybuchnie płaczem i będzie dopóty płakała, aż zapłacze się na śmierć. Nie mogła zaś sobie pozwolić na łzy. Właściwie wcale nie płakała od

chwili przyjazdu do domu, wiedziała więc, że jeżeli otworzą się śluzy, odwaga opuści ją na zawsze. Rozglądając się w zakłopotaniu po przyjaznych twarzach, wiedziała jednak o tym, że jeżeli nie podzieli się teraz z paniami Fontaine wiadomością o śmierci Ellen, nigdy jej nie wybaczą. Zwłaszcza że babcia bardzo lubiła Ellen - a w powiecie było mało osób, o których starsza pani była dobrego zdania.

- A więc mów - rzekła babcia patrząc przenikliwie na Scarlett. - Czy nie wiesz dlaczego?

- Widzi pani, przyjechałem do domu dopiero w dzień po bitwie - odpowiedziała spieszenie. - Jankesów nie było już wtedy. Papa... papa powiedział mi, że... prosił ich, aby nie palili domu. ponieważ Zuela i Karina są tak poważnie chore na tyfus, że nie można ich z miejsca ruszać.

- Pierwszy raz w życiu słyszę, aby Jankes postąpił przyzwoicie - rzekła babcia, jak gdyby z żalem, że słyszy coś pochlebnego o najeźdźcach. - A jak się teraz czują dziewczęta?

- Och, lepiej, o wiele lepiej, prawie zupełnie dobrze, tylko że są bardzo osłabione - odrzekła Scarlett. I widząc, że pytanie, którego się obawiała, wisi już na wargach starej pani, szybko uczepiła się innego tematu.

- Zastanawiam się, czy... czy nie mogłyby nam panie pożyczyć czegoś do jedzenia? Jankesi ogołocili nas doszczętnie jak szarańcza. Ale jeżeli i wy nie macie za wiele, proszę mi powiedzieć, to...

- Przyślij tu Porka z wozem, a damy ci połowę naszych zapasów, ryż, mąkę, szynkę i trochę kurcząt - rzekła babcia, patrząc uważnie na Scarlett.

- Och, to będzie za dużo! Doprawdy, ja...

- Ani słowa więcej! Nie chcę wcale słuchać. Czy jesteśmy waszymi sąsiadkami, czy nie?

- Jest pani tak dobra, że wcale nie wiem... Muszę już iść. W domu będą się o mnie niepokoiли.

Babcia wstała nagle i wzięła Scarlett pod ramię.

- Wy tutaj zostańcie - rozkazała popychając Scarlett w stronę kuchennego ganku. - Ja muszę coś powiedzieć na osobności tej małej. Sprowadź mnie ze schodów, Scarlett.

Młoda pani i Sally pożegnały się i przyrzekły, że wkrótce przyjadą z wizytą do Tary. Zżerała je ciekawość, co babcia ma do powiedzenia Scarlett, ale wiedziały, że nie dowiedzą się o tym nigdy, jeżeli nie zechce im powiedzieć. - Starsze panie bywają czasem trudne - szepnęła młoda pani do Sally, wracając do swego szycia.

Scarlett wzięła konia za uzdę, dziwnie jakoś wzruszona.

- A teraz mów - rzekła babcia patrząc jej prosto w oczy - co się złego dzieje w Tarze? Co przede mną ukrywasz?

Scarlett spojrzała w szare, odważne oczy i poczuła, że może powiedzieć całą prawdę bez łez. Nikt nie miał prawa płakać w obecności babci Fontaine bez jej specjalnego pozwolenia.

- Mamusia nie żyje - powiedziała sucho.

Dłoń, obejmująca jej ramię, zacisnęła się mocniej, a pomarszczone powieki zatrzepotały na żółtych oczach staruszki.

- Czy Jankesi ją zabili?

- Umarła na tyfus. Dzień przed moim przyjazdem.

- Nie myśl o tym - rzekła babcia surowo i głośno przełknęła ślinę. - A ojciec?

- Ojciec... ojciec jest inny niż dawniej.

- Jak to rozumiesz? Mów. Czy jest chory?

- Ten cios... jest bardzo dziwny... nie jest...

- Nie mów mi, że jest inny niż dawniej. Czy chcesz powiedzieć, że postradał rozum?

Pewną ulgę sprawiło jej, że stara pani tak jasno wypowiedziała tę przykrą prawdę. Jakaż była dobra, że nie ofiarowywała jej współczucia, które by ją roztkliwiło do łez.

- Tak - powiedziała tępo - postradał rozum. Nie wie, co robi, i czasem wcale nie pamięta, że mama nie żyje. Och, babciu, nie mogę patrzeć na to, jak czeka na nią całymi godzinami, tak cierpliwie, a dawniej był niecierpliw jak dziecko! Ale gorzej jeszcze, kiedy wie, że jej już nie ma. Od czasu do czasu, po długim nasłuchiowaniu, czy mama nie idzie, zrywa się z miejsca, wypada z domu i biegnie na cmentarz. A potem wraca powoli, zapłakany, i raz po raz powtarza, aż słuchać więcej nie mogę: „Kasiu Scarlett, pani O'Hara nie żyje. Twoja matka nie żyje”, a mnie się zdaje, jak gdybym dowiadywała się o tym po raz pierwszy. Czasem, późno w noc, słyszę, jak ją woła, więc wychodzę z łóżka, idę do niego i mówię mu, że mama jest w chacie murzyńskiej przy chorym niewolniku. On zaś zaczyna się gniewać, że męczy się po nocach pielęgnowaniem chorych. I potem tak trudno ułożyć go do snu. Jest jak dziecko. Och, gdyby doktor Fontaine był tutaj! Wiem, że na pewno by coś papie poradził! I Melania także potrzebuje doktora. Nie przychodzi do siebie po porodzie tak, jakby należało...

- Melania ma dziecko? Jest u was?

- Tak.

- Co ona u was robi? Dlaczego nie pojechała do ciotki i swoich krewnych do Macon? Zdawało mi się, że nigdy jej za bardzo nie lubiłaś, Scarlett, mimo że jest siostrą Karola.

Opowiedz mi o tym.

- To długa historia, babciu. Czy nie wolałaby pani wrócić do domu i usiąść?

- Mogę stać - rzekła babcia krótko. - A gdybyś to wszystko opowiedziała w obecności tamtych dwóch, zaczęłyby płakać i musiałabyś się roztkliwiać nad samą sobą. A więc mów.

Scarlett zacinając się zaczęła opowiadać o oblężeniu i o stanie Meli, ale pod spojrzeniem starych oczu, które nie odwracały się od niej ani na chwilę, znajdować zaczęła słowa mocne i straszne. Wszystko stanęło jej znowu przed oczyma: skwarny, duszny dzień urodzenia dziecka, rozpaczliwy strach, ucieczka i postępek Retta. Mówiła o dzikiej ciemności i nocy, o płonących ogniach obozowych, o nagich kominach, które zobaczyła o świcie, o trupach ludzi i koni na szosie, o głodzie, zniszczeniu i obawie, że nie zostanie już Tary.

- Myślałam, że gdy dotrę wreszcie do domu, do mamy, ona o wszystkim pomyśli, a ja będę mogła złożyć to ciężkie brzemię. W drodze myślałam, że wszystko złe, co mogło mnie spotkać, już mi się zdarzyło, ale kiedy dowiedziałam się o jej śmierci, przekonałam się, co jest najgorsze...

Wbiła wzrok w ziemię i czekała, aż babcia coś odpowie. Zapadło milczenie tak długie, że zastanawiała się, czy stara kobieta pojęła jej rozpaczliwą sytuację. Wreszcie babcia przemówiła, a głos jej brzmiał łagodniej niż kiedykolwiek przedtem:

- Dziecko, to bardzo niedobrze, jeżeli kobieta przeżyje najgorsze, co może jej się zdarzyć, bo potem nie boi się już niczego. A to bardzo źle, gdy kobieta niczego się nie boi. Czy przypuszczasz, że nie rozumiem, co mi powiedziałaś... co już przeszłaś? Rozumiem bardzo dobrze. Kiedy byłam w twoim wieku, byłam świadkiem buntu Indian, zaraz po masakrze w Forcie Mims, tak - rzekła głuchym głosem - byłam wtedy w twoim wieku, ponieważ zdarzyło się to jakieś pięćdziesiąt kilka lat temu. Zdażyłam uciec do lasu, leżałam na ziemi i widziałam, jak Indianie podpalają nasz dom i jak skalpują moich braci i siostry. A ja leżałam spokojnie i modliłam się, aby pożar nie oświetlił mojej kryjówki. Widziałam, jak wywlekli z domu moją matkę i zabili w odległości dwudziestu metrów ode mnie. Oskalpowali i ją. I coraz to inny Indianin podchodził do niej i zatapiał tomahawk w jej głowie. Ja... ja byłam jej najukochańszym dzieckiem, ale mimo to leżałam bez ruchu i tylko patrzyłam. A rankiem udałam się w drogę do najbliższej osady, o trzydzieści mil od nas. Szłam przez trzy dni, przez bagna, kryłam się przed Indianami. Myślano potem, że zwariuję... Ach, wszystko to działo się, jak już powiedziałam, pięćdziesiąt lat temu, ale od tego czasu nigdy już nie bałam się niczego ani nikogo, bo poznałam najgorsze, co może się człowiekowi zdarzyć. A ten brak obawy często przysparzał mi wiele kłopotu i pozbawił mnie wielu chwil szczęścia i spokoju. Bóg stworzył kobietę istotą lękliwą i pokorną, jest więc coś

nienaturalnego w kobiecie, która niczego się nie boi... Scarlett, zachowaj sobie zawsze coś, czego byś się bała, i coś, co byś kochała...

Głos jej zamarł, milcząc, wracała teraz pamięcią do owego dnia przed pół wiekiem, kiedy się bała po raz ostatni. Scarlett poruszyła się niecierpliwie. Myślała, że babcia zrozumie jej problemy i wskaże jej może jakiś sposób ich rozwiązania. Ale podobnie jak wszyscy starzy ludzie zaczęła mówić o rzeczach, które zdarzyły się przed stworzeniem świata, o sprawach, które nie obchodziły nikogo. Zaczęła żałować, że się jej zwierzyła.

- No, wracaj do domu, dziecko, bo będą się o ciebie niepokoiли - rzekła nagle. - Przyślij Porka z wozem jeszcze dziś po południu... I nie myśl, że kiedykolwiek będziesz mogła złożyć swoje brzemie. Nie będziesz mogła. Wiem to dobrze.

Złota jesień trwała do listopada i ciepłe jej dni przyniosły Tarze trochę nadziei. Najgorsze już przeszło. Mieli teraz konia, jeździli więc, zamiast chodzić pieszo. Na śniadanie jedli jajecznice, a szynkę smażoną na kolację, zamiast wiecznych yamów, orzeszków ziemnych i jabłek suszonych, przy pewnej zaś odświętnej okazji mieli nawet kurczę pieczone na obiad. Stara maciora została wreszcie schwytaana i wraz ze swoim potomstwem chrząkała i kwiczała radośnie pod domem, gdzie miała legowisko. Czasem zachowywała się tak głośno, że nie było słycać, co się w domu mówi, ale hałas ten wszystkim sprawiał przyjemność. Oznaczał, że z nadejściem chłódów i pory wieprzobicia będzie schab dla białych i flaki dla Murzynów, a żywność na zimę dla wszystkich.

Wizyta u Fontaine'ów pokrzepiła Scarlett bardziej niż przypuszczała. Sama świadomość, że ma sąsiadów, że ktoś z dawnych przyjaciół przeżył zawieruchę i że jeden przynajmniej z domów w sąsiedztwie ocalał, rozwiała uczucie samotności i przygnębienia, które gniotło ją w pierwszych tygodniach pobytu w Tarze. Fontaine'owie i Tarletonowie, których plantacje leżały z dala od szlaku armii, bardzo szczerze podzielili się z nią wszystkim, co mieli. Tradycją powiatu było, że sąsiedzi wspomagali się wzajemnie, nie chcieli więc przyjąć od Scarlett ani grosza mówiąc, że zrobiłaby dla nich to samo i że odpłaci im w naturze za rok, kiedy Tara znowu zacznie rodzić.

Scarlett miała teraz żywność dla domowników i konia, pieniądze i biżuterię znaną na jankeskim maruderze; najgorzej było z nową odzieżą. Wiedziała, że ryzykiem będzie posłanie Porka na Południe, gdzie konia mogli mu zarekwirować zarówno Jankesi, jak i konfederaci. Miała jednak pieniądze, za które mogła kupić odzież oraz konia i wóz na odbycie podróży, może by więc Porkowi udało się jakoś przejechać bezpiecznie. Tak, najgorsze już przeszło.

Budząc się, Scarlett co rano dziękowała Bogu za jasne niebo i ciepłe słońce, bo każdy

dzień pogodny odsuwał trochę porę, w której ciepła odzież stanie się niezbędna. Z każdym ciepłym dniem przybywało więcej bawełny do pustych chat murzyńskich, jedynych zabudowań na plantacji, które można było obrócić w spichrz. Na polach było więcej bawełny niż Pork przypuszczał, prawdopodobnie około czterech beli, bo chaty były już prawie pełne.

Scarlett nawet po naganie otrzymanej od babci Fontaine nie miała zamiaru sama zbierać bawełny. Było nie do pomyślenia, aby ona, panna O'Hara, dziedziczka Tary, sama pracowała w polu. Postawiłoby to ją na tym samym poziomie, co rozczochraną panią Slattery czy jej córkę Emmę. Chciała, aby Murzyni zaczęli pracować w polu, ona zaś i przychodzące do zdrowia dziewczęta zajęłyby się domem, tutaj jednak natknęła się na opór kastowy jeszcze silniejszy od swego. Pork, Mammy i Prissy zaczęli wydawać okrzyki oburzenia w odpowiedzi na propozycję pracy w polu. Powtarzali bez przerwy, że są Murzynami do pokojów, a nie żadnymi parobkami. Zwłaszcza Mammy zaczęła gwałtownie zapewniać, że nigdy w życiu nie pracowała poza domem. Urodziła się w wielkim domu Robillardów, nie w żadnej chałupie, wychowała się w sypialni starszej pani i sypiała na sienniku koło jej łóżka. Tylko Dilcey nic nie powiedziała i popatrzyła na Prissy takim wzrokiem, że dziewczyna natychmiast umilkła.

Scarlett jednak nie chciała słuchać ich protestów i zagnała wszystkich na pola. Okazało się, że Mammy i Pork pracują tak wolno i tak głośno przy tym lamentują, iż Scarlett odesłała Mammy do kuchni, a Porka przydzieliła do lasów i rzeki. Zbieranie bawełny było poniżej godności Porka, ale na polowanie i łapanie ryb godził się chętnie.

Potem Scarlett wypróbowała prace sióstr i Melanii, ale i to nie dało żadnych rezultatów. Melania przez godzinę zbierała bawełnę szybko i chętnie, w gorącym słońcu, potem jednak spokojnie zemdliała i musiała iść do łóżka na tydzień. Zuela nadąsana i zapłakana także udała zemdleń, ale odzyskała przytomność i zaczęła parskać jak rozwścieczony kot, gdy Scarlett oblała ją kubkiem wody. Wreszcie stanowczo odmówiła współpracy.

- Nie będę pracowała w polu jak Murzynka! Nie możesz mnie do tego zmusić. Co będzie, jak dowiedzą się o tym nasi znajomi? Co będzie, jak dowie się o tym pan Kennedy? Och, gdyby mamusia o tym wiedziała...

- Jeśli jeszcze raz wspomnisz mamę, Zuelo, dam ci w twarz! - zawołała Scarlett. - Mama pracowała ciężiej od wszystkich Murzynów na plantacji, i ty dobrze o tym wiesz, moja lalo malowana!

- To nieprawda! W polu nie pracowała. Nie zmusisz mnie do tego. Poskarżę się na ciebie papie i papa nie pozwoli mi pracować!

- Nie śmiej zawracać papie głowy twoimi głupstwami! - zawołała Scarlett, oburzona na siostrę, ale niepewna, czy nie spełni swojej groźby.

- Ja ci pomogę, siostrzyczko - wtrąciła łagodnie Karina. - Będę pracowała za Zuelę i za siebie. Ona nie jest jeszcze zdrowa i nie powinna stać w słońcu.

Scarlett powiedziała z wdzięcznością: - Dziękuję ci, maleńka - i popatrzyła z troską na siostrę. Karina, dotąd zawsze różowa i biała jak kwiaty wiśni, rozsiewane po sadzie wiosennym powiewem, nie była już od dawna różowa, ale jeszcze zachowała w twarzy delikatność kwiatu. Była milcząca, oszołomiona trochę od chwili, gdy po powrocie do przytomności nie zastała Ellen przy życiu. Scarlett stała się despotką, świat przemienił się na opak, a ciężka praca była na porządku dziennym. Wrażliwa jej natura nie mogła się do tych zmian przystosować. Karina nie mogła po prostu pojąć, co się stało, i krążyła po Tarze jak lunatyczka, spełniając wszystko, czego od niej żądano. Wyglądała wątłe i była bardzo osłabiona, ale chętna do pracy, posłuszna i gotowa do świadczeń. Gdy nie wypełniała poleceń Scarlett, przebierała paciorki różańca, a wargi jej poruszały się w modlitwie za matkę i Brenta Tarletona. Scarlett nie mogła pojąć, że Karina odczuła śmierć Brenta tak poważnie i że rana jej serca nie może się zagoić. Dla niej Karina była wciąż jeszcze „małą siostrzyczką”, zbyt młodą, aby rozumieć prawdziwą miłość.

Scarlett stojąc w słońcu nad krzakami bawełny, zmęczona ciągłym schyleniem się, żałowała, że nie ma siostry, która by łączyła w sobie energię Zueli z charakterem Kariny. Karina bowiem zbierała bawełnę pilnie i sumiennie. Ale po godzinie pracy stało się oczywiste, że to ona, a nie Zuela jest do takiej roboty za słaba. Scarlett więc odesłała do domu i ją.

Na dużym pólku została z nią teraz tylko Dilcey i Prissy. Prissy pracowała ospale, nieregularnie, skarżąc się co chwila, że bołą ją to nogi, to plecy, to żołądek, że jest zmęczona, aż matka jej wzięła łądygę bawełny i zbiła ją tak mocno, że dziewczyna zaczęła płakać. Odtąd pracowała trochę lepiej, ale starała się ustawiać jak najdalej od matki.

Dilcey pracowała w milczeniu, niezmordowana jak maszyna, Scarlett więc, mimo że bołały ją plecy i że ręce miała sztywne od ciężaru worka, do którego nakładała puch bawełny, pomyślała, że Dilcey warta była swojej wagi w złocie.

- Dilcey - powiedziała - gdy wrócą dobre czasy, nie zapomnę ci tego, jak postępujesz. Jesteś bardzo dobra i pracowita.

Brązowa olbrzymka nie uśmiechnęła się z zadowoleniem ani nie wykrzywiła radośnie, zwyczajem innych Murzynów. Zwróciła ku Scarlett nieruchomą twarz i odparła z godnością: - Dziękuję pani. Ale pan Gerald i pani Ellen też byli dla mnie dobrzy. Pan Gerald kupił moją Prissy, abym się nie musiała martwić, więc ja to pamiętam. Ja jestem na pół Indianką, a Indianie nie zapominają, kiedy ktoś był dla nich dobry. Przykro mi za moją Prissy. To leniuch

dziewucha. Wdała się w ojca. Ojciec jej był wielkim nicponiem.

Mimo, że trudno było o pomoc przy zbieraniu bawełny i że ciężka praca męczyła ją bardzo, Scarlett poprawił się nastrój, kiedy bawełna zaczęła zapełniać chaty. W widoku tym było coś takiego, co podtrzymywało ją na duchu i uspokajało. Tara wzbogaciła się na bawełnie, podobnie jak całe Południe, Scarlett zaś była w dostatecznym stopniu kobietą Południa, aby wierzyć, że tak Tara jak cały kraj odrodzą się znowu dzięki plonom czerwonych pól.

Pewnie, że garstka bawełny, którą zebrała, znaczyła niewiele. Przyniesie jednak trochę pieniędzy w walucie Konfederacji, co pozwoli jej zaoszczędzić dolary i złoto do czasu, gdy będzie musiała je wydać. Na wiosnę postara się, aby rząd odesłał jej Dużego Sama i innych parobków, jeżeli zaś ich nie zwolnią, zużyje pieniądze jankeskie na najęcie parobków od sąsiadów. Na wiosnę będzie sadiła i sadiła... Wyprostowała zmęczone plecy i patrząc na żółte, jesienne pola, widziała przed sobą plony przyszłego roku, zieleniące się na przestrzeni wielu akrów.

Wiosna! Na wiosnę może skończy się wreszcie wojna i wrócą stare dobre czasy. Czy Konfederacja wygra wojnę czy przegra, czasy na pewno będą lepsze. Nie będzie ciągłego niebezpieczeństwa najazdów obu armii. Kiedy wojna się skończy, plantacja będzie przynosiła uczciwy dochód. Och, gdybyż już wreszcie zawarto pokój! Ludzie mogliby sadić bawełnę z jaką taką pewnością, że zbiorą plony.

Zaświtała iskierka nadziei. Wojna nie może trwać wiecznie. Scarlett miała teraz bawełnę, miała żywność, konia i mały, starannie ukryty skarb. Tak, najgorsze już przeszło!

ROZDZIAŁ XXVII

W pewne południe w połowie listopada wszyscy siedzieli przy stole i jedli deser przyrządzony przez Mammy z mąki kukurydzowej i suszonych czarnych jagód, słodzonych sorgo. W powietrzu czuć było pierwszy w tym roku chłód, więc Pork, stojący za krzesłem Scarlett, zatarł ręce i powiedział wesoło: - Czas już będzie chyba zabić świnie, Miss Scarlett...

- Cieszysz się już na flaki, prawda? - rzekła Scarlett z uśmiechem. - Ja także już się cieszę na wieprzowinę, więc jeżeli pogoda utrzyma się, trzeba będzie...

Melania z łyżką podniesioną do ust przerwała jej nagle:

- Słuchaj, kochanie! Ktoś jedzie!

- Ktoś woła - rzekł Pork niepewnie.

W czystym powietrzu zabrzmiał teraz wyraźnie tętent kopyt końskich, wałących szybko jak przerażone serce, i rozległ się wysoki głos kobiecy, wołający: - Scarlett! Scarlett!

Siedzący przy stole przez straszną sekundę niemo patrzyli na siebie, odsunęli gwałtownie krzesła i porwali się z miejsc. Mimo że głos brzmiał z przerażenia ochryple, poznali, że to woła Sally Fontaine, która przed godziną zatrzymała się w drodze do Jonesboro na krótką pogawędkę w Tarze. W chwili gdy pchali się bezładnie ku drzwiom frontowym, zobaczyli, jak na spienionym koniu przejeżdża przed domem - z włosami rozwianymi i czepkiem wiszącym na wstążkach u szyi. Nie wstrzymała konia, tylko w szaleńczym tempie cwałując ku nim wskazywać zaczęła ręką w kierunku, skąd przyjechała.

- Jankesi nadchodzą! Widziałam ich na drodze! Jankesi... Ściągnęła raptownie wędzidło konia, w samą porę, bo inaczej wpadłby na ganek. Zawróciła, w trzech susach przebiegła trawnik przed domem, potem przesadziła żywopłot wysokości czterech stóp. Ciężki odgłos kopyt dał się słyszeć na podwórzu, a po chwili na wąskiej ścieżce między chatami murzyńskimi Sally na przełaj przez pola zmierzała do Mimozy.

Przez chwilę stali jak tknięci paraliżem, wreszcie Zuela i Karina zaczęły płakać i ścisnąć się za ręce. Mały Wade stał jak przygwożdżony drżąc, nie mogąc wydać głosu To, czego bał się od chwili wyjazdu z Atlanty, zdarzyło się jednak Jankesi przyszli go zabrać.

- Jankesi? - zapytał Gerald nieprzytomnie. - Przecież Jankesi już tu byli.

- Matko Przenajświętsza! - krzyknęła Scarlett patrząc w przerażone oczy Melanii. W błyskawicznym wspomnieniu mignęły jej w pamięci okropności ostatniej nocy w Atlancie, zrujnowane domy po wsiach, opowiadania o torturach i mordach jankeskich. Przypomniał jej się Jankes stojący w hallu z pudełkiem do szycia Ellen. Myślała: „Umrę. Umrę tu na miejscu.

Myślałam, że to już się skończyło. Umrę. Nie przetrzymam tego”.

Potem wzrok jej padł na konia, osiodłanego i czekającego przed domem na Porka, który miał po obiedzie pojechać do Tarletonów. Koń! Jedyne jej koń! Jankesi zabiorą teraz i jego, i krowę z cielęciem. I świnie z prosiakami. Och, ileż męczących godzin zajęło im chwytanie tej świni i jej zwinnego przychówku! Zabiorą także koguta i kury siedzące na jajach, i kaczki, które dostała od Fontaine'ów. I jabłka, i yamy ze spiżarni. Mąkę, ryż i suszony groszek. I pieniądze z portfela jankeskiego żołnierza. Zabiorą wszystko i znowu skazą ich na śmierć głodową.

- Nie oddam ich! - zawołała na głos. Wszyscy zwrócili się ku niej z przestachem, myśląc, że z przerażenia postradała zmysły. - Nie chcę być głodna! Nie oddam ich!

- O co chodzi, Scarlett? O czym mówisz?

- O koniu! O krowie! O świniach! Nie oddam ich! Nie pozwolę, aby je wzięli!

Zwróciła się szybko do czworga Murzynów stłoczonych w drzwiach i szarych jak popiół z przestachu.

- Moczary - rzuciła krótko.

- Jakie moczary?

- Moczary nad rzeką, głupcy! Zapędźcie tam świnie. Wszyscy. Szybko. Pork, ty z Prissy wleziesz pod dom i zabierzesz je stamtąd. Zuelo, ty z Kariną nałóż w koszyki tyle jedzenia, ile będziecie mogły udźwignąć, i idźcie z tym do lasu. Mammy, ty włóż srebro z powrotem do studni. I słuchaj, Pork! Pork, słuchaj, co mówię, nie stój tu jak malowany! Zabierz ze sobą papę. Nie pytaj mnie, dokąd! Gdziekolwiek! Idź z Porkiem, tatusiu Tak, ty jesteś dobry, tatusiu!

Mimo przerażenia nie zapomniała o tym, jak widok niebieskich mundurów może podziałać na zmacony umysł Geralda. Zatrzymała się i zaczęła załamywać ręce, a rozpaczliwe łkania małego Wade'a, który czepiał się kurczowo spódnicy Melanii, wzmogły jeszcze jej strach.

- A co ja mam robić, Scarlett? - Głos Melanii brzmiał spokojnie na tle płaczu, szlochów, tupotu nóg. Mimo że twarz miała białą jak papier i drżała na całym ciele, głos jej był tak spokojny, że pokrzepił Scarlett i zarazem uświadomił jej, iż wszyscy do niej zwracają się o przewodnictwo, rozkazy.

- Krowa i cielę - rzekła szybko. - Są na starym pastwisku. Weź konia. Zagoń je na bagna i...

Zanim skończyła to zdanie, Melania odsunęła Wade'a, zeszła ze schodów i już biegła w stronę konia zbierając wkoło siebie szeroką suknię. Scarlett przez mgnienie oka widziała jej

chude nogi, fruujące spódnice i dessous - i oto Melania siedziała na siodle, a stopy jej zwisały wysoko nad strzemionami. Wzięła do rąk cugle i piętami uderzała zwierzę po bokach, potem nagle wstrzymała konia, a twarz jej wykrzywiła się ze zgrozy.

- Dziecko moje! - krzyknęła. - Och, moje dziecko! Jankesi je zabijają! Daj mi tu małego!

Położyła dłoń na kuli i już chciała się ześliznąć z siodła, kiedy Scarlett wrzasnęła do niej:

- Jedź już, jedź! Odszukaj krowę! Ja zajmę się dzieckiem! Spiesz się, mówię ci! Czy przypuszczasz, że dopuściłabym, aby dostali w swoje ręce dziecko Ashleya? Jedź teraz!

Mela oglądała się z rozpaczą za siebie, ale mimo to znowu spięła obcasami konia i przy akompaniamencie skrzypu żwiru ruszyła w stronę łąki.

Scarlett zdążyła pomyśleć: „Nigdy bym nie przypuszczała, że zobaczę Melę Hamilton siedzącą okrakiem na koniu!”, a potem wpadła do domu. Wade płacząc płatał się koło niej i starał się ucześcić jej fruujących spódnic. Wchodząc po trzy stopnie na raz, zobaczyła Zuelę i Karinę z wiklinowymi koszykami w rękach, kierujące się w stronę spiżarni, i Porka, który niezbyt łagodnie ciągnął Geralda za rękę w stronę kuchennego ganku. Gerald mruczał coś ze złością i opierał mu się jak dziecko.

Z podwórza doszedł ją ostry głos Mammy: - Ty, Prissy! Wleź pod dom i podaj tu prosiaki! Wiesz dobrze, że ja jestem za gruba, aby się tam dostać. Dilcey, chodź tutaj i każ tej dziewczusze...

„A ja myślałam, że to tak mądrze trzymać świnie pod dachem, żeby ich nikt nie ukradł - myślała Scarlett biegnąc do swego pokoju. - Dlaczego, ach, dlaczego nie zbudowałam im chlewu na moczarach?”

Wyciągnęła górną szufladę komody i zaczęła przebierać między bielizną, aż wreszcie znalazła portfel Jankesa. Spiesznie wyjęła z ukrycia pierścioneł i diamentowe kolczyki i wsunęła je do portfela. Ale gdzie go ukryć? W materacu? W kominie? Wrzucić go do studni? Schować na piersiach? Nie, broń Boże nie tam! Zarys jego może być widoczny przez stanik; jeżeli Jankesi go zauważą, gotowi będą rozebrać ją do naga i zrewidować.

„Umrę, jeżeli to zrobią!” - pomyślała z pasją.

Na dole głośno było od tupotu stóp i płaczliwych głosów. Mimo swego zgorączkowania Scarlett załowała, że nie ma przy niej Meli, Meli o spokojnym głosie, Meli, która okazała tyle odwagi w dniu, gdy Scarlett zabiła Jankesa. Mela była tyle warta co trzy inne kobiety. Mela - co też powiedziała na odjeźdźnym? A tak, dziecko!

Przyciskając do siebie portfel, Scarlett przebiegła przez korytarz do pokoju, w którym mały Beau spał w niskiej kolebce. Schwyciła go w ramiona; dzieciak zbudził się, poruszył

małymi piąstkami i zaczął się ślinić.

Usłyszała, jak Zuela woła: - Chodź już, Karino! Chodź! Mamy już dość jedzenia! Och, prędzej, śpiesz się! - Z podwórza rozległy się dzikie piski i oburzone chrząkania. Podbiegając do okna Scarlett ujrzała Mammy, toczącą się spiesznie przez pole bawełny z dwoma wyrrywającymi się prosiakami pod pachą. Za nią szedł Pork, także niosąc dwa prosięta i popychając Geralda przed sobą. Gerald potykał się o bruzdy i gniewnie wymachiwał łaską.

Wychylając się z okna Scarlett krzyknęła: - Dilcey, wyprowadź maciore! Niech ją Prissy pogna przed sobą przez pola.

Dilcey spojrzała w górę, a na jej brązowej twarzy malowało się zakłopotanie. W fartuchu miała stos srebra stołowego. Palcem wskazywała pod dom.

- Świnia ugryzła Prissy i teraz Prissy siedzi uwięziona pod domem.

„Świnia dobrze zrobiła” - pomyślała Scarlett. Znowu wróciła do swego pokoju i szybko zaczęła wyjmować ze schowane bransoletki, broszkę, miniaturę i kubek, znalezione przy zabitym Jankesie. Gdzie to wszystko ukryć? Nieporęcznie jej było nieść małego Beau w jednej ręce, a portfel i świecidełka w drugiej. Położyła dziecko na łóżku.

Mały zaczął płakać, a wtedy Scarlett przyszedł do głowy zbawienny pomysł. Jakaż może być lepsza kryjówka niż pieluszki dziecka? Szybko obróciła dzieciaka, podniosła mu koszulkę i włożyła portfel pod pieluszkę, na plecach dziecka. Beau zaczął krzyczeć głośniejsze, ona nie zważając na to przewijała go szybko.

„A teraz - pomyślała wzdychając głęboko - teraz na bagna!”

Biorąc krzyczące dziecko pod jedną rękę, biżuterię ściskając w drugiej, wybiegła na korytarz. Nagle zwolniła kroku, a strach podciął jej kolana. Jaki milczący był dom! Jak przeraźliwie cichy! Czy wszyscy poszli i zostawili ją samą? Czy nikt na nią nie poczekał? Nie chciała wcale zostać sama. W takich czasach wszystko mogło się przytrafić samotnej kobiecie, tym bardziej że nadchodzili Jankesi...

Podskoczyła prawie, słysząc jakiś szmer i odwracając się szybko, spostrzegła przycupniętego przy poręczy schodów swego zapomnianego synka, o oczach rozszerzonych strachem. Chciał coś powiedzieć, ale nie mógł wydobyć głosu.

- Wstawaj, Wade! - rozkazała szybko. - Wstawaj i chodź ze mną. Mama nie może cię teraz nosić.

Dopał do niej jak małe przerażone zwierzątko i chwytając fałdę jej szerokiej spódnicy ukrył w niej twarz. Czowała, jak małe jego ręce szukają jej nóg. Zaczęła schodzić po schodach, ale ręce Wade'a hamowały jej kroki, powiedziała więc ostro: - Puść mnie, Wade! Puść mnie i idź sam! - Dziecko jednak czepiało jej się coraz mocniej.

Kiedy doszła do półpiętra, objęła wzrokiem całe wnętrze domu. Wszystkie dobrze znajome, ukochane meble zdawały się szeptać: - Żegnaj! Żegnaj! - Łzy zaczęły ją dławić. Drzwi do kantorku, w którym Ellen zwykła pracować tak pilnie, były otwarte; widziała róg starego sekretarzyka. W jadalni krzesła odsunięte były nieporządnie i resztki jedzenia stygły na talerzach. Na podłodze leżały dywaniki, które Ellen sama farbowała i tkła. Na ścianie wisiał stary portret babci Robillard, o na wpół obnażonych piersiach, wysoko upiętych włosach i nozdrzach tak zarysowanych, że twarz jej zdawała się wiecznie wzdorliwie uśmiechać. Wszystko to było częścią jej najwcześniejszych wspomnień, we wszystko to najgłębiej wrosła korzeniami: - Do widzenia! Żegnaj, Scarlett O'Hara.

Jankesi spalą to wszystko - wszystko!

Po raz ostatni patrzyła teraz na dom. Z kryjówki swojej w lasach czy na moczarach zobaczy jeszcze potem tylko wysokie kominy w kłębach dymu i dach pękający od żaru płomieni.

„Nie mogę tego opuścić - pomyślała, choć zęby jej dzwoniły z przerażenia. - Nie mogę tego opuścić. Papa także nie zostawiłby tego. Powiedział im, że mogą mu dom palić nad głową. Wobec tego niech palą go nad moją głową, bo i ja go nie opuszczę. To jest jedyne, co posiadam”.

Kiedy powzięła tę decyzję, strach jej nagle uleciał i zostało tylko uczucie mrozu w piersiach. Stojąc tak, usłyszała od strony podjazdu stąpanie wielu par kopyt końskich, dźwięczenie uprzęży i szabli, podzwaniających w pochwach, i ochrypy głos rzucający komendę: - Zsiadać! - Szybko pochyliła się do Wade'a, a głos jej zabrzmiał dość łagodnie, choć stanowczo.

- Puść mnie teraz, Wade, kochanie! Przebiegnij szybko po schodach i leć przez podwórze w stronę bagien. Będzie tam Mammy i ciocia Mela. Leć prędko, kochanie, i nie bój się.

Słyszając zmianę w jej głosie chłopiec spojrzał w górę i Scarlett zdumiała się wyrazem jego oczu - były błędne jak oczy małego królika, zaplątanego w sidła.

- Och, Najświętsza Panienko! - modliła się. - Spraw, aby nie dostał teraz konwulsji, tylko nie wobec Jankesów Nie powinni wiedzieć, że się boimy - i kiedy dzieciak mocniej schwycił się jej spódnicy, rzekła głośno: - Bądź małym mężczyzną, Wade. To tylko garstka przeklętych Jankesów! Po czym zeszła na dół na ich spotkanie.

Sherman maszerował przez Georgię od Atlanty do morza. Za sobą miał dymiące zgliszcza Atlanty, którą podpalił w chwili, gdy niebieska armia ją opuszczała. Przed sobą - trzysta mil terytorium właściwie bezbronnego, jeżeli nie liczyć resztek milicji stanowej oraz

starców i niedorostków z gwardii.

Rozciągał się przed Jankesami żyzny kraj, usiany plantacjami, w których chroniły się kobiety i dzieci, niedołążni starcy i Murzyni. Na przestrzeni osiemdziesięciu mil palili teraz i rabowali. Setki domów puścili z dymem, w setkach domów brzmiały ich ciężkie kroki. Dla Scarlett jednak, przyglądającej się, jak żołnierze zapełniają hali, fakt ten miał znaczenie wyłącznie osobiste. Uważała, że dzieje się jej złośliwa krzywda, że przykrość wymierzona jest wyłącznie w nią i jej najbliższych.

Stała u stóp schodów, trzymając dziecko na ręku. Wade obejmował mocno jej nogi, kryjąc głowę w fałdach spódnicy, Jankesi zaś roili się w domu, potrącając ją wbiegli na schody, wyciągnęli meble na ganek frontowy, kłuli bagnetami i nożami wyścielane fotele i szukali w nich ukrytych kosztowności. Na górze pruli materace i pierzyny, aż powietrze w hallu stało się duszne, od pierza, które unosiło się wszędzie. Bezsilna wściekłość przytłumiła w Scarlett resztki strachu, kiedy tak stała bezradnie, patrząc, jak plądrują, kradną i niszczą.

Sierżant dowodzący oddziałem był małym, siwiejącym człowieczkiem na kabłąkowatych nogach. W ustach miał duży kawał tytoniu do żucia, który wypychał mu policzek. Podeszedł ku Scarlett, wyprzedzając innych i plując bezceremonialnie na podłogę, rzekł krótko:

- Proszę mi dać to, co pani ma w ręku.

Zapomniała zupełnie o błyskotkach, które chciała schować, i z drwiącym uśmiechem, prawie tak wymownie jak śmiech babci Robillard, rzuciła wszystko na podłogę, ciesząc się złośliwie z walki, jaką żołnierze o to toczą. - Jeszcze panią poproszę o ten pierścionek i kolczyki.

Scarlett ścisnęła dziecko mocniej tak że teraz zwisało prawie głową na dół, czerwone i płaczące, i zdjęła kolczyki z granatów - prezent ślubny Geralda dla Ellen. Potem zsunęła z palca pierścionek z dużym szafirem, który dostała od Karola w dniu zaręczyn.

- Niech pani tego nie rzuca. Proszę to mnie dać - rzekł sierżant wyciągając dłoń. - Ta hołota już dość dostała. Co pani ma jeszcze? - Oczy jego przebiegły badawczo po jej staniku.

Przez chwilę Scarlett zrobiło się słabo, jak gdyby czuła już ręce sięgające za stanik, macające przy podwiązkach.

- To wszystko, co mam, ale wy macie przecież zwyczaj obdzierania ofiar nawet z ubrania?

- Och, ja wierzę pani na słowo - rzekł dobrodusznie sierżant, znowu spluwając na odchodnym. Scarlett uspokoiła dziecko i wzięła je teraz lepiej na ręce, kładąc dłoń w miejscu, gdzie ukryła portfel, i dziękując Bogu, że Mela miała dziecko, a dziecko - pieluszki.

Na górze słyszała stapanie ciężkich buciorów, skrzyp mebli przesuwanych po podłodze, tłuczenie porcelany i luster, przekleństwa, że nie znajdują rzeczy wartościowych. Z podwórza dochodziły głośnie krzyki: - Zagroźcie im drogę! Nie pozwólcie im uciec! - i rozpaczliwe gdakanie kur, kwakanie kaczek i gęganie gęsi. Ból ją przeszył, kiedy usłyszała pełne trwogi kwiki, potem strzał z pistoletu - domyśliła się, że zastrzelono maciorę. Niech licho porwie Prissy! Uciekła i zostawiła świnie! Oby tylko prosięta były bezpieczne! Oby rodzina była bezpieczna na moczarach! To jednak trudno było przewidzieć.

Stała spokojnie w hallu, podczas gdy żołnierze kręcili się koło niej, krzyczeli i przeklinali. Palce Wade'a czepiały się kurczowo jej spódnicy. Czowała, że mały drży na całym ciele, garnąc się do niej, ale nie umiała się zdobyć na uspokojenie go bodaj słowem. Nie mogła się zdobyć na przemówienie do Jankesów, na słowo prośby, protestu czy gniewu. Co najwyżej mogła dziękować Bogu, że kolana nie załamują się pod nią, że kark ma dość sztywny, aby wysoko trzymać głowę. Kiedy jednak oddział brodatych, ciężko obciążonych łupem mężczyzn zszedł po schodach i kiedy ujrzała szablę Karola w rękach jednego z nich, nie wytrzymała i krzyknęła głośno.

Szabla należała do Wade'a. Była własnością ojca jego i dziadka, więc Scarlett podarowała mu ją na ostatnie urodziny. Odbyła się przy tym mała ceremonia: Melania płakała z dumy i żalu, pocałowała chłopca i powiedziała, że musi się starać wyrosnąć na dzielnego żołnierza, jak ojciec jego i dziadek. Wade był bardzo z szabli dumny; często wdrapywał się na stół, nad którym wisiała, aby ją przynajmniej pogłaskać. Scarlett mogła znieść stratę własnego dobytku wynoszonego z domu przez nienawistnych drabów, ale tego nie chciała ścierpieć. Zabierano dumę i nadzieję jej synka. Wade, który wyrzał z za zasłony jej spódnicy, gdy krzyknęła, odzyskał nagle mowę i odwagę. Wyciągając jedną rękę zawołał z głośnym szlochem:

- To moje!

- Tego nie zabierzecie! - szybko powiedziała Scarlett i także wyciągnęła rękę.

- Nie zabiorę, naprawdę? - rzekł mały żołnierz trzymając szablę i wykrzywił się do niej drwiąco. - Właśnie że zabiorę! To broń buntowników!

- Nie, to nieprawda. To szabla z wojny meksykańskiej. Nie możecie jej zabrać. Należy do mego synka, była własnością jego dziadka! Och, panie kapitanie - zawołała zwracając się do sierżanta - niech pan każe mu ją oddać!

Sierżant, dumny z tego awansu, wystąpił naprzód.

- Pokaż mi tę szablę, Bob - powiedział.

Mały kawalerzysta podał mu ją niechętnie. - Ma szczerozłotą rękojeść - powiedział.

- Pułkownikowi Wiliamowi R. Hamiltonowi - zaczął odcyfrowywać sierżant. - Od oficerów i żołnierzy. W dowód odwagi. Buena Vista. 1847.

- O, proszę pani - rzekł - ja też byłem pod Buena Vista.

- Tak? - rzekła Scarlett lodowato.

- Rozumie się, że byłem! O, tam było dobre pranie, powiadam pani. W tej wojnie nie mieliśmy takiej bitwy jak tamta. A więc pani mówi, że ta szabla należała do dziadusia tego kawalera?

- Tak.

- No, więc niech ją zatrzyma - rzekł sierżant, zadowolony z biżuterii i srebra, które sobie zawiązał w chusteczkę.

- Ale przecież ta rękojeść jest z prawdziwego złota - napierał się kawalerzysta.

- Zostawimy ją tej pani, aby nas pamiętała - zaśmiał się sierżant.

Scarlett wzięła szablę, nie mówiąc nawet „dziękuję”. Dlaczego miałaby dziękować tym bandytom za zwrot tego, co było jej własnością? Przycisnęła szablę do siebie, podczas gdy mały kawalerzysta klócił się i swarzył z sierżantem.

- Na Boga, ja co innego bym zrobił tym przekętym buntownikom, aby mnie popamiętali! - krzyknął wreszcie żołnierz, gdy sierżant, wyprowadzony z równowagi, sklął go i nakazał milczenie. Odszedł pniąc się na tył domu i Scarlett odetchnęła swobodniej. Nic nie powiedzieli o spaleniu domu. Nie kazali jej wyjść, aby go mogli podpalić. Może... może... Żołnierze zaczęli się wolno schodzić z podwórza i z górnego piętra.

- Macie co? - zapytał sierżant.

- Jedną świnie i parę kur i kaczek.

- Trochę kukurydzy, bulw i fasoli. Ta wariatka, którą widzieliśmy na koniu, musiała ich w porę uprzedzić.

- No, po prawdzie to niewiele tu było, sierżancie. Wyście zabrali resztki. Jedźmy stąd, zanim się w całym powiecie dowiedzą, że się zbliżamy.

- Czyście szukali pod wędzarnią? Oni zwykle tam wszystko chowają.

- Kiedy nie ma wędzarni.

- A szukaliście w chałupach murzyńskich?

- W chałupach była tylko bawełna. Podpaliliśmy ją.

Przez krótką chwilę Scarlett pomyślała o upalnych długich dniach pracy w polu, poczuła znowu straszny ból pleców, karku i ramion. Wszystko na nic. Bawełna zniszczona.

- Nie mieliście tu dużo, prawda, proszę pani?

- Wasze wojska już tu raz były - odrzekła chłodno.

- To prawda. Byliśmy w tej okolicy we wrześniu - rzekł jeden z żołnierzy obracając coś w palcach. - Zapomniałem o tym zupełnie.

Scarlett zobaczyła, że trzyma w ręku złoty napastrzek Ellen. Ileż razy widziała, jak połyskiwał nad haftami matki! Widok ten odświeżył w niej cały szereg bolesnych wspomnień o szczupłej dłoni, która go nosiła. Teraz spoczywał w brudnej, twardej łapie obcego człowieka, wkrótce zaś powędruje na Północ, na palec jakiejś Jankeski, która dumna będzie z posiadania wojennej zdobyczy. Napastrzek Ellen!

Scarlett opuściła głowę, aby wrogowie nie widzieli, że płacze: łyzy jej pociekły wolno na główkę dziecka. Jak przez mgłę widziała, że żołnierze kierują się w stronę drzwi, słyszała, jak sierżant ochryplym, donośnym głosem rzuca komendę. Odjeżdżali i Tara ocalała; teraz jednak, gdy gniotło ją wspomnienie o Ellen, wcale nie mogła się z tego cieszyć. Podzwięki szabel i odgłosy kopyt końskich sprawiły jej niewiele ulgi. Nagle osłabiona i wyczerpana stała bez ruchu i przyglądała się, jak Jankesi znikają w alei, obładowani skradzionymi rzeczami - odzieżą, kołdrami, obrazami, drobiem.

Nozdrza jej uderzył teraz zapach dymu, odwróciła się więc leniwie, zbyt słaba po przebytych napięciach, aby martwić się z powodu bawełny. Przez otwarte okna jadalni widziała dym sączący się wolno z chat murzyńskich. Bawełna przepadła. Przepadły pieniądze na podatki i na utrzymanie domu w czasie ciężkiej zimy. Nie mogła na to nic więcej poradzić, jak tylko patrzeć bezsilnie. Widziała nieraz palącą się bawełnę, wiedziała więc, jak trudno ją ugasić, nawet przy pomocy wielu ludzi. Dzięki Bogu, że nie ma wiatru, który by iskry rzucił na dach Tary!

Nagle naprężyła się jak ogar, rozszerzanymi strachem oczyma patrzyła na kryty korytarz prowadzący do kuchni. Z kuchni szedł dym!

Gdzieś w hallu położyła dziecko. Gdzieś dalej uwolniła się od uścisku Wade'a i odepchnęła go pod ścianę. Wpadła do pełnej dymu kuchni i zachwiała się kaszląc, a oczy jej zaczęły łzawić od dymu. Po chwili rzuciła się naprzód, zakrywając spódnicą nos.

Izba była ciemna, bo oświetlało ją tylko jedno okienko, i tak pełna dymu, że nic nie widziała przed sobą, dochodził ją tylko syk płomieni. Przesuwając rękę po oczach popatrzyła zezem i ujrzała cienkie języki ognia posuwające się po podłodze w stronę ścian.

Ktoś wyrzucił z pieca palące się głównie na podłogę, więc suche jak pieprz sosnowe deski chłonęły ogień i rzygały nim jak wodą.

Pobiegła do jadalni i chwyciła z podłogi dywanik, przewracając z trzaskiem dwa krzesła.

„Nigdy tego nie ugaszę - nigdy, nigdy! Och, Boże, gdybym miała choć kogoś do

pomocy! Tara pójdzie z dymem - cała! Och, Boże! To miał na myśli ten łotr mówiąc, że już go popamiętam! Ach, dlaczego nie dałam mu tej szabli!”

W korytarzu minęła Wade'a leżącego z szablą w kąciku. Miał zamknięte oczy, a na twarzy wyraz błędnego, nieziemskiego spokoju.

„Mój Boże! Nie żyje! Przerażenie go zabiło!” - pomyślała z rozpaczą, ale nie zatrzymując się, chwyciła wiadro wody, które stało przy drzwiach kuchennych.

Umoczyła róg dywanika w wodzie i zaczerpnąwszy głęboko powietrza znowu weszła do pełnej dymu izby, zatrzasnąwszy drzwi za sobą. Przez nie kończąca się chwilę chwiała się i kaszlała, gasząc dywanikiem linijki ognia, które szybko wytryskiwały dokoła. Dwa razy długa jej spódnica zaczynała się palić, więc musiała ją gasić rękoma. Czowała zapach palącego się rogu, bo powypadały jej wszystkie szpilki z fryzury, a włosy rozpuściły się na ramiona. Płomienie pędziły za nią w kierunku ścian krytego korytarza - jak ogniste węże, które zwijają się i atakują, aż wreszcie nieprzytomna z wyczerpania, poczuła, że wysiłki jej są beznadziejne.

Drzwi otwarły się nagle, od pędu powietrza płomienie wzbłyły się wyżej. Po chwili znowu zamknęły się z trzaskiem; w leju gryzącego dymu Scarlett, na wpół oślepiąca, ujrzała Melanię deptającą nogami płomienie, gaszącą je czymś ciemnym i ciężkim. Widziała, jak chwieje się, słyszała, jak kaszle, przez chwilę zarysowała się przed nią jej zacięta biała twarz i oczy zmrużone od dymu, jej mała postać pochylająca się w przód i w tył, trzępiąca dywanikiem. Przez wieczność całą walczyły z ogniem, ramię przy ramieniu, wreszcie Scarlett zobaczyła, że języki ognia zaczynają maleć. Naraz Melania odwróciła się ku niej i krzyżąc z całej siły wyrzuciła ją w plecy. Scarlett upadła w dym i ciemność.

Kiedy otwarła oczy, leżała na kuchennym ganku z głową ułożoną wygodnie na kolanach Melanii, a promienie zachodzącego słońca świeciły jej w twarz. Dłonie jej, twarz i ramiona piekły niemiłosiernie od oparzeń. Dym ciągle jeszcze sączył się z chałup murzyńskich, które nikły w tym gęstym tumanie, w powietrzu czuć było silny zapach tłęcej się bawełny. Scarlett ujrzała cienkie dymki, unoszące się od strony kuchni, i gwałtownie poderwała się z miejsca.

Położyła się jednak znowu, kiedy usłyszała spokojne słowa Melanii: - Leż spokojnie, kochanie. Ogień ugaszony.

Przez chwilę leżała bez ruchu, z zamkniętymi oczyma, wzdychając z ulgą, aż usłyszała blisko siebie gaworzenie dziecka i znajome dźwięki czkawki Wade'a. Więc jednak nie umarł! Bogu niech będą dzięki! Otworzyła oczy i spojrzała na twarz Melanii. Włosy jej były opalone, twarz czarna od sadzy, ale oczy świeciły podnieceniem - uśmiechała się pogodnie.

- Wyglądasz jak Murzyn - szeptała Scarlett lepiej układając głowę na miękkim oparciu.

- A ty jak diabeł z szopki - odparła spokojnie Melania.

- Dlaczego mnie tak mocno uderzyłaś?

- Ponieważ, kochanie moje, suknia zaczęła się na tobie palić. Nie przypuszczam, że zemdlejesz, choć Bóg jeden wie, że przeszłaś dziś więcej niż człowiek może wytrzymać... Wróciłam do domu, jak tylko zagnałam bydło do lasu. Umierałam z niepokoju myśląc o tobie, samej tutaj z dziećmi. Czy Jankesi nie zrobili ci nic złego?

- Myślisz, czy nie zgwałcili mnie? Nie - rzekła Scarlett i siadając stęknęła z bólu. Mimo że łono Melanii było miękkie, na ganku nie było jej bynajmniej wygodnie. - Ale ukradli wszystko, wszystko. Straciliśmy wszystko... Dlaczego się uśmiechasz?

- Nie straciliśmy nikogo z rodziny i dzieci nasze są całe i mamy dach nad głową - rzekła Melania śpiwnie. - A to więcej, niż można się w dzisiejszych czasach spodziewać... Na miłość boską, ależ Beau jest mokry! Przypuszczam, że Jankesi skradli nawet jego pieluszki. Scarlett, co tutaj leży?

Wsunęła z niepokojem rękę za koszulę dziecka i wyciągnęła po chwili portfel. Przez chwilę patrzyła nań, jak gdyby go nigdy przedtem nie widziała, potem zaś zaczęła się śmiać - głośno i srebrzyście, bez cienia sztuczności.

- Nikt poza tobą nie wpadłby na taki pomysł! - zawołała i obejmując Scarlett za szyję, pocałowała ją serdecznie. - Jesteś najsprytniejszą osobą, jaką znam.

Scarlett pozwoliła się pocałować, bo była zbyt zmęczona, aby się wrywać, bo słowa pochwały sprawiały jej pewną przyjemność, bo w ciemnej, pełni dymu kuchni zrodził się większy szacunek dla Melanii, silniejsze poczucie koleżeństwa.

„W każdym razie trzeba jej przyznać - pomyślała niechętnie - że zawsze się zjawia, kiedy jest potrzebna”.

ROZDZIAŁ XXVIII

Zima nadciągnęła nagle, a z nią przejmujące mrozy. Zimne wiatry wiały przez szpary pod drzwiami, wprawiały w monotonne drżenie szyby nieszczelnych okien. Z nagich drzew spadały ostatnie liście i tylko sosny, jeszcze zielone, rysowały się ponuro na tle sinego nieba. Wyboiste czerwone drogi pokryły się powłoką szronu; w Georgii zapanował głód.

Scarlett z goryczą wspominała rozmowę swoją z babcią Fontaine. Tego dnia przed dwoma miesiącami, który zdawał się być bardzo odległy, powiedziała starej pani, że zdarzyło jej się już najgorsze, co mogło ją spotkać - powiedziała to szczerze. Teraz uwaga ta wydała jej się pensjonarską przechwałką. Przed drugim najściem Jankesów na Tarę miała mały zapas żywności i pieniędzy, miała sąsiadów zamożniejszych od siebie i bawelnę, która mogła jej pomóc w przetrwaniu do wiosny. Teraz straciła bawelnę, straciła zapasy, pieniądze nie miały żadnego znaczenia, bo nie można było za nie dostać żywności, sąsiedzi zaś byli w gorszym położeniu niż ona. Jej została przynajmniej krowa i cielę, koń i kilka prosiąt, sąsiedzi zaś nie mieli nic poza nielicznymi rzeczami, które zdołali ukryć w lesie lub zakopać.

Fairhill, dom Tarletonów, został zrównany z ziemią, pani Tarleton zaś i cztery jej córki gnieździły się w domu rządcy. Dom Munroe'ów koło Lovejoy spalono. Drewniane skrzydło Mimozy także; dom ocalał dzięki swoim grubym murom i szalonym wysiłkom pań Fontaine i ich niewolnic, które ugasiły pożar mokrymi kocami. Dwór Calvertów znowu ocalał dzięki wstawiennictwu Hiltona, jankeskiego rządcy, nie zostawiono im jednak ani jednej sztuki bydła czy drobiu, ani kaczana kukurydzy.

W Tarze i w całym powiecie najważniejszym zadaniem stało się zdobycie pożywienia. Większości rodzin nie zostało nic poza resztkami yamów i orzechów ziemnych oraz łowioną w lasach zwierzyną. Dzielili się w miarę możliwości z mniej zasobnymi sąsiadami, jak za dawnych, szczęśliwych lat. Wkrótce jednak nadszedł czas, kiedy nie było się czym dzielić.

W Tarze żywiono się królikami, oposami i rybą - kiedy Porkowi udawały się łowy. W inne dni jadano orzechy laskowe, pieczone żołędzie, yamy i mleko. Wszyscy byli głodni. Scarlett wydawało się, że ciągle widzi przed sobą puste ręce, błagalne spojrzenia. Doprowadzało ją to do szału, bo była nie mniej głodna od innych.

Kazała zabić cielę, ponieważ wypijało zbyt dużo cennego mleka, i dnia tego wszyscy tak się objedli świeżej cielęciny, że się pochorowali. Wiedziała, że powinna kazać zarznąć jedno z prosiąt, ale odkładała to z dnia na dzień, czekając, aż prosiaki urosną. Były bardzo małe. Będą miały mało mięsa, jeżeli się je już zabije, więcej - jeżeli uda się je oszczędzić.

Nocami naradzała się z Melanią, czy nie wysłać Porka z wozem po zakup jedzenia za zielone dolary. Obawa jednak, że zarekwirują jej konia i zabiorą pieniądze, wstrzymywała ją od tego zamiaru. Nie wiadomo było, gdzie są Jankesi. Mogli być równie dobrze w odległości tysięcy mil, jak tuż za rzeką. Pewnego razu doprowadzona do rozpacz, Scarlett zaczęła się sama wybierać na poszukiwanie pożywienia, prośby jednak całej rodziny zmusiły ją do poniesienia tego zamiaru.

Pork zapuszczał się daleko, czasem nie wracając na noc do domu. Scarlett zaś nie pytała go, dokąd chodzi. Przynosił zwierzynę, czasem parę kaczanów kukurydzy lub woreczek suszonego groszku. Pewnego dnia wrócił z kogutem, którego znalazł, jak mówił, w lasach. Rodzina zjadła go ze smakiem, ale z nieczystym sumieniem, bo dobrze wiedzieli, że Pork ukradł go, podobnie jak groch i kukurydzę. Którejś nocy wkrótce potem zapukał do drzwi Scarlett, gdy cały dom spał, i nieśmiało pokazywał jej nogę, podziurawioną śrutem. Kiedy mu ją opatrywała, ociągając się wyznał, że przyłapano go w chwili, gdy zakradał się do kurnika w Fayetteville. Scarlett nie pytała wcale, czyj to był kurnik, tylko że łzami w oczach lekko pogładziła Porka po ramieniu. Murzyni byli chwilami

irytujący, byli głupi i leniwi, cechowała ich jednak lojalność, której nie można było kupić za pieniądze, poczucie solidarności ze swymi właścicielami, które sprawiało, że nie wahali się nawet narażać życia, aby się przysłużyć domowi.

W dawnych czasach wyprawy Porka stanowiłyby poważne wykroczenie, które trzeba by było ukarać batożeniem. W dawnych czasach Scarlett musiałaby udzielić mu ostrej nagany. „Pamiętaj zawsze, kochanie - mawiała Ellen - że jesteś odpowiedzialna za pomyślność nie tylko fizyczną, ale i moralną czarnych, nad którymi Bóg powierzył ci pieczę. Musisz zrozumieć, że są oni jak dzieci i że trzeba ich tak samo jak dzieci chronić przed ich zachciankami - dlatego staraj się zawsze świecić im dobrym przykładem”.

Teraz jednak Scarlett naganę odłożyła na inną okazję. Wcale nie przysparzał jej wyrzutów sumienia fakt, że popycha Porka do kradzieży, i to do okradania ludzi może biedniejszych od siebie. Strona moralna tej sprawy mało ją obchodziła. Zamiast ukarać Porka czy zganić, współczuła mu tylko, że go postrzelono.

- W przyszłości musisz lepiej uważać, Pork, nie chcę cię stracić. Co byśmy poczęli bez ciebie? Byłeś bardzo dobry i wierny. Gdy tylko będę miała pieniądze, kupię ci duży złoty zegarek i każę na nim wyryć werset z Biblii albo słowa: „W uznaniu dobrej i wiernej służby”.

Pork rozpromienił się słysząc tę pochwałę i ostrożnie podrapał się po zabandażowanej nodze.

- To będzie bardzo piękny prezent, Miss Scarlett. Kiedy panienka będzie miała te

pieniądze?

- Nie wiem, Pork, ale kiedyś je na pewno zdobędę. - Spojrzała na niego wzrokiem pełnym takiego rozgoryczenia, że Murzyn zaczął się niespokojnie kręcić. - Kiedyś, gdy ta wojna się skończy, będę miała masę pieniędzy. Wtedy nigdy więcej nie będę głodna ani zmarznięta. Nikt z nas nie będzie wtedy cierpieć głodu ani zimna. Wszyscy będziemy mieli piękne ubrania i jedli co dzień pieczone kurczęta i...

Nagle przerwała. Najsurowszą zasadą w Tarze, zasadą, którą sama ustanowiła i której przestrzegała surowo, było, aby nikt nie mówił o dawnych ani o przyszłych dobrych obiadach.

Pork wysunął się z pokoju. Scarlett zaś dalej milcząco patrzyła w przestrzeń. W dawnych czasach, minionych na zawsze, życie było bardzo zawile, pełne skomplikowanych problemów. Należało zdobyć miłość Ashleya i jednocześnie utrzymać w niepewności tuzin innych adoratorów. Małe uchybienia trzeba było ukrywać przed starszymi, zazdrosne przyjaciółki trzeba było to łagodzić, to bardziej rozwścieczać; należało wybierać fasony sukien i materiały, próbować nowe fryzury, rozstrzygać tyle, ach, tyle innych spraw! Teraz życie stało się przeraźliwie proste. Najważniejszą sprawą było, aby mieć dość jedzenia, być dość ciepło ubranym i mieć dach nad głową, który by zanadto nie przeciekał.

W tym czasie Scarlett coraz częściej zaczęła miewać sen, który powtarzał się przez całe lata. Był zawsze taki sam, szczegóły jego nie zmieniały się nigdy, ale strach, jaki odczuwała, ciągle wzrastał, a obawa, że znowu będzie śniła, mąciła jej nawet godziny czuwania. Doskonale pamiętała dzień, w którym przyśnił się jej po raz pierwszy.

Zimny deszcz siekł przez wiele dni i dom był pełen przeciągów i wilgoci. Polana na kominku były mokre, dymiły i nie dawały ciepła. Nie było nic do jedzenia prócz mleka, bo zapas yamów wyczerpał się, a sidła i sieci Porka nic nie przyniosły. Następnego dnia miało iść na rzeź jedno z prosiąt, bo inaczej w ogóle nie mieliby co jeść. Głodne twarze, czarne i białe, zewsząd patrzyły na Scarlett prosząc ją niemo o jedzenie. Postanowiła zaryzykować stratę konia i wysłać Porka po zakupy. Na domiar złego jeszcze Wade miał zapalenie gardła i wysoką gorączkę, doktora zaś i lekarstw oczywiście nie było.

Głodna, zmęczona doglądaniem dziecka, Scarlett zostawiła go na chwilę pod opieką Melanii i położyła się na łóżku. Nogi miała zimne, kręciła się więc na wszystkie strony nie mogąc zasnąć, przytłoczona obawami i rozpaczą. Co chwila myślała: „Co mam zrobić? Dokąd się zwrócić? Czy nie ma na całym świecie nikogo, kto by mógł mi pomóc? Gdzie się podziało bezpieczeństwo świata?” Dlaczego nie było nikogo, nikogo mocnego i mądrego, kto by ją uwolnił od tych brzemion? Nie była stworzona do ich dźwigania. Nie wiedziała, jak je

znieść. Potem zapadła w niespokojną drzemkę.

Szła dziką, nieznaną okolicą, osnutą mgłą tak gęstą, że nie widziała przed sobą wyciągniętej własnej dłoni. Ziemia zapadała się pod jej stopami. Był to jakiś nawiedzony, przeraźliwie cichy kraj. Błądziła w nim przerażona jak dziecko w nocy. Było jej zimno, czuła głód i tak szaloną obawę, co też się czai we mgle, że chciała krzyknąć, a nie mogła. We mgle były jakieś stwory, które wyciągały ręce chcąc szarpnąć ją za suknię, zepchnąć w głąb niepewnej ziemi, która usuwała się spod jej stóp - nielitościwe, widmowe ręce. Potem poczuła, że gdzieś, w niepewnym świetle majaczy schronienie, pomoc, przystań spokojna i ciepła. Ale gdzie? Czy zdąży dopaść do niej, zanim ręce pochwycą ją i zepchną w lotne piaski?

Nagle poczęła biec przez mgłę jak szalona, krzyżąc, wrzeszcząc i wyciągając ręce, ale przed sobą napotkała tylko pustą i wilgotną przestrzeń. Gdzież była ta przystań? Nie mogła do niej trafić, ale wiedziała, że jest gdzieś blisko. Gdybyż mogła do niej dotrzeć! Byłaby uratowana! Strach jednak podcinał jej nogi, głód ją osłabiał. Wydała rozpaczliwy okrzyk i zbudziła się; ujrzała nad sobą strapioną twarz Melanii, która potrząsała nią lekko, aby ją obudzić.

Sen wracał, ilekroć kładła się spać o pustym żołądku. Zdarzało się to dość często. Tak ją przerażał, że bała się spać, mimo że zapewniała się, iż nie ma w nim nic, czego się powinna lękać. Nie było właściwie nic - a jednak myśl o potknięciu się w tej zamglonej okolicy tak ją przerażała, że zaczęła sypiać z Melanią, która miała ją budzić, gdyby płacz i drzenie zdradzało, iż znowu nawiedził ją koszmar.

Od przeżyć tych zmizerniała i schudła. Twarz jej straciła okrągłość, kości policzkowe zaczęły wystawać podkreślając skośność zielonych oczu i nadając jej wyraz głodnego, czyhającego na zdobycz kota.

„Życie na jawie jest i tak dostatecznie koszmarne” - myślała z rozpaczą i zaczęła sobie odkładać dzienną rację na wieczór, aby spożywać ją bezpośrednio przed spaniem.

W okresie Bożego Narodzenia przywłókł się do Tary Frank Kennedy z małym oddziałem wojska w poszukiwaniu paszy i zwierząt dla armii. Była to obdarta i groźnie wyglądająca gromadka na okulałych i dychawicznych koniach, które nie nadawały się już widocznie do czynniejszej służby. Jeźdźcy byli także niezdolni do służby na froncie, bo wszystkim z wyjątkiem Franka brakło czegoś - to ramienia, to oka, to palców. Nosili przeważnie niebieskie mundury zdobyte na Jankesach, więc przez krótką straszliwą chwilę mieszkańcy Tary myśleli, że to wracają wojska Shermana.

Spędzili noc na plantacji, na podłodze w salonie; rozłożyli się z rozkoszą na puszystym

dywanie, ponieważ od całych tygodni nie spali pod dachem, tylko na twardej ziemi lub igłach sosnowych. Mimo że mieli brudne brody i łachmany na sobie, wszyscy byli grzeczni, bardzo uprzejmi, skłonni do żartów i komplementów i zadowoleni, że mogą spędzić wigilię w dużym domu, w otoczeniu ładnych kobiet - jak za dawnych dobrych czasów. Nie chcieli mówić poważnie o wojnie, opowiadali straszne bajki, aby rozśmieszyć dziewczęta, i do ogołoczonego i zrujnowanego domu wnieśli pierwszą nutę radości, jaka zabrzmiała w nim od wielu miesięcy.

- Wydaje mi się, jak gdyby to były dawne czasy, kiedy do domu przyjeżdżali goście na święta! - szeptała radośnie Zuela do Scarlett. Promieniowała, że ma koło siebie własnego adoratora, i nie odwracała wzroku od Franka. Scarlett nie mogła wyjść z podziwu, bo mimo chudości, która pozostała jej po chorobie, Zuela stała się nagle prawie ładna. Policzki jej były różowe, a oczy rozjaśnione pogodą.

„On musi się jej rzeczywiście podobać - myślała Scarlett z pogardą - I mam wrażenie, że stałaby się podobna do ludzi, gdyby wreszcie miała męża, choćby takiego jak ten pretensjonalny Frank”.

Karina także się ożywiła i straciła na ten wieczór wygląd lunatyczki. Okazało się bowiem, że jeden z żołnierzy znał Brenta Tarletona i był blisko niego w dniu jego śmierci. Karina obiecywała sobie wieczorem długą rozmowę na ten temat.

Przy kolacji Melania zadziwiła wszystkich, bo przewyciężyła zwykłą nieśmiałość i stała się nagle rozmowna. Śmiała się, żartowała i zaczęła lekko flirtować z jednookim żołnierzem, który odpłacał jej te względy szarmanckim nadszkakiwaniem. Scarlett wiedziała, jakiego wysiłku zarówno fizycznego, jak i duchowego wymaga to z jej strony, ponieważ Melania cierpiała męki zażenowania w obecności każdego mężczyzny. Poza tym - czuła się niedobrze.

Upierała się, że jest już zdrowa, pracowała więcej od Dilcey, ale Scarlett wiedziała, że nadrabia miną. Kiedy coś podnosiła z ziemi, bladła jak kreda, po każdym zaś wysiłku opadała na krzesło tak gwałtownie, jak gdyby czuła, że nogi jej więcej nie uniosą. Tego wieczora jednak podobnie jak Zuela i Karina robiła wszystko, co mogła, aby żołnierzom uprzyjemnić wigilię. Tylko Scarlett nie była zadowolona z gości.

Żołnierze dodali swoje racje palonej kukurydzy i boczku do kolacji, składającej się z suszonego grochu, kompotu z jabłek i orzechów ziemnych, głośno zapewniali, że to najlepsza wieczerza, jaką jedli od wielu miesięcy. Scarlett przyglądała się, jak jedzą, i kręciła się niespokojnie. Nie tylko żałowała im każdej łyżki strawy, ale jeszcze cierpiała męki, czy aby żołnierze nie odkryją, że Pork poprzedniego dnia zarznął prosię. Wisiało teraz w spiżarni;

Scarlett zapowiedziała surowo wszystkim domownikom, że wydrapie oczy każdemu, kto wspomni przy gościach o prosiaku albo o istnieniu sióstr jego i braci, bezpiecznie ukrytych w chlewiku na bagnach. Ci wygłodniali ludzie umieliby pożreć całe prosię na jednym posiedzeniu, a gdyby dowiedzieli się o żywych świniach, zarekwirowaliby je od razu dla armii. Bała się także o krowę i konia i żałowała, że przywiązała je do drzew na skraju lasu tuż za łąką, zamiast ukryć na moczarach. Jeżeli wojsko zarekwirowało teraz żywy inwentarz, Tara nie przetrzymałaby zimy. Nie byłoby sposobu zdobycia pożywienia. Jeżeli zaś chodzi o żywność dla armii - o tę troszczyła się mało. Niech o nią zabiegają sami - jeżeli mogą. Dla niej dość ciężkim zadaniem było wyżywienie własnej rodziny.

Żołnierze dodali na deser kilka „bułek armatnich”, które wyjęli z tornistrów, i wtedy po raz pierwszy Scarlett zobaczyła ten specjal konfederacki, tak przysłowiowy jak wszy gryzące żołnierzy. Były to przypalone kawałki czegoś, co zdawało się drewnem. Żołnierze namówili ją, aby skosztowała; wzięła kąsek i przekonała się, że pod czarną od dymu powierzchnią kryje się nie solony chleb z kukurydzy. Żołnierze mieszały swoje racje mąki kukurydzowej z wodą i solą, jeżeli ją mieli, oblepiali tą gęstą masą zatyczki do karabinów i piekli to nad ogniskami obozowymi. „Bułki” były tak twarde i niesmaczne, że po jednym kęsie Scarlett wśród wybuchów śmiechu szybko odsunęła od siebie ten przysmak. Spotkała wzrok Melanii; obie pomyślały to samo... „Jak oni mogą walczyć, jeżeli żywią się tylko tym?”

Kolacja była bardzo wesoła i nawet Gerald, prezydując bezmyślnie przy stole, starał się okazywać gościnność i uśmiechał się błado. Mężczyźni opowiadali, kobiety uśmiechały się i schlebiali żołnierzom - ale Scarlett, zwracając się niespodziewanie do Franka Kennedy'ego, aby zapytać go o ciotkę Pittypat, dostrzegła na jego twarzy wyraz, który kazał jej zapomnieć o tym, co chciała powiedzieć.

Oczy Franka odwróciły się od Zueli i wędrowały teraz po pokoju - od zdziwionych, dziecinnych oczu Geralda na podłogę, ogołoconą z dywanów, na kominek bez ozdób, na podarte obicia i wystające sprężyny mebli rozprutych bagnetami Jankesów, na pęknięte lustro nad kredensem, na puste znaki na ścianach, gdzie niegdyś wisiały obrazy, na skąpą zastawę stołową, na stare, pocerowane suknie dziewcząt, na kitelek Wade'a zrobiony z worka po mące.

Frank wspominał dawną, przedwojenną Tarę, a na twarzy jego malował się ból i bezsilna pasja. Kochał Zuelę, lubił jej siostry, szanował Geralda i był szczerze przywiązany do plantacji. Od chwili gdy Sherman zaczął grasować po Georgii, Frank widział wiele strasznych rzeczy, bo przemierzał stan w poszukiwaniu żywności, ale nic go tak nie zabolowało jak ruina Tary. Chciałby się móc w jakiś sposób przysłużyć O'Harom, zwłaszcza Zueli, ale

był bezsilny. Bezwiednie kiwał z politowaniem głową, lekko cmokając przy tym, aż poczuł na sobie wzrok Scarlett. Oczy jej miały wyraz tak niezłomnej dumy, że z zakłopotaniem spuścił wzrok na talerz.

Dziewczęta wypytywały o nowiny. Od czasu upadku Atlanty poczta nie kursowała, nie wiedziały więc zupełnie, gdzie się znajdują Jankesi, jak się powodzi wojskom Konfederacji, co się dzieje w Atlancie i u starych znajomych. Frank, który służbowo jeździł po całej okolicy, mógł zastąpić gazetę, był nawet lepszy od gazety, bo znał prawie wszystkich od Macon aż po Atlantę i miał pod dostatkiem ploteczek, których w gazetach nie było. Chcąc ukryć zmieszanie zaczął teraz pośpiesznie, opowiadać nowinki.

- Konfederaci - mówił - zajęli z powrotem Atlantę po wyjściu Jankesów, ale nie na wiele im się to zdało, ponieważ Sherman spalił miasto.

- A mnie się wydawało, że Atlanta paliła się tej nocy, gdy uciekłam! - zawołała Scarlett ze zdumieniem. - Myślałam, że podpalili ją nasi chłopcy.

- Skądże znowu pani Scarlett! - wykrzyknął Frank zgorszony. - My nigdy nie palimy miast, w których są nasi współobywatele! To, co się paliło, to były magazyny i zapasy, których nie chcieliśmy oddać Jankesom, huty i amunicja. Ale na tym koniec. Kiedy Sherman wszedł do miasta, sklepy i domy stały na swoich miejscach. Rozkwaterował w nich swoich ludzi.

- A co się stało z ludnością? Czy, czy wszystkich pozabijał?

- Zabił niektórych, ale nie kulami - rzekł ponuro jednooki żołnierz. - Jak tylko wszedł do Atlanty, zapowiedział burmistrzowi, że cała ludność, kto żyw, musi zostać ewakuowana. Wiele osób nie mogło się puścić w drogę - chorzy, których nie można było ruszać, i kobiety - hmm, kobiety, których także nie można było przenosić. On jednak kazał wszystkim wyjść z miasta w największą ulewę, setki ich całe i tysiące wyprowadził do lasów koło Rough and Ready i zawiadomił generała Hooda, aby po nich przyszedł. Większość tych ludzi zmarła na zapalenie płuc, nie mogąc znieść takich trudów i niewygód.

- Ach, ale po cóż to zrobił? Nie zrobili mu przecież żadnej krzywdy! - zawołała Melania.

- Powiedział, że potrzebuje Atlanty, aby dać wytchnienie swoim ludziom i koniom - rzekł Frank. - Siedzieli tam do połowy listopada, a wychodząc podpalili miasto. Podłożyli ogień wszędzie. Spaliło się wszystko.

- Och, to niemożliwe! - zawołały dziewczęta w przerażeniu.

Nie mogły pojąć, że ruchliwe miasto, które pamiętały, pełne ludzi, rojące się od żołnierzy, już nie istnieje. Piękne domy w cieniu drzew i duże sklepy, i wytworne hotele - to

niemożliwe, że już ich nie ma! Melania omal nie wybuchła płaczem, bo tam się urodziła i nie miała innego domu. Scarlett zmartwiała, bo kochała Atlantę prawie tak bardzo jak Tarę.

- No, prawie wszystko - poprawił Frank, zmieszany wrażeniem, jakie wywołał. Starał się wyglądać beztrzesko, bo nie lubił sprawiać przykrości kobietom. Zmartwienia pań bardzo go gnębiły, bo czuł się bezradny wobec nich. Nie mógł się zdobyć na powiedzenie im najgorszego. O tym niech powie im ktoś inny.

Nie mógł im opowiedzieć, co armia zastała po powrocie do Atlanty - całe kilometry sterczących nad popiołami kominów, sterty na wpół spalonych gratów i cegieł tworzących na ulicach zatory, stare drzewa zniszczone pożarem, roniące spalone gałęzie za każdym powiewem zimnego wiatru. Przypomniawszy sobie, jak na niego podziałał ten widok, wspomniawszy gorzkie przekleństwa konfederatów na widok miasta. Miał nadzieję, że panie nigdy się nie dowiedzą o zbezczeszczeniu cmentarza, bo tego by nigdy nie mogły przeboleć. Pochowany tam był Karol Hamilton i rodzice Melanii. Wspomnienie tego koszmarne cmentarza ciągle jeszcze straszło Franka. W poszukiwaniu kosztowności Jankesi rozbijali grobowce, rozkopywali mogiły. Rabowali trumny, zrywali z nich srebrne i złote tabliczki i srebrne okucia. Szkielety i rozkładające się trupy, rozrzucone w nieładzie, leżały na powierzchni ziemi w strasznym stanie.

Frank nie mógł im także opowiedzieć o kotach i psach. Panie bardzo kochały zwierzęta. Tysiące wygłodniałych zwierząt, bezdomnych od chwili gdy wypędzono z miasta ich panów, zrobiły na nim równie wielkie wrażenie jak cmentarz. Wyglądały przerażająco - zmarznięte, drapieżne, dzikie jak w puszczy - co silniejsze napadały na słabsze, a słabsze czekały, aż padną najslabsze, aby je czym prędzej pożreć. Wysoko zaś nad zrujnowanym miastem całymi gromadami krążyły złowrogie sępy.

Poszukał w pamięci weselszych wiadomości, które by uspokoiły panie.

- Niektóre domy stoją jeszcze - rzekł - domy, zbudowane na wielkich placach, w pewnym odosobnieniu. Kościoły i hala masońska ocalały. I kilka składów. Ale dzielnica handlowa, część położona przy torze kolejowym i okolica Pięciu Znaków, ta strona miasta, proszę pań, zrównana jest z ziemią.

- A więc - zawołała Scarlett z goryczą - ten magazyn koło kolei, który mi zapisał Karolek, także chyba spłonął?

- Jeżeli był blisko kolei, to już go nie ma, ale... - Nagle się uśmiechnął. Dlaczego wcześniej o tym nie pomyślał? - Pocieszcie się, łaskawe panie! Dom panny Pitty stoi na swoim miejscu. Trochę jest zniszczony, ale cały.

- Ach, a jakimże cudem ocalał?

- Jest z cegły i kryty dachem gontowym, jedyny chyba w Atlancie, więc przypuszczam, że nie tak łatwo mógł się zająć. Jest prawie ostatnim domem na północy miasta, w tej zaś stronie ogień nie srożył się tak bardzo. Rozumie się, że Jankesi, którzy tam mieli kwaterę, porządnie go zniszczyli. Spalili na podpałkę nawet progi z pokojów i mahoniową poręcz schodów, ale o to mniejsza! Najważniejsze, że dom stoi na miejscu. Kiedy w zeszłym tygodniu widziałem pannę Pitty w Macon...

- Widział pan ciocię? Jak się miewa?

- Doskonale. Doskonale. Kiedy jej powiedziałem, że dom ocalał, postanowiła natychmiast wracać do Atlanty. To znaczy, jeżeli ten stary Murzyn, Piotr, pozwoli jej na to. Część dawnych mieszkańców Atlanty już wróciła, ponieważ nie czuli się pewnie w Macon. Sherman nie zajął wprawdzie Macon, ale wszyscy się boją, że zjawią się tam żołdacy Wilsona, który jest znacznie gorszy od Shermana.

- Jak niemądrze ze strony tych ludzi, że wracają, choć nie ma domów! Gdzie będą mieszkali?

- Pani Scarlett, zamieszkali w namiotach, barakach i chałupach albo też po sześć czy siedem rodzin w nielicznych ocalałych domach. Starają się odbudować miasto. Niech pani nie mówi, że postępują niemądrze. Zna pani tych ludzi równie dobrze jak ja. Są zwariowani na punkcie tego miasta, tak jak charlestończycy na punkcie Charlestonu, i trzeba by czegoś więcej niż Jankesów i pożaru, aby ich wstrzymać od powrotu. Mieszkańcy Atlanty - niech mi pani wybaczy, pani Melu - są uparci jak osły. Nie wiem dlaczego, ale zawsze uważałem to miasto za bardzo zuchwałe, bardzo niecierpliwe. No, ale ja jestem wieśniakiem i w ogóle nie lubię miasta. Zapewniam panią, że ludzie, którzy wracają teraz, są najmądrzejsi. Ci, którzy wrócą później, nie znajdą deski ani cegły ze swoich własnych domów, bo każdy rabuje na mieście, co może, i odbudowuje własny dom. Dopiero przedwczoraj widziałem panią Merriweather z panią Maybelle i ich starą Murzynką, jak zbierały cegły do taczki. Pani Meade zaś powiedziała mi, że zamierza zbudować sobie drewnianą chałupę, jak tylko wróci doktor i będzie jej zdolny pomóc. Mówi, że mieszkała w chałupie po przybyciu swoim do Atlanty, która nazywała się wtedy Martasville, więc może mieszkać w chałupie i teraz. Rozumie się, że żartowała, ale że słów jej widać, co tamtejsi ludzie czują.

- Uważam, że dają dowód wielkiej odwagi - powiedziała Melania z dumą. - Czy nie podzielasz tego zdania, Scarlett?

Scarlett skinęła potakująco głową, bo i ją wypełniało coś w rodzaju dumy z odwagi miasta, które było jej drugim domem. Jak to dobrze określił Frank, było to zuchwałe, rozpychające się łokciami miasto, i właśnie dlatego je lubiła. Nie było zasklepienie i zatechłe

jak starsze miasta; miało w sobie rozpęd, znakomicie odpowiadający jej temperamentowi. „Jestem podobna do Atlanty - myślała. - Trzeba czegoś więcej niż Jankesów czy pożaru, aby mnie złamać”.

- Skoro ciocia Pitty wraca do Atlanty, to i my powinniśmy tam pojechać i być z nią razem, Scarlett - rzekła Melania przerywając jej rozmyślenia. - Sama będzie tam umierała ze strachu.

- Jakże ja mogę stąd odjechać, Melu? - zapytała Scarlett gniewnie. - Jeżeli ty masz ochotę wracać, jedź. Ja cię nie zatrzymuję.

- Och, ja tego wcale tak nie myślałam, kochanie! - zawołała Melania, zaczerwieniona z zakłopotania. - Jakże jestem bezmyślna! Rozumie się, że nie możesz opuścić Tary i... przypuszczam zresztą, że wuj Piotr i kucharka potrafią się ciocią zaopiekować.

- Ależ przecież ciebie tu nic nie zatrzymuje - rzekła Scarlett z naciskiem.

- Wiesz dobrze, że cię nie opuszczę - odparła Melania. - I zresztą, umarłabym ze strachu bez ciebie.

- Jak uważasz. Poza tym żadna siła nie ściągnęłaby mnie teraz do Atlanty. Pewna jestem, że jak tylko postawią parę domów, Sherman wróci i znowu je podpali.

- Teraz już nie wróci - rzekł Frank i mimo woli twarz mu się wydłużyła. - Przeszedł przez cały stan do morza. Savannah została zajęta w tym tygodniu, teraz zaś Jankesi idą do Południowej Karoliny.

- Savannah zdobyta!

- Tak, bo proszę pań, Savannah nie mogła się wcale bronić. Nie było dość żołnierzy, choć wzięli do służby wszystkich zdatnych mężczyzn... wszystkich, którzy jako tako ruszali nogami. Czy wiecie panie, że kiedy Jankesi zbliżali się do Milledgeville, powołano pod broń kadetów z akademii wojskowej, bez względu na wiek, i nawet otworzono więzienie stanowe, aby skompletować oddziały? Tak, tak, zwolniono wszystkich więźniów, którzy chcieli walczyć, i przyrzeczono ułaskawienie tym, którzy przeżyją wojnę. Po prostu dreszcz mnie przeszył, kiedy widziałem tych małych chłopców w jednym szeregu ze złodziejami i zabijakami!

- Na ludność cywilną wypuszczano skazańców!

- Proszę, pani Scarlett, niech się pani tak tym nie przejmuje. Są daleko stąd, poza tym zaś bardzo z nich karni żołnierze. Mam wrażenie, że złodziejski zawód nie stanowi przeszkody, aby człowiek był dobrym żołnierzem, prawda?

- Mnie się to wydaje niezwykle - rzekła Mela łagodnie.

- A mnie nie - rzekła Scarlett z uporem. - I tak dość jest złodziejów kręcących się po

okolicy. Jankesów i... - przerwała w porę, ale żołnierze zaczęli się śmiać.

- Jankesów i naszych z oddziałów zaopatrywania - skończyli za nią. Zarumieniła się mocno.

- A gdzie teraz jest armia generała Hooda? - wtrąciła spiesźnie Melania. - Dlaczego on nie bronił Savannah?

- Ależ pani Melanio! - Frank był zdumiony i rozżalony. - Generał Hood wcale nie był w tej okolicy. Toczy walki w Tennessee i stara się wyprzeć Jankesów z Georgii.

- No, i powiedzcie, czy plan jego nie okazał się świetny?! - zawołała Scarlett z ironią. - Pozwolił tym przekłętym Jankesom przejść przez cały kraj, a nam do obrony zostawił tylko uczniaków, więźniów i starców z gwardii.

- Córko - rzekł Gerald, nagle zbudzony - nie przeklinaj. Matce twojej będzie przykro.

- Bo to są przekłeci Jankesi! - zawołała Scarlett gwałtownie. - I nie mam zamiaru nigdy ich inaczej nazywać!

Wzmianka o Ellen wprowadziła wszystkich w zakłopotanie i rozmowa urwała się nagle. Melania wtrąciła się znowu:

- Czy nie widział pan przypadkiem w Macon Honey i Indii Wilkes? Czy, czy nie miały one wiadomości od Ashleya!?

- Ależ, pani Melu, wie pani dobrze, że gdybym wiedział coś o Ashleyu, przyjechałbym prosto z Macon, aby pani o tym donieść - rzekł Frank z wyrzutem. - Nie, nie miały żadnych wiadomości, ale niech się pani nie martwi o Ashleya, pani Melu.

Wiem, że od dawna nic pani o nim nie słyszała, trudno jednak otrzymywać wiadomości od człowieka, który siedzi w więzieniu, prawda? Poza tym zaś warunki w więzieniach jankeskich są o wiele lepsze niż w naszych. Ostatecznie Jankesi mają dużo żywności, mają lekarstwa i kołdry. Nie są w takim położeniu jak my, którzy nie mamy dość dla siebie - cóż dopiero dla jeńców!

- Ach, to prawda, że Jankesi mają wszystkiego pod dostatkiem! - zawołała Melania z goryczą. - Ale jeńcom tego nie dają. I pan doskonale o tym wie, panie Kennedy. Mówi pan tak, aby mnie pocieszyć. Wie pan, że nasi chłopcy marzną tam na śmierć, cierpią głód i umierają bez doktorów i lekarstw, dlatego że Jankesi tak bardzo nas nienawidzą! Och, gdybyśmy mogli zmieść wszystkich Jankesów z powierzchni ziemi! Ja czuję, że Ashley już nie...

- Nie mów tego! - krzyknęła Scarlett ze ściśniętym gardłem. Póki nikt nie mówił w jej obecności, że Ashley nie żyje, w sercu jej tliła się nadzieja, że żyje, czuła jednak, że umarłby w chwili, w której by ona usłyszała te straszne słowa.

- Proszę łaskawej pani, niech się pani nie martwi o swego męża - rzekł łagodnie jednooki żołnierz. - Mnie wzięto do niewoli po pierwszej bitwie pod Manassas, później zaś zostałem wymieniony. Kiedy byłem w więzieniu, dawano mi najlepsze smakołyki, kurczęta pieczone i leguminy...

- Mam wrażenie, że pan trochę przesadza - rzekła Melania z bladym uśmiechem. Było to pierwsze śmielsze odezwanie się Melanii do mężczyzny, jakie Scarlett słyszała. - Czy nie?

- Przyznaję pani rację - rzekł jednooki żołnierz i uderzył się ze śmiechem po kolanie.

- Może panowie zechcą przejść do salonu, pośpiewamy kolędy - rzekła Melania zmieniając temat rozmowy. - Fortepian jest jedynym meblem, jakiego Jankesi nie zabrali. Czy bardzo rozstrojony, Zuelo?

- Strasznie - odrzekła Zuela uśmiechając się zalotnie do Franka.

Kiedy jednak wszyscy powstali z miejsc, Frank został w tyle i pociągnął Scarlett za rękaw.

- Czy mogę z panią porozmawiać na osobności?

Przez straszną chwilę Scarlett bała się, że zacznie pytać ją o bydło, szybko więc przygotowała się do kłamstwa.

Kiedy wszyscy wyszli z pokoju, a oni zostali sami przy ogniu, sztuczna wesołość, która rozświetlała twarz Franka przy ludziach, znikła z niej zupełnie i Scarlett spostrzegła, że Frank wygląda jak starzec. Twarz jego była wyschnięta i brązowa jak liście spadające na trawnik przed domem, rudawe bokobrody były teraz rzadkie i przyprószone siwizną. Podrapał się po nich w zakłopotaniu i nim przemówił, zaczął niepewnie chrząkać.

- Bardzo się zmartwiłem śmiercią matki pani, pani Scarlett.

- Proszę, niech pan o tym nie wspomina.

- A ojciec pani... Czy jest w tym stanie od czasu...?

- Tak, jest... nie jest sobą, jak pan widzi.

- O tak, był do niej bardzo przywiązany.

- Och, panie Kennedy, niech pan nie mówi o tym...

- Przepraszam panią bardzo - powiedział i zaszurał nogami w zmieszaniu. - Prawdę mówiąc, chciałem o czymś porozmawiać z pani ojcem, teraz jednak widzę, że to na nic.

- Może ja ojca wyęcę, panie Kennedy. Widzi pan, ja teraz jestem głową domu.

- A więc ja... - zaczął Frank i znowu poskubał się nerwowo po brodzie, - Prawdę mówiąc... A więc, pani Scarlett, chciałem go poprosić o rękę panny Zueli!

- Czy chce pan powiedzieć - zawołała Scarlett zdumiona i ubawiona - że pan dotąd nie oświadczył się ojcu o Zuelę? Przecież stara się pan o nią od wielu lat!

Zarumienił się i uśmiechnął z zażenowaniem; wyglądał teraz jak nieśmiały i wstydlivy chłopiec.

- Bo widzi pani, ja... ja nie byłem pewny, czy mnie panna Zuela zechce. Jestem od niej o tyle lat starszy i... i koło Tary kręciło się zawsze tylu przystojnych i młodych chłopców...

„A tak! - pomyślała Scarlett. - Ale kręcili się koło mnie, a nie koło Zueli!”

- Poza tym zaś nie wiem, czy mnie Zuela zechce. Nigdy jej o to nie pytałem, ale panna Zuela wie chyba, co dla niej czuję. Sądziłem, sądziłem, że będę mógł prosić pana O'Harę o błogosławieństwo i wyznać mu całą prawdę. Pani Scarlett, nie mam teraz ani centa. Miałem bardzo dużo pieniędzy - niech mi pani wybaczy, że o tym wspominał - ale teraz nie posiadam nic prócz konia i ubrania, które mam na grzbiecie. Widzi pani, kiedy wstąpiłem do wojska, sprzedałem większą część swej ziemi, a pieniądze ulokowałem w bonach Konfederacji. Wie pani, ile one są teraz warte. Mniej niż papier, na którym je drukują. Co więcej, nie mam już i tych bonów, bo spaliły się w domu mojej siostry. Wiem, że to bardzo z mojej strony odważnie, że oświadczam się pannie Zueli teraz, gdy jestem biedny, ale... no, nie mogę inaczej. Zacząłem myśleć, że nie wiadomo, jak potoczą się losy tej wojny. Wydaje mi się, jakby zbliżał się koniec świata. Nie ma nic pewnego i... myślałem więc, że będzie lepiej mnie, a może i jej, jeżeli się zaręczymy. To przynajmniej będzie rzeczą pewną. Nie poślubię jej, pani Scarlett, aż będę mógł dać jej należyłą opiekę, a nie wiem, kiedy to nastąpi. Ale jeżeli szczerą miłość ma dla pani jakąś wartość, może pani być przekonana, że tej będzie miała panna Zuela w bród, choćby niczego więcej nie posiadała.

Ostatnie słowa wypowiedział z prostotą i godnością, które wzruszyły Scarlett, mimo że Frank ją raczej śmieszył. Nie potrafiła zrozumieć, jak można kochać Zuelę. Siostra wydawała się jej symbolem samolubstwa, przewrotności, niezadowolenia ze wszystkiego i wszystkich.

- Ależ, panie Kennedy - rzekła przyjaźnie - ja chętnie się zgadzam. Pewna jestem, że ojciec także by na to przystał. Cenił pana zawsze i spodziewał się, że Zuela pana poślubi.

- Czy naprawdę? - zawołał Frank radośnie.

- Ależ tak, naprawdę - odparła Scarlett powstrzymując uśmiech, bo przypomniała sobie, ile razy Gerald krzyczał przez cały stół do Zueli: - Co to, panienko? Twój gorący wielbiciel jeszcze się nie zdobył na oświadczyzny? Czy chcesz, abym ja go zapytał o jego zamiary?

- Oświadczę się jej dzisiaj - rzekł Frank drżąc ze wzruszenia, pochwycił rękę Scarlett i mocno uściśnął. - Bardzo jest pani dobra dla mnie.

- Przyślę panu Zuelę - uśmiechnęła się Scarlett kierując się do salonu. Melania zaczynała właśnie grać. Fortepian był bardzo rozstrojony, ale kilka strun brzmiało jeszcze czysto, gdy Melania zaintonowała „Zwiastowanie Anielskie”, a inni jej zawtórowali.

Scarlett przystanąła na chwilę. Przy spokojnych dźwiękach starej kolędy wydawało się niemożliwe, że wojna przewaliła się nad nimi już dwukrotnie, że mieszkali w zniszczonym kraju, że głód groził im lada chwila. Odwróciła się gwałtownie do Franka.

- Co pan miał na myśli mówiąc, że wydaje się panu, jak gdyby koniec świata był blisko?

- Z panią będę szczery - powiedział z namysłem - przy stole nie chciałem straszyć tamtych pań. Wojna nie może trwać długo. Nie mamy nowych zasiłków do szeregów, dezertersów jest coraz więcej - więcej, niż dowództwo się przyznaje. Widzi pani, ludzie nie mogą wytrzymać z dala od swoich rodzin, gdy wiedzą, że najbliżsi ich cierpią głód, wracają więc do domów, aby trochę im ulżyć. Nie potępiam ich wcale, osłabia to jednak armię. Armia musi poza tym jeść, a żywności nie ma. Wiem coś o tym, bo zdobywanie żywności jest moim zadaniem. Przemierzam tę okolicę we wszystkich kierunkach od czasu, gdy odzyskaliśmy Atlantę, ale to, co znajduję, nie starczyłoby nawet dla ptaków. To samo dzieje się na przestrzeni trzystu mil aż do Savannah. Ludność umiera z głodu, tory kolejowe są zerwane, nie mamy nowych karabinów, amunicja się wyczerpuje i nie ma skóry na buty... Rozumie więc pani, że koniec blisko.

Losy Konfederacji obeszły jednak Scarlett mniej niż uwaga Franka o braku żywności. Miała zamiar wysłać Porka z wozem i koniem, złotem i dolarami na poszukiwania w najbliższą okolicę, aby zdobył żywność i materiał na ubrania. Jeżeli jednak to, co mówi Frank, było prawdą...

Macon jeszcze nie był zdobyty. W Macon będzie na pewno żywność. Jak tylko oddział wojska ruszy w swoją stronę, wyśle Porka do Macon, ryzykując, że armia zarekwiruje jej bezcennego konia. Musi zaryzykować.

- No, ale nie mówmy dziś o tych nieprzyjemnych rzeczach, panie Kennedy - powiedziała. - Niech pan z łaski swojej usiądzie w gabinecie matki, a przyślę panu Zuełę, aby pan mógł... aby pan mógł z nią porozmawiać na osobności.

Uśmiechając się i rumieniejąc Frank wyszedł z pokoju. Scarlett popatrzyła za nim.

„Jaka szkoda, że nie mogą się teraz pobrać! - pomyślała. - Miałabym o jedną gębę mniej do żywienia”.

ROZDZIAŁ XXIX

W kwietniu następnego roku generał Johnston, któremu przywrócono komendę nad niedobitkami armii, poddał się Jankesom w Północnej Karolinie. Wojna skończyła się. Dopiero jednak w dwa tygodnie później wiadomość o tym dotarła do Tary. Na plantacji zbyt wiele było roboty, aby starczyło czasu na jazdy po okolicy i słuchanie plotek, a ponieważ sąsiedzi byli tak samo zapracowani, nie składano sobie wizyt i nowiny wędrowały powoli.

Orka wiosenna wrzała; zasiewać poczęto bawełnę i jarzyny, których nasiona Pork przywiózł z Macon. Pocziwy Murzyn nic prawie nie robił od chwili powrotu, tak był dumny, że przyjechał cały, z wozem pełnym materiałów na suknie, drobiu, nasion, szynek, boczków i mąki. Bez końca, raz po raz, powtarzał opowieść o niebezpieczeństwach, jakie pokonał, o złych drogach, jakimi musiał wracać do Tary, o jeździe miedzami, starymi traktami leśnymi czy na przełaj przez pola. W drodze był przez pięć tygodni, podczas których niepokój pożerał Scarlett. Nie skrzyczała go jednak, gdy wreszcie wrócił, tak była zadowolona, że podróż powiodła mu się i że przywiózł tyle reszty z pieniędzy, które mu dała. Mocno go podejrzewała, że nie zapłacił za znaczną część drobiu czy produktów. Pork wstydziłby się wydawać niepotrzebnie pieniądze, kiedy wzdłuż drogi stało tyle nie strzeżonych kurników i łatwo dostępnych wędzarni.

Teraz, kiedy mieli już trochę zapasów, wszyscy w Tarze starali się przywrócić życiu pozory naturalności. Dla każdej pary rąk było pracy pod dostatkiem, pracy zbyt ciężkiej i nie kończącej się nigdy. Należało usunąć zeschnięte badyle zeszłorocznej bawełny, aby było miejsce na świeże ziarna, a narowisty koń, nie przyzwyczajony do pługa, niechętnie ciągnął go po polu. Trzeba było wyplenić chwasty z ogrodu i zasadzić jarzyny, ściąć stare gałęzie na opał, zacząć na nowo stawiać zagrody dla zwierząt i płoty, których całe mile spalili Jankesi. Należało dwa razy dziennie zachodzić do sideł na króliki i odnawiać przynęty na ryby. Trzeba było słać łóżka, sprzątać pokoje, gotować, zmywać, karmić świnię i kury i wybierać jaja. Trzeba było doić krowę, wyganiać ją na łąkę koło moczarów, a ktoś musiał jej przez cały dzień pilnować, aby nie zabrali jej Jankesi czy ludzie Franka Kennedy'ego. Nawet mały Wade miał swoje zajęcie. Co rano wychodził z koszykiem i zbierał chrust i drzazgi na podpałkę.

Nowinę o klęsce przynieśli dwaj młodzi Fontaine'owie, pierwsi z okolicy, którzy wrócili z wojny. Aleks miał buty, szedł więc pieszo, Tonio zaś, bosy, jechał na oklep na mule. Tonio zawsze zabierał sobie wszystko, co najlepsze. Chłopcy byli bardziej niż zwykle śniadzi od czteroletniego przebywania na słońcu i wietrze, chudzi i kościści, a czarne brody, które

zapuścili sobie w wojsku, zmieniły ich do niepoznania.

W drodze do Mimozy, śpiesząc się bardzo do domu, zatrzymali się w Tarze tylko na chwilę, aby ucałować dziewczęta i powiedzieć im, że wojna skończona. Przeszła, skończyła się; powiedzieli to i nie zdradzali ani zmartwienia, ani ochoty do rozmów na ten temat. Chcieli tylko wiedzieć, czy Mimoza została spalona. W drodze z Atlanty na południe mijali nagie kominy w miejsce starych, znajomych domów i prawie nie mieli już nadziei, że własny ich dom ocalał. Odetchnęli z ulgą, gdy Scarlett ich uspokoiła, i śmieli się uderzając się po udach, gdy im opowiedziała o szalonej jeździe Sally i jej pięknym skoku przez żywopłot.

- To dzielna dziewczyna - rzekł Tonio - i bardzo mi przykro, że zabili jej Józia. Czy nie masz przypadkiem tytoniu do żucia, Scarlett?

- Nie, tylko zwykły, Papa pali go czasem w łusce kukurydzy.

- Ja jeszcze tak nisko nie upadłem - rzekł Tonio - ale chyba czeka mnie to już wkrótce.

- Jak się miewa Dimity Munroe? - zapytał Aleks ciekawie, ale z pewnym zakłopotaniem; Scarlett przypomniała sobie nagle, że podkochiwał się w młodszej siostrze Sally.

- Zupełnie dobrze. Mieszka teraz u ciotki w Fayetteville.

Wiecie przecież, że spalono dom Munroe'ów w Lovejoy. Reszta jej rodziny mieszka w Macon.

- Jemu chodzi o to, czy Dimity nie wyszła przypadkiem za mąż za jakiegoś pułkownika gwardii stanowej - zadrwił Tonio, a Aleks spojrział na niego ze złością.

- Rozumie się, że nie - rzekła Scarlett wesoło.

- Może byłoby lepiej, żeby to zrobiła - rzekł Aleks ponuro. - Jak u diabła... przepraszam cię, Scarlett... jak może mężczyzna prosić o rękę panny, kiedy wyzwolono mu Murzynów, zrujnowano majątek i zostawiono bez grosza w kieszeni?

- Wiesz dobrze, że to nie ma dla Dimity znaczenia - rzekła Scarlett. Mogła sobie pozwolić na lojalność wobec Dimity i wyrażanie się o niej z przyjaźnią, bo Aleks Fontaine nigdy nie był jej wielbicielem.

- Do diabła... Och, przepraszam raz jeszcze. Muszę przestać kłąć, bo inaczej babcia wygarbuje mi skórę. Nie mogę proponować dziewczynie, żeby wyszła za mąż za nędzarza. Może to nie ma znaczenia dla Dimity, ma jednak dla mnie.

Kiedy Scarlett rozmawiała na ganku z chłopcami, Melania, Zuela i Karina wycofały się cichutko do wnętrza domu na wiadomość o klęsce. Po odjeździe chłopców Scarlett zastała je płaczące na kanapie w kantorku Ellen. Minął na zawsze radosny, piękny sen, którego spełnienia wyczekiwały, przepadła Sprawa, która zabrała przyjaciół, kochanków, mężów,

która zrujnowała ich rodziny. Sprawa, którą uważały za niezwyciężoną, przepadła z kretesem.

Scarlett jednak nie roniła łez. W pierwszej chwili, gdy dowiedziała się o klęsce, pomyślała: „Bogu dzięki! Teraz już nikt nie ukradnie mi krowy. Teraz koń jest bezpieczny. Teraz możemy już wyjąć srebro ze studni i każdy będzie jadł widelcem i nożem. Teraz nie będę się już bała jeździć w okolicę na poszukiwanie żywności”.

Jakaż to była ulga! Nigdy już więcej nie będzie drżała z przerażenia, słysząc tętent kopyt. Nigdy więcej nie zbudzi się w ciemną noc, nie wstrzyma oddechu, aby lepiej słyszeć, nie wiedząc, czy to na jawie, czy we śnie słyszy na podwórzu dźwięczenie upręży, stukot kopyt i ochryple głosy Jankesów. Co najważniejsze zaś, Tara jest bezpieczna. Najgorszy jej koszmar nie spełni się nigdy. Nie będzie zmuszona do bezradnego patrzenia z ogrodu, jak dym snuje się nad ukochanym domem, jak szumią płomienie i pęka dach.

Tak, wprawdzie Sprawa przepadła, ale wojna wydawała się jej zawsze szaleństwem i pokój był lepszy. Nigdy nie rozjaśniały się jej oczy, gdy gwiazdzisty sztandar powiewał na maszcie, i nigdy nie drżała ze wzruszenia, gdy grano „Dixie”. Podczas pełnienia ciężkich obowiązków w szpitalu, podczas wyrzeczeń, obawy przed oblężeniem i głodowania w ostatnich miesiącach nie podtrzymywał jej żar fanatyzmu, który innym kobietom pozwalał lekko wszystko to znosić - dla dobra Sprawy. Teraz Sprawa minęła i nie wróci - i Scarlett nie miała zamiaru po niej płakać.

Wojna, która, jak się zdawało, nie miała końca, wojna, która nieproszona, przecięła jej życie na dwoje i rozłupała je tak dokładnie, że zatarła w niej pamięć dawnych, beztróskich dni - minęła. Mogła teraz bez wzruszenia wspominać dawną śliczną Scarlett w małych zielonych safianowych pantofelkach i falbaniastej, pachnącej lawendą sukni; zastanawiała się tylko, czy rzeczywiście jest jeszcze tą samą osobą, Scarlett O'Hara, mającą cały powiat u swoich stóp, setkę czekających rozkazów niewolników, bogactwo Tary jak opokę za sobą i kochających rodziców, którzy spełniali na wyścigi każdą jej zachciankę... Rozpieszczona, beztróska Scarlett, której wszystkie pragnienia spełniały się, z wyjątkiem jednego - poślubienia Ashleya.

Gdzieś na długiej drodze, która wiła się poprzez te cztery lata, dziewczynka w pachnącej sukni i lekkich pantofelkach znikła, a miejsce jej zajęła kobieta o ostrym spojrzeniu zielonych oczu, która skrzętnie liczyła grosze i zajmowała się ciężką fizyczną pracą, kobieta, której z katastrofy nie zostało nic poza niezniszczalną czerwoną ziemią rodzinną.

Stojąc w hallu i przysłuchując się szlochom dziewcząt, rozmyślała głęboko:

„Zasadzimy teraz więcej bawełny, dużo więcej. Jutro pošlę Porka do Macon, aby kupił więcej nasion. Teraz Jankesi nie spalą jej ani nasi nie zarekwirują. Dobry Boże! Na jesieni

powinnam mieć bawełny aż do nieba!”

Weszła do małego gabineciku i nie zważając na płaczące na sofie dziewczyny, usiadła przy biurku i zaczęła obliczać koszt bawełny w stosunku do reszty posiadanej gotówki.

„Wojna skończona - pomyślała i nagle opuściła pióro, bo przejęło ją uczucie szalonego szczęścia. Wojna skończyła się i Ashley, jeżeli żyje, wróci teraz do domu!” Zastanawiała się, czy Melania, oplakując klęskę, zdążyła o tym pomyśleć.

„Wkrótce dostaniemy list - nie, nie list. Nie możemy dostać listu. Ale wkrótce już... ach, na pewno da nam w jakiś sposób znać!”

Dnie jednak zmieniały się w tygodnie, a wiadomości od Ashleya nie było. Poczta kursowała na Południu nieregularnie; po wsiach wcale nie roznoszono listów. Czasami tylko jakiś podróżny z Atlanty przywoził płaczliwą kartkę od ciotki Pitty, wzywającą dziewczęta do powrotu. Wiadomości od Ashleya - nigdy.

Wkrótce po zawieszeniu broni rozgorzał między Scarlett a Zuela wieczny spór o konia. Teraz, gdy nie należało się już obawiać Jankesów, Zuela chciała zacząć składać sąsiadom wizyty. Samotna i tęskniąca do życia towarzyskiego dawnych, dobrych czasów, Zuela chciała jeździć z wizytami po to przynajmniej, aby stwierdzać, że sąsiadom powodzi się równie źle jak Tarze. Scarlett jednak była nieustępliwa. Koń musiał pracować: ciągnąć drzewo z lasu, orać, wozić Porka na poszukiwanie żywności. W niedzielę należało mu się spokojne pasienie na łące i odpoczynek. Jeżeli Zuela chciała bywać u przyjaciół, mogła chodzić pieszo.

Jeszcze przed rokiem najdalszy spacer pieszy Zueli wynosił nie więcej niż sto metrów, więc perspektywa ta nie uśmiechała jej się wcale. Musiała siedzieć w domu, grymasiła więc i płakała, a raz powiedziała nawet: - Ach, gdyby mamusia żyła!... - W odpowiedzi Scarlett wymierzyła jej dawno przyrzeczony policzek tak siarczyście, że Zuela z krzykiem upadła na łóżko, w domu zaś zapanowało wielkie poruszenie. Potem Zuela narzekała już mniej, zwłaszcza w obecności Scarlett.

Scarlett mówiła prawdę twierdząc, że koniowi trzeba dać wytchnąć, była to jednak tylko częśćka prawdy. Druga częśćka polegała na tym, że podczas jej pierwszych po skończeniu wojny wizyt w powiecie widok dawnych przyjaciół i dobrze znanych plantacji podciął jej odwagę tak, że nie chciała ich więcej oglądać.

Fontaine'om powodziło się stosunkowo najlepiej, bo Sally zdążyła ich w porę przestrzec, ale plantacja ich wydawała się kwitnąca tylko na tle zniszczenia innych. Babcia Fontaine ciągle niedomagała po ataku sercowym, który miała na skutek przemęczenia się przy gaszeniu pożaru. Stary doktor Fontaine z wolna przychodził do siebie po amputacji ręki.

Aleks i Tonio niezgrabnie zabierali się do pług i motyki. Przez płot przywitani się ze Scarlett, kiedy tam zajechała, i z goryczą w czarnych oczach zaczęli się śmiać z jej wywrotnego wozu, śmiejąc się trochę i z siebie, Prosiła, aby jej sprzedali ziarna kukurydzy do zasiewów. Zgodzili się chętnie i wdali się z nią w rozmowę o sprawach gospodarskich. Mieli dwanaście kurcząt, dwie krowy, pięć świń i muła, na którym przyjechali z wojny. Jedną ze świń właśnie zdechła, obawiali się o zdrowie innych. Scarlett słysząc te tak poważne słowa na temat świń z ust eks-elegantów, dla których najważniejszą dotąd sprawą w życiu był kolor krawata, zaśmiała się - i z kolei jej śmiech zabrzmiał gorzko.

Wszyscy w Mimosie bardzo się ucieszyli z jej przyjazdu i upierali się, aby podarować jej kukurydzę, a nie sprzedać. Wpadli w złość, gdy położyła zielonego dolara na stole, i wręcz odmówili jego przyjęcia. Scarlett zabrała ziarno, a dolara wsunęła chyłkiem do rąk Sally. Sally zmieniała się bardzo w ciągu ostatnich ośmiu miesięcy. Po powrocie Scarlett do Tary była smutna i blada, ale jakoś ożywiona. Teraz ożywienie znikło, jak gdyby klęska odebrała jej resztki nadziei.

- Scarlett - szepnęła biorąc od niej banknot - po co było to wszystko? Po cośmy prowadzili wojnę? O, biedny mój Józio! O, biedne moje dziecko!

- Nie wiem, po cośmy prowadzili wojnę, i nic mnie to nie obchodzi - odrzekła Scarlett. - Nie interesuje mnie to wcale. Nigdy mnie nie interesowało. Wojna jest sprawą mężczyzn, nie kobiet. Jedyne, do czego teraz dążę, to dobry zbiór bawełny. Weź tego dolara i kup ubranko swemu małemu, bardzo mu się przyda. Mimo uprzejmości Aleksa i Tonia nie mam zamiaru rabować wam ziarna.

Chłopcy odprowadzili ją do wozu i pomogli jej wsiąść, bardzo szarmanccy i weseli, właściwą Fontaine'om beztroską wesołością - kiedy jednak odjechała, drżała z przejęcia, bo prześladował ją obraz ich niedostatku. Taka już była zmęczona biedą i troskami! Z jaką przyjemnością odwiedzałyby ludzi bogatych i nie potrzebujących myśleć o tym, co będą jedli na następny obiad!

Cade Calvert był już w Kwiecie Sosny. Scarlett wchodząc po schodkach starego domu, w którym tak często tańczyła w dawnych, szczęśliwych czasach, widziała, że śmierć patrzy mu z twarzy. Był przeraźliwie chudy i kaszlał leżąc przykryty szalem w fotelu na słońcu; twarz mu się rozjaśniła, kiedy ją spostrzegł. To tylko małe przeziębienie, które mu gniecie piersi, powiedział, starając się wstać na przywitanie. Nabawił się tego śpiąc podczas deszczu na wilgotnej ziemi. Wkrótce przejdzie i wtedy zacznie bardzo pomagać przy pracy.

Kasia Calvert, która słyszała rozmowę, wyszła z domu i milcząco spojrzała na Scarlett nad głową brata: Scarlett wyczytała w jej wzroku głęboką rozpacz. Cade nie wiedział, co go

czeka, Kasia jednak nie miała złudzeń. Plantacja była zarośnięta chwastami i zaniedbana, na polach zdążyły wyrosnąć małe sosny, dom był brudny i nieporządkny, Kasia chuda i mizerna.

Calvertowie z jankeską macochą, czterema małymi siostrami przyrodnymi i Hiltonem, jankeskim rządcą, mieszkali w milczącym domu, w którym rozlegało się echo. Scarlett nigdy nie lubiła Hiltona, podobnie jak nie lubiła Jonasza Wilkersona - teraz zaś wydał się jej tym mniej sympatyczny, że kiedy podszedł do niej, przywitał się jak równy z równą. Dawniej, podobnie jak Wilkerson, łączył w sobie uniżoność z impertynencją, teraz jednak wobec śmierci pana Calverta i Raiforda, tudzież choroby Cade'a została mu tylko impertynencja. Druga pani Calvert nigdy nie umiała utrzymać w korbach służby murzyńskiej, tym bardziej więc trudno jej było wzbudzić szacunek w białym człowieku.

- Pan Hilton był tak miły, że został z nami przez cały ten trudny okres - rzekła pani Calvert nerwowo, rzucając szybkie spojrzenie na milczącą pasierbicę. - Bardzo był miły. Przypuszczam, że słyszała pani, jak nas dwukrotnie uratował, gdy byli tutaj żołnierze Shermana. Nie wiem zupełnie, jak dałybyśmy sobie radę bez niego, bez pieniędzy, wobec tego, że Cade...

Błada twarz Cade'a pokryła się rumieńcem, Kasia spuściła ocienione długimi rzęsami powieki i zagryzała wargi. Scarlett wiedziała, że obydwójce wiją się w bezsilnej pasji z powodu długu wdzięczności w stosunku do Jankesa. Pani Calvert bliska była płaczu. Znowu popełniła jakiś błąd. Zawsze popełniała gafy. Nie mogła zrozumieć południowców, choć mieszkała w Georgii już od dwudziestu lat. Nigdy nie wiedziała, co powiedzieć swoim pasierbom, i choćby Bóg wie co powiedziała czy zrobiła, nie przestawali być dla niej przesadnie grzeczni. Teraz milcząco postanowiła, że pojedzie z dziećmi na Północ do własnej rodziny i zostawi swojemu losowi tych dwoje dziwnych, hardych ludzi.

Po tych dwóch wizytach Scarlett nie miała już ochoty widzieć Tarletonów. Wobec śmierci czterech chłopców, spalenia domu i przeprowadzenia się całej rodziny do małego domku rządcy - nie mogła się na te odwiedziny zdecydować. Zuela i Karina prosiły jednak, aby je zabrała. Melania powiedziała, że nie po sąsiedzku będzie, jeżeli nie przywitają pana Tarletona po powrocie z wojny - pojechały więc pewnej niedzieli.

Ta wizyta była najgorsza ze wszystkich.

Przejeżdżając koło ruin domu ujrzały Beatrice Tarleton w podartej amazonce i ze szpicrutą pod pachą, siedzącą na płocie, który otaczał zagrodę dla koni, i patrzącą ponuro w przestrzeń. Obok niej przycupnął mały Murzyn o kabłąkowatych nogach, który dawniej ujeżdżał konie; wyglądał równie smętnie jak jego pani. Zagroda, dawniej zawsze pełna skaczących źrebiąt i poważnych, rasowych klaczy, była teraz zupełnie pusta - przechadzał się

po niej tylko jeden muł, na którym pan Tarleton wrócił z wojny.

- Słowo daję, że nie mogę sobie miejsca znaleźć, odkąd nie ma moich najmilszych - rzekła pani Tarleton złącząc z płotu. Ktoś obcy mógłby pomyśleć, że mówi o zmarłych synach, ale dziewczęta z Tary wiedziały, że ma na myśli konie. - Wszystkie moje piękne konie zginęły. Ach, i biedna moja Nellie. Gdyby mi choć Nellie została. I tylko jeden podły muł na całej plantacji! Podły muł - powtórzyła patrząc z oburzeniem na wychudłe zwierzę. - To jest bezczeszczenie pamięci moich rasowych, pięknych koników, żeby muł chodził po ich zagrodzie. Muły to bękartie, przeciwne naturze stworzenia... hodowanie ich powinno być zakazane prawem.

Jim Tarleton, zupełnie zmieniony przez kędzierzawą brodę, wyszedł z domu, aby przywitać i ucałować dziewczyny; za nim wyszły cztery jego córki w pocerowanych sukniach, potykając się o kilkanaście psów myśliwskich, które usłyszawszy obce głosy, szczekając pędziły do bramy. Całą rodzinę Tarletonów cechowała sztuczna wesołość, która bardziej dotknęła Scarlett niż rozgoryczenie Mimosy czy śmiertelna cisza Kwiatu Sosny.

Tarletonowie wpierali się, aby dziewczęta zostały na obiedzie, mówiąc, że miewają teraz bardzo mało gości, chcą więc wreszcie posłuchać nowin. Scarlett nie chciała zostać, bo przygnębiał ją nastrój tego domu, ale siostry jej i Melania życzyły sobie dłuższej wizyty, tak więc wszystkie cztery zostały na obiedzie i dostały po garstce suszonego groszku z boczkiem.

Wszyscy kpili z marnego jedzenia, a panny Tarleton opowiadały chichocząc, z czego szyją sobie suknie, jak gdyby to było bardzo śmieszne. Melania dostroiła się do nich i zadziwiła Scarlett niezwykłym ożywieniem, z jakim opowiadała o kłopotach w Tarze, bardzo bagatelizując trudności. Scarlett ledwie mogła mówić. Pokój wydawał się jej bardzo pusty bez czterech rosnących chłopców, kręcących się dokoła i dokuczających wszystkim. Skoro zaś jej wydawał się pusty, co musiała czuć rodzina, tak kurczowo udająca wesołość?

Karina mówiła mało podczas obiadu, później jednak podeszła do pani Tarleton i coś jej szepnęła na ucho. Pani Tarleton zmieniła się na twarzy i z warg jej znikł błady uśmiech, gdy objęła Karinę w pole. Wyszły z pokoju, a Scarlett, która czuła, że dłużej nie usiedzi w mieszkaniu, poszła za nimi. Ścieżką, prowadzącą przez ogród, skierowały się w stronę cmentarzyka. Scarlett nie mogła już zawrócić. Wydawałoby się to niegrzeczne. Dlaczego jednak Karina pozwoliła sobie na wyciągnięcie pani Tarleton do grobów chłopców, skoro wiedziała, jak bardzo Beatrice stara się zachować spokój ?

Na ogrodzonej murem z cegieł działce, pod żałobnymi cedrami widniały dwie nowe tablice marmurowe - tak nowe, że wiatr nie zdążył ich jeszcze zasypać czerwonym kurzem.

- Dostaliśmy je w zeszłym tygodniu - rzekła pani Tarleton z dumą. - Pan Tarleton

pojechał po nie do Macon i przywiózł je wozem.

Nagrobki! Ileż musiały kosztować! Scarlett przestała naraz żałować Tarletonów. Ludzie, którzy mogli wyrzucać cenne pieniądze na nagrobki, gdy jedzenia było tak mało i tak trudno je było zdobyć, nie zasługiwali na współczucie. I na każdej z tablic wrytych było kilkanaście linijek. Im więcej słów, tym większy koszt! Ta rodzina chyba nie była przy zdrowych zmysłach! A ile musiało kosztować sprowadzenie ciał trzech chłopców do domu! Ciało Boyda, ani żadnego śladu po nim, nie znaleziono.

Między grobami Brenta i Stuarta leżał kamień z napisem: „Za życia byli piękni i weseli, śmierć nie zdołała ich rozdzielić”.

Na drugim kamieniu wryte były imiona Boyda i Toma i coś po łacinie, co zaczynało się: Dulce et..., czego Scarlett jednak nie rozumiała, bo wykręciła się niegdyś od nauki łaciny na pensji w Fayetteville.

Tyle pieniędzy wydać na nagrobki! Ależ to przecież wariaci! Oburzona była tak, jak gdyby roztrwoniono jej własne pieniądze.

Oczy Kariny zaczęły dziwnie świecić.

- To bardzo piękna tablica - wyszeptła wskazując na pierwszy kamień.

- Tak - odparła pani Tarleton bardzo cicho - uważaliśmy, że to bardzo stosowne... umarli prawie jednocześnie, najpierw Stuart, potem Brent, który niósł sztandar upuszczony przez Stuarta.

Po drodze do Tary Scarlett długo milczała myśląc o tym, co widziała u dawnych przyjaciół, przypominając sobie wbrew woli powiat w czasach świetności, gości we wszystkich domach, dostatek, Murzynów zapelniających chaty, pola zieleniące się bawełną.

„Jeszcze rok, a sosny pokryją wszystkie pola - pomyślała i patrząc na lasy, otaczające ich zewsząd, zadrżała. - Bez Murzynów i tak dokażemy wielkiej sztuki, jeżeli wyżyjemy sami. Nikt nie zdoła prowadzić dużej plantacji bez Murzynów, pola będą musiały stać odłogiem i las je zarośnie. Nikt nie jest w stanie sadzić dużej ilości bawełny, co więc poczniemy? Co stanie się z ludnością wsi? W miastach łatwiej sobie ludzie poradzą. Zawsze sobie radzą. My tu jednak po wsiach cofniemy się o sto lat, podobni się staniemy do pionierów, którzy mieli małe chatki, gospodarowali na kilku akrach i ledwie mogli żyć”.

„Nie - myślała posepnie - z Tarą tak nie będzie. Choćbym miała sama orać ziemię. Cała ta okolica, cały ten stan może z powrotem porosnąć lasem. Tarze na to nie pozwolę. Nie mam także zamiaru tracić pieniędzy na stawianie pomników ani czasu myśleć o wojnie. Trzeba sobie jakoś radzić. Wiem, że moglibyśmy sobie dobrze poradzić, gdyby tylu mężczyzn nie zostało zabitych. Nie to jest najgorsze, żeśmy stracili Murzynów. Najgorsza jest strata

mężczyzn, młodych mężczyzn. - Pomyślała znowu o czterech Tarletonach, o Józiu Fontaine'ie, o Raifordzie Calvercie i braciach Munroe, o wszystkich chłopcach z Fayetteville i Jonesboro, których nazwiska przeczytała na liście poległych. - Gdybyśmy mieli mężczyzn, moglibyśmy jakoś z tego wybrnąć, ale...”

Uderzyła ją nowa myśl: co będzie, jeśli zechce ponownie wyjść za mąż? Oczywiście - wcale tego nie pragnie. Jedno małżeństwo zupełnie wystarcza. Poza tym jedynym mężczyzną, którego kochała, był Ashley, on zaś był żonaty - o ile żył. Przypuśćmy jednak, że zechce wyjść za mąż. Kto mógłby się z nią ożenić? Myśl o tym była przygnębiająca.

- Melu - zapytała - co się stanie z dziewczętami Południa?

- O co ci chodzi?

- O to, o co pytam. Co się z nimi stanie? Nie ma nikogo, kto mógłby się z nimi żenić. Przecież, Melu, skoro tylu chłopców poległo, na całym Południu będzie tysiące dziewcząt, które umrą starymi pannami.

- I nigdy nie będą miały dzieci - dodała Melania, dla której sprawa ta była najważniejsza.

Myśl ta prawdopodobnie nie była nowa dla Zueli, bo nagle wybuchła płaczem. Od Bożego Narodzenia nie miała wiadomości od Franka Kennedy'ego. Nie wiedziała, czy to brak poczty był tego przyczyną, czy też po prostu Frank igrał z jej uczuciami, a potem o niej zapomniał. Śmierć byłaby znacznie lepsza niż zdrada - bo zmarłym ukochanym można się szczyścić, jak India czy Karina, trudno jednak być dumną z narzeczonego, który porzucił.

- Och, na miłość boską, uspokój się wreszcie! - krzyknęła Scarlett.

- O, tobie łatwo mówić - łkała Zuela - boś ty miała męża, masz dziecko, i wszyscy wiedzą, że był jakiś mężczyzna, który cię kochał. Spójrz jednak na mnie! A ty jeszcze jesteś taka niedobra, że wypominasz mi, iż jestem starą panną, mimo że nie mam na to żadnej rady. Jesteś wstrętna!

- Och, bądź cicho. Wiesz, jak nie znoszę osób, które ciągle tylko lamentują. Wiesz doskonale, że twój stary rudzielec nie umarł, że wróci i ożeni się z tobą. Nie stać go na nic rozsądniejszego. Osobiście jednak wolałabym zostać starą panną niż wyjść za niego za mąż.

Na tyle wozu zapadło milczenie; Karina pocieszała siostrę głaszcząc ją machinalnie, ale myśli jej były gdzie indziej. Wędrowały po starych szlakach, wracały do wspomnień o Brencie Tarletonie. W oczach jej świeciło dziwne podniecenie.

- Ach - powiedziała Mela ze smutkiem - do czego będzie podobne Południe bez naszych wspaniałych chłopców? Jak inaczej wyglądałby kraj, gdyby żyli. Można byłoby korzystać z ich energii, odwagi i rozumu. Scarlett, my wszystkie, które mamy małych synów,

powinnyśmy ich tak chować, aby mogli zająć miejsca naszych zmarłych, aby byli tak dzielnymi ludźmi jak oni.

- Nigdy już nie będzie takich mężczyzn jak oni - rzekła cicho Karina. - Nikt nie może zająć ich miejsca...

Dalszą drogę odbyły w zupełnym milczeniu.

Wkrótce potem Kasia Calvert przyjechała pewnego dnia o zmierzchu do Tary. Damskie siodło założyła na najbardziej nędznego muła, jakiego Scarlett w życiu widziała, na wyleńskie, kulejące stworzenie - sama zaś wyglądała nie mniej od niego żałośnie. Nosila suknię ze spłowiałej flory, taką, jakie dawniej nosiły tylko służące, a czepek miała zawiązany pod brodą kawałkiem sznurka. Podjechała pod frontowy ganek, ale nie zsiadła z muła, więc Scarlett i Melania zeszły na dół, aby ją powitać. Kasia była blada jak Cade w dniu, gdy Scarlett go widziała, blada, zacięta i bardzo zmizerowana. Siedziała jednak prosto z wysoko podniesioną głową.

Scarlett przypomniała sobie nagle dzień barbakoi u Wilkesów i opowiadanie Kasi o Recie Butlerze. Jak pięknie i świeżo wyglądała wtedy w niebieskiej organdyńskiej sukni z pachnącymi różami u paska, w maleńkich czarnych aksamitnych pantofelkach, zasnurowanych dokoła szczupłych kostek! Teraz w sztywnej, siedzącej na mule postaci nie było ani śladu piękności.

- Nie, nie zsiądę, dziękuję wam bardzo - rzekła. - Przyjechałam tylko, aby was zawiadomić, że wychodzę za mąż.

- Co takiego?

- Za kogo?

- Kasiu, to wspaniale!

- Kiedy?

- Jutro - rzekła Kasia spokojnie, a głos jej zabrzmiał tak, że uśmiechy znikły z ich twarzy. - Przyjechałam was zawiadomić, że ślub mój odbędzie się jutro w Jonesboro... i że was nie zapraszam.

Przeżuwały te słowa w milczeniu, patrząc na nią ze zdumieniem. Wreszcie Melania przemówiła:

- Czy znamy twego narzeczonego, kochanie?

- Tak - rzekła Kasia krótko. - To pan Hilton.

- Pan Hilton?

- Tak, pan Hilton, nasz rządca.

Scarlett nie mogła nawet powiedzieć „och”. Kasia spojrzawszy nagle na Melanię rzekła

cichym, zdławionym głosem: - Jeżeli zaczniesz płakać, Melu, nie wytrzymam. Umrę.

Melania nic nie powiedziała, pogładziła tylko Kasię po nodze obutej w niezgrabny, w domu sporządzony trzewik. Głowę miała nisko spuszczoną.

- I nie głaskaj mnie! Tego także nie zniosę.

Melania opuściła rękę, ale nie podniosła głowy.

- No, muszę już jechać. Przyjechałam wyłącznie po to, aby was zawiadomić. - Biała maska znowu wróciła jej na twarz; zebrała lejce.

- Jak się miewa Cade? - zapytała Scarlett bardzo zakłopotana, szukając gorączkowo jakichś słów, które by przerwały przykre milczenie.

- Umiera - rzekła Kasia krótko. W głosie jej nie było śladu uczucia. - Musi umrzeć w jakim takim spokoju i nie chcę, aby martwił się o to, kto się mną będzie opiekował po jego śmierci. Widzicie, moja macocha i dzieci wyjeżdżają jutro na Północ na stałe. No, muszę już jechać.

Melania spojrzała na Kasię i spotkała twardy jej wzrok. Na rzęsach Meli świeciły jasne łzy, w oczach sympatia; na ich widok Kasia skrzywiła usta w uśmiechu dzielnego dziecka, które stara się nie płakać. Wszystko to nie mogło się pomieścić w głowie Scarlett; ciągle na próżno starała się przyzwyczaić do myśli, że Kasia Calvert wychodzi za mąż za rządcę - Kasia, córka bogatego plantatora, Kasia, która miała najwięcej po Scarlett wielbicieli w całym powiecie.

Kasia schyliła się teraz, a Mela stanęła na palcach. Pocałowały się. Potem mocno ścisnęła wędzidło i stary muł ruszył z miejsca.

Melania popatrzyła na nią, a łzy spływały jej z oczu. Scarlett stała bez słowa jak wryta.

- Melu, czy ona zwariowała? Przecież ona go na pewno nie kocha.

- Kocha? Och, Scarlett, jak możesz przypuszczać coś tak okropnego. Och, biedna Kasia! Biedny Cade!

- Ech, u licha! - krzyknęła Scarlett już zirytowana. Przykro jej było, że Melania zawsze lepiej od niej rozumie pewne sytuacje. Postanowienie Kasi wydawało jej się bardziej zdumiewające niż tragiczne. Pewnie, że nieprzyjemnie jest poślubić Jankesa z niższej sfery, ale trudno ostatecznie wymagać, aby dziewczyna mieszkała na plantacji sama. Musiała mieć męża, który by jej pomagał w gospodarstwie.

- Melu, to przykład tego, co kiedyś mówiłam. Dziewczęta nie mają za kogo wychodzić za mąż, a mężów mieć muszą.

- Przepraszam, wcale nie muszą! To żaden wstyd być starą panną. Spójrz na ciotkę Pitty. Och, wolałabym, aby Kasia umarła! Wiem, że Cade wolałby, aby nie żyła. To koniec

ich rodziny. Pomyśl tylko, pomyśl, jakie będą ich dzieci! Och, Scarlett, niech Pork osiodła natychmiast konia, dokoń ją i poproś, aby z nami zamieszkała!

- Boże wielki! - zawołała Scarlett, dotknięta spokojem, z jakim Melania rozporządzała Tarą. Scarlett wcale nie miała zamiaru karmić jeszcze jednej osoby. Chciała to właśnie powiedzieć, kiedy wstrzymał ją wyraz zgnębionej twarzy Melanii.

- Nie zgodziłaby się na to - rzekła. - Wiesz o tym dobrze. Jest bardzo dumna i pomyślałaby, że robimy to z litości.

- To prawda, to prawda - rzekła Melania z roztargnieniem, ścigając wzrokiem malejący na drodze tuman kurzu.

„Mieszkasz tu ze mną tyle miesięcy - myślała Scarlett, patrząc pośepnie na swoją szwagierkę - a nigdy nie przyszło ci na myśl, że żyjesz z mojej łaski. I nigdy o tym nie pomyślisz. Należysz do tych ludzi, których wojna nie zmieniła. W dalszym ciągu myślisz i postępujesz tak, jakby nic się tu nie stało - jakbyśmy byli ciągle jeszcze bogaci jak Krezus i mieli wszystkiego w bród, a obecność gości nie odgrywała żadnej roli. Zdaje mi się, że już do końca życia będę ciebie miała na karku. Kasi jednak mieć nie chcę”.

ROZDZIAŁ XXX

Podczas gorącego lata po zawarciu pokoju Tara przestała być odcięta od świata. Odtąd przez długie miesiące sznur brodatych, obdartych, chorych i głodnych straszyleł włókł się na szczyt wzgórza i przysiadł w cieniu ganku Tary, prosząc o nakarmienie i nocleg. Byli to powracający do domu żołnierze Konfederacji. Kolej przywiozła niedobitki armii Johnstona z Północnej Karoliny do Atlanty i tam je wyładowała, stamtąd zaś musieli pielgrzymkę swoją odbywać pieszo. Kiedy fala żołnierzy Johnstona przeszła, nadchodzić zaczęli zmęczeni weterani armii Wirginii i armii zachodnich, kierujący się na południe, do domów, które nie istniały już może, do rodzin, rozproszonych czy wymarłych. Większość ich szła pieszo, nieliczni szczęśliwcy jechali na wychudłych koniach i mułach - które na zasadzie warunków rozejmu wolno im było zatrzymać - tak wynędzniałych, że można było z góry powiedzieć, iż nie wydołają długiej podróży do Florydy i południowej Georgii.

Do domu! Do domu! Żołnierze nie myśleli o niczym innym. Niektórzy szli smutni i milczący, inni weseli i obojętni na trudy, ale wszystkich jednakowo podtrzymywała świadomość, że wojna się wreszcie skończyła i jadą do domu. Mało wśród nich było ludzi zgorzkniałych. Rozgoryczenie zostawiali kobietom i starcom. Bronili się świetnie, zostali pokonani - teraz więc wracają do spokojnej pracy na ziemi, o którą walczyli.

Do domu! Do domu! Nie potrafili mówić o niczym innym, nie pamiętali o bitwach, ranach i niewoli, nawet o przyszłości. Później dopiero przypomniał sobie walki i powiedzą dzieciom i wnukom o bojach, potyczkach i atakach, o głodzie, pośpiesznych marszach i ranach. Niektórym brakowało ramienia, nogi czy oka, wielu miało blizny, które będą ich bolały w wilgotną pogodę jeszcze w siedemdziesiątym roku życia - to wszystko jednak wydawało się im teraz drobnostką. Później będzie inaczej.

Starzy i młodzi, rozmowni i milczący, bogaci plantatorzy i biedni farmerzy, wszyscy mieli dwie cechy wspólne - wszy i dyzenterię. Żołnierz Konfederacji tak był przyzwyczajony do robactwa, że nie myślał już o tym i drapał się bez żenady nawet w obecności dam. Jeżeli zaś chodzi o dyzenterię - „krwawą biegunkę”, jak nazwały ją panie - to nie oszczędziła żadnego, od szeregowca do generała. Cztery lata głodowania, cztery lata niedogotowanych, surowych lub na wpół zgniłych racji zrobiły swoje, i każdy żołnierz, który zatrzymywał się w Tarze, był albo właśnie wyleczony z tej choroby, albo jeszcze na nią cierpiał.

- W naszej armii nie ma ani jednego kompletu zdrowych kiszek - zauważyła Mammy ponuro, pocąc się nad ogniem przy przyrządzaniu gorzkiego wywaru z korzeni czarnych

jagód, który był najskuteczniejszym według Ellen lekarstwem na tę chorobę. - Ja tak uważam, że to wcale nie Jankesi pobili naszych panów. To własne ich wnętrzności. Kto by tam mógł walczyć, jak mu się kiszki w wodę zamieniają?

Mammy leczyła ich wszystkich, zadając kłopotliwe pytania co do stanu ich organizmu, i wszyscy - posłusznie i krzywiąc się - wypijali lekarstwo, może sobie przypominając inne czarne twarze w dalekich stronach i inne nieubłagane czarne ręce, podające lekarstwo na łyżce.

W sprawie „towarzyszek” żołnierzy Mammy była równie zawzięta. Zawszony żołnierz nie miał wstępu do Tary. Prowadziła ich za gęste krzaki, rozbierała z mundurów, podawała miednicę wody i szare mydło oraz kołdry i koce do okrycia nagości, sanna zaś gotowała odzież w kotle od bielizny. Na nic się nie zdawały oburzone słowa dziewcząt, że tego rodzaju postępowanie upokarza żołnierzy. Mammy odpowiadała, że gorszym wstydem jest znajdować na sobie wszy.

Kiedy żołnierze zaczęli się zjawiać prawie codziennie, Mammy nie pozwoliła, by nocowali w sypialniach. Bała się zawsze, aby na nią jakaś wesz nie przeszła. Zamiast się z nią spierać, salon, w którym leżał miękki, puszysty dywan, Scarlett obróciła w dormitorium. Mammy znowu głośno protestowała, że to świętokradztwo, aby żołnierze spali na dywanie pani Ellen, Scarlett jednak była stanowcza. Gdzieś spać musieli. W niewiele miesięcy po zawieszeniu broni miękka barwa dywanu zaczęła znikać, a w miejscach, gdzie deptały go nieuważne obcasy, ukazała się osnowa.

Każdego żołnierza dziewczęta skwapliwie wypytywały o Ashleya. Zuela wypytywała się o pana Kennedy'ego. Żołnierze nie słyszeli o żadnym z nich, nie bardzo też lubili rozmawiać o nieobecnych. Wystarczało im, że sami żyją, i nie mieli ochoty myśleć o tych tysiącach w bezimiennych grobach, które nigdy nie wrócą do domu.

Po każdym takim zawodzie cała rodzina starała się dodać Melanii otuchy. Rozumie się, że Ashley nie umarł w więzieniu. Gdyby tak było, napisałby do nich jankeski kapelan. Rozumie się, że był w długiej drodze do domu, bo więzienie jego było bardzo daleko. Ależ na mdłość boską, przecież podróż koleją trwa stamtąd wiele dni, jeżeli zaś Ashley idzie pieszo, jak ci ludzie... Dlaczego nie pisze? No, kochanie, wiesz przecie, jak funkcjonuje poczta, nieregularnie i niedbale, nawet między miastami. A jeżeli - jeżeli zmarł w drodze do domu? Ależ, Melanio, napisałaby do nas o tym z pewnością jakaś Jankeska!... Jankeska? No pewnie!... Melu, na pewno są jeszcze miłe Jankeski na świecie. Ależ tak, na pewno! Bóg nie mógł przecież stworzyć narodu, w którym nie ma miłych kobiet? Scarlett, pamiętasz, jaka sympatyczna była ta Jankeska, którą spotkałyśmy wtedy w Saratoga - Scarlett, opowiedz Meli

o niej!

- Sympatyczna, rzeczywiście - odrzekła Scarlett. - Pytała mnie, jak duże mamy sfory psów gończych do poganiania Murzynów! Zgadzam się z Melą. Nigdy w życiu nie spotkałam miłego Jankesa ani Jankeski. Ale nie płacz przecież, Melu! Ashley na pewno wróci do domu. To bardzo długa droga. A może... może nie ma butów?

Na myśl o bosym Ashleyu Scarlett omal się nie rozplakała. Niechaj inni żołnierze wloką się w workach i kawałkach dywanu na nogach, byle nie Ashley. Powinien wrócić do domu na paradnym wierzchowcu, pięknie ubrany, w połyskujących butach i kapeluszu z piórem. Najgorszym upokorzeniem była dla niej myśl, że Ashley może być w takim samym stanie jak ci żołnierze.

Pewnego dnia lipcowego, kiedy się wszyscy rozsiedli na kuchennym ganku i przyglądali łakomie, jak Pork rozcina pierwszy w sezonie na wpół dojrzały arbuza, usłyszeli stukot kopyt przed frontem domu. Prissy leniwie ruszyła w stronę drzwi, a reszta domowników zaczęła się gorąco sprzeczać, czy należy schować arbuza, czy też zostawić go na kolację, jeżeliby gościem przed gankiem okazał się jakiś żołnierz.

Mela i Karina szeptały, że żołnierz także powinien dostać swoją porcję, Scarlett jednak, popierana przez Mammy i Zuelę, cicho powiedziała Porkowi, aby szybko ukrył owoc.

- Nie bądźcie głupie, dziewczęta! Arbuza ledwie wystarczy dla nas, jeżeli zaś przyjechali dwaj czy trzej wygłodniały żołnierze, nikt z nas nawet go nie skosztuje - rzekła Scarlett.

Podczas gdy Pork przyciskał do siebie mały arbuza, niepewny, jaka będzie ostateczna decyzja, rozległ się okrzyk Prissy.

- Boże miłosierny! Miss Scarlett! Miss Melu! Proszę tu przyjść!

- Kto to taki? - krzyknęła Scarlett zrywając się ze schodków i biegnąc z Melą przez hali. „Ashley - pomyślała. - Och, może...”

- Wuj Piotr przyjechał! Panny Pitty wuj Piotr.

Wszyscy wybiegli na ganek i ujrzeni siwego czarnego władcę domu ciotki Pitty, złażącego ze szkapy, na której grzbiecie zamiast siodła leżał kawał dywanu. Na twarzy Murzyna wyraz zwykłej godności walczył o lepsze z radością na widok starych przyjaciół i wynik był taki, że czoło miał groźnie zmarszczone, ale usta otwarte jak pysk szczęśliwego starego bezzębnego psa.

Każdy chciał się z nim przywitać, czarni i biali potrzęsali jego dłonią i zarzucali go pytaniami, ale głos Meli wybił się nad inne.

- Czy ciocia przypadkiem nie chora?

- Nie. Ale słaba jak zwykle, Bogu dzięki - odrzekł Piotr, patrząc surowo na Melę, potem na Scarlett, tak że poczuły się nieswojo, choć nic nie miały na sumieniu. - Słaba i obrażona jest na młode panie, a po prawdzie, to ja także!

- Ależ dlaczego, wuju Piotrze! Co się stało?...

- Niech mi się panienki nie tłumaczą. Czy panna Pitty nie pisała ciągle a ciągle, żebyście przyjeżdżały do domu? Widziałem, jak pisała, i widziałem, jak płakała, kiedy odpisałyście, że macie za dużo roboty na tej fermie, aby móc wrócić do domu.

- Ależ, wuju Piotrze..

- Jak panienki mają serce zostawiać pannę Pitty zupełnie samą, kiedy ona jest tak strachliwa? Wiedzą przecież panienki, że panna Pitty nigdy nie mieszkała sama: jeszcze ciągle drży ze strachu, od kiedy wróciła z Macon. Powiedziała mi, żebym sam od siebie już powiedział, że nie rozumiem, jak panienki mogły ją opuścić w potrzebie.

- Dostyc już tego! - rzekła Mammy ostro, bo bardzo była dotknięta, że ktoś ośmielił się nazwać Tarę „fermą”. Tylko ciemny Murzyn z miasta nie potrafi odróżnić fermy od plantacji! - A my czy nie jesteśmy w potrzebie? A nam czy panna Scarlett i panna Mela niepotrzebne, i to bardzo? Dlaczego panna Pitty nie prosi o opiekę swego brata?

Wuj Piotr rzucił na nią piorunujące spojrzenie.

- My od lat nie mamy nic wspólnego z panem Henrykiem i za starzy jesteśmy, aby teraz zaczynać. - Odwrócił się ku Scarlett i Meli, które starały się powstrzymać uśmiechy. - Młode panie powinny się wstydzić, że zostawiają biedną pannę Pitty samą, kiedy połowa jej przyjaciół pomarła, połowa mieszka w Macon, a Atlanta jest pełna żołnierzy jankeskich i wyzwolonej murzyńskiej hołoty.

Dwie młode kobiety znosiły te wyrzuty z początku poważnie, myśl jednak, że ciotka Pitty przysłała Piotra, aby je wyłajał i osobiście dostarczył do Atlanty, rozśmieszyła je tak, że wybuchły głośnym śmiechem. Pork, Dilcey i Mammy zawtórowali im głośno, zadowoleni, że mogą wyśmiać Murzyna, który obraził ich ukochaną Tarę. Zuela i Karina chichotały i nawet Gerald uśmiechał się blado. Wszyscy się śmieli z wyjątkiem Piotra, który przestępował z jednej płaskiej stopy na drugą i nie posiadał się ze zgorznienia.

- A tobie czego brak, Murzynie? - zapytała Mammy z uśmiechem. - Czy jesteś za stary, aby opiekować się swoją panią?

Piotr był oburzony.

- Za stary? Ja za stary? Nie, proszę pani! Ja opiekuję się panną Pitty tak samo, jak to zawsze robiłem. Czy nie zawiozłem jej do Macon, kiedyśmy uciekali? Czy nie opiekowałem się nią, kiedy Jankesi przyszli do Macon, a ona bała się tak, że ciągle mdlała? I czy nie

znalazłem tego konika, zęby ją przywieźć z powrotem do Atlanty, czy nie pilnowałem w drodze jej i naszego

srebra? - Piotr wyprostował się, broniąc się gorąco. - Ja zresztą nie mówię o opiece, lecz o tym mówię, jak to wygląda.

- Jak to wygląda?

- Mówię, jak to wygląda przed ludźmi, że panna Pitty mieszka sama jedna. Ludzie zawsze plotkują na panny, które mieszkają same - ciągnął Piotr dalej. Było oczywiste, że w oczach jego Pitty jest jeszcze ciągle okrągłutką i uroczą szesnastoletnią dziewczyną, której opinii należy bronić przed złośliwymi językami. - A ja nie pozwolę, by ją ludzie krytykowali. Nie, proszę pani... I nie pozwolę, żeby z braku towarzystwa wynajęła część domu obcym. Już jej to powiedziałem: „Nie, nie zgadzam się, bo panienka ma rodzinę, której dom jest tutaj”. A teraz rodzina jej się wypiera. Panna Pitty to dziecko i...

Słyszając to Scarlett i Mela zaczęły się tak zataczać że śmiechu, że aż usiadły na schodkach. Wreszcie Mela otarła łzy.

- Biedny wuj Piotr. Przepraszam, że się śmiałam. Szczerze i gorąco przepraszam. No już, już! Niech się wuj nie gniewa. Pani Scarlett ani ja nie możemy teraz wracać do domu. Może ja przyjadę we wrześniu, kiedy zbierzemy bawełnę. Czy ciocia przysłała wuja tak daleko tylko po to, aby nas przywiózł do domu na tej szkapinie?

Słyszając to pytanie Piotr zasepił się nagle, a pomarszczona jego twarz przybrała wyraz zakłopotania. Wydęta z oburzenia dolna warga wróciła do normalnej pozycji, szybko, jak łebek żółwia cofający się pod skorupę.

- Miss Melu, robię się już chyba stary, bo zupełnie zapomniałem, po co mnie panna Pitty wysłała, a to ważne. Mam dla panienki list. Panna Pitty nie chciała go powierzyć poczie ani nikomu, tylko mnie go kazała przywieźć i...

- List? Do mnie? Od kogo?

- Proszę pani, to... Panna Pitty powiedziała mi: „Słuchaj, Piotrze, powiedz to ostrożnie panie Meli”, a ja powiedziałem...

Mela porwała się na równe nogi z ręką na sercu.

- Ashley! Ashley nie żyje!

- Nie! Nie! - krzyknął Piotr szukając czegoś w kieszeni swojej połatanej marynarki; głos jego brzmiał ostro: - Żyje! List jest od niego. Wraca do domu. Boże przenajświętszy! Łapcie ją, Mammy! Pozwólcie mi...

- Nie ruszaj jej, ty stary głupcze! - zagrzmiała Mammy starając się podtrzymać bezwładne ciało Meli, aby nie upadła na ziemię. - Ty głupia czarna małpo! „Powiedz to

ostrożnie!” Pork, ty weź ją za nogi. Panienko Karino, niech panienska podtrzyma jej głowę.

Położyły ją na kanapie w salonie.

Zrobiło się zamieszanie, wszyscy z wyjątkiem Scarlett otoczyli zemdloną Melanię, wszyscy krzyczeli z przerażenia, biegli w głąb domu po wodę i poduszki. Po chwili Scarlett została przed domem sama z wujem Piotrem. Stała jak skamieniała, nie mogąc zrobić żadnego gestu, od kiedy usłyszała tę nowinę, i bez słowa patrzyła na Murzyna, który trzymał w ręku list. Stara jego twarz wyglądała żałośnie, jak twarz dziecka złajanego przez matkę, a cała jego godność gdzieś znikła.

Przez chwilę nie mogła ani mówić, ani się poruszyć, i mimo że w duchu powtarzała sobie raz po raz: „Nie umarł! Wraca do domu!”, świadomość ta nie przynosiła jej ani radości, ani podniecenia, tylko tępe zdumienie. Głos wuja Piotra doszedł ją jak z oddali, żalony, pełen skruchy.

- Pan Willy Burr z .Macon, który jest z nami spokrewniony, przywiózł list pannie Pitty. Pan Willy był w tym samym więzieniu co pan Ashley. Pan Willy ma konia, więc szybko tu dojechał. Ale pan Ashley idzie pieszo i...

Scarlett wyrwała mu list z ręki. Zaadresowany był do Meli pismem ciotki Pitty, ale to jej wcale nie powstrzymało. Rozdarła kopertę; na ziemię wypadła z niej notatka Pitty. W kopercie leżał kawałek zmiętego papieru, zatłuszczony od kieszeni, w której musiał spoczywać, pognieciony i wytarty. Nosił pisany ręką Ashleya adres: „Pani Ashleyowa Wilkes, z listami Pani Sary Janiny Hamilton, Atlanta lub Dwanaście Dębów, Jonesboro, Georgia”.

Drżącymi palcami otworzyła list i przeczytała:

- Najdroższa, wracam do ciebie...

Łzy zaczęły jej spływać po twarzy i przesłoniły litery, a serce jej tak wezbrało, że poczuła, iż nie przetrzyma tej radości. Przyciskając list do piersi wbiegła na ganek i do hallu, minęła salon, gdzie wszyscy domownicy przeszkadzali sobie nawzajem przy cuceniu zemdłonej Melanii, i wpadła do kantorku Ellen. Zamknęła drzwi na klucz i rzuciła się na wysiedzianą kanapę płacząc, śmiejąc się, całując list.

- Najdroższa, wracam do ciebie

Rozsądek mówił im, że Ashley nie może przywędrować z Illinois do Georgii przed upływem tygodni czy nawet miesięcy - chyba że niosłyby go skrzydła - a mimo to serca były im dziko, ilekroć żołnierz jakiś skręcał w aleję do Tary. W każdym brodatym obdartusie dopatrywały się Ashley'a. Kiedy okazywało się, że to nie Ashley, myślały, że może żołnierz ma jakieś wiadomości o nim czy bodaj list od ciotki Pitty. Czarni i biali wybiegali na ganek,

ilekroć słyszeli kroki. Widok munduru wystarczał, aby wszyscy zjawiali się w domu z drwalni, łąki czy pola bawełny. W ciągu miesiąca po nadejściu listu praca prawie ustała. Nikt nie chciał być poza domem, kiedy Ashley przyjdzie, najmniej zaś Scarlett. Nie mogła wobec tego nastawać, aby inni pilnowali swoich obowiązków, gdy ona tak bardzo zaniedbywała swoje.

Kiedy jednak tygodnie wlokły się wolno, a Ashley nie zjawiał się i nie nadchodziły żadne wiadomości, Tara wróciła do dawnych zajęć. Stęsknione serca nie mogły wyżyć samą tylko tęsknotą. Strach zaczął chwilami ogarniać Scarlett, że może zdarzyło mu się coś złego w czasie długiej podróży. Rock Island było tak daleko; może opuszczając więzienie był chory czy osłabiony. Nie miał pieniędzy i szedł przez kraj, w którym nienawidzono konfederatów. Gdyby przynajmniej wiedziała, gdzie jest, wysłałaby mu pieniądze, wszystkie co do grosza, choćby kosztem jedzenia dla rodziny - aby przyjechał do domu koleją... Najdroższa, wracam do ciebie.

W pierwszym porywie radości Scarlett zrozumiała te słowa jak skierowane do niej. Teraz, na chłodno, uświadomiła sobie, że zawiadamiał w ten sposób Melanię, która odtąd chodziła po domu śpiewając z radości. Czasem Scarlett zastanawiała się gorzko, czemu Melania nie umarła przy porodzie. To bardzo uprościłoby sprawę. Wówczas mogłaby po odpowiednim okresie żałoby wyjść za Ashleya i być dla małego Beau doskonałą macochą. Teraz, gdy nawiedzały ją takie myśli, nie modliła się już do Boga, aby jej przebaczył, ponieważ nie myślała tego serio. Myśl o Bogu nie przerażała jej już wcale.

Żołnierze zjawiali się w pojedynkę, parami i tuzinami, i zawsze byli głodni. Scarlett myślała z rozpaczą, że wolałaby plagę szarańczy od tych gości. Przeklinała zwyczaj gościnności, który kwitł w erze dobrobytu i nie pozwalał puszczać w dalszą drogę podróżnego, bogatego czy biednego, bez noclegu, jedzenia dla niego i dla konia i bez okazania największej uprzejmości, na jaką dom mógł się zdobyć. Wiedziała, że era ta minęła bezpowrotnie, reszta domowników jednak i żołnierze nie chcieli o tym pamiętać, w rezultacie więc witano każdego żołnierza, jak gdyby był dawno oczekiwanym gościem.

Kiedy ta nie kończąca się procesja nie przestawała sunąć, Scarlett zrobiła się bardziej bezwzględna. Żołnierze pochłaniali żywność przeznaczoną dla Tary: jarzyny, nad którymi się tyle napracowała, produkty, po które jeździła daleko. O żywność było jeszcze ciągle trudno, pieniądze zaś z portfela Jankesa nie mogły wystarczyć na zawsze. Zostało jej teraz tylko parę dolarów i dwie sztuki złota. Z jakiej racji miała żywić tę hordę głodnych ludzi? Wojna minęła. Żołnierze nie będą jej już nigdy bronili przed niebezpieczeństwem. Wydała zatem Porkowi polecenie, aby podczas bytności żołnierzy posiłki były skromniejsze. Rozkaz ten

obowiązywał, dopóki nie zauważyła, że Melania, która od urodzenia Beau nie była zbyt silna, kazała Porkowi oddawać swoją porcję żołnierzom, a sobie nakładać tylko okruchy.

- Przestań to robić, Melu - zgańła ją Scarlett. - Jesteś chora i jeżeli nie zaczniesz się lepiej odżywiać, będziesz się musiała położyć i trzeba cię będzie pielęgnować. Niechaj ci ludzie będą sobie głodni. Mogą to wytrzymać. Wytrzymali przez cztery lata, więc im nic nie będzie, jak wytrzymają jeszcze trochę dłużej.

Melania spojrzała na nią i na twarzy jej odmalowało się pierwsze gorące wzburzenie, jakiego Scarlett była świadkiem.

- Och, Scarlett, nie gań mnie, proszę! Pozwól mi to robić. Nie masz pojęcia, jaką mi to przynosi ulgę. Ile razy oddaję swoją porcję jakiemuś biedakowi, myślę, że może daleko na Północy jakaś nieznajoma kobieta daje mojemu Ashleyowi część swego obiadu i w ten sposób pomaga mu, aby prędzej dostał się do mnie do domu!

„Mojemu Ashleyowi”.

„Najdroższa, wracam do ciebie”.

Scarlett odwróciła się bez słowa. Odtąd na stole było więcej jedzenia, gdy zjawiali się goście, chociaż Scarlett żałowała im każdego kęsa.

Kiedy żołnierze byli zbyt ciężko chorzy, aby iść w dalszą drogę - takich zaś było wielu - Scarlett oddawała im do dyspozycji łóżka, choć też bez wielkiego entuzjazmu. Każdy chory oznaczał dodatkową gębę do wyżywienia. Ktoś musiał go pielęgnować, co znaczyło o jedną parę rąk mniej przy stawianiu płotów, gracowaniu, pieleniu czy oraniu. Pewnego chłopca o twarzy ledwie pokrytej jasnym puszkciem przywiózł do Tary jadący do Fayetteville konny żołnierz. Żołnierz znalazł go nieprzytomnego przy drodze i przewieszzonego przez siodło przywiózł do Tary, najbliższego dworu. Dziewczęta przypuszczały, że chłopiec był kadetem, jednym z tych, których powołano pod broń, gdy Sherman zbliżał się do Milledgeville, ale nigdy tego nie ustaliły z pewnością, bo zmarł nie odzyskawszy przytomności, a przeszukanie jego kieszeni nie dało żadnego rezultatu.

Był przystojny, prawdopodobnie z dobrej rodziny; gdzieś na południu jakaś kobieta wyglądała go z niepokojem, dziwiąc się, dlaczego nie wraca - podobnie jak Scarlett i Melania z szaloną nadzieją w sercach wpatrywały się w twarze wszystkich brodatych żołnierzy, którzy zbliżali się do domu. Pochowały kadeta na cmentarzyku tuż obok trzech małych braci Scarlett. Melania bardzo płakała, gdy Pork sypał ziemię na grób, bo zastanawiała się w głębi serca, czy jacyś nieznajomi nie spełniają w tej chwili takiej samej posługi w stosunku do Ashleya.

Will Benteen, podobnie jak bezimienny chłopiec, został przywieziony w malignie na

siodle towarzysza broni. Miał ostre zapalenie płuc i kiedy dziewczęta ułożyły go do łóżka, przypuszczały, że zajmie wkrótce miejsce obok chłopca na cmentarzu.

Will miał bladą, malaryczną twarz farmera z południowej Georgii, jasne rudawe włosy i wyblakłe niebieskie oczy, które nawet w gorączce nie przestawały być cierpliwe i łagodne. Stracił na wojnie jedną nogę i do jej kikuta przymocowaną miał źle dopasowaną drewnianą kulę. Nie było wątpliwości, że jest ubogim farmerem, tak samo jak pewne było, że pochowany niedawno chłopiec był synem plantatora. Trudno było określić, po czym to dziewczęta poznały. Will z pewnością nie był brudniejszy, bardziej obrośnięty czy zawszony od dobrze urodzonych żołnierzy, którzy zachodzili do Tary. W malignie mówił nie mniej gramatycznie niż młodzi Tarletonowie. Scarlett i Mela wyczuwały jednak instynktownie - podobnie jak mogły odróżnić instynktem konie rasowe od nierasowych - że nie należy do ich sfery. Świadomość ta nie zmniejszyła jednak ich wysiłków w kierunku uratowania mu życia.

Wycieńczony rocznym pobytem w jankeskiej niewoli, wyczerpany długą wędrówką na źle dopasowanej kuli, miał niewiele sił do zwalczania choroby i przez długie dni leżał w łóżku to jęcząc, to starając się wstawać, to tocząc boje z Jankesami. Ani razu nie zawołał matki, żony, siostry czy ukochanej i to bardzo martwiło Karinę.

- Człowiek powinien mieć jakichś bliskich - powiedziała. - On zdaje się nie mieć na świecie ani żywej duszy.

Mimo swojej chudości Will był odporny, więc pod dobrą opieką szybko się wygrzebał z choroby. Nadszedł dzień, gdy blade jego oczy rozejrzały się przytomnie po otoczeniu i spoczęły na Karmie przesuwającej paciorki różańca i siedzącej w płomieniu słońca.

- A więc nie była pani snem, jak widać - rzekł bezbarwnym, cichym głosem. - Mam nadzieję, że nie dokuczałem pani bardzo.

Rekonwalescencja jego trwała długo. Leżał spokojnie, patrząc przez okno na magnolie i nikomu nie sprawiając kłopotu. Karina polubiła go, ponieważ umiał milczeć spokojnie i naturalnie. Siedziała przy nim przez długie gorące popołudnia, wachlującego i nic nie mówiąc.

Karina miała bardzo mało do powiedzenia w tym czasie - wątpła i lekka jak zjawa, spełniała bez słowa wszystkie zadania, do których miała dość siły. Modliła się bardzo dużo i ilekroć Scarlett wchodziła bez pukania do jej pokoju, zastawała ją na kolanach przy łóżku. Widok ten sprawiał jej pewną przykrość, bo czuła, że czas modlitw już minął. Skoro Bóg uznał, że należy ich tak ciężko pokarać - mógł się teraz obyć bez modłów. Religia zawsze była dla Scarlett rodzajem wymiany. Przyrzekała Bogu dobre sprawowanie w zamian za łaski. Ponieważ Bóg w jej rozumieniu już wiele razy nie dotrzymał umowy, czuła, że nic mu nie

jest winna.

Ilekróć więc zastawała Karinę na kolanach w czasie przeznaczonym na poobiednią drzemkę lub cerowanie, uważała, że Karina dla modlitwy zaniedbuje sprawy ważniejsze.

Pewnego, popołudnia, kiedy Will Benteen po raz pierwszy usiadł w fotelu, Scarlett powiedziała mu o tym i zdumiona była, gdy odrzekł spokojnym głosem: - Niech ją pani zostawi w spokoju, Miss Scarlett. To ją pociesza.

- Pociesza?

- Tak, bo modli się za pani mamę i za niego.

- Kto to jest „on”?

Jasne niebieskie oczy spojrzały na nią spod piaskowych brwi bez najmniejszego zdziwienia. Nic go nie dziwiło ani nie wzruszało. Zbyt wiele zdarzyło mu się rzeczy nieprzewidywanych, aby mogło go coś zdumieć. Nie wydało mu się dziwne, że Scarlett nie wie, co kryje się w sercu siostry. Przyjął to naturalnie jak fakt, że Karina zwierzała się jemu - obcemu.

- Jej wielbiciel, ten Brent, który padł pod Gettysburgiem...

- Jej wielbiciel? - zapytała Scarlett ostro. - Jaki tam wielbiciel! On i jego brat byli moimi wielbicielami.

- Tak, powiedziała mi o tym. Zdaje się, że większość chłopców z powiatu kochała się w pani. Mniejsza z tym. Kiedy pani go odrzuciła, zaczął się nią interesować, i kiedy przyjechał na ostatni urlop, zaręczyli się. Karina mówi, że to był jedyny chłopiec, który jej się kiedykolwiek podobał, więc trochę ją to teraz pociesza, kiedy się za niego modli.

- Ech, zawracanie głowy! - zawołała Scarlett, ukłuta zazdrością.

Popatrzyła z większym zainteresowaniem na tego szczupłego mężczyznę o kościstych ramionach, rudych włosach i spokojnych oczach. O własnej jej rodzinie wiedział szczegóły, których sama nie знаła. A więc to dlatego Karina chodziła błędnie po świecie i ciągle się modliła! No, będzie to więc musiała jakoś przeboleć. Wiele dziewcząt pocieszało się jakoś po śmierci ukochanych - tak, nawet mężów. Ona sama pocieszyła się po śmierci Karola. I znała nawet w Atlancie pewną kobietę, która straciła na wojnie po kolei trzech mężów i jeszcze potrafiła się interesować mężczyznami. Powiedziała to wszystko Willowi, on jednak potrząsnął tylko głową.

- Nie panna Karina - oświadczył wreszcie stanowczo.

Przyjemnie było rozmawiać z Willem, bo miał mało do powiedzenia, a słuchać umiał bardzo uważnie. Scarlett zaczęła mu się zwierzać ze swoich kłopotów z pielieniem, gracowaniem i sadzeniem bawełny, mówiła z nim o karmieniu świń i konieczności pokrycia

krowy, on zaś dawał jej rady, bo sam miał małą fermę na południu Georgii i dwóch niewolników. Widział, że Murzyni jego są teraz wyzwoleni, a ferma zarosła pewnie chwastami i sosną. Siostra, jedyna jego krewna, przeprowadziła się z mężem przed wielu laty do Texasu, był więc na świecie sam. A przecież żadna z tych rzeczy, ani nawet utrata nogi, nic zdawała się go martwić.

Tak, rozmowa z Willem przynosiła Scarlett ukojenie po ciężkich dniach - gdy Murzyni nie przestawali szemrać, Zuela grymasiła i płakała, a Gerald zbyt często pytał o Ellen. Z Willem mogła rozmawiać o wszystkim. Wyznała mu nawet, że zabiła Jankesa, i rozpromieniła się z dumy, kiedy krótko powiedział: - Dobrze się pani sprawiła.

Po pewnym czasie cała rodzina знаła drogę do pokoju Willa. Wszyscy zwierzali mu się ze swoich kłopotów - nawet Mammy, która z początku traktowała go z góry, bo nie pochodził z dobrej rodziny i miał tylko dwóch niewolników.

Kiedy Will mógł już kuśtykać po domu, zaczął się zajmować wyplataniem koszyków z wikliny i naprawianiem mebli poniszczonych przez Jankesów. Umiał ładnie wycinać z drzewa i Wade wiecznie się koło niego kręcił, bo Will strugał mu zabawki, jedyne, jakie dzieciak miał. Pod opieką Willa można było bez obawy zostawić Wade'a i niemowlęta, bo umiał obchodzić się z nimi nie mniej zgrabnie niż Mammy, i tylko Mela potrafiła lepiej od niego utulić je w krzyku.

- Była pani dla mnie bardzo dobra, Miss Scarlett - powiedział pewnego dnia - mimo że jestem obcy i że mnie pani wcale nie znała. Sprawilem pani wiele kłopotu i jeżeli nie ma pani nic przeciwko temu, chciałbym móc tutaj zostać i pomagać pani w pracy, dopóki nie spłacę pani długu. Zresztą nigdy nie będę się mógł całkowicie odwdzińczyć, bo nie ma zapłaty za życie człowieka.

Został więc i stopniowo, niepostrzeżenie, wielka część obowiązków przeniosła się z ramion Scarlett na kościste barki Willa Benteena.

Nadszedł wrzesień i czas zbierania bawełny. Will Benteen siedział u stóp Scarlett na schodkach frontowych w miłym, ciepłym słońcu jesiennego popołudnia i cichym głosem mówił powoli o cenach za czyszczenie bawełny w nowej czyszczalni pod Fayetteville. Udało mu się jednak tego dnia dowiedzieć w Fayetteville, że może zmniejszyć ten wydatek o jedną czwartą wypożyczając na dwa tygodnie konia i wóz właścicielowi warsztatu. Odłożył decyzję w tej sprawie do czasu naradzenia się ze Scarlett.

Scarlett popatrzyła na chudą postać, opartą o kolumnę ganku. Nie było wątpliwości, że jak Mammy często mawiała - Will był zesłańcem niebios. Scarlett często się zastanawiała, jak by się bez niego potoczyło życie Tary w ostatnich miesiącach. Nigdy nie miał wiele do

powiedzenia, nigdy nie zdawał się szczególnie interesować tym, co się działo obok niego, ani nie okazywał wielkiej energii, ale wiedział wszystko o wszystkim i wszystkich w Tarze. I dużo robił. Pracował milcząco, cierpliwie i solidnie. Mimo że miał tylko jedną nogę, był wytrwalszy od Porka. Co więcej, umiał Porka zmusić do solidnej pracy, co dla Scarlett graniczyło z cudem. Kiedy krowa dostała kolek, a koń zapadł na tajemniczą, groźną mu śmiercią chorobę, Will przez całą noc czuwał koło zwierząt i w końcu je uratował. Scarlett bardzo imponowało, że umiał świetnie kupować. Zdarzyło mu się wyjeżdżać rano z koszem jabłek, słodkich ziemniaków czy innych jarzyn i wracać wieczorem z nasionami, mąką, materiałem na suknie i innymi sprawunkami, których sama nie mogłaby dostać w takiej ilości, chociaż doskonale potrafiła się targować.

Powoli zaczęto go traktować jak członka rodziny. Sypiał na tapczanie w małej garderobie obok pokoju Geralda. Nie wspominał nigdy o opuszczeniu Tary, Scarlett zaś starała się go o nic nie pytać bojąc się, aby jej nie opuścił. Czasem myślała, że gdyby był z lepszej rodziny i miał jaki taki rozum, wróciłby do domu, chociaż właściwie już domu nie miał. Myśl ta jednak nie przeszkadzała jej modlić się gorąco, aby został w Tarze na zawsze. Bardzo było wygodnie mieć w domu przynajmniej jednego mężczyznę.

Myślała także, że gdyby Karina była mądrzejsza, domyśliłaby się, że Will się w niej kocha. Scarlett bardzo byłaby Willowi wdzięczna, gdyby poprosił ją o rękę Kariny. Rozumie się, że przed wojną Will z pewnością by nie był odpowiednim kandydatem. Nie należał do sfery plantatorów, mimo że nie był „białą nędzą”. Był po prostu zwykłym osadnikiem, właścicielem małej fermy, nie dokszałconym, robiącym gramatyczne błędy i nie znającym wykwintnych manier, do których O'Harowie przywykli. Scarlett zastanawiała się nawet, czy Willa można by nazwać dżentelmenem, i zdecydowała, że raczej nie. Melania broniła go gorąco mówiąc, że człowiek o szlachetnym sercu Willa i jego delikatności w stosunku do innych musi być dobrego pochodzenia. Scarlett dobrze wiedziała, że Ellen zemdlalaby na myśl, iż jedna z jej córek może poślubić takiego człowieka, ale gorzka konieczność zbyt daleko odwiodła ją od nauk Ellen, aby się tą myślą mogła przejmować. Mężczyzn było mało, dziewczęta musiały mieć mężów i Tarze potrzebny był mężczyzna. Karina jednak, coraz bardziej zagłębiona w swoich modlitwach i co dzień bardziej tracąca kontakt ze światem rzeczywistym, traktowała Willa jak brata i obecność jego przyjmowała tak obojętnie jak obecność Porka.

„Gdyby Karina zdolna była do jakiegokolwiek dla mnie wdzięczności za to, co dla niej zrobiłam, wyszłaby za niego i nie pozwoliłaby mu stąd odjechać - myślała Scarlett. - Ale zamiast tego spędza czas na rozmyślaniu o głupim chłopaku, który jej nigdy prawdopodobnie

nie brał poważnie”.

Tak więc Will został w Tarze dla siebie tylko znanej przyczyny i Scarlett uznała jego rozsądny stosunek do siebie za równie przyjemny jak pożyteczny. Will okazywał wielki szacunek Geraldowi, ale za prawdziwą głowę domu uważał Scarlett.

Scarlett zgodziła się na wypożyczenie konia, choć znaczyło to, że Tara zostanie czasowo bez żadnego środka lokomocji. Najbardziej zmartwi się tym Zuela. Największą jej przyjemnością były jazdy z Willem do Jonesboro czy Fayetteville, kiedy jechał tam za interesami. Przystrojona w najlepsze, zebrane od całej rodziny szatki, odwiedzała starych przyjaciół, zbierała plotki z całego powiatu i czuła się jak dawniej panną O'Hara z Tary. Zuela nie przepuszczała żadnej okazji, aby zadawać szyku wśród osób, które nie wiedziały, że piele ogród i ściele łóżka.

„Jaśnie panna Zuela będzie się znowu nudziła przez dwa tygodnie - myślała Scarlett - i będzie trzeba znosić jej złe humory i grymasy”.

Melania wyszła na werandę z dzieckiem na ręku i rozkładając stary koc na podłodze posadziła na nim Beau. Od chwili otrzymania listu Ashleya była na przemian to rozpromieniona że szczęścia, to zmartwiała z tęsknoty. Była ciągle jeszcze zbyt chuda, zbyt blada. Spełniała obowiązki, które na nią przypadały, bez szemrania, ale ciągle niedomagała. Stary doktor Fontaine określił jej cierpienie jako „coś kobiecego” i zgodził się z doktorem Meade, że nie powinna była w ogóle mieć dziecka. Powiedział, że następne dziecko mogłoby ją zabić.

- Dziś w Fayetteville - zaczął Will - znalazłem coś bardzo zabawnego, co powinno panie zainteresować, więc przywiozłem to do domu. - Poszperał w tylnej kieszeni spodni i wyciągnął z niej portfel płócienny usztywniony kawałkiem kory - podarunek od Kariny. Wyjął z niego banknot konfederacki.

- Dziwię się, że uważa pan pieniądze konfederackie za zabawne, bo ja nie - rzekła Scarlett niegrzecznie, rozzłoszczona widokiem pieniędzy. - W kufrze papy leżą trzy tysiące takich dolarów i Mammy mnie ciągle męczy, abym pozwoliła nimi wytapetować stryżek, bo jej tam wieje przez szpary. Mam wrażenie, że każę jej to zrobić. Przynajmniej będzie z nich korzyść.

- „I wielki Cezar zmarł i stał się prochem” - zacytowała Melania ze smutnym uśmiechem. - Nie rób tego, Scarlett. Zostaw je dla Wade'a. Będzie z nich jeszcze kiedyś dumny.

- Ja tam nie wiem nic o „wielkim Cezarze” - rzekł Will łagodnie - ale to, co przywiozłem, na pewno się przyda Wade'owi, pani Melu. To wiersz, przyklejony do

banknotu. Wiem, że pani Scarlett nie bardzo lubi poezję, ale ten wiersz powinien ją zainteresować.

Odwrócił banknot. Na jego odwrocie przyklejony był kawałek zwykłego, brązowego papieru do pakowania, zapisany bladym, w domu fabrykowanym atramentem. Wili chrząknął i zaczął czytać wolno i z pewnym trudem:

- Tytuł brzmi: „Wiersz o konfederackim pieniądzu” - powiedział.

Nie ma wartości na powierzchni ziemi

Ani w krainie podziemnej,

Lecz przypomina naród, co przeminął,

Przeto jest drogi i cenny.

Pokaż go, druho, tym, co chcą usłyszeć,

Opowieść tę, a nie inną.

Gdzie wolność rodzi się w snach patriotów.

Gdzie dumny naród zaginął.

- Ach, jakie to piękne! Jakie wzruszające! - zawołała Melania. - Scarlett, nie dawaj Mammy tych pieniędzy do wyklejenia stryższku. One są naprawdę czymś więcej niż bezwartościowym papierem, jak mówi ten wiersz: „Przypominają naród, co przeminął”.

- Och, Melu, przestań się wzruszać! Papier to papier, mamy go i tak bardzo mało, a nudzi mnie już słuchanie żalów Mammy, że jej wieje przez szpary. Mam nadzieję, że kiedy Wade urośnie, będę w stanie dać mu wiele zielonych dolarów zamiast tego konfederackiego śmiecia.

Will, który podczas tej wymiany zdań bawił się z małym Beau, podniósł teraz głowę i przysyłając sobie dłonią oczy spojrzał na drogę...

- Będziemy mieli gościa - powiedział krzywiąc się w słońcu. - Idzie jakiś żołnierz.

Scarlett popatrzyła w tę stronę i zobaczyła znany widok, brodatego mężczyznę, który wolno sunął aleją pod cedrami. Odziany był w resztki podartego szarego munduru, łatanego niebieskim, i szedł z głową nisko pochyloną, wlokąc nogę za nogą.

- Myślałam, że to już się skończyło - powiedziała. - Mam nadzieję, że nie będzie bardzo głodny.

- Jestem pewien, że będzie głodny - rzekł Will krótko.

Melania wstała.

- Powiem Dilcey, aby położyła jeszcze jedno nakrycie - rzekła - i uprzedzę Mammy, aby zbyt gwałtownie nie zaczęła ściągać munduru z tego biedaka...

Urwała tak nagle, że Scarlett popatrzyła na nią w zdumieniu. Szczupła dłoń Melanii

podniosła się do gardła i objęła je mocno. Scarlett widziała szybkie pulsowanie jej żył przeświecających przez białą skórę. Twarz jej zbladła jeszcze bardziej, a oczy rozszerzyły się niepomierne.

„Zemdleje za chwilę” - pomyślała Scarlett, zrywając się z miejsca, aby ją podeprzeć.

Ale po sekundzie Melania opuściła rękę i zbiegła na dół. Lekko jak ptak biegła po wyżwirowanej ścieżce z otwartymi ramionami, a wyblakłe jej suknie rozwiewały się za nią szeroko. Nagle jak grom objawiła się Scarlett prawda. Oparła się ciężko o filarek ganku. Żołnierz podniósł teraz głowę i zatrzymał się patrząc na dom, jak gdyby niezdolny do zrobienia następnego kroku. Serce Scarlett szarpnęło się, ustało na chwilę, potem zaczęło walić jak szalone. Mela krzycząc bezładnie rzuciła się w ramiona brudnego żołnierza, a jego głowa pochylona się ku niej. W uniesieniu Scarlett rzuciła się naprzód; zatrzymała ją dłoń Willa, chwytająca fałdy jej sukni.

- Niech pani tego nie psuje - powiedział spokojnie.

- Niech mnie pan puści, głupcze! Niech mnie pan puści! To Ashley!

Nie zwolnił uścisku.

- To jest jej mąż, czy tak? - zapytał spokojnie.

Patrząc na niego z bezsilną furią Scarlett wyczytała w spokojnych głębiach jego oczu zrozumienie i litość.

CZĘŚĆ CZWARTA

ROZDZIAŁ XXXI

Pewnego mroźnego popołudnia styczniowego w r. 1866 Scarlett siedziała w kantorku pisząc list do ciotki Pitty i tłumacząc jej szczegółowo po raz dziesiąty, dlaczego ani ona, ani Melania z Ashleyem nie mogą wrócić do Atlanty. Pisała z przymusem, ponieważ wiedziała dobrze, że ciotka Pitty przeczyta najwyżej kilka pierwszych linijek listu, a potem znowu napisze płaczliwie: „Ale przecież ja boję się mieszkać sama!”

Dłonie jej zmarzły, przerwała więc na chwilą, aby je trochę rozetrzeć, a stopy wsunęła głębiej pod kawał starej kołdry, którym były owinięte. Podeszwy jej pantofli były zupełnie zdarte i połatane kawałkiem dywanu, który wprawdzie zapobiegał stapaniu gołą stopą po ziemi, ale nie chronił ad zimna. Rano Will zabrał konia Scarlett do podkucia do Jonesboro; myślała więc ponuro, że ładne czasy nastały, kiedy konie mają nowe podkowy, a ludzie muszą chodzić bez butów.

Wzięła znowu pióro, aby dokończyć pisanie, ale odłożyła je słysząc kroki Willa, wchodzącego przez kuchnię. Usłyszała uderzenia jego drewnianej kuli o podłogę hallu - potem kroki ucichły. Przez chwilę czekała, czy Will nie wejdzie, kiedy się jednak nie ruszał, zawołała go sama. Wszedł z uszami czerwonymi od mrozu, ze starganą rudą czupryną i przez chwilę patrzył na nią z lekko drwiącym uśmiechem.

- Miss Scarlett - zapytał - ile pani ma właściwie gotówki?

- Czy chce się pan ze mną ożenić dla pieniędzy, Wall? - zapytała złośliwie.

- Bynajmniej. Chciałem tylko wiedzieć.

Popatrzyła na niego badawczo. Will nie miał poważnej miny, ale też nie miewał jej nigdy. Mimo to czuła, że coś jest nie w porządku.

- Mam dziesięć dolarów w złocie - powiedziała. - Resztę pieniędzy tego Jankesa.

- To, proszę pani, nie wystarczy.

- Nie wystarczy na co?

- Na podatki - powiedział i pokiśtykawszy do kominka pochylił się i zaczął sobie rozgrzewać dłonie.

- Na podatki? - powtórzyła. - Na miłość boską, Will! Przecież zapłaciliśmy już podatki.

- Tak, proszę pani. Ale ani powiadają, że to nie dosyć. Słyszałem o tym dzisiaj w Jonesboro.

- Ależ, Will, nic nie rozumiem. Co pan ma na myśli?

- Miss Scarlett, przykro mi zaprzętać pani głowę, kiedy ma pani i tak tyle kłopotów,

muszę jednak o tym powiedzieć. Mówią, że powinna pani płacić znacznie większe podatki, niż płaciła pani dotąd. Założę się, że wymierzą olbrzymią sumę, najwyższą w całym powiecie.

- Ale przecież nie mogą kazać nam płacić podatków, skoro już raz zapłaciliśmy!

- Miss Scarlett, pani nieczęsto bywa teraz w Jonesboro, z czego bardzo jestem rad. To nie jest miejsce dla dam. Gdyby jednak pani tam bywała, wiedziałaby pani, że wszystkim ostatnio rządzi paczka Scallawagów², republikanów i karierowiczów. Człowiek ze skóry wyskakuje na ich widok. Poza tym Murzyni spychają białych ludzi z trotuarów i...

- Ale co to ma wspólnego z naszymi podatkami?

- Zaraz do tego dojdę, Miss Scarlett. Z jakiego powodu te łotry nałożyły na Tarę takie ciężary, jakby plantacja produkowała tysiące bel. Kiedy się o tym dowiedziałem, zacząłem chodzić po barach i słuchać plotek i wywęszyłem, że ktoś chce tanio kupić Tarę z licytacji, jeżeli nie zapłaci pani reszty podatków. Wszyscy zaś dobrze wiedzą, że pani nie może zapłacić. Nie wiem jeszcze, kto ma chrapkę na majątek. Nie mogłem się dowiedzieć. Zdaje mi się jednak, że ten podlec Hilton, który ożenił się z panną Kasią, wie, kto to taki, bo śmiał się złośliwie, kiedy go ciągnąłem za język.

Will siadł na kanapie i zaczął sobie rozcierać kikut nogi. Bolała go podczas mrozu, tym bardziej że kula ani nie była należycie dopasowana, ani wygodna. Scarlett patrzyła na niego w otepieniu. Tak obojętnie wydał wyrok śmierci na Tarę... Tara miałaby zostać sprzedana z licytacji? A gdzie się oni wszyscy podzieją? Tara miałaby należeć do kogoś innego? Nie, to było nie do pomyślenia!

Scarlett była tak pochłonięta pracą nad zwiększeniem wydajności majątku, że mało zwracała uwagi na to, co się dzieje w świecie otaczającym. Teraz, kiedy Will i Ashley jeździli za interesami do Jonesboro i Fayetteville, rzadko opuszczała plantację. I podobnie jak przed wojną słuchała opowiadań ojca jednym tylko uchem, tak teraz mało przywiązywała wagi do rozmów Willa z Ashleyem przy stole po kolacji - na temat początków rekonstrukcji.

Och, pewnie nie wiedziała o łajdakach południowcach, którzy dla kariery stali się republikanami - i Jankesach spod ciemnej gwiazdy, którzy po kapitulacji spadli na Południe jak sępy, że wszystkimi ruchomościami w jednej torbie podróżnej. Miała już kilka nieprzyjemnych doświadczeń z Biurem Wyzwoleńców. Wiedziała także, że niektórzy z

² Scallawag - dosłownie „łajdak”; nazwa określająca południowców, którzy po kapitulacji Południa stali się republikanami.

wolnych Murzynów stali się bardzo zuchwali. W tę ostatnią zmianę ledwie mogła uwierzyć, bo nigdy dotąd nie widziała zuchwałego Murzyna.

Wiele jednak było spraw, które Will i Ashley starali się przed nią ukrywać. Po zmorze wojennej nastąpiła straszniejsza jeszcze zmora rekonstrukcji, obaj mężczyźni umówili się więc, aby o groźniejszych jej stronach w domu nie wspominać. W rzadkich chwilach, gdy Scarlett przysłuchiwała się ich rozmowom, słowa ich wchodziły jej w jedno ucho, a wychodziły drugim.

Słyszała, jak Ashley mówił, że Południe zaczęto traktować jak zdobytą prowincją i że mściwość kierowała polityką zwycięzców. Tego rodzaju twierdzenie nic jednak Scarlett nie mówiło. Polityka była sprawą mężczyzn. Słyszała, jak Will mówił, że Północ jakby umyślnie nie dopuszczała, aby Południe znowu stanęło na nogach. Ach, myślała Scarlett, mężczyźni zawsze muszą się kłopotać jakimiś głupstwami. Jeżeli o nią chodzi, to nie dała się Jankesom, nie da się więc i tym razem. Trzeba pracować, ile sił, i nie troszczyć się o jankeskie rządy. Ostatecznie - wojna już się skończyła.

Scarlett nie zdawała sobie sprawy, że wszystkie dawniej obowiązujące zasady przebrzmiały i że za uczciwą pracę nie otrzymuje się już nagrody. W Georgii wprowadzono właściwie stan wojenny. Garnizony jankeskie były rozsiane po całej okolicy, Biuro Wyzwoleńców rządziło wszystkim i wydawało rozporządzenia, jakie mu były na rękę.

Biuro to, zorganizowane przez rząd federalny celem opieki nad bezczynnymi i podnieconymi eks-niewolnikami, ściągało ich całymi tysiącami z plantacji do miast i miasteczek. Żywiło ich, ponieważ próżnowali, i buntowało przeciw poprzednim właścicielom. Dawny rządca Geralda, Jonasz Wilkerson, stał na czele miejscowego biura powiatowego, pomocnikiem zaś jego był Hilton, mąż Kasi Calvert. We dwóch chytrze rozsiewali wiadomości, że południowcy i demokraci czekają tylko na sposobność, aby Murzynom znowu odebrać wolność, że więc jedyną ich nadzieją jest opieka, jaką im zapewnia Biuro i partia republikańska.

Wilkerson i Hilton wmawiali ponadto Murzynom, że pod żadnym względem nie są gorsi od białych, że wkrótce dozwolone zostaną małżeństwa między Murzynami i białymi, wkrótce majątki ich poprzednich właścicieli zostaną rozparcelowane, a każdy Murzyn dostanie czterdzieści akrów ziemi i własnego muła. Podniecali wyobraźnię czarnych opowieściami o rzekomych okrucieństwach białych; w kraju, słynącym dotąd z serdecznych stosunków między niewolnikami i ich panami, zaczęła się krzewić nienawiść i podejrzliwość.

Działalność Biura popierana była przez żołnierzy, a władze wojskowe wydawały wiele sprzecznych zarządzeń dotyczących postępowania wobec zwyciężonych. Za sprzeciwianie się

urzędnikom Biura można się było dostać do więzienia. Władze wojskowe ustalały program nauki w szkołach i przepisy sanitarne, decydowały o rodzaju guzików na marynarkach, sprzedaży produktów i prawie wszystkim poza tym. Wilkersonowi i Hiltonowi wolno było wtrącać się do wszystkich transakcji Scarlett, wolno im było wyznaczać cenę na wszystko, co chciała sprzedać.

Szczęściem, Scarlett rzadko się z nimi stykała, ponieważ Will przekonał ją, że lepiej będzie, jak jemu pozostawi sprzedaż, a sama zajmie się prowadzeniem plantacji. Z wrodzoną sobie łagodnością i spokojem Will zapobiegł już wielu trudnościom nic o tym Scarlett nie mówiąc. Kiedy było potrzeba, umiał się doskonale porozumieć z Jankesami, teraz jednak wyłonił się problem, którego sam nie mógł rozstrzygnąć. Dodatkowy wymiar podatku i niebezpieczeństwo utraty Tary były sprawami, o których Scarlett powinna była wiedzieć - i to czym prędzej. Patrzyła na niego płonąącym wzrokiem.

- Ach, niechże diabli wezmą tych Jankesów! - zawołała. - Czy nie dość im, że nas zwyciężyli i zrujnowali? Jeszcze muszą wypuszczać na nas tych łotrów?!

Wojna minęła, zapanował pokój, a mimo to Jankesi mogli ją obrabować, skazać na głód, wypędzić z domu. Głupia była myśląc w ciągu tych trudnych miesięcy, że wszystko będzie dobrze, jeżeli tylko wytrzyma do wiosny. Straszna nowina, przyniesiona przez Willa teraz, po roku ciężkiej pracy i zawiedzionych nadziei, przepełniła miarę jej wytrzymałości.

- Och, Will, a ja myślałam, że kłopoty nasze skończyły się wraz z wojną!

- Nie, proszę pani - Will zwrócił ku niej szeroką twarz wieśniaka i spojrzał na nią poważnie. - Zaczynają się dopiero.

- Ile żądają od nas za podatki?

- Trzysta dolarów.

Zaniemówiła na chwilę. Trzysta dolarów! Równie dobrze mogliby zażądać trzy miliony.

- Ależ - zaczęła - no to... no to... będziemy się musieli postarać skądś o trzysta dolarów.

- Tak, tak, i o kilka gwiazdek z nieba...

- Och, Will! Przecież nie mogą chyba sprzedać Tary. Ależ...

Łagodne, jasne, oczy Willa wyrażały nienawiść i gorycz, o jaką by go Scarlett nigdy nie posądzała.

- Ach, rzeczywiście? Nie mogą? A właśnie że mogą i zrobiliby to z wielką przyjemnością! Miss Scarlett, cały kraj idzie do diabła, jeżeli wolno tak powiedzieć. Jankescy karierowicze mogą głosować, a większość nas, demokratów - nie. Nie mogą głosować ci

demokracji, którym za sześćdziesiąty piąty rok wymierzono podatki większe niż dwa tysiące dolarów. To wyłączy ludzi takich jak ojciec pani, pan Tarleton, panowie McRea i Fontaine. Nie mogą głosować pułkownicy i mężczyźni, którzy byli na wojnie - a, Miss Scarlett, założę się, że w stanie naszym jest więcej pułkowników niż w którymkolwiek innym na Południu. Nie mogą głosować urzędnicy, mianowani przez rząd Konfederacji - i to wyłącza wszystkich, od notariuszy począwszy, a kończąc na sędziach. Faktycznie, Jankesi tak wymyślili tę przysięgę amnestijną, że nie wolno głosować nikomu, kto miał jakieś stanowisko przed wojną. Ani ludziom zamożnym, ani ludziom przyzwoitym! Pewnie! Ja mógłbym głosować, gdybym złożył tę przeklętą przysięgę. Nie miałem pieniędzy w sześćdziesiątym piątym roku i nie byłem pułkownikiem ani niczym ważnym. Nie mam jednak zamiaru przysięgać. Najmniejszego zamiaru! Gdyby Jankesi postępowali sprawiedliwie, złożyłbym przysięgę, ale teraz nie mogę. Pozwoliłem się przyłączyć do Unii, ale rekonstrukcji popierać nie będę. Nie złożę tej przysięgi, choćbym na zawsze stracił prawo głosu... Za to śmiecie jak Hilton, dranie jak Jonasz Wilkerson, biedni biali jak Slattery'owie i ludzie bez znaczenia jak MacIntoshowie - ci mogą głosować. I ci teraz rej wodzą. I choćby zechcieli dwadzieścia razy brać od pani podatki - mogą to zrobić. Tak samo Murzyn może teraz zabić białego i nie zostanie za to powieszony albo... - Przerwał z zakłopotaniem; oboje przypomnieli sobie, co się zdarzyło pewnej białej kobiecie na samotnej fermie pod Lovejoy... - Ta czarna hołota może się teraz na nas mścić, a Biuro Wyzwoleńców i wojsko będą ich jeszcze popierali, my zaś nie możemy głosować ani nic na to poradzić.

- Głosować! - zawołała. - Głosować! Co u licha ma głosowanie, wspólnego z tym wszystkim, Will? Rozmawialiśmy przecież o podatkach... Will, wszyscy wiedzą, jaką dobrą plantacją jest Tara. Na zapłacenie podatków obciążymy hipotekę, jeżeli będzie trzeba.

- Miss Scarlett, jest pani bardzo rozumna, ale czasem mówi pani jak dziecko. Kto ma teraz pieniądze na pożyczkę hipoteczną? Kto, poza przybyszami jankeskimi, którzy właśnie chcą pani Tarę odebrać? Wszyscy mają tylko ziemię. Ziemia nic nie jest warta.

- Mam kolczyki brylantowe po tym Jankesie. Można by je sprzedać!

- Miss Scarlett, a któż ma pieniądze na kupowanie kolczyków? Ludzie nie mają pieniędzy na mięso, co dopiero na świecidełka.

Pani ma dziesięć dolarów w złocie, to z pewnością więcej, niż mają inni ludzie w powiecie.

Znowu zamilkł. Scarlett miała wrażenie, jak gdyby głową biła o mur. Tyle już wokół niej potworzyło się w ciągu ostatniego roku murów nie do przebiccia!

- Co zrobimy, Miss Scarlett?

- Nie wiem - odpowiedziała tępo i obojętnie.

Ten nowy kłopot przepelnił miarę. Poczła nagle niezmiernie zmęczenie. Dlaczego miała tak ciężko pracować, walczyć i wyniszczać się? Rezultatem każdego wysiłku była tylko nowa klęska.

- Nie wiem - powiedziała. - Niech pan nic nie mówi ojcu. Nie trzeba go martwić.

- Nie powiem.

- Czy powiedział pan już komuś o tym?

- Nie, przyszedłem wprost do pani.

Tak, pomyślała, że złymi wiadomościami każdy przychodzi wprost do niej - i to także już ją zmęczyło.

- Gdzie jest pan Wilkes? Może on mi coś poradzi.

Will zwrócił na nią łagodne spojrzenie. Poczła, jak w dniu powrotu Ashleya, że domyślał się wszystkiego.

- Rąbie drzewo w sadzie. Słyszałem, gdy odstawiałem konia. Ale pan Wilkes tak samo jak my nie ma pieniędzy.

- Ale wolno mi chyba z nim porozmawiać, jeżeli mam chęć, prawda? - warknęła zrywając się na nogi i zrzucając ze stóp kawałki kołdry.

Will nie obraził się wcale i dalej rozcierał sobie ręce przed ogniem. - Niech pani weźmie chustkę, Miss Scarlett. Zimno na dworze.

Poszła jednak bez chustki, bo nie miała jej ze sobą na dole, a nie chciała czekać ani chwili, by podzielić się z Ashleyem swymi kłopotami.

Jakby to było dobrze, gdyby go mogła zastać samego! Od chwili jego powrotu ani razu nie zdołała zamienić z nim słowa na osobności. Rodzina ciągle kręciła się koło niego. Melania stała u jego boku dotykając raz po raz jego rękawa, by przekonać się, czy rzeczywiście jest przy niej. Widok tego czulego gestu budził w Scarlett całą zazdrość, która w niej przygasła w ciągu miesięcy

zżywania się z myślą o śmierci Ashleya. Teraz jednak postanowiła rozmówić się z nim sam na sam. Nie pozwoli nikomu przeszkodzić.

Szła przez sad pod nagimi konarami drzew, a wilgotne chwasty moczyły jej stopy. Słyszała z daleka uderzenia siekiery, którą Ashley łupał na paliki pnie drzew, przywleczone z moczarów. Odbudowywanie płotów, które Jankesi tak beztrąsko spalili, było ciężkim i żmudnym zadaniem. Wszystko było ciężkim i żmudnym zadaniem, myślała pośpiesznie; zmęczona tym była, śmiertelnie zmęczona. Gdyby Ashley był mężem jej, a nie Melanii, przyjemnie byłaby iść teraz do niego, złożyć mu głowę na ramieniu, wypłakać się i zrzucić na

niego wszystkie troski, aby zaradził im, jak może najlepiej.

Minęła kepe granatów, których gałęzie drżały na zimnym wietrze i zobaczyła Ashleya: opierał się na siekierze i wierzchem dłoni ocierał pot z czoła. Nosił resztki tabaczkowych spodni i koszulę Geralda, w dobrych czasach noszoną tylko na sesje sądowe i pikniki - plisowaną, o wiele na niego za krótką. Marynarkę zawiesił na gałęzi, bo przy pracy było mu w niej za gorąco, i gdy Scarlett szła w jego stronę, odpoczywał stojąc.

Na widok Ashleya w łachmanach, z siekierą w dłoni, serce jej zabiło nagłym przypływem miłości i oburzenia na zły los. Nie mogła patrzeć, jak ciężko musi pracować jej łagodny, wytworny Ashley. Ręce jego nie były stworzone do pracy ani ciało do ordynarnej odzieży. Bóg chciał, aby mieszkał w wielkim domu, rozmawiał z przyjemnymi ludźmi, grał na fortepianie i pisał rzeczy, które brzmiały pięknie i wcale nie miały sensu.

Mogła znieść widok własnego dziecka w fartuszkach ze starych worków czy siostr w starych spłowiałych sukniach z flory, nie buntowała się, że Will pracuje ciężiej niż dawniej fornal - na widok Ashleya krajało jej się serce. Był na to wszystko zbyt delikatny, zbyt drogi jej sercu. Wolałaby sama rąbać drzewo niż patrzeć, jak on to robi.

- Podobno Abraham Lincoln zaczął swoją karierę od rąbania drzewa - powiedział, kiedy się zbliżyła do niego. - Pomyśl, jaka mnie jeszcze przyszłość czeka!

Zmarszczyła brwi. Zawsze z podobną ironią traktował ich nędzę. Dla niej sprawy te były śmiertelnie poważne, czasem więc była prawie zirytowana jego uwagami.

Bez wstępów powiedziała mu o złych nowinach, zwięźle i krótko, odczuwając pewną ulgę, że może mu się zwierzyć. Nie ulegało wątpliwości, że Ashley da jej jakąś dobrą radę. Nie powiedział nic, ale widząc, że Scarlett drży z zimna, zarzucił jej marynarkę na ramiona.

- Czy nie uważasz - powiedziała na zakończenie - że trzeba się postarać w jakiś sposób o pieniądze?

- Tak - odrzekł - ale gdzie?

- O to właśnie pytam - odparła z niezadowoleniem. Uczucie ulgi, że podzieliła się z kimś zmartwieniem, rozwiało się teraz. Dlaczego Ashley nie powiedział przynajmniej: - Och, jakże mi przykro.

Uśmiechnął się.

- W ciągu tych kilku miesięcy po powrocie do domu słyszałem tylko o jednym człowieku, który ma teraz pieniądze. Jest to Rett Butler - powiedział.

Ciotka Pitty pisała przed tygodniem do Melanii, że Rett wrócił do Atlanty, że miał powóz z dwoma pięknymi końmi i kieszonkę pełną zielonych dolarów. Dawała jednakże do zrozumienia, że do pieniędzy nie doszedł uczciwą drogą. Ciotka Pitty podejrzewała, łącznie z

połową Atlanty, że Rettowi udało się zdobyć legendarne miliony skarbu Konfederacji.

- Lepiej o nim nie mówmy - rzekła Scarlett krótko. - To wstrętny łajdak. Co będzie z nami?

Ashley odłożył siekiere. Spojrzeniem powędrował gdzieś daleko, dokąd Scarlett nie mogła za nim podążyć.

- Właśnie nad tym myślę - powiedział. - Myślę nie tylko o tym, co stanie się z nami w Tarze, ale i o tym, co stanie się z całym Południem.

Miała ochotę niegrzecznie wybuchnąć: „Niech лихо porwie całe Południe! Co z nami będzie?”, nic jednak nie powiedziała, bo znowu ogarnęło ją uczucie zmęczenia. Ashley wcale nie okazywał się pomocny.

- W końcu stanie się z nami to, co zdarza się zawsze, ilekroć upada jakaś cywilizacja. Przebiją się ludzie, którzy mają rozum i odwagę, słabi zaś zostaną skazani na zagładę. Mamy przynajmniej tę pociechę, że jesteśmy świadkami „Gotterdammerung” - co może jest niewygodne, ale bardzo interesujące.

- Świadcami czego?

- Zmierzchu bogów. Na nieszczęście bowiem nam, ludziom Południa, wydawało się, że jesteśmy bogom równi.

- Na miłość boską, Ashleyu! Nie stój tutaj i nie mów jakichś nonsensów teraz, kiedy to nam właśnie grozi zagłada!

Rozpacz w jej głosie wreszcie doszła jakoś do jego świadomości, bo jakby oprzytomniał, podniósł z czułością jej ręce i odwracając je dłonią do góry popatrzył na odciski na nich.

- To najpiękniejsze ręce, jakie znam - powiedział i pocałował każdą po kolei. - Piękne są, bo mocne, a każdy odcisk, Scarlett, jest orderem, każde zgrubienie odznaką za odwagę i poświęcenie. Zniszczyłaś je pracą na nas wszystkich - na ojca, dziewczęta, Melanię, dziecko, na Murzynów i na mnie. Droga Scarlett, wiem, co myślisz w tej chwili: „Mam przed sobą nieżyłowego głupca, który gada bzdury o zmarłych bogach, gdy żywym ludziom grozi niebezpieczeństwo”. Czy prawda?

Skinęła głową, modląc się w duchu, aby zawsze trzymał jej dłonie w swoich, on jednak opuścił je po chwili.

- Przyszłaś tu do mnie w nadziei, że ci pomogę. Niestety, nic ci pomóc nie mogę.

Spojrzenie jego było pełne goryczy, gdy patrzył na siekiere i stertę drzewa.

- Nie mam domu ani pieniędzy, do których tak przywykłem, że nie przywiązywałem już do nich żadnej wagi. I do niczego się w tym świecie nie nadaję, a świat, w którym miałem

swoje miejsce, przeminął na zawsze. Mogę ci tylko w ten sposób pomagać, Scarlett, że nauczę się w końcu być marnym rolnikiem. A to nie utrzyma Tary. Czy przypuszczasz, że nie zdaję sobie sprawy z naszej sytuacji, z tego, że żyjemy z twojej łaski... O, tak, Scarlett, z twojej łaski. Nigdy nie potrafię ci tego odpłacić, co z dobroci serca zrobiłaś dla mnie i dla mojej rodziny. Z każdym dniem uświadamiam to sobie coraz ostrzej. I co dzień widzę wyraźniej, jak bezsilny jestem w obliczu tego, co nas wszystkich spotkało... Moje przekłete uciekanie od rzeczywistości sprawia, że co dzień trudniej mi oswoić się z nową rzeczywistością. Czy rozumiesz, co mam na myśli?

Skinęła głową. Niezupełnie jasno rozumiała, słuchała jednak słów jego w napięciu. Po raz pierwszy mówił jej o tym, co myślał w chwilach, gdy wydawał się tak od niej daleki. Tak ją to podnieciło jak uchylene rąbka jakiejś tajemnicy.

- To przekleństwo - ta niechęć patrzenia na nagą rzeczywistość. Przed wojną życie było dla mnie równie nierealne jak gra cieniów na fircie. Takim je kochałem. Nie lubię, gdy zarysy przedmiotów są zbyt wyraźne. Wolę, gdy są zamazane, mgliste.

Przerwał i uśmiechnął się lekko, drżąc trochę, bo wiatr przejął go zimnem.

- Innymi słowy, Scarlett, jestem tchórzem.

Słowa jego o grze cieniów i zamglonych konturach nic jej nie mówiły, ostatnie zdanie jednak powiedział w języku całkowicie zrozumiałym. Wiedziała, że mija się z prawdą. W Ashleyu nie było cienia tchórzostwa. Był potomkiem odważnych i mężnych ludzi, a czyny jego na wojnie Scarlett знаła na pamięć.

- Ależ to nieprawda! Czy tchórz wdrapałby się na armatę pod Gettysburgiem i zebrał wkoło siebie ludzi? Czy głównodowodzący napisałby do Melanii list sławiący tchórze?

- To nie jest odwaga - powiedział Ashley wolno. - Walka jest jak szampan. Uderza równie szybko do głowy tchórze jak bohatera. Każdy dureń może być odważny na polu bitwy, bo ma do wyboru albo męstwo, albo śmierć. Mówiłem nie o tym. Moje tchórzostwo jest stokroć gorsze, chociaż nie uciekałem z pola bitwy.

Słowa jego płynęły wolno i z trudem, jak gdyby bolało go mówienie: wydawało się, że z bólem w sercu przygląda się z daleka temu, co powiedział. Gdyby to kto inny tak mówił, Scarlett słowa te przyjęłaby z pogardą jako dowód fałszywej skromności czy wezwanie do pochwały. Ashley jednak mówił z przekonaniem; w oczach miał dziwny wyraz - nie strachu, nie samoobrony - ale cierpienia, które było nieuniknione i ponad siły. Mroźny wiatr powiał po wilgotnych stopach Scarlett. Znowu zadrżała, mniej jednak z zimna niż z obawy, którą wywołały, jego słowa.

- Ale, Ashleyu, czegoż ty się boisz?

- Och, rzeczy nie nazwanych. Rzeczy, które wydają się błahe, kiedy ubrać je w słowa. Najwięcej chyba tego, że życie stało się nagle zbyt realne, że musiałem wejść w osobisty, zbyt osobisty kontakt z najprostszymi jego sprawami. Nie znaczy to, abym niechętnie rąbał tutaj drwa na błocie - przykre mi są okoliczności, które mnie do tego zmuszają. Żał mi piękna dawnego życia, które kochałem. Scarlett, przed wojną życie było piękne. Było czarujące, doskonałe, pełne i harmonijne jak grecka sztuka. Możliwe, że nic dla wszystkich było takie. Wiem to teraz. Dla mnie jednak, który mieszkałem w Dwunastu Dębach, istnienie było naprawdę piękne. Należałem do tamtego życia. Stanowiłem jego część. Teraz zaś, gdy minęło, do nowego życia nie mogę się przystosować i bardzo się boję. Teraz wiem, że dawniej przyglądałem się z ciekawością tylko grze cieniów. Unikałem wszystkiego, co nie było mgliste, ludzi i sytuacji, które były zbyt realne, zbyt żywotne. Nie lubiłem, gdy mi przeszkadzały. Staralem się i ciebie unikać, Scarlett. Byłaś zbyt pełna życia i zbyt prawdziwa, ja zaś byłem tak wielkim tchórzem, że wolałem cienie i marzenia.

- Ale... przecież... Mela?

- Mela jest częścią moich marzeń, najśłodszym snem. I gdyby nie wojna, przeżyłbym życie zakopany w Dwunastu Dębach, z zadowoleniem przyglądając się mijaniu dni i nigdy nie biorąc w niczym czynnego udziału. Kiedy jednak wybuchła wojna, uderzyło we mnie życie prawdziwe. W pierwszym moim boju - było to pod Bull Run, pamiętasz? - widziałem moich przyjaciół z dzieciństwa rozdieranych na sztuki, słyszałem rzenie zdychających koni i poznałem, jak straszne, obezwładniające jest uczucie, że ludzie chwieją się i plują krwią, kiedy do nich strzelam. To jednak nie była najgorsza strona wojny, Scarlett. Najgorzej było z ludźmi, z którymi musiałem żyć. Przez całe swoje życie chroniłem się przed ludźmi, starannie dobierałem sobie nielicznych przyjaciół. Wojna jednak nauczyła mnie, że stworzyłem sobie świat sztuczny, wypełniony marami zamiast ludzi. Nauczyła mnie, jacy są ludzie naprawdę, ale nie nauczyła mnie, jak z nimi żyć. Obawiam się, że tego się nigdy nie nauczę. Wiem teraz, że aby utrzymać żonę i dziecko, będę musiał torować sobie drogę w świecie pełnym istot, z którymi nie mam nic wspólnego. Ty, Scarlett, bierzesz życie za rogi i poddajesz je swojej woli. Gdzie jest jednak moje miejsce w tym świecie? Powiadam ci, że się boję...

Jak długo brzmiał jego cichy, dźwięczny głos, drgający uczuciami, których nie mogła zrozumieć, Scarlett czepiała się tu i ówdzie słów, starając się pochwycić ich sens. Słowa te jednak wrywały jej się z rąk jak dzikie ptaki. Ashleya gnało coś, gnało jak ościeniem, nie mogła jednak zrozumieć, co to było.

- Scarlett, nie wiem dokładnie, kiedy po raz pierwszy zrozumiałem, że własny mój, przeze mnie samego stworzony teatr cieniów skończył się na zawsze. Było to może w

pierwszych pięciu minutach pod Bull Run, gdy zobaczyłem, jak pierwszy zabity przeze mnie człowiek pada na ziemię. Pojąłem wtedy, że przeszłość minęła i że odtąd już nie będę mógł być widzem. Nagle ja sam wszedłem na scenę, upozowany jak aktor i czyniący błahe gesty. Mój mały świat wewnętrzny runął pod wpływem najazdu ludzi, których myśli nie były moimi, a czyny były tak obce jak czyny Hotentotów. Zdeptali mi mój świat pobłoconymi nogami i nie zostawili miejsca, odzie mógłbym się schronić, gdy rzeczy stawały się nie do zniesienia. Podczas pobytu w więzieniu myślałem: gdy skończy się wojna, wrócę do dawnego życia i dawnych marzeń i znowu będę się przyglądał grze cieniów. Niestety, Scarlett, powrotu już nie ma. To zaś, co nas czeka, gorsze jest od wojny i gorsze od więzienia - dla mnie zaś - gorsze od śmierci... Tak więc, Scarlett, zostałem bardzo ukarany za to, że się boję.

- Ależ, Ashleyu... - zaczęła zaplątana w labirynt sprzecznych, myśli - jeżeli boisz się nędzy i głodu, to... to... Och, Ashleyu, jakoś sobie poradzimy! Pewna tego jestem!

Na chwilę oczy jego spoczęły na niej, wielkie i szare jak kryształy, i odmalował się w nich podziw. Potem nagle stały się znów dalekie i Scarlett z ciężkim sercem poczuła, że Ashley nie myślał wcale o nędzy. Mówili że sobą zawsze jak ludzie nie mający wspólnego języka. Tak bardzo go jednak kochała, że kiedy stawał się daleki, jak teraz, wydawało jej się, jak gdyby słońce zasnuło się chmurami i nastał chłodny od rosy zmierzch. Miała chęć wziąć go za ramiona i przyciągnąć do siebie, aby zrozumiał, że jest z krwi i ciała, że nie jest zjawą, o której czytał czy marzył. Gdybyż mogła znowu poczuć się tak z nim zespolona jak w tym odległym dniu, gdy wrócił z Europy, stał na schodkach Tary i uśmiechał się do niej.

- Nędza nie jest przyjemna - powiedział. - Wiem, bo sam cierpiałem głód, ale nie tego się boję. Boję się zetknięcia z życiem nie posiadającym leniwej urody dawnego świata, który już minął.

Scarlett pomyślała z rozpaczą, że Melania pewnie by rozumiała, co miał na myśli. Mela i on stale rozmawiali o takich głupstwach - o marzeniach, poezji, książkach, promieniach księżycy i gwieździstym pyle. Ashley wcale nie tego się bał, co ona, nie bał się kurczów pustego żołądka ani ostrych zimowych wiatrów, ani zlicytowania Tary. Męczył go lęk, jakiego nie znała i nie mogła sobie wyobrazić. Bo, na miłość boską, czegoż można się było jeszcze bać w tym zrujnowanym świecie, jeśli nie głodu, zimna czy utraty domu?

A myślała, że jeżeli będzie mu się przysłuchiwała uważnie, potrafi go zrozumieć.

- Och! - powiedziała z rozczarowaniem w głosie, jak dziecko, które otworzyło pięknie zapakowaną paczkę i przekonało się, że jest pusta. Słyszając to westchnienie Ashley uśmiechnął się ze skruchą.

- Wybacz mi, Scarlett, że tak mówiłem. Nie mogę ci tego wytłumaczyć, bo ty nie wiesz,

co to strach. Masz serce lwicy i brak ci zupełnie wyobraźni, ja zaś zazdroszczę ci obu tych cech. Ty potrafisz stawić czoła rzeczywistości i nigdy nie będziesz chciała od niej uciec jak ja.

- Uciec!

Wydało jej się, jak gdyby było to pierwsze zrozumiałe słowo. Ashley był jak ona zmęczony walką i pragnął uciec. Zaczęła szybciej oddychać.

- Och, Ashleyu - zawołała - mylisz się bardzo: Ja także chciałabym uciec. Tak bardzo jestem tym wszystkim zmęczona!

Brwi jego podniosły się z niedowierzaniem, położyła mu więc na ramieniu dłoń, z naciskiem i gorączkowym niepokojem.

- Wysłuchaj mnie - zaczęła mówić nerwowo i szybko. - Mam dość tego wszystkiego, zapewniam cię. Czuję zmęczenie i nie chcę dłużej tego wszystkiego znosić. Walczyłam o żywność i pieniądze, pełam, gracowałam, zbierałam bawełnę i nawet orałam - ale teraz nie zniosę tego ani chwili dłużej. Mówię ci, Ashleyu, Południe przestało już istnieć! Nie istnieje! Rządzą nim Jankesi, wyzwoleni Murzyni i karierowicze, dla nas nie zostało nic. Ashleyu, ucieknijmy razem!

Popatrzył na nią bystro i pochylił głowę, aby lepiej przyjrzeć się jej twarzy, teraz rozgorzałej ogniem.

- Tak, ucieknijmy - zostawmy ich wszystkich! Zmęczona jestem pracą na innych. Już oni dadzą sobie jakoś radę. Zawsze się w końcu znajdzie ktoś, kto zaopiekuje się ludźmi, którzy nie mogą sobie sami poradzić. Och, Ashleyu, proszę cię, ucieknijmy razem, ty i ja! Moglibyśmy dostać się do Meksyku - tam poszukują oficerów do armii - bylibyśmy tam bardzo szczęśliwi. Będę pracowała na ciebie, Ashleyu? Dla ciebie gotowam zrobić wszystko. Wiesz przecież dobrze, że nie kochasz Melanii...

Chciał coś powiedzieć, na twarzy jego malował się ból, Scarlett jednak powstrzymała jego słowa potokiem słów własnych.

- Powiedziałeś mi, że mnie kochasz więcej niż ją, tego dnia och, ty dobrze pamiętasz ten dzień! Ja wiem, żeś się nie zmienił! Czuję, żeś się nie zmienił! Zresztą dopiero przed chwilą powiedziałeś, że ona jest tylko marzeniem... Och, Ashleyu, ucieknijmy razem! Uczynię cię tak szczęśliwym! Poza tym zaś - dodała jadowicie - Melania nie może, doktor Fontaine powiedział, że nie będzie już miała więcej dzieci, ja zaś mogłabym ci dać...

Wziął ją za ramiona tak mocno, że aż ją to zabolalo. Przerwała bez tchu.

- Mieliliśmy zapomnieć o owym dniu w Dwunastu Dębach.

- Czy przypuszczasz, że mogłabym o nim kiedykolwiek zapomnieć? Czy ty

zapomniałeś? Czy możesz uczciwie powiedzieć, że mnie nie kochasz?

Westchnął głęboko i szybko odpowiedział:

- Nie. Nie kocham cię.

- To kłamstwo!

- Nawet jeżeli kłamstwo - rzekł Ashley ze śmiertelnym spokojem - to nie będziemy o tym dyskutować.

- Chcesz więc powiedzieć...

- Czy doprawdy przypuszczasz, że mógłbym odejść sobie i opuścić Melanię i dziecko, choćbym ich nawet nienawidził? Że mógłbym złamać serce Melanii? Pozostawić oboje na łasce przyjaciół? Scarlett, czyś ty oszalała? Czy nie masz w sobie ani krzty lojalności? Nie możesz opuścić ojca i siostr. Jesteś za nich odpowiedzialna, podobnie jak ja za Melanię i Beau, i czy zmęczona jesteś, czy nie, oni domagają się swego i ty musisz to znosić.

- A właśnie, że mogłabym ich opuścić, mam ich dość, dość! Braknie mi sił...

Pochylił się ku niej. Przez chwilę z drżeniem serca myślała, że weźmie ją w objęcia. Zamiast tego jednak poklepał ją po ramieniu i przemówił jak do dziecka, które grymasi.

- Wiem, że braknie ci sił. Dlatego tak mówisz. Dźwigałaś na sobie brzemię trzech mężczyzn. Teraz ja będę ci pomagał, nie zawsze przecież będę taki niezdarny...

- Możesz mi pomóc tylko w jeden sposób - powiedziała tępo - zabierając mnie stąd w jakieś miejsce, gdzie będziemy mogli wszystko zacząć od nowa i być szczęśliwi. Nic nas tutaj nie trzyma.

- Nic - powiedział spokojnie - nic... z wyjątkiem honoru. Popatrzyła na niego ze zdumieniem, z tęsknotą, i jak gdyby po raz pierwszy zauważyła, że półksiężyc jego rzęs mają złoty kolor dojrzalego zboża, że głowa jego jest dumnie osadzona na szyi i że szczupłe, wyprostowane ciało tchnie godnością i wykwintem, choć przyodziane jest w śmieszne lachmany. Spojrzenia ich spotkały się, w jej oczach malowała się prośba, jego oczy były dalekie jak górskie jeziora, odbijające chmurne niebo.

Wyczytała z nich potępienie szalonych marzeń i dzikich pragnień.

Znowu ogarnęło ją zmęczenie i poczucie klęski, zakryła więc twarz dłońmi i zaczęła płakać. Ashley nigdy dotąd nie był świadkiem jej łez. Nigdy nie przypuszczał, aby kobiety z tak mocnej gliny ulepione kiedykolwiek płakały, zalała go więc fala czułości i żalu. Podszedł do niej szybko i po chwili trzymał ją w ramionach, tuląc ją, pocieszając, przyciskając jej ciemną głowę do swego serca i szepcząc: - Najmilsza moja, odważna dziewczyno!... Nie płacz! Nie powinnaś płakać!

Poczuł, że zmieniła się pod jego dotknięciem. W szczupłe jej ciało wstąpiła rozkosz i

szaleństwo, wpatrzone w niego zielone oczy napełniły się żarem. W jednej chwili znikła ponura zimowa rzeczywistość. Wydało się Ashleyowi, że wróciła wiosna, na wpół zapomniana wonna wiosna zielonych szelestów i szeptów, wiosna lenistwa, wczasów i dni beztrioskich, gdy pragnienia młodości grały mu w żyłach. Lata goryczy gdzieś przepadły. Spojrzał nagle, że zwrócone ku niemu usta są czerwone, że drżą... Pocałował je.

W uszach Scarlett zabrzmiał dziwny szum, jak gdyby przyłożyła do nich muszle morskie, poprzez szum zaś słyszała niewyraźnie szybkie walenie swego serca. Ciało jej zdawało się zlewać z jego ciałem; przez nieskończoną chwilę stali stopieni razem, a wargi jego brały chciwie jej wargi, jak gdyby nie mógł się nacieszyć pocałunkami.

Kiedy ją nagle puścił, poczuła, że nie ustoi sama, oparła się więc o płót. Podniosła na niego oczy płonące miłością i tryumfem.

- Kochasz mnie! Kochasz mnie! Powiedz to, wyznaj!

Dłonie jego ciągle jeszcze spoczywały na jej ramionach; czuła, że drżą, i wielbiła to drżenie. Pochyliła się ku niemu namiętnie, on jednak trzymał ją z daleka od siebie i patrzył na nią oczyma, z których uleciała wszelka obcość - oczyma rozdartymi walką i rozpaczą.

- Przestań! - powiedział. - Przestań! Jeżeli nie przestaniesz, wezmę cię teraz, tutaj.

Uśmiechnęła się radosnym, gorącym uśmiechem, który wyrażał zapomnienie o czasie i przestrzeni, i tylko wspomnienie ust jego na jej ustach.

Naraz Ashley potrząsnął nią tak mocno, że włosy rozsypały jej się po ramionach; potrząsał jak we wściekłej pasji na nią i na samego siebie.

- Nie zrobimy tego! - rzekł. - Powiadam ci, że tego nie zrobimy!

Miała wrażenie, że szyja jej odpadnie, jeżeli Ashley nie przestanie nią potrząsać. Włosy spadały jej na oczy i teraz przerażona była gwałtownością Ashleya. Wyrwała mu się i popatrzyła na niego w zdumieniu. Na czoło wystąpiły mu małe kropelki potu, pięści miał zaciśnięte kurczowo jak w szalonym bólu. Patrzył jej prosto w twarz, przeszywał szarymi oczyma.

- To moja wina, a nie twoja, ale nie powtórzy to się nigdy więcej, bo teraz zabiorę stąd Melanię i dziecko i odejdę.

- Odejdiesz? - wykrzyknęła z rozpaczą. - Ach, nie!

- Tak, klnę się Bogiem! Czy przypuszczasz, że mógłbym tu teraz pozostać? Gdyby to się miało powtórzyć...

- Ale Ashleyu, ty nie możesz odejść. Dlaczego byś to miał zrobić? Kochasz mnie...

- Chcesz koniecznie, abym to powiedział? Dobrze, powiem więc. Kocham cię.

Pochylił się nad nią z tak niespodziewaną gwałtownością, że musiała się cofnąć ku

plotowi.

- Kochani ciebie, odwagę twoją i upór, namiętność i zupełną bezwzględność. A jak cię kocham? Tak bardzo, że przed chwilą gotów byłem podeptać gościnność domu, który stał się schronieniem dla mnie i mojej rodziny, gotów byłem zapomnieć o najlepszej żonie, jaką może sobie mężczyzna wymarzyć... i wziąć cię tu, w tym błocie, jak...

Walczyła z chaosem myśli. Nagle poczuła zimny ból w sercu, jak gdyby ścięła je lodowa powłoka. Powiedziała z wahaniem: - Jeżeli tak czujesz - i nie wziąłeś mnie - to znaczy, że mnie nie kochasz.

- Nigdy nie potrafisz minie zrozumieć.

Umilkli i popatrzyli na siebie. Naraz Scarlett wzdrygnęła się. Uświadomiła sobie na nowo, że jest zima, że ścierniska są nagie, że marznie. Zobaczyła także, że twarz Ashleya przybrała swój dawny, nieprzenikniony wyraz, ten sam, który dobrze знаła, i że stała się jak krajobraz zimna, nasrożona bólem i wyrzutem.

Chciała się teraz odwrócić i zostawić go, gdzie stał, schronić się do domu i tam ukryć, ale była zbyt zmęczona, by się poruszyć. Słowa nawet przychodziły jej z trudem i wysiłkiem.

- Nic mi już nie pozostało - rzekła wreszcie. - Zupełnie nic. Nic do kochania. Nic, o co chciałabym walczyć. Ciebie straciłam, a teraz tracę Tarę.

Popatrzył na nią przez długą chwilę, potem zaś pochylając się podniósł z ziemi bryłkę czerwonej gliny.

- Nieprawda, jeszcze ci coś zostało - powiedział z cieniem dawnego uśmiechu, pełnego naigrywania się z niej i z siebie. - Zostało ci coś, co kochasz więcej niż mnie, choć o tym może nie wiesz. Masz jeszcze Tarę.

Wziął jej bezwładną dłoń, położył na niej wilgotną glinę i zacisnął wkoło niej jej palce. Ręce jego nie były już gorące, ręce Scarlett ostygły również. Przez chwilę patrzyła na czerwoną ziemię i nic nie czuła. Spojrzała na Ashleya i zrozumiała, że ma w sobie uczciwość, której nie zdołają naruszyć ani jej namiętne dłonie, ani żadne dłonie na świecie.

Nie opuści Melanii nigdy, choćby go to miało zabić. Choćby pragnął Scarlett do końca swoich dni, nie posiadzie jej nigdy i będzie się starał trzymać ją z daleka od siebie. Nigdy nie potrafi przełamać tego pancerza. Puste słowa: gościnność, lojalność i honor - znaczyły dla niego więcej niż ona.

Glina mroziła jej ręce, spojrzała więc na nią znowu.

- Tak - powiedziała - to mi jeszcze zostało.

Z początku słowa te nie miały treści, a widok czerwonej gliny nie mówił jej nic. Po chwili jednak przyszło nieproszone wspomnienie morza czerwonego błota otaczającego Tarę

i tego, jak bardzo było jej drogie i jak ciężko walczyła, aby je utrzymać - i świadomość, że będzie musiała walczyć jeszcze ciężiej, aby tego teraz nie stracić. Spojrzała znowu na Ashleya i zdziwiła się, że gorąca fala uczucia uleciała. Mogła znowu myśleć, ale nic nie czuła ani do niego, ani do Tary, bo nie stało jej już sił na uczucia.

- Nie musisz odchodzić - powiedziała wyraźnie. - Nie dopuszczę, abyście cierpieli nędzę dlatego tylko, że zachciało mi się tobie narzucać. To, co się stało, nie powtórzy się nigdy więcej.

Odwróciła się i ruszyła z powrotem do domu przez rozmokłe pola, zwijając po drodze włosy w węzeł. Ashley popatrzył za nią i zobaczył, że idąc prostuje z wolna szczupłe ramiona. Gest ten ugodził go w serce boleśniej od wszystkich jej słów.

ROZDZIAŁ XXXII

Wchodząc na schodki frontowe Scarlett ścisnęła kurczowo grudkę czerwonej gliny. Minęła ostrożnie kuchenny ganek, bo bała się, aby ostre spojrzenie Mammy nie wysłodziło, że coś nie jest w porządku. Nie chciała widzieć Mammy ani nikogo. Czuli, że nie zniesie widoku domowników ani zdawkowej rozmowy. Nie piekła jej teraz wstyd, rozczarowanie czy gorycz, lecz kolana załamywały się pod nią ze słabości, a w sercu czuli pustkę. Ścisnęła glinę tak mocno, że zaczęła się wysuwać spomiędzy jej zaciśniętych palców, i jak papuga powtarzała: - Mam jeszcze to. Tak, mam jeszcze to.

Nie miała nic prócz czerwonej ziemi, ziemi, którą jeszcze kilka minut temu chciała rzucić precz jak rozdartą chustkę. Teraz znowu była jej droga nade wszystko. Dziwiła się tępo, jak mogła choć przez chwilę o niej zapomnieć. Gdyby Ashley uległ jej prośbie, uciekłyby z nim i nie oglądając się za siebie, opuściłyby rodzinę i przyjaciół - teraz jednak pojęła, że opuszczenie tych czerwonych pagórków, długich, wodą wymytych rowów i wyniosłych czarnych sosen rozdarłoby jej serce. Myśli jej wracałyby do nich z tęsknotą aż do samej śmierci. Nawet Ashley nie potrafiłby wypełnić tych pustych przestrzeni jej serca, w których panowała Tara. Jaki mądry był Ashley, i jak dobrze ją znał! Wystarczyło, aby wcisnął jej wilgotną ziemię do ręki, i otrzeźwiała.

Była już w hallu i chciała zamknąć za sobą drzwi, kiedy usłyszała tętent kopyt. Odwróciła się, aby spojrzeć na podjazd. Goście w takiej chwili byli nie do zniesienia. Pobiegnie do swego pokoju i uda ból głowy.

Kiedy jednak powóz podjechał bliżej, zdumienie udaremniło jej ucieczkę. Był zupełnie nowy, pięknie lakierowany; uprzęż była także nowa i lśniła mosiężnymi sprzączkami. Jacyś nieznajomi. Nikt z przyjaciół Scarlett nie miał pieniędzy na tak wytworny pojazd.

Stała w drzwiach czekając, a zimny przeciąg rozwiewał jej suknię dokoła przemoczonych kostek. Wreszcie powóz zatrzymał się przed domem. Wysiadł zeń Jonasz Wilkerson. Scarlett tak była zdumiona widokiem dawnego rządcy we wspinałym płaszczu, zajeżdżającego wytwornym powozem, że przez chwilę nie wierzyła własnym oczom. Will mówił jej, że Jonasz wygląda bardzo zamożnie, od kiedy dostał nową posadę w Biurze Wyzwoleńców. Zarabiał podobno wiele pieniędzy oszukując Murzynów lub rząd, albo jednych i drugich, czy też konfiskując bawełnę okolicznych mieszkańców pod pozorem, że należy ona do Konfederacji. Pewne było w każdym razie, że w tych ciężkich czasach nie mógł dojść uczciwą drogą do pieniędzy.

I oto zjawił się tutaj; wysiadł z eleganckiego powozu i podawał ramię kobiecie piekielnie eleganckiej. Scarlett jednym rzutem oka ustaliła, że suknia jej jest zbyt jaskrawa w kolorze, prawie wulgarna, niemniej jednak przebiegła po niej wygłodniałym spojrzeniem. Od tak dawna nie widziała modnych i nowych sukien! A więc krynoliny są w tym roku mniej szerokie, myślała, bacznie przyglądając się tej czerwonej sukni w kratę. Czarny aksamitny płaszczyk nieznajomej był bardzo krótki. I jaki miała śmieszny kapelusz! Czepki wyszły zapewne z mody, bo kapelusz był w kształcie małego płaskiego talerzyka z czerwonego aksamitu, który przytwierdzony był do czubka głowy jak sztywny naleśnik. Wstążek nie wiązało się pod brodą, jak wstążki czepków, ale z tyłu, pod ciężkim pękiem widocznych spod kapelusza loków, które, jak Scarlett od razu zauważyła, różniły się kolorem od włosów kobiety.

Kiedy nieznajoma wysiadła z powozu i spojrzała w stronę domu, Scarlett wydało się, że poznaje jej myśią, ubieloną pudrem twarz.

- To przecież Emma Slattery! - zawołała na głos, bardzo zaskoczona.

- Tak, proszę pani, to ja - odparła Emma kiwając głową z przymilnym uśmiechem i kierując się w stronę schodów.

Emma Slattery! Ta brudna, płowa dziewczucha, której nieślubne dziecko ochrzciła Ellen, Emma, która zaraziła Ellen tyfusem i spowodowała jej śmierć! Ta wystrojona, ordynarna, marna nędzarka wchodziła teraz na schodki Tary pusząc się i uśmiechając, jakby tu było jej miejsce! Scarlett pomyślała o Ellen i w jednej chwili do pustego jej serca wróciły uczucia, wypełniła je mordercza wściekłość, od której zatrzęsała się jak w febrze.

- Wynoś się stąd, ty nędzarko! - zawołała. - Wynoś się z mojego domu! Natychmiast!

Emma otworzyła usta i spojrzała bezradnie na Jonasza, który zbliżał się ze zmarszczonymi brwiami. Mimo złości starał się zachować pewną godność.

- Niech się pani z łaski swojej w ten sposób nie odzywa do mojej żony - powiedział.

- Żony? - zapytała Scarlett i wybuchnęła wzgardliwym śmiechem. - Najwyższy czas, że się pan z nią ożenił. A kto chrzci wam dzieci, od kiedy zabiliście mi matkę?

Emma wyszeptała: - Och! - i cofnęła się szybko ze schodów.

Jonasz jednak zatrzymał ją gwałtownym ruchem ręki.

- Przyjechaliśmy tutaj z wizytą, z przyjacielską wizytą - warknął. - I chcielibyśmy porozmawiać o interesach ze starymi znajomymi...

- Znajomymi? - Głos Scarlett był ostry jak smagnięcie batem. - Od kiedy to tacy jak wy są naszymi znajomymi? Rodzina Slatterych żyła z naszej łaski i odwdzieczyła się nam za to zabiciem mojej matki - a pan... pan... Pana ojciec odprawił z powodu dzieciaka Emmy i pan

doskonale o tym pamięta. Znajomi? Wyoście się stąd w tej chwili, bo zawołam pana Benteena i pana Wilkesa!

Słyszając te słowa Emma wyrwała się mężowi i uciekła do powozu błyskając w biegu lakierem bucików o jaskrawoczerwonych noskach i czerwonych sznurowadłach.

Teraz i Jonasz trzął się w nie mniejszej pasji niż Scarlett. Śniada jego twarz stała się czerwona jak grzebień koguta.

- A pani wciąż jeszcze pyszna i dumna, co? Ale wiem coś i o tym. Wiem, że nie ma pani pary całych trzewików. Wiem, że ojciec pani zidiociał...

- Wyoście się stąd!

- Och, wkrótce będzie pani inaczej śpiewała. Wiem, że jest pani zrujnowana. Wiem, że nie ma pani nawet na podatki. Przyjechałem tutaj, aby zaproponować kupno majątku i ofiarować dobrą cenę. Emcia uparła się, że chce tu mieszkać. Ale Bóg mi świadkiem, że teraz nie dam ani grosza! Dowiedcie się już niedługo zarozumiałcy irlandzcy, kto tu rządzi, jak was zlicytują za podatki. A kupię to wszystko ja - wszystko, wszystko, nawet meble i całą resztę - i ja tu będę mieszkał.

A więc to Jonaszowi Wilkersonowi zachciało się Tary... Jonaszowi i Emmie, którzy w ten perfidny sposób chcieli wyrównać dawne zniewagi, kupując dom ludzi, od których ich doznali. Scarlett kipiała nienawiścią, jak w chwili gdy skierowała pistolet w brodatą twarz Jankesa. Żałowała, że teraz nie ma pistoletu przy sobie.

- Zrównam ten dom z ziemią, kamień za kamieniem, spalę go, a po ziemi rozsypię sól, zanim ktoś z was ten próg przestąpi - krzyknęła. - Wyoście się stąd, mówię! Wyoście się!

Jonasz popatrzył na nią, chciał coś jeszcze powiedzieć, ale poszedł w stronę powozu. Usiadł koło popłakującej żony i zawrócił konia. Kiedy odjechali, Scarlett miała ochotę splunąć za nimi. Splunęła. Wiedziała, że to ordynarny, dziecinny gest, ale poczuła się potem lepiej. Żałowała, że nie splunęła w ich obecności.

Że też ci przekłeci opiekunowie murzyńscy ośmielili się przyjechać do Tary i naigrywać się z jej biedy! Ten łotr nie miał wcale zamiaru zaproponować jej sprzedaży Tary. Użył tego jako pretekstu, by przyjechać tu i puszyć się przed nią wyglądem swoim i Emmy. Ci podli Scallawagowie, ta wstrętna biała nędza ośmieliła się przechwalać, że zamieszkają w Tarze!

Naraz ogarnął ją wielki strach i wściekłość jej stopniała. Do stu tysięcy par beczek! Przecież to bardzo prawdopodobne, że Wilkersonowie sprowadzą się tutaj! Nie mogła ich powstrzymać od kupienia Tary, od zabrania za długi luster, stołów i łóżek, lśniących mahoniów Ellen i stolików z drzewa różanego, tak dla niej cennych, mimo że bardzo ucierpiały od jankeskich najeźdźców. I srebro Robillardów też jej zabiorą. „Nie pozwolę na to

- pomyślała Scarlett gwałtownie. - Nie pozwolę, choćbym miała wszystko własną ręką spalić! Noga Emmy Slattery nigdy nie postanie na posadzce, po której stapała matka!”

Zamknęła drzwi, oparła się o nie i poddała obawom. Bała się teraz jeszcze bardziej niż wtedy, gdy wojska Shermana były w Tarze. W owym dniu najbardziej się obawiała, że spala jej dach nad głową. To jednak było gorsze - że ci wulgarni ludzie mogliby zamieszkać w tym domu i chwalić się przed ordynarnymi przyjaciółmi, jak to stąd wygnali dumnych O'Harów. Może się jeszcze zdarzyć, że będą na obiady zapraszali Murzynów! Will opowiadał jej, że Jonasz głośno się chwali, iż uważa Murzynów za siebie równych, że jada z nimi, odwiedza ich, obwozi powozem, bierze pod ramię.

Kiedy pomyślała o możliwości tej ostatecznej] zniewagi dla Tary, serce zaczęło jej bić tak mocno, że ledwie mogła oddychać. Starła się skupić, znaleźć jakieś wyjście, ilekroć jednak zaczęła zbierać myśli, trzęsły nią nowe napady złości i strachu. Musi się znaleźć jakieś wyjście, musi się znaleźć ktoś, od kogo będzie mogła pożyczyć pieniędzy. Pieniądze nie mogły wywietrzeć ani ulecieć. Ktoś je musi mieć. Potem przypomniała sobie wypowiedziane ze śmiechem słowa Ashleya:

„Tylko jeden człowiek, Rett Butler... ma teraz pieniądze”.

Rett Butler. Weszła szybko do salonu i zamknęła za sobą drzwi. Znalazła się w mroku pokoju o zasuniętych storach. Nikomu nie wpadnie do głowy, aby jej tutaj szukać; musi zaś mieć czas, aby rozważyć te sprawy spokojnie. Pomysł, który jej się teraz nasunął, był tak prosty, że nie mogła zrozumieć, dlaczego nie wpadła nań wcześniej.

- Wezmę pieniądze od Retta. Sprzedam mu diamentowe kolczyki. Albo pożyczę od niego pod zastaw kolczyków i odbiorę je, gdy będę mogła zapłacić.

Przez chwilę poczuła tak wielką ulgę, że aż osłabła. Zapłaci podatki i roześmieje się w twarz Wilkersonowi. W chwilę jednak po tej przyjemnej myśli przyszły inne, przykre.

- Potrzebne mi pieniądze nie tylko na bieżące podatki. Czeka mnie jeszcze rok przyszły i dalsze lata mojego życia. Jeżeli teraz zapłacę wszystko, podwyższą mi wymiar na następny rok i będą podwyższali, póki mnie nie wypędzą. Jeżeli będę miała dobry urodzaj, opodatkują mnie tak, że nic nie zostanie, albo skonfiskują mi bawełnę pod pozorem, że to bawełna konfederacka. Jankesi i ci łotrzy kręcący się koło nich mogą zrobić ze mną wszystko, co zechcą. Przez całe życie, do samej śmierci będę się bała, że mnie

skrzywdzą. Całe życie spędzę na strachu, kłopotach pieniężnych, na ciężkiej pracy, z takim rezultatem, że praca moja będzie szła na marne, a bawełnę będą mi kradli... Samo pożyczanie trzystu dolarów jest tylko wyjściem tymczasowym. Zależy mi zaś głównie na tym, aby wyjść z tego ślepego zaułka raz na zawsze, abym znowu mogła spać w nocy i nie

dręczyć się tym, co będzie jutro, za miesiąc czy za rok.

Mózg jej pracował bez przerwy. Chłodno i logicznie zarysowała się w nim pewna myśl. Myślała o Recie, o błysku białych zębów w smagłej twarzy, o patrzących na nią z piśszcota ironicznych czarnych oczach. Przypomniała sobie gorącą noc w Atlancie, pod koniec obłączenia, gdy siedział na ganku ciotki Pitty, na wpół ukryty w letnim mroku, i znowu poczuła gorąco jego dłoni na swoim ramieniu i usłyszała słowa: „Pragnę cię więcej niż jakiegokolwiek kobiety w moim życiu i czekam na ciebie dłużej niż na jakąkolwiek kobietę”.

„Wydam się za niego - pomyślała chłodno. - Potem już nigdy nie będę musiała troszczyć się o pieniądze”.

Och, błogosławiona myśl, słodsza od nadziei Nieba - nigdy nie mieć kłopotów pieniężnych, wiedzieć, że Tara jest bezpieczna, że rodzina jest dobrze odżywiona i ubrana, że nigdy nie będzie potrzebowała tłuc głową o mur!

Poczuła się bardzo stara. Zdarzenia popołudnia odebrały jej możliwość odczuwania: najpierw przerażająca wiadomość o podatkach, potem scena z Ashleyem, wreszcie mordercza złość na Jonasza Wilkersona. Nie, nie jest już zdolna do żadnych wzruszeń. Gdyby nie zużyła wszystkich zasobów uczucia, coś w jej duszy zaprotestowałoby gwałtownie przeciw planowi, jaki powzięła, ponieważ nienawidziła Retta bardziej niż kogokolwiek na świecie. Nie była jednak zdolna czuć. Mogła tylko myśleć i myślała bardzo praktycznie.

„Powiedziałam mu jakieś straszne rzeczy owej nocy, kiedy nas opuścił na środku drogi, postaram się jednak, aby o nich zapomniał - myślała wzdorliwie, ciągle jeszcze pewna swojej władzy nad mężczyznami. - Będę się zachowywała jak trusia w jego obecności. Wmówię mu, że kocham go od dawna, a owej nocy byłam tylko zdenerwowana i przerażona. Och, mężczyźni są tak zarozumiali, że zdolni są uwierzyć we wszystko, co im pochlebia... Nie

powinam pozwolić, aby się domyślił, w jakiej jesteśmy sytuacji, dopóki go nie zdobędę. Nie, nie powinien o tym wiedzieć! Gdyby zaczął podejrzewać, w jakiej jesteśmy biedzie, domyśliłby się, że chodzi mi o jego pieniądze, a nie o niego. Ostatecznie może wcale o tym nie wiedzieć, bo nawet ciotka Pitty nie zna całej prawdy. Po ślubie zaś będzie nam musiał pomóc. Nie może przecież pozwolić, aby krewni jego żony cierpieli nędzę”.

Jego żony. Pani Rettowa Butler. Niejasny wstręt, głęboko ukryty pod warstwą chłodnych myśli, zbudził się i po chwili przygasł. Przypomniała sobie kłopotliwe i wstrętne okoliczności krótkich miodowych dni z Karolem, jego niezdarne ręce, wielkie zakłopotanie, niezrozumiałe wzruszenia - i Wade'a Hamptona.

- Nie chcę o tym teraz myśleć. Zajmę się tym już po ślubie...

Już po ślubie. Znowu coś się zbudziło w jej pamięci, przeszył ją zimny dreszcz. Przypomniała sobie wieczór na ganku ciotki Pitty, swoje pytanie, czy Rett prosi ją o rękę, nieprzyjemny jego śmiech i słowa: „Droga Scarlett, ja nie należę do mężczyzn, którzy się żenią”.

A jeżeli postanowienia tego dotąd nie zmienił... Jeżeli mimo jej uroków i podstępów nie zechce się z nią ożenić... Jeżeli... och, jaka to straszna myśl!... jeżeli zupełnie o niej zapomniał i zajęty jest jakąś inną kobietą...

„Pragnę cię więcej niż jakiegokolwiek innej kobiety...”

Scarlett zacisnęła pięści tak mocno, że paznokcie wryły się w jej ciało. - Jeżeli o mnie zapomniał, przypomnę mu o sobie. Postaram się, aby zapragnął mnie znowu.

A jeżeli nie będzie chciał się z nią ożenić, ale będzie jeszcze jej pragnął, w inny sposób zdobędzie pieniądze. Ostatecznie prosił już kiedyś, aby została jego kochanką.

W ponurej szarości salonu stoczyła szybką, decydującą walkę z trzema najsilniej krępującymi ją więzami: pamięcią o Ellen, nakazami religii i miłością do Ashleya. Wiedziała, że zamysły jej muszą być wstrętne jej matce nawet w tym ciepłym, dalekim Niebie, w którym z pewnością teraz przebywa. Wiedziała, że stosunki cielesne są śmiertelnym grzechem. Wiedziała też, że w obliczu jej miłości do Ashleya przeprowadzenie tego planu równałoby się prostytutce.

Wszystkie te względy musiały jednak ustąpić przed bezlitosnym wyrachowaniem i rozpaczliwością sytuacji. Ellen nie żyła - możliwe, że śmierć dawała zrozumienie wszystkiego co ludzkie. Religia zabraniała stosunków cielesnych pod groźbą ognia piekielnego, ale jeżeli Kościół wyobrażał sobie, że Scarlett nie wyczeka wszelkich możliwości ocalenia Tary i uratowania rodziny od śmierci głodowej... no, to sprawa Kościoła. Ona o to martwić się nie będzie. Co się zaś tyczy Ashleya - Ashley jej nie chciał. Nie, właśnie że chciał. Wspomnienie jego gorących pocałunków mówiło jej o tym. Powiedział jednak, że nigdy z nią nie ucieknie. Dziwne, że ucieczka z Ashleyem nie wydawała jej się grzechem, z Rettem natomiast...

W półmroku zimowego południa doszła do kresu drogi, na którą wstąpiła w dniu upadku Atlanty. Zaczęła stapać po owej drodze jako zepsuta, samowolna i niedoświadczona dziewczyna, młoda, ciepła od pragnień, łatwo dziwiąca się życiu. Teraz, u kresu drogi, nic z owej dziewczyny nie zostało. Głód i ciężka praca, strach i ciągłe wysiłki, doświadczenia wojny i terror rekonstrukcji odebrały jej wszelką miękkość, młodość i świeżość. Wewnętrzna jej istota obrosła grubą skorupą i z wolna, podczas nie kończących się miesięcy, skorupa ta, warstwa za warstwą, stwardniała.

Dotychczas wszakże dwie nadzieje podtrzymywały ją na duchu. Wierzyła, że kiedy wojna się skończy, życie stopniowo wróci do dawnej postaci. Miała nadzieję, że powrót Ashleya nada życiu sens. Teraz obie nadzieje prysły. Zjawienie się Jonasza Wilkersona przed domem w Tarze uświadomiło jej, że dla całego Południa wojna nie skończy się nigdy. Najzjadlejsza walka, najbardziej brutalne porachunki właśnie się rozpoczynały. Ashley zaś uwięziony był na zawsze za ścianą słów mocniejszych od murów więzienia.

Pokój przyniósł jej rozczarowanie i Ashley ją zawiódł, w jednym i tym samym dniu - wydawało jej się więc jak gdyby ostatnia szczelina skorupy zasklepiła się, jak gdyby powłoka jej stwardniała do reszty. Scarlett stała się mimo ostrzeżenia babci Fontaine kobietą, która przeżyła wszystko co najgorsze i niczego już się nie obawia. Ani życia, ani matki, ani utraty miłości, ani ludzkiej opinii. Przerazał ją tylko głód i koszmarny sny o głodzie.

Ogarnęło ją teraz dziwne uczucie lekkości i wolności, kiedy ostatecznie opancerzyła swe serce przed tym, co wiązało ją z przeszłością i z dawną Scarlett. Powzięła decyzję i, Bogu dzięki, nie bała się niczego. Nie miała nic do stracenia i wiedziała, co robi.

Gdyby tylko mogła za pomocą słodkich słów skłonić Retta do małżeństwa, wszystko ułożyłoby się doskonale. Jeżeli jej to się jednak nie uda... no, to i tak zdobędzie pieniądze. Przez krótką chwilę zastanawiała się z obiektywną ciekawością, jakie są właściwie obowiązki kochanki. Czy Rett będzie się upierał, aby utrzymywać ją w Atlancie, tak jak rzekomo utrzymywał Bellę Watling? Jeżeli każe jej zostać w Atlancie, będzie musiał jej dobrze płacić - tyle, aby wyrównać straty, jakie nieobecność jej przyniesie Tarze. Scarlett była bardzo naiwna, jeżeli chodzi o pewne strony życia mężczyzny, i nie wiedziała, co ją czeka. Zastanawiała się także nad tym, czy będzie miała dziecko. To byłoby naprawdę straszne.

„Nie chcę o tym teraz myśleć. Pomyślę o tym kiedy indziej” i odepchnęła nieprzyjemną myśl daleko, aby nie wpłynęła na jej decyzję. Powie dziś wszystkim domownikom, że jedzie do Atlanty, aby starać się o pożyczkę czy o uzyskanie hipoteki, jeżeli okaże się to konieczne. Nie potrzebują nic więcej wiedzieć aż do niemiłego dnia, kiedy odkryją prawdę.

Na myśl o konkretnym działaniu podniosła głowę i wyprostowała ramiona. Sprawa nie będzie łatwa, o tym dobrze wiedziała. Dawniej to Rett prosił o jej względy i ona miała nad nim władzę. Teraz ona była żebraczką, a żebrak nie jest w stanie dyktować warunków.

„Ale nie chcę do niego iść jak żebraczka. Pójdę jak królowa, która rozdaje łaski. Nie pozna po mnie nic”.

Podeszła do długiego lustra między oknami, popatrzyła na siebie i podniosła wysoko głowę. W popękanej złoczonej ramie zobaczyła nieznajomą. Wydawało jej się, że patrzy na siebie po raz pierwszy od roku. Spoglądała co rano do lustra, aby przekonać się, czy jest

dobrze umyta i uczesana, zwykle jednak była zbyt zajęta innymi sprawami, aby się naprawdę widzieć. Kim była ta nieznajoma? Z pewnością przecież ta kobieta o zapadniętych policzkach nie mogła być Scarlett O'Hara! Scarlett O'Hara miała śliczną, zalotną, wesołą twarzyczkę. Twarz, którą widziała teraz, nie była wcale ładna i nie posiadała wdzięku. Była blada i zmęczona, a czarne brwi nad skośnymi zielonymi oczyma wydawały się na tle białej skóry jak skrzydła spłoszonego ptaka. Twarz ta miała teraz wyraz zajadły i twardy.

„Nie jestem dość ładna, aby go zdobyć! - pomyślała i rozpacz ogarnęła ją znowu. - Jestem chuda, och, przeraźliwie chuda!”

Poklepała się po policzkach, z niepokojem dotknęła przez stanik wystających obojczyków. Piersi miała teraz bardzo małe, prawie tak małe jak piersi Melanii. Będzie musiała włożyć pod suknię poduszcзки, aby biust lepiej się uwydatnił - a dawniej czuła pogardę dla dziewcząt uciekających się do takich sztuczek. Poduszcзки! To nasunęło jej nową myśl. Sprawa sukien. Popatrzyła na swoją suknię, rozpościerając szeroko jej pocerowane fałdy. Rett lubił kobiety dobrze i modnie ubrane. Przypomniała sobie z żalem falbaniastą, zieloną suknię, którą nosiła bezpośrednio po zdjęciu żałoby, suknię i dobrany do niej zielony czepek z piórem, przywieziony przez Retta, przypomniała sobie jego pełne uznania komplementy. Pomyślała także z nienawiścią i zazdrością o czerwonej kraciastej sukni wełnianej, butach z czerwonymi sznurowadłami i noskami, i płaskim kapeluszu Emmy Slattery. Były pretensjonalne, ale nowe i modne, i rzucały się od razu w oczy. Ach, jakże bardzo pragnęła rzucić się w oczy! Zwłaszcza zaś należało jej na przyciągnięciu uwagi Retta Butlera. Gdyby zobaczył ją w starej sukni, domyśliłby się, że w Tarze źle się dzieje. O tym zaś wiedzieć nie powinien.

Jakaż była głupia myśląc, że może pojechać do Atlanty i zdobyć go z miejsca, ona, kobieta o cienkiej szyjce i głodnym wyrazie kocich oczu, ubrana w wyszarżale sukieneczyny! Skoro nie mogła wymusić od niego oświadczeń w czasie rozkwitu swojej piękności, w czasie gdy nosiła ładne suknie, jakże mogła spodziewać się ich teraz, gdy była brzydka i nędznie ubrana? Jeżeli wierzyć słowom ciotki Pitty, Rett był najbogatszym człowiekiem w Atlancie, nie brakło mu więc towarzystwa pięknych pań, bardziej lub mniej przyzwoitych. „No tak ale ja - pomyślała ponuro - mam to, czego piękne panie zazwyczaj nie mają... gotowość na wszystko. I gdybym miała przynajmniej jedną porządną suknię...”

W Tarze jednak nie było ani jednej porządnej sukni, nie było nawet sukni co najmniej dwa razy nie nicowanej i nie łatanej.

„Wszystko się o to rozbije” - myślała, smutnie patrząc w podłogę. Widziała zielony dywan Ellen, zniszczony teraz, podeptany, podarty i poplamiony przez dziesiątki mężczyzn,

którzy na nim spali, i widok ten jeszcze bardziej ją zasmucił, bo uświadomił jej, że Tara jest tak samo wynędzniała jak ona. Atmosfera mrocznego pokoju działała na nią przygnębiająco, skierowała się więc w stronę okna, odemknęła okiennicę i wpuściła do pokoju ostatnie promienie zimowego zmierzchu. Zamknęła okno, oparła głowę o aksamitne portiery i poprzez pastwisko popatrzyła na ciemne cedry cmentarzyka.

Zielone aksamitne portiery drapały ją lekko i przyjemnie w policzek, zaczęła więc ocierać o nie twarz jak kot. I naraz przyjrzała im się uważnie.

W minutę później przesuwiała w stronę okna ciężki stół o marmurowanym blacie, którego rolki wydawały straszny zgrzyt. Ustawiła go wreszcie pod oknem, zebrała spódnice, weszła nań i na palcach starała się dosięgnąć drążka, na którym wisiały portiery. Udało jej się to z wielkim trudem, szarpnęła więc tak mocno, że gwoździe powypadały ze ścian i drążek z portierami spadł z hukiem na podłogę.

W tej samej chwili jak za magicznym dotknięciem otworzyły się drzwi salonu i ukazała się w nich szeroka, czarna twarz Mammy, twarz, której każda zmarszczka wyrażała gorącą ciekawość i podejrzliwość. Popatrzyła krytycznie na Scarlett stojącą na stole w podkasanej po kolana spódnicy i gotującą się do skoku na podłogę. Scarlett była tak wyraźnie podniecana i pełna tryumfu, że Mammy w jednej chwili nabrała jakichś podejrzeń.

- Co ty tu wyprawiasz z portierami pani Ellen? - zapytała.

- A co ty robisz pod drzwiami? - odpowiedziała Scarlett pytaniem zeskakując na ziemię i wlokąc za sobą fałdy ciężkiego, zakurzonego aksamitu.

- To nie ma nic do rzeczy - zaprotestowała Mammy, gotowa do walki. - Ty nie masz nic do roboty z portierami pani Ellen, no i po co zdejmujesz ramię, i ciągniesz je w kurzu po podłodze? Pani Ellen bardzo lubiła te portiery i nie pozwolę, abyś je tak niszczyła.

Scarlett zwróciła na Mammy oczy, teraz rozpalone i wesole i przypominające oczy psotnej małej dziewczynki z owych dobrych czasów, które Mammy wspominała z żalem.

- Skocz na strych, Mammy, i znajdź mi moje pudło patronów! - zawołała, lekko ją popychając. - Chcę zrobić sobie nową suknię.

Mammy nie mogła się zdecydować, czy oburzyć się na rozkaz „skakania” dokądkolwiek, cóż dopiero na strych, czy też poddać się strasznyemu podejrzewaniu. Szybko wyrwała portiery z rąk Scarlett i przycisnęła je do swych olbrzymich, obwisłych piersi jak święte jakieś relikwie.

- Wybij sobie to z głowy, żeby z portier pani Ellen szyć sobie nową suknię. Nie pozwolę na to, póki starczy mi tchu w piersiach.

Po twarzy Scarlett przemknął wyraz zaciętego uporu, który Mammy dobrze знаła, i po

chwili ustąpił miejsca uśmiechowi, któremu bardzo trudno było jej się oprzeć. Uśmiech ten nie zwiódł jednak starej kobiety. Wiedziała dobrze, że Scarlett używa go wyłącznie, aby ją udobruchać, postanowiła zaś przeciwstawić się jej tym razem stanowczo.

- Mammy, bądźże rozsądna. Wybieram się do Atlanty, aby pożyczyć trochę pieniędzy, i muszę mieć nową suknię.

- Nie potrzebujesz nowej sukni. Żadna z pań nie ma nowej sukni. Noszą swoje stare i dumne są z tego. Nie rozumiem, dlaczego córka pani Ellen nie chce nosić łachmanów. I tak każdy ją będzie szanował, jak gdyby nosiła jedwabie.

Wyraz uporu zaczął powoli wracać na twarz Scarlett. Boże kochany, jakie to zabawne, że im starsza się Scarlett staje, tym jest bardziej podobna do pana Geralda, a nie do pani Ellen!

- Słuchaj Mammy, wiesz przecież z listu ciotki Pitty, że ślub panny Fanny Elsing jest w sobotę, a ja bardzo chcę być na jej ślubie. Muszę mieć zatem nową suknię.

- Ta suknia, którą teraz nosisz, będzie z pewnością równie ładna jak ślubna suknia panny Fanny. Panna Pitty pisała także, że panie Elsing są teraz bardzo biedne.

- Ale ja muszę mieć nową suknię! Mammy, nie wiesz wcale, jak bardzo nam są potrzebne pieniądze! Podatki...

- Owszem, wiem o podatkach, ale...

- Wiesz o podatkach?

- Rozumie się, przecież Pan Bóg dał mi uszy do słyszenia, prawda? Zwłaszcza że pan Will nigdy nie pamięta o zamykaniu drzwi.

Czy rzeczywiście nic nie mogło ujść uwagi Mammy? Scarlett nieraz dziwiła się, jak ciężkie jej ciało, od którego ruchów drżała podłoga, mogło się poruszać tak przeraźliwie cicho, gdy właścicielka jego chciała podsłuchiwać.

- A więc jeżeliś to słyszała, przypuszczam, żeś słyszała także, że był tu Jonasz Wilkerson i ta Emma...

- Tak, rozumie się - rzekła Mammy z ogniem w oczach.

- No więc, Mammy, nie upieraj się teraz. Czy sama nie rozumiesz, że muszę pojechać do Atlanty, aby postarać się o pieniądze na podatki? Muszę za wszelką cenę zdobyć pieniądze. Muszę! - Zaczęła bić jedną zaciśniętą pięścią o drugą. - Na miłość boską, Mammy, przecież wyrzucą nas wszystkich na dwór i dokąd wtedy pójdziemy? Czy musisz się ze mną sprzeczać o taką drobnostkę jak portierey mamy, kiedy ta podła Emma Slattery, która zabiła mamę, chce się wprowadzić do naszego domu i spać w łóżku, w którym spała mama?

Mammy zaczęła przestępować z nogi na nogę jak narowisty słoń. Miała niejasne

wrażenie, że jednak będzie musiała ustąpić.

- Nie, nie chcę, aby Emma Slattery mieszkała w domu pani Ellen, ani abyśmy się musieli stąd wynosić, ale... - Popatrzyła na Scarlett z nagłą podejrzliwością w oczach: - Od kogo masz zamiar pożyczyć pieniądze, że ci aż nowa suknia potrzebna?

- To... - odparła Scarlett, zaskoczona - to jest moja sprawa.

Mammy popatrzyła na nią przenikliwie, jak zwykła była patrzeć, gdy Scarlett była mała i na gwałt starała się znaleźć jakiś wykręt. Zdawała się czytać w jej myślach, Scarlett więc mimo woli spuściła oczy i poddała się pierwszym wyrzutom sumienia z powodu zamierzonego postępu.

- A więc potrzebna ci nowiuteńka suknia, żeby pożyczyć pieniędzy. To mi się nie wydaje słuszne. I nie mówisz mi, od kogo chcesz wziąć te pieniądze.

- Nie mam zamiaru nic powiedzieć - rzekła Scarlett z oburzeniem. - To moja sprawa. Czy dasz mi tę portierę i pomożesz mi uszyć suknię?

- Tak - rzekła Mammy cicho, kapitulując od razu, co z kolei zbudziło podejrzenia Scarlett. - Pomogę ci ją uszyć. Może da się zrobić halkę z atlasowej podszewki, a pantalony obszyć kawałkiem starej koronki.

Oddała Scarlett aksamitną portierę i chytry uśmiech pojawił się na jej twarzy.

- Czy pani Mela jedzie z tobą do Atlanty, Scarlett?

- Nie - rzekła Scarlett ostro, domyślając się, co Mammy teraz powie. - Jadę sama.

- Tak sądzisz - powiedziała Mammy stanowczo - ale mylisz się, bo ja pojedę z tobą i z nową suknią. Tak, Scarlett, nie odstąpię cię ani na krok.

Przez chwilę Scarlett wyobrażała sobie podróż do Atlanty i rozmowę z Rettem w obecności Mammy, warującej w głębi pokoju jak wielki czarny cerber. Uśmiechnęła się znowu i położyła dłoń na jej ramieniu.

- Mammy, kochanie, jesteś bardzo miła, że chcesz pojechać ze mną i pomóc mi we wszystkim, ale jakże oni dadzą sobie tutaj radę bez ciebie? Wiesz przecież, że to ty właściwie rządzisz Tarą.

- Oho! - rzekła Mammy. - Nie mów do mnie tak słodko, Scarlett. Znam cię od pieluszek. Powiedziałam, że pojedę z tobą do Atlanty, i pojedę. Pani Ellen przewróciłaby się w grobie, gdybyś sama jedna pojechała tam teraz, gdy miasto pełne jest Jankeśów, wolnych Murzynów i innej hołoty.

- Ale przecież zamieszkałam u ciotki Pittypat - upierała się Scarlett.

- Panna Pittypat to dobra pani, ale zdaje jej się, że widzi wszystko, kiedy nie widzi nic - rzekła Mammy i odwracając się majestatycznie na znak, że audiencja skończona, wyszła do

hallu. Ściany trzęsły się, gdy wołała:

- Prissy, dziecko! Poleć na górę, znieść ze strychu pudło patronów Miss Scarlett i poszukaj nożyczek, ale nie marudź z tym przez cały wieczór!

„A to awantura - pomyślała Scarlett z rozpaczą. - Wolałabym, aby mi towarzyszyła cała sfera psów”.

Kiedy uprzątnięto po kolacji, Scarlett i Mammy rozłożyły patrony na stole w jadalnym, podczas gdy Zuela i Karina wypruwały atlasową podszewkę z portier, a Melania miękką szczotką do włosów czyściła aksamit. Gerald, Will i Ashley rozsiedli się w pokoju i paląc śmieli się z tego kobiecego zamieszania. Wszyscy poddawali się radosnemu podnieceniu, które zdawało się emanować ze Scarlett - podnieceniu, którego nie rozumieli. Twarz jej była zaróżowioną, oczy jaśniały, śmiała się często i dużo. Śmiech jej sprawiał wszystkim przyjemność, bo nie słyszeli go od wielu miesięcy. Zwłaszcza cieszył się z niego Gerald. Wzrok jego wydawał się mniej błędny, gdy wodził za nią oczyma po pokoju, głaskał ją też z zadowoleniem, ilekroć znajdowała się blisko. Dziewczęta były tak podniecone jak przed balem i prują, kroją i fastrygowują, jak gdyby to szyły się ich własne suknie balowe.

Scarlett wybierała się do Atlanty, aby pożyczyć pieniędzy lub wziąć hipotekę na Tare, jeżeli zajdzie konieczność. Jakie jednak znaczenie ma hipoteka? Scarlett mówiła, że będą ją mogli łatwo spłacić za pieniądze uzyskane z przyszłego zbioru, i że jeszcze im coś zostanie, twierdziła to zaś z taką stanowczością, iż nikt o nic więcej nie pytał. A kiedy zapytali, od kogo chce pożyczyć pieniędzy, odrzekła: - O, ja już wiem, jak sobie poradzę! - z tak tajemniczą miną, że wszyscy zaczęli się śmiać i robić jej docinki na temat bogatego przyjaciela.

- To pewno jest kapitan Rett Butler - rzekła podstępnie Melania, a cała rodzina wybuchła śmiechem, bo wszyscy wiedzieli, że Scarlett go nienawidzi i nigdy nie odzywa się o nim inaczej niż „ten łotr Rett Butler”.

Scarlett jednak nie roześmiała się wcale, a Ashley, który zaczął się śmiać, spoważniał w jednej chwili, widząc, że Mammy rzuca z ukosa szybkie spojrzenie na Scarlett.

Zuela w przystępie wspaniałomyślności z powodu odświętnego nastroju odszukała swój kołnierzyk z irlandzkiej koronki, noszony, ale jeszcze ładny, Karina zaś uparła się, aby Scarlett włożyła na drogę jej pantofle, które były w lepszym stanie od innych. Melania napominała Mammy, aby zostawiła jej jak najwięcej skrawków aksamitu do pokrycia ronda zniszczonego czepka i wywołała wybuchy śmiechu powiedzeniem, że stary kogut będzie się musiał rozstać ze swoim wspaniałym brązowozielonym ogonem, jeżeli nie schroni się natychmiast na moczary.

Scarlett przyglądała się zwinnym palcom kobiet, przysłuchiwała śmiechom i rozglądała dokoła ze źle ukrywaną goryczą i pogardą.

„Nie mają pojęcia, co się rzeczywiście dzieje ze mną, z nimi czy z całym Południem. Dotąd jeszcze myślą, mamó wszystko, że nic naprawdę strasznego nie może się zdarzyć nikomu z nich, ponieważ noszą nazwisko O'Hara, Wilkes czy Hamilton. Nawet Murzyni myślą tak samo. Och, jacyż są głupi! Nigdy tego nie rozumieją! Będą w dalszym ciągu myśleli i żyli jak dotąd i nic ich już nie zmieni. Mela chodzi w łachmanach, zbiera bawełnę i nawet pomogła mi zabić człowieka - ale to wszystko wcale na nią nie wpływa. Nadal jest doskonale wychowaną panią Wilkes, damą w każdym calu! A Ashley widział śmierć i wojnę, był ranny, uwięziony i wrócił do domu w nędzy, a mimo to jest ciągle tym samym dżentelmenem, bogatym dziedzicem Dwunastu Dębów. Will jest inny. Wie dokładnie, jak sprawy stoją, ale to może dlatego, że nigdy nie miał wiele do stracenia. Jeśli zaś chodzi o Zuelę i Karinę - tym się wydaje, że wszystko to jest sprawą przejściową. Nie zmieniają się, aby dostosować się do zmienionych warunków, bo wydaje im się, że ten stan rzeczy lada chwila minie. Myślą, że Bóg zrządzi cud specjalnie dla nich. Mylą się jednak. Jedynym cudem, jaki może się tutaj zdarzyć, jest ten, który ja zdziałam za pośrednictwem Retta Butlera... Oni się już nie zmienią nigdy. Może to dlatego, że nie potrafią się zmienić. Ja jestem jedyną, która stała się inna. I ja bym się nie zmieniła, gdybym mogła tego uniknąć”.

Mammy wyprosiła mężczyzn z jadalni i zamknęła drzwi, aby zacząć mierzenie sukni. Pork zaprowadził Geralda na górę do łóżka, a Ashley i Will zostali sami w oświetlonym lampą hallu. Przez chwilę siedzieli w milczeniu; Will żuł swój tytoń jak spokojne zwierzę, ale twarz jego bynajmniej nie wyrażała spokoju.

- Nie podoba mi się ten nagły wyjazd do Atlanty -. powiedział wreszcie cicho. - Ani trochę.

Ashley spojrzał na niego szybko, a potem nic nie mówiąc odwrócił wzrok, ale zaczął się zastanawiać, czy i Will ma tego samego rodzaju podejrzenia co on. To jednak było niemożliwe. Will nie wiedział, co zaszło tego popołudnia w sadzie, i że to on doprowadził Scarlett do rozpacz. Will nie mógł zauważyć wyrazu twarzy Mammy na dźwięk nazwiska Retta Butlera, poza tym zaś nie wiedział ani o majątku Retta, ani o jego złej opinii. W każdym razie Ashley nie przypuszczał, aby Will był o tych sprawach poinformowany, chociaż po przyjeździe do Tary przekonywał się nieraz, że Will, podobnie jak Mammy, zdawał się wiedzieć o wszystkim i wszystko zawczasu wyczuwać. W powietrzu zawisł złowrogi nastrój, ale Ashley nie umiałby nawet określić dlaczego i nie w jego mocy było uchronić Scarlett. Ani razu tego wieczora nie spojrzała w jego stronę, a jej nagła hałaśliwa wesołość przeraziła go.

Podjejrzenia gnębiące go teraz były zbyt straszne, aby ubrać je w słowa. Nie miał prawa obrażać Scarlett pytaniem, czy są uzasadnione. Zacisnął pięści. Nie miał żadnych praw do niej; tego popołudnia postradał je na zawsze. Nie mógł jej pomóc. Nikt nie mógł jej pomóc. Kiedy jednak przypomniał sobie Mammy i wyraz ponurej stanowczości, z jakim kroila aksamitne portiery, trochę się uspokoił. Mammy upilnuje Scarlett, choćby i wbrew jej woli.

„To ja to wszystko spowodowałem - myślał z rozpaczą. - Ja ją do tego doprowadziłem”.

Przypomniał sobie, jak się wyprostowała odchodząc od niego po południu, przypomniał sobie dumne podniesienie głowy. Serce wyrывało mu się do niej - serce rozdarte własną bezradnością, pełne podziwu. Wiedział, że w słowniku Scarlett nie istnieje słowo „męstwo”, wiedział, że spojrzałyby na niego w zdumieniu, gdyby jej powiedział, że jest najbardziej męzną istotą, jaką w życiu swoim spotkał. Wiedział, że nie rozumiałyby wcale, ile prawdziwie cennych zalet przypisywał jej nazywając ją męzną. Wiedział, że brała życie, jak szło, że przeciwstawiała się rogatą duszą wszystkim przeszkodom, jakie napotykała, że walczyła z uporem, który nie przewidywał klęski, i nie przestawała walczyć nawet w chwili, gdy klęska była nieunikniona.

Ale przez cztery lata widywał wielu ludzi, którzy nie uznawali klęski, mężczyzn, którzy wesoło szli na spotkanie katastrofy, ponieważ byli bardzo męzni. I którzy mimo to zostawali zwyciężeni...

Patrząc na Willa w mrocznym hallu pomyślał, że jednak nigdy nie spotkał się z takim męstwem jak odwaga Scarlett O'Hara, która na podbój świata szła w aksamitnych portierach swojej matki i piórach, wyrwanych z koguciego ogona.

ROZDZIAŁ XXXIII

Zimny wiatr dął ostro, a chmury, szybko płynące po niebie, były ołowianoszare, gdy Scarlett i Mammy wysiadły z pociągu w Atlancie następnego popołudnia. Stacja nie została jeszcze odbudowana, wysiadły więc wśród żużlu i błota kilkanaście metrów za czarnym pogorzeliiskiem, które znaczyło jej miejsce. Scarlett dawnym zwyczajem poszukała wzrokiem wuja Piotra z powozem Pitty, który zwykle czekał na nią w latach wojny, gdy wracała z Tary. Po chwili jednak roześmiała się sama do siebie ze swego roztargnienia. Piotra oczywiście nie było, bo nie uprzedziła ciotki Pitty o swoim przyjeździe, poza tym zaś przypomniała sobie, że w jednym z listów stara pani, z żalem donosiła o śmierci starego konia, którego Piotr kupił w Macon, aby ją przywieźć do Atlanty

Rozejrzała się po wyboistym i zrujnowanym placu koło stacji, czy nie zauważy powozu któregoś z dawnych znajomych czy przyjaciół, który by ją mógł podwieźć do miasta, nie spostrzegła jednak nikogo. Nikt z dawnych znajomych nie miał teraz powozu, jeżeli to, co Pitty pisała, zgodne było z prawdą. Czasy były tak ciężkie, że trudno było o żywność i dach nad głową dla ludzi, tym bardziej zaś dla zwierząt. Większość przyjaciół Pitty, podobnie jak ona sama, chodziło teraz pieszo.

W pobliżu wagonów towarowych stało kilka wozów, które ładowano, i parę obryzanych błotem bryczek z nieznanymi na koźle - ale tylko dwa powozy. Jeden był zamknięty, drugi otwarty i zajęty już przez dobrze ubraną kobietę i jankeskiego oficera. Scarlett omal nie syknęła na widok munduru. Jakkolwiek wiedziała od Pitty, że w Atlancie stoi garnizon i że na ulicach pełno jest żołnierzy, widok pierwszego niebieskiego munduru przeraził ją i zdumiał. Z trudem tylko uprzytomniła sobie, że wojna minęła i że oficer ten nie pójdzie za nią, aby ją obrabować czy znieważać.

Pustka dokoła pociągu siłą kontrastu przypomniła jej ów ranek w r. 1862, gdy przyjechała do Atlanty jako młoda wdowa, spowita w krepę i ledwie żywa z nudów. Przypomniała sobie, jak wiele było na placu przed stacją wozów, powozów, ambulansów, jak głośno pokrzykiwali woźnice i ludzie witali się z przyjaciółmi. Westchnęła z żalu za beztróskim podnieceniem dni wojennych, a potem jeszcze raz - na myśl o długiej drodze pieszo do domu ciotki Pitty. Miała jednak nadzieję, że na Brzoskwiniowej spotka może kogoś, kto ją podwiezie.

Kiedy tak się rozglądała dokoła, podjechał ku niej zamknięty powóz z Murzynem w średnim wieku na koźle, który pochylając się ku niej zapytał: - Podwieźć, proszę pani? Dwa

srebrne za kurs.

Mammy rzuciła mu druzgocące spojrzenie.

- Wynajęty powóz! - zagrzmiała. - Murzynie, czy nie widzisz, co my za jedne?

Mammy była Murzynką wiejską, ale w młodości swojej mieszkała w mieście, wiedziała więc, że przyzwoitym kobietom nie wypada jeździć wynajętym pojazdem - a zwłaszcza kareta - bez męskiej opieki. Nawet obecność murzyńskiej służącej nie wystarczała dla dogodzenia konwenansom. Spojrzała ostro na Scarlett, która przyglądała się pożądliwie karecie.

- Scarlett, odejź stąd. Wynajęty powóz i wyzwolony Murzyn! To dobre połączenie!

- Ja nie żaden wyzwolony Murzyn - gorąco zaprzeczył stangret. - Ja należę do starej pani Talbot i kareta jest także jej, a jeżdżę nią, aby trochę zarobić.

- Która to pani Talbot?

- Pani Zuzanna Talbot z Milledgeville. Myśmy się tu przenieśli po śmierci starego pana.

- Czy znasz tę panią, Scarlett?

- Nie - odrzekła Scarlett z żalem. - Nie znam prawie nikogo z Milledgeville.

- No, więc pójdziemy pieszo - rzekła Mammy stanowczo. - Jedźcie sobie, Murzynie.

Schwyciła torbę podróżną, w której była nowa aksamitna suknia Scarlett, jej czepek i nocna koszula, pod pachę wsunęła perkalowe zawiniątko z własnymi rzeczami i poprowadziła Scarlett poprzez pełen popiołów plac. Scarlett nie sprzeciwiała się Mammy, chociaż wołała pojechać, bo nie chciała się z nią kłócić. Od chwili przyłapania jej z aksamitnymi portierami. Mammy miała w oczach wyraz podejrzliwości, który nie podobał się Scarlett. Trudno jej zapewne przyjdzie wyzwolić się spod jej ciągłej opieki, nie chciała się więc z nią spierać, póki nie zajdzie absolutna potrzeba. Kiedy wąskim trotuarem ruszyły w stronę ulicy Brzoskwiniowej, Scarlett posmutniała widząc, jak bardzo Atlanta jest zrujnowana i niepodobna do miasta, które pamiętała. Minęły dawny Hotel Atlanta, gdzie mieszkał wuj Henryk i Rett - z eleganckiego zajazdu została tylko część poczerniałych murów. Składy, które ciągnęły się wzdłuż toru kolejowego na przestrzeni pół mili i mieściły całe tony zapasów dla wojska, nie zostały odbudowane i widać było ich kwadratowe fundamenty. Bez murów budynków po obu stronach tor kolejowy wydawał się nagi. Gdzieś między zgliszczami, niczym nie różniąc się od innych, leżały pewnie ruiny jej własnego składu na placu pozostawionym jej w spadku przez Karola. Wuj Henryk zapłacił za nią podatek od placu za ubiegły rok. Będzie mu to kiedyś musiała zwrócić. A zatem jeszcze jeden kłopot.

Kiedy skręciły w Brzoskwiniową i Scarlett spojrzała w stronę Pięciu Znaków, wydała okrzyk zdumienia. Mimo opowiadań Franka o obróceniu Atlanty w perzynę, nie wyobrażała

sobie tak zupełnego zniszczenia. W pamięci ciągle jeszcze miała obraz ulubionego miasta - pełnego domów i gmachów publicznych. Ta jednak dolina, na którą teraz patrzyła, była tak pusta, tak inna, że wydało jej się, jak gdyby widziała ją po raz pierwszy. Błotnista ulica, którą przejeżdżała tysiące razy podczas wojny, po której uciekała ze spuszczoną głową, gdy pociski padały dokoła niej podczas oblężenia, ta ulica, którą widziała ostatnio w upale, pośpiechu i niepokoju dnia odwrotu, wyglądała tak obco, że chciało jej się płakać.

Mimo że od roku, od chwili gdy Sherman wymaszerował z płonącego miasta i wrócili konfederaci, wyrosło wiele nowych budynków, dokoła Pięciu Znaków było jeszcze mnóstwo pustych placów, na których leżały sterty szerniałych cegieł między kupami śmiecia, chwastami i zielskiem. Poznawała resztki budynków, które pamiętała: mury bez dachów, przez które przeświecało słabe światło dnia, ramy okienne pozbawione szyb, samotnie sterczące kominy. Tu i ówdzie wzrok jej padał na znajomy sklep, który częściowo ostał się pociskom i pożarom i został odbudowany; świeża czerwień nowych cegieł odcinała się od szerniałych starych ścian. Nad nowymi sklepami i oknami nowych biur odczytywała z przyjemnością nazwiska ludzi, których znała, częściej jednak nazwiska były jej obce, szczególnie zaś tuziny nazwisk lekarzy, adwokatów i handlarzy bawełną. Niegdyś znała w Atlancie prawie wszystkich, toteż obce nazwiska podziały na nią przygnębiająco. Pocieszył ją jednak trochę widok nowych domów nieco dalej.

Były ich tam całe tuziny, przy czym wiele trzypiętrowych. Wszędzie widać było rozpoczęte budowy, bo kiedy spojrzała w przeciwnym kierunku, chcąc się oswoić z nowym obliczem Atlanty, usłyszała wesoły dźwięk młotów i pił, spostrzegła rusztowania i ludzi wchodzących na drabiny ze stosami cegieł na ramionach. Popatrzyła przez chwilę na ulubioną ulicę i oczy jej zasły mgłą.

„Spalili cię - myślała - i zrównali z ziemią. Ale nie mogli cię pokonać. Odbudujesz się tak samo wielka i piękna jak dawniej!”

Dalej na Brzoskwiniowej stwierdziła, że chodniki są równie natłoczone jak podczas wojny. Odczuwało się ten sam pośpiech i zgiełk, który tak ją podniecił dawno temu, gdy po raz pierwszy przyjechała do ciotki Pitty. Po błotnistych kałużach toczyło się równie dużo pojazdów jak dawniej, nie widać było tylko ambulansów Konfederacji, przed sklepami zaś przywiązywano tyle, ile dawniej, koni i mułów. Mimo że trotuary były pełne, twarze przechodniów wydały się Scarlett równie obce jak szyldy: ludzie byli nowi, mężczyźni wyglądali ordynarnie, kobiety były jaskrawo ubrane. Ulice czerniły się od próżnujących Murzynów, którzy opierali się o ściany lub siedzieli na brzegach chodnika, przyglądając się przejeżdżającym pojazdom z naiwną ciekawością dzieci w cyrku.

- Wyzwoleni wiejscy Murzyni - mruknęła Mammy - Nigdy w swoim życiu nie widzieli porządnego powozu. A jak bezczelnie patrzą!

Scarlett przyznała, że patrzyli bezczelnie, zapomniała jednak o nich natychmiast, ponieważ znowu zobaczyła niebieskie mundury. Miasto pełne było żołnierzy jankeskich, konnych, pieszych, w furgonach wojskowych, spacerujących po ulicach, zataczających się przed barami.

„Nigdy się do ich widoku nie przyzwyczaję - myślała zaciskając pięści. - Nigdy!” - i przez ramię rzuciła w stronę Mammy. - Spiesz się, Mammy, wydostańmy się wreszcie z tego tłumu.

- Dobrze, niech tylko wypchnę stąd tego czarnucha, który mi drogę zagradza - odrzekła Mammy głośno i tak mocno uderzyła torbą czarnego wyrostka, który przekornie zastępował jej drogę, że uskoczył na bok. - Nie podoba mi się to miasto, Scarlett. Za dużo w nim Jankesów i podłych wyzwoleńców.

- Lepiej jest w miejscach, gdzie nie ma takiego tłoku. Gdy miniemy Pięć Znaków, nie będzie tak źle.

Ostrożnie przeszły po śliskich flizach ułożonych przez jezdnię ulicy Decatur i szły dalej Brzoskwiniową przez rzednący teraz tłum. Doszły do kaplicy wesleyańskiej, przy której owego dnia w r. 1864 Scarlett zatrzymała się, aby wytchnąć, gdy biegła po doktora Meade. Patrząc na nią teraz zaśmiała się głośno i gorzko. Bystre stare oczy Mammy spojrzały na nią podejrzliwie i pytająco, ciekawość jej jednak nie została zaspokojona. Scarlett przypominała sobie z pogardą ówczesne swoje przerażenie. Była wtedy opętana strachem, ogłupiała ze strachu, bała się Jankesów, bała się bliskiego urodzenia dziecka Melanii. Teraz nie rozumiała, że mogła się bać jak dziecko spłoszone głośniejszym hałasem. I rzeczywiście, jakimż była dzieckiem, gdy sądziła, że Jankesi, ogień i klęska są najgorszymi rzeczami, jakie mogą ją spotkać! Jakież to były drobnostki wobec śmierci Ellen i stanu Geralda, wobec głodu, zimna, morderczej pracy i koszmaru niepewnego jutra. Jak łatwo przyszłoby jej być odważną wobec całej armii najeźdźców, a jak trudno było przeciwstawić się niebezpieczeństwu, które groziło Tarze! Nie, już nigdy w życiu nie będzie się bała niczego prócz nędzy.

Ulicą przejeżdżała teraz jakaś kareta, Scarlett podeszła więc do brzegu chodnika, aby przyjrzeć się, czy to ktoś znajomy jedzie, bo dom ciotki Pitty był jeszcze dość daleko. Razem z Mammy pochyliły się naprzód, kiedy powóz zrównał się z nimi, i Scarlett z gotowym uśmiechem omal go nie zatrzymała, gdy mignęła jej w oknie twarz kobiety - zbyt jaskrawe rude włosy pod ładną futrzaną czapeczką. Cofnęła się o krok, poznając tę twarz momentalnie. Była to Bella Watling. Scarlett wydało się, że Bella skrzywiła się z niechęcią na jej widok.

Dziwne, że to ona właśnie była pierwszą znajomą, którą spotkała.

- Kto to taki? - zapytała Mammy nieufnie. - Znała cię, a nie ukloniła się. Nigdy w życiu nie widziałam takich włosów. Nawet w rodzinie Tarletonów. Wyglądały - wyglądały jak pofarbowane!

- Są pofarbowane - odrzekła Scarlett krótko, przyśpieszając kroku.

- To ty znasz kobietę z farbowaną głową? Powiedz w tej chwili, kto to taki.

- To znana w mieście „taka” - rzekła Scarlett. - Daję ci słowo, że jej nie znam, więc uspokój się wreszcie.

- Boże miłosierny! - westchnęła Mammy i otworzyła w zdumieniu usta, patrząc z szaloną ciekawością za powozem. Nie widziała kobiety złych obyczajów od wyjazdu z Savannah przed przeszło dwudziestu laty, żałowała więc, że nie przypatrzyła się Belli uważniej.

- Była bardzo ładnie ubrana, miała ładny powóz i porządnego stangreta - wymamrotała.
- Nie wiem, co sobie Pan Bóg myśli, że dopuszcza, aby takie kobiety tak wyglądały, kiedy my, przyzwoici ludzie, chodzimy głodni i prawie bosy.

- Pan Bóg już bardzo dawno przestał o nas myśleć - odrzekła Scarlett ostro. - I proszę cię, nie mów mi tylko teraz, że mama przewraca się w grobie słysząc, co mówię!

Bardzo chciała myśleć o Belli z pogardą, jak przystało cnotliwej kobiecie, ale nie mogła. Jeżeli plan jej powiedzie się, znajdzie się w tej samej sytuacji co Bella i utrzymywać ją będzie ten sam mężczyzna. Mimo że ani trochę nie żałowała swojej decyzji, prawdziwe naświetlenie tej sprawy trochę ją jednak zmieszało. „Nie będę teraz o tym myślała” - powiedziała sobie i przyśpieszyła kroku.

Minęły plac, na którym stał niegdyś dom Meade'ów; zostało z niego tylko kilka schodków i ścieżka, nigdzie nie prowadząca. Na miejscu domu Whitingów nie było nic, nawet fundamentów czy kominów, widać było tylko koleiny wozu, którym wywożono cegły. Murowany dom Elsingów był cały - miał nowy dach i nowe drugie piętro. Dom Bonnelów, źle naprawiony i z dachem, łątanym zwykłymi deskami zamiast dachówki, mimo oplakanego stanu wyglądał możliwie. W żadnym z tych domów nie było widać żywej duszy w oknie lub na ganku, z czego Scarlett była bardzo rada. Nie chciała teraz z nikim rozmawiać.

Wreszcie ukazał się nowy gontowy dach domu ciotki Pitty i jego czerwone mury, więc serce Scarlett zabiło mocniej. Jakże łaskawy był Bóg, że tak go uchronił, aby można go było naprawić! Z domu wychodził właśnie wuj Piotr z koszykiem przewieszonym przez ramię; spostrzegłszy Scarlett i Mammy, wlokącą się wolno, uśmiechnął się szeroko, z niedowierzaniem.

„Mogłabym ucałować tego starego głupca z radości, że go widzę” - pomyślała Scarlett wołając: - Pobiegnij po sole trzeźwiące cioci, Piotrze! To naprawę ja!

Tego wieczora na stole ciotki Pitty pojawiła się nieodzowna kukurydza z mlekiem i suszony groszek. Jedząc je Scarlett przysięgła sobie, że obie potrawy znikną z jej stołu na zawsze, jak tylko będzie miała pieniądze. Bez względu na cenę, jaką będzie musiała za to zapłacić, postanowiła znowu mieć pieniądze, więcej niż na samo pokrycie podatków w Tarze... Choćby miała popełnić morderstwo, musi się dorobić wielkiego majątku.

W żółtym świetle lampy w jadalni zapytała ciotkę o jej finanse, wierząc wbrew rozsądkowi, że może krewni Karola będą jej mogli coś pożyczyć. Pytania jej nie były bynajmniej taktowne, Pitty jednak uradowana, że znowu rozmawia z kimś bliskim, wcale nie zwróciła uwagi na natarczywość Scarlett. Ze łzami w oczach zagłębiła się w szczegóły swoich nieszczęść. Nie wiedziała po prostu, gdzie się podziała jej ziemia, nieruchomości w mieście i pieniądze, wiedziała tylko tyle, że gdzieś znikły. Tak przynajmniej powiedział jej brat, Henryk. Nie był w stanie płacić podatków od jej majątku. Wszystko prócz domu, w którym mieszkała, przepadło i Pitty wcale się nie zastanawiała nad tym, że i dom do niej nie należał, ponieważ stanowił wspólną własność Melanii i Scarlett. Henryk ledwie mógł opłacać podatek za dom. Dawał jej co miesiąc jakąś drobnostkę na utrzymanie i to ją bardzo upokarzało, musiała jednak pieniądze te od niego przyjmować.

- Henryk mówi, że nie wie, jak zwiąże koniec z końcem wobec tych ciężarów, jakie dźwiga, i wysokich podatków, ale zdaje mi się, że kłamie i że ma masę pieniędzy, tylko mnie nie chce nic dawać.

Scarlett wiedziała, że wuj Henryk nie kłamie. Wyraźnie mówiły o tym listy, które otrzymywała od niego w związku z jej spadkiem po Karolu. Stary adwokat walczył dzielnie, aby uratować dla Wade'a i Scarlett przynajmniej dom i kawałek placu przy dawnej stacji. Scarlett wiedziała, jak wielką ofiarą było z jego strony już i to, że za nią płacił podatki.

„Rozumie się, że nie ma pieniędzy - myślała Scarlett ponuro. - Muszę zatem z mojej listy skreślić i jego, i Pitty. Nikt mi już nie zostaje prócz Retta. Będę musiała to zrobić. Muszę to zrobić. Nie chcę jednak myśleć o tym teraz... Muszę wyciągnąć ciotkę na rozmowę o Recie, abym mogła jej mimochodem napomknąć, żeby go zaprosiła tutaj”.

Uśmiechnęła się i ucisnęła mocno pulchne dłonie ciotki Pitty.

- Złota cioteczko - powiedziała - przestańmy teraz mówić o tak smutnych sprawach jak pieniądze. Zapomnijmy o nich i porozmawiajmy o rzeczach przyjemniejszych. Niech mi ciocia opowie, co słyhać u naszych starych znajomych. Jak się miewają pani Merriweather i Maybelle? Słyszałam, że mały Rene Maybelle wrócił cało do domu. Jak się miewają panie

Elsing i państwo Meade?

Pittypat poweselała na propozycję zmiany tematu i dziecinna jej twarz przestała ociekać łzami. Zaczęła szczegółowo opowiadać o dawnych sąsiadach, co porabiali, co nosili, jedli i myśleli. Opowiedziała że zgrozą, jak to przed powrotem Rene Picarda z wojny pani Merriweather i Maybelle musiały piec ciasta i sprzedawać je jankeskim żołnierzom, aby zarobić na życie. Coś podobnego! Czasem że dwudziestu Jankesów stało przed domem Merriweatherów i czekało, aż ciasta będą gotowe. Teraz, odkąd Rene jest w domu, jeździ starym wozem co dzień do koszar jankeskich i sprzedaje żołnierzom ciasta, babki i herbatniki. Pani Merriweather mówiła, że jak zaoszczędzi sobie trochę pieniędzy, otworzy sobie cukiernię w centrum miasta. Pitty nie chciała jej krytykować, ale ostatecznie... Co się jej tyczy, to wolałaby umrzeć z głodu niż mieć jakiegokolwiek stosunki z Jankesami. Starła się pogardliwym spojrzeniem obrzucać każdego spotkanego żołnierza i nawet przechodziła w sposób wyraźnie obraźliwy na drugą stronę ulicy, chociaż w słotną pogodę było to bardzo utrudnione i przykre. Scarlett zrozumiała, że żadna ofiara, nawet zabłocenie bucików, nie była zbyt wielka dla Pittypat, jeżeli chodzi o podkreślenie wierności dla Konfederacji.

Doktorstwo Meade stracili dom, gdy Jankesi podpalili miasto, i teraz nie mieli pieniędzy ani ochoty na odbudowanie go, zwłaszcza że Darcy i Filip nie żyli. Pani Meade twierdziła, że nie chce mieć domu, czym bowiem jest dom bez dzieci i wnuków? Czuli się bardzo samotni, wprowadzili się więc do pani Elsing, która odbudowała zniszczoną część swego domu. Państwo Whiting także tam mieli jeden pokój, a i pani Bonnell mówiła, że się tam wprowadzi, jak tylko uda jej się wynająć swój dom jakiemuś oficerowi jankeskiemu z rodziną.

- Ale jakże się tam wszyscy mieszczą - zawołała Scarlett. - Przecież mieszka tam jeszcze pani Elsing, Fanny i Hugo...

- Pani Elsing z Fanny sypiają w salonie, a Hugo na strychu - wytłumaczyła Pitty, która знаła wszystkie szczegóły życia swoich przyjaciół - Moja droga, przykro mi, że muszę ci to powiedzieć, ale... pani Elsing nazywa ich wprawdzie swymi gośćmi, lecz - Pitty ściszyła głos - w rzeczywistości są jej lokatorami. Pani Elsing prowadzi teraz po prostu pensjonat! Czy to nie straszne?

- Uważam, że bardzo dobrze robi - rzekła Scarlett krótko. - Żałuję, że przez zeszły rok nie mieliśmy lokatorów w Tarze zamiast stałych gości. Może nie bylibyśmy teraz tak biedni.

- Scarlett, jakże możesz mówić podobne rzeczy? Twoja biedna matka przewraca się pewnie w grobie na myśl o braniu pieniędzy za gościnność w Tarze! Pewnie, że pani Elsing zmuszona była do tego, bo chociaż zabrała się do szycia, Fanny do malowania na porcelanie,

a Hugon do handlu drzewem na opał, nie mogli związać końca z końcem. Wyobraź sobie tylko, że Hugonek musi handlować drzewem! A tak bardzo chciał zostać znanym adwokatem! Płakać mi się chce, jak pomyślę, do czego muszą się teraz zabierać nasi chłopcy!

Scarlett pomyślała o rzędach krzaków bawełny pod rozpalonym niebem Tary i o tym, jak ją bolały plecy od ciągłego pochylania się nad nimi. Przypomniała sobie, jak miała spuchnięte ręce: jak bardzo ją bolały, gdy orała pługiem, i wcale nie poczuła współczucia dla Hugona Elsinga. Jakże niemądra była stara Pitty i jak mimo ruiny wkoło niej, bezpieczna!

- Jeżeli nie lubi handlować, dlaczego nie zajmuje się prawem? Czy może nie wolno teraz praktykować w Atlancie?

- Ależ kochanie, wolno! Jest bardzo wielu adwokatów. Właściwie to nawet wszyscy się ze wszystkimi procesują. Ponieważ spalono wszystko i nie ma linii granicznych, nikt dobrze nie wie, gdzie się czyje posiadłości kończą. Nie można jednak dostać za procesy honorariów, bo nikt nie ma pieniędzy. Hugo musi więc handlować... Och, zapomniałam prawie! Czy pisałam ci o tym? Jutro ślub Fanny Elsing, więc będziesz musiała na nim być. Pani Elsing bardzo się ucieszy, kiedy się dowie, że jesteś w Atlancie. Mam nadzieję, że masz jeszcze inną suknię prócz tej, którą nosisz. To nie znaczy, że ta sukienka jest brzydka - ale wydaje mi się, że może już trochę znoszona. Ach, a więc masz ładną suknię? Bardzo się z tego cieszę, bo to będzie pierwszy prawdziwy ślub w Atlancie od czasu, gdy miasto padło. Będą torty i wino, a potem tańce, choć nie rozumiem, jak pani Elsing może sobie na to pozwolić, tatka jest biedna.

- Za kogo Fanny wychodzi? Wydawało mi się, że po śmierci Dallasa McLure pod Gettysburgiem...

- Kochanie, nie powinnaś potępiać Fanny. Nie każdy jest tak wierny pamięci zmarłych, jak ty pamięci biednego Karolka. Poczekaj, przypomnę sobie. Jakże się nazywa? Nigdy nie pamiętam nazwisk... Tomasz jakiś tam. Znałam dobrze jego matkę, bośmy chodziły razem na pensję w La Grange. Ona była z domu Tomlinson z La Grange, a matka jej się nazywała... poczekaj chwilę... Perkins? Perkins? Perkinson! Tak, tak! że Sparty. Bardzo dobra rodzina, ale mimo to - tak, wiem, że nie powinnam tego mówić, ale doprawdy nie rozumiem, jak Fanny może za niego wychodzić!

- Czy pije lub...

- Ależ skąd! Ma doskonały charakter, ale, widzisz, został raniony odłamkiem pocisku nisko pod krzyżem i coś mu się stało w nogi, i teraz... teraz - przykro mi użyć tego słowa - chodzi jakiś rozkraczony. To bardzo brzydko wygląda - rozumiesz, że nie może wyglądać ładnie. Nie pojmuję, dlaczego ona za niego wychodzi.

- Dziewczęta muszą wychodzić za mąż.

- Przepraszam, wcale nie muszą - rzekła Pitty, urażona. - Ja wcale nie musiałam.

- Ależ, cioteczko, ja wcale nie miałam cioci na myśli! Wszyscy wiedzą, jakie ciocia miała powodzenie i jakie ma dotąd! Przecież stary sędzia Carlton robił do cioci takie oko, że ja...

- Ach, Scarlett, cicho! Ten stary wariat! - zachichotała Pitty, całkowicie udobruchana. - Przyznasz jednak, że Fanny miała takie powodzenie, że mogła zrobić lepszą partię, tym bardziej że nie wierzę, aby kochała tego Toma. Nie wierzę, żeby zapomniała Dallasa McLure, ale nie jest podobna do ciebie, kochanie. Tyś pozostała bardzo wierna biednemu Karolkowi, mimo żeś mogła wyjść za mąż że dwadzieścia razy. Mela i ja zawsześmy mówiły, że jesteś wyjątkowo wierna jego pamięci, chociaż wszyscy twierdzili, że jesteś kokietką bez serca.

Scarlett przełknęła to niezbyt taktowne wyznanie i zrećźnie wypytywała Pitty o jednego znajomego po drugim, choć paliła się z niecierpliwości, aby wreszcie zacząć o Retta. W żaden sposób nie mogła zapytać wprost o niego tak szybko po przyjeździe. Mogłoby to skierować myśli starszej pani na tory, których nie należało jej wskazywać. Pitty i tak będzie miała dość czasu na snucie domysłów, jeżeli Rett nie zechce się z nią ożenić.

Ciotka gawędziła wesoło, ciesząc się jak dziecko, że ma słuchaczkę. Sprawy w Atlantycie układały się jak najgorzej, mówiła, że względu na podłe postępowanie republikanów Nie było końca ich występkom, najgorsze zaś było to, że mącili w głowach biednym Murzynom.

- Moja droga, przecież oni chcą Murzynom dać prawa wyborcze! Czy słyszałaś kiedyś coś podobnie głupiego? Chociaż... sama nie wiem... teraz kiedy o tym myślę, wydaje mi się, że wuj Piotr ma znacznie więcej rozumu od wszystkich republikanów, których znam, i o wiele lepsze obejście, wuj Piotr jednak jest zbyt dobrze wychowany, aby chcieć głosować. Ten pomysł jednak przewrócił Murzynom zupełnie w głowach. Niektórzy z nich stali się zupełnie bezczelni. Wieczorami człowiek nie jest bezpieczny na ulicach, nawet w biały dzień spychają damy z chodników w błoto. A jeżeli mężczyźni ośmielają się protestować, aresztują ich i... Kochanie, czy powiedziałam ci, że kapitan Butler siedzi w więzieniu?

- Rett Butler?

Mimo iż wiadomość była przerażająca, Scarlett była zadowolona, że ciotka Pitty zaoszczędziła jej wprowadzenia do rozmowy nazwiska Retta.

- Tak, naprawdę! - Policzki Pitty zaróżowiły się z podniecenia. Wyprostowała się w fotelu. - Siedzi w więzieniu, ponieważ zabił Murzyna; możliwe, że go nawet powieszają! Wyobraź sobie, że mogliby powiesić kapitana Butlera!

Na chwilę oddech zamarł w płucach Scarlett. Bez słowa wpatrywała się w starszą panią, która była najoczywiściej zadowolona z wrażenia, jakie wywołała.

- Nie dowiedli mu jeszcze winy, ktoś jednak zabił Murzyna, który znieważył białą kobietę. Jankesi są bardzo rozgniewani, bo ostatnio pozabijano bardzo wielu natarczywych Murzynów. Kapitanowi Butlerowi nie mogą niczego dowieść, ale chcą kogoś ukarać dla przykładu, tak przynajmniej mówi doktor Meade. Doktor mówi, że jeżeli go powieszają, będzie to ich pierwszy przyzwoity postępek, ja jednak nie wiem, co o tym sądzić... I pomyśleć tylko, że kapitan Butler był u mnie tydzień temu, przyniósł mi śliczną kuropatkę w prezencie, pytał o ciebie i mówił, iż zdaje mu się, że cię obraził podczas oblężenia i że mu chyba nigdy nie przebacysz.

- Jak długo ma siedzieć w więzieniu?

- Nikt tego nie wie. Może do czasu, gdy go powieszają, choć możliwe także, że nie uda im się dowieść mu tego zbrojstwa. Jankesi mało troszczą się o to, czy ludzie są naprawdę winni, czy nie, byleby mogli kogoś powiesić. Bardzo są wściekli - Pitty tajemniczo ściszyła głos - z powodu Ku-Klux-Klanu. Czy w waszym powiecie jest już Klan? Kochanie, pewna jestem, że macie tam oddział, tylko Ashley nic wam o tym nie mówi. Członkowie Klanu muszą milczeć. Jeżdżą nocami przebrani jak duchy, odwiedzają Carpetbaggerów³, którzy kradną i Murzynów, którzy zanadto się panoszą. Czasem tylko straszą ich i doradzają, aby opuścili Atlantę, ale kiedy nie chcą słuchać, batożą ich i - Pitty zniżyła głos do szeptu - czasem zabijają, a ciała zostawiają na widocznym miejscu z kartą Ku-Klux-Klanu... Jankesi są rozwścieczeni z tego powodu i chcą kogoś ukarać dla przykładu... Hugonek Elsing powiedział mi, jednak, że nie przypuszcza, aby Jankesi powiesili kapitana Butlera, ponieważ są przekonani, że on wie, gdzie są pieniądze, tylko nie chce powiedzieć. Starają się to z niego wydobyć.

- Pieniądze?

- Więc ty o niczym nie wiesz? Czy nie pisałam ci o tym? Kochanie, ależ tyś się zakopała w tej Tarze! Miasto całe huczało, gdy kapitan Butler wrócił z pięknym koniem z powozem i kieszeniami pełnymi pieniędzy, a my wszyscy nie mieliśmy co jeść. Wszyscy byli oburzeni, że dawny spekulant, który zawsze mówił obrzydliwe rzeczy o Konfederacji, ma tyle pieniędzy. Wszyscy umierali z ciekawości, aby się dowiedzieć, w jaki sposób uratował swoje pieniądze, ale nikt nie miał odwagi zapytać go o to, tylko ja jedna, on zaś roześmiał się tylko i powiedział: „Zapewniam panią, że nie w sposób uczciwy”. Wiesz sama, jak trudno z niego coś wydobyć.

- Ale przecież wiadomo, że zarobił pieniądze podczas blokady...

³ Nazwa Jankesów przybyłych na Południe celem łatwego dorobienia się majątku.

- Rozumie się, że tak. Pewną ich część. Ale to drobna część jego majątku. Wszyscy, nie wyłączając Jankesów, twierdzą, że Butler ma miliony dolarów w złocie, dawniej należące do rządu Konfederacji, i że gdzieś je ukrył.

- Miliony w złocie?

- A tak, kochanie, bo gdzież się mogło podziać złoto Konfederacji? Ktoś musi je mieć i kapitan Butler jest właśnie tym kimś. Jankesi przypuszczali, że miał je przy sobie prezydent Davis, gdy opuszczał Richmond, kiedy jednak schwytali tego biednego człowieka, okazało się, że nie ma centa. Skarb był pusty w chwili zawarcia pokoju, wszyscy więc sądzą, że pieniądze zabrali ludzie, którzy zajmowali się przemytem przez blokadę, a teraz kryją się z tym.

- Miliony w złocie! Ale jakim sposobem...

- Czy kapitan Butler nie przewoził tysięcy bel bawełny do Anglii i do Nassau i czy nie sprzedawał jej tam z ramienia rządu Konfederacji? - zapytała Pitty z tryumfem. - Woził nie tylko własną bawełnę, ale i rządową! A wiesz przecież, ile się w czasie wojny zarabiano na bawełnie! Osiągano każdą cenę! Butler był agentem rządu. Miał sprzedawać bawełnę, a za otrzymane pieniądze kupować broń i sprowadzać ją tutaj. Kiedy więc blokada zacieśniła się i nie mógł sprowadzać broni, nie wydawał pieniędzy otrzymanych za sprzedaną bawełnę, muszą więc być w angielskich bankach całe miliony dolarów złożone tam przez kapitana Butlera i innych aż do chwili, gdy blokada będzie zniesiona. Nie powiesz mi chyba, że złożyli te pieniądze w imieniu Konfederacji. Złożyli je we własnym imieniu i mają je tam jeszcze... Od czasu kapitulacji wszyscy tylko o tym mówią i surowo potępiają blokadowców. Kiedy Jankesi zaarrestowali kapitana Butlera za zabójstwo tego Murzyna, dowiedzieli się o tych pogłoskach i teraz chcą go zmusić, aby wyznał, gdzie są pieniądze. Bo, wiesz, wszystkie fundusze Konfederacji należą teraz do Jankesów - przynajmniej Jankesom tak się zdaje. Kapitan Butler twierdzi jednak, że o niczym nie wie... Doktor Meade mówi, że powinni go w każdym razie powiesić, tylko że śmierć na szubienicy jest za dobra dla złodzieja i paskarza. Kochanie, dlaczego masz taką dziwną minę? Czy źle się czujesz? Czy przejęłaś się tym, co ci powiedziałam? Wiedziałam, że pan Butler był kiedyś twoim wielbicielem, ale wydawało mi się, żeście się poróżnili już dawno temu. Ja osobiście nigdy do niego nie czułam zaufania, to taki nicpoń...

- Nigdy nie był moim wielbicielem - rzekła Scarlett z wysiłkiem. - Pokłóciłam się z nim podczas oblężenia, po wyjeździe cioci do Macon. Gdzie Butler jest teraz?

- W remizie straży ogniowej na rynku!

- W remizie?

Ciotka Pitty zanosła się od śmiechu.

- Tak, siedzi w remizie. Jankesi przekształcili ją teraz na więzienie wojskowe. Obozują w barakach koło ratusza na rynku, a że remiza strażacka jest w najbliższej ulicy, więc tam trzymają Butlera. I wyobraź sobie, Scarlett, jaką ja śmieszna historię słyszałam wczoraj o Butlerze. Zapomniałam już, kto mi ją opowiedział. Wiesz, jaki on był zawsze elegancki, prawie jak dandys. Jankesi zaś trzymają go w tej remizie i nie pozwalają mu się kąpać, a że on co dzień domagał się kąpieli, więc wypuścili go wreszcie z celi na rynek, a tam stało duże koryto do pojenia koni, w którym poprzednio kąpał się cały pułk! Powiedzieli mu, że może się wykąpać, jeśli chce, on zaś powiedział, że nie, woli swój własny rodzony brud południowy od brudu jankeskiego i...

Scarlett słyszała wesoło paplający głos, ale słów już nie rozumiała. Po głowie krążyły jej tylko dwie myśli, że Rett ma więcej pieniędzy, niż przypuszczała, i że siedzi w więzieniu. Fakt, że siedzi i że prawdopodobnie zostanie powieszony, zmienił niejako perspektywę, trochę ją nawet rozjaśnił. Bardzo się mało przejęła faktem, że Retta mogliby powiesić. Potrzebowała pieniędzy zbyt gwałtownie, zbyt rozpaczliwie, aby zastanawiać się nad jego losem. Poza tym zgadzała się prawie z doktorem Meade, że szubienica jest dla Retta za dobra. Człowiek, który zdolny był zostawić kobietę samą w ciemną noc, między dwiema nieprzyjacielskimi armiami, bo zachciało mu się walczyć za dawno przegraną sprawę, zasługiwał na powieszenie... Gdyby udało jej się w jakiś sposób wyjść za niego za mąż w czasie jego pobytu w więzieniu, wszystkie te miliony przeszłyby po jego śmierci na nią. Gdyby zaś małżeństwo okazało się niemożliwe, może udałoby się jej uzyskać od niego pożyczkę obietnicą małżeństwa po jego wyjściu z więzienia lub obietnicą - och, czegokolwiek! Gdyby zaś go powiesili, umowa oczywiście przestałaby obowiązywać.

Przez chwilę zapaliła się do myśli, że mogłaby zostać wdową za łaskawym pośrednictwem rządu jankeskiego. Miliony w złocie! Mogłaby odnowić dom w Tarze, nająć wyrobników i zasadzić całe kilometry bawełny! Mogłaby sprawić sobie piękne suknie, mieć pod dostatkiem jedzenia, pomyśleć o Zueli i Karinie. Wade mógłby dostawać pożywne potrawy, aby zaokrągliły się wreszcie jego chude policzki, miałby ciepłe ubranka i guwernantkę, a potem poszedłby na uniwersytet... I nie musiałby już chodzić boso i być nieukiem jak jakiś małorolny. Ojcem zaopiekowałby się dobry lekarz, jeżeli zaś chodzi o Ashleya... Czegóż by nie zrobiła dla Ashleya!

Monolog ciotki Pitty został nagle przerwany. Zapytała niespokojnie: - Co powiesz, Mammy? - a Scarlett budząc się ze swoich marzeń zobaczyła Mammy stojącą w drzwiach z rękami ukrytymi pod fartuchem i patrzącą na nią przenikliwym wzrokiem. Zaczęła się

zastanawiać, jak długo Mammy stała na tym miejscu, ile widziała i co słyszała. Prawdopodobnie wszystko, jeżeli sądzić po błysku jej starych oczu.

- Miss Scarlett musi być bardzo zmęczona. Lepiej, żeby się położyła do łóżka.

- Jestem naprawdę zmęczona - rzekła Scarlett wstając i patrząc na Mammy dziecięcym, bezradnym spojrzeniem - i zdaje mi się, że się przeziębiam. Ciociu, czy ciocia weźmie mi bardzo za złe, jeżeli jutro zostanę w łóżku i nie będę składała wizyt? Z wizytami mogę iść innego dnia, a bardzo bym chciała pójść wieczorem na ślub Fanny. A jeżeli nie przeleżę przeziębienia, nie będę chyba mogła pójść. Zresztą wyleżenie się w łóżku przez dzień bardzo mi dobrze zrobi.

Spojrzenie Mammy wyrażało lekki niepokój, gdy dotknęła dłoni Scarlett i zajrzała jej w oczy. Scarlett rzeczywiście źle wyglądała. Podniecenie jej minęło i teraz była blada i drżąca.

- Masz ręce jak lód, kochanie. Połóż się do łóżka, zrobię ci ziółka na poty i dam ci gorącą cegłę.

- Jakaż ja byłam bezmyślna.- zawołała starsza pani zrywając się z krzesła i klepiąc Scarlett po ramieniu. - Gawędziłam i gawędziłam, i wcale nie myślałam o tobie. Kochanie, zostań sobie jutro w łóżku i wypocznij, będziemy mogły się do woli jeszcze nagadać... Ach nie, nie! Nie mogę zostać jutro przy tobie. Przrzekłam pani Bonnell, że z nią jutro posiedzę. Położyła się, bo ma grypę, a kucharka jej także jest chora. Mammy, bardzo jestem zadowolona, że jesteś tutaj. Będziesz musiała pójść tam ze mną rano i pomóc mi trochę.

Mammy szybko popchnęła Scarlett ku ciemnym schodom, mrużąc coś gderliwie na temat zimnych rąk i cienkich butów, Scarlett zaś udawała bardzo potulną i była ogromnie zadowolona. Jeżeliby się jej tylko udało uspić podejrzenia Mammy i pozbyć się jej rano z domu, wszystko poszłoby gładko. Pójdzie do więzienia i zobaczy się z Rettem. Wchodząc na schody usłyszała daleki głos grzmotów, przystanąwszy na półpiętrze pomyślała, że bardzo przypominają huk nieprzyjacielskich dział. Wzdrygnęła się. Grzmoty zawsze już chyba będą jej przywodziły na pamięć działa i wojnę.

ROZDZIAŁ XXXIV

Następnego ranka słońce raz po raz kryło się za ciemne chmury, a szyby brzęczały od podmuchów ostrego wiatru. Scarlett zmówiła krótką dziękczynną modlitwę za to, że deszcz padający w nocy ustał, bo nie mogła długo usnąć w obawie, iż zniszczy jej aksamitną suknię i nowy czepek. Teraz, gdy widziała przebłyski słońca, nastrój jej poprawił się od razu. Ledwie mogła uleżeć w łóżku, robić zbolale miny i pochrząkiwać, dopóki ciotka Pitty, Mammy i wuj Piotr nie poszli do pani Bonnell. Kiedy wreszcie zatrzasnęły się drzwi frontowe i została w domu sama z kucharką, która spokojnie śpiewała w kuchni, wyskoczyła z łóżka i wyjęła z szafy nową suknię.

Sen odświeżył ją, pokrzepił i dodał odwagi. Cieszyła ją myśl o perspektywie dyskusji z mężczyzną, a nawet rozweseliła ją; po wielu miesiącach walk z niezliczonymi niepowodzeniami przyjemna była świadomość, że wreszcie zmierzy się z określonym przeciwnikiem, którego być może pokona własnym wysiłkiem.

Ubranie się bez pomocy Mammy nie było rzeczą łatwą, wreszcie jednak dokonała tego i wkładając czepek z zawadiackimi piórami pobiegła do pokoju Pitty, aby przejrzeć się w dużym lustrze. Jakże ślicznie wyglądała! Pióra kogucie dodawały jej szyku, na tle ciemnozielonego aksamitu czepka oczy miały kolor prawie szmaragdowy. Suknia zaś była nieporównana, bogata i elegancka, a jednocześnie bardzo dystyngowana! Bardzo było przyjemnie znowu mieć ładną suknię. Miło było wiedzieć, że wygląda się ładnie i zalotnie. W nagłym przyływie radości Scarlett pochyliła się naprzód i pocałowała swoje odbicie w lustrze, po czym roześmiała się ze swej głupoty. Zarzuciła na ramiona stary indyjski szal Ellen, ale ponieważ barwa spłowiałego jedwabiu gryzła się z kolorem sukni, otworzyła szafę ciotki Pitty, wyjęła z niej lekki czarny płaszcz sukienny, który Pitty nosiła tylko od święta, i włożyła go. Na przekłute uszy wsunęła diamentowe kolczyki, które przywiozła z Tary, i potrząsnęła głową, aby przekonać się, czy ładnie błyszczą. Wydały przyjemny dźwięk, który ją zadowolił, pomyślała więc, że musi pamiętać, aby często potrząsać głową w obecności Retta. Długie kolczyki zawsze przyciągały oczy mężczyzn - kobiety wyglądały w nich bardzo zalotnie.

Jaka szkoda, że ciotka Pitty nie miała innych rękawiczek prócz tych, które nosiła na tłustych dłoniach! Kobieta nie mogła uważać się za prawdziwą damę, jeżeli nie nosiła rękawiczek, Scarlett jednak od wyjazdu z Atlanty nie miała ani jednej pary. Długie miesiące ciężkiej pracy tak jej zniszczyły ręce, że stały się teraz prawie nieładne. Trudno, nie ma na to

radę. Weźmie fokową mufkę ciotki Pitty i w niej ukryje gołe ręce. To będzie dostatecznym podkreśleniem jej elegancji. Nikt, patrząc na nią teraz, nie podejrzewałby, że bieda i niedostatek pukały do jej drzwi.

Niezmiernie ważne było, żeby przede wszystkim Rett się tego nie domyślił. Powinien sądzić, że sprowadzają ją do niego najszczerze uczucia.

Na palcach zeszła ze schodów i wyszła z domu, podczas gdy kucharka nadal darła się na cały głos w kuchni. Spiesznie skręciła w ulicę Piekarską, aby uniknąć argusowych oczu sąsiadów, i usiadła na słupku przy ulicy Bluszczowej, przed jakimś spalonym domem, czekając, czy nie nadjedzie powóz lub bryczka, które by ją podwiozły. Słońce to wynurzało się zza chmur, to znowu chowało, oświetlając ulicę przejściowym blaskiem, który nie miał w sobie ciepła; wiatr chwiał koronkowym obszyciem jej pantalonów. Było zimniej, niż przypuszczała, otuliła się więc mocniej cienkim płaszczem ciotki Pitty i dygotała z zimna i niecierpliwości. W chwili kiedy postanawiała już iść pieszo w długą drogę do koszar jankeskich, ukazał się na ulicy pogruchotany wóz. Powoziła nim stara kobieta z ustami pełnymi tytoniu, z twarzą ogorzałą od wiatru, mimo osłony spłowiałego czepka. Poganiała sennego muła w stronę ratusza i niezbyt chętnie zgodziła się podwieźć Scarlett. Widać jednak było, że suknia, czepki i mufka nie wzbudzają w niej zaufania.

„Myśli pewnie, że jestem kokotą - pomyślała Scarlett. - Nie wiadomo, czy się myli!”

Kiedy wreszcie zbliżały się do rynku i z daleka ukazała się biała kopuła ratusza, podziękowała kobiecie, zsiadła z wozu i poczekała, aż babina odjedzie. Rozejrzała się ostrożnie, czy nikt na nią nie patrzy, potem zaś zaczęła się szczytać w policzki, aby stały się rumiane, i przygryzać wargi, aby były czerwiejsze. Poprawiła sobie kapelusz i włosy i rozejrzała się po placu. Dwupiętrowy ratusz z czerwonej cegły przetrwał pożar miasta, ale pod ołowianym niebem wyglądał nędznie i nieporządknie. Otaczały go ciasno, całkowicie wypełniając dość obszerny plac, rzędy baraków wojskowych, brudnych i obryzanych błotem. Żołnierze jankescy kręcili się wszędzie, Scarlett popatrzyła na nich niepewnie i opuściła ją jakoś odwaga. Jak zdoła odnaleźć Retta w tym obozie nieprzyjaciela?

Spojrzała w stronę budynku straży ogniowej: szeroka sklepiona brama była zamknięta i zaryglowana, a po obu jej stronach przechadzali się dwaj wartownicy. Tam uwięziony był Rett. Co jednak ma powiedzieć jankeskim żołnierzom? Co oni jej powiedzą? Wyprostowała się nagle. Jeżeli nie bała się zabić jednego Jankesa, nie powinna się bać zagadać do innych.

Zaczęła się ostrożnie posuwać po kamieniach błotnistej uliczki, aż ją zatrzymał wartownik w płaszczu zapiętym pod samą szyję.

- Czego sobie pani życzy? - Głos jego miał dziwne, nosowe brzmienie, ale był pełen

szacunku i grzeczności.

- Chciałabym się zobaczyć z pewnym panem - jest tutaj uwięziony.

- Ja o niczym nie wiem - rzekł wartownik drapiąc się w głowę. - Nie bardzo chętnie pozwalają na widzenia i... - Przerwał i spojrzał bystro na Scarlett. - Na Boga, proszę pani! Niech pani nie płacze! Niech pani idzie do dowództwa i poprosi kogoś z oficerów. Pewnie pozwolą pani zobaczyć się z nim.

Scarlett, która wcale nie miała zamiaru płakać, uśmiechnęła się teraz do żołnierza. Odwrócił się do drugiego wartownika, który wolno obchodził swoją rundę. - Hej, Bili! Chodź no tutaj!

Drugi żołnierz, barczysty chłop, otulony niebieskim płaszczem po same uszy, tak że widać było tylko zawadiackie czarne wąsiki, podszedł ku nim przez kałużę.

- Zaprowadź tę panią do dowództwa.

Scarlett podziękowała żołnierzowi i poszła za wartownikiem.

- Niech pani uważa i nie wykręci sobie kostki na tych kamieniach - rzekł żołnierz biorąc ją pod rękę. - I może pani trochę podniesie spódnicę, aby nie uwałać jej błotem.

Głos wydobywający się spod wąsów brzmiał tak samo nosowo jak poprzedni, ale był miły i uprzejmy, a dłoń podtrzymująca ją - mocna i pełna szacunku. Jankesi naprawdę nie byli tacy straszni!

- Bardzo dziś zimno. Damy nie powinny w taką pogodę wychodzić - rzekł jej towarzysz. - Czy pani z daleka przyszła?

- O tak, z przeciwnej strony miasta - odparła mniej oziębłe, bo żołnierz miał miły głos.

- Nie powinna pani była wychodzić na taką pogodę - rzekł żołnierz z wymówką - powietrze jest teraz bardzo zdradliwe. Tutaj jest komenda placu, proszę pani... Co pani jest?

- Czy w tym domu... tutaj jest wasze dowództwo? - Scarlett spojrzała na piękny stary dom na rynku i zaczęło jej się zbierać na płacz. Podczas wojny bywała tutaj często na przyjęciach. Był to wesoły, przyjemny dom, a teraz... teraz powiewała na nim wielka flaga Stanów Zjednoczonych.

- Co się stało?

- Nic... tylko... tylko znałam ludzi, którzy tutaj mieszkali.

- O, to bardzo przykre. Myślę, że oni sami by tego domu nie poznali, gdyby go teraz zobaczyli, bo z pewnością został przewrócony do góry nogami. Niech pani teraz tu wejdzie i zapyta o kapitana.

Scarlett weszła po schodach, gładząc połamane białe poręcze, i pchnęła drzwi frontowe. Hali był mroczny i zimny jak piwnica. Dygocą :y wartownik opierał się o rozsuwane drzwi,

teraz zamknięte, a w lepszych czasach prowadzące do jadalni.

- Chciałabym się zobaczyć z kapitanem - powiedziała.

Rozsunął drzwi i Scarlett weszła do pokoju. Serce biło jej mocno, twarz miała zarumienioną z zakłopotania i zdenerwowania. W pokoju panował zaduch, spowodowany ogniem kopącym w kominku, dymem tytoniu, zapachem skóry, wilgotnych mundurów i nie domytych ciał. Widziała przed sobą niezbyt jasno nagie ściany o podartych tapetach, na hakach rzędy niebieskich płaszczy i kapeluszy o szerokich rondach, ogień na kominku, długi stół pokryty papierami i grupę oficerów w niebieskich mundurach z mosiężnymi guzikami.

Głośno przełknęła ślinę i odzyskała mowę. Nie da tym Jankesom poznać, że się boi. Musi wyglądać możliwie najładniej i zachowywać się z zupełną swobodą.

- Czy jest tutaj kapitan?

- Ja jestem kapitanem - rzekł tęgi mężczyzna w rozpiętej kurtce.

- Chciałabym się zobaczyć z kapitanem Butlerem, który jest tutaj uwięziony.

- Znowu Butler? Ależ ten człowiek ma powodzenie! - zaśmiał się kapitan wyjmując z ust rozmiękle cygaro. - Czy pani jest jego krewną?

- Tak, jestem... jego... jego siostrą.

Znowu się zaśmiał.

- Ma widać bardzo dużo sióstr, jedna już była tutaj wczoraj.

Scarlett zarumieniła się. Pewnie jedna z tych kreatur, z którymi się Rett zadawał, może nawet Bella Watling. A Jankesi z pewnością sądzą, że ona także jest jedną z nich. Było to nie do zniesienia. Nawet dla Tary nie wytrzyma tego ani chwili dłużej i nie pozwoli się obrażać. Odwróciła się ku drzwiom i ze złością sięgnęła do klamki, kiedy doszedł do niej szybko inny oficer. Był młody i starannie ogolony i miał wesołe, przyjazne oczy.

- Chwileczkę, proszę pani. Może zechce pani usiąść przy ogniu, w ciepłe? Zobaczą, co będę mógł w tej sprawie zrobić. Jak pani godność? Butler nie chciał zobaczyć tej... pani, która była tu wczoraj.

Osunęła się na podane krzesło, piorunując wzrokiem tęgiego kapitana, i podała swoje nazwisko. Sympatyczny młody oficer zarzucił płaszcz na ramiona i wyszedł z pokoju, pozostali zaś wojskowi skupili się przy dalszym końcu stołu i tam rozmawiali ze sobą przyciszonymi głosami, przerzucając jakieś papiery. Scarlett wyciągnęła nogi przed ogniem, uświadamiając sobie po raz pierwszy, że są zmarznięte, i żałując, że nie włożyła kawałka tektury do pantofla, który miał dziurę w podeszwie. Po pewnym czasie usłyszała szept głosów za drzwiami i śmiech Retta. Drzwi otworzyły się, zimny przewiew wtargnął do pokoju, wszedł Rett, bez kapelusza, w długiej pelerynie zarzuconej niedbale na ramiona. Był brudny, nie

ogolony i bez krawata, ale mimo to jakiś ożywiony, a w ciemnych jego oczach pojawił się na jej widok błysk radości.

- Scarlett!

Wziął obie jej dłonie w swoje i jak zwykle, tak i teraz uścisk jego był gorący, podniecający i żywotny. Zanim zdążyła się spostrzec, pochylił się i pocałował ją w policzek, a wąsy jego musnęły ją lekko. Czując, że cofa się ze zdumienia, objął ją mocno, powiedział: - Moja droga, mała siostrzyczko! - i roześmiał się do niej, jak gdyby zadowolony, że nie może się teraz opierać jego pieścizdom. Musiała się także roześmiać, bo dobrze wykorzystał tę okazję. Jakież to był szelma! Więzienie nie zmieniło go ani na jotę.

Tęgi kapitan nie wyjmując cygara z ust mruczał coś do oficera o wesołych oczach.

- Wbrew przepisom. Powinien być w remizie. Znasz rozkazy.

- Och, na miłość boską, Henryku! Ta pani zmarzłaby w tej szopie.

- No, dobrze już, dobrze. Ale ty będziesz za to odpowiadał.

- Zapewniam was, panowie - rzekł Rett odwracając się do nich, ale nie wypuszczając Scarlett z objęć - że moja... siostra nie przyniosła mi piły ani pilnika, aby mi pomóc w ucieczce.

Wszyscy się roześmieli. Scarlett rozejrzała się dokoła. Wielkie nieba, czyż będzie musiała rozmawiać z Rettem w obecności sześciu jankeskich oficerów? Czy był aż tak niebezpiecznym więźniem, że nie mogli go ani na chwilę spuścić z oczu? Widząc jej niespokojne spojrzenie sympatyczny oficer otworzył drzwi i powiedział parę słów do dwóch szeregowych, którzy widząc go zerwali się na równe nogi. Wzięli karabiny na ramiona i wyszli do hallu zamykając za sobą drzwi.

- Widzisz, jakim ja jestem niebezpiecznym człowiekiem, Scarlett? - rzekł Rett. - Dziękuję bardzo, panie kapitanie. To bardzo z pana strony uprzejmie.

Sklonił się niedbale i biorąc Scarlett pod ramię pomógł jej wstać i poprowadził do brudnego pokoju. Nie mogła sobie nigdy potem przypomnieć, jaki był ten pokój, pamiętała tylko, że był mały i ciemny, niezbyt ciepły, że do poniszczonych ścian przybite były zapisane kartki papieru i że krzesła kryte były nie garbowaną skórą. Rett zamknawszy drzwi podszedł do niej szybko i pochylił się nad nią. Wyczuwając jego pragnienie szybko odwróciła głowę, ale spod przymkniętych powiek uśmiechnęła się do niego prowokująco.

- Czy dasz mi się teraz porządnie pocałować?

- W czoło, jak przystało bratu - odpowiedziała z przesadną skromnością.

- Dziękuję, nie. Wolę poczekać na lepsze czasy. - Oczy jego spoczęły na długą chwilę na jej ustach. - Ale jak to dobrze, żeś mnie przyszła odwiedzić, Scarlett! Jesteś pierwszą

szanującą się obywatelką, która mnie odwiedza od mego uwięzienia, a siedzenie w tym przybytku pozwala cenić prawdziwych przyjaciół. Kiedy przyjechałaś do Atlanty?

- Wczoraj po południu.

- I dziś rano już przyszedłeś? Ależ moja droga, jesteś dla mnie więcej niż dobra. - Uśmiechnął się do niej z wyrazem szczerzej wdzięczności. Scarlett uśmiechnęła się do siebie i opuściła głowę jak gdyby w zakłopotaniu.

- To zrozumiałe, że przyszedłam tu przede wszystkim. Ciotka Pitty opowiedziała mi o tobie wczoraj... nie mogłam więc spać przez całą noc, bo ciągle myślałam, jakie to straszne. Rett, jestem po prostu w rozpacz!

- Ależ Scarlett!

Głos jego był cichy i trochę drżący. Patrząc w jego ciemną twarz Scarlett nie dostrzegła w niej teraz zwykłego sceptycyzmu ani ironii, którą znała tak dobrze. Pod jego spojrzeniem musiała spuścić oczy w niekłamanym zmieszaniu. Sprawy układały się lepiej, niż mogła przypuszczać.

- Warto mi siedzieć w więzieniu, jeżeli mogę cię znowu widzieć i słyszeć od ciebie takie słowa. Nie wierzyłem własnym uszom, kiedy mi powiedziano twoje nazwisko. Widzisz, nie przypuszczałem wcale, że mi wybaczysz mój patriotyczny czyn owej nocy na drodze do Rough and Ready. Przypuszczam, że wizyta twoja znaczy, żeś mi przebaczyła?

Czuła, że na myśl o owej nocy, nawet po upływie tak długiego czasu, ogarnia ją znowu gniew, opanowała się jednak i mocno potrząsnęła głową, aby zabrzęczały kolczyki.

- Nie, nie przebaczyłam ci - powiedziała i wydeła usta.

- A zatem jeszcze jedna zawiedziona nadzieja. I mówisz to, mimo że poświęciłem się dla ojczyzny, walczyłem boso w śniegu pod Franklinem i nabawiłem się w nagrodę najwspanialszej dyzenterii, jaka kiedykolwiek istniała.

- Nie chcę nic wiedzieć o twoich... kłopotach - powiedziała, ciągle jeszcze nadąsana, ale uśmiechnęła się do niego. - Wciąż jeszcze uważam, że postąpiłeś podle owej nocy, i nie mam zamiaru nigdy ci tego przebaczyć. Zostawiłeś mnie samą, kiedy Bóg wie co mogło mi się przytrafić!

- Ale nic ci się nie przytrafiło. Widzisz więc, że moje zaufanie do ciebie było zupełnie usprawiedliwione. Wiedziałem, że dojedziesz cało do domu i że biedny będzie ten Jankes, który stanie na twojej drodze!

- Rett, dlaczego zrobiłeś rzecz tak głupią i zaciągnąłeś się do wojska w ostatniej chwili, mimo żeś wiedział, że zostaniemy pobici? Zwłaszcza że tyle wymyślałeś na idiotów, którzy narażają się na pewną śmierć!

- Scarlett, oszczędź mnie teraz! Nie posiadają się ze wstydu, ilekroć o tym myślę.

- Bardzo się cieszę, że wstydzisz się przynajmniej tego, jak postąpiłeś w stosunku do mnie.

- Nie rozumiesz mnie. Przykro mi powiedzieć, że sumienie w najmniejszym stopniu mnie nie gryzie, że ciebie opuściłem. Co się zaś tyczy zaciągnięcia do wojska... kiedy myślę o tym, że wstąpiłem do szeregów w lakierowanych butach, w białym płóciennym ubraniu i z parą pistoletów do pojedynku... I przypominam sobie te mile marszów po zimnym śniegu, kiedy zdarły mi się buty, kiedy nie miałem płaszcza ani nic do jedzenia... Nie mogę zrozumieć, dlaczego nie zdezerterowałem. To było najczystsze szaleństwo. Ale to się już ma we krwi. Południowcy nie potrafią się oprzeć pokusie walki o przegraną sprawę. Mniejsza jednak o moje motywacje. Wystarczy mi, żeś mi przebaczyła.

- Wcale nie. Uważam, że jesteś podły. - Powiedziała jednak ostatnie słowo tak słodko, jak gdyby mówiła „kochany”.

- Nie blaguj. Przebaczyłaś mi na pewno. Młode damy nie narażają się jankeskim żołnierzom, aby odwiedzić więźnia z samej tylko litości, i nie zjawiają się w więzieniu w piórkach, aksamitach i fokowych muflach. Scarlett, jakże ty ślicznie wyglądasz! Bogu dzięki, że nie nosisz łachmanów ani żałoby! Tak mi się znudziły kobiety w wyszarżanych sukniach i wiecznej krepie. Wyglądasz jak z Rue de la Paix. Odwróć się, moja droga, chcę ci się przyjrzeć.

A więc zauważył jej suknię. No tak, Rett na tego rodzaju rzeczy zawsze zwracał uwagę. Roześmiała się lekko podniecona i obróciła na czubkach palców z wyciągniętymi ramionami, aby było widać spod chwiejącej się krynoliny jej brzeżone koronką pantalonek. Czarne oczy Retta objęły ją spojrzeniem od głowy po stopy, dawnym beczelnym spojrzeniem, które obnażało ją i przyprawiało o gęsią skórę.

- Wyglądasz bardzo zamożnie i jesteś bardzo, bardzo elegancka. Miałbym ochotę cię zjeść. Gdyby nie ci Jankesi za drzwiami... ależ nic ci nie grozi, moja droga. Usiądź. Nie chcę ci się teraz tak narzucać jak za ostatnim naszym widzeniem. - Potarł rękę o policzek z udanym zakłopotaniem. - Przyznaj się, Scarlett, czy nie uważasz, że byłaś trochę samolubna owej nocy? Pomyśl tylko, ile dla ciebie zrobiłem - naraziłem życie, ukradłem konia - i jakiego w dodatku! Poszedłem bronić naszej świętej sprawy! I co otrzymałem w zamian za swoje trudy? Kilka ostrych słów i bardzo bolesny policzek.

Usiadła. Rozmowa nie szła w przewidzianym przez nią kierunku. Rett wydawał się tak miły, kiedy ją zobaczył, tak szczerze zadowolony, że przyszła. Wydawał jej się prawie ludzką istotą, a nie przekornym łotrem, którego tak dobrze знаła.

- Czy zawsze musisz coś dostawać za swoje trudy?

- Rozumie się! Jak zapewne wiesz, jestem potwornym egoistą. Zawsze oczekuję zapłaty za wszystko, co daję.

Znowu ją te słowa zmroziły, opanowała się jednak i potrząsnęła kolczykami.

- Och, nie jesteś wcale taki zły, Rett. Lubisz się tak tylko przechwalać.

- Daję słowo, żeś się zmieniła! - powiedział śmiejąc się. - Co z ciebie uczyniło chrześcijankę? Dopytywałem się o ciebie u panny Pitty, która wcale mi nie dała do zrozumienia, że rozwinęłaś w sobie kobiecą łagodność. Powiedz mi jeszcze coś o sobie, Scarlett. Coś robiła od czasu, gdy cię ostatni raz widziałem?

Dawna złość i niechęć do Retta znowu rozplomieniła jej serce. Chciała mu powiedzieć kilka dotkliwych słów. Zamiast tego uśmiechnęła się jednak, pokazując mu dołeczki w policzkach. Przysunął swoje krzesło do jej krzesła, pochyliła się więc i położyła mu rękę na ramieniu, łagodnie i na wpół bezwiednie.

- Dziękuję, powodziło mi się nieźle i wszystko w Tarze jest teraz w zupełnym porządku. Mieliśmy wprawdzie straszne czasy po przejściu Shermana, ale nie spalili nam domu, Murzyni zaś uratowali większą część bydła, bo wygnali zwierzęta na moczary. Jesienią mieliśmy ładny zbiór, około dwudziestu bel bawełny. Pewnie, że to prawie nic w porównaniu z dawną wydajnością Tary, ale mamy niewielu parobków. Ojciec mówi, że na przyszły rok będzie znacznie lepiej. Tylko że, Rett, na wsi jest teraz tak nudno! Wyobraź sobie, że nie ma balów ani pikników, a ludzie nie przestają mówić o ciężkich czasach! Boże, jak mnie to wszystko nudzi! W zeszłym tygodniu już tak mi było smutno, że nie mogłam dłużej wytrzymać, więc papa powiedział mi, abym wyjechała i rozerwała się trochę. Przyjechałam więc, aby sobie coś sprawić, a potem pojedę do Charlestonu z wizytą do ciotki. Bardzo będzie przyjemnie móc znowu chodzić na bale.

„No - pomyślała z dumą - wyaplałam te bzdury z doskonale obojętną miną! Zrozumie, że nie jesteśmy już bogaci, ale z pewnością jeszcze nie biedni!”

- Ślicznie wyglądasz w sukniach balowych, Scarlett, co gorsza zaś, wiesz o tym dobrze! Mam wrażenie, że istotnym powodem twojego wyjazdu jest to, żeś się już zmęczyła wielbicielami z powiatu i chcesz sobie poszukać nowych w dalekich stronach.

Scarlett z ulgą przypomniała sobie, że Rett spędził kilka ostatnich miesięcy za granicą i dopiero niedawno wrócił do Atlanty. W przeciwnym wypadku nie- mógłby powiedzieć czegoś równie śmiesznego. Pomyślała krótko o „wielbicielach” z powiatu - wynędzniałych i zgorzkniałych Fontaine'ach, walczących z nędzą młodych Munroe'ach, o złotych młodzieńcach z Jonesboro i Fayetteville, tak zajętych oraniem, ciosaniem palików na płoty i

leczeniem starych chorych zwierząt, że zupełnie zapomnieli o istnieniu balów i przyjemnych flirtów. Przestała jednak o tym obecnie myśleć i zachichotała z pewnym zakłopotaniem, przyznając mu całkowitą rację.

- Och, zresztą... - zaczęła pojednawczo.

- Jesteś istotą bez serca, Scarlett, ale może na tym polega tajemnica twego uroku. - Uśmiechnął się po dawnemu opuszczając jeden kącik ust, wiedziała jednak, że słowa te są komplementem. - Wiesz o tym doskonale, że masz więcej uroku, niż powinno być dozwolone prawem. Nawet ja, zatwardziały grzesznik, to odczuwam. Zastanawiałem się niejednokrotnie, dlaczego zawsze o tobie pamiętam, chociaż znam wiele pań ładniejszych od ciebie i z pewnością mądrzejszych, i obawiam się, o wiele bardziej prawych i dobrych. A jednak nigdy nie mogłem o tobie zapomnieć. Nawet w ciągu tego czasu, który spędziłem we Francji i w Anglii, gdy nie widziałem cię, nie słyszałem o tobie i doskonale się bawiłem w towarzystwie wielu pięknych pań, pamiętałem cię i często myślałem, co też tutaj porabiasz.

Przez chwilę była oburzona, iż śmiał powiedzieć, że istnieją kobiety ładniejsze, mądrzejsze i lepsze od niej, ale chwilowy ten gniew szybko minął pod wpływem przyjemności, że Rett pamiętał ją i jej wdzięki. Nie mógł jej zapomnieć! To bardzo uprości sprawę. I zachowywał się bardzo poprawnie, prawie jak prawdziwy dżentelmen w podobnych okolicznościach. Teraz powinna była zwrócić rozmowę na temat jego osoby i dać mu do zrozumienia, że i ona o nim nie zapomniała, a wtedy...

Lekko uściśnęła jego ramię i znowu pokazała dołeczki.

- Och, Rett, jakże tak możesz dokuczać takiej wieśniaczce jak ja! Wiem doskonale, że nie myślałeś o mnie wcale od owej nocy. Nie wmówisz mi przecież, że pamiętałeś o mnie przebywając w towarzystwie wszystkich tych pięknych Francuzek i Angielek. Ale nie po to tu przyszedłem, aby słuchać twoich głupstw o mnie... Przyszedłem... przyszedłem... ponieważ...

- Ponieważ?

- Och, Rett! Tak się o ciebie boję! Kiedyż oni wypuszczą cię wreszcie z tego okropnego więzienia?

Szybko pokrył jej dłoń swoją dłonią i mocno przycisnął do siebie.

- Zmartwienie twoje bardzo ci się chwali. Trudno przewidzieć, kiedy stąd wyjadę. Prawdopodobnie w chwili, gdy będzie założony stryczek.

- Stryczek?

- Tak, zdaje się, że pójdę prosto na szubienicę.

- Przecież chyba cię nie powieszają?

- Powieszają, jeżeli potrafią dowieść mi winy.

- Och, Rett! - zawołała z ręką na sercu.

- Czy będziesz się naprawdę martwiła? Jeżeli zmartwisz się choć trochę, zapiszę ci coś w spadku.

Ciemne jego oczy śmiały się do niej beztróska i znowu ścisnął jej rękę.

W spadku! Szybko opuściła wzrok bojąc się, aby się nie zdradzić, nie dość szybko, bo oczy Retta zaświeciły nagłą ciekawością.

- Zdaniem Jankesów powinienem zostawić piękny spadek. W chwili obecnej zdają się bardzo interesować moimi finansami. Co dzień taszczą mnie przed inną komisję śledczą i zasypują głupimi pytaniami. Kursuje podobno pogłoska, jakobym to ja uciekł z mitycznym złotem Konfederacji.

- No, a czy tak nie jest?

- Jakież to istotne pytanie! Wiesz równie dobrze jak ja, że Konfederacja prowadziła zakłady drukarskie zamiast mennicy.

- A skąd masz tyle pieniędzy? Czy zarobiłeś na spekulacjach? Ciotka Pitty mówi...

- Jakież ty kłopotliwe pytania zadajesz!

A niechże go! Rozumie się, że ma te pieniądze. Była tak podniecona, że z trudem jej przychodziło udawać zainteresowanie Rettem.

- Rett, ja się tak strasznie martwię, że ty tutaj siedzisz. Czy jest nadzieja, że cię stąd wypuszczą?

- Nihil desperandum - oto moje motto.

- Co to znaczy?

- To znaczy „być może”, moja urocza ignorantko.

Zatrzepotała powiekami podnosząc na niego wzrok. Po chwili znowu opuściła oczy.

- Och, jesteś zbyt mądry, aby się im pozwolić powiesić! Wiem, że wymyślisz jakiś sprytny sposób, aby ich przekonać o swojej niewinności i wydostać się stąd! A kiedy się wydostaniesz...

- A kiedy się wydostanę? - zapytał cicho, przysuwając się bliżej.

- Wtedy ja... - udała śliczne zmieszanie i zarumieniła się. Rumieniec nie przyszedł jej z trudem, bo brakło jej naprawdę tchu i serce waliło jak młotem. - Rett, przepraszam cię za to, co powiedziałam... tej nocy... wiesz... pod Rough and Ready. Byłam... tak bardzo przerażona i zdenerwowana, a ty byłeś tak... tak... - Spuściła oczy i poczuła, że ciemna jego dłoń zacieśnia uścisk na jej dłoni. - I... sądziłam, że nigdy ci już nie przebaczę! Ale kiedy ciotka Pitty powiedziała mi wczoraj, że jesteś... Że mogą cię powiesić... zrozumiałam nagle, że... że... - Spojrzała mu w oczy szybko i błagalnie i w spojrzeniu tym zawarła rozpacz złamanego serca.

- Och, Rett, umrę, jeżeli cię powiesz! Nie zniosę tego! Widzisz, ja... - I ponieważ nie mogła dłużej znieść gorącego blasku jego oczu, znowu opuściła powieki.

„Za chwilę zacznę płakać - pomyślała ze zdumieniem i zakłopotaniem. - Czy mam zacząć płakać? Czy wyda mu się to bardziej naturalne?”

Powiedział szybko: - Boże mój, Scarlett, nie chcesz przecież powiedzieć, że mnie... - i dłonie jego zamknęły się na jej dłoniach tak mocno, że aż ją to zabolalo.

Szczelnie przymknęła oczy starając się wydusić z nich łzy, pamiętała także i o tym, aby lekko podnieść głowę, by Rett mógł ją bez trudu pocałować. Zaraz, za chwilę, usta jego spoczną na jej ustach, twarde, natarczywe wargi, które przypomniała sobie nagle tak żywo, że aż poczuła się słabo. Rett nie pocałował jej jednak. Rozczarowana i zdziwiona, odemknęła trochę oczy i spojrzała ukradkiem na niego. Czarna jego głowa pochylona była nad jej rękami. Podczas gdy go obserwowała, podniósł jedną jej rękę i pocałował, drugą zaś przyłożył sobie na chwilę do policzka. Zdumiała się tym łagodnym i pełnym miłości gestem, bo spodziewała się objawów namiętności. Była ciekawa, jak Rett teraz wygląda, ale nie widziała jego twarzy, bo głowę miał nisko pochyloną.

Szybko spuściła oczy, aby nie widział ich spojrzenia, w razie gdyby nieoczekiwanie podniósł głowę. Wiedziała, że uczucie tryumfu, który ją wypełniał, odmaluje się wyraźnie w jej oczach. Za chwilę poprosi o jej rękę albo przynajmniej powie, że kocha ją, wtedy zaś... Kiedy obserwowała go tak zza zasłony rzęs, odwrócił jej rękę dłonią do góry, aby i dłoń także pocałować, i nagle szybko zaczerpnął powietrza. Schylając się trochę, spojrzała na własną dłoń, przyjrzała się jej dokładnie po raz pierwszy od roku i ogarnął ją przeraźliwy strach. Była to dłoń nieznanym, nie bezsilna, biała, miękka dłoń Scarlett O'Hara. Ręka jej była spracowana, opalona, poplamiona piegami. Paznokcie były połamane i nierówne, na poduszczykach dłoni miała duże odciski, na kciuku - na wpół zagojony pęcherz. Czerwona blizna po oparzeniu gorącym tłuszczem była brzydka i błyszcząca. Popatrzyła z przerażeniem na rękę i mimo woli zacisnęła ją w pięść.

Rett ciągle jeszcze nie podnosił głowy. Wciąż jeszcze nie widziała jego twarzy. Siłą otworzył jej zaciśniętą pięść i znowu przyglądał się dłoni, potem wziął drugą rękę i patrzył na obydwie w milczeniu.

- Spójrz na mnie - powiedział wreszcie, podnosząc głowę, a głos jego brzmiał bardzo spokojnie. - I przestań się patrzeć na mnie tak pokornie.

Wbrew woli spojrzała mu w oczy, a na twarzy jej odmalowało się zmieszanie i wyzwanie. Czarne jego brwi były podniesione, a oczy płonęły.

- Twierdzisz więc, że w Tarze wszystko układa się pomyślnie, prawda? Zebrałaś tyle

pieniędzy ze zbiorów, że możesz jeździć z wizytami. A co robiłaś rękami, czyś orała?

Starła się wyrwać mu dłonie, Rett jednak trzymał je mocno i palcem wodził po odciskach. - To nie są ręce damy - rzekł i położył je na kolanach.

- Och, uspokój się! - zawołała odczuwając niewymowną ulgę, że może wreszcie mówić szczerze. - Kogo to może obchodzić, co robię swoimi rękoma?

„Jakaż ja jestem głupia - pomyślała z pasją. - Powinnam była pożyczyć czy choćby ukraść rękawiczki ciotki Pitty. Nie zdawałam sobie jednak sprawy, że moje ręce aż tak źle wyglądają. Mogłam się była spodziewać, że je zauważy. A teraz rozzłościłam się i wszystko prawdopodobnie zepsułam. Och, że też to musiało się zdarzyć w chwili, gdy był bliski oświadczenia się!”

- Mnie to z pewnością nic nie obchodzi - rzekł Rett chłodno i rozparł się leniwie na krześle, z twarzą znowu nieodgadnioną.

A więc będzie znowu przykry. Trudno, będzie musiała i to znieść łagodnie, aby obronną ręką wyjść z tej opresji, choć było to jej bardzo nie w smak. Gdyby znowu spróbowała czule przemawiać...

- Jesteś bardzo niemiły, że tak mi wypominasz stan moich biednych rąk. Dlatego że w zeszłym tygodniu pojechałam konno bez rękawiczek i trochę je zniszczyłam...

- Jeździłaś konno, a juźci! - powiedział chłodno jak przedtem. - Pracowałaś tymi dłońmi, pracowałaś jak Murzyn. Co na to odpowiesz? Dlaczego kłamałaś mówiąc, że w Tarze wszystko w porządku?

- Ależ Rett...

- Może wolisz, abyśmy się postarali wspólnie dociec prawdy. Jaki jest prawdziwy cel twojej wizyty? Zdołałaś już prawie mnie przekonać swymi kokieterijnymi minkami, że zależy ci na mnie i że mnie żałujesz.

- Och, przecież żałuję cię! Naprawdę...

- Nie, to nieprawda. Mogą mnie powiesić wyżej niż Hamana, a to cię nic nie obejdzie. To jest równie wyraźnie wypisane teraz na twojej twarzy, jak ciężka praca wypisana jest na twoich dłoniach. Potrzebujesz czegoś ode mnie, potrzebujesz tak bardzo, że warto ci było odegrać komedię. Dlaczego nie powiedziałaś mi tego wyraźnie i nie byłaś szczerą? Miałabyś znacznie większe szansę, że spełnię twoją prośbę, bo w kobietach cenię jedynie szczerłość. Ale nie, przyszłaś tu potrząsając kolczykami, strojąc minki i mizdrząc się jak prostytutka do puszczańskiego klienta.

Nie podniósł wcale głosu na ostatnich słowach ani w inny sposób nie podkreślił, ale Scarlett wydały się jak smagnięcie batem i z rozpaczą w sercu pożegnała się z resztkami

nadziei, że Rett poprosi ją o rękę. Gdyby wybuchnął gniewem i zranioną miłością własną czy robił jej wyrzuty, jak to uczyniliby inni mężczyźni, umiałaby sobie z nim poradzić. Śmiertelny jednak spokój jego głosu przeraził ją, zdezorientował co do następnego posunięcia. Mimo że Rett był w więzieniu i że w sąsiednim pokoju siedzieli Jankesi, zrozumiała nagle, że jest zbyt niebezpiecznym mężczyzną, aby mu się narażać.

- Zawiodła mnie prawdopodobnie pamięć. Nie powinienem był zapomnieć, że jesteś zupełnie do mnie podobna i że nigdy nie robisz niczego bezinteresownie. Poczekaj, zastanowimy się nad tym razem. Co też takiego mogłaś zamyślać, pani Hamilton? Niemożliwe przecież, abyś się tak omyliła, by przypuszczać, że zaproponuję ci małżeństwo?

Twarz Scarlett stała się purpurowa. Nic nie odpowiedziała.

- Bo czyżbyś mogła zapomnieć o moich często powtarzanych słowach, że nie należę do mężczyzn, którzy się żenią?

Ponieważ w dalszym ciągu milczała, powiedział z nagłą gwałtownością:

- Czy zapomniałaś? Odpowiedz.

- Nie zapomniałam - powiedziała bezradnie.

- Cóż z ciebie za ryzykant, Scarlett - zadrwił. - Zdawało ci się, iż odcięcie od towarzystwa kobiet tak na mnie podziała, że złapię się na twoje sztuczki jak ryba na haczyk.

„A właśnie żeś się złapał - myślała Scarlett z wewnętrzną pasją - i gdyby nie moje ręce...”

- A więc znamy teraz już większą część prawdy, wszystko, prócz twoich pobudek. Postaraj się opowiedzieć mi teraz, dlaczego chciałaś mnie doprowadzić do małżeństwa.

W głosie jego zabrzmiała łagodna, prawie przyjazna nutka, więc Scarlett nabrała otuchy. Może jednak nie wszystko przepadło. Pewnie, że należało pogrzebać nadzieję małżeństwa, ale mimo zakłopotania była z tego raczej zadowolona. W tym siedzącym bez ruchu mężczyźnie było coś tak niesamowitego, że myśl o małżeństwie z nim wydała jej się teraz straszna. Może jednak, jeżeli będzie ostrożna i zagra na jego współczuciu i wspomnieniach, będzie mogła uzyskać pożyczkę. Ułożyła twarz w błagalną i dziecinną minkę.

- Och Rett, możesz mi bardzo pomóc, gdybyś tylko chciał być dobry.

- Niczego więcej nie pragnę niż być dla ciebie... dobry...

- Rett, że względu na naszą dawną przyjaźń chcę, abyś mi wyświadczył pewną przysługę.

- A więc wreszcie dama z odciskami na dłoniach zdecydowała się przejść do sedna rzeczy. Zawsze mi się wydawało, że wizyty u chorych i uwięzionych nie są właściwą twoją

rolą. Czego zatem chcesz? Pieniądzy?

Szczerłość jego pytania zniweczyła nadzieję, że zdoła przejść do tej sprawy bardziej okólną i sentymentalną drogą.

- Nie bądź wstrętny, Rett - zaczęła przypochlebnie. - To prawda, że potrzeba mi trochę pieniędzy. Chcę, abyś mi pożyczył trzysta dolarów.

- A więc nareszcie prawda! Mówi się o miłości, a myśli o pieniądzach. Jakie to typowo kobiece! Czy pieniądze są ci bardzo potrzebne?

- O, tak... To jest... nie bardzo, ale mogłyby mi się przydać.

- Trzysta dolarów. To duża suma. Na co jej potrzebujesz?

- Na zapłacenie podatków.

- A więc chcesz pożyczyć ode mnie pieniędzy. Ponieważ traktujesz to jako interes, i ja potraktuję to tak samo. Jaką możesz mi dać gwarancję?

- Jaką co?

- Gwarancję - zabezpieczenie mojej pożyczki. Rozumiesz przecież, że nie chciałbym stracić całej tej sumy. - Głos jego był zdradziecko uprzejmy, prawie jedwabisty, ale Scarlett nie zauważyła tego prawie. Może wszystko ułoży się jeszcze gładko.

- Moje kolczyki.

- Niepotrzebne mi kolczyki.

- Dam ci hipotekę na Tarę.

- A cóż mi po fermie?

- No, mógłbyś... mógłbyś... to doskonała plantacja. Nie straciłbyś na pewno. Zapłacę ci po nowych zbiorach.

- Nie jestem tego tak bardzo pewien. - Odchylił się z krzesłem do tyłu i włożył ręce do kieszeni. - Cena bawełny bardzo spadła. Czasy są ciężkie i o pieniądze trudno.

- Och, Rett, dokuczasz mi umyślnie? Przecież masz miliony. Spojrzenie jego było teraz pełne życzliwej złośliwości.

- A więc wszystko jest w najlepszym porządku i pieniądze „mogłyby ci się przydać”. Bardzo się z tego cieszę. Miło jest wiedzieć, że starym przyjaciołom dobrze się powodzi.

- Och, Rett, na miłość boską... - zaczęła z rozpaczą, tracąc już odwagę i panowanie nad sobą.

- Mów trochę ciszej. Nie chcesz chyba, aby cię słyszeli Jankesi. Czy mówił ci ktoś kiedyś, że masz oczy jak kot... jak kot czający się w ciemnościach?

- Rett, przestań! Powiem ci wszystko. Pieniądze potrzebne mi są bardzo. Kłamałam mówiąc, że wszystko jest w porządku. Wszystko układa się jak tylko może być najgorzej.

Ojciec jest... ojciec zupełnie się zmienił. Zdziwaczał bardzo od czasu śmierci mamy i nie jest w stanie pomagać mi. Zupełnie zdziecinniał. Nie mamy ani jednego parobka do pracy na plantacji, a do wyżywienia jest trzynaście osób. Podatki... podatki są bardzo wysokie. Rett, powiem ci wszystko. Od przeszło roku jesteśmy na skraju nędzy. Och, ty nic nie wiesz! Nie możesz wiedzieć! Nie mamy nigdy dość jedzenia, a to strasznie budzić się głodnym i głodnym kłaść się spać. Nie mamy ciepłej odzieży, dzieci są stale zmarznięte i chore, i...

- Skąd masz tę piękną suknię?

- Uszyta jest z portier mamy - odpowiedziała zbyt zrozpaczona, aby zmyślić coś dla uniknięcia i tego wstydu. - Zniosłam jakoś głód i zimno, ale teraz... teraz Carpetbaggerzy podnieśli nam podatki. Trzeba zapłacić je od razu. Nie mam zupełnie pieniędzy poza jedną pięciodolarową sztuką złota. Muszę mieć pieniądze na podatki! Czy tego nie rozumiesz? Jeżeli ich nie zapłacę, stracę... stracimy Tarę, a nie możemy jej stracić! Nie mogę do tego dopuścić!

- Dlaczego nie powiedziałaś mi przedtem o tym wszystkim, zamiast działać na moje wrażliwe serce, bardzo zawsze miękkie, gdy w grę wchodzi piękne panie? Nie, Scarlett, nie płacz. Próbowалаś już wszystkich sztuczek z wyjątkiem tej jednej i tego już nie zniosę. Odczuwam już i tak wielkie rozgoryczenie, że to pieniądze, a nie moja czarująca osoba była przedmiotem twoich westchnień.

Pamiętała, że często wypowiadał nieprzyjemne prawdy o samym sobie, kiedy tak szydził - z siebie w tym samym stopniu co z innych - szybko więc spojrzała na niego. Czyżby rzeczywiście zraniła jego uczucia? Czy rzeczywiście zależało mu na niej? Czy byłby się jej oświadczył, gdyby nie spojrzał na jej ręce? Czy też chciał tylko ponowić tę obrzydliwą propozycję, którą wysuwał już dwa razy? Jeżeli rzeczywiście ją kocha, zdoła go może ugłaskać. Rett śmiał się cicho do siebie, a czarne jego oczy ślizgały się po niej bez cienia czułości.

- Nie odpowiada mi twoja gwarancja. Nie jestem plantatorem. Co innego mogłabyś mi jeszcze zaproponować?

A więc przyszło to, czego się bała. Trudno! Odetchnęła głęboko i spojrzała mu prosto w oczy, bez kokieterii i słodkich minek, przygotowana na sprostanie temu, czego się obawiała najwięcej.

- Mam... mam jeszcze siebie.

- A więc?

Podbródek jej stał się prawie kwadratowy, a oczy pociemniały.

- Czy pamiętasz pewien wieczór na ganku ciotki Pitty, podczas oblężenia? Powiedziałeś

wtedy... powiedziałaś, że bardzo mnie pragniesz.

Rozparł się wygodniej na krześle i popatrzył na jej napiętą twarz z nieprzeniknionym wyrazem oczu. Coś mu w oczach błyskało, ale nic nie powiedział.

- Powiedziałeś... powiedziałaś, że nigdy żadnej kobiety nie pragnąłeś tak bardzo jak mnie. Jeżeli chcesz mnie jeszcze, mogę być twoją, Rett, zrobię wszystko, co zechcesz, ale na Boga, daj mi rewers na te pieniądze! Słowo moje jeszcze coś znaczy. Przysięgam ci. Nie cofnę się już. Podpiszę ci to, jeżeli zażadasz.

Patrzył na nią dziwnie, ciągle jeszcze nieodgadniony. Szybko mówiąc dalej, nie wiedziała, czy jest ubawiony, czy też czuje do niej wstręt. Gdyby choć słowo powiedział, jedno słowo! Czują, że policzki jej zaczynają płonąć.

- Muszę te pieniądze mieć szybko, Rett. Inaczej wyrzucą nas na dwór, ten przekłety dawny rządcą kupi nasz dom i...

- Chwileczkę. Dlaczego przypuszczasz, że jeszcze cię pragnę? Dlaczego przypuszczasz, że warta jesteś aż trzysta dolarów? Większość kobiet nie ceni się tak wysoko.

Zarumieniła się po nasadę włosów. Upokorzenie jej było zupełne.

- Dlaczego to robisz? Dlaczego nie zostawisz tej fermy i nie przeprowadzisz się do panny Pittypat? Połowa jej domu należy do ciebie.

- Boże święty! - krzyknęła. - Czyś ty zmysły postradał? Przecież nie mogę opuścić Tary! To mój dom. Nie chcę go opuścić. Będę o niego walczyła do ostatniego tchnienia!

- Irlandczycy - powiedział prostując się w krześle i wyjmując ręce z kieszeni - są najdziwniejszym narodem na świecie. Przywiązują wagę do spraw zupełnie nieważnych. Do ziemi na przykład. A przecież każde dwa kawałki ziemi są do siebie podobne. Załatwmy jednak twoją sprawę, Scarlett. Zwracasz się do mnie z pewną propozycją. Dam ci trzysta dolarów, jeżeli zostaniesz moją kochanką.

- Dobrze.

Teraz, gdy padło to nienawistne słowo, poczuła się trochę lepiej i znowu zbudziła się w niej nadzieja. Powiedział: - Dam ci. - W oczach jego pojawiły się diabelskie ognie, jak gdyby był czymś serdecznie ubawiony.

- A przecież kiedy ośmieliłem się zrobić ci dawniej tę propozycję, wyrzuciłaś mnie za drzwi. Rzuciłaś także pod moim adresem wiele brzydkich wyzwisk i mimochodem wspomniałaś, że nie życzysz sobie „kupy dzieciaków”. Nie, moja droga, bynajmniej ci tego nie wypominam. Sądzę tylko, że jesteś pełna sprzeczności. Nie chciałaś tego zrobić dla własnej przyjemności, teraz zaś chcesz to zrobić, aby odpędzić wilka od swoich drzwi. To dowodzi słuszności mojego poglądu, że cnota jest tylko kwestią ceny.

- Och, Rett, po co ty tyle mówisz! Jeżeli chcesz mnie obrażać, proszę bardzo, ale daj mi pieniądze...

Oddychała teraz swobodniej. Znajac Retta przewidywała, że zechce męczyć ją i obrażać, ile się da, aby odpłacić jej za wszystkie jej dawne docinki i obecnie nieudane sztuczki. Zniesie więc i to. Zniesie wszystko. Tara warta jest tego. Przez krótką chwilę wydawało jej się, że znowu jest letnie popołudnie, że niebo jest niebieskie; że leży senna na trawie w Tarze, patrzy na kłębiące się obłoki, czuje zapach białego kwiecica koniczyny i słyszy przyjemne, pracowite brzęczenie pszczół. Jest popołudnie, słychać dalekie skrzypienie wozów wracających z falistych czerwonych pól... Tara warta jest tego, warta nawet więcej.

Podniosła głowę.

- Czy dasz mi pieniądze?

Spojrzał na nią, jak gdyby bardzo ubawiony. Kiedy przemówił, w głosie jego brzmiała nuta brutalności.

- Nie, nie dam!-powiedział.

Przez chwilę nie mogła pojąć tych słów.

- Nie mógłbym ci ich nawet, choćbym chciał. Nie mam przy sobie ani centa. W Atlancie nie mam ani dolara. Mam trochę pieniędzy, owszem, ale nie tutaj. I nie powiem ci, gdzie są ani ile ich jest. Gdybym jednak dał ci na nie przekaz, Jankesi rzuciliby się na mnie jak sfora psów i żadne z nas nic by z nich nie miało. Co na to teraz powiesz?

Twarz Scarlett stała się ziemistozielona, na nosie wyraźniej zaznaczyły się piegi, a skrzywione usta przypominały usta Geralda podczas ataku furii. Porwała się na nogi z nieartykułowanym krzykiem, na którego dźwięk ustały od razu rozmowy w sąsiednim pokoju. Szybki jak pantera Rett przyskoczył do niej, położył jej ciężką dłoń na ustach, otoczył ramieniem talię. Wrywała mu się zajadle, starając się ugryźć go w rękę, kopiąc go po nogach, chcąc wykrzyczeć swoją wściekłość, rozpacz, nienawiść, gorzyc upokorzenia. Wykręcała się na wszystkie strony z żelaznego uścisku jego ramienia, serce jej mało nie pękło, bo ciasny stanik nie pozwalał swobodnie oddychać. Rett jednak trzymał ją tak mocno, tak brutalnie, że bolały ją kości, ręka zaś jego na ustach raniła jej nieledwie szczęki. Twarz jego zbladła teraz pod opalenizną, oczy były pełne niepokoju, kiedy udało mu się wreszcie podnieść ją z podłogi, przycisnąć do piersi i usiąść na krześle. Scarlett bez przerwy usiłowała mu się wyrwać.

- Kochanie, na miłość boską, przestań! Uspokój się! Nie krzycz! Jankesi tu wejdą, jeżeli nie przestaniesz krzyczeć. Uspokój się trochę. Czy chcesz, aby Jankesi zobaczyli cię w takim stanie?

Było jej wszystko jedno, kto ją zobaczy, wypełniało ją tylko jedno pragnienie - zabić Retta. Czuła jednak, że opuszczają ją siły. Nie mogła oddychać, bo Rett ją dusił. Gorset gniótł ją jak żelazna obręcz; uścisk jego ramion sprawiał, że trzęsa się w bezlitosnej nienawiści i pasji. Nagle głos jego stał się cichy i przytłumiony, pochylona nad nią twarz odpłynęła w nieprzyjemną mgłę, która zagęszczała się coraz bardziej - aż przestała widzieć Retta i nie widziała nic.

Kiedy wreszcie zaczęła przychodzić do siebie, była śmiertelnie zmęczona, słaba, zdumiona. Siedziała na krześle, czepek leżał gdzieś obok, Rett bił ją po rękach, a czarne jego oczy przyglądały się jej z niepokojem. Miły młody kapitan starał się wlać jej koniak do ust i rozlewał go po jej szyi. Reszta oficerów stała bezradnie dokoła, szepcząc coś i wymachując rękami.

- Zdaje mi się, że... zemdlałam - powiedziała, a głos jej brzmiał tak słabo, że się przeraziła.

- Wypij to - powiedział Rett biorąc szklanekę od oficera i podsuwając ją do jej ust. Przypomniała sobie wszystko, ale była zbyt zmęczona, aby się złościć.

- Proszę, zrób to dla mnie.

Przełknęła, zachłysnęła się i zaczęła kaszlać, ale Rett znowu podał jej koniak. Piła teraz chciwie; trunk spływał w nią gorącym strumieniem.

- Zdaje mi się, że już jest lepiej, panowie - rzekł Rett - dziękuję wam bardzo za pomoc. Przejęła się tak bardzo wiadomością, że mam zostać stracony.

Oficerowie przestępowali z nogi na nogę. Byli wyraźnie zmieszani, wreszcie odchrząknawszy po kilka razy wyszli z pokoju. Młody kapitan przystanął w drzwiach.

- Jeżeli mógłbym być w czymkolwiek pomocny...

- Nie, dziękuję panu.

Oficer wyszedł zamykając za sobą drzwi.

- Napij się jeszcze - rzekł Rett.

- Nie.

- Napij się.

Przełknęła jeszcze jeden łyk koniak. Ciepło rozeszło jej się po całym ciele, siła zaczęła wracać w drżące dotąd nogi. Odsunęła szklanekę i chciała wstać, ale Rett nie pozwolił jej na to.

- Nie dotykaj mnie. Idę już.

- Jeszcze nie. Poczekaj chwilę. Możesz zemdleć powtórnie.

- Wolę mdleć na ulicy, niż zostać tutaj z tobą.

- Mimo to ja nie chcę, abyś mdlała na ulicy.

- Puść mnie. Nienawidzę cię.

Na te słowa blady uśmiech pojawił się na jego twarzy.

- To już bardziej do ciebie podobne. Czujesz się już z pewnością lepiej.

Siedziała przez chwilę bez ruchu, starając się przywołać na pomoc złość, starając się zebrać siły. Była jednak zanadto zmęczona, aby móc się czymkolwiek przejmować czy nienawidzić. Klęska zaciążyła na niej ołowiem. Postawiła wszystko na jedną kartę i przegrała. Nawet dumę swoją pozwoliła zdeptać. Doszła do kresu wszystkich nadziei. Straciła Tarę, nie będzie mogła utrzymać swoich bliskich. Przez długą chwilę siedziała z zamkniętymi oczyma, słysząc ciężki oddech Retta przy sobie; koniak rozchodził się po jej żyłach, dając złudne poczucie siły i ciepła. Kiedy wreszcie otwarła oczy i spojrzała w twarz Retta, złość zatrzęsała nią znowu. Widząc, że marszczy skośne brwi w grymasie gniewu, Rett uśmiechnął się jak dawniej.

- Teraz dopiero czujesz się lepiej. Poznają to po twoim groźnym marsie.

- Rozumie się, że mi lepiej. Recie Butler, jesteś największym, najpodlejszym łotrem, jakiego znam! Wiedziałeś dokładnie, co ci powiem, jak tylko zaczęłam mówić, i wiedziałeś, że nie możesz mi pożyczyć pieniędzy. I mimo to pozwoliłeś mi mówić. Mogłeś mi być zaoszczędzić...

- Zaoszczędzić ci tego i nic nie usłyszeć? O, nigdy! Mam tutaj tak mało rozrywek. Od niepamiętnych czasów nie słyszałem nic podobnie przyjemnego. - Roześmiał się drwiąco. Scarlett porwała się na nogi i pochwyciła czepek.

Położył jej niespodziewanie ręce na ramionach.

- Jeszcze nie. Czy czujesz się dość dobrze, aby porozmawiać rozsądnie?

- Puść mnie!

- Widzę, żeś już zdrowa. A więc powiedz mi: czy byłem jedną sroką, jaką trzymałaś za ogon? - Oczy jego patrzyły na nią bacznie i przenikliwie, obserwowały najmniejszą zmianę w jej twarzy.

- Co masz na myśli?

- Czy byłem jedynym, któremu chciałaś zaproponować tę transakcję?

- A cóż to ciebie obchodzi?

- Obchodzi mnie więcej, niż ci się zdaje. Czy masz jeszcze innych mężczyzn w zapasie?

Odpowiedz!

- Nie.

- Nie do uwierzenia. Trudno mi sobie wyobrazić ciebie bez pięciu czy sześciu innych w

rezerwie. Przekonany jednak jestem, że nawinie się ktoś, kto zgodzi się na twoją interesującą propozycję. Jestem tego tak pewien, że chciałbym ci dać pewną radę.

- Nie chcę od ciebie żadnej rady.

- Mimo to udzielię ci jej. Rada jest jedyną rzeczą, na jaką mnie stać w tej chwili. Wysłuchaj jej uważnie, bo to dobra rada. Kiedy chcesz czegoś od mężczyzny, nie mów do niego takim tonem, jak mnie to powiedziałaś. Staraj się być subtelniejsza, bardziej kusząca. To daje lepsze wyniki. Dawniej doskonale umiałaś to robić. W chwili jednak gdy ofiarowałaś mi... hmm... tę gwarancję, byłaś twarda jak stal. Widziałem podobne do twoich oczy nad pistoletem wymierzonym we mnie w pojedynku i zapewniam cię, że to niezbyt miły widok. Nie wywołuje zapału w męskiej piersi. Nie tak trzeba postępować z mężczyznami, moja droga. Zapomniałaś o swoim doskonałym wychowaniu.

- Nie ty mnie będziesz uczył, jak mam się zachowywać - powiedziała i ze zmęczeniem włożyła czepek. Dziwiła się, jak Rett może żartować mając stryczek na gardle i widząc tak wyraźnie jej rozpaczliwe położenie. Nie zauważyła, że dłonie miał zaciśnięte w pięści i ukryte w kieszeniach i że szarpał się w swojej bezsilności.

- Głowa do góry - powiedział, gdy wzięła wstążki czepka. - Przyjdź na moją egzekucję, to ci dobrze zrobi. To wyrówna twoje porachunki ze mną, nawet i ten. Zapiszę ci coś w spadku.

- Dziękuję ci, ale wątpię, czy powieszą cię na czas, tak abym mogła zapłacić podatki ze spadku - powiedziała z nagłą złośliwością, ale myślała to serio.

ROZDZIAŁ XXXV

Deszcz padał, kiedy wyszła z dowództwa, a niebo było brunatnopozielate. Żołnierze schronili się z rynku do swoich baraków i ulice były zupełnie puste. Nie widać było żadnego pojazdu, czekała ją więc piesza wędrówka do domu.

Ciepło wywołane koniakiem uleciało z niej, gdy tak się wlokła z trudem. Zimny wiatr przyprawiał ją o dreszcz, chłodne, kłujące jak szpilki krople deszczu siekły ją boleśnie po twarzy. Cienki płaszcz przemókł w jednej chwili i teraz przylegał w lepkich fałdach do jej sukni. Aksamitna suknia będzie z pewnością zupełnie zniszczona, pióra na czepku obwisły i opadły, i wyglądały tak jak u poprzedniego ich właściciela, kiedy obnosił się w nich po mokrym podwórku w Tarze. Chodnik, po którym szła, był wyboisty, pełno w nim było kałuż sięgających kostek. Pantofle Scarlett zapadały się w nie jak w klej i czasem było jej trudno wyciągnąć je z błota. Ilekroć schylała się, aby je wydobyć, wałała brzegi sukni. W końcu przestała już omijać kałuże, i z rezygnacją szła naprzód, wlokąc ciężką suknię za sobą. Na kostkach czuła zimno przemoczonych halek i pantalonów, ale nie była w stanie martwić się o całość tego stroju, po którym spodziewała się tak wiele. Była zziębnięta, zniechęcona i zrozpaczona.

Jakże będzie mogła wrócić do Tary i spojrzeć w oczy swoich bliskich, po tylu słowach nadziei? Jakże powie im, że muszą się wynosić, gdzie oczy poniosą? Jakże zdoła opuścić to wszystko, czerwone pola, wysokie sosny, ciemne, bagniste grunty nad wodą, spokojny cmentarzyk, gdzie w cieniu cedrów spoczywa Ellen?

Nienawiść do Retta gorzała w jej sercu, gdy tak mozoliła się na śliskiej drodze. Jakież to był łotr! Miała nadzieję, że go powieszą, gdyż po dzisiejszym upokorzeniu nie chciała go już nigdy w życiu widzieć. Przekonana była, że mógłby się postarać o pieniądze dla niej, gdyby tylko chciał. Och, śmierć na szubienicy była dla niego jeszcze za dobra! Bogu dzięki, że nie mógł widzieć jej teraz, w przemoczonych do nitki sukniach, z roztarganymi włosami i szczękającymi z chłodu zębami. Jakże szkaradnie musiała wyglądać! Jakby się z niej teraz śmiał!

Mijający ją Murzyni szczerzyli do niej zuchwale zęby i śmieli się do siebie, gdy tak szła szybko, potykając się i ślizgając po błocie, zatrzymując co chwila, aby wytchnąć czy poprawić pantofle. Że też te czarne małpy odważały się śmiać! Jak śmieli stroić grymasy do niej, Scarlett O'Hara! Kazałaby ich wszystkich tak wysmagać batem, aby krew ciekła im strumieniami po plecach! Jakież szatany z tych Jankesów, że dali Murzynom wolność, aby

mogli kpić z białych!

Widok, jaki przedstawiała ulica Waszyngtońska, którą szła teraz, był nie mniej ponury niż własne jej myśli. Nie było tutaj ożywienia i zgiełku, jaki panował na Brzoskwiniowej. Niegdyś stały tu piękne domy, z których odbudowano niewiele. Czerniały fundamenty i samotne, zakopcone kominy, znane teraz jako „Warty Shermana”, widać było co krok. Zarośnięte ścieżki prowadziły do pustych placów, na których stały niegdyś domy - stare trawniki porośłe były chwastem; na słupki, na których widniały tak dobrze znane Scarlett nazwiska, nikt już nie będzie zarzucał lejc... Zimny wiatr i deszcz, błoto i nagie drzewa, cisza i zniszczenie - oto, co zostało... Było jej mokro w nogi, a do domu było jeszcze tak daleko!

Nagle usłyszała za sobą człapanie kopyt końskich, zeszła więc na bok wąskiego chodnika, aby uchronić od błota palto ciotki Pitty. Ulicą posuwał się wolno kabriolet zaprzężony w konia. Przystanąła, aby zobaczyć, czy powożący jest białym, a jeśli tak, poprosić, by ją podwiózł. Gdy kabriolet się zbliżył, zauważyła, że powożący, którego twarzy nie widziała wyraźnie, przygląda się jej spod ceratowego fartucha, którym zakryty jest aż po podbródek. Twarz jego wydała jej się znajoma; zeszła na jezdnię, aby przyjrzeć mu się lepiej, mężczyzna zakaszłał w zakłopotaniu i dobrze jej znany głos zawołał z akcentem przyjemnego zdumienia: - Czy to nie pani Scarlett?!

- Och, pan Kennedy! - zawołała przechodząc przez drogę i nie bacząc na zniszczenie płaszcza, oparła się o zabłocone koła. - Nigdy w życiu nie cieszyłam się tak z żadnego spotkania!

Frank zaczerwienił się z radości, bo w słowach tych brzmiała szczerłość, skwapliwie wypuł za kabriolet tytoń, który żuł, i żywo zeskoczył na ziemię. Potrząsnął z entuzjazmem ręką Scarlett i podniósłszy ceratę pomógł jej wsiąść do powoziku.

- Miss Scarlett, co pani tu robi sama w tych stronach? Czy nie wie pani, że to teraz niezbyt bezpieczna dzielnica? Przemokła pani do nitki. Niech się pani owinie tą derką.

Kiedy się tak koło niej krzątał, gderliwy jak kura, Scarlett poddała się całkowicie przyjemności znajdowania się pod czyjąś opieką. Miło jej było, że jakiś mężczyzna troska się o nią, że gdera i robi wymówki, chociaż mężczyzną tym był Frank Kennedy - „stara panna w spodniach”. Wydawało się to kojące zwłaszcza po brutalnym postępku Retta. I ach, jak przyjemnie było widzieć znajomego z powiatu, kiedy była tak daleko od domu! Zauważyła, że Frank jest dobrze ubrany, a kabriolet jego nowy. Koń był młody i dobrze odżywiony, ale Frank postarzał się wyraźnie, wyglądał znacznie starzej niż w Wigilię, kiedy przyjechał ze swoim oddziałem do Tary. Był chudy i blady, żółte jego oczy były zamglone, a pod nimi potworzyły się worki obwisłej skóry. Rudawa bródka przerzedziła się bardzo, poplamiona

była sokiem tytoniu i tak poszarpana, jak gdyby nie przestawał jej skubać. Był jednak wesoły i ożywiony, co bardzo rzucało się w oczy na tle smutnych i zmartwionych min, które widziało się wszędzie.

- Wielka to dla mnie radość, że panią widzę - rzekł Frank serdecznie. - Nie wiedziałem wcale, że jest pani w Atlancie. Widziałem pannę Pittypat dopiero tydzień temu i wcale mi nie powiedziała, że się pani tutaj wybiera. Czy... hm... czy... jeszcze ktoś przyjechał tu z panią z Tary?

Stary głupiec miał na myśli Zuelę.

- Nie - odpowiedziała otulając się ciepłą derką i podciągając ją pod samą szyję. - Przyjechałam sama. Ciotki Pitty wcale o tym nie uprzedzałam.

Cmoknął na konia, który ruszył naprzód, ostrożnie posuwając się po śliskiej drodze.

- Jak się wszyscy miewają w Tarze?

- Dziękuję panu, niezgorzej.

Musi znaleźć jak najszybciej jakiś temat rozmowy, tylko że rozmowa nie chciała się kleić. Ta porażka przygnębiła ją niepomiernie. Jedyne jej pragnieniem było rozgrzać się trochę pod tym ciepłym pledem i powtarzać sobie: „Nie mogę teraz myśleć o Tarze. Pomyślę o niej później, jak będzie to mniej bolesne”. Gdyby mogła wyciągnąć Franka na jakąś rozmowę, która by mu zajęła czas drogi do domu, musiałaby tylko szeptać czasem: „Ach, jak to świetnie!” czy „Tak, ma pan świętą rację!”.

- Panie, to niespodzianka, że pana tutaj spotykam. Może to brzydko z mojej strony, że się nie komunikowałam ze starymi przyjaciółmi, ale nie wiedziałam wcale, że mieszka pan w Atlancie. Ktoś mi zdaje się mówił, że osiadł pan w Mariecie.

- W Mariecie prowadzę interesy, duże interesy - powiedział. - Czy nie mówiła pani panna Zuela, że osiedliłem się w Atlancie? Czy nic nie powiedziała o moim sklepie?

Scarlett przypomniała sobie niejasno, że Zuela rzeczywiście paplała coś o Franku i jego sklepie, ale nigdy nie zwracała uwagi na jej gadaninę. Wystarczała jej świadomość, że Frank żyje i że pewnego dnia uwolni ją od trosk o Zuelę.,

- Nie, ani słowa - skłamała. - To pan ma sklep? Jakież pan jest zaradny!

Był nieco dotknięty, gdy usłyszał, że Zuela nie rozgłosiła tak ważnej wiadomości, ale rozjaśnił się na to pochlebstwo.

- Tak, mam sklep, i bardzo nawet dobry, jak mi się zdaje. Ludzie mówią, że jestem urodzonym kupcem. - Zaśmiał się z zadowoleniem, tym swoim gderliwym, stłumionym śmiechem, który zawsze denerwował Scarlett.

„Zarozumiały stary głupiec” - pomyślała.

- Och, pan miałby powodzenie we wszystkim, do czego by się pan zabrał, panie Kennedy. Jakim jednak cudem wziął się pan do prowadzenia sklepu? Kiedy widziałam pana w zeszłym roku na Boże Narodzenie, mówił pan, że nie ma pan ani centa.

Odchrząknął chrapliwie, podkreślił węża i uśmiechnął się po swojemu, nerwowo i nieśmiało.

- O, to długa historia, pani Scarlett.

„Dzięki Bogu! - pomyślała. - Może zajmie czas do samego domu”. - Na głos zaś powiedziała: - Och, niechże pan opowie!

- Przypomina pani sobie, kiedyśmy ostatni raz przyjechali do Tary poszukując żywności? Wkrótce potem zaciągnąłem się do służby czynnej. Poszedłem na front. Nie chciałem już być w intendenturze. Intendentura przestała właściwie być potrzebna, bo nie było czego dostarczać armii, uważałem też, że miejsce zdrowego człowieka jest na froncie. Walczyłem więc przez jakiś czas w kawalerii, aż dostałem kulę w ramię.

Powiedział to z dumą w głosie, Scarlett wtrąciła więc: - Jakie to straszne!

- Nie, nie było to wcale straszne, tylko powierzchowna rana - rzekł lekceważąco. - Wysłano mnie do szpitala na południe; gdy zacząłem przychodzić do siebie, miasto zajęli Jankesi. Boże mój, Boże, ależ to były gorące dni! Zjawili się dość niespodzianie, więc wszyscy, którzy mogli chodzić, pomagali opróżniać składy wojskowe, pakować ekwipunek szpitalny i przenosić do toru kolejowego. Naładowaliśmy już prawie jeden pociąg, kiedy Jankesi weszli z drugiej strony do miasta. Uciekaliśmy więc co sił. Boże mój, Boże, ależ to było smutne, kiedy z dachów wagonów widzieliśmy, jak Jankesi palą nasze zapasy, pozostawione na stacji! Pani Scarlett, spalili rozmaitego dobra na przestrzeni może pół mili wzdłuż toru. Ledwieśmy sami uszli z życiem.

- Jakie to straszne!

- Tak, doskonale to pani określiła. Straszne. Nasi odzyskali już wtedy Atlantę, tam więc skierowano nasz pociąg. Wkrótce potem wojna się skończyła i... zostało wiele porcelany, łóżek składanych, materacy i pledów, których zwrotu nikt nie żądał. Mam wrażenie, że prawnie należy to do Jankesów. Takie zdaje się były warunki kapitulacji, prawda?

- Hm - zamruczała Scarlett obojętnie. Było jej teraz cieplej i chciało jej się spać.

- Nie wiem dotąd, czy dobrze zrobiłem - rzekł Frank z pewnym podrażnieniem. - Alem wyliczył sobie, że Jankesom mało z tych rzeczy przyjdzie. Spaliliby je i tak. Ludzie nasi kupili je za dobre pieniądze, pomyślałem więc, że powinny w dalszym ciągu należeć do Konfederacji lub konfederatów. Czy rozumie pani, co mam na myśli?

- Aha.

- Cieszę się, że się pani ze mną zgadza. Mam to do pewnego stopnia na sumieniu. Wiele osób mówi mi: „Och, nie myśl o tym, Frank”. Ja jednak nie mogę. Nie mógłbym patrzeć ludziom prosto w oczy, gdybym miał wątpliwości, czy to, co zrobiłem, było słuszne. A jak się pani zdaje, czy słusznie postąpiłem?

- Oczywiście - powiedziała nie rozumiejąc, o czym stary głupiec mówi. Ma jakieś tam wyrzuty sumienia. Mężczyzna w wieku Franka Kennedy'ego powinien już wiedzieć, że nie należy się przejmować nieważnymi sprawami. Ale on zawsze był nerwowy, pełen skrupułów i bardzo staropanieński.

- Zadowolony jestem, że pani tak mówi. Po zawarciu pokoju miałem dziesięć dolarów w srebrze i nic poza tym. Wie pani sama, co się stało w Jonesboro, a tam miałem dom i skład. Nie wiedziałem po prostu, co począć. Zużyłem więc te dziesięć dolarów na naprawienie dachu na starym składzie przy Pięciu Znakach, przewiozłem tam ekwipunek szpitalny i zacząłem sprzedawać. Wszystkim potrzebne były łóżka, materace i serwisy, więc sprzedawałem je tanio, bo uważałem, że należą do innych ludzi prawie tak samo jak do mnie. Zarobiłem na tym trochę pieniędzy, kupiłem inne towary i sklep zaczął dobrze prosperować. Mam nadzieję, że będę dobrze zarabiał, kiedy wszystko wróci do normy.

Na dźwięk słów „pieniądze” i „zarabiać” rozjaśniło jej się nagle w myślach.

- Mówi pan, że pan dobrze zarabia?

Wyraźnie był zadowolony z jej zainteresowania. Poza Zuelą mało było kobiet, które by okazywały mu więcej niż zdawkową uprzejmość, bardzo mu więc pochlebiało, że osoba o takim niegdyś powodzeniu jak Scarlett tak chłonęła jego słowa. Wstrzymywał konia, aby nie dojechać do domu, póki nie skończy swego opowiadania.

- Nie jestem milionerem i w porównaniu z majątkiem, jaki miałem, to, co zarobiłem, jest sumą niewielką, zarobiłem jednak w tym roku z tysiąc dolarów. Z tych pięćset poszło na zakup nowych towarów, remont sklepu i komorne. Pozostałe pięćset zarobiłem jednak na czysto, wobec tego zaś, że zaznacza się pewna poprawa, liczę, że na przyszły rok zarobię dwa tysiące. Przydadzą mi się bardzo, bo, widzi pani, mam jeszcze coś innego na widoku.

Zainteresowanie Scarlett wzrosło niebywale. Przesłoniła oczy ciemnymi rzęsami i przysunęła się trochę do Franka.

- Co pan ma na myśli, panie Kennedy?

Roześmiał się i uderzył lejcami po grzbiecie konia.

- Pewnie nudzi panią rozmowa o interesach, pani Scarlett. Takie śliczne małe ósóbki jak pani nie potrzebują się znać na interesach.

Stary głupiec.

- Och, wiem dobrze, że nie znam się na tych sprawach, ale to takie zajmujące! Niech mi pan opowie wszystko. Będzie mi pan tłumaczył to, czego nie zrozumiem.

- A więc, mam na widoku tartak.

- Co to takiego?

- To taki zakład, gdzie tnie się drzewo i hebluje deski. Nie kupiłem go jeszcze, ale mam zamiar to zrobić. Jest pewien człowiek, nazwiskiem Johnson, który ma tartak za Brzoskwiniową i chce go sprzedać. Potrzebna mu teraz gotówka, więc godzi się zostać tam i prowadzić tartak za tygodniowym wynagrodzeniem. Jest to jeden z niewielu tartaków w tej okolicy, Miss Scarlett. Jankesi zniszczyli inne. Człowiek, który ma teraz tartak, to jak gdyby dawniej miał kopalnię złota, bo może dyktować ceny. Jankesi spalili tyle domów w Atlancie, że nie ma pomieszczeń dla wszystkich i ludzie poszaleli na punkcie budowania. Ciągłe im mało drzewa i nie można im go dość prędko nastarczyć. Ludzie napływają teraz masami do Atlanty, przenoszą się tu mieszkańcy okolicznych wsi, którzy nie mogą pracować na roli, bo nie mają Murzynów, zjeżdżają Jankesi i różna hołota, która chce nas obdzierać ze skóry. Atlanta stanie się wkrótce wielkim miastem. Nowi ludzie muszą mieć budulec na domy, mam więc zamiar kupić ów tartak jak tylko... no, jak tylko wpłynie mi część tego, co mi się od ludzi należy. Za rok będzie mi trochę łatwiej o pieniądze. Wydaje mi się, że... pani chyba wie, dlaczego mi zależy na szybkim wzbogaceniu się?

Zaczerwienił się i zakaszłał znowu. „Myśli znowu o Zueli” - stwierdziła Scarlett z niechęcią.

Przez chwilę zastanawiała się nad tym, czy nie poprosić go o pożyczkę trzystu dolarów, ale wkrótce odrzuciła tę myśl. Będzie zakłopotany, zacznie się jąkać, wynajdzie tysiąc wymówek, ale jej nie pożyczycy. Pracował ciężko, by móc się na wiosnę ożenić z Zuelą, a jeżeli teraz rozstanie się z pieniędzmi, ślub jego będzie się musiał odsunąć na czas nieograniczony. Nawet gdyby zagrała na jego sympatii czy poczuciu obowiązku w stosunku do przyszłej rodziny i uzyskała obietnicę pożyczki, Zuela nigdy by się na to nie zgodziła. Zuela martwiła się coraz więcej, że jest już starą panną, i poruszyłaby niebo i ziemię, aby nic nie stało na przeszkodzie jej małżeństwu.

Co ten stary głupiec widział w tej płacziwej i wiecznie niezadowolonej dziewczynie, że tak bardzo chciał jej usłać miękkie gniazdko? Zuela nie zasługiwała na kochającego męża z dochodami z tartaku i sklepu. Z chwilą gdy Zuela poczuje w kieszeni trochę grosza, zacznie niemożliwie zadzierać nosa i nie da ani centa na Tarę. Nigdy! Redzie zadowolona, że się wy dostała z domu, i nie przejmie się wcale, jeżeli Tara zostanie sprzedana za podatki czy zrównana z ziemią, ponieważ będzie miała piękne suknie i będzie „panią”, a nie „panną”.

Myśląc tak o zabezpieczonej przyszłości Zueli i niepewnej sytuacji swojej i Tary, Scarlett zawrzała gniewem na niesprawiedliwość losu. Szybko spojrziała na ulicę, aby Frank nie zauważył wyrazu jej twarzy. Miała oto stracić wszystko, co posiadała, podczas gdy Zuela... Nagle zrodziło się w niej postanowienie.

Nie da Zueli Franka ani jego sklepu i tartaku!

Zuela nie zasłużyła na nie! Postanowiła zdobyć to wszystko dla siebie. Pomyślała o Tarze, przypomniała sobie jadowitego jak żmija Jonasza Wilkersona przed frontowymi schodkami domu i schwyciła się ostatniej deski ratunku, pozostałej z rozbitego życia. Rett zawiódł ją, ale Bóg zesłał jej Franka.

Ale czy potrafi go zdobyć? Dłonie jej zacisnęły się w pięści, gdy, nie widząc, patrzyła na krople deszczu. Czy potrafi to przeprowadzić, aby zapomniał o Zueli i oświadczył się jej? Jeżeli niemal doprowadziła do oświadczeń Retta, z pewnością zdobędzie i Franka! Przebiegła po nim wzrokiem i zatrzepotała powiekami. Pewnie, że nie jest piękny, myślała na zimno, ma bardzo brzydkie zęby, nieprzyjemny oddech i jest tak stary, że mógłby być moim ojcem. Ponadto jest nerwowy, nieśmiały i pełen dobrych chęci, a nie znam mniej przyjemnych cech w mężczyźnie. Jest jednak dżentelmenem i wydaje mi się, że lepiej mi będzie z nim niż z Rettem. Będę nim mogła łatwo kierować. Tak czy inaczej nędzarze nie mają wyboru.

Nie zastanowiła się nad tym, że Frank jest narzeczoną Zueli. Po przełomie moralnym przed podróżą do Atlanty, po widzeniu się z Rettem, odbicie siostrze wielbiciela wydawało jej się drobnostką, którą nie należało się wcale przejmować.

Pod wpływem nowej nadziei wyprostowała się i przestała myśleć o przemoczonych i zziębniętych nogach. Patrzyła na Franka spod przymkniętych powiek tak badawczo, że zaniepokoił się trochę, po chwili jednak spuściła wzrok, przypomniawszy sobie słowa Retta: - Widziałem podobny wzrok w pojedynku, nad wymierzonym we mnie pistoletem... Nie budzi zapalu w męskiej piersi.

- Co pani jest, Miss Scarlett? Czy zimno pani?

- Tak - powiedziała bezradnie. - Czy pozwoli mi pan... - Zawahała się, onieśmielona. - Czy pozwoli mi pan włożyć rękę do kieszeni pańskiego płaszcza? Zmarzła mi okropnie, a mufka jest zupełnie przemoczona.

- Ależ tak, rozumie się, że tak! Nie ma pani nawet rękawiczek! Boże mój, Boże, jaka że mnie gapa, że tak marudzę i gadam bez przerwy, kiedy pani pewnie marznie i marzy o ogrzaniu się. Ruszaj, Sally! Ale, ale, Miss Scarlett, byłem tak zajęty mówieniem o sobie, że nie zapytałem pani nawet, co pani robiła w tej części miasta w taką niepogodę?

- Byłam w jankeskim sztabie - powiedziała bez namysłu. Spłowieła brwi Franka

podniosły się w zdumieniu.

- Ależ, Miss Scarlett! Żołnierze... Dlaczego...

„Najświętsza Panienko, poratuj mnie, pozwól wymyślić dobre kłamstwo” - modliła się spieszenie. Frank nie powinien się nigdy dowiedzieć, że widziała Retta. Uważał go za najgorszego z łotrów i za człowieka niebezpiecznego dla przyzwoitej damy.

- Poszłam... tam... poszłam, aby się dowiedzieć... czy oficerowie nie chcieliby ode mnie kupić haftów dla swoich żon. Potrafię bardzo ładnie haftować.

Frank ze zdziwienia aż osunął się na oparcie powozu. Oburzenie walczyło w nim o lepsze ze zdumieniem.

- Poszła pani do Jankesów... Ależ, Miss Scarlett! Nie powinna była pani tego robić. Ależ... ależ... Ojciec pani chyba o tym nie wie? Panna Pittypat z pewnością...

- Ach, umrę, jeżeli pan o tym wspomni cioci Pittypat! - zawołała w prawdziwym przerażeniu i wybuchnęła płaczem. Łzy przyszły jej z łatwością, bo była zziębnięta i nieszczęśliwa, efekt jednak był zatrwajający. Frank z pewnością nie byłby bardziej zakłopotany, gdyby nagle zaczęła się rozbierać. Parę razy mlasnął językiem o zęby, mrużąc: - Boże mój, Boże! - i zaczął robić jakieś nieśmiałe gesty. Przeszła mu przez głowę odważna myśl, że powinien oprzeć głowę Scarlett o swoje ramię i pogłaskać ją, ale ponieważ nigdy przedtem takich rzeczy nie robił, nie wiedział, jak się do tego zabrać. Scarlett O'Hara, taka wesoła i śliczna, płakała tu oto w jego kabrioletcie! Scarlett O'Hara, najdumniejsza z dumnych, chciała sprzedawać hafty Jankesom! Serce go bolało.

Scarlett szlochała, mówiąc od czasu do czasu parę słów, z których Frank mógł wywnioskować, że w Tarze nie wszystko szło gładko. Pan O'Hara jeszcze ciągle nie mógł przyjść do siebie i trudno było o żywność dla tylu osób. Tak więc Scarlett musiała przyjechać do Atlanty, aby zarobić coś dla siebie i swojego synka. Frank znowu mlasnął językiem i nagle spostrzegł, że głowa Scarlett spoczywa na jego ramieniu. Nie wiedział nawet, w jaki sposób tam się znalazła. Był pewien, że to nie on ją tam złożył: oto jednak Scarlett płakała bezradnie na jego chudej piersi, co było dlań nowym i podniecającym przeżyciem. Poklepał ją nieśmiało po ramieniu, z początku bardzo niezręcznie, a ponieważ nie odepchnęła go, stał się odważniejszy i gładził ją coraz mocniej. Jakaż bezradną, miłą, słodką kobietą była Scarlett. I jakie to z jej strony odważne i głupie, że chciała zarabiać na życie haftami. Ale żeby zwracać się do Jankesów - to za wiele.

- Nie powiem o niczym panie Pittypat, ale musi mi pani przyrzec, Miss Scarlett, że pani tego nigdy więcej nie zrobi. Żeby córka takiego ojca...

Jej wilgotne zielone oczy spojrzały na niego bezradnie.

- Ależ, panie Kennedy, ja muszę przecież coś robić. Muszę myśleć o moim biednym małym synku, bo któż się ma nami opiekować?

- Jest pani dzielną kobietą - oświadczył - ale nie pozwolę, aby pani tego rodzaju rzeczy robiła. Rodzina pani umarłaby ze wstydu.

- A więc co mam począć? - Popatrzyła na niego tak, jak gdy by on wiedział wszystko i jak gdyby czekała jego wyroku.

- Hmm, trudno mi teraz powiedzieć. Ale wymyślę coś może.

- Och, pewna jestem, że pan coś wymyśli! Pan jest taki mądry, panie... Franku...

Nigdy dotąd nie nazywała go po imieniu, sprawiło mu to więc wielką przyjemność. Biedna kobieta była tak zmartwiona, że nie zauważyła wcale swojej pomyłki. Czuł dla niej wiele współczucia, jak gdyby był jej opiekunem. Jeżeli będzie mógł się czymś przysłużyć siostrze Zueli. zrobi to z pewnością. Wyciągnął czerwoną chustkę i podał jej, ona zaś otarła oczy i zaczęła się blado uśmiechać.

- Jestem taka niemądra - rzekła. - Proszę, niech mi pan wybacz.

- Wcale pani nie jest niemądra. Jest pani dzielną małą kobietką, tylko dźwiga pani na sobie zbyt duży ciężar. Obawiam się, że panna Pittypat niewiele będzie pani mogła pomóc. Słyszałem, że straciła większą część swego majątku, a panu Henrykowi Hamiltonowi także ciężko. Żałuję, że nie mam domu, w którym mógłbym dać pani gościnę. Ale, Miss Scarlett, niech pani zawsze o tym pamięta, że jak pobiorę się z panną Zuelą, dla pani i dla Wade'a Hamptona zawsze będzie w naszym domu miejsce.

Teraz nadeszła odpowiednia chwila! Strzegli jej z pewnością święci pańscy i aniołowie, że dali jej tak wspaniałą okazję. Udała wielkie zdumienie i zakłopotanie i otworzyła usta, chcąc jakby coś powiedzieć, potem nagle je zamknęła.

- Niech mi pani tylko nie mówi, że nie wiedziała pani, że na wiosnę zostanę pani szwagrem - rzekł z nerwową wesołością. Potem zaś widząc, że oczy jej napełniają się łzami, zapytał z niepokojem: - Co się stało? Czy panna Zuzia chora?

- Och, nie, nie!

- Ale stało się z pewnością coś złego. Musi mi pani powiedzieć.

- Och, nie mogę! Nie wiedziałam! Myślałam, że ona napisała panu o tym... Och, jakie to brzydkie!

- Co się stało?

- Och, panie Franku, nie miałam zamiaru mówić panu o tym, bo przypuszczałam, że pan wie - że panu napisała...

- Napisała mi? Co? - Drżał na całym ciele.

- Och, żeby tak postąpić z takim człowiekiem jak pan!

- A cóż ona zrobiła?

- A więc nie napisała panu? Przypuszczałam, że może zbyt się wstydziła panu o tym napisać. Powinna się wstydzić! Och, że też ja mam taką siostrę!

Frank nie myślał już nawet o zadawaniu pytań. Siedział patrząc na nią bez słowa, z szarą twarzą, luźno opuściwszy lejce.

- Za miesiąc wychodzi za Tonia Fontaine. Tak mi przykro, że to ja musiałam panu o tym powiedzieć. Znudziło jej się czekanie i obawiała się, że zostanie starą panną.

Mammy stała na ganku frontowym, gdy Frank pomagał Scarlett wysiąść z kabrioletu. Stała już widocznie od dość dawna, bo chustka, którą nosiła na głowie, była przemoczona, a na starym szalu widniały smugi od deszczu. Czarna jej pomarszczona twarz wyrażała gniew i niepokój, a dolna warga była mocno wysunięta naprzód. Spojrzała szybko w stronę towarzysza Scarlett. Kiedy poznała Franka, na twarzy jej pojawiło się zdumienie, zadowolenie i coś w rodzaju skruchy. Poczłapała w jego stronę ze słowami powitania i uśmiechając się dygała, gdy uściśnął jej rękę.

- Bardzo przyjemnie widzieć starych znajomych - powiedziała. - Jak się pan miewa, panie Franku? Ależ pan ładnie i dobrze wygląda! Gdybym wiedziała, że Scarlett jest z panem, nie martwiłabym się tak bardzo. Wiedziałabym, że jej się krzywda nie stanie. Wracam do domu, widzę, że jej nie ma; przeraziłam się jak kura, której chcą głowę obciąć, że sama chodzi po tym mieście, gdzie tyle wolnej murzyńskiej hołoty na ulicach. Dlaczegoś mi nie powiedziała, kochanie, że chcesz wyjść? I z katarem w dodatku!

Scarlett mrugnęła porozumiewawczo do Franka. Mimo rozpacz, jaką odczuwał, uśmiechnął się wiedząc, że nakazuje mu w ten sposób milczenie i robi go powiernikiem swoich tajemnic.

- Idź na górę i przygotuj mi jakieś suche odzienie, Mammy - powiedziała. - I gorącą herbatę.

- O Boże, zniszczyłaś zupełnie nową suknię - zrzędziła Mammy - Będę musiała się teraz namęczyć, aby ją wysuszyć i wyczyścić na dzisiejsze wesele.

Weszła do domu, Scarlett zaś pochyliła się do Franka i wyszeptała: - Niech pan dziś przyjdzie do nas na kolację. Jesteśmy tak samotne. A potem pójdziemy na ślub. Będzie pan nam towarzyszył! I proszę, niech pan nie mówi ciotce Pitty... o Zueli. Gotowa się tym bardzo przejąć, ja zaś nie chciałabym, aby wiedziała, że moja siostra...

- Ach nie, nie powiem, nie powiem! - rzekł Frank pośpiesznie, wzdrygając się na myśl o tym.

- Był pan dla mnie dzisiaj tak dobry i tyle panu zawdzięczam... Teraz nabrałam znowu otuchy. - Uścisnęła mu mocno rękę na pożegnanie i znacząco spojrzała mu w oczy.

Mammy, która czekała tuż za drzwiami, rzuciła jej nieprzeniknione spojrzenie i poszła za nią nadąsana na górę do jej pokoju. Milczała ściągając ze Scarlett mokre suknie, rozwieszając je na krzesłach i pomagając jej kłaść się do łóżka. Potem przyniosła jej herbatę i gorącą cegłę, owiniętą we flanelę, popatrzyła na nią przenikliwie i powiedziała najłagodniejszym tonem, na jaki mogła się zdobyć:

- Gołąbku, dlaczegoś nie powiedziała swojej starej niani, jakie masz zamiary? Nie wlokłabym się za tobą aż do Atlanty. Jestem już za stara i za ciężka na takie podróże.

- Co masz na myśli?

- Kochanie, mnie nie oszukasz. Ja cię znam. Widziałam przed chwilą twarz pana Franka i twoją twarz, a umiem w niej czytać jak ksiądz w Biblii. Słyszałam też to, coś mi powiedziała o Zueli. Gdybym przeczuwała, że to o pana Franka ci chodzi, zostałabym w domu, gdzie moje miejsce.

- No dobrze - rzekła Scarlett krótko, otulając się kołdrą i zdając sobie sprawę, że teraz trudno już będzie zmylić czujność Mammy. - A o kim tyś myślała?

- Dziecko drogie, nie wiedziałam nic, ale nie podobała mi się wczoraj twoja mina. Pamiętam też, że panna Pittypat pisała do pani Meli, że ten łajdak Butler ma kupę pieniędzy, a ja nigdy nie zapomnę tego, co słyszę. Ale pan Frank to co innego - to dżentelmen, chociaż nie jest zbyt przystojny.

Scarlett popatrzyła na nią ostro, ale Mammy oddała jej spojrzenie z całkowitym spokojem.

- No, więc co teraz zrobisz? Wygadasz wszystko Zueli?

- Pomogę ci przypodobać się panu Frankowi, jak potrafię najlepiej - rzekła Mammy podciągając kołdrę pod samą szyję Scarlett.

Scarlett leżała przez chwilę spokojnie, gdy Mammy kręciła się po pokoju. Była bardzo zadowolona, że nie potrzebuje tracić czasu na niepotrzebne słowa. Nie trzeba było Mammy niczego tłumaczyć, nie robiła jej żadnych wymówek. Mammy zrozumiała i postanowiła milczeć. Scarlett znalazła w niej realistkę życiową bardziej bezwzględna od niej samej. Mądre stare oczy patrzyły głęboko, widziały jasno, bezpośrednio, jak widzi człowiek pierwotny i dziecko, nie zważając na głos sumienia, gdy niebezpieczeństwo grozi ukochanej istocie. Scarlett była jej dzieckiem i Mammy skłonna była pomóc jej zdobyć to, czego chciała, choćby rzecz ta była cudzą własnością. O prawach Zueli do Franka Kennedy'ego nie myślała nawet, chyba tylko po to, aby się do siebie w duszy uśmiechnąć. Scarlett miała poważne

kłopoty chciała z nich wybrnąć - Scarlett była dzieckiem pani Ellen. Mammy opowiedziała się za nią bez najmniejszego wahania.

Scarlett wyczuła milczące poparcie Mammy. Kiedy gorąca cegła trochę rozgrzała jej nogi, nadzieja, jarząca się blado podczas drogi do domu, teraz rozpalila się płomieniem. Przepłynęła przez nią burząc jej krew w żyłach. Siły wracały jej z wolna: ogarnęło ją takie podniecenie, że chciało jej się śmiać na głos: „Jeszcze nie jestem pokonana” - myślała z tryumfem.

- Podaj mi lustro, Mammy - poprosiła.

- Nie wysuwaj rąk spod kołdry - rozkazała Mammy podając jej lustro z uśmiechem.

Scarlett popatrzyła na siebie.

- Jestem blada jak upiór, a włosy mam stargane jak czarownica - powiedziała.

- Prawda, że nie bardzo dobrze wyglądasz.

- Hm... Czy deszcz jeszcze pada?

- Wiesz dobrze, że leje.

- Wszystko jedno, musisz pójść do miasta po sprawunki dla mnie.

- Nie w taki deszcz. Teraz nie pójdę.

- Owszem, pójdziesz, bo inaczej pójdę sama.

- Czego ci potrzeba tak na gwałt? Zdaje mi się, żeś dość zrobiła, jak na jeden dzień.

- Chciałabym - rzekła Scarlett uważnie przyglądając się sobie w lustrze - butelkę wody kolońskiej. Umyjesz mi włosy i wypłuczesz w wodzie kolońskiej. I kupisz mi słoik galaretki z pigwy, aby ułożyć je gładko.

- Nie umyję ci włosów w taką pogodę i nie pozwolę, abyś je płukała w wodzie kolońskiej jak jaka dziwka. Nie zrobisz tego, dopóki ja żyć będę.

- Ależ zrobię. Weź mój woreczek, wyjmij zeń pięć złotych dolarów i idź do miasta. I.. słuchaj, Mammy skoro już idziesz do sklepu, kup mi od razu słoik... słoik rózu.

- A co to takiego? - zapytała Mammy podejrzliwie. Scarlett popatrzyła na nią bardzo spokojnie, chociaż bynajmniej spokojna nie była. Nie można przewidzieć, jak dalece Mammy pozwoli sobą kierować.

- Wszystko jedno. Poproś tam o to.

- Nie mam zamiaru kupować rzeczy, na których się nie znam.

- No więc jest to barwiczka, skoroś tak ciekawa! Barwiczka do twarzy. Nie stój tak i nie nadyмай się jak ropucha. Idź zaraz.

- Barwiczka! - wykrzyknęła Mammy. - Barwiczka do twarzy! No, jeszcze nie jesteś tak dorosła, żebym cię nie mogła zbić! Nigdy w życiu nie byłam tak zgorszona! Straciłaś chyba

rozum! Miss Ellen pewnie się w grobie przewraca! Malować sobie twarz, jak jaka...

- Wiesz doskonale, że babcia Robillard malowała sobie twarz i...

- Tak, i nosiła tylko jedną halkę i moczyła ją, aby przylegała do ciała i było widać kształt jej nóg, ale to nie znaczy, że ty możesz robić to samo! Kiedy stara pani była młoda, czasy były skandaliczne, ale teraz się zmieniły i...

- Na Boga! - zawołała Scarlett tracąc panowanie nad sobą i zrzucając z siebie kołdrę. - Możesz sobie w tej chwili wracać do Tary!

- Nie pojedę do Tary, jeśli nie zechcę. Jestem wolna - powiedziała Mammy zapalczywie. - Właśnie że tutaj zostanę. Wracaj w tej chwili do łóżka. Czy chcesz się nabawić zapalenia płuc? Odłóż ten gorset! Odłóż go kochanie. Słuchaj, Scarlett, nie pójdziesz nigdzie w tę pogodę. Boże miłosierny! Ależ ty wyglądasz zupełnie jak nasz pan! Wróc do łóżka... Ja nie mogę kupić farby! Umrę ze wstydu, wszyscy od razu się domyśla, że to dla mego dziecka! Scarlett, jesteś taka miła i ładna, że wcale nie potrzebujesz farby. Kochanie, tylko ładaczniczki takich rzeczy używają.

- Ale mają wyniki, prawda?

- O Jezus, co ona mówi! Gołąbku, nie mów takich rzeczy! Odłóż te mokre pończochy, kochanie! Sama ci kupię to świństwo. Miss Ellen przyśni ci się w nocy. Połóż się do łóżka. Pójdę już. Może znajdę jakiś sklep, gdzie nas nie znają.

Tego wieczora u pani Elsing, kiedy po ślubie Fanny stary Levi i inni grajkowie stroili instrumenty, Scarlett rozejrzała się dokoła z zadowoleniem. Było jej bardzo przyjemnie, że znowu jest na przyjęciu. Cieszyła się z życzliwości, jakiej doznała. Kiedy weszła do domu Elsingów, wsparta o ramię Franka, wszyscy podbiegli ku niej z okrzykami powitania i radości, całowali ją, ściskali jej ręce, mówili, że brakowało im jej bardzo i że nie puszcza jej z powrotem do Tary. Mężczyźni zdawali się nie pamiętać, że w dawnych czasach starała się łamać im serca, a panny - że robiła wszystko, by odbić im wielbicieli. Nawet panie Merriweather, Whiting, Meade i inne wdowy, które odnosiły się do niej ozięble pod koniec wojny, zapomniały o jej płochości i swojej ostrej krytyce jej postępów, a pamiętały jedynie, że ucierpiała z powodu klęski Konfederacji, że była bratanka Pitty i wdową po Karolu. Całowały ją współczująco, że łzami w oczach mówiły o śmierci jej matki i wypytywały szczegółowo o ojca i siostry. Wszyscy pytali o Melanię i Ashleya dziwiąc się, dlaczego i oni nie przyjechali do Atlanty.

Mimo radości z tego przywitania, Scarlett odczuwała lekki niepokój, który starała się ukryć, niepokój z powodu wyglądu swojej aksamitnej sukni. Suknia była dotąd wilgotna do kolan i jeszcze zaplamiona, mimo starań Mammy i kucharki, mimo odparzenia nad gorącym

czajnikiem, czyszczenia miękką szczotką i suszenia przed kominkiem. Scarlett bała się, żeby ktoś nie zauważył, jak jest zablocona, i nie domyślił się, że to jej jedyna dobra suknia. Trochę się tym pocieszała, że suknie wielu obecnych pań wyglądały jeszcze gorzej. Były najwyraźniej stare, tylko starannie pocerowane i wyprasowane. Jej suknia była przynajmniej cała i nowa, mimo że wilgotna - była właściwie jedyną nową suknią, jeżeli nie liczyć białej atlasowej sukni ślubnej Fanny.

Przypominając sobie, co jej Pitty mówiła o finansach Elsingów, Scarlett zastanawiała się, skąd wzięli na atlasową suknię, na poczęstunek, kwiaty i grajków. Musiało to kosztować ładnych parę groszy. Prawdopodobnie pożyczili sobie pieniądze, może też cała rodzina złożyła się na to kosztowne wesele. Przyjęcie takie w tych ciężkich czasach wydawało się Scarlett rozrzutnością równą może wystawieniu nagrobków na mogiłach młodych Tarletonów i wzbudziło w niej taką samą irytację, jaką czuła na cmentarzu w Mimozie. Minęły już dni beztroskiego wyrzucania pieniędzy. Dlaczego ludzie ci z uporem robili gesty takie jak dawniej, kiedy dawne czasy minęły bezpowrotnie?

Starła się już przestać o tym myśleć. Nie były to ostatecznie jej pieniądze. Nie chciała sobie psuć przyjemności irytowaniem się z powodu czyjejś głupoty.

Okazało się, że zna bardzo dobrze pana młodego. Był to Tomasz Wellburn ze Sparty, którego pielęgnowała w r. 1863, gdy go postrzelono w ramię. Był wtedy przystojnym wysokim chłopcem, który rzucił studia medyczne, aby wstąpić do kawalerii. Teraz wyglądał jak mały staruszek, tak był skurczony od postrzału w biodro. Chodził z pewną trudnością i jak zauważyła Pitty, rozkraczał nogi w sposób bardzo wulgarny. Na pozór jednak wcale nie przejmował się swoim wyglądem i zachowywał się jak człowiek, który niewiele oczekuje od bliźnich. Pogrzebał już nadzieję skończenia medycyny, został przedsiębiorcą budowlanym i zatrudniał kilkunastu Irlandczyków przy budowie nowego hotelu. Scarlett dziwiła się, jak może przy stanie swego zdrowia podołać tak ciężkiej pracy, ale o nic nie pytała, zdając sobie dobrze sprawę, że wszystko jest możliwe, gdy przyciśnie bieda.

Tomasz Hugon Elsing i mały, brzydki Rene Picard rozmawiali z nią stojąc, podczas gdy krzesła i meble odsuwano pod ścianę przed rozpoczęciem tańców. Hugon nie zmienił się wcale od r. 1862, kiedy go Scarlett widziała ostatni raz. Pozostał tym samym chudym, nerwowym chłopcem o ciemnoblonde falistych włosach i delikatnych dłoniach, które pamiętała tak dobrze. Rene jednak zmienił się bardzo od czasu swego ślubu z Maybelle Merriweather. Nadal mrużył filuternie czarne oczy, ciągle był pełen kreolskiej werwy, ale mimo że śmiał się beztrosko, w twarzy miał wyraz uporu, którego nie było w niej w pierwszych latach wojny. Opuściła go także butna elegancja, cechująca go w czasach gdy

nosił barwny mundur żuawa.

- Policzki jak róże, oczy jak szmaragdy! - powiedział całując Scarlett w rękę i składając w ten sposób hołd barwie rózu na jej twarzy. - Jest pani tak samo piękna jak na wencie, kiedy panią poznałem. Czy pani pamięta? Nigdy nie zapomnę, jak pani rzuciła obrączkę do mego koszyka. To dopiero był patriotyczny gest! Nigdy bym nie przypuszczał, że tak długo nie będzie pani miała drugiej!

Oczy jego błysnęły złośliwie i trącił Hugona łokciem.

- A ja nigdy bym nie przypuszczała, że pan będzie rozwoził ciasta - odrzekła. Zamiast zawstydzić się, że mu przypomniała to poniżające zajęcie, roześmiał się głośno i z zadowoleniem uderzył Hugona po plecach.

- Touche! - zawołał. - Belle-mere, Madame Merriweather, dokonała tego, że po raz pierwszy w życiu pracuję, ja, Rene Picard, który miał zajmować się hodowlą koni wyścigowych i grą na skrzypcach! Teraz rozwożę po mieście ciasta i lubię to zajęcie! Madame belle-mere potrafiłaby człowieka skłonić do robienia wszystkiego. Gdyby była generałem, z pewnością wygrałaby wojnę, prawda Tomku?

„No, no! - pomyślała Scarlett. - Żeby lubić rozwożenie ciast, kiedy miało się niegdyś majątek ciągnący się na przestrzeni dziesięciu mil wzdłuż Missisipi i wielki dom w Nowym Orleanie]”

- Gdyby nasze teściowe były w szeregach, pobilibyśmy Jankesów w tydzień - zgodził się Tomasz kierując spojrzenie na szczupłą, niezłomną postać pani Elsing. - Taki długi opór Jankesom zawdzięczamy jedynie odwadze naszych kobiet.

- Które zresztą nigdy się nie poddadzą - dodał Hugon, a uśmiech jego przy tych słowach wyrażał dumę, ale i pewną niechęć. - Nie ma tutaj dziś wieczorem ani jednej pani, która by się poddała, bez względu na to, co my, mężczyźni, zrobiliśmy pod Appomattox. One klęskę znoszą o wiele gorzej niż my. Myśmy przynajmniej wyładowali się w walce.

- One zaś wyładowują się teraz w nienawiści - zakończył Tomasz. - Prawda, Scarlett? Panie martwią się tym, co się dzieje z ich najbliższymi, daleko bardziej niż my. Hugon na przykład miał być sędzią. Rene miał grać na skrzypcach przed ukoronowanymi głowami Europy... - Pochylił głowę, bo Rene się żartem na niego zamierzył. - Ja miałem być doktorem, a teraz...

- Poczekaj trochę! - zawołał Rene - Wkrótce ja będę królem ciast na Południu! Pocciwy Hugon będzie królem drzewa, a ty, Tomku, będziesz miał gromadę irlandzkich niewolników zamiast Murzynów. Ile zmian - i jakie zabawne! A co pani porabia, pani Scarlett, i pani Mela? Doi krowy i zbiera bawełnę, prawda?

- Skądże znowu! - rzekła Scarlett chłodno, nie mogąc zrozumieć, jak Rene może się tak godzić z losem. - To robią nasi Murzyni.

- Słyszałem, że pani Mela ochrzciła swego chłopca „Beauregard”. Niech jej pani powie, że ja, Rene, cieszę się z tego i uważam, że to najpiękniejsze imię poza imieniem „Jezus”.

I mimo że się uśmiechnął, oczy świeciły mu dumą na wspomnienie nieustraszonego bohatera Luizjany.

- Jest jeszcze jedno piękne: „Robert Edward Lee” - zauważył Tomasz. - I chociaż nie mam zamiaru umniejszać zasług starego Beau, mój pierworodny będzie się nazywał „Robert Lee Wellburn”.

Rene roześmiał się i wzruszył ramionami.

- Opowiem ci wziętą z życia anegdotkę. Zrozumiesz wtedy, co Kreole myślą o naszym dzielnym Beauregardzie i o waszym generale Lee. W pociągu jadącym do Nowego Orleanu żołnierz z Wirginii, z armii generała Lee, spotkał Kreola z armii Beauregarda. Żołnierz z Wirginii zaczął opowiadać długo i szeroko, jaki generał Lee jest dzielny, jakich to czynów dokonał i tak dalej. Kreol słuchał grzecznie i marszczył brwi, jak gdyby starając się coś sobie przypomnieć, wreszcie uśmiechnął się i rzekł: „Generał Lee! Ah, oui! Wiem już teraz! Generał Lee! Człowiek, o którym generał Beauregard jest dobrego zdania!”

Scarlett z uprzejmości śmiała się z innymi, ale jej zdaniem anegdotka była tylko dowodem, że Kreole są tak samo zarozumiali jak mieszkańcy Charlestonu czy Savannah. Uważała ponadto, że syn Ashleya powinien był nosić imię swego ojca.

Grajkowie po nastrojeniu instrumentów i paru wstępnych dysonansach zaczęli grać galopa. Tomasz zwrócił się do niej:

- Czy chciałabyś zatańczyć, Scarlett? Ja nie tańczę, ale Hugon lub Rene...

- Nie, dziękuję ci. Jestem jeszcze w żałobie po matce - rzekła Scarlett szybko. - Posiedzę sobie trochę.

Oczy jej spoczęły na Franku Kennedym; wołała go wzrokiem od boku pani Elsing.

- Usiądę sobie tam, w tej alkowie. Gdyby chciał mi pan przynieść coś zimnego, moglibyśmy sobie przyjemnie pogawędzić - powiedziała Frankowi, gdy trzech mężczyzn odeszli.

Kiedy Frank poszedł spieszenie po szklanekę wina i cieniutki jak papierek kawałek babki, Scarlett usiadła w alkowie za salonem i starannie ułożyła fałdy sukni, aby nie było widać najgorszych plam. Upokarzające wypadki poranka odsunęły się na daleki plan pod wpływem podniecenia widokiem tyki osób i dźwięków muzyki. Jutro pomyśli o Recie i swoim upokorzeniu i znowu będzie się wiła z wściekłości. Jutro będzie się zastanawiała, czy zrobiła

jakieś wrażenie na zdumionym i zbolałym Franku. Dziś nie. Dziś żyła całą pełnią, całą swoją istotą, wszystkie jej zmysły płonęły nadzieją, oczy sypały iskry.

Patrzyła z alkowy na wielki salon, przyglądała się tancerzom i przypominała sobie, jak piękny był ten pokój, kiedy po raz pierwszy przyjechała do Atlanty. Posadzki wtedy świeciły jak szkło, a wielki żyrandol o setkach małych pryzmatów odbijał promienie tuzinów świec i rzucał na pokój purpurowe, srebrzyste i szafirowe błyski. Stare portrety na ścianach, dystyngowane i uprzejme, patrzyły na gości z wyrazem przyjaznej gościnności. Kanapki z drzewa różanego były miękkie i zachęcające, a największa z nich stała na honorowym miejscu w tej samej alkoce, w której Scarlett siedziała teraz. Było to jej ulubione miejsce podczas zabaw i przyjęć. Rozciągał się zeń przyjemny widok na salon i jadalnię z owalnym stołem mahoniowym, przy którym mieściło się dwadzieścia osób, na dwadzieścia krzeseł pod ścianami i masywny kredens, ciężki od sreber, siedmioramiennych lichtarzy, pucharów, karafek i małych, błyszczących kieliszków. W pierwszych latach wojny Scarlett siadywała w alkoce bardzo często, zawsze z przystojnym oficerem u boku, i przysłuchiwała się dźwiękom skrzypiec, bassetli, harmonii i banjo i szuraniu roztańczonych stóp po wywoskowanej posadzce.

Teraz nie zapalono żyrandola. Wisiał krzywo, a większość szkiełek była połamana, jak gdyby strącili je umyślnie Jankesi. Pokój oświetlony był lampą naftową, kilkoma świecami i ogniem huczącym na dużym kominku. Migające płomienie ukazywały wyraźnie, jak zniszczona i pogruchotana jest stara podłoga. Prostokąty na spłowiałych tapetach wskazywały miejsca, gdzie niegdyś wisiały portrety, a szerokie szczeliny w tynku upamiętniały dzień, gdy pocisk padł na dom i rozdarł dach i część drugiego piętra. Stary ciężki stół mahoniowy, zastawiony tortami i karafkami, nadal stał pośrodku pustawej jadalni, ale był bardzo zniszczony, a połamane nogi zdradzały ślady niezdarnego naprawienia. Kredensu, srebra i wysmukłych krzeseł nie było. Złote adamaszkowe portiery, zasłaniające sklepione duże okna w głębi pokoju, znikły i zostały tylko resztki koronkowych firanek, czyste, ale bardzo pocerowane. Na miejscu rzeźbionej kanapki, którą tak lubiła, stała twarda ława, bardzo niewygodna. Scarlett siedziała na niej z możliwie zadowoloną miną, ale żałowała, że suknia jej nie jest w lepszym stanie i że nie może tańczyć. Tak byłoby przyjemnie móc znowu potańczyć... Znacznie jednak więcej osiągnie siedząc z Frankiem w tej odosobnionej alkoce niż tańcząc z nim galopa - będzie mogła słuchać z uwagą tego, co mówi, i zachęcać go do coraz śmielszych zalotów.

Tylko że muzyka brzmiała tak zachęcająco... Scarlett lekko uderzyła pantoflem w takt ze starym Levim, który brzdąkał na banjo i głośno wywoływał figury galopa. Stopy

tańczących to suwały się po posadzce, to uderzały o nią, gdy ustawieni w dwa rzędy zbliżali się ku sobie, cofali, wirowali i wznosili ręce.

Po długich i wyczerpujących miesiącach w Tarze przyjemnie było znowu słyszeć muzykę i szuranie tańczących stóp, przyjemnie widzieć znajome twarze, śmiejące się w bladym świetle, słyszeć stare żarty i przezwiska, kpinki, zaloty. Był to jak gdyby powrót do życia po śmierci. Mogło się prawie wydawać, że szalone dni sprzed pięciu lat wróciły znowu. Gdyby mogła przymknąć oczy, nie widzieć pocerowanych i poprzerabianych sukien, łątanych butów i dziurawych pantofli, gdyby nie pamiętała twarzy chłopców, których brakło w salonie, mogłaby może pomyśleć; że nic się nie zmieniło. Gdy tak jednak patrzyła na pokój, przyglądając się starym mężczyznom skupionym koło butelek, matronom siedzącym pod ścianami i szepczącym do siebie bez osłony wachlarzy, i balansującym tancerzom, uświadomiła sobie nagle, chłodno i przerażająco, że cały ten obraz zmienił się tak bardzo, jak gdyby znajome postacie stały się widmami.

Wszyscy wyglądali tak samo jak dawniej, ale jakoś inaczej. Co było tego przyczyną? Czy to, że byli o pięć lat starsi? Nie, nie była to sprawa lat. Coś zmieniło się w ich świecie. Pięć lat temu otulało ich poczucie bezpieczeństwa tak szczelnie, że nawet nie zdawali sobie z tego sprawy. Minęły dawne dreszcze rozkosznego oczekiwania na miłe zdarzenia, minął czar beztroskiego życia.

Czuła, że i ona sama się zmieniała, nie w ten sposób jednak jak oni, i to ją zdumiewało. Przyglądała im się i czuła się między nimi obco, tak obco i samotnie, jak gdyby przyszła z innego świata, rozmawiała obcym językiem i nie była przez nich rozumiana. Potem uprzytomniła sobie, że podobne uczucia miała w stosunku do Ashleya. W obecności jego i ludzi jego pokroju - a takich była w jej otoczeniu większość - czuła się poza nawiasem czegoś, co wymykało się jej rozumieniu.

Twarze ich zmieniły się niewiele, sposób bycia nie zmienił się wcale, ale Scarlett wydawało się, że tylko to pozostało nie zmienione w dawnych jej przyjaciółach. Dystynkcja nie na czasie i przestarzała galanteria nie opuściła ich jeszcze i nie miała opuścić aż do śmierci, ale nosili w sobie niewygasłą gorycz, gorycz zbyt głęboką, by ją Ubrać w słowa. Byli łagodnymi, nieustraszonymi ludźmi, którzy zostali pokonani, ale nie chcieli uznać swojej klęski, zostali złamani - a mimo to niezłomni. Byli zmiażdżeni i bezsilni, stali się obywatelami zdobytych prowincji. Patrzyli, jak ukochany kraj deptany jest teraz przez nieprzyjaciela, patrzyli, jak łotrzy drwią z prawa, jak dawni niewolnicy zwracają się przeciw nim, jak pozbawia się prawa wyborczego mężczyzn, znieważa kobiety. I pamiętali o zmarłych

W starym ich świecie zmieniło się wszystko prócz manier. Stare zwyczaje trwały dalej,

musiano ich przestrzegać, bo maniery były jedynym, co im pozostało. Trzymali się kurczowo rzeczy, które dobrze znali i w dawnych czasach kochali - swobodnego obejścia, uprzejmości, przyjemnej beztroski stosunków towarzyskich. przede wszystkim zaś galanterii mężczyzn w stosunku do dam. Wierni tradycjom, w których ich wychowano, mężczyźni byli rycerscy i prawie zupełnie udawało im się odizolować swoje kobiety od wszystkiego, co ordynarne i nieodpowiednie dla kobiecych oczu. To, myślała Scarlett, jest szczytem głupoty, bo mało było rzeczy, których by najbardziej nawet skromne kobiety nie widziały i nie doświadczyły w ciągu ostatnich pięciu lat. Pielęgnowały rannych, zamykały oczy konającym, przecierpiały wojnę, ogień i zniszczenie, zaznały terroru, bezdomności i głodu.

Ale mimo wszystkich okropności, które widzieli, mimo ciężkiej pracy, na którą byli skazani, pozostali dumni i wykwintni jak arystokracja na wygnaniu - byli zgorzkniali, niedostępni, zobojętniali, pełni dobroci jedni dla drugich, twardzi jak diamenty. Dawne czasy przeminęły, ale ludzie ci żyli tak, jak gdyby trwały dalej - czarujący, leniwi, zdecydowani nie spieszyć się i nie dobijać wzorem Jankesów o grosz, zdecydowani nie rozstawać się z dawnymi obyczajami.

Scarlett jednak wiedziała, że ona sama zmieniała się bardzo. Inaczej nie byłaby w stanie robić tych wszystkich rzeczy, które zrobiła od ostatniego pobytu w Atlancie. Nie mogłaby zdobyć się na to, co zamierzyła. Między jej determinacją a postawą jej przyjaciół była pewna różnica, ale trudno jej było powiedzieć, na czym polegała. Może na tym, że nie istniało nic, do czego nie byłaby zdolna, a wiele było rzeczy, których by ci ludzie nie zrobili nawet pod groźbą śmierci. Może na tym, że oni nie mieli nadziei, a przecież z uśmiechem przyglądali się życiu, skłaniali mu się lekko i przechodzili. Tego zaś Scarlett nie potrafiła.

Nie chciała ignorować życia. Musiała żyć, życie było zaś zbyt brutalne, zbyt wrogie, aby uśmiechem kwitować jego szorstkość. Łagodności, odwagi i nieustępliwej dumy swoich przyjaciół Scarlett nie dostrzegała wcale. Wiedziała tylko, że z głupim uporem, widząc właściwe oblicze spraw, nie chcieli im patrzeć prosto w oczy.

Kiedy przyglądała się tańczącym, zarumienionym od galopu, zastanawiała się, czy i ich gnębiły te same sprawy co ją - śmierć wielbicieli, kalectwo mężów, głód dzieci, utrata ziemi, przebywanie obcych pod ukochanymi dachami. Ależ oczywiście, że ich to gnębiło! Znała warunki ich życia prawie tak dobrze jak swoje własne. Stracili to samo co ona, musieli się tych samych rzeczy wyrzec, mieli takie same jak ona problemy. A jednak reagowali na nie inaczej. Twarze, które widziała w pokoju przed sobą, nie były twarzami: były to maski, doskonale maski, które nigdy nie miały opaść.

Ale jeżeli cierpieli z powodu brutalnej teraźniejszości równie ostro jak ona - a tak

przecież niewątpliwie było - jakże mogli utrzymać te pozory wesołości i bez troski serca? Po co starali się to robić? Nie mogła ich zrozumieć i to ją trochę gniewało. Nie umiała być taka jak oni. Nie mogła patrzeć, na rozbicie swego świata z miną obojętnie niedbałą. Czuła się zaszczuta jak lis, który ucieka z duszą na ramieniu, szukając nory, aby zaryć się w niej, nim go pochwycą psy. Nagle poczuła do tych wszystkich ludzi nienawiść, ponieważ byli tak od niej różni, ponieważ znosili swoje straty z obojętnością, na którą ona nigdy się nie zdobędzie, nigdy nie będzie się chciała zdobyć. Nienawidziła ich, tych uśmiechniętych, dumnych głupców, szczycących się tym, co stracili, dumnych niemal z tego, że wszystko stracili. Kobiety, obnosiły się jak damy i były naprawdę damami, choć fizyczna praca była ich codziennym udziałem, choć nie wiedziały, skąd wezmą na nową suknię. Damy! Ona jednak nie czuła się damą, mimo aksamitnej sukni i pachnących włosów, mimo dumy z rodziny swojej i majątku, który niegdyś posiadała. Brutalny kontakt z czerwoną ziemią Tary odarł ją z wszelkiej pańskości, wiedziała też, że nie będzie się czuła damą, dopóki stół jej znowu nie będzie się ugiął od sreber, kryształów i wykwinnych potraw, dopóki w stajniach nie będzie miała własnych koni i powozów, dopóki czarne, a nie białe dłonie nie będą zbierały w Tarze bawełny.

„Ach! - westchnęła ze złością. - Na tym polega różnica! One wszystkie postępują jak damy, mimo że są biedne, a ja już tego nie umiem. Te głupie gęsi nie zdają sobie sprawy, że nie można być damą bez pieniędzy!”

Nawet w tej chwili objawienia zdawała sobie jednak sprawę, że to ich postawa była słuszna, a nie jej. Ellen również by tak uważała. To ją niepokoiło. Czuła, że powinna myśleć jak ci ludzie, a nie mogła. Czuła, że powinna wierzyć tak święcie jak oni, że kobieta, która urodziła się damą, pozostaje damą nawet w biedzie - teraz jednak nie mogła w to wierzyć.

Przez całe swoje życie słyszała drwiny z Jankesów, którzy swe pretensje do dobrego urodzenia opierali na majątku, nie na dystynkcji. W tej jednak chwili, wiedząc, że to herezja, myślała, iż Jankesi mają rację. Na to, żeby być damą, trzeba mieć pieniądze. Wiedziała, że Ellen zemdłałaby słysząc takie słowa z ust swojej córki. Ellen nie wstydziłaby się najskromniejszej nędzy. Wstyd? Tak, Scarlett się wstydziła. Wstydziła się, że jest biedna i zmuszona do poniżających czynności, do niedostatku i pracy odpowiedniej dla Murzynów.

Z irytacją wzruszyła ramionami. Może to ci ludzie mieli słuszość, a nie ona, ale ci dumni głupcy nie patrzyli w przyszłość jak ona, nie natężali wszystkich nerwów, nie stawiali na kartę ani honoru, ani dobrego imienia, aby odzyskać to, co stracili. Niektórzy uważali, że ubieganie się o pieniądze jest poniżej ich godności. Czasy były ciężkie i brutalne. Wymagały ciężkiej i brutalnej walki, jeżeli pragnęło się zwycięstwa. Scarlett wiedziała, że przywiązanie

do tradycji nie pozwalało wielu z tych ludzi na wysiłki, których celem było robienie pieniędzy. Wszyscy uważali, że jawne zarabianie pieniędzy i choćby rozmowa o pieniądzach są dowodem ostatecznego prostactwa. Rozumie się, że istniały wyjątki. Pani Merriweather i jej wytwórnia ciast, czy Rene, który ciasta rozwoził po mieście. Hugo Elsing, który rąbał i sprzedawał drzewo na opał, i Tomasz - przedsiębiorca budowlany. I Frank, który miał dość rozumu, aby otworzyć sklep. Ale cóż z całą resztą? Plantatorzy będą dalej uprawiali po parę akrów i żyli w biedzie. Prawnicy i lekarze wrócą do swych zajęć i będą czekali na klientów, którzy się może nigdy nie zjawią. Ale reszta, ci wszyscy którzy dostаточно żyli z dochodów? Co się stanie z nimi?

Scarlett nie miała zamiaru być w biedzie przez całe życie. Nie chciała siedzieć w kącie i czekać, aż zdarzy się cud. Chciała rzucić się w życie i wydrzeć mu wszystko, czego pragnęła. Ojciec jej zaczął jako biedny imigrant i zdobył rozległe grunty Tary. Córka jego potrafi zrobić to samo. Nie była podobna do ludzi, którzy postawili wszystko na Sprawę, teraz przegraną, i dumni byli z przegranej, bo uważali Sprawę za wartą największych poświęceń. Oni czerpali odwagę z przeszłości. Frank Kennedy był teraz jej przyszłością. Miał przynajmniej sklep i trochę gotówki. Jeżeli zdoła wydać się za niego i dobrać się do jego pieniędzy, Tara będzie mogła przetrwać jeszcze rok. Potem zaś - Frank będzie musiał kupić tartak. Widziała na własne oczy, jak szybko odbudowuje się miasto, i zrozumiała, że w tych czasach każdy, kto handluje drzewem, gdy konkurencja jest tak mała, ma kopalnię złota.

Z zakamarków mózgu wypłynęły słowa, które Rett wypowiedział na początku wojny o swoich zarobkach na blokadzie. Nie starała się ich wtedy zrozumieć, teraz jednak wydawały jej się całkowicie jasne. Zastanawiała się, czy to młodość i bezdenna głupota nie pozwoliły jej wtedy ich ocenić.

„Równie dobrze można zarobić na upadku cywilizacji co na jej budowaniu”

„On przewidywał upadek - myślała - i miał słuszość. Jeszcze w dalszym ciągu dużo jest możliwości dla każdego, kto nie boi się pracować., albo łupić”.

Zauważyła, że Frank zbliża się do niej ze szklanką wina porzeczkowego i kawałkiem ciasta na talerzyku, zmusiła się więc do uśmiechu. Nie zastanawiała się ani przez chwilę, czy Tara warta jest poślubienia Franka. Wiedziała, że jest warta, i sprawa była dla niej przesadzona.

Sącząc wino uśmiechała się do niego, zadowolona, że ma policzki różowsze niż inne panie. Zebrała suknie, aby mu zrobić miejsce koło siebie, i zaczęła delikatnie powiewać chusteczką, by doszedł go zapach wody kolońskiej. Dumna była i z tego zapachu, bo żadna inna kobieta w salonie nie była uperfumowana, i Frank to natychmiast zauważył. W

przystępie śmiałości szepnął jej do ucha, że podobna jest do różowej wonnej róży.

Gdyby tylko był nieco śmielszy! Przypominał jej zatrwożonego królika polnego. Gdyby mógł okazać zapał i galanterię młodych Tarletonów czy choćby bezczelność Retta Butlera! Ale gdyby miał te zalety, posiadałby jednocześnie dość rozumu, by wyczuć rozpacz, czającą się za jej skromnie trzepoczącymi się powiekami. Frank jednak tak mało znał kobiety, że nie podejrzewał jej o jakiegokolwiek przewrotne zamiary. Było to szczęściem, ale bynajmniej nie wzmagało jej szacunku do niego.

ROZDZIAŁ XXXVI

Scarlett poślubiła Franka Kennedy'ego w dwa tygodnie później, po błyskawicznych konkurach, które, jak przyznała się z rumieńcem, zbyt ją wzburzyły, aby mogła się dłużej jego zapałom opierać.

Frank nie wiedział, że w czasie tych dwóch tygodni całymi nocami chodziła po swoim pokoju zgrzytając zębami z powodu powolności, z jaką reagował na jej zachęty, modląc się, aby przedwczesny list od Zueli nie pokrzyżował jej planów. Dziękowała Bogu, że siostra nie lubi korespondować, że równie niechętnie odpisuje na listy, jak lubi je otrzymywać. Ale wszystko może się zdarzyć, myślała w ciągu długich godzin nocnych, wędrując tam i z powrotem po zimnej posadzce swojej sypialni, otulona wyblakłym szalem Ellen, zarzuconymi na nocną koszulę. Frank nie wiedział, że otrzymała lakoniczny list od Willa z wiadomością, że Jonasz Wilkerson złożył w Tarze powtórny wizytę i dowiedziawszy się, że Scarlett wyjechała do Atlanty, póty się awanturował, póki Ashley z Willem nie wyrzucili go za drzwi. List Willa uświadomił jej jeszcze wyraźniej to, o czym pamiętała aż nadto dobrze, że termin zapłaty podatków był coraz bliższy. W miarę mijania dni ogarnęła ją szalona desperacja, chciałyby móc schwycić w ręce klepsydre i wstrzymać przesypywanie się piasku.

Tak jednak dobrze ukrywała swoje uczucia, tak dobrze odgrywała komedię, że Frank nic nie podejrzewał i nie widział nic - tylko piękną i bezradną wdowę po Karolu Hamiltonie, która co wieczór witała go radośnie w salonie panny Pitty i słuchała z podziwem i zapartym oddechem jego planów co do sklepu i obliczeń na temat możliwych dochodów z tartaku. Słodkie jej współczucie i zainteresowanie tym, co mówił, były balsamem na ranę spowodowaną zdradą Zueli. Franka bolało serce z powodu postępu Zueli; próżność jego, nieśmiała, drażliwa próżność niemłodego kawalera, który wie, że nie ma powodzenia u kobiet, odniosła głęboką ranę. Nie mógł napisać do Zueli z wyrzutami. Mierzyła go myśl o czymś podobnym. Mógł jednak otworzyć serce przed Scarlett. Nie mówiąc ani jednego złego słowa o Zueli, potrafiła powiedzieć mu, że ocenia, jak źle postąpiła z nim siostra, i że zasługiwał na lepsze traktowanie.

Mała pani Hamilton była tak piękną osobką, raz wzdychającą z melancholią na myśl o swoich ciężkich obowiązkach, to znowu śmiejącą się srebrzyście, gdy żartował, aby ją rozweselić! Zielona suknia, teraz doskonale wyczyszczona przez Mammy, podkreślała znakomicie jej szczupłą talię, a jakże czarujący był delikatny zapach wydzielający się z jej chusteczki i włosów! To straszne, że tak śliczna kobieta została sama i bez opieki w tym

trudnym świecie, z którego brutalności nie zdawała sobie sprawy. Nie miała ani brata, ani nawet ojca, który by się nią opiekował. Frank uważał, że świat jest miejscem zbyt niebezpiecznym dla samotnej kobiety, a Scarlett potakiwała z przekonaniem.

Frank przychodził więc co wieczór z wizytą, bo atmosfera domu Pitty była przyjemna i działała nań kojąco. Mammy otwierała mu drzwi z uśmiechem niezwykle radosnym, Pitty nalewała mu kawę wzmocnioną koniakiem i krzątała się koło niego z zapalem, a Scarlett słuchała łapczywie jego słów. Czasem po południu zabierał Scarlett na przejażdżkę bryczką, gdy jeździli po mieście w interesach. Spaceracje te były bardzo zabawne, bo zadawała mu wiele naiwnych pytań - typowo kobiecych, jak mówił sobie z uznaniem. Musiał się śmiać z powodu jej niedoświadczenia w interesach, Scarlett zaś śmiała się z nim razem mówiąc: - No pewnie, skąd taka głupia kobieta jak ja może się znać na męskich sprawach.

W towarzystwie Scarlett Frank czuł się po raz pierwszy w swoim starokawalerskim życiu silnym, prawdziwym mężczyzną, ukutym przez Boga z szlachetniejszego niż inni kruszcu po to, by opiekować się nierozsądnymi i bezbronnymi kobietami.

Nawet w chwili gdy brali ślub i mała, ufna dłoń Scarlett spoczęła w jego dłoni, a opuszczone rzęsy rzuciły półksiężyc cienia na różowe policzki. Frank nie rozumiał, jak do tego doszło. Wiedział tylko, że po raz pierwszy w życiu postąpił bardzo romantycznie. On, Frank Kennedy, potrafił zawrócić w głowie tej ślicznej osobce i porwać ją w swe silne ramiona. Było to upajające uczucie.

Na ślubie nie było nikogo z przyjaciół czy krewnych. Świadkami byli nieznajomi, zaproszeni z ulicy. Scarlett upierała się przy tym i Frank musiał wbrew woli ustąpić, choć bardzo chciał zaprosić siostrę i szwagra z Jonesboro. Radość sprawiłoby mu także przyjęcie w salonie panny Pitty, obecność życzliwych przyjaciół i toasty na cześć oblubienicy. Scarlett jednak nie chciała nawet słyszeć o zaproszeniu panny Pitty.

- Będziemy we dwoje tylko, Frank - prosiła ściskając go za rękę. - Jak gdybyś mnie porwał. Zawsze marzyłam o tym, aby uciec z domu i wziąć potajemny ślub. Proszę cię, kochany, zrób to dla mnie.

To pieszczotliwe słowo, którym nikt go dotąd nie nazywał, i przejrzyste łyżki, które ukazały się w kącikach szmaragdowych, błagalnie patrzących oczu, przekonały go wreszcie. Ostatecznie, mężczyzna musi iść na ustępstwa w stosunku do swojej narzeczonej, zwłaszcza w sprawie ślubu. Kobiety zwykle tyle wagi przypisują sprawom uczuciowym.

Tak więc, zanim Frank zdążył się spostrzec, został mężem Scarlett.

Frank dał Scarlett owe trzysta dolarów, zdumiony jej łagodnym nastawieniem, chociaż opierał się z początku, bo równało się to chwilowemu pogrzebaniu nadziei na kupno tartaku.

Nie mógł dopuścić do wywłaszczenia rodziny żony. Żal jego szybko zmalął wobec wyraźnego rozradowania Scarlett, a znikł zupełnie pod wpływem jej czułych zachwyty nad jego hojnością. Dotąd nie zachwycała się nim żadna kobieta, w końcu więc zaczął myśleć, że pieniądze nie poszły na marne.

Scarlett natychmiast wysłała Mammy do Tary, w trojkiej misji: wręczenia Willowi pieniędzy, zawiadomienia rodziny o jej zamążpójściu i sprowadzenia Wade'a do Atlanty. Po dwóch dniach otrzymała krótką kartkę od Willa, którą nosiła przy sobie i co chwila odczytywała z radością. Will pisał, że podatki zostały zapłacone i że Jonasz Wilkerson przyjął tę nowinę bardzo źle, ale gróźb swoich nie ponowił. Kończył list życzeniami szczęścia, bardzo lakonicznymi i oficjalnymi. Scarlett wiedziała, że Will rozumie, co zrobiła i dlaczego, że jednak ani nie gani, ani nie pochwała jej postępków. Lecz co sądzi Ashley! Niepokoiła się gorączkowo. Jak sądzi ją po tym, co mu tak niedawno wyznała w sądzie?

Otrzymała list od Zueli, nieortograficzny, gwałtowny, obelżywy, poplamiony łzami, list tak pełen jadu i słusznych uwag o jej charakterze, że Scarlett nie mogła go siostrze nigdy zapomnieć ani wybaczyć. Ale nawet słowa Zueli nie mogły przyćmić jej zadowolenia, że uratowała Tarę od bezpośredniego niebezpieczeństwa.

Trudno było Scarlett pogodzić się z tym, że ma teraz mieszkać stale w Atlancie, a nie w Tarze. Podczas rozpaczliwych starań o pieniądze myślała wyłącznie o Tarze i o losie, jaki czeka plantację. Nawet biorąc ślub nie myślała o tym, że ceną za uratowanie domu rodzinnego stało się wieczne zeń wygnanie. Teraz dopiero, gdy klamka zapadła, uświadomiła to sobie, zaczęła mocno tęsknić za domem i nie mogła tej tęsknoty ugasić. Stało się już jednak. Zawarła umowę i chciała jej dotrzymać. Tak bardzo zaś była wdzięczna Frankowi za uratowanie Tary, że zaczęła czuć dla niego ciepłą tkliwość i mocno postanowiła, iż nigdy nie pozwoli mu żałować tego, że się z nią ożenił.

Panie z Atlanty sprawy swoich bliźnich znały prawie tak samo dokładnie jak własne, interesowały się zaś nimi znacznie bardziej niż własnymi. Wiedziały doskonale, że Frank i Zuela mieli się od dawna ku sobie. Frank mówił nawet z zażenowaniem, że ożeni się może na wiosnę. Nie można się było dziwić plotkom, domysłom i podejrzeniom, które rozszalały się po ślubie Scarlett. Pani Merriweather, która lubiła zaspokajać swoją ciekawość o ile możliwości u źródła, zapytała wprost Franka, co go skłoniło do ożenku z jedną siostrą, kiedy był zaręczony z drugą. Zwierzyła się pani Elsing, że za odpowiedź musiało jej starczyć głupie spojrzenie Franka. Jednak nawet pani Merriweather, chociaż bardzo odważna, nie ośmieliła się poruszyć tego tematu ze Scarlett. Scarlett była w tym okresie dość łagodna i spokojna; ale w oczach jej malowało się ciche zadowolenie, które ludzi irytowało, a w postawie było coś

agresywnego, tak że woleli z nią nie zaczynać.

Wiedziała dobrze, że miasto plotkuje, lecz nie przejmowała się tym wcale. Ostatecznie, wyjście za mąż nie jest rzeczą niemoralną. Tara była bezpieczna. Niech ludzie gadają. Miała dosyć innych spraw, które jej leżały na sercu. Najważniejsze było, aby taktownie dać Frankowi do zrozumienia, że sklep jego powinien przynosić większe zyski. Najadłszy się strachu z powodu Jonasza Wilkersona czuła, że nie zagna spokoju, póki Frank nie zaoszczędzi choć trochę pieniędzy. Nawet gdyby nie było żadnych nieprzewidzianych wydatków, Frank powinien zarobić tyle, aby mogła bez uszczerbku dla niego zapłacić podatki na rok przyszły. Zapamiętała też dobrze to wszystko, co jej Frank powiedział o tartaku. Można było na nim dużo zarobić i bez większych trudności, bo drzewo osiągało olbrzymią cenę. Gryzła się trochę, że oszczędności Franka nie wystarczą i na podatki, i na kupno tartaku. Postanowiła wobec tego, że będzie musiała teraz więcej wyciągać ze sklepu, aby Frank mógł kupić tartak, zanim mu go sprzątną sprzed nosa. Rozumiała doskonale, że podobna okazja może się nie powtórzyć.

Gdyby była mężczyzną, kupiłaby tartak, choćby za cenę pożyczki hipotecznej na sklep. Kiedy jednak w dzień po ślubie ostrożnie podsunęła tę myśl Frankowi, uśmiechnął się tylko i poprosił, aby sobie nie łamała ślicznej, kochanej główki nudnymi sprawami handlowymi. Bardzo się zdziwił, że w ogóle wiedziała, co to hipoteka, i z początku go to trochę bawiło. Zdziwienie jednak szybko ustąpiło miejsca zgorzeniu, zaraz w pierwszych dniach ich małżeństwa. Kiedyś, nieostrożnie, powiedział jej, że „ludzie” (nie wymienił nazwisk) winni mu są pieniądze, ale nie mogą mu zapłacić, on zaś oczywiście nie chce nachodzić o nie starych przyjaciół, ludzi dobrze urodzonych. Żałował potem, że o tym napomknął, bo odtąd Scarlett pytała go o to ciągle. Robiła to w sposób naiwny i dziecinny, bo jak twierdziła, była po prostu ciekawa, kto mu jest winien i ile. Frank nie chciał się jednak szczegółowiej na ten temat wypowiadać. Pokaszliwał tylko nerwowo, machał rękami i powtarzał głupią uwagę o jej ślicznej, kochanej, małej główce.

Zaczął mu jednak świtać, że ta śliczna, kochana główka doskonale potrafi rachować, o wiele nawet lepiej od niego - i świadomość ta była niepokojąca. Był oszołomiony, kiedy odkrył, że Scarlett umie szybko dodać w pamięci długą kolumnę cyfr, podczas gdy on musi mozolnie rachować na papierze. Ułamki także nie przedstawiały dla niej żadnej trudności. Uważał, że jest rzeczą wysoce niewłaściwą, aby kobieta rozumiała się na ułamkach i interesach, i wydawało mu się, że powinna takie nieodpowiednie zainteresowania ukrywać.

Zaczął więc teraz bardzo starannie unikać rozmów o interesach, mimo że przed ślubem lubił o nich rozmawiać. Wtedy uważał, że są to sprawy, których Scarlett nie rozumie, i z

przyjemną wyższością tłumaczył jej wszystkie szczegóły. Teraz przekonał się, że rozumie je aż za dobrze, i oburzał się w duchu na kobiecą dwulicowość. Do oburzenia przyłączyło się rozczarowanie, jakie często odczuwają mężczyźni odkrywając, że kobiety także mają rozum.

Nikt nie wiedział, kiedy Frank domyślił się, że Scarlett użyła podstępu, aby wyjść za niego za mąż. Może prawda zaczęła mu świtać, kiedy Tonio Fontaine, wyraźnie w nikim nie zakochany, przyjechał do Atlanty za interesami. Możliwe także, że wyraźnie powiedziała mu o tym w liście siostra z Jonesboro, zdumiona jego małżeństwem. Z pewnością nie dowiedział się tego od Zueli. Przestała do niego pisywać, on zaś, oczywiście, także nie mógł do niej napisać i wszystkiego wyjaśnić. Cóż by mu zresztą przyszło z wyjaśnień teraz, kiedy już był żonaty? Cierpiał męki na myśl, że Zuela nigdy nie dowie się prawdy i że będzie zawsze uważała, iż niecnie ją zwiódł. Prawdopodobnie wszyscy dokoła myśleli tak samo i ostro go krytykowali. Ukazywało go to w nieprzyjemnym świetle. Nie mógł sam niczego wyjaśnić, bo mężczyźni nie wolno przecież opowiadać, że stracił głowę dla kobiety - dżentelmen nie może rozgłaszać faktu, że żona zdobyła go kłamstwem.

Scarlett była jego żoną, żona zaś miała prawo wymagać od męża lojalności. Co więcej, nie mógł uwierzyć, że wyszła za niego z wyrachowania, bez żadnego uczucia. Męska jego próżność nie dopuszczała podobnej myśli. Przyjemniej było myśleć, że zakochała się w nim tak gorąco, iż postanowiła go zdobyć podstępem. Wszystko to jednak było bardzo dziwne. Wiedział, że nie mógł być cenną zdobyczą dla kobiety dwa razy od niego młodszej, ładnej i eleganckiej, ale ponieważ był dżentelmenem, nie dzielił się z nikim swoim zdziwieniem. Scarlett była jego żoną, nie mógł więc jej obrażać zadawaniem kłopotliwych pytań, które ostatecznie i tak niczego nie mogłyby zmienić.

Nie znaczy to, aby Franek pragnął jakiegokolwiek zmiany, bo miał wszelkie powody przypuszczać, że małżeństwo jego będzie bardzo szczęśliwe. Scarlett była najbardziej uroczą i interesującą z kobiet, i uważał ją za doskonałą pod każdym względem - była jedynie trochę uparta. Frank wcześniej przekonał się, że życie układa się bardzo przyjemnie, gdy Scarlett robi to, co chce, kiedy jednak sprzeciwiał się jej... Gdy robiła to, na co miała ochotę, była wesoła jak dziecko, śmiała się często, płała śmieszne figle, siadała mu na kolanach i skubała za brodę, aż zapewniał ją ze śmiechem, że czuje się o dwadzieścia lat młodszy. Potrafiła być także niespodzianie miła i uważna, grzała mu pantofle przy kominku, gdy wracał wieczorem do domu, pamiętała, że lubi dróbka i że bierze do kawy trzy łyżeczki cukru. Tak, życie ze Scarlett było bardzo przyjemne i gładkie - pod warunkiem, że mogła robić, co chciała.

W dwa tygodnie po ślubie Frank zachorował na grypę i dr Meade kazał mu się położyć. W pierwszym roku wojny chorował przez dwa miesiące na zapalenie płuc i odtąd stale

obawiał się nawrotu choroby, leżał więc teraz pod trzema kołdrami, pocił się i wypijał co godzinę gorące wywary, które mu podawały Mammy i Pitty.

Choroba przeciągała się i Frank z dnia na dzień bardziej się niepokoił o losy sklepu. Zostawił wszystko na opiece młodego praktykanta, który co wieczór meldował mu o dokonanych transakcjach. Frank nie był jednak z tego zadowolony. Martwił się bez przerwy, aż Scarlett, która czekała tylko takiej sposobności, położyła mu chłodną dłoń na czole i powiedziała:

- Słuchaj, kochanie, zacznę się gniewać, jeżeli będziesz się tak irytował. Pojadę sama do miasta i przekonam się, co się dzieje w sklepie.

I z tymi słowami wyszła z pokoju zadowolona, że uciszyła jego słabe sprzeciwy. Przez trzy tygodnie po ślubie płonęła z niecierpliwości, aby przejrzeć książki Franka i przekonać się, jak stoją sprawy pieniężne. Jakie szczęście, że był przykuty do łóżka!

Sklep mieścił się w pobliżu Pięciu Znaków; nowy jego dach odcinał się jasno od poczerniałych cegieł starych murów. Drewniane daszki osłaniały chodnik na całą jego szerokość; do żelaznych ich podpórek uwiązane były konie i muły, okryte podartymi kocami dla ochrony przed zimnym kapuśniaczkiem. Wnętrze sklepu przypominało skład Bullarda w Jonesboro, tylko że tutaj dokoła rozgrzanego do czerwoności pieca nie gromadzili się klienci rozmawiając lub wypluwając sok tytoniowy do wyspanych piaskiem spluwaczek. Sklep Franka był większy od sklepu Bullarda i znacznie ciemniejszy. Drewniane daszki nie dopuszczały prawie światła dziennego, wnętrze więc sklepu oświetlone tylko małymi, poplamionymi przez muchy okienkami, było bardzo ponure. Na podłodze leżały zabłocone trociny, wszędzie - warstwy pyłu i kurzu. Front sklepu przedstawiał się porządniej - na wysokich półkach połyskiwały różnokolorowe zwoje materiałów, tłoczyły się serwisy, naczynia kuchenne i inne przedmioty. Z tyłu jednak, za przepierzeniem, panował wielki nieład.

Nie było tu podłogi i przeróżne towary piętrzyły się bezładnie na uklepanej ziemi. W półmroku Scarlett rozróżniła skrzynie i bele towarów, pługi, uprzęże, siodła i tanie sosnowe trumny. Używane meble, od najskromniejszych po mahonie i palisandry, o bogatych, ale podartych pokryciach brokatowych, dziwnie wyglądały w tym niechlujnym miejscu. Nocniki porcelanowe, komplety misek i kubków zapełniały podłogę, a pod wszystkimi ścianami stały wysokie skrzynki, w takiej ciemności, że Scarlett musiała sobie poświecić, aby zobaczyć, że zawierają nasiona i gwoździe, zawiasy i narzędzia stolarskie.

- Sądzić by można, że mężczyzna tak pedantyczny jak Frank bardziej miłuje porządek - pomyślała ocierając chusteczką zabrudzone ręce. - Wygląda w tym sklepie jak w chlewie.

Cóż za sposób prowadzenia interesu! Gdybyż tylko odkurzył to wszystko i ustawił na widoku, mógłby znacznie szybciej sprzedać.

Jeżeli zaś towary znajdowały się w takim nieporządku, jaki musi być stan rachunków!

„Zajrzę teraz do jego ksiąg” - pomyślała i podnosząc lampę przeszła na przód sklepu. Willy, młody subiekt, niezbyt chętnie wręczył jej dużą, brudną księgę główną. Widoczne było, że mimo młodego wieku podziela pogląd Franka, iż kobiety nie powinny się wtrącać do interesów. Scarlett jednak przywołała go ostro do porządku i wysłała na obiad. Kiedy poszedł, poczuła się raźniej, bo złościło ją jego boczenie się na nią, i usadowiwszy się na krześle przy huczącym piecu, podwinęła pod siebie jedną nogę i rozłożyła książkę na kolanach. Pora była obiadowa i ulice puste. Kupujący nie przychodzili, nikt jej więc nie przeszkadzał.

Przewracała stronicę wolno, uważnie przeglądając rzędy nazwisk i cyfr, wypisane kaligraficznym pismem Franka. Było tak, jak przewidywała, nachmurzyła się więc, stwierdzając ten oczywisty brak zaradności męża. Należności, przeważnie stare, w sumie co najmniej pięciuset dolarów, figurowały przy nazwiskach osób dobrze jej znanych, wśród których nie brakło pani Merriweather i pani Elsing. Z wymijających uwag Franka o pieniądzach, które mu „ludzie” byli winni, można było wywnioskować, że sumy te są małe. To jednak!...

„Jeżeli nie mogą płacić, dlaczego nadal kupują na kredyt? - myślała z podrażnieniem. - A jeżeli Frank wie, że nie mogą płacić, po co im tyle sprzedaje? Większość tych ludzi mogłaby zapłacić, gdyby ich Frank przycisnął. Pani Elsing z pewnością, skoro mogła sprawić Fanny nową atlasową suknię i urządzić takie wesele, Frank jest zbyt ustępliwy i ludzie go wyzyskują. Ba! gdyby odebrał choć połowę tych pieniędzy, mógłby kupić tartak i z łatwością dać mi pieniądze na podatki.”

Potem pomyślała: „Wyobrażam sobie, jakby Frank poprowadził tartak! Do stu par beczek! Skoro sklep prowadzi jak instytucję dobroczynną, jakże może przypuszczać, że się wzbogaci na tartaku? Komornik zlicytuje mu go w miesiąc. Nawet ja umiałabym lepiej poprowadzić ten skład! I lepiej potrafiłabym zarządzać tartakiem, chociaż wcale się nie znam na handlu drzewem!”

Cóż to za zdumiewająca myśl: kobieta miałaby się znać na interesach równie dobrze lub lepiej od mężczyzny? Scarlett wychowanej w przekonaniu, że mężczyźni są wszechwiedzący, a kobiety raczej ograniczone, myśl ta wydała się rewolucyjna. Od dawna już wprawdzie wiedziała, że nie jest to absolutną prawdą, ale jak dotąd starała się zachować resztki jakichkolwiek złudzeń. Dotąd nigdy jednak nie zdobyła się na ubranie w słowa tej odważnej myśli. Siedziała bez ruchu, z ciężką księgą na kolanach, z ustami rozchyłonymi ze zdziwienia,

i myślała o tym, że przecież podczas chudych miesięcy w Tarze dźwigała na sobie obowiązki mężczyzny i wywiązywała się z nich dobrze. Wychowano ją w tej tradycji, że sama kobieta nie jest zdolna do niczego, a jednak umiała zarządzać plantacją bez męskiej pomocy aż do chwili zjawienia się Willa.

Tak, tak, stwierdzała nieśmiało, wydaje mi się, że kobiety potrafią wszystko na tym świecie zrobić bez męskiej pomocy - z wyjątkiem płodzenia dzieci - a Bóg świadkiem, że żadna rozsądna kobieta nie chciałaby mieć dzieci, gdyby potrafiła tego uniknąć.

Wraz z myślą, że jest nie mniej zdolna od mężczyzny, zrodziła się w niej nagła duma i gwałtowne pragnienie zarabiania pieniędzy jak mężczyzna. Zarabiania pieniędzy, które byłyby jej własne, o które nie musiałaby nikogo prosić ani nikomu z nich zdawać sprawy.

- Szkoda, że nie mam dość pieniędzy, aby kupić ten tartak dla siebie - rzekła na głos i westchnęła. - Pewna jestem, że poszedłby mi doskonale. I nawet jednej drzazgi nie sprzedałabym na kredyt.

Westchnęła znowu. Nie miała skąd wziąć pieniędzy, więc wszystko to było bezpłodnym marzeniem. Frank będzie musiał po prostu zainkasować należne mu sumy i kupić tartak. W ten sposób dorobi się pieniędzy, kiedy zaś kupi tartak, ona znajdzie już jakiś sposób i wpłynie na niego, aby prowadził go sprawniej niż sklep.

Wyrwała nie zapisaną stronę z księgi i zaczęła przepisywać nazwiska wierzycieli, którzy nic nie zapłacili Frankowi od wielu miesięcy. Porozmawia z nim o tej sprawie, jak tylko przyjdzie do domu. Postara się mu wytłumaczyć, że ludzie powinni płacić swoje długi, nawet jeżeli są jego przyjaciółmi, nawet jeżeli przykro mu jest się o pieniądze upominać. Z pewnością bardzo zmartwi Franka, który jest nieśmiały i liczy się z opinią swoich znajomych. Jest tak delikatny, że wolałby z pewnością stracić pieniądze niż upomnieć się o nie w rozsądny sposób.

Frank powie jej pewno, że nikt nie ma pieniędzy na płacenie długów. To może jest i prawdą. Bieda z pewnością nie jest rzeczą nową, zwłaszcza dla niej. Wszyscy jednak w Atlancie uratowali trochę srebra, biżuterii czy jakies nieruchomości. Frank mógłby je przyjmować zamiast pieniędzy.

Scarlett wyobrażała sobie, jak Frank będzie jęczał, gdy mu podsunie taką myśl. Zabrać przyjaciółom i znajomym biżuterię lub resztki majątku! „Wszystko mi jedno - pomyślała - niech jęczy, ile mu się podoba. Powiem mu, że może sam zostać biednym w imię przyjaźni, ale że ja na to nie mam ochoty. Frank nigdy do niczego nic dojdzie, jeżeli nie nabierze tupetu. A przecież musi dojść do pieniędzy! Musi się wzbogacić i nakłonię go do tego, choćbym miała go wziąć pod pantofel”.

Pilnie pisała, skrzywiona z wysiłku, z językiem lekko wysadzonym, kiedy otworzy się drzwi i zimny wiatr powiał po sklepie. Do brudnego wnętrza stąpając lekko i elastycznie wszedł wysoki mężczyzna. Podniósłszy głowę Scarlett ujrzała Retta Butlera.

Wyglądał wspaniale w nowym ubraniu i palcie, z peleryną odrzuconą z szerokich ramion. Zdjął cylinder i skłonił się głęboko, z ręką złożoną na gorsie nieskazitelnie białej plisowanej koszuli. Białe zęby błysnęły mu drapieżnie w brązowej twarzy, a śmiałe oczy poszukały jej wzroku.

- Droga pani Kennedy! - zawołał idąc w jej stronę. - Kochana, droga pani Kennedy! - i wybuchnął wesołym głośnym śmiechem.

Z początku była przerażona, jak gdyby to duch zjawił się w sklepie, potem jednak, szybko wyciągając nogę spod siebie, wyprostowała się i spojrzała na niego lodowatym wzrokiem.

- Co pan tutaj robi?

- Zaszedłem do panny Pittypat, dowiedziałem się o pani małżeństwie i pośpieszyłem tutaj, aby pani powinszować.

Na wspomnienie upokorzenia, jakiego doznała z jego strony, stała się szkarłatna ze wstydu.

- Nie rozumiem, jak pan ma czoło patrzeć mi w oczy! - zawołała.

- Wręcz przeciwnie! To ja się dziwię pani czelności!

- Och, jest pan najgorszym...

- A może byśmy lepiej ogłosili rozejm? - uśmiechnął się do niej szerokim, wesołym uśmiechem, w którym była bezczelność, ale nie było ani wstydu z powodu własnego postępowania, ani potępienia jej. Wbrew woli musiała się także uśmiechnąć, ale był to uśmiech blady, wymuszony.

- Jaka szkoda, że pana nie powiesili!

- Obawiam się, że wiele osób podziela pani uczucia. No, dość już, Scarlett, uspokój się. Wyglądasz, jak gdybyś kij połknęła, i bardzo ci z tym nie do twarzy. Pewien jestem, żeś już zdążyła zapomnieć o moim... hmm... małym żarcie.

- Żarcie? Dobre sobie! Nigdy o nim nie zapomnę!

- Ależ tak, zapomnisz. Po prostu przybierasz tę oburzoną minę, bo wydaje ci się, że tak wypada i należy. Czy mogę usiąść?

- Nie.

Usiadł na krześle obok niej i uśmiechnął się.

- Dowiaduję się, żeś i dwóch tygodni nie mogła na mnie poczekać - zaczął i westchnął z

udanym żalem. - Jakież zmienne są kobiety!

Ponieważ nie odpowiadała, ciągnął dalej:

- Powiedz mi, Scarlett, jak między przyjaciółmi - bardzo starymi i bardzo zażyłymi - czy nie byłoby mądrzej, gdybyś poczekała, aż mnie wypuszczą z więzienia? Czy też rozkosze małżeństwa ze starym Frankiem Kennedym bardziej ci się uśmiechały niż nieprawy stosunek ze mną?

Jak zwykle, gdy gniewały ją jego kpiny, tak i teraz gniew walczył w niej o lepsze z ochotą do śmiechu.

- Nie mów głupstw.

- Czy chciałabyś jednak zaspokoić moją ciekawość co do pewnego punktu, który stanowi dla mnie zagadkę? Czy nie odczułaś wrodzonego kobietom wstrętu, czy nie wzdragałaś się przed perspektywą wyjścia znowu za męża za człowieka, do którego nie czułaś miłości ani przywiązania? Czy też mam złe informacje co do subtelności kobiet Południa?

- Rett!

- Już mi odpowiedziałaś. Zawsze uważałem, że kobiety są twardsze i wytrzymalsze od mężczyzn, chociaż, w dzieciństwie uczono mnie, że to delikatne, czułe, wrażliwe istoty. Prawda jednak, że według europejskich zasad dobrego wychowania nie wypada, aby małżonkowie się kochali. Jest to w bardzo złym tonie. Zawsze byłem zdania, że Europejczycy mają pod tym względem rację. Pobierajmy się z rozsądku, a kochajmy dla przyjemności. Prawda, że to rozsądne, jak ci się zdaje? Jesteś ciaśniej związana z Europą, niż przypuszczałem.

Jak przyjemnie byłoby krzyknąć: „Nie wyszłam za męża z rozsądku!” Na nieszczęście jednak Rett wiedział lepiej i okrzyki obrażonej niewinności wywołałyby z jego strony tylko dalsze złośliwe uwagi.

- Aleś się rozgadał - rzekła chłodno. Pragnąc zmienić czym prędzej temat, zapytała: - W jaki sposób wydostałeś się z więzienia?

- Ach, to! - odrzekł z niedbałym ruchem ręki. - Z tym nie było kłopotu. Wypuścili mnie dziś rano. Użyłem bardzo subtelnej szantażu w stosunku do znajomego w Waszyngtonie, który zajmuje dość wysokie stanowisko w rządzie federalnym. Wspaniały facet - jeden z tych gorliwych patriotów Unii, od których kupowałem strzelby i jedwabie dla Konfederacji. Kiedy mu w odpowiedni sposób zwróciłem uwagę na rozpaczliwość mego położenia, użył wszystkich wpływów, by mnie zwolniono. Protekcja jest wszystkim, Scarlett. Pamiętaj o tym, gdyby cię kiedyś aresztowano. Protekcja jest wszystkim, a sprawa winy czy niewinności kwestią czysto teoretyczną.

- Mogłabym przysiąc, że nie byłeś niewinny.

- Nie, teraz, gdy jestem na wolności, przyznaję z ochotą, że jestem równie winny jak Kain. Zabiłem tego Murzyna. Zachowywał się natarczywie w stosunku do pewnej damy, jak więc inaczej mógł postąpić dżentelmen z Południa? I skoro już się spowiadam, wyznam i to, że zastrzeliłem również jankeską kawalerzystę po kłótni w barze. Nie mnie obarczono tym grzeszkiem, więc sądzę, że może powieszono już za to jakiegoś innego nieszczęśnika.

Mówił z taką swobodą o swoich zabójstwach, że krew ścięła się w żyłach Scarlett. Na wargi cisnęły się jej słowa oburzenia, nagle jednak przypomniała sobie Jankesa, który spoczywał pod gąszczem dzikiego wina w Tarze. Nie więcej obarczał jej sumienie od robaka, którego by przypadkiem rozgniotła. Nie mogła osądzać Retta, bo miała na sumieniu to samo, co on.

- I, skoro już robię przed tobą rachunek sumienia, muszę ci powiedzieć, w najściślejszej tajemnicy (to znaczy, że nie powinnaś tego mówić pannie Pittypat!), że rzeczywiście mam pieniądze, bezpieczne w banku w Liverpoolu.

- Pieniądze?

- Tak, pieniądze, o które tak się dopytywali Jankesi. Scarlett, to nie skąpstwo było przyczyną, że nie dałem ci pieniędzy, o które mnie prosiłaś. Gdybym wypisał ci czek, Jankesi wywęszyliby to jakoś i nie dostałabyś ani centa. Jedyłą moją nadzieją było spokojne czekanie. Wiedziałem, że pieniądze są dość bezpieczne, bo gdyby zdarzyło się najgorsze, gdyby dowiedzieli się, gdzie są, i chcieli mi je odebrać, wymieniłbym nazwiska wszystkich jankeskich patriotów, którzy w czasie wojny sprzedawali mi amunicję i maszyny. Wybuchłby wtedy skandal, bo niektórzy z nich zajmują teraz wysokie stanowiska w Waszyngtonie. Właściwie tylko groźba moja, że wszystko wyznam, spowodowała zwolnienie mnie z więzienia. Ja...

- Czy chcesz powiedzieć, że... że to ty masz pieniądze Konfederacji?

- Nie wszystkie. Na Boga, skądże znowu! Jest chyba z pięćdziesięciu lub więcej dawnych blokadowców, którzy ukryli wielkie pieniądze w Nassau, Anglii lub Kanadzie. Nie będą nas pewnie teraz lubili ci konfederaci, którzy byli mniej od nas sprytni. Ja odłożyłem sobie nie mniej niż pół miliona. Pomyśl tylko, Scarlett, pół miliona dolarów, gdybyś tylko powściągnęła trochę swój ognisty temperament i nie rzuciła się tak od razu w małżeństwo!

Pół miliona dolarów. Robiło jej się po prostu słabo na myśl o tak wielkiej sumie pieniędzy. Drwiące słowa Retta przeszły jej mimo uszu i nawet ich nie słyszała. Trudno było uwierzyć, że jest tyle pieniędzy na tym nielitościwym i zubożałym świecie. Tyle pieniędzy, tak bardzo wiele pieniędzy, które należały do kogoś innego, do kogoś, kto nie dbał o nie i

wcale ich nie potrzebował. Między nią zaś a wrogim światem stał jedynie chorowity, niemłody mąż i ten brudny, tandetny sklep. To było niesprawiedliwe, że łotr taki, jak Rett Butler, ma tak wiele, ona zaś, która dźwigała ciężkie brzemie - tak mało. Nienawidziła go, gdy tak siedział wyświeżony i wyelegantowany i kpił z niej w żywe oczy. Nie, nie ma zamiaru chwalić go za spryt, bo stanie się jeszcze bardziej zarozumiały. Szukała z wysiłkiem ostrych słów, aby mu dociąć.

- Wydaje ci się pewno, że przywłaszczenie sobie pieniędzy Konfederacji jest rzeczą uczciwą. A więc nie, to nie jest uczciwe. Jest to zwykła kradzież i wiesz o tym doskonale. Nie chciałabym mieć tego na sumieniu.

- O Boże! Jakaś ty niełaskawa! - wykrzyknął krzywiąc się trochę. - I kogóż to ja właściwie okradłem?

Nic nie odpowiedziała i zastanawiała się przez chwilę. Ostatecznie, zrobił to samo, co na mniejszą skalę zrobił Frank.

- Połowa tych pieniędzy należy uczciwie do mnie - ciągnął Rett dalej - jest uczciwie zarobiona z pomocą uczciwych patriotów Unii, którzy wyprzedawali Unię za plecami rządu zarabiając sto procent na towarach. Część zarobiłem na bawelnie, którą kupiłem na początku wojny - bawelnie nabytej tanio i sprzedawanej po dolarze za funt, w chwili gdy brytyjskie fabryki potrzebowały jej bardzo. Część zarobiłem na spekulacji żywnościowej. Dlaczego miałbym darować Jankesom owoce mojej pracy? Reszta jednak pieniędzy należała do Konfederacji. Pochodzi z bawełny konfederackiej, którą udało mi się przemycić za linię blokady i sprzedać w Liverpoolu po wyśrubowanych cenach. Bawełnę dano mi w dobrej wierze, abym kupił za nią skórę, karabiny i maszyny. Wziąłem ją też w dobrej wierze. Miałem polecenie wpłacania złota do banków angielskich na swoje własne konto, abym miał lepszy kredyt. Pamiętasz pewnie, że kiedy zaostrozono blokadę, nie mogłem wyprowadzić statków z żadnego portu Konfederacji, pieniądze więc pozostały w Anglii. Co miałem zrobić? Podjąć złoto z banków jak głupiec i starać się je przewieźć do Wilmingtonu? I pozwolić, aby je Jankesi przychwycili? Czy to moja wina, że blokadę zaostrozono tak nagle? Czy z mojej winy przepadła nasza Sprawa? Pieniądze należały do Konfederacji, to prawda. No, a teraz nie ma Konfederacji - choć trudno w to uwierzyć, gdy się słucha niektórych ludzi. Komu mam je zwrócić? Rządowi jankeskiemu? Nie chciałbym, aby mnie ludzie uważali za złodzieja!

Wyjął z kieszeni skórzaną cygarnicę, wyciągnął z niej długie cygaro i powąchał je z przyjemnością, po czym spojrzał na Scarlett z udanym niepokojem, jak gdyby czekając na jej wyrok.

„Niech go licho porwie - pomyślała - zawsze potrafi mnie przekonać. Chociaż czuję, że

argumenty jego nie są słuszne, nigdy nie mogę dociec, gdzie tkwi błąd”.

- Mógłbyś - powiedziała z godnością - rozdać pieniądze tym, którzy są w potrzebie. Konfederacji już nie ma, ale pozostali jeszcze konfederaci lub ich rodziny, które przymierają głodem.

Odrzucił w tył głowę i roześmiał się głośno.

- Nigdy nie bywasz bardziej czarująca i niedorzeczna, jak kiedy stajesz się hipokrytką! - zawołał szczerze ubawiony. - Mów zawsze prawdę, Scarlett. Nie potrafisz kłamać. Irlandczycy są najgorszymi kłamcami pod słońcem. Bądź szczerą, moja droga. Nigdy nie przejmowałaś się losami nieboraczki Konfederacji, jeszcze mniej zaś obchodzą cię przymierający głodem konfederaci. Protestowałaśbyś głośno, gdybym napomknął ci choćby o rozdaniu tych pieniędzy, chyba że lwia część podarowałbym tobie.

- Nie chcę twoich pieniędzy - zaczęła starając się być zimna i obojętna.

- Och, naprawdę? A ręka cię świerzbi, żeby ich choć dotknąć. Gdybym ci pokazał dolara, rzuciłabyś się na niego natychmiast.

- Jeżeli przyszedłeś tutaj po to, by mnie obrażać i drwić z mojej biedy, powiem ci w tej chwili do widzenia - odrzekła starając się podnieść z kolan ciężką księgę, aby wstać i gestem podkreślić słowa. W jednej chwili Rett zerwał się ze swego miejsca, pochylił nad nią i ze śmiechem lekko pchnął z powrotem na krzesło.

- Kiedy wreszcie przestaniesz się złościć słysząc słowa prawdy? Nigdy nie wahasz się mówić prawdy o innych, dlaczego więc nie chcesz słuchać jej o sobie? Nie obrażam cię wcale. Myślę, że chęć posiadania pieniędzy jest bardzo dodatnią cechą.

Nie była tego zupełnie pewna, ale wyczuwając w słowach Retta pochwałę udobruchała się trochę.

- Nie przyszedłem tutaj wyśmiewać się z twojej biedy, ale życzyć ci szczęścia w małżeństwie. A propos, co też siostra Zuzia myśli o twojej kradzieży?

- O czym?

- O sprzątnięciu jej Franka sprzed nosa.

- Ja nie...

- Och, nie będziemy się sprzeczali o słowa. Co powiedziała?

- Nic nie powiedziała - odparła Scarlett.

Rett uśmiechnął się znowu; wiedział, że kłamie.

- Jak to ładnie z jej strony. No, a teraz powiedz mi coś o swojej biedzie. Mam prawo o tym wiedzieć, zwłaszcza po twojej niedawnej wizycie w więzieniu. Czyżby Frank miał mniej pieniędzy, niż się spodziewałaś?

Nie było rady na jego zuchwałość. Musiała się albo z nią pogodzić, albo kazać mu odejść. Teraz nie chciała już wcale, aby poszedł. Słowa jego były szorstkie, ale pełne prawdy. Wiedział, po co wyszła za mąż i wcale jej za to nie potępiał. I chociaż pytania jego były nieprzyjemnie obcesowe, płynęły zdaje się z prawdziwego zainteresowania. Rett był jedynym człowiekiem, któremu mogła powiedzieć prawdę. Sprawiłoby to jej wielką ulgę, bo dawno już nie miała sposobności mówienia szczerze o sobie i pobudkach swego działania. Ilekroć mówiła to, co myśli, wszyscy wydawali się zgorszeni. Rozmowa z Rettem była jak włożenie wygodnych rannych pantofli po nocy przetańczonych w ciasnych.

- Czy nie dostałaś pieniędzy na podatki? Nie mów mi tylko, że Tara jest wciąż jeszcze w niebezpieczeństwie. - Mówił teraz zupełnie innym tonem.

Popatrzyła na niego uważnie i w czarnych jego oczach ujrzała wyraz taki, że z początku zdumiała się, a potem nagle uśmiechnęła się łagodnie i słodko, uśmiechem dawno zapomnianym. Jakiż to był drań, ale jak potrafił być chwilami miły! Wiedziała teraz, że prawdziwym powodem jego wizyty była nie chęć dokuczania jej, ale troska, czy dostała pieniądze, na których jej tak bardzo zależało. Wiedziała, że pośpieszył do niej natychmiast po zwolnieniu z więzienia, aby pożyczyć jej pieniądze, jeśli jeszcze są jej potrzebne. Jednocześnie zaś dokuczał jej, obrażał ją i z pewnością nie przyznałby się, co go tu sprowadziło, gdyby powiedziała, że go o to podejrzewa. Trudno go było po prostu zrozumieć. Czy rzeczywiście lubił ją więcej, niż przypuszczała? Czy też miał jeszcze inne intencje? Pewnie to drugie, myślała. Nie wiadomo jednak. Rett robił czasami bardzo dziwne rzeczy.

- Nie - odrzekła - Tara jest już bezpieczna. Dostałam pieniądze.

- Założę się, że nie bez walki. Czyś umiała się opanować do chwili, gdy Frank włożył ci obrączkę na palec?

Nie chciała się uśmiechnąć, ale na twarzy jej pojawiły się mimo to dołeczki. Rett znowu usiadł i wyciągnął długie nogi.

- A więc opowiedz mi coś więcej o swojej biedzie. Czyżby Frank, niepocziwy, zawiódł cię co do swoich możliwości? Trzeba by go zdrowo zbatożyć, jeśli wykorzystał twoją niewieścią bezradność. Proszę, Scarlett, opowiedz mi wszystko. Nie powinnaś mieć przede mną tajemnic. Wiem o tobie z pewnością wszystko, co najgorsze.

- Och, Rett, jesteś najgorszym... no, sama nie wiem już czym! Nie, Frank nie zawiódł mnie właściwie... - Czują, że sprawi jej to prawdziwą przyjemność, jak mu się zwierzy. - Gdyby Frank zainkasował pieniądze, które mu się należą od ludzi, nie miałabym teraz kłopotów. Pięćdziesiąt osób nie płaci mu, a on nie chce się upominać o swoje pieniądze! Jest taki delikatny! Mówi, że dżentelmen nie powinien tego robić. I pieniądze te odbierzemy albo

Bóg wie kiedy, albo wcale.

- No więc cóż z tego? Czy nie masz dość na życie?

- Tak, ale... widzisz, bardzo by mi się przydało trochę pieniędzy. - Oczy jej rozjaśniły się, gdy pomyślała o tartaku. - Może...

- Na co? Na podatki?

- A co to ciebie obchodzi?

- Obchodzi mnie, bo za chwilę poprosisz mnie o pożyczkę. Och, dobrze znam te wstępy. Pożyczę ci pieniędzy, bez gwarancji, którą zaofiarowałaś mi tak niedawno temu. Chyba, że bardzo byś nalegała.

- Jesteś najobrzydliwszym...

- Wcale nie. Chciałem cię tylko uspokoić. Wiedziałem, że ta sprawa będzie cię niepokoiła. Nie bardzo, ale troszeczkę. A ja chętnie pożyczę ci pieniądze. Chcę jednak wiedzieć, na co masz zamiar je wydać. To moje prawo. Jeżeli wydasz je na ładne suknie czy na powóz, dam ci je z błogosławieństwem. Ale jeżeli zechcesz za nie kupić nowe spodnie dla Ashleya Wilkesa, obawiam się, że będę ci musiał odmówić.

Ogarnęła ją wściekłość i zaczęła się jąkać, bo nie znajdowała odpowiednich słów.

- Ashley nie wziął ode mnie ani centa! Nie przyjąłby ode mnie ani grosza, choćby umierał z głodu! Nie możesz go zrozumieć, nie wiesz, jakie ma poczucie honoru, ile ma dumy! Pewnie, że go nie rozumiesz, bo jesteś wielkim...

- Nie zaczynaj mnie przezywać. Mógłbym ci się zrewanżować i nazwać cię jeszcze o wiele mniej ładnie. Zapominasz, że wiem o tobie wszystko od panny Pittypat, a ta poczciwa dusza zwykła opowiadać, co wie, każdemu, kto chce słuchać. Wiem, że Ashley jest w Tarze od powrotu z Rock Island. Wiem, że nawet pogodziłaś się z obecnością jego żony przy sobie, co musiało ci przyjść nie bez wysiłku.

- Ashley jest...

- O tak, tak - rzekł, pogardliwie machając dłonią. - Ashley jest zbyt doskonały, abym ja mógł go ocenić właściwie. Nie zapominaj jednak, że byłem zainteresowanym świadkiem twej czulej z nim sceny w Dwunastu Dębach i odnoszę wrażenie, że on nie bardzo się od tego czasu zmienił. Tak samo ty się nie zmieniłaś. Tego dnia, o ile sobie przypominam, bynajmniej nie zachował się doskonale. Nie wydaje mi się, aby teraz zachowywał się o wiele lepiej. Dlaczego nie zabiera swojej rodziny i nie szuka pracy? Dlaczego nie wyjeżdża z Tary? Może to fantazja z mojej strony, ale nie mam zamiaru pożyczać ci ani centa na Tarę i w ten sposób przyczyniać się do utrzymywania Ashleya. W męskim towarzystwie używa się bardzo niemilego słowa na określenie mężczyzn, którzy są na utrzymaniu kobiet.

- Jak śmiesz mówić podobne rzeczy? Ashley pracuje jak wyrobnik! - Mimo wściekłości, jaką czuła, serce jej ścinało się na wspomnienie Ashleya rąbiącego drzewo.

- I wart jest wynagrodzenia w najczystszy złocie, jak sądzę. I jak wspaniale musi pomagać przy rozwożeniu nawozu i...

- On...

- A tak, wiem. Przyjmijmy na chwilę, że stara się, jak może najlepiej, nie mogę sobie jednak wyobrazić, aby był ci bardzo pomocny. Osobnik nazwiskiem Wilkes nigdy nie przekształci się w dobrego parobka ani w pożytecznego człowieka. Ród ten służy wyłącznie do ozdoby. Teraz jednak przyglądź swoje nastroszone piórka i zapomnij o moich niedelikatnych uwagach na temat dumnego i szlachetnego Ashleya. Dziwne, że podobne złudzenia mogą się trzymać kobiety tak twardej jak ty. Ile potrzebujesz pieniędzy i na co?

Kiedy długo nie odpowiadała, powtórzył:

- Na co ci potrzebne pieniądze? Staraj się powiedzieć prawdę. Poskutkuje równie dobrze jak kłamstwo. Lepiej nawet, bo jeżeli skłamiesz, dowiem się prawdy sam, a pomyśl, jakim to będzie dla ciebie wstydem. Zawsze pamiętaj o tym, Scarlett, że wszystko od ciebie przyjmę z wyjątkiem kłamstwa - twoją niechęć do mnie, złe humory, kłótność... tylko nie kłamstwo... A więc na co ci potrzebne pieniądze?

Wściekła z powodu ataku Retta na Ashleya, Scarlett dałaby wszystko w świecie za możliwość splunięcia z pogardą i odrzucenia propozycji pożyczki z drwiącym uśmiechem. Przez chwilę chciała nawet to zrobić, ale zimna dłoń rozsądku powstrzymała ją jednak. Przełknęła złość i przybrała minę pełną godności. Rett rozsiadł się wygodniej i przysunął nogi do ognia.

- Jest pewna rzecz w świecie, która mnie bawi najwięcej - zauważył - a mianowicie twoja walka wewnętrzna, gdy zasady walczą w tobie z zagadnieniem tak praktycznym jak chęć posiadania pieniędzy. Wiem, oczywiście, że praktyczność zawsze zwycięża, ale uważnie czekam, czy jednak lepsza strona twojej natury nie wyjdzie któregoś dnia górą z tej walki. A kiedy dzień taki nadejdzie, zapakuję manatki i wyjadę z Atlanty na zawsze. Zbyt wiele jest kobiet, w których zawsze zwycięża cnota... Ale wracajmy do interesu. Ile i na co?

- Nie wiem jeszcze, ile mi będzie trzeba - rzekła nadąsana. - Chciałabym jednak kupić tartak, bo przypuszczam, że sprzedadzą mi go tanio. Potrzebne mi także dwa wozy i dwa dobre muły. I koń, i kabriolet do mego własnego użytku.

- Tartak?

- Tak, a za pożyczkę gotowa jestem dopuścić cię do spółki.

- Co chcesz robić z tartakiem?

- Zarabiać wiele pieniędzy! Można na nim zrobić majątek. Może zapłacę ci procent od tej pożyczki? Poczekaj, jaki jest dobry procent?

- Pięćdziesiąt od sta, to niezły procent.

- Pięćdziesiąt? Och, przecież ty żartujesz! Przestań się śmiać, ty diable. Mówię poważnie.

- Dlatego się właśnie śmieję. Zastanawiam się, czy ktoś poza mną domyśla się, co się dzieje w tej głowie za zwodniczą słodką buzią.

- A któż by o to dbał? Słuchaj, Rett, i powiedz mi, czy ci się to wydaje dobrym interesem. Frank powiedział mi o pewnym człowieku, który ma niewielki tartak za Brzoskwiniową i chce go sprzedać. Jeżeli szybko dostanie gotówkę, sprzeda go bardzo tanio. W naszej okolicy jest mało tartaków, a ponieważ ludzie teraz na gwałt budują, moglibyśmy sprzedawać drzewo po bardzo wysokich cenach. Człowiek ten chce zostać w tartaku i prowadzić go za tygodniowym wynagrodzeniem. Frank powiedział mi o tym, bo chciał kupić ten tartak dla siebie, za te pieniądze, zdaje się, które dał mi na podatki.

- Biedny Frank! Co on też powie dowiedziawszy się, że kupiłaś go sama i zabrałaś mu sprzed nosa? I jak nie narażając swojej reputacji wytłumaczysz fakt, że pożyczyłem ci pieniądze?

Scarlett nie pomyślała o tym zupełnie, tak bardzo skupiła się na marzeniach o pieniądzech, które jej tartak przyniesie.

- Po prostu nic mu o tym nie powiem.

- Domyśli się, że nie spadł ci z nieba.

- Powiem mu... no oczywiście! Powiem mu, że sprzedałam ci moje kolczyki. Dam ci je zresztą. To będzie twoim zabezpieczeniem - czy jak to tam nazywasz.

- Nie chcę kolczyków.

- Mnie się już znudziły. Nie lubię ich. Nie są właściwie moje.

- A czyje?

Szybko wróciła myślą do owego gorącego południa, gdy wieś dokoła Tary była bardzo cicha, a zabity człowiek w niebieskim mundurze leżał bez ruchu w hallu.

- Dostałam je od kogoś, kto już nie żyje. Są moje. Weź je. Nie chcę ich mieć. Wolę pieniądze.

- Na miłość boską! - zawołał niecierpliwie. - Czy ty zawsze myślisz wyłącznie o pieniądzech?

- Tak - odrzekła szczerze, patrząc na niego twardo. - Gdybyś jednak przeszedł to, co ja przesłam, stałbyś się taki jak ja. Zrozumiałam, że pieniądze są najważniejszą rzeczą na

świecie i Boga biorę na świadka, że nie mam zamiaru żyć bez pieniędzy.

Przypomniała sobie upał słoneczny, miękką czerwoną ziemię pod głową, zaduch chałup za ruinami Dwunastu Dębów i refren wybijany przez jej serce: „Nie chcę być głodna. Nie chcę być głodna”.

- Chcę mieć dużo pieniędzy, całe masy, abym miała jedzenia pod dostatkiem. Wtedy nigdy nie będę musiała jeść kukurydzy i suszonego groszku. I będę miała piękne suknie, będę nosiła wyłącznie jedwabie...

- Wyłącznie?

- Tak - powiedziała krótko, nie rumieniając się wcale z powodu aluzji Retta. - Chcę mieć tyle pieniędzy, żeby Jankesi nie mogli mi zabrać Tary. Muszę mieć nowy dach w Tarze, nową szopę, kilka mułów do orania i bardzo dużo bawełny. I nie chcę, aby Wade musiał się obchodzić bez najniezbędniejszych rzeczy. Nigdy! Będzie miał wszystko, czego zapagnie. Nikt z mojej rodziny nie będzie nigdy cierpiał głodu. Tak chcę. Ty tego nie rozumiesz, bo jesteś wielkim egoistą.

Nigdy jeszcze Carpetbaggerzy nie chcieli cię wypędzić z domu. Nigdy nie było ci zimno, nigdy nie nosiłeś łachmanów i nie musiałeś pracować do upadłego, aby uniknąć głodowej śmierci.

Odrzekł spokojnie: - Byłem w armii konfederackiej przez osiem miesięcy. Nie znam lepszych warunków dla śmierci głodowej.

- Armia! Ba! Nie musiałeś zbierać bawełny i pleć. Nie... Przestań się śmiać ze mnie.

Położył ręce na jej dłoniach, bo znowu podniosła głos.

- Nie śmiałem się z ciebie. Śmiałem się z różnicy między, tym, jak wyglądasz, a jaka naprawdę jesteś. I przypomniałem sobie dzień, gdy spotkałem cię po raz pierwszy na barbakoi u Wilkesów. Nosiałaś zieloną suknię i małe zielone pantofelki, byłaś otoczona mężczyznami i myślałaś wyłącznie o sobie. Założę się, że nie wiedziałaś wtedy, ile dolar ma centów. W głowie miałaś tylko jedną myśl, a mianowicie, jak usidlić Ash...

Wyrwała mu rękę.

- Rett, jeżeli chcesz ze mną żyć w zgodzie, przestań mówić o Ashleyu. Zawsze się będziemy sprzeczać na ten temat, bo ty go nie zrozumiesz.

- Ty za to czytasz w nim jak w książce - rzekł Rett złośliwie. - Nie. Scarlett, jeżeli pożyczę ci pieniędzy, to rezerwuję sobie prawo rozmawiania o Ashleyu Wilkesie tak, jak mi się podoba. Mogę się zrzec prawa do procentów, ale tego prawa nie ustąpię. Chciałbym także, abyś powiedziała mi kilka rzeczy o tym człowieku.

- Nie będę o nim z tobą rozmawiała - odburknęła.

- Owszem, będziesz. To ja przecież mam pieniądze. Kiedyś, gdy będziesz bogata, będziesz i ty miała możliwość postępowania w taki sposób z innymi... Jasne jest, że Ashley jeszcze cię interesuje.

- Nieprawda.

- Ale przecie jasno wynika z tego, jak go bronisz. Ty...

- Nie życzę sobie wyśmiewania się z moich przyjaciół.

- Dobrze, zostawmy więc tę kwestię na chwilę. A on, czy się tobą jeszcze interesuje, czy też zapomniał o tobie w Rock Island? Czy też może nauczył się cenić, jakim klejnotem jest jego żona?

Na wzmiankę o Melanii Scarlett zaczęła ciężko dyszeć i ledwie się mogła powstrzymać od krzyknienia, że to wyłącznie honor trzyma Ashleya przy Melanii. Otworzyła już nawet usta, ale zamknęła je zaraz.

- Aha. A więc dotąd jeszcze nie ma dość rozumu, by ocenić panią Wilkes? I rygor więzienny nie osłabił jego zapałów dla ciebie?

- Nie wiem, po co miałabym o tym rozmawiać.

- Bo ja mam na to ochotę - rzekł Rett, a głos jego zabrzmiał naraz nisko i dość nieprzyjemnie. - I będę o tym rozmawiał dalej, a ty będziesz mi odpowiadała. A więc jest jeszcze w tobie zakochany?

- A gdyby nawet tak było? - krzyknęła Scarlett. - Nie chcę z tobą o nim rozmawiać, bo nie rozumiesz ani jego, ani jego miłości dla mnie. Jedyńm zrozumiałym dla ciebie rodzajem miłości jest ten... no, ten rodzaj, jaki uprawiasz z osobami pokroju Belli Watling.

- Aha - rzekł Rett cicho. - A więc według ciebie zdolny jestem jedynie do cielesnych rozkoszy?

- Wiesz dobrze, że tak jest.

- Teraz zaczynam rozumieć twoją niechęć do rozmawiania ze mną o tej sprawie. Moje brudne ręce i usta mogłyby zbrukać czystość miłości Ashleya.

- Tak... coś w tym rodzaju.

- Bardzo mnie właśnie interesuje ta czysta miłość...

- Nie bądź złośliwy, Rett. Jeżeli jesteś dość podły, by przypuszczać, że coś niewłaściwego zaszło między nami...

- Och, zapewniam cię, że myśl ta nigdy nie zaświtała mi w głowie, naprawdę. Dlatego mnie to wszystko tak ciekawi. A dlaczego właściwie nic między wami nie zaszło?

- Jeżeli przypuszczasz, że Ashley mógłby...

- Ach, więc to nie ty, lecz Ashley prowadził tę walkę o czystość. Doprawdy, Scarlett,

nie należy tak łatwo odkrywać wszystkich swoich kart.

Scarlett popatrzyła na jego gładką, nieprzeniknioną twarz w zmieszaniu i oburzeniu.

- Nie chcę dłużej rozmawiać na ten temat i nie życzę sobie twoich pieniędzy. Wobec tego możesz już iść!

- Przepraszam, bardzo chcesz pieniędzy, a skoro doszliśmy już tak daleko, po co przerywać? Z pewnością nie ma nic złego w rozmowie i tej sielance - tym bardziej że nic złego nie zaszło. A więc Ashley kocha w tobie twój umysł, twoją duszę, szlachetność twego charakteru?

Scarlett pieniała się ze złości. Rozumie się, że Ashley kocha w niej to właśnie. Ta świadomość czyniła jej życie znośnym, świadomość, że Ashley, związany honorem z inną, kocha ją, Scarlett, z daleka, za piękne zalety, ukryte w niej głęboko i tylko dla niego widoczne. Teraz jednak, wydobyte przez Retta na światło dzienne, już nie wydawały się jej piękne, tym bardziej że Rett mówił o nich tym swoim zwodniczo spokojnym głosem, w którym kryła się ironia.

- Wszystko to przywraca mi chłopięcą wiarę, że miłość idealna może jednak istnieć w naszym zepsutym świecie - ciągnął dalej. - Mówisz więc, że nie ma śladu zmysłowości w jego miłości dla ciebie? I że miłość ta byłaby taka sama, gdybyś była brzydka i nie miała białej skóry? I gdybyś nie miała tych zielonych oczu, które niepokoją człowieka i każą mu się zastanawiać, co też zrobisz, gdy weźmie cię w ramiona? I gdybyś nie poruszała biodrami w sposób będący wyzwaniem dla każdego mężczyzny poniżej lat dziewięćdziesięciu? I gdybyś nie miała warg, które... ach, znowu gotowe mnie ogarnąć cielesne żądze. Więc Ashley tych wszystkich rzeczy nie widzi? Czy też widząc je, wcale się nimi nie wzrusza?

Nagle pamięć Scarlett wróciła do owego dnia w sadzie, gdy ramiona Ashleya obejmując ją drżały, gdy usta jego paliły jej usta i nie chciały się wcale od nich oderwać. Zaczerwieniła się na to wspomnienie, Rett zaś zauważył jej rumieniec.

- A więc tak - powiedział i w głosie jego zabrzmiała nutka gniewu. - Rozumiem. Kocha wyłącznie twoją duszę.

Jak śmie dotykać tych spraw brudnymi palcami, plugawić jedyną piękną i świętą rzecz w jej życiu? Na chłodno, z rozmysłem łamał resztki jej rezerwy, aż wreszcie dowiedział się tego, co chciał.

- A tak, właśnie! - zawołała odsuwając od siebie wspomnienie ust Ashleya.

- Moja droga, on nawet nie podejrzewa, że masz duszę. Gdyby to wyłącznie dusza twoja go przyciągała, nie potrzebowałby tak walczyć ze sobą, aby miłość jego pozostała w ramach... powiedzmy, „świętych”. Mógłby być zupełnie spokojny, bo przecież mężczyzna

może wielbić rozum kobiety i jej duszę i nie przestać być człowiekiem honoru, absolutnie wiernym swojej żonie. Zdaje mi się jednak, że musi mu być trudno pogodzić honor Wilkesów z pożądaniem twego ciała.

- Oceniasz motywy każdego człowieka na miarę swoich, które są niskie!

- Och, ja nigdy nie zapierałem się tego, że cię pragnę, jeżeli o to ci chodzi. Zresztą ja, Bogu dzięki, nie przejmuję się sprawami honoru. Jeżeli mogę, biorę sobie to, na co mam chęć, i wcale nie toczę walk z dobrymi ani ze złymi mocami. Jakież ty piekło musiałas stworzyć Ashleyowi! Prawie mi go żal.

- Ja... ja stworzyłam Ashleyowi piekło?

- Tak, ty! Byłaś tuż przy nim, jak wieczna pokusa, on jednak, jak większość ludzi jego pokroju, przekłada to, co w tych stronach uważa się za honor, nad jakąkolwiek miłość. Zdaje mi się więc, że nieborak nie ma teraz ani miłości, ani honoru.

- Ma miłość!... To znaczy, kocha mnie!

- Naprawdę? Więc odpowiedz mi na jeszcze jedno pytanie, a dam ci pieniądze i pozwolę rzucić je do rynsztoka, jeżeli będziesz miała na to ochotę.

Wstał z krzesła i rzucił na wpeł wypalone cygaro do spluwaczki. Ruchy jego miały ciągle jeszcze tę samą pogańską elastyczność i ukrytą siłę, które Scarlett zauważyła w noc upadku Atlanty - coś złowrogiego i trochę niepokojącego. - Jeżeli cię kocha, to dlaczego u diabła pozwolił ci wyjechać do Atlanty i starać się o pieniądze? Nim ja pozwoliłbym kobiecie, którą kocham, na coś podobnego...

- Nie wiedział o tym! Nie miał pojęcia, że ja...

- Czy nie zdaje ci się jednak, że powinien był wiedzieć? - W głosie jego brzmiała ledwie powstrzymana pasja. - Jeśli cię kocha, jak twierdzisz, powinien był wiedzieć dokładnie, co jesteś w stanie zrobić, gdy jesteś doprowadzona do rozpacz. Powinien był raczej cię zabić niż pozwolić ci na przyjazd tutaj - i to do mnie, do mnie! Wielki Boże!

- Ale przecież nie wiedział o tym!

- Jeżeli nie domyślił się tego sam, nigdy nic nie będzie wiedział o tobie i twojej szlachetnej duszy.

Jakież Rett był niesprawiedliwy! Czy Ashley miał czytać w jej myślach? Czy mógłby ją powstrzymać, gdyby nawet wiedział?

Naraz jednak uświadomiła sobie, że Ashley mógł ją powstrzymać. Gdyby w sadzie dał jej do zrozumienia, że pewnego dnia sprawy ułożą się może inaczej, nigdy by nie pomyślała o wyjeździe do Retta. Czułe słowo lub pieszczota przy pożegnaniu powstrzymałyby ją na zawsze. On jednak mówił tylko o honorze. Czyżby więc Rett miał rację? Czy Ashley

powinien był przejrzeć jej zamiary? Szybko odsunęła tę myśl od siebie. Jasne, że niczego nie podejrzewał. Ashley nie potrafiłby zdobyć się na. podejrzenie, że chciała postąpić niemoralnie. Był na to zbyt szlachetny. Rett po prostu starał się obrzydzić jej miłość. Starał się skalać to, co było dla niej najcenniejsze. Kiedyś, pomyślała że złością, gdy sklep będzie postawiony na nogi, tartak będzie dobrze prosperował i będzie miała dużo pieniędzy, postara się zapłacić mu za wszystkie przykrości i upokorzenia, których od niego doznała.

Rett stał pochylony nad nią i patrzył, trochę ubawiony. Wzburzenie jego już przeszło.

- Co ciebie to wszystko obchodzi? - zapytała. - To są sprawy moje i Ashleya, a nie twoje.

Wzruszył ramionami.

- Chodzi mi tylko o to: czuję głęboki i obiektywny podziw dla twojej wytrwałości i siły, Scarlett, nie chciałbym więc, aby ci rzucano pod nogi zbyt wiele kamieni. Masz na swoich barkach Tarę. Jest to ciężar nie dla kobiety. Masz chorego ojca, który nigdy nie będzie ci już mógł pomagać. Masz siostry i Murzynów. A teraz jeszcze masz męża i prawdopodobnie pannę Pittypat. Dość masz ciężarów bez Ashleya Wilkesa i jego rodziny na karku.

- Ashley nie siedzi mi na karku! Pomaga mi...

- Och, na miłość boską - rzekł niecierpliwie - zostawmy już to teraz. Nie pomaga ci wcale. Siedzi ci na karku i będzie siedział aż do samej śmierci. Muszę zresztą wyznać, że znudził mi się jako temat rozmowy... Ile ci potrzeba pieniędzy?

Ostre słowa cisnęły się jej na wargi. Po wszystkich zniewagach, po zdeptaniu najdroższych dla niej uczuć, wyobrażał sobie, że weźmie od niego pieniądze!

Słowa jednak nie zostały wypowiedziane. Jak by to było wspaniale, gdyby mogła wyszydzić jego propozycję i wyprosić go zje sklepu! Niestety jednak, tylko osoba naprawdę bogata i zabezpieczona mogłaby sobie pozwolić na taki gest. Dopóki jest biedna, będzie musiała znosić podobne sceny. Kiedy jednak będzie bogata - och, jakże piękna i pocieszająca była ta myśl! - kiedy będzie bogata, nie będzie znosiła podobnych upokorzeń, będzie miała wszystko, co jej się spodoba, i nie będzie się nawet starała być grzeczna dla ludzi, którzy jej nie przypadną do gustu.

„Poślę wtedy wszystkich do diabła - pomyślała - zacznę zaś od Retta!”

Pod wpływem tej myśli zielone jej oczy zaświeciły żywiej, a na wargach pojawił się uśmiezek. Rett także się uśmiechnął.

- Jesteś śliczną kobietą, Scarlett - rzekł. - Ładniejesz zwłaszcza wtedy, gdy myślisz o jakimś psim figlu. A za ten twój dołeczek kupiłbym ci cały tuzin mułów, gdybyś na nie miała ochotę.

Otworzyły się drzwi wejściowe i wszedł subiekt dłubiąc w zębach gęsim piórem. Scarlett wstała, owinęła się szalem i zawiązała wstążki czepka pod brodą. Powzięła już postanowienie.

- Czy jesteś po południu zajęty? Czy też mógłbyś wyjść ze mną? - zapytała.

- Dokąd?

- Chciałabym, abyś pojechał ze mną do tartaku. Przyrzekłam Frankowi, że nie będę sama wyjeżdżała za miasto

- Do tartaku w taki deszcz?

- Tak, chcę kupić tartak od razu, zanim się rozmyślisz.

Roześmiał się tak głośno, że subiekt zaczął mu się ciekawie przyglądać zza kontuaru.

- Czyś zapomniała, że jesteś zamężna? Pani Kennedy nie może sobie pozwolić na publiczne, pokazywanie się z łotrem Butlerem, którego nie przyjmują w przyzwoitych domach. Czyżbyś zapomniała o swojej reputacji?

- Gwizdę na reputację. Chcę kupić tartak, zanim się rozmyślisz i zanim Frank dowie się o moim zamiarze. Pośpiesz się, Rett. Parę kropel deszczu nie zaszkodzi nam chyba. Chodźmy już.

Ten tartak! Frank zżymał się, ilekroć pomyślał o nim, i przeklinał chwilę, w której po raz pierwszy wspomniał o nim Scarlett. Źle się stało, że Scarlett sprzedała kolczyki kapitanowi Butlerowi (właśnie jemu!) i kupiła tartak nie poradziwszy się nawet z własnym mężem, ale gorzej jeszcze, że nie poprosiła nawet, aby tartak prowadził. To wyglądało niewłaściwie. Jak gdyby nie miała zaufania do niego czy do jego rozumu.

Frank, podobnie jak większość mężczyzn owych czasów, uważał, że żona powinna ufać mądrości męża, że powinna polegać bezwzględnie na jego zdaniu i wcale nie mieć własnego. Uważał, że większości kobiet można pozwolić na robienie tego, co im się podoba. Kobiety były śmiesznymi stworzeniami i łatwo było spełniać ich nieszkodliwe zachcianki. Frank był łagodny i uległy z natury, nie byłby się więc nigdy zbyt przeciwstawiał żonie. Z radością zaspokajałby głupiutkie kaprysy jakiejś małej istotki i łajał ją łagodnie za jej głupot lub rozrzutność. Ale rzeczy, do których brała się Scarlett, były nie do przyjęcia.

Ten tartak na przykład. Nie posiadał się z oburzenia, kiedy w odpowiedzi na jego pytanie oświadczyła mu ze słodkim uśmiechem, że ma zamiar prowadzić go sama. „Sama zabiorę się do handlu drzewem” - tak się wyraziła. Frank nie mógł zapomnieć tej strasznej chwili. Sama weźmie się do handlu! To było nieprawdopodobne! Żadna z pań w Atlancie nie zajmowała się handlem. Frank nawet nigdy dotąd nie słyszał o kobietach, które by pracowały. Jeżeli miały już to nieszczęście, że musiały trochę zarabiać, aby pomóc w tych ciężkich

czasach rodzinom, brały się do tego w spokojny, odpowiedni dla kobiet sposób - piekły, jak pani Merriweather, malowały na porcelanie, szyły lub prowadziły pensjonat, jak pani Elsing i Fanny, czy też uczyły w szkole wzorem pani Meade albo udzielały lekcji muzyki, jak pani Bonnell. Panie te także zarabiała, ale mimo to nie opuszczały domu, jak przystało kobietom. Ale żeby kobieta wydalala się z bezpiecznej przystani swego domu i zapuszczała w brutalny świat mężczyzn, robiąc im konkurencję w interesach, ocierając się o nich ciągle, narażając na zniewagi i plotki... tym bardziej, gdy nie potrzebowała tego robić, gdy miała męża zdolnego do zabezpieczenia jej bytu!

Frank miał nadzieję, że Scarlett chce mu tylko dokuczyć czy stroi sobie żarty, żarty wątpliwego gatunku - wkrótce jednak przekonał się, że spełniła wszystkie swe zachcianki. Sama zaczęła zarządzać tartakiem. Wstawała wcześniej od niego, wyjeżdżała za Brzoskwiniową i często wracała do domu wtedy, gdy Frank już dawno zamknął sklep i wrócił na kolację. Jeździła do dalekiego tartaku tylko pod opieką wuja Piotra, choć lasy pełne były wyzwolonych Murzynów i hołoty jankeskiej. Frank nie mógł z nią jeździć, bo sklep pochłaniał mu cały czas, kiedyś zaś zaklinał ją, aby tego nie robiła, odpowiadała krótko: - Jeżeli nie będę pilnowała tego spryciarza, Johnsona, będzie mi kradł drzewo i sprzedawał, a pieniądze brał do kieszeni. Jak znajdę odpowiedniego człowieka do prowadzenia tartaku, nie będę potrzebowała jeździć tam tak często. Wtedy będę się mogła zająć sprzedawaniem drzewa w mieście.

Sprzedawaniem drzewa w mieście! To było najgorsze ze wszystkiego. Zdarzały się dni, że nie jeździła do tartaku - wtedy jednak odwiedzała kupców. Frank wówczas najchętniej ukryłby się w ciemnym pokoiku za sklepem i nikogo nie widywał. Żeby jego żona sprzedawała drzewo!

W dodatku ludzie strasznie na nią plotkowali. Prawdopodobnie nie pomijali i jego, że pozwala Scarlett postępować w tak niekobiecy sposób. Był zakłopotany, kiedy do sklepu przychodzili klienci i mówili: - Widziałem panią Kennedy przed chwilą u... - Każdy starał się go specjalnie informować o tym, co robiła. Wszyscy opowiadali, co zdarzyło się przy budowie nowego hotelu. Scarlett zajechała tam, gdy Tomasz Wellburn kupował właśnie drzewo od jakiegoś człowieka; wysiadła więc z bryczki nie zważając na ordynarnych irlandzkich mularzy, którzy kładli fundamenty, i w krótkich słowach wytłumaczyła Tomaszowi, że dał się oszukać. Powiedziała, że jej drzewo jest lepsze i tańsze, i na dowód prawdy zsumowała w pamięci długą kolumnę cyfr i na oczekaniu podała kosztorys. Żle było, że zapuściła się między obcych, brutalnych robotników, ale gorzej, że publicznie dowiodła, jak dobrze umie rachować. A kiedy Tomasz przyjął jej ofertę i dał jej zamówienie,

Scarlett bynajmniej nie odjechała szybko i potulnie, ale została na budowie i wdała się w rozmowę z Janem Gallegherem, nadzorcą robót, silnym małym gnomem, który miał jak najgorszą opinię. Miasto mówiło o tym przez wiele tygodni.

Najgorsze zaś było to, że tartak szedł doskonale, który zaś mąż mógł się czuć dobrze, gdy żona odnosiła sukcesy na tak niewłaściwym dla kobiety terenie? Zarobionych pieniędzy, ani nawet ich części, nie inwestowała w sklep Franka. Większą część wydawała na Tarę Pisała nie kończące się listy do Willa Benteena tłumacząc mu, na co ma je zużyć. Co więcej, powiedziała Frankowi, że jak tylko dokona potrzebnych przeróbek w Tarze, będzie pożyczala pieniądze na hipoteki.

- Boże mój, Boże! - jęczał Frank, ilekroć o tym pomyślał. Jego zdaniem kobieta nie powinna była nawet wiedzieć, co to hipoteka.

Scarlett była w tym czasie pełna planów, każdy z nich wydawał się Frankowi gorszy od poprzedniego. Mówiła nawet o wybudowaniu szynku na swoim placu, na którym dawniej stały składy spalone przez Shermana. Frank nie był abstynentem, ale zawzięcie zwalczał ten pomysł. Budowanie szynku było rzeczą niemoralną, prawie tak złą jak wynajęcie nieruchomości na dom publiczny. Dlaczego wydawało mu się to złe, nie umiał wytłumaczyć, Scarlett zaś wszelkie jego argumenty zbywała krótkim: - Zawracanie głowy!

- Właściciele szynków są zawsze dobrymi lokatorami. Wiem o tym od wuja Henryka - oświadczyła. - Zawsze płacą czynsz. Widzisz, Frank, mogłabym wystawić tam tani dom z drzewa gorszego gatunku, którego nie mogę sprzedać, brałabym dobre komorne i za te pieniądze, za dochody z tartaku i procenty z hipotek mogłabym kupić kilka innych tartaków.

- Złotko, po co ci tartaki! - zawołał Frank przerażony. - Powinnaś właściwie sprzedać ten, który masz. Męczysz się tylko i masz kłopoty z wyzwoleńcami, których tam zatrudniasz...

- To prawda, że wyzwoleńcy są nic niewarci - zgodziła się Scarlett. przemilczając jego uwagę o sprzedaniu tartaku. - Johnson mówi, że nigdy nie wie, czy rano zastanie wszystkich robotników przy pracy, czy nie. Na Murzynach nie można już wcale polegać. Pracują dzień albo dwa, a potem nic nie robią, aż wydadzą zarobione pieniądze, trzeba też być w pogotowiu, że z dnia na dzień wymówią. Im więcej się przyglądam tej emancypacji, tym głębiej jestem przekonana, że to zbrodnia. To zrujnowało Murzynów. Tysiące ich nic nie robią, a ci, którzy raczą pracować, są tak leniwi i niekarni, że nie warto ich wcale trzymać. A jeżeli na nich głośniej krzyknąć albo nie daj Boże lekko ich zbić, Biuro Wyzwoleńców czepia się człowieka jak rzep psiego ogona.

- Kochanie, ty chyba nie pozwalasz Johnsonowi bić tych...

- Rozumie się, że nie - odrzekła ze zniecierpliwieniem. - Czy nie mówiłam ci przed chwilą, że Jankesi uwięziliby mnie za to?

- Założę się, że twój ojciec nigdy w swoim życiu nie uderzył Murzyna - odrzekł Frank.

- Owszem, zbił kiedyś chłopca stajennego, który po całodziennym polowaniu nie wytarł mu konia. Zresztą, Frank, dawniej było inaczej. Wyzwoleni Murzyni są zupełnie inni i dobre wybatożenie przydałoby się niejednemu.

Frank nie tylko był przerażony poglądami swojej żony i jej projektami, ale i zmianą, jaka w niej zaszła w ciągu niewielu miesięcy po ślubie. Nie była już tą ciepłą, słodką, bardzo kobiecą istotką, którą pojął za żonę. Podczas krótkiego okresu konkurów Frank sądził, że nigdy przedtem nie znał osoby równie kobieco reagującej na życie, równie naiwnej, nieśmiałej i bezradnej. Teraz reakcje Scarlett stały się zupełnie męskie. Mimo różowych policzków, dołeczków i ślicznych uśmiechów, mówiła i postępowała jak mężczyzna. Głos jej stał się stanowczy i ostry, umiała decydować się szybko i bez dziewczęcych wahań. Wiedziała, czego chce, i szła do celu najkrótszą drogą jak mężczyzna, nie okrężnymi drózkami, które zwykle wybierały kobiety.

Nie znaczy to, iżby Frank nigdy dotąd nie widział kobiet energicznych i despotycznych. Atlanta podobnie jak inne miasta Południa miała pewną liczbę wdów, którym nikt nie śmiał się przeciwstawić. Nie można było być bardziej despotyczną niż tęga pani Merriweather, bardziej wyniosłą niż wątła pani Elsing, ani bardziej przebiegłą w osiąganiu sobie tylko wiadomych celów niż siwowłosa, łagodna pani Whiting. Panie te jednak postępowały zawsze w sposób typowo kobiecy. Odnosiły się z szacunkiem do zdania mężczyzn, niezależnie od tego, czy stosowały się do niego, czy nie. Miały dość taktu, aby udawać, że słuchają się mężczyzn, a o to tylko chodziło. Scarlett jednak nie radziła się nikogo i sprawy swoje prowadziła tak po męsku, że gadało o niej całe miasto.

„I - myślał Frank z rozpaczą - o mnie prawdopodobnie też gadają, ponieważ pozwałam jej tak nieodpowiednio się zachowywać”.

Poza tym była jeszcze sprawa tego Butlera. Częste jego wizyty w domu ciotki Pitty były dla Franka największym z upokorzeń. Frank nigdy go nie lubił, chociaż przed wojną prowadził z nim interesy. Często przeklinał chwilę, kiedy wprowadził Retta do Dwunastu Dębów i przedstawił swoim przyjaciółom. Gardził nim za to, że z tak zimną krwią spekulował podczas wojny, i za to, że nie był w wojsku. O ośmiomiesięcznej służbie Retta w armii Konfederacji wiedziała tylko Scarlett, bo Rett błagał ją z udanym przerażeniem, aby nikomu nie mówiła o tym jego „upadku”. Najbardziej zaś gardził nim Frank za to, że zatrzymał złoto Konfederacji, mimo iż ludzie uczciwi, jak admirał Bulloch i inni, zwrócili tysiące dolarów

skarbowi federalnemu. Nie bacząc jednak na niechęć Franka, Rett bywał częstym ich gościem.

Na pozór odwiedzał pannę Pitty, która była tak głupia, że w to wierzyła, i stroiła podczas jego wizyt zawstydzone minki, Frank jednakże miał nieprzyjemne uczucie, że to nie panna Pitty przyciąga Retta do ich domu. Mały Wade bardzo kapitana lubił, chociaż na ogół bał się obcych, i nawet ku irytacji Franka nazywał go „wujem Rettem”. Frank nie mógł także nie pamiętać o tym, że Rett często towarzyszył Scarlett w czasie wojny i że miasto plotkowało o nich. Wyobrażał sobie, że teraz pewnie plotkuje jeszcze bardziej. Nikt z przyjaciół Franka nie miał odwagi robić mu na ten temat uwag, chociaż nie ukrywano swego oburzenia na postępowanie Scarlett w związku z tartakiem. Trudno mu jednak było nie zauważyć, że bywali teraz rzadziej zapraszani na przyjęcia i kolacje i że coraz mniej osób składało im wizyty. Scarlett nie przepadała za większością swoich sąsiadów, była też zbyt zajęta tartakiem, aby starać się widywać osoby, których nie lubiła, brak więc gości wcale jej nie martwił. Frank jednak odczuwał to głęboko.

Przez całe swoje życie Frank był niewolnikiem zdania: „Co o tym ludzie powiedzą?”, coraz więc bardziej był przerażony, gdy żona jego wciąż na nowo przekraczała granice tego, co wypada. Czuł, że wszyscy ostro krytykują Scarlett i lekceważą go, ponieważ pozwala jej na postępowanie „niegodne kobiety”. Robiła wiele rzeczy, na które mąż nie powinien był, jego zdaniem, pozwolić, kiedy jej jednak czegoś zabraniał, sprzeczał się z nią czy choćby krytykował, na głowę jego spadała burza.

„Boże mój, Boże! - myślał bezradnie. - Wpada w złość szybciej i dłużej potrafi być zła niż wszystkie znane mi kobiety!”

Nawet w okresach, gdy sprawy układały się najprzyjemniej, zdumiewał się, jak kompletnie i szybko ta wesoła, czuła kobieta, która kręcąc się po domu nuciła sobie, mogła się zmienić w zupełnie inną osobę. Wystarczyło, aby zaczął: - Złotko, na twoim miejscu - a burza wybuchała od razu.

Czarne brwi Scarlett marszcząc się tworzyły kąt ostry nad jej nosem, Frank zaś kurczył się w sobie natychmiast, Scarlett wybuchała dzikim gniewem, parskając jak tygrys i bez zastanowienia mówiła jak najprzykrzejsze rzeczy. Nad domem zawisały w takich chwilach chmury. Frank wychodził do sklepu wcześniej i wracał późno. Pitty chroniła się do swojej sypialni jak królik zaszywający się w norę, Wade i wuj Piotr - do wozowni, kucharka zaś nie wychylała nosa poza kuchnię i przestawała chwalić Pana Boga głośnym śpiewem. Jedyne Mammy zносиła humory Scarlett z obojętnością. Mammy jednak miała wieloletnią wprawę i znała Geralda O'Hare i jego napady furii.

Scarlett nie chciała się wcale unosić i naprawdę pragnęła być dla Franka dobrą żoną, bo lubiła go i była mu wdzięczna za pomoc udzieloną Tarze. Nadużywał jednak jej cierpliwości często i w rozmaity sposób.

Nie potrafiła szanować człowieka, który pozwalał sobie jeździć po głowie, nieśmiałość zaś i jego niepewność, cechujące go w nieprzyjemnych sytuacjach, irytowały ją niesłychanie. Byłaby jednak pomijała to wszystko milczeniem i nawet czuła się szczęśliwa - teraz, gdy znaczna część jej trudności materialnych została rozwiązana - gdyby nie ciągle i coraz się odnawiające rozjątrzenie, że Frank ani sam nie był dobrym kupcem, ani nie chciał, aby ona rozumiała się na interesach. Jak przypuszczała, nie zgodził się na zainkasowanie swojej należności, póki go do tego nie zmusiła, a i wtedy zrobił to niechętnie i ze wstydem. To przekonało ją ostatecznie, że Frank potrafił zaledwie zarobić na utrzymanie i że to ona będzie musiała osobiście dorabiać się majątku, który postanowiła zdobyć. Wiedziała teraz, że Franka najzupełniej zadowolił wegetowanie w brudnym sklepiku do końca życia. Nie zdawał sobie najwyraźniej sprawy, że rodzina jego nie miała zapewnionego bytu i że w tych trudnych czasach, gdy pieniądź był jedyną ochroną przed nowymi błędami, ważne było, aby bardzo dużo zarabiać. Frank odnosiłby może sukcesy handlowe w łatwych czasach przedwojennych, teraz jednak wydawał się rozpaczliwie staromodny, w dodatku zaś upierał się stale, aby wszystko robić po dawnemu, chociaż dawne dni i dawne zwyczaje minęły bezpowrotnie. Brakło mu tupetu koniecznego w nowej, twardej epoce. Ona jednak, Scarlett, miała go dość i chciała go wykorzystać niezależnie od zdania Franka. Potrzebne jej były pieniądze; umiała zarabiać i pracowała bardzo ciężko. Frank powinien był przynajmniej nie wtrącać się do tych jej planów, które dawały dobre wyniki.

Przy braku doświadczenia prowadzenie tartaku nie było sprawą łatwą, tym bardziej że konkurencja była teraz ostrzejsza niż na początku, tak że Scarlett była zazwyczaj zmęczona, zgryziona i zła, gdy wieczorami wracała do domu. Toteż kiedy Frank zaczynał pokaszliwać i nieśmiało mówić: - Złotko, ja bym tego nie robił - czy: - Na twoim miejscu, złotko, zrobiłbym inaczej - mogła się co najwyżej siłą powstrzymać od wybuchu pasji, częściej zaś nie wstrzymywała się wcale. Jeżeli nie miał dość ambicji, aby zarabiać więcej, dlaczego ją krytykował? Tym więcej, że sprawy, o które robił jej sceny, były tak błahe! Czy rzeczywiście miało to jakiegokolwiek znaczenie, że postępowała nie po kobiecemu? Zwłaszcza że jej „niekobiecey” tartak przynosił dochody bardzo potrzebne i jej, i rodzinie jej, i Tarze, no i oczywiście Frankowi.

Frank chciał spokoju i odpoczynku. Wojna, której poświęcił się z takim oddaniem, zniszczyła mu zdrowie, pochłonęła jego majątek i zabrała resztki młodości. Nie żałował

żadnej z tych rzeczy, ale po czterech latach wojny żądał od życia spokoju i ciszy, widoku łagodnych twarzy koło siebie i uznania przyjaciół. Szybko przekonał się, że spokój domowy ma swoją cenę, którą było dawanie Scarlett wolnej ręki we wszystkim, co chciała robić. A ponieważ był zmęczony, zgadzał się na tę cenę. Czasem myślał, że jest to wiele warte, bo Scarlett była uśmiechnięta, gdy otwierała mu w zimnym mroku drzwi, bo całowała go w czubek nosa, w ucho czy inne jakieś śmieszne miejsce, bo w nocy pod ciepłą kołdrą, czuł jej ciężką od snu głowę na swoim ramieniu. Życie domowe bywało bardzo przyjemne, gdy Scarlett mogła robić to, co chciała. Spokój jednak, osiągnięty w ten sposób, był czczy i pozorny, bo Frank osiągał go kosztem wszystkiego, co uważał za słuszne w pożyciu małżeńskim.

„Kobieta powinna zwracać więcej uwagi na dom i rodzinę, a nie włączyć się po mieście jak mężczyzna - myślał. - Gdybyż ona miała dziecko...”

Uśmiechał się na myśl o dziecku i wracał do tej myśli bardzo często. Scarlett wprawdzie stanowczo mu oświadczyła, że nie chce dziecka, ale na szczęście dzieci nie czekały zazwyczaj na zaproszenie. Frank wiedział, iż wiele kobiet twierdzi, że nie chce dzieci, ale tłumaczył to sobie ich głupotą i strachem. Gdyby Scarlett miała dziecko, byłaby zadowolona, lubiłaby siedzieć w domu i pielęgnowałaby je jak inne kobiety. Byłaby wtedy zmuszona sprzedać tartak i wszystkie kłopoty Franka skończyłyby się raz na zawsze. Każdej kobiecie do zupełnego szczęścia potrzebne jest dziecko. Frank zaś wiedział, że Scarlett nie jest szczęśliwa. Jakkolwiek mało znał kobiety, nie był tak zaślepiony, aby nie dostrzegać, że czasem bywała bardzo nieszczęśliwa.

Czasem budził się w nocy i słyszał cichy szloch, tłumiony poduszką. Pierwszy raz, gdy zbudził go jej płacz, zaczął pytać z niepokojem: - Złotko, co się stało - i zgromiony został namiętnym okrzykiem: - Och, dajże mi spokój!

Tak, dziecko przyniosłoby Scarlett zadowolenie i odwróciło jej myśli od spraw, którymi nie powinna się była zajmować. Czasem Frank wzdychał myśląc, że schwytał podzwrotnikowego ptaka, płomiennego i barwnego jak klejnot, kiedy zimorodek zadowoliłby go tak samo. A nawet znacznie bardziej.

ROZDZIAŁ XXXVII

Pewnej ciemnej, wilgotnej nocy kwietniowej przyjechał z Jonesboro Tonio Fontaine na spienionym koniu, półżywym ze zmęczenia, i zapukał do drzwi budząc przerażoną Scarlett i Franka z głębokiego snu. Wtedy po raz drugi już w okresie czterech miesięcy Scarlett ostro odczuła, czym jest rekonstrukcja we wszystkich swoich objawach, zrozumiała dokładniej, co miał na myśli Will mówiąc: „Kłopoty nasze zaczynają się dopiero”, pojęła prawdę smutnych słów Ashleya, wypowiedzianych w sadzie Tary: „To, co nas czeka, gorsze jest od wojny - gorsze od więzienia - gorsze od śmierci”.

Po raz pierwszy zetknęła się oko w oko z rekonstrukcją, gdy dowiedziała się, że Jonasz Wilkerson przy pomocy Jankesów może wywłaszczyć ją z Tary. Przybycie Tonia przypomniało jej to jeszcze bardziej brutalnie. Tonio zjawił się w ciemnościach, w siekającej ulewie, i po kilku chwilach znikł znowu wśród nocy, ale w ciągu tego krótkiego czasu zdążył podnieść kurtynę zasłaniającą scenę nowej grozy - kurtynę, która dla Scarlett nigdy już nie miała opaść.

Tej burzliwej nocy, kiedy kołatka stukała o drzwi w nagłym pośpiechu, Scarlett stała u szczytu schodów owijając się szlafrokiem i patrząc na hali w dół. Przez sekundę widziała smagłą, ponurą twarz Tonia, zanim zgasił świecę, którą Frank trzymał w ręku. Zbiegła na dół w ciemności, schwyciła jego zimną, wilgotną dłoń i usłyszała, jak szepce: - Ścigają mnie... jadę do Texasu... koń mój jest półżywy... a ja jestem śmiertelnie głodny. Ashley powiedział, że wy... - Nie zapalajcie świecy! Nie budźcie Murzynów!... Nie chcę was narazić na przykrości...

Kiedy zamknęli okiennice w kuchni i opuścili roletę aż do samej podłogi, pozwolił zapalić światło i zamieniał z Frankiem szybkie, urywane zdania, podczas gdy Scarlett krzątała się przygotowując posiłek.

Nie miał płaszcza i był przemoczony do nitki. Włosy oblepiały mu całą czaszkę, gdyż nie miał kapelusza. Ale wesołość właściwa Fontaine'om, a tej nocy niemal przerażająca, paliła się w jego małych ruchliwych oczach, kiedy łykał wódkę podaną przez Scarlett. Scarlett dziękowała Bogu, że ciotka- Pittypat chrapie spokojnie na górze. Zemdlałaby z pewnością, gdyby zobaczyła takiego gościa.

- Jednego bękar... jednego Scallawaga mniej - rzekł Tonio nadstawiając szklanę, aby mu Scarlett naląła jeszcze wódki. - Pędziłem na złamanie karku i głową przyplące, jeżeli się szybko stąd nie wydostanę, ale to warte takiej ceny. Tak, na Boga! Postaram się przedostać do

Texasu i tam przycupnę. Ashley pojechał ze mną do Jonesboro i poradził mi, abym do was wstąpił. Potrzebny mi wypoczęty koń, Frank, i trochę pieniędzy. Koń mój ledwie zipie, bez wytchnienia pędziłem aż tutaj, a rano wyjechałem z domu jak wariat, bez palta, bez kapelusza i bez pieniędzy. Nie chcę przez to powiedzieć, że w domu mamy za dużo pieniędzy.

Roześmiał się i zaczął chciwie jeść zimny placek z kukurydzy i brukiew, na której zastygły białe plamy tłuszczu.

- Dam ci mego konia - rzekł Frank spokojnie. - Mam tylko dziesięć dolarów w domu, ale jeżelibyś mógł poczekać do rana...

- Skądże znowu, nie mogę czekać! - zawołał Tonio z naciskiem. - Już mnie prawdopodobnie ścigają. Nie miałem zbyt wiele czasu. Gdyby nie to, że Ashley mnie stamtąd wyciągnął i wsadził na konia, zostałbym tam jak wariat i w tej chwili byłbym już o głowę krótszy. Dobry chłop z tego Ashleja.

A więc i Ashley był wmieszany w tę przerażającą zagadkę. Scarlett podniosła rękę do gardła i przejął ją zimny dreszcz. Może Jankesi uwięzili Ashleja? Dlaczego, ach, dlaczego Frank nie pytał, o co to poszło? Dlaczego był tak spokojny, jak gdyby była to rzecz zwykła? Z wysiłkiem zaczęła formułować pytania.

- Co... - zaczęła. - Kto...

- Dawny rządcą twego ojca - ten przeklęty... Jonasz Wilkerson.

- Czyś go... czy nie żyje?

- Na Boga, Scarlett O'Hara! - rzekł Ton to zgryźliwie. - Kiedy ja się na człowieka porywam z nożem, to chyba nie po to, by drasnąć go tępą stroną, prawda? Nie, bądź spokojna, pociąłem go na paski.

- Dobrześ zrobił - rzekł Frank obojętnie. - Nigdy go nie lubiłem.

Scarlett spojrzała na niego. Czyżby to mówił potulny Frank, wiecznie nerwowo skubiący bródkę, tak łatwo dający się zahukać? Wydawał się teraz chłodny i opanowany i nie tracił niepotrzebnie słów. Był mężczyzną tak samo jak Tonio, a popełnione przez Tonia morderstwo było sprawą męską, do której kobieta nie mogła się wtrącać.

- Ale Ashley! Czy on...?

- Nie. To on chciał go zabić, ale powiedziałem mu, że to moja sprawa, bo Sally jest moją bratową, wreszcie więc ustąpił. Pojechał ze mną do Jonesboro, na wypadek, gdyby Wilkerson mnie pierwszy zaczepił. Nie przypuszczam jednak, aby Ashley miał mieć z tego powodu jakieś kłopoty. Mam nadzieję, że nie będzie ich miał. Czy masz marmoladę do tego placka? I czy mogłabyś mi coś zapakować na drogę?

- Zacznę płakać, jeżeli nie powiesz mi wszystkiego.

- Poczekaj, aż pojedę, a potem płacz sobie, ile wlezie. Opowiem ci o tym, jak Frank będzie siodłał konia. Ten przekłety... Wilkerson już dość złego narobił. Wiesz, jak z wami postąpił z powodu podatków. To było tylko jedno z jego świństw. Najgorsze było, że ciągle buntował Murzynów. Żeby mi ktokolwiek przepowiedział, że nadejdzie dzień, gdy zacznę nienawidzić Murzynów! Niech diabeł porwie ich czarne dusze, wierzą we wszystko, co im te łotry mówią, i nie pamiętają, ileśmy zrobili dla nich dobrego. Jankesi przebąkują już teraz o tym, że pozwolą Murzynom głosować. A nam odebrali prawa wyborcze! Przecież w całym naszym powiecie jest zaledwie garstka demokratów uprawnionych do głosowania, bo wyłączyli wszystkich mężczyzn, którzy walczyli w armii konfederackiej. A jeżeli jeszcze pozwolą Murzynom głosować, będzie koniec. U diabła, przecież to nasz stan, nie Jankesów! Na Boga, Scarlett, to jest nie do zniesienia! Nie będziemy tego więcej znosili! Zaradzimy na to, choćbyśmy mieli wywołać nową wojnę.

Wkrótce już będziemy mieli murzyńskich sędziów, murzyńskich prawodawców - czarne małpy prosto z dżungli.

- Proszę cię, śpiesz się, powiedz mi! Co zrobiłeś?

- Daj mi jeszcze kęs tego placka, zanim go zapakujesz. A więc sprawa poszła o to, że Wilkerson posunął się trochę za daleko z tą teorią równouprawnienia Murzynów. O, tak, całymi godzinami gadał o tym czarnym głupcom. Miał czelność powiedzieć, że Murzyni mają prawo do... do... białych kobiet.

- Och Toniu, to niemożliwe!

- Tak, na Boga! Nie dziwię się wcale, że masz taką minę. Ale u diabła, Scarlett, to przecież nie jest chyba dla ciebie nowość. Tu, w Atlancie, też mi to samo opowiadają.

- Ja... ja o niczym nie wiem.

- Może Frank to ukrywał przed tobą. Po tym wszystkim postanowiliśmy, że złożymy panu Wilkersonowi prywatną wizytę w nocy i zajmiemy się nim trochę, ale zanim zdążyliśmy... Czy pamiętasz tego czarnego olbrzyma Eustisa, który był niegdyś naszym ekonomem?

- Tak.

- On więc przyszedł dziś do drzwi kuchennych, kiedy Sally robiła obiad, i... nie wiem dokładnie, co jej powiedział. Przypuszczam, że teraz już nigdy się nie dowiem. Powiedział jej coś jednak; ja usłyszałem jej krzyk, wbiegłem do kuchni i zastałem go, pijanego jak świnia... przepraszam cię, Scarlett, tak mi się wyrwało.

- Mów dalej.

- Zastrzeliłem go. Kiedy matka wbiegła do kuchni, aby się zająć Sally, ja dosiadłem

konia i pogałem do Jonesboro do Wilkersona. To wszystko jego wina. Ten przeklęty czarnuch nigdy by nie ośmielił się o tym pomyśleć, gdyby nie Wilkerson. Po drodze do Tary spotkałem Ashleya, więc i on pojechał ze mną. Chciał, żebym pozwolił jemu to zrobić, bo Wilkerson tak się źle obszedł z Tarą, ale przekonałem go, że to moja sprawa, bo Sally była żoną mego zmarłego brata - i tak sprzeczailiśmy się przez całą drogę. A kiedyśmy dojechali na miejsce, okazało się, Scarlett, że nawet nie zabrałem ze sobą pistoletu. Zostawiłem go w stajni. Taki byłem wściekły, że zapomniałem...

Przerwał, ugryzł kawałek placka, Scarlett zaś drżała na całym ciele. Mordercze pasje Fontaine'ów znane były w powiecie od dawna - dawno przed rozpoczęciem tego rozdziału historii powiatu.

- Musiałem iść na niego z nożem. Zastałem go w barze. Wepchnąłem go w kąt, podczas gdy Ashley powstrzymywał resztę obecnych, i powiedziałem mu, co i jak, zanim się do niego wzięłem. No i skończyło się, nim się spostrzegłem - rzekł Tonio z namysłem. - Pamiętam to tylko, że Ashley wsadził mnie na konia i kazał mi jechać do was. Ashley jest doskonałym towarzyszem w potrzebie. Nie traci głowy.

Wrócił Frank z przewieszonym przez ramię płaszczem, który wręczył Tomowi. Było to jego jedyne cieplejsze okrycie, ale Scarlett nie zaprotestowała. Wydało jej się, że jest całkowicie poza nawiasem tej sprawy, tak czysto męskiej.

- Ale, Toniu - przecież potrzebny jesteś w domu. Z pewnością, gdybyś wrócił i wszystko wytłumaczył...

- Franku, ożeniłeś się z idiotką - rzekł Tonio z uśmiechem, wkładając płaszcz. - Wydaje jej się, że Jankesi wynagrodzą człowieka za to, że odgania Murzynów od białych kobiet. Owszem, wynagrodzą, ale sądem doraźnym i stryczkiem. Pocałuj mnie, Scarlett, Frank nie będzie się gniewał. Może cię już nigdy nie zobaczę. Texas jest bardzo daleko. Nie będę miał odwagi pisać, zawiadam więc moich ludzi, że do Atlanty dojechałem w porządku.

Pozwoliła mu się pocałować. Wyszedł z Frankiem na deszcz i przez chwilę rozmawiali na ganku. Potem usłyszała bluzganie kopyt w kałuży i Tonio odjechał. Uchyliła drzwi i zobaczyła, że Frank prowadzi do wozowni zziąjanego kulejącego konia. Zamknęła szybko drzwi i usiadła, bo załamały się pod nią kolana.

Teraz wiedziała już, co znaczy rekonstrukcja. Teraz przypominała sobie wiele rzeczy, do których ostatnio przywiązywała małą wagę - słowa, których słuchała nie słysząc, rozmowy mężczyzn, które przerywano, gdy zjawiała się w pokoju, drobne zdarzenia, daremne przestrogi Franka, aby nie wyjeżdżała do tartaku sama pod opieką starego wuja Piotra. Teraz wszystko to zlało się razem w jeden przerażający obraz.

Murzyni byli górą, bo opierali się na nagich bagnetach jankeskich. Mogła zostać zabita, zgwałcona, a nikt prawdopodobnie nie dochodziłby jej krzywdy. Każdy zaś, kto chciałby ją pomścić, zostałby przez Jankesów powieszony bez sądu i bez rozprawy. Oficerowie jankescy, którzy nie znali ustaw i których nic nie obchodziły okoliczności mordu, mogli zainscenizować proces i skazać południowca na szubienicę.

- Co mamy począć - myślała załamując ręce z bezsilnego strachu i rozpacz. - Co mamy począć, jeżeli te lotry gotowe są powiesić tak przyzwoitego chłopca jak Tonio za zabójstwo pijanego draba i podłego Scallawaga, popełnione w obronie białej kobiety?

„To jest nie do zniesienia!” - wołał Tonio i miał słuszość. Nie można było tego znieść. Jakże jednak mieli tego nie znosić, kiedy byli bezsilni? Zaczęła drżeć na całym ciele i ,po raz pierwszy w życiu spojrzawszy na ludzi i wypadki obiektywnie zobaczyła jasno, że Scarlett O'Hara, przerażona i bezradna, nie jest najważniejsza na świecie. Na przestrzeni całego Południa były tysiące kobiet takich jak ona, tak samo jak ona przerażonych i bezradnych. I tysiące mężczyzn, którzy mimo złożenia broni pod Appomattox znowu musieli ją chwycić i w każdej chwili ryzykować szyję w obronie swoich kobiet.

Na twarzach Tonia i Franka malował się wyraz dziwnego skupienia. Widywała je ostatnio często na twarzach innych mężczyzn w Atlancie, ale nie starała się go analizować. Skupienie to w niczym nie przypominało zmęczonej bezradności, która cechowała mężczyzn wracających z wojny. Ludzi tych obchodził wtedy wyłącznie szybki powrót do domu. Teraz znowu ich coś interesowało. Odrętwiałe nerwy wracały do życia i dawny duch zaczynał w nich płonąć. Odżyli i tchnęli teraz zimną, nieubłaganą goryczą. I myśleli podobnie jak Tonio: - To jest nie do zniesienia!

Scarlett widywała mężczyzn Południa, pokornie łagodnych, ale niebezpiecznych przed wybuchem wojny, odważnych lub zajadłych w ostatnich rozpaczliwych dniach walki. Ale w twarzach dwóch mężczyzn, którzy patrzyli na siebie przez krótką chwilę, malowało się coś jeszcze innego, coś, co dodawało otuchy, ale i przeraziło ją - pasja, która nie oblekała się w słowa, determinacja nie cofająca się przed niczym.

Po raz pierwszy w życiu poczuła się związana z ludźmi dokoła siebie, zjednoczona z nimi w obawach, w rozgoryczeniu, w gotowości na wszystko. Nie, to było nie do zniesienia! Południe było zbyt pięknym krajem, aby oddać je bez walki, zbyt ukochanym, aby mogli je deptać Jankesi, tak bardzo nienawidzący południowców, że cieszyliby się z zepchnięcia ich w błoto - było zbyt drogą ojczyzną, aby ją odstąpić Murzynom upojonym trunkiem i wolnością.

Kiedy myślała o nagłym pojawieniu się Tonia i jeszcze szybszym jego zniknięciu, czuła się mu bliska, bo pamiętała dawną historię ucieczki ojca swego z Irlandii. Opuścił kraj pod

osłoną nocy z powodu morderstwa, które nie było uważane za zbrodnię ani przez niego, ani przez jego rodzinę. Miała w sobie krew Geralda, gorącą i gwałtowną. Pamiętała swoją radość po zabiciu marudera jankeskiego. Burzliwa krew krążyła w nich wszystkich, pulsowała tuż pod skórą, czaiła się tuż pod miłymi, gładkimi pozorami. Wszyscy tutaj, wszyscy mężczyźni, których знаła, nawet Ashley o marzących oczach i stary, nerwowy Frank, byli tacy sami - gwałtowni i niebezpieczni, gdy zachodziła potrzeba. Nawet Rett, łajdak bez sumienia, zabił Murzyna za to, że był „bezczelny w stosunku do damy”.

Kiedy Frank wrócił wreszcie, kaszłący i zmoknięty, porwała się na równe nogi:

- Och, Frank, jak długo będzie to trwało?

- Póki Jankesi nie przestaną nas tak bardzo nienawidzić, złotko.

- Czy nikt nic na to nie może poradzić?

Frank powiódł zmęczoną dłonią po mokrej brodzie. - Robimy najrozmaitsze rzeczy.

- Jakie?

- Po co o tym mówić, zanim dokonaliśmy czegokolwiek? Może to trwać i lata całe.

Może... może Południe zostanie już takie na zawsze.

- Och, nie!

- Złotko, połóż się do łóżka. Zmarzłaś pewnie. Trzęsiesz się cała.

- Kiedy się to wszystko skończy?

- Gdy pozwolą nam znowu głosować, złotko. Gdy każdy mężczyzna, który walczył po stronie Południa, będzie mógł złożyć do urny wyborczej głos na południowca i demokrate.

- Głosować? - zawołała w rozpacz. - Co pomoże głosowanie, jeżeli Murzyni stracili rozum i jeżeli Jankesi podburzają ich przeciw nam?

Frank zaczął jej wszystko tłumaczyć, cierpliwie i łagodnie, ale myśl, że głosowanie wszystkiemu zaradzi, była dla Scarlett zbyt trudna do pojęcia. Myślała z ulgą, że Jonasz Wilkerson nigdy już nie będzie zagrażał Tarze, i dużo myślała o Toniu.

- Och, biedni ci Fontaine'owie! - zawołała. - Tylko Aleks im został, a w Mimosie tyle jest roboty. Dlaczego Tonio nie miał dość rozumu, aby... aby zrobić to w nocy, kiedy nikt nie wiedziałby, czyja to sprawa? Daleko by się bardziej przydał na wiosnę przy pługu, niż w tym jakimś Texas.

Frank objął ją w pól. Zwykle robił to nieśmiało, jak gdyby z obawą, że zostanie niecierpliwie odepchnięty, tego wieczoru jednak w oczach jego była zaduma, a ramię jego silnie obejmowało Scarlett.

- Mamy teraz wiele spraw ważniejszych niż oranie, Scarlett. Nastraszenie Murzynów i danie Scallawagom nauczki jest pierwszą z nich. Póki mamy jeszcze tak dzielnych chłopców

jak Tonio, wydaje mi się, że nie powinniśmy się zbytnio martwić o Południe. Chodź do łóżka.

- Ale, Franku...

- Jeżeli się będziemy razem trzymali i nie ustąpimy Jankesom ani o cal, zwyciężymy kiedyś. Nie łam sobie nad tym swojej ślicznej główki, złotko. Zostaw te sprawy nam, mężczyznom. Może sami nie doczekamy tej chwili, nadejdzie jednak kiedyś z pewnością, Jankesi zmęczą się gnębieniem nas, gdy przekonają się, że nie damy się złamać, i wtedy urządzimy sobie przyzwoicie świat, w którym będzie można wychowywać dzieci.

Pomyślała o Wadzie i o tajemnicy, którą w milczeniu nosiła w sobie od kilku dni. Nie, nie chciała wychowywać dzieci w tym chaosie nienawiści i niepewności, goryczy i gwałtów mogących w każdej chwili wybuchnąć, biedy, niedostatku i niebezpieczeństwa. Nie życzyła sobie, aby dzieci jej pamiętały ten chaos. Pragnęła bezpiecznego i dobrze uporządkowanego świata, aby mogła patrzeć w przyszłość i wiedzieć, że jest bezpieczna - świata, w którym dzieci jej będą miały ciepło i wygodę, dobre ubranie i smaczne jedzenie.

Frank uważał, że wszystko to można było osiągnąć przez głosowanie. Głosowanie? Cóż ono znaczyło? Porządni ludzie Południa nigdy nie odzyskają prawa głosu. Tylko jedne rzecz w świecie stanowiła pewną ochronę przed klęskami, jakie los mógł przynieść - pieniądze. Myślała gorączkowo, że muszą mieć pieniądze, dużo pieniędzy, by byli zabezpieczeni przed nieszczęściem.

Bez żadnych wstępów powiedziała Frankowi, że spodziewa się dziecka.

Przez całe tygodnie po ucieczce Tonia Fontaine grupy żołnierzy jankeskich dokonywały w domu ciotki Pitty ciągle nowych rewizji. Wchodzili do domu o każdej porze i bez uprzedzenia. Tłoczyli się po pokojach zadając pytania, otwierając szafy, przetrząsając kosze bielizny, zaglądnąc pod łóżka. Doniesiono władzom wojskowym, że ktoś radził Toniowi, aby schronił się do domu Pitty, Jankesi pewni więc byli, że ukrywa się jeszcze tam lub w bliskim sąsiedztwie.

W rezultacie ciotka Pitty była chronicznie w „swoim stanie”, jak to określił wuj Piotr. Nie miała nigdy pewności, czy za chwilę do pokoju jej nie wtargnie oficer z oddziałem żołnierzy. Frank ani Scarlett nie powiedzieli jej nic o krótkiej wizycie Tonia, starsza pani nie mogła więc niczego wyjawić, gdyby nawet chciała. Mówiła szczerą prawdę, kiedy z przerażeniem zapewniała, że Tonia Fontaine widziała jeden jedyny raz w życiu, w Boże Narodzenie roku 1862.

- I - dodawała szeptem, sądząc, że pomoże w ten sposób jankeskim żołnierzom - był wtedy bardzo wstawiony.

Scarlett, mająca mdłości i przygnębiona w tym wczesnym okresie ciąży, na przemian

ziała to namiętą nienawiścią do żołnierzy, którzy nie szanowali jej spokoju domowego i często zabierali ze sobą drobiazgi, przypadające im do gustu, to równie namiętą obawą, że Tonio przyczyni się do zguby ich wszystkich. Więzienia pełne były ludzi aresztowanych z powodu znacznie mniejszych wykroczeń. Wiedziała, że jeżeli choćby cząstkę prawdy Jankesi im dowiodą, nie tylko ona i Frank, ale i niewinna Pitty dostaną się do więzienia.

Od pewnego czasu agitowano w Waszyngtonie, aby skonfiskować całą własność „buntowników” na pokrycie długu Stanów Zjednoczonych, więc i to wzmagało ciągłe obawy Scarlett. Teraz jeszcze w dodatku Atlanta szumiała od pogłosek o konfiskacie majątków osób łamiących prawo wojenne, Scarlett drżała więc, aby jej lub Franką nie pozbawiono, poza wolnością, jeszcze domu, sklepu czy tartaku. Jeżeliby władze nie skonfiskowały nawet ich majątku, zostałby i tak stracony, gdyby uwięziono ją i Franka, bo któż w czasie ich nieobecności doglądałby ich interesów?

Nienawidziła Tonia za kłopoty, jakie na nich sprowadził. Jak mógł narazić przyjaciół na coś podobnego? Jak mógł Ashley Tonia do nich skierować? Nigdy już więcej nie udzieli nikomu pomocy, bo wtedy Jankesi opadną ją jak chmura szerszeni. Nie, zatarasuje drzwi przed każdym, kto zwróci się do niej o pomoc, z wyjątkiem oczywiście Ashleya. Przez wiele tygodni po krótkiej wizycie Tonią budziła się z niespokojnego snu za każdym dźwiękiem na ulicy, w obawie, że to z kolei Ashley stara się uciec do Texas, prześladowany za pomoc udzieloną Toniowi. Nie wiedziała, co się z nim dzieje, ponieważ bała się pisać do Tary o odwiedzinach Tonią. Listy mogły wpaść w ręce Jankesów i narazić jeszcze i Tarę na nieprzyjemności. Gdy jednak mimo mijania tygodni nie nadchodziły żadne złe wieści, zrozumieli, że Ashley w jakiś sposób ocalał. W końcu Jankesi dali i im spokój.

Nawet i to jednak nie wyzwoliło Scarlett od uczucia strachu, który ją ogarnął, gdy Tonio zapukał do ich drzwi - strachu gorszego od obawy przed pociskami, gorszego od lęku przed najazdem oddziałów Shermana. Mogło się zdawać, jak gdyby zjawienie się Tonia owej nocy zdarło z oczu jej łuski; zdała sobie bowiem sprawę, jak niepewne jest ich życie.

Rozglądając się dokoła siebie owej chłodnej wiosny 1866 r. Scarlett zrozumiała, co czeka ją i całe Południe. Mogła planować i zamierzać to i owo, mogła pracować ciężiej niż dawniej niewolnicy, mogła zwycięsko pokonywać wszystkie przeszkody, mogła z uporem i stanowczością rozwiązywać problemy, do których nie zaprawiło jej dotychczasowe życie, ale - mimo wysiłków jej, poświęceń i zaradności - nikłe owoce jej pracy, osiągnięte z takim nakładem sił, mogły jej zostać w każdej chwili zabrane. Gdyby się zaś to stało, nie miała prawa ani sposobu dochodzenia swoich roszczeń, chyba tylko przed sądami wojskowymi, o których Tonio wyrażał się z taką goryczą. W owych czasach tylko Murzyni mieli przywilej

czy prawo dochodzenia swoich krzywd. Jankesi ujarzmili Południe i chcieli je w jarzmie utrzymać. Południe zostało zmiażdżone jak pod działaniem złośliwej siły i ci, którzy dawniej rządili, byli teraz bardziej uciemiężeni od dawnych swoich niewolników.

W Georgii gęsto rozsiane były garnizony jankeskich wojsk i Atlanta miała ich także zbyt dużo. Dowódcy jankescy w poszczególnych miastach mieli absolutną władzę, nawet władzę życia i śmierci nad ludnością cywilną, i z władzy swojej korzystali. Mogli wtrącać obywateli do więzienia z lada powodu czy bez powodu, konfiskować ich majątki lub wieszać ich - i często to robili. Dręczyli i prześladowali sprzecznymi przepisami o prowadzeniu przedsiębiorstw, wynagradzaniu pracowników, publicznej i prywatnej swobodzie słowa oraz wolności prasy. Decydowali, jak, kiedy i gdzie ludność ma wynosić śmiecie, jakie pieśni wolno śpiewać córkom i żonom konfederatów, tak że śpiewanie „Dixie” czy „Niebieskiego Sztandaru” stało się przestępstwem niewiele mniej groźnym od zdrady. Postanowili, że nikt, kto nie złoży „żelaznej przysięgi”, nie może odbierać listów na poczcie, i w niektórych wypadkach zabraniali nawet wydawania pozwoleń na zawieranie małżeństw, jeżeli pary narzeczonych nie złożyły owej nienawistnej przysięgi na wierność.

Gazety były tak cenzurowane, że niemożliwy był publiczny protest przeciw niesprawiedliwościom czy rabunkom władz wojskowych, indywidualne zaś protesty zagłuszono aresztowaniami. Więzienia pełne były wybitnych obywateli, którzy marnieli bez nadziei szybkiego procesu. Rozprawy sądowe i prawo „Habeas corpus” były właściwie zawieszane. Sądy cywilne funkcjonowały jeszcze, ale uzależnione były od sądów wojskowych, które mogły wpływać na ich wyroki, obywatele więc, którzy mieli nieszczęście być aresztowani, zdani byli właściwie na łaskę i niełaskę władz wojskowych. Aresztowanych zaś było bardzo wielu. Podejrzenie o krytykę rządu, o należenie do Ku-Klux-Klanu czy też skarga Murzyna, że biały odezwał się do niego niegrzecznie, wystarczały, aby obywatela wtrącić do więzienia. Dowody i zeznania świadków były zbyteczne. Oskarżenie zupełnie wystarczało. Dzięki zaś intrygom Biura Wyzwoleńców można było zawsze znaleźć Murzynów rzucających oskarżenia na białych.

Murzyni nie otrzymali jeszcze prawa wyborczego, ale Północ zdecydowała, że będą głosowali, i to oczywiście na rzecz Północy.

Dlatego też Murzyni robili, co im się podobało. Żołnierze jankescy popierali ich we wszystkim, najpewniejszym zaś sposobem narażenia się na szykany było złożenie skargi na Murzyna.

Dawni niewolnicy stali się teraz panami stworzenia. Z poparciem Jankesów najgorsi i najgłupszy panoszyli się najwięcej. Lepsza klasa Murzynów, gardząca wolnością, cierpiała nie

mniej od swoich białych panów. Tysięczne rzesze służby domowej, która była najważniejszą kastą w społeczeństwie niewolników, zostały u swoich państwa i ciężko pracowały fizycznie, co w dawnych czasach uważały za niegodne siebie. Znaczna liczba wiernych fernali także nie chciała korzystać z nowej wolności, hordy jednak „wolnej hołoty murzyńskiej”, które siały najwięcej zamętu, rekrutowały się przeważnie z klasy wyrobników polnych.

W czasach niewolnictwa owi Negrzy niskiego pochodzenia traktowani byli z pogardą przez Murzynów domowych i służbę, jako istoty małej wartości. Podobnie jak Ellen O'Hara, wszystkie dziedziczki na Południu dbały o naukę Murzyniątek i poddawały je eliminacji, aby najlepsze spośród nich wyćwiczyć do pracy bardziej odpowiedzialnej. Ci, którym przypadała praca w polu, byli najmniej chętni czy zdolni do nauki, najmniej energiczni, uczciwi i godni zaufania, najbardziej zepsuci i tępi. Teraz zaś ta właśnie klasa, najniższa w murzyńskim społeczeństwie, czyniła życie Południa straszliwą męką.

Wspierani przez wpływowych awanturników, którzy kierowali Biurem Wyzwoleńców, podżegani ferworem nienawiści przez ludzi Północy, prawie religijnym w swym fanatyzmie, dawni parobcy znaleźli się niespodzianie na stanowiskach ludzi możnych. Zachowywali się na nich, jak można było spodziewać się po istotach tak mało inteligentnych. Podobni do małych czy małych dzieci, zostawionych bez dozoru wśród przedmiotów, których wartości nie znają, rozpuścili się zupełnie, zarówno z przewrotnego upodobania w zniszczeniu, jak z prostej ignorancji.

Trzeba jednak przyznać, że spośród tych Murzynów tylko nieliczni postępowali tak przez wrodzoną złość, a jednostki te uważane były za „podłych Murzynów” już w czasach niewolnictwa. Na ogół Murzyni byli dziecinni, łatwo poddający się wpływom, i chętnie, siłą wieloletniego przyzwyczajenia, słuchający rozkazów. Dawniej wydawali im rozkazy biali panowie. Teraz mieli nowych panów, zarząd biura i Carpetbaggerów, rozkazy zaś ich brzmiały: „Jesteście równi białym ludziom, postępujcie więc tak samo jak biali. Jak tylko dostaniecie prawo wyborcze, oddajcie głos na partię republikańską, a za to dostaniecie majątki białych. Już teraz niemal należą do was. Bierzcie je sobie, jeżeli możecie!”

Ogłupieni tymi bajkami, Murzyni uważali wolność za nie kończącą się zabawę, za barbakoję trwającą bez przerwy, za karnawał próżniactwa, kradzieży i bezczelności. Wiejscy Murzyni ściągali do miast, wyludniając przed zbiorami całe okolice. Atlanta była przepełniona, a mimo to wciąż napływali całymi tysiącami, leniwi i niebezpieczni, otumanieni niespodziewanie uzyskaną wolnością. Mieszkali w brudnych chałupach, wkrótce więc zaczęły się „wśród nich szerzyć ospa, tyfus i gruźlica. Przyzwyczajeni do opieki swoich dziedziczek w okresie niewolnictwa, nie wiedzieli teraz, jak pielęgnować swoich chorych ani

gdzie się leczyć, Ponieważ w minionych dniach opiekę na starcami i dziećmi pozostawiali swoim panom, nie mieli teraz poczucia odpowiedzialności za słabszych od siebie, Biuro zaś było zanadto zainteresowane sprawami politycznymi, aby opiekować się nimi tak, jak dawniej właściciele plantacji.

Porzucone dzieci murzyńskie biegały po mieście jak wystraszone zwierzątka, aż zabierali je do swoich kuchni litościwi biali ludzie. Starzy wiejscy Murzyni, opuszczeni przez własne dzieci, oszołomieni i wystraszeni w gwarnym mieście, siedząc na skraju chodników wołali do przechodzących pań: - Paniusiu, proszę, niech paniusia napisze do mojego dawnego pana w powiecie Fayette, że ja tu jestem. Przyjedźcie i zabierzcie do domu starego Murzyna. Na Boga, już dość mam tej wolności!

Biuro Wyzwoleńców, przerażone ilością napływających doń Murzynów, zbyt późno zrozumiało swoją pomyłkę i starało się ich odsyłać do dawnych panów. Mówiono Murzynom, że jeżeli wrócą na rolę, wrócą jako wolni pracownicy, chronieni pisemnymi kontraktami, w których wyszczególnione będzie ich dzienne wynagrodzenie. Starzy Murzyni wracali z zadowoleniem na plantacje stając się ciężarem dla zubożałych plantatorów, którzy nie mieli serca ich wydalić, młodzi jednak zostawali w Atlancie. Nie chcieli w ogóle pracować. Po co pracować, kiedy żołądek jest pełny?

Po raz pierwszy w swoim życiu Murzyni mogli pić tyle. Ile chcieli. W czasach niewolnictwa kosztowali wódkę tylko w Boże Narodzenie, gdy każdy dostawał po kieliszku wraz z upominkiem gwiazdkowym. Teraz działało na nich nie tylko podżeganie agitatorów Biura i Jankesów, ale i wódka, gwałty były więc nieuniknione. Nie można było uchronić przed Murzynami ani życia, ani mienia, i biali ludzie, nie bronieni prawem, byli zupełnie sterroryzowani. Pijani Murzyni znieważali na ulicach mężczyzn, palili nocą domy i budynki gospodarskie, w biały dzień kradli konie, bydło i drób, popełniali cały szereg zbrodni, sprawiedliwość była zaś wymierzana tylko nielicznym.

Te jednak podłości i przestępstwa były niczym w porównaniu z niebezpieczeństwem, jakie groziło białym kobietom, z których wiele pozbawionych było wskutek wojny męskiej opieki i które mieszkały same w zapadłych okolicach lub przy nie uczęszczanych drogach. Wielka ilość gwałtów popełnionych na kobietach i wieczny niepokój o żony i córki doprowadzały mężczyzn Południa do zimnej, złej pasji i spowodowały nagle zawiązanie się Ku-Klux-Klanu. I właśnie przeciw tej nocą działającej organizacji gazety Północy występowały najgłośniejsze, nie rozumiejąc tragicznej konieczności, która ją powołała do życia. Północ domagała się, aby wszystkich członków Ku-Klux-Klanu wytropić i powiesić, bo ośmielili się sami piętnować zbrodnie w czasach, gdy najeźdźcy znieśli zwykłe działanie

prawa i ustaw.

Rozgrywało się zadziwiające widowisko - jedna połowa narodu usiłowała bagnietami zmusić drugą do poddania się władzy Murzynów, których większość tylko jedno pokolenie dzieliło od dżungli Afryki. Chcieli im dać prawo wyborcze, a odebrać je ich dawnym właścicielom. Należało ujarzmić Południe, a odebranie białym przywilejów było jedną z metod podboju. Większość ludzi, którzy walczyli po stronie Konfederacji, którzy (piastowali przed wojną urzędy lub popierali Konfederację czynnie lub biernie, straciła prawo wyborcze, nie miała możliwości wybierania urzędników i była całkowicie pod władzą obcych okupantów. Wielu mężczyzn, pamiętając przykład i słowa generała Lee, chciało złożyć przysięgę, stać się na nowo obywatelami i zapomnieć o przeszłości. Nie pozwalano im jednak na to. Inni, których zachęcano do przysięgi, odmówili jej złożenia, nie chcąc przyrzekać posłuszeństwa rządowi, który rozmyślnie narażał ich na okrucieństwa i upokorzenia.

Scarlett słyszała bezustannie, aż do znudzenia, słowa: - Złożyłbym tę przeklętą przysięgę zaraz po kapitulacji, gdyby postępowali przyzwoicie. Mogę poddać się Unii, ale, na Boga, nie trzeba mnie siłą do tego zmuszać!

Podczas tych niespokojnych dni i nocy strach rozdzierał Scarlett. Wieczne niebezpieczeństwo ze strony opryszków murzyńskich i jankeskich żołnierzy trapiło ją bez przerwy, stale wisiała nad nią groźba konfiskaty majątku, prześladowała ją nawet we śnie - bała się też jeszcze gorszego terroru. Przygnębiona bezsilnością swoją, swoich najbliższych i całego Południa, przypominała sobie często w tym czasie słowa, które z taką namiętnością wypowiedział Tonio Fontaine: „Na Boga, Scarlett, to jest nie do zniesienia! I nie będziemy tego znosili!”

Mimo wojny, ognia i rekonstrukcji, Atlanta była znowu w rozkwicie. Pod wieloma względami przypominała młode, ożywione miasto z zarania Konfederacji. Można się było skarżyć jedynie na to, że zapelniający ulicę nosili nieodpowiednie mundury, że niewłaściwi ludzie posiadali pieniądze i że Murzyni żyli w bezczynności, podczas gdy dawni ich panowie borykali się i przymierali głodem.

Pod zewnętrzną powłoką kryła się nędza i strach, na pierwszy rzut oka jednak Atlanta wyglądała jak miasto będące w pełni rozwoju, szybko odbudowujące się z ruin, gwarne, zadyszane. Zdawało się, że Atlanta musi się zawsze śpieszyć niezależnie od okoliczności. Savannah, Charleston, Augusta, Richmond i Nowy Orlean nie śpieszyły się nigdy. Pośpiech był oznaką złego wychowania i naśladowania Jankesów. W tym jednak okresie Atlanta była gorzej wychowana i bardziej zaopatrzona w Jankesów niż kiedykolwiek przedtem czy potem. Z powodu napływających ze wszystkich stron „nowych ludzi” ulice były zatłoczone i głośnie

od rana do wieczora. Błyszczące powozy żon oficerów jankeskich i Carpetbaggerów bryzgały błotem na rozklekotane bryczki dawnych mieszkańców, a pretensjonalne nowe domy zamożnych przybyszów wtlaczały się między dystygowane siedziby dawnych obywateli.

Wojna ostatecznie utrwaliła znaczenie Atlanty w życiu Południa i mało znane dotąd miasto rozślawiło się na wszystkie strony.

Linia kolejowa, o którą Sherman bił się przez całe lato i która tysiące ludzi przyprawiła o śmierć, znowu pobudzała życie miasta, powstałego dzięki niej. Atlanta znowu stała się stolicą rozległej okolicy, jak w czasach przed swoim zburzeniem, i stale ściągali do niej nowi mieszkańcy, pożądani i niepożądani.

Carpetbaggerzy uczynili z Atlanty swoją kwaterę. i spychali z ulic przedstawicieli najstarszych rodzin Południa, którzy także niedawno dopiero przybyli do miasta. Rodziny z okęgów wiejskich, których domy zostały spalone podczas przemarszu Shermana i które nie mogły się wyżywić bez pomocy niewolników, osiedliły się teraz w Atlancie. Nowi ludzie przybywali co dzień z Tennessee i obydwu Karolin, gdzie rekonstrukcja dawała się jeszcze mocniej we znaki niż w Georgii. Wielu Irlandczyków i Niemców, którzy byli najemnymi żołnierzami w armii Unii, po zwolnieniu z wojska osiedliło się w Atlancie. Żony i rodziny żołnierzy jankeskich, ciekawe życia na Południu po czterech latach wojny, także masowo przyjeżdżały. Rojno był od mniejszych i większych awanturników, którzy spodziewali się zrobić tutaj majątki, a Murzyni że wsi nie przestawali przybywać całymi setkami.

Miasto wrzało - było otwarte na oścież jak osada nadgraniczna i nie starało się wcale zatajać swoich grzechów i występków. Szyunki rodziły się przez noc, po dwa lub trzy blisko siebie, i o zmierzchu ulice pełne były pijaków, czarnych i białych, zataczających się od ścian domów po skraj chodnika i z powrotem. Bandydzi, złodzieje i prostytutki czaili się w nie oświetlonych zaułkach i mrocznych ulicach. Domy gry prosperowały świetnie i nie było nocy bez bójk i krwawej awantury. Poważni obywatele gorszyli się, że w Atlancie powstała znowu wielka i kwitnąca dzielnica rozpusty, większa jeszcze niż podczas wojny. Przez całe noce słysząc było zza spuszczonej rolet dźwięki pianina, głośne śmiechy i śpiewy, czasem przerywane krzykiem i strzałami. Pensjonariuszki tych domów były śmielsze od prostytutek z czasów wojny, bezwstydnie wyglądały z okien i zaczepiały przechodniów. A w niedzielne popołudnia piękne karety, własność dam z tej dzielnicy, wyjeżdżały z zapuszczonymi firankami na główne ulice, pełne wystrojonych dziewczyn, które zażywały spaceru.

Bella Watling była najpopularniejszą z owych dam. Założyła nowe własne przedsiębiorstwo w dużym, dwupiętrowym budynku, przy którym okoliczne domy wyglądały nędznie jak królikarnie. Na dole był długi bar, wytwornie przystrojony obrazami, i co noc

przygrywała murzyńska orkiestra. Na górze, jak głosiła fama, stały piękne, pokryte pluszem meble, wisały ciężkie koronkowe firanki i sprowadzone z zagranicy lustra w złożonych ramach. Młode damy, które zamieszkiwały ten dom, były ładne, choć bardzo wymalowane, i zachowywały się spokojniej niż mieszkanki innych tego rodzaju zakładów. W każdym razie do domu Belli rzadko zachodziła policja.

Dom ten stanowił temat szeptów wszystkich mężatek Atlanty i kazań księży - jako kloaka grzechu i jawne wyzwanie. Wszyscy wiedzieli, że kobieta pokroju Belli nie mogła sama tyle zarobić, by tak luksusowo urządzić zakład. Musiała zatem mieć protektora, i to w dodatku bardzo bogatego. A że Rett Butler nigdy nie starał się o ukrycie swoich z nią stosunków, było jasne, że to on, a nie kto inny jest jej protektorem. Sama Bella wyglądała bardzo zamożnie, gdy wyjeżdżała na miasto kareta, którą powoził bezczelny żółty Murzyn. Gdy przejeżdżała, mali chłopcy na ulicach, którym udało się na chwilę wyrwać spod opieki matek, biegli, by się przypatrzeć jej, i szeptali w podnieceniu: - To ona! To Bella! Widziałem jej rude włosy!

W najbliższym sąsiedztwie domów rozdartych pociskami i połatanych kawałkami starego drzewa i szerniałymi od dymu cegłami, wznosiły się piękne domy Carpetbaggerów i paskarzy - o mansardowych dachach i smukłych wieżyczkach, witrażach w oknach i szerokich trawnikach. Co noc w tych nowych domach okna jarzyły się światłem gazowym, a dźwięki muzyki i tupot tańczących stóp dochodziły aż na ulicę. Kobiety w sztywnych kolorowych sukniach przechadzały się po werandach w towarzystwie mężczyzn we frakach. Strzelały korki szampana, a na koronkowych obrusach spożywano kolacje z siedmiu dań. Szynki w białym winie, kaczki nadziewane, pasztety z gęsich wątróbek i rzadkie owoce podawane były w wielkiej obfitości o każdej porze roku.

Za odrapanymi drzwiami starych domów kryły się głód i bieda - bardziej dotkliwie, ponieważ znoszone z odwagą i godnością, bardziej gorzkie z powodu udanej obojętności. Doktor Meade potrafiłby opowiedzieć niejedno o tych rodzinach, które z pałaców musiały się przenieść do pensjonatów, a z pensjonatów do brudnych izdebek na peryferiach. Miał przeraźliwie dużo pacjentek cierpiących na „słabe serce” i „anemię”. Wiedział równie dobrze jak one, że przyczyną tych niedomagań było przewlekłe głodowanie. Mógłby opowiedzieć o gruźlicy, która kładła pokotem całe rodziny, i o szkorbutcie, dawniej spotykanym tylko w biedniejszej sferze, który teraz pojawiał się w najlepszych domach Atlanty. Wiele było dzieci o chudych, rachitycznych nóżkach i matek, nie mających pokarmu. Niegdyś stary doktor skłonny był dziękować Bogu za każde dziecko, które przyjął na świat. Teraz przestał sądzić, że życie jest dobrodziejstwem. Świat odnosił się wrogo do małych dzieci i wiele z nich

umierało w pierwszych miesiącach życia. Jaskrawe światła i wino, skrzypce i tańce, brokaty i sukna w okazałych wielkich domach, a tuż za rogiem powolne konanie i chłód... Arogancja i nieczułość po stronie zwycięzców, gorzka wytrwałość i nienawiść po stronie zwyciężonych.

ROZDZIAŁ XXXVIII

Scarlett widziała to wszystko, żyła tym w dzień i pamiętała w nocy, zawsze pełna obaw, co się nowego może zdarzyć. Wiedziała, że ona i Frank wciągnięci już są z powodu sprawy Tonia na czarną listę Jankesów i że nieszczęście może na nich spaść z godziny na godzinę. Teraz jednak, zwłaszcza teraz, nie stać ją było na to, by cofnąć się ze zdobytej pozycji - teraz, gdy oczekiwała dziecka, gdy tartak zaczynał dawać dochody, gdy Tarze potrzebne były pieniądze na przetrwanie do jesieni, do zbiorów. Och, jakżeby to było straszne, gdyby straciła wszystko! Gdyby musiała zacząć na nowo, uzbrojona tak słabo przeciw oszalałemu światu! Gdyby musiała przeciwstawić czerwone wargi, zielone oczy i sprytną główkę Jankesom i wszystkiemu, czego Jankesi byli symbolem... Nieprzytomna ze strachu, czuła, że raczej zabije się, niż zacznie wszystko jeszcze raz od nowa.

W ruinie i chaosie owej wiosny r. 1866 wyteźała całą swoją energię, by rozwinąć tartak. W Atlancie było dużo pieniędzy. Fala odbudowy dawała jej możliwości, jakich pragnęła, wiedziała też, że mogłaby się wzbogacić pod warunkiem, że jej się uda uniknąć więzienia. Ale, powtarzała sobie raz po raz, będzie musiała kroczyć ostrożnie i czujnie, znosić obelgi, godzić się z niesprawiedliwością, nigdy nie obrażać ani czarnych, ani białych, którzy mogliby jej zaszkodzić. Nienawidziła bezczelnych wolnych Murzynów tak samo jak inni i skóra na niej cierpła ze wstrętu, ilekroć słyszała ich obelżywe uwagi i głośny śmiech. Nigdy im jednak nie rzuciła nawet spojrzenia pogardy. Nienawidziła Carpetbaggerów i Scallawagów, którzy bogacili się łatwo, nie męcząc się tak jak ona, ale nie mówiła o nich nic złego. Nie było nikogo w Atlancie, kto by bardziej niż ona nie znosił Jankesów, bo już sam widok niebieskiego munduru napełniał ją pasją, ale nawet w ścisłym gronie rodzinnym nie mówiła o nich nic.

„Nie będę gadatliwą idiotką - myślała ponuro. - Niechaj inne załamują ręce nad przeszłością i oplakują ludzi, którzy nigdy nie wrócą. Niechaj inni płoną oburzeniem z powodu panowania Jankesów i odebrania nam prawa wyborczego. Niechaj inni gniją w więzieniu za szczerłość i zostają wieszani za należenie do Ku-Klux-Klanu. (Och, jakaż to była nienawistna nazwa, prawie tak samo straszna dla Scarlett jak dla Murzynów!) Niechaj inne kobiety szczycą się tym, że mężowie ich są członkami Klanu. Dzięki Bogu, że Frank nie ma z tym nic wspólnego! Niechaj inni burzą się i gotują, i knują przeciw rzeczom, na które nie ma rady. Cóż znaczyła przeszłość wobec trudnej teraźniejszości i wątpliwej przyszłości? Cóż znaczyło prawo wyborcze, kiedy najważniejszym problemem był chleb, dach nad głową i

pozostanie na wolności? Ach, niechże Bóg sprawi tylko, abym do czerwca nie dostała się do więzienia!”

Tylko do czerwca! Scarlett wiedziała, że w czerwcu będzie musiała zamknąć się w domu i oczekiwać rozwiązania. Ludzie już ją krytykowali za to, że ukazywała się publicznie w swoim stanie. Żadna dama nie pokazywała się podczas ciąży na mieście. Już i Frank i Pitty błagali ją, aby nie narażała siebie i ich na kłopotliwe sytuacje i aby im przyrzekła, że w czerwcu przestanie pracować.

Tylko do czerwca! Do czerwca tartak musi być tak dobrze postawiony, by mogła przestać go doglądać. Do czerwca musi zarobić dość pieniędzy, aby trochę przynajmniej zabezpieczyć się przed nieszczęściem. Tyle miała do roboty i tak mało czasu! Żałowała, że dni nie mają więcej godzin, i gorączkowo liczyła mijające minuty w stałym pościgu o pieniądze, o coraz więcej pieniędzy.

Ponieważ nie przestawała strofować nieśmiałego Franka, zainkasował niektóre z dawnych wierzytelności i sklep zaczął teraz więcej przynosić dochodu. Wszystkie nadzieje Scarlett skupiały się jednak na tartaku. Atlanta była w tym okresie podobna do olbrzymiej rośliny, obciętej przy samej ziemi, ale teraz znowu rozkwitającej, z mocniejszymi pędami, gęstszym listowiem, liczniejszymi gałązkami. Popyt na budulec był daleko większy niż podaż. Ceny

drzewa, cegły i kamienia szły ciągle w górę i tartak Scarlett pracował od świtu do późnego wieczora.

Część każdego dnia Scarlett spędzała w tartaku, wglądając we wszystko, starając się wszystkimi siłami ukrócić złodziejstwa, które podejrzewała. Przeważnie jednak jeździła po mieście odwiedzając budowniczych, przedsiębiorców i stolarzy, wstępując nawet do nieznanomych, o których słyszała, że będą budowali, i skłaniając ich do obietnic, że kupią drzewo u niej, a nie u innych.

W krótkim czasie stała się dobrze znana na ulicach Atlanty. Siedziała w bryczce obok dystyngowanego, zawsze nachmurzonego starego stangreta, z kocem podciągniętym wysoko pod piersi, ze złożonymi na kolanach małymi rączkami w mitenkach. Ciotka Pitty uszyła jej śliczny zielony płaszczyk, który zakrywał jej figurę, sprawiła też sobie płaski zielony kapelusz, dobrany kolorem do oczu, i jeżdżąc za interesami zawsze nosiła te twarzowe rzeczy. Cieniutka warstwa rózu na policzkach i zwiewny zapach wody kolońskiej czyniły z niej urocze zjawisko, dopóki nie zsiadła z bryczki i nie widać było jej postaci. To zaś zdarzało się rzadko, bo uśmiechała się tylko i robiła znaki ręką, a mężczyźni podchodzili do niej natychmiast i często stali bez kapelusza na deszczu, by rozmawiać z nią o interesach.

Nie była jedyną, która widziała możliwości dużych zarobków w handlu drzewem, ale nie bała się konkurencji. Wiedziała, że dorówna każdemu, i w świadomości tej było dużo dumy z samej siebie. Była córką Geralda i jej odziedziczony po nim spryt do interesów jeszcze się wyostrzył teraz, gdy miała tyle obowiązków.

Z początku inni kupcy drzewni śmieli się z dobroduszną pogardą na myśl, że kobieta zabrała się do handlu. Szybko jednak przestali się śmiać. Klęli cicho, gdy widzieli ją w bryczce. Fakt, że była kobietą, często działał na jej korzyść, bo czasem potrafiła wyglądać tak bezradnie, że ludziom topniały serca. Bez trudu mogła dać milcząco do zrozumienia, że jest dzielną, ale nieśmiałą damą, zmuszoną brutalnymi okolicznościami do nieprzyjemnych funkcji - bezradną małą kobietką, która umarłaby prawdopodobnie z głodu, gdyby klienci nie kupili u niej drzewa. Kiedy jednak dystygowane miny nie osiągały rezultatu, stawała się chłodna i rzeczowa, chętnie obniżała cenę i wyrzekała się zarobku, aby zdobyć nowego klienta. Nie cofała się przed sprzedawaniem złego gatunku drzewa po cenie dobrego, jeżeli wiedziała, że nie wyjdzie to na jaw, i nie miała skrupułów w oczernianiu innych kupców. Udając, że ciężko jej przychodzi wypowiedzanie nieprzyjemnej prawdy, wzdychała i mówiła ewentualnym klientom, że drzewo jej konkurentów jest bardzo drogie, zgniłe, pełne sęków i w ogóle w wyjątkowo marnym gatunku.

Kiedy Scarlett po raz pierwszy skłamała w ten sposób, poczuła się zakłopotana i pełna wyrzutów sumienia - zakłopotana, bo kłamstwo spłynęło jej na wargi łatwo i naturalnie, winna, ponieważ przeszła ją myśl: „Co by powiedziała na to mama?”

Nie było wątpliwości, co powiedziałyby Ellen córce, która kłamała i robiła niezupełnie czyste transakcje. Byłaby zdumiona, nie dowierzałaby i przemawiałaby łagodnie, używając słów, które mimo swej łagodności sprawiały ból; mówiłaby o honorze, uczciwości, prawdzie i obowiązkach w stosunku do bliźnich. Scarlett zachmurzyła się na chwilę, gdy wyobraziła sobie wyraz twarzy matki. Potem jednak obraz ten zatarł się, odpędzony nowym bezwzględny impuls chciwości, która zrodziła się podczas ciężkich dni w Tarze, wzmogła się w niej z powodu niepewności życia. W ten więc sposób minęła i to rozdroże, jak już tyle innych - z westchnieniem, że nie jest taka, jak by sobie tego życzyła Ellen, ze wzruszeniem ramion i powtórzeniem niezawodnego zaklęcia; „Pomyślę o tym kiedy indziej”.

Odtąd nigdy już jednak nie myślała o Ellen w związku ze swoimi metodami handlowymi, nigdy nie miała skrupułów z powodu sztuczek, za pomocą których odbierała zamówienia innym kupcom drzewnym. Wiedziała, że może całkiem bezkarnie rozsiewać o nich kłamstwa. Chroniła ją rycerskość południowców. Dama z Południa mogła kłamać na temat mężczyzny, ale dżentelmen z Południa nie mógł odplacić jej tą samą monetą ani, co

gorsza, nazwać kłamczynią. Konkurenci Scarlett mogli więc tylko pienieć się wewnątrz i stwierdzać z pasją na łonie rodziny, że żałują, iż pani Kennedy nie może stać się mężczyzną choćby na pięć minut.

Pewien ubogi biały, który kierował tartakiem na ulicy Decatur, chciał pobić Scarlett jej własną bronią i mówił otwarcie, że kłamie i oszukuje. Zaszкодziło mu to jednak więcej, niż pomogło, ponieważ ludzie byli zgorszeni, że mężczyzna, choćby nawet biedny, ośmiela się mówić podobne rzeczy o damie, która należała do dobrej rodziny, mimo że postępowała, jak nie przystoi kobiecie. Scarlett zniosła jego uwagi z milczącą godnością i po pewnym czasie wyłączną uwagę poświęciła jemu i jego klientom. Podcinała mu ceny tak ustawicznie i, aby dowieść swej uczciwości, jęcząc z żalu, dostarczała drzewa w tak doskonałym gatunku, że kupiec w krótkim czasie zbankrutował. Wtedy ku przerażeniu Franka kupiła z tryumfem jego tartak za cenę, jaką mu podyktowała.

Kiedy drugi tartak przeszedł na jej własność, powstał kłopotliwy problem znalezienia odpowiedniego człowieka, który by mógł nim kierować. Nie chciała już drugiego kierownika w rodzaju Johnsona. Wiedziała, że mimo jej kontroli nie przestaje za jej plecami sprzedawać drzewa, zdawało się jej jednak, że łatwo będzie kogoś znaleźć. Wszyscy byli biedni jak Hiob, a ulice przepelnione były mężczyznami niegdyś bogatymi, którzy teraz nie mieli pracy. Nie mijał dzień, aby Frank nie dał pieniędzy jakiemuś głodnemu eks-żołnierzowi, a Pitty czy kucharka nie nakarmiły wymizerowanych żebraków.

Scarlett jednak, z jakiejś niezrozumiałej przyczyny, nie chciała żadnego z nich. „Nie chcę mężczyzn, którzy w ciągu roku nie umieli sobie znaleźć pracy - myślała. - Jeżeli dotąd jeszcze nie zżyli się z pokojem, nie będą się mogli i do mnie przyzwyczaić. I wszyscy wyglądają tak potulnie i nieszczęśliwie. Nie chcę mężczyzny, który wygląda jak człowiek pokonany przez życie. Chciałabym kogoś, kto jest mądry i energiczny jak Rene, Tomasz Wellburn czy Kells Whiting lub jeden z Simmonsów. Ci nie mają takich przeraźliwie obojętnych min, jak mieli żołnierze po wojnie. Wyglądają, jak gdyby im bardzo zależało na bardzo wielu rzeczach”.

Ale ku jej zdumieniu i młodzi Simmonsowie, którzy założyli sobie cegielnię, i Kells Whiting, sprzedający preparat wyrabiany w kuchni jego matki i prostujący po sześciokrotnym użyciu najbardziej kędzierzawe murzyńskie włosy - uśmiechnęli się uprzejmie, podziękowali i odmówili. To samo zrobili inni, którym proponowała posadę. W rozpaczy podniosła kwotę ofiarowanego wynagrodzenia, ale nie przestawała się spotykać z odmową. Jeden z siostrzeńców pani Merriweather zauważył impertynencko, że jakkolwiek nie bardzo lubi rozwozić piwo, woli męczyć się dla siebie, niż pracować u Scarlett.

Pewnego popołudnia Scarlett zatrzymała bryczkę przy wozie cukierniczym Rene Picarda i zagadała do niego i do kalekiego Tomasza Wellburna, którego Rene podwoził do domu.

- Słuchaj, Rene, może byś ty zechciał u mnie pracować? Prowadzenie tartaku jest bez porównania przyzwoitszym zajęciem od rozwożenia ciast po mieście. Miałam wrażenie, że się tego wstydzisz.

- Ja? Ja nie wiem, co to wstyd - roześmiał się Rene. - Któż by chciał znowu robić przyzwoite rzeczy? Przez całe życie musiałem robić to, co wypada, aż wojna dała mi wolność tak jak Murzynom. Już nigdy nie będę człowiekiem dystyngowanym i znudzonym. Jestem wolny jak ptak! Lubię swój wóz. Lubię swego muła. Lubię kochanych Jankesów, którzy są tak uprzejmi, że kupują babki mojej belle-mere. Nie, moja Scarlett, ja chcę pozostać Królem Ciast. To jest moje przeznaczenie! Podobnie jak Napoleon, idę za swoją gwiazdą. - Trzasnął z patosem z bata.

- Ale nie wychowano cię na to, abyś sprzedawał ciasta, tak samo jak Tomasz nie na to się urodził, by użerać się z bandą nieokrzesanych irlandzkich mularzy. Moja praca jest bardziej...

- A ciebie prawdopodobnie wychowano na to, abyś prowadziła tartak, co? - rzekł Tomasz i kąciki ust zadrgały mu drwiąco. - Tak, wyobrażam sobie małą Scarlett na kolanach swojej matki, powtarzającą lekcję: „Nie sprzedawaj nigdy dobrego drzewa, jeżeli za złe możesz osiągnąć lepszą cenę”.

Rene roześmiał się słysząc to, a małe jego oczka świeciły radością gdy poklepał Tomasza po zgarbionych plecach.

- Nie bądź arogantem - rzekła Scarlett chłodno, bo uwaga Tomasza nie wydała jej się wcale zabawna. - Rozumie się, że nie było mi przeznaczone prowadzenie tartaku.

- Nie chciałem być arogantem. Ale faktem jest, że teraz prowadzisz tartak nie zastanawiając się, czy było to twoim przeznaczeniem, czy nie. I prowadzisz go bardzo dobrze, muszę przyznać. A więc znaczy to, że nikt z nas tutaj nie robi tego, co niegdyś zamierzał, a jednak zdaje mi się, że sobie jakoś radzimy. Ludzie i narody, które siedzą na miejscu i rozpaczają, dlatego że życie nie ułożyło się dokładnie tak, jak to sobie wyobrażali, są godni politowania. Dlaczego nie zaangażujesz sobie jakiegoś dzielnego Carpetbaggera, Scarlett? Roi się od nich tutaj, jak wiesz.

- Nie chcą Carpetbaggera. Carpetbaggerzy kradną wszystko, co nie jest rozpalone do czerwoności lub przybite mocnymi gwoździami. Gdyby byli przyzwoitymi ludźmi, siedzieliby w swoich stronach zamiast zjawiać się tutaj i nas obdzierać ze skóry. Potrzebny mi

człowiek przyzwoity, z porządnej rodziny, zaradny, mądry i uczciwy...

- Nie żądasz wiele. Ale nie dostaniesz tego za wynagrodzenie, które ofiarowujesz. Wszyscy mężczyźni, odpowiadający tym warunkom, jeżeli wyłączyć zupełne kaleki, mają już jakąś pracę. Możliwe, że źle się nadają do tego, co robią, ale pracują. Pracują niezależnie i wolą to od posady u kobiety.

- Mężczyźni nie są zbyt rozumnymi istotami, jeżeli wniknąć w tę sprawę do głębi.

- Może i nie są, ale za to posiadają dużo dumy - rzekł Tomasz spokojnie.

- Duma! Duma doskonale smakuje, zwłaszcza na pusty żołądek - odparła Scarlett cierpko.

Dwaj mężczyźni roześmiali się niechętnie i Scarlett wydało się, że potępiają ją milcząco. To, co Tomasz powiedział, było prawdą, myślała licząc mężczyzn, z którymi już rozmawiała, i tych, którym chciała jeszcze zaproponować posadę. Wszyscy byli zajęci, pracowali nad czymś, pracowali ciężko, znacznie ciężiej niż ich służba przed wojną. Nie robili może tego, na co mieli ochotę ani co było najłatwiejsze lub do czego byli przeznaczeni, ale jednak pracowali. Czasy były zbyt ciężkie, aby mężczyźni mogli wybierać. A jeżeli ubolewali z powodu zawiedzionych nadziei czy tęsknili za dawnym sposobem życia, nikt o tym poza nimi samymi nie wiedział. Brali teraz udział w nowej wojnie, znacznie sroższej od poprzedniej. I znowu kochali życie, tak samo namiętnie i gorąco jak wtedy, gdy wojna jeszcze nie zwichnęła ich kariery.

- Scarlett - rzekł Tomasz z zakłopotaniem - przykro mi prosić ciebie o przysługę, ponieważ byłem niegrzeczny w stosunku do ciebie, ale poproszę cię o nią mimo to. Może i dla ciebie będzie to korzystne. Szwagier mój, Hugon, niezbyt dobrze zarabia na swoim handlu drzewem na opał. Wszyscy z wyjątkiem Jankeśów chodzą do lasów sami i sami zbierają chrust na podpałkę. A wiem, że całej rodzinie Elsingów powodzi się niezbyt świetnie. Ja - ja robię, co mogę, ale widzisz, mam na utrzymaniu Fanny, matkę i dwie owdowiałe siostry w Sparcie. Hugon jest porządnym chłopcem, a tobie o takiego chodzi, jest z dobrej rodziny, jak wiesz, i bardzo uczciwy.

- Tak, ale... Hugon nie musi być zbyt zaradny, bo inaczej powodziłoby mu się lepiej.

Tomasz wzruszył ramionami.

- Masz dość bezwzględny sposób oceniania spraw, Scarlett - powiedział. - Pomyśl jednak o kandydaturze Hugona. Mogłabyś długo szukać i trafić znacznie gorzej. Ja sędzę, że uczciwość jego i zapał do pracy wynagrodzą może brak tupetu.

Scarlett nie odpowiedziała, bo nie chciała być nieuprzejma. Zdaniem jej jednak mało było zalet, które by przewyższały tupet.

Kiedy jednak bez powodzenia szukała na mieście pracownika i odmówiła wielu chętnym do pracy Carpetbaggerom, zdecydowała się wreszcie zgodzić na propozycję Tomasza i przyjąć na posadę Hugona Elsinga. Podczas wojny był świetnym oficerem, ale dwie ciężkie rany w głowę i cztery lata walk podkopały zupełnie, jak się zdawało, jego żywotność, i teraz wobec trudności czasów pokojowych wydawał się bezradny jak dziecko. W okresie, gdy rozwoził po mieście drzewo na opał, przypominał trochę zbitego psa i zewnętrze daleka był od typu mężczyzny, jakiego Scarlett chciałaby zatrudnić.

„Jest głupi - myślała. - Nie zna się na interesach i założę się, że nie wie, ile jest dwa razy dwa. Wątpię też, czy się kiedykolwiek tego nauczy. Jest jednak uczciwy i nie będzie mnie oszukiwał”.

Scarlett w tym czasie nie postępowała już uczciwie, ale im mniej ceniła uczciwość w sobie, tym bardziej szukała jej w innych.

„Wielka szkoda, że Gallegher związany jest z Tomkiem Welburnem przy tej budowie - myślała. - On właśnie jest człowiekiem, jakiego potrzebuję. Jest twardy jak stal i śliski jak węgorz, ale byłby uczciwy, gdyby mu się to opłacało. Ja go rozumiem i on mnie rozumie, moglibyśmy więc doskonale ze sobą pracować. Może uda mi się go dostać, jak wykończą hotel, ale do tego czasu będę się musiała zadowolić Hugonem i Johnsonem. Jeżeli Hugon będzie prowadził nowy tartak, a Johnsona zostawię w starym, będę mogła nie wyjeżdżać z miasta i zajmować się wyłącznie sprzedażą, oni zaś będą doglądali tarcia i heblowania desek. Do czasu przyjęcia Galleghera muszę pogodzić się z tym, że Johnson będzie mnie okradał, jeżeli będę dużo czasu spędzała w mieście. Gdybyż on nie był złodziejem! Wydaje mi się, że zbuduję skład desek na połowie placu, który mam po Karolu. Gdybyż tylko Frank nie oburzał się tak bardzo, że na drugiej połowie chcę zbudować bar! Wszystko mi jedno, zbuduję tam szynk, jak tylko będę miała trochę pieniędzy, bez względu na to, co Frank powie. Gdybyż tylko Frank nie był tak delikatny! Och, Boże, gdybym tylko nie musiała mieć dziecka właśnie teraz! Wkrótce stanę się tak ciężka, że nie będę mogła wychodzić. Och, Boże, gdybym ja tylko nie potrzebowała mieć tego dziecka! I, ach, gdyż mnie ci przekłęci Jankesi zostawili teraz w spokoju! Gdyby...”

Gdyby, gdyby, gdyby! Tyle było „gdyby” w życiu, nigdy nie było nic pewnego, nigdy nie miało się spokoju, zawsze trzeba się było obawiać, że straci się wszystko i znowu będzie się cierpiało głód i chłód. Prawda, że Frank zarabiał teraz trochę więcej, ale ciągle przeziębiał się i niedomagał i często przez wiele dni musiał leżeć. A jeżeli stanie się zupełnie niezdolny do pracy! Nie, na Franka nie mogła zbyt liczyć. Nie mogła liczyć na nic ani na nikogo, tylko na siebie samą. A zarobki jej wydawały się śmiesznie małe. Och, cóż pocnie, jeżeli

Jankesi przyjdą i wszystko jej zabiorą? Gdyby, gdyby, gdyby!

Połowa jej miesięcznych wpływów szła do Willa na Tarę, część oddawała Rettowi na poczet pożyczki, a resztę odkładała. Żaden kupiec nie liczył częściej swego złota niż ona i żaden nie obawiał się bardziej od niej, że straci pieniądze. Nie chciała złożyć pieniędzy do banku z obawy, aby bank nie przestał wypłacać lub Jankesi nie skonfiskowali jej wkładów. Nosiła zatem, ile mogła, pieniędzy przy sobie, zaszyte w gorsecie, a małe paczuszki banknotów ukrywała po całym domu, pod ruchomymi cegłami kominka, w worku ze skrawkami materiałów, między stronicami Biblii. I wraz z mijaniem tygodni stawała się coraz bardziej wściekła, bo każdy zaoszczędzony dolar znaczył o dolara większą stratę na wypadek nieszczęścia.

Frank, Pitty i służba znosili jej wybuchy złości z zawstydzającą dobrocią, przypisując ten stan podniecenia ciąży, nie domyślając się wcale prawdziwej jego przyczyny. Frank wiedział, że należy ustępować kobietom w poważnym stanie, więc odsunął na bok resztki dumy i nie mówił już więcej o tym, że nie powinna prowadzić tartaków i chodzić po mieście w „takim” stanie, bo damie nie wypada tego robić. Postępowanie jej było dla niego źródłem wielu przykrości, postanowił jednak, że przez jakiś czas będzie je znosił spokojnie. Był przekonany, że po urodzeniu dziecka Scarlett stanie się znowu tą samą łagodną, słodką kobietą, którą pokochał. Mimo jednak wszystkich jego wysiłków, Scarlett nie przestawała mieć ataków złości i czasem wydawało mu się, że postępuje jak opętana.

Nikt jednak nie wiedział co było jej istotnym opętaniem, co pochłaniało wszystkie jej myśli. Było to gwałtowne pragnienie uporządkowania swoich spraw, zanim będzie zmuszona zamknąć się w domu, zebrania jak najwięcej pieniędzy na wypadek jakiegoś nieszczęścia, zabezpieczenia się tamą gotówką przed powodzią jankeską nienawiści. Pieniądze były obsesją, od której nie mogła się uwolnić. Jeżeli myślała kiedykolwiek o dziecku, to z tłumioną wściekłością, że zjawia się tak bardzo nie w porę.

Śmierć, podatki i rodzenie dzieci! Żadna z tych rzeczy nie przychodzi nigdy w porę!

Atlanta była bardzo zgorszona, kiedy Scarlett, kobieta, zaczęła prowadzić tartak. Z biegiem czasu jednak miasto zrozumiało, że niepodobna przewidzieć tego wszystkiego, co Scarlett jeszcze gotowa zrobić. Jej spryt kupiecki był tym bardziej rażący, że matka jej była panną Robillard z domu, a już zupełnie bezwstydne było to, że nie przestawała wychodzić na ulicę, chociaż wszyscy wiedzieli, że jest w ciąży. Żadna szanująca się biała kobieta i żadna przyzwoita Murzynka nie pokazywały się poza domem już od chwili, gdy miały pewność, że są brzemiennie, pani Merriweather oświadczała więc z oburzeniem, iż sądząc po postępowaniu Scarlett można by przypuszczać, że urodzi dziecko na środku ulicy.

Wszystkie jednak uwagi o jej postępowaniu były niczym w porównaniu z plotkami, od których teraz szumiało miasto. Scarlett nie tylko handlowała z Jankesami, ale jeżeli sądzić z pozorów, bardzo stosunki z nimi lubiła.

Pani Merriweather, jak i inni południowcy, także prowadziła interesy z przybyszami z Północy, różnica jednak między nią a Scarlett polegała na tym, że robiła to wbrew woli i wyraźnie to okazywała. Scarlett zaś robiła to z przyjemnością czy też udawała, że sprawia jej to przyjemność, co wychodziło na jedno. Bywała nawet na herbacie u żon jankeskich oficerów! Utrzymywała z nimi prawdziwe stosunki towarzyskie, tyle tylko, że nie zapraszała ich do siebie, chociaż miasto było przekonane, że zrobiłaby to, gdyby nie wzgląd na ciotkę Pitty i Franka!

Scarlett wiedziała, że miasto ją krytykuje, ale nie zwracała na to uwagi, i nie mogła sobie nawet pozwolić na przejmowanie się tą sprawą. Nienawidziła Jankesów tak samo mocno jak w dniu, gdy chcieli spalić Tarę, ale umiała nienawiść tę ukrywać. Wiedziała, że dorabiać się majątku musi z pomocą Jankesów, i przekonała się, że uśmiechy i słówka są najpewniejszym sposobem uzyskania ich zamówień dla tartaku.

Kiedyś w przyszłości, gdy będzie bardzo bogata i pieniądze tak ukryje, że Jankesi nie będą ich mogli znaleźć, powie im dokładnie, co o nich myśli, jak bardzo ich nienawidzi, jaki wstręt do nich czuje, jak nimi gardzi. I z jaką to zrobi przyjemnością! Do tego czasu jednak zdrowy rozsądek nakazywał jej z nimi przestawać. A jeżeli była to hipokryzja, niech Atlanta mówi co chce.

Odkryła, że zawieranie znajomości z jankeskimi oficerami było wyjątkowo łatwe. Byli to samotni wygnańcy we wrogim otoczeniu i wielu z nich tęskniło za kobiecym towarzystwem w mieście, gdzie przyzwoite kobiety przechodząc obok nich obciągały spódnice, aby ich nie dotknąć, i miały takie miny, jak gdyby chciały napluć im w twarz. Tylko prostytutki i Murzynki były dla nich miłe. Scarlett natomiast była najoczywiściej damą, i to damą z dobrego towarzystwa, mimo że pracowała, drżeli więc ze wzruszenia widząc jej uśmiechy i przyjemne ogniki w zielonych oczach.

Często, gdy Scarlett siedziała w swojej bryczce i rozmawiała z nimi pokazując dołeczki, nienawiść do nich ogarniała ją tak mocno, że z trudem powstrzymywała się od głośnych wymyślań. Opanowywała się jednak i przekonywała się, że schlebianie Jankesom jest sprawą równie łatwą jak schlebianie południowcom. Dla niej nie była to jednak zabawa, lecz przykra konieczność. Odgrywała przed Jankesami rolę eleganckiej, łagodnej damy południowej w ciężkim położeniu. Z dystygowaną rezerwą umiała trzymać swoje ofiary w odpowiedniej od siebie odległości, zachowanie jej jednak było tak przyjemne, że jankescy oficerowie zawsze

ciepło wspominali panią Kennedy. Sympatia ich okazała się bardzo korzystna - jak Scarlett zresztą przewidywała. Wielu oficerów z garnizonu nie wiedząc, jak długo przyjdzie im zostać w Atlancie, sprowadziło do miasta żony i rodziny. Ponieważ hotele i pensjonaty były przepełnione, zaczęli stawiać sobie małe domki i bardzo byli radzi, że mogą budulec kupować u miłej pani Kennedy, która traktowała ich grzeczniej od kogokolwiek w mieście. Carpetbaggerzy i Scallawagowie, którzy za świeżo zarobione pieniądze budowali piękne domy, sklepy i hotele, także uważali, że przyjemniej jest mieć do czynienia ze Scarlett niż z eks-żołnierzami Konfederacji, niezwykle uprzejmymi, ale uprzejmością bardziej lodowatą od wyraźnej nienawiści.

Tak więc, ponieważ Scarlett była ładna i czarująca i umiała robić czasem bezradne i nieszczęśliwe minki, Jankesi chętnie popierali jej tartak i sklep Franka czując, że tej dzielnej młodej kobiecie, która ma niezaradnego męża, należy się poparcie. A Scarlett, przyglądając się rozkwitowi swego przedsiębiorstwa, wiedziała, że zabezpiecza sobie nie tylko teraźniejszość pieniędzmi Jankesów, ale i przyszłość - ich przyjaźnią.

Utrzymywanie stosunków z jankeskimi oficerami na tej płaszczyźnie, jaką sobie obrała, było dość łatwe, bo wszyscy okazywali paniom z Południa nabożny szacunek - Scarlett jednak przekonała się, że żony ich przedstawiały trudniejszy problem. Kontakt z Jankeskami nie życzyła sobie wcale. Chciała go nawet unikać, ale nie mogła, ponieważ żony oficerów postanowiły ją poznać. Były niezmiernie ciekawe Południa i jego kobiet, Scarlett zaś dawała im pierwszą sposobność zaspokojenia tej ciekawości. Inne panie w Atlancie nie chciały mieć z nimi nic wspólnego i nawet nie kłaniały się im w kościele, kiedy więc interesy sprowadziły Scarlett do ich domów, wydawała im się zesłanką z nieba. Często, gdy Scarlett siedziała w bryczce przed domem jakiegoś Jankesa i rozmawiała z panem domu o deskach i klepkach, żona wychodziła z mieszkania i wtrącała się do rozmowy albo bardzo uprzejmie zapraszała na filiżankę herbaty. Scarlett rzadko odmawiała, choć nie bardzo te zaproszenia lubiła, zawsze jednak miała nadzieję, że podda paniom taktownie myśl, aby kupowały w sklepie Franka. Podczas wizyt tych musiała jednak nad sobą panować, bo Jankeski zadawały jej bardzo niedyskretne pytania i okazywały trochę pogardliwy i krytyczny stosunek do wszystkiego, co południowe. Przyjmując „Chatę Wujka Toma” za objawienie, równe jedynie Biblii, panie jankeskie chciały wiedzieć, co się stało ze sforami psów gończych, które południowcy trzymali na plantacjach celem ścigania zbiegłych niewolników. Nic chciały jej wierzyć, kiedy odrzekła, że widziała w swoim życiu tylko jednego ogara i że był to mały łagodny piesek, a nie rozjuszony zwierz. Chciały, aby im opowiadała o strasznych żelazach, którymi plantatorzy wypalali znamiona na twarzach swoich niewolników, i o nahajkach, którymi

batożyli ich na śmierć, zdradzały też bardzo, zdaniem Scarlett, nieprzyzwoite i brzydkie zainteresowanie życiem erotycznym Murzynów. Było to dla niej tym bardziej żenujące, że ilość dzieci mulackich w Atlancie, od czasu gdy w mieście stali żołnierze jankescy, wzrosła niepomiarowo.

Każda inna pani z Atlanty umarłaby z wściekłości, że musi słuchać bzdur świadczących o bezdennej ignorancji, Scarlett jednak panowała nad sobą. Pomagał jej w tym fakt, że Jankeski budziły w niej więcej pogardy niż oburzenia. Ostatecznie były tylko Jankeskami, nic więc innego nie można się było po nich spodziewać. Bezmyślne uwagi o Georgii, o jej ludności i zwyczajach puszczała mimo uszu, i nigdy nie przejmowała się nimi głębiej do czasu, gdy zdarzył się wypadek, który ją rozwścieczył i wykazał jej bardzo dobitnie, jak głęboka i zupełnie niemożliwa do usunięcia była przepaść między Północą a Południem.

Pewnego popołudnia, jadąc do domu z wujem Piotrem minęła dom zamieszkały czasowo przez rodziny trzech oficerów, którzy stawiali sobie domy z budulca u niej kupionego. Trzy Jankeski stały przed domem i skinęły, aby się zatrzymała. Podchodząc do brzegu chodnika zagadały do niej takim akcentem, że Scarlett po raz nie wiadomo który pomyślała, iż Jankesom wszystko prawie można wybaczyć poza ich wymową.

- Pani jest właśnie osobą, która może mi pomóc, pani Kennedy - zaczęła wysoka, chuda kobieta ze stanu Maine. - Chciałabym zasięgnąć informacji dotyczących tego zapowietrzonego miasta.

Scarlett przełknęła obelgę pod adresem Atlanty z pogardą, na jaką zasługiwała, i uśmiechnęła się w najlepsze.

- Cóż mam pani powiedzieć?

- Niania moja, Brygida, wróciła na Północ. Oświadczyła mi, że nie chce być ani dnia dłużej między Murzynami. A dzieci po prostu przyprawiają mnie o bzika! Niech mi pani z łaski swojej powie, jak zabrać się do szukania nowej niani. Nie wiem, do kogo się zwrócić.

- To nie powinno być trudne - rzekła Scarlett i roześmiała się. - Jeżeli znajdzie pani Murzynkę ze wsi, której nie zdążyło zepsuć Biuro Wyzwoleńców, będzie pani miała najlepszą służącą pod słońcem. Niech pani po prostu postoi tutaj przed bramą i pyta się każdej przechodzącej Murzynki...

Trzy panie zaczęły wydawać okrzyki oburzenia.

- Czy przypuszcza pani, że powierzyłabym dzieci ciemnej Murzynce? - wykrzyknęła ta z Maine. - Chciałabym jakąś przyzwoitą irlandzką dziewczynę.

- Obawiam się, że nie znajdzie pani służących Irlandek w Atlancie! - odrzekła Scarlett bardzo chłodno. - Jeżeli o mnie chodzi, to nigdy w życiu nie widziałam białej służącej i nie

trzymałabym takiej w moim domu. Poza tym zaś - trudno jej było opanować sarkazm w głosie - zapewniam panią, że Murzyni nie są ludożercami i że są bardzo godni zaufania.

- Na Boga żywego! Nie wpuściłabym Murzyna do domu! Co za pomysł!

- Nie miałabym do nich najmniejszego zaufania, jeżeli zaś chodzi o powierzenie im moich dzieci...

Scarlett pomyślała o dobrych, sękatych dłoniach Mammy, zdartych w służbie Ellen, jej i Wade'a. Cóż wiedziały te obce kobiety o dłoniach Murzynek, o tym, jak były poczciwe i kojące, jak doskonale umiały pocieszać, głaskać, pieścić? Roześmiała się krótko.

- Dziwne, że panie tak myślą, skoro to wy właśnie daliście im wolność.

- O Boże! Przecież nie ja, droga pani - roześmiała się kobieta z Maine. - Nigdy nie widziałam Murzyna do chwili, gdy miesiąc temu przyjechałam na Południe, i doskonale się bez tego widoku mogę obejść. Napawają mnie wstrętem. Nigdy bym nie zaufała żadnemu z nich...

Scarlett zauważyła, że wuj Piotr od kilku chwil oddycha z trudem i że prostuje się coraz bardziej, patrząc bez przerwy na uszy konia. Baczniejszą uwagę zwróciła na niego wtedy dopiero, gdy kobieta z Maine nagle przerwała i pokazała go swoim towarzyszkom.

- Patrzcie, jak się ten stary czarnuch nadał - zachichotała. - Założę się, że to stary pani faworyt, co? Wy, południowcy, nie wiecie, jak traktować Murzynów. Psujecie ich tylko.

Piotr głośno przełknął ślinę i na pomarszczone czoło wystąpiły mu jeszcze głębsze zmarszczki, ale głowy nie odwrócił. Nigdy w całym swoim życiu nie słyszał w zastosowaniu do siebie słowa „czarnuch” z ust białego człowieka. Z ust innych Murzynów - tak. Z ust białego człowieka - nigdy. I żeby mówić o nim, że jest niegodny zaufania i że jest starym faworytem, on, Piotr, który przez długie lata był podporą całej rodziny Hamiltonów!

Scarlett bardziej czuła, niż widziała, że czarny podbródek Piotra trzęsie się z oburzenia i ogarnęła ją ślepa pasja. Z zimną wzgardą słuchała, gdy Jankeski obniżały wartość armii konfederackiej, rzucały kalumnie na Jeffa Davisa i oskarżały południowców o mordy i torturowanie niewolników. Gdyby miała z tego korzyść, zniosłaby zniewagi na temat swojej cnoty czy uczciwości. Ale świadomość, że obce kobiety obraziły swoimi głupimi uwagami wiernego Murzyna rozpałała ją jak lont przytknięty do barylki prochu. Przez chwilę popatrzyła na wielki pistolet przytroczony do pasa Piotra i zaświerzbiała ją ręką. Zasługiwałyby na to, by je zabić, te bezczelne, ciemne, aroganckie żony zwycięzców. Zagryzła jednak z całych sił wargi i przypomniała sobie, że jeszcze nie nadszedł czas, aby powiedzieć Jankesom, co o nich myśli. Kiedyś, w przyszłości, owszem. O tak, na Boga! Ale jeszcze nie teraz.

- Wuj Piotr jest członkiem naszej rodziny! - powiedziała drżącym głosem. - Do widzenia. Ruszaj, Piotrze!

Piotr dzielił konia batem tak niespodzianie, że przerażone zwierzę podskoczyło. W chwili gdy bryczka szarpnęła się naprzód, Scarlett usłyszała, jak kobieta z Maine mówi ze zdziwieniem w głosie: - Do jej rodziny? Czy przypuszczacie, że jest jej krewnym? Przecież on jest strasznie czarny...

„A niechże je licho! Jankesów powinno by się zmieść z powierzchni ziemi. Jak tylko będę miała dość pieniędzy, napluję im wszystkim w twarz! Tak...”

Spojrzała na Piotra i zobaczyła, że łza spływa po jego policzku. W jednej chwili fala czułości i żalu, że tak upokorzono starca, napędziła jej łzy do oczu. Czuła się tak, jak gdyby w jej obecności ktoś zachował się brutalnie w stosunku do dziecka. Kobiety te zadały ból Piotrowi - Piotrowi, który przeżył kampanię meksykańską ze starym pułkownikiem Hamiltonem, Piotrowi, na którego rękach umarł jego pan; który wychował Melę i Karola i opiekował się niezaradną, głupią Pittypat, bronił jej w czasie ucieczki i kupił konia, aby po kapitulacji przewieźć ją przez zniszczony kraj z Macon do Atlanty. A one twierdziły, że nie zaufałyby Murzynowi!

- Piotrze - powiedziała zdławionym głosem kładąc mu dłoń na ramieniu. - Wstyd mi za ciebie, że płaczesz. Dlaczego się tym przejmujesz? To przecież tylko wstrętne, podle Jankeski!

- Mówiły o mnie, jak gdybym był mułem i nie mógł ich zrozumieć, jakbym był z Afryki i nie rozumiał ludzkiej mowy - rzekł Piotr, mocno pociągając nosem. - I nazwały mnie „czarnuchem”, a jeszcze żaden biały człowiek tak mnie nie nazwał, i powiedziały, że jestem starym faworytem i że Murzynom nie można ufać! Mnie nie można ufać! A stary pułkownik, jak umierał, powiedział do mnie: „Słuchaj, Piotrze! Ty się opiekuj moimi dziećmi. Pilnuj panienki Pittypat, bo ona nie ma więcej rozumu niż motyl”. I ja się nią dobrze opiekowałem przez te wszystkie lata...

- Sam anioł Gabriel nie opiekowałby się lepiej - rzekła Scarlett pojednawczo. - Nikt z nas nie mógłby się obejść bez ciebie.

- Tak, proszę pani, dziękuję pani ślicznie. Ja to wiem i pani to wie, tylko ci Jankesi nie chcą nic o tym wiedzieć. Po co się oni wtrącają do naszych spraw, panienko? Nie rozumieją wcale nas, konfederatów.

Scarlett nic nie powiedziała, bo jeszcze palił ją gniew, którego nie chciała okazać trzem Jankeskom. Jechali dalej w milczeniu. Piotr przestał płakać, ale dolna warga zaczęła mu się wysuwać niepokojąco. Wzbierało w nim teraz oburzenie, gdy początkowa przykrość zaczęła

ustępować.

Scarlett myślała: „Jacyż przekłęcie dziwni ludzie z tych Jankesów! Te kobiety chyba rzeczywiście sądziły, że ponieważ wuj Piotr jest czarny, nie ma słuchu ani uczuć równie wrażliwych jak ich uczucia. Nie wiedzą, że Murzynów należy traktować łagodnie jak dzieci, że trzeba nimi kierować, chwalić ich, rozpieszczać, łajać. Nie rozumieją Murzynów ani stosunku między Murzynami a ich dawnymi panami. A przecież Jankesi stoczyli wojnę za ich wolność. Uwolniwszy ich zaś, nie chcą mieć nic z nimi do czynienia i tylko używają ich jako narzędzie terroru nad Południem. Nie lubią ich, nie mają do nich zaufania, nie rozumieją ich, a jednak stale wołają, że to południowcy nie umieją się z czarnymi obchodzić.

Nie ufać Murzynom! Scarlett ufała im daleko więcej niż większości białych, z pewnością zaś więcej niż Jankesom. Murzyni posiadali tak cenne zalety jak wierność i przywiązanie, których żadne przejścia nie mogły złamać, żadne pieniądze kupić. Pomyślała o garstce wiernych służących, pozostałych w Tarze w obliczu najazdu Jankesów, mimo że mogli uciec czy zaciągnąć się do wojaka i mieć zabezpieczony byt. Zostali jednak. Pomyślała o Dilcey, pracującej wraz z nią na plantacji, o Porku, który narażał życie okradając sąsiedzkie kurniki, aby domownicy mieli co jeść, o Mammy, która przyjechała z nią do Atlanty, aby powstrzymać ją od nierozważnego kroku. Pomyślała o służbie sąsiadów, która lojalnie trzymała się swoich państwa, opiekowała się kobietami, gdy mężczyźni byli na froncie, uciekała z nimi wśród niebezpieczeństw wojennych, pielęgnowała rannych, pocieszała osieroconych, pracowała, żebrała, kradła, byle było co do ust włożyć. I nawet teraz, mimo że Biuro Wyzwoleńców obiecywało im rozmaite cuda, Murzyni ci jeszcze nie opuszczali swoich dawnych chlebodawców i pracowali o wiele ciężiej niż dawniej, w czasach niewolnictwa. Jankesi jednak nie rozumieli tych rzeczy i nigdy zapewne nie potrafią ich zrozumieć.

- A przecież dali ci wolność - rzekła na głos.

- Nie, p'sze pani! Nie dali mi wolności. Nie dałbym się wyzwolić przez taką hołotę - rzekł Piotr z oburzeniem. - Ja jeszcze ciągle należę do panny Pitty, a kiedy umrę, ona mnie każe pochować w grobie rodzinnym państwa Hamiltonów, tam gdzie moje miejsce... Moja panienska pogniewa się bardzo, jak jej powiem, że mnie pani pozwoliła tak obrazić.

- Ależ nic podobnego! - wykrzyknęła Scarlett ze zdumieniem.

- A właśnie że tak - rzekł Piotr wysuwając wargę jeszcze bardziej naprzód. - Bo ani pani, ani ja nie potrzebujemy przestawać z Jankesami, żeby mnie obrażali. Gdyby pani z nimi nie mówiła, nie mieliby sposobności traktować mnie jak muła albo dzikusa z Afryki. I pani się za mną wcale nie ujęła.

- Jak Piotr może tak mówić! - rzekła Scarlett, dotknięta wymówkami. - Czy im nie

powiedziałam, że Piotr należy do rodziny?

- To nie znaczy, że się pani ujęła. To jest tylko fakt - rzekł Piotr. - Miss Scarlett, pani nie powinna zadawać się z Jankesami. Żadna pani nie zadaje się z nimi. Panna Pitty nawet by deptać me chciała po takiej hołocie. I na pewno nie będzie zadowolona, jak się dowie, co one powiedziały o mnie.

Krytyka Piotra ubodła Scarlett bardziej niż wszystko, co jej mówił Frank, ciotka Pitty czy sąsiedzi i tak ją rozgniewała, że miała ochotę potrząsnąć z całych sił starym Murzynem. To, co Piotr mówił, było prawdą, nieprzyjemnie jednak było ją słyszeć z ust Murzyna, i w dodatku starego sługi rodziny. Złe zdanie własnego służącego było dla południowca największym upokorzeniem.

- Stary faworyt! - mruczał Piotr. - Spodziewam się, że panna Pitty nie pozwoli mi więcej z panią jeździć po tym, co się stało. Nie, p'sze pani!

- Ciotka Pitty każe Piotrowi jeździć ze mną jak zwykle - rzekła surowo - więc lepiej nie mówmy o tym wcale.

- Bolać mnie plecy - ostrzegł Piotr posepnie. - Bolać mnie w tej chwili tak bardzo, że ledwie mogę usiedzieć na koźle. Moja panienka nie pozwoli mi powozić, kiedy mam bóle... Miss Scarlett, nic dobrego nie przyjdzie pani z tego, że będzie pani dobrze z Jankesami i z białą hołotą, kiedy swoi nie będą pochwalać pani postępów.

Słowa te tak dokładnie ujęły sedno rzeczy, że Scarlett pograżyła się znowu we wściekłym milczeniu. Tak, w przeciwieństwie do sąsiadów, zwyczajcy byli dobrego zdania o niej i jej rodzinie. Wiedziała o wszystkim, co mówiono o niej w mieście. A teraz nawet i Piotr tak ją potępiał, że nie chciał się z nią publicznie pokazywać. To przepełniło miarę.

Dotąd nie dbała wcale o opinię i nawet trochę nią gardziła. Słowa Piotra zbudziły w niej jednak głuchy żal, popchnęły do zajęcia stanowiska obronnego, sprawiły, że nagle zaczęła nienawidzić sąsiadów tak, jak nienawidziła Jankesów.

„Dlaczego interesują się tym, co ja robię? - myślała. - Wydaje im się pewnie, że sprawa mi przyjemność przestawanie z Jankesami i praca do zupełnego wyczerpania. Tylko mi utrudniają i tak ciężkie życie. Ale wszystko mi jedno, co sobie myślą. Nie chcę, aby mnie to obchodziło. Nie stać mnie na to, aby się tym teraz przejmować. Ale kiedyś... kiedyś...”

Och, kiedyś! Kiedy w świecie jej znowu zapanuje spokój i bezpieczeństwo, usiądzie sobie spokojnie, założy ręce i będzie wielką damą jak Ellen. Będzie znowu niezaradna i trwożliwa, jak przystało damie, i wtedy wszyscy będą o niej dobrego zdania. Och, jaka będzie dystygowana, gdy zdobędzie pieniądze! Wtedy będzie ją stać na to, aby być łagodną i miłą, jak Ellen, wtedy będzie się liczyła ze zdaniem ludzi i robiła tylko to, co wypada. Nie będą ją

trapiły strachy w dzień i w nocy i życie znowu stanie się spokojne i łatwe. Będzie miała czas na zabawę z dziećmi i na przesłuchiwanie ich z lekcji. Będzie wtedy wiele długich, ciepłych popołudni, kiedy panie będą przychodziły z wizytami i kiedy wśród szelestu taftowych halek i rytmicznych, suchych dźwięków wachlarzy z liści palmowych będzie podawała herbatę, wspaniałe kanapki i ciastka, i plotkowała całymi godzinami. Będzie dobra dla nieszczęśliwych, będzie zносиła biedakom koszyki jedzenia, chorym zupę i galaretkę i będzie „przewietrzała” w swoim powozie mniej zamożne od siebie znajome. Będzie znowu damą w prawdziwym południowym rozumieniu tego słowa, tak jak była jej matka. Wtedy wszyscy będą ją tak kochali jak niegdyś Ellen, będą sławili jej dobroć i nazywali „dobrą wrózką”.

Przyjemności, jaką jej sprawiały te myśli, nie zaćmiła refleksja, że wcale nie pragnęła być dobra, hojna i litościwa. Zależało jej tylko na opinii, że posiada te zalety. Tkanka jej mózgu była jednak zbyt gruba, zbyt twarda, aby wyczuwać tak subtelne różnice. Wystarczała jej myśl, że gdy będzie miała pieniądze, wszyscy nabiorą o niej dobrego zdania.

Kiedyś, kiedyś! Jeszcze nie teraz. Nie teraz, mimo wszystko, co ludzie zechcą o niej powiedzieć. Teraz nie miała czasu być wielką damą.

Piotr dotrzymał słowa. Ciotka Pitty przejęła się zajściem i zemdłała, a bóle Piotra tak się przez noc wzmogły, że przestał powozić bryczką. Odtąd Scarlett powoziła sama i nagniotki, które zaczęły już znikać z jej dłoni, odnowiły się znowu.

Tak mijały miesiące wiosenne - zimne deszcze kwietnia przemieniły się w ciepłą, balsamiczną majową pogodę. Tygodnie Scarlett pełne były pracy, kłopotów i zmęczenia z powodu zaawansowanej ciąży. Starzy znajomi stawali się coraz chłodniejsi, a rodzina coraz czulsza, coraz uporczywiej troskliwa i coraz bardziej ślepa na to, co ją niepokoi. W tych dniach niepokoju i wysiłku miała koło siebie tylko jednego zaufanego, rozumiejącego ją człowieka, człowiekiem tym zaś był Rett Butler. Dziwne było, że właśnie on taki się dla niej okazał, ponieważ był zmienny jak żywe srebro i dokuczliwy jak szatan z piekła. Okazywał jej jednak współczucie, jakiego dotąd od nikogo w świecie nie zaznała, najmniej zaś oczekiwała od niego.

Często wyjeżdżał z miasta do Nowego Orleanu, na tajemnicze wyprawy, o których celu nigdy jej nie mówił, choć ona domyślała się z pewnego rodzaju zazdrością, że pozostają w związku z kobietą - czy kobietami. Kiedy jednak wuj Piotr przestał jeździć ze Scarlett, Rett opuszczał Atlantę rzadziej i na krócej.

Kiedy był w mieście, spędzał przeważnie czas grając w karty w pokojach nad barem „Pod współczesną dziewczyną” lub w barze Belli Watling, pijąc z bogatszymi Jankeesami i Carpetbaggerami i omawiając z nimi interesy - co sprawiło, że ludność miasta zaczęła go

bardziej jeszcze nienawidzić niż jego kompanów. Nie odwiedzał teraz Scarlett w domu, szanując prawdopodobnie uczucia Franka i Pitty, którzy byliby, zgorzeleni, że mężczyzna ośmiela się zjawiać z wizytami, gdy Scarlett jest w odmiennym stanie. Spotykała go jednak przypadkiem prawie co dzień. Raz po raz podjeżdżał konno do jej bryczki, gdy jeździła do swoich tartaków pustą drogą za Brzoskwiniową, czy szosą do Decatur. Zawsze się zatrzymywał, czasem zaś przywiązywał konia do bryczki i sam woził Scarlett. Męczyła się w tym czasie szybciej, niż przyznawała to sama przed sobą, i czuła dla Retta milczącą wdzięczność, kiedy odbierał jej z rąk lejce. Żegnał się z nią przed powrotem do miasta, ale mimo to cała Atlanta wiedziała o tych spotkaniach, a plotkarze mieli nowe pozycje do wpisywania na długą listę jej wykroczeń przeciw temu, co wypada.

Scarlett zastanawiała się czasem, czy spotkania z Rettem były naprawdę przypadkowe. Stawały się częstsze w miarę mijania tygodni i wzmagania się w mieście niepokoju z powodu murzyńskich wykroczeń. Ale dlaczego starał się ją widywać teraz, gdy wyglądała tak potwornie? Z pewnością nie miał teraz wobec niej żadnych zamiarów, zaczynała nawet wątpić, czy miał je kiedykolwiek. Ani razu od wielu miesięcy nie wspomniał o przykrej scenie w więzieniu. Nigdy nie mówił o Ashleyu i jej miłości do niego ani nie robił niemiłych i brutalnych uwag o tym, że jej pożąda. Uważała, że lepiej jest za wiele nie pytać, nie prosiła go więc o wytłumaczenie przyczyny tych częstych spotkań. W końcu zaś zdecydowała, że ponieważ poza grą w karty Rett miał mało do roboty i dość niewiele miłych znajomych w Atlancie, widywał się z nią wyłącznie dla towarzystwa.

Niezależnie jednak od pobudek Retta, zadowolona była z tych spotkań. Rett słuchał jej narzekań na klientów i złych płatników, na drobne oszustwa Johnsona i niezaradność Hugona Elsinga. Cieszył się jej powodzeniem, podczas gdy Frank zaledwie uśmiechał się pobłaźliwie, a Pitty mówiła ze zdumieniem: „O Boże!”. Była pewna, że często poleca ją klientom, bo znał wszystkich bogatych Jankesów i Carpetbaggerów - on jednak nigdy nie chciał się przyznać, że jej pomaga. Znała go na wylot i nie ufała mu zanadto, ale poprawiał jej się nastrój, gdy widziała go wynurzającego się na wielkim czarnym koniu zza zakrętu cieniejszej drogi. Kiedy wdrapywał się na bryczkę, odbierał jej lejce i rzucał jakąś impertynencką uwagę, czuła się znowu młodą, wesołą i pociągającą - mimo wszystkich swoich kłopotów i zniekształconej figury. Mogła z nim rozmawiać prawie o wszystkim, nie troszcząc się o ukrywanie swoich intencji i prawdziwych poglądów, i nigdy nie brakło jej z nim tematu, jak z Frankiem - a nawet z Ashleyem, jeżeli już miała być ze sobą szczerą. W rozmowach z Ashleyem było tak wiele spraw, których nie należało poruszać ze względu na honor, że już to samo wstrzymywało od innych uwag. Bardzo przyjemnie było mieć takiego przyjaciela jak Rett,

zwłaszcza że teraz z niewiadomego powodu zaczął się dobrze w stosunku do niej zachowywać. Bardzo było przyjemnie, bo w tych czasach miała niewielu przyjaciół.

- Rett - zaczęła gwałtownie, wkrótce po ultimatum wuja Piotra - dlaczego ludzie w tym mieście traktują mnie tak podle i tak mnie obgadują? Nie wiadomo, kogo obgadują więcej, mnie czy Carpetbaggerów! Pilnuję tylko swoich własnych spraw i nic złego nikomu nie zrobiłam, a...

- Jeśliś nic złego nie zrobiła, to tylko dlatego, że nie miałaś sposobności i może ludzie zdają sobie właśnie z tego sprawę.

- Och, bądźże poważny! Tak mnie to gniewa. Staram się jedynie zarobić trochę pieniędzy i...

- Ale różnisz się od innych kobiet i pracujesz z powodzeniem. Jak ci już nieraz mówiłem, jest to niewybaczalny grzech w każdym społeczeństwie. Bądź różny, a jesteś potępiony! Scarlett, sam fakt, że prowadzisz tartak z powodzeniem, jest obelgą dla każdego mężczyzny, któremu źle się powodzi. Nie zapominaj, że miejsce dobrze wychowanej pani jest w domu i że nie powinna nic wiedzieć o tym twardym, brutalnym świecie.

- Ale gdybym siedziała w domu, nie miałabym już może w tej chwili domu!

- Wniosek z tego taki, że powinnaś była dostojnie i z dumą przymierać głodem.

- Och, zawracanie głowy! Popatrz jednak na panią Merriweather. Sprzedaje Jankesom ciasta, co jest gorszym zajęciem niż prowadzenie tartaku, pani Elsing zaś szyje i prowadzi pensjonat, a Fanny maluje okropną porcelanę, której nikt nie potrzebuje, ale którą kupują, aby jej pomóc...

- Kiedy to nie o to chodzi, moja jedyna. Tym damom nie powodzi się dobrze, więc nie ranią gorącej południowej dumy swoich mężczyzn. Mężczyźni mogą o nich mówić: „Biedne głuptaski, starają się, jak mogą! Niech się im wydaje, że pomagają rzeczywiście!” Poza tym zaś, panie, które wymieniłaś, są bardzo niezadowolone, że muszą pracować. Nie kryją się wcale z tym, że będą to robiły poty, póki nie nadarzy im się jakiś mężczyzna, który je wyzwoli od tych niekobiecych zadań. Wszyscy zatem litują się nad nimi. Ty jednak najwyraźniej lubisz pracować i nie dopuścisz żadnego mężczyzny do prowadzenia twoich interesów za ciebie, nikt więc nie może się litować nad tobą. Atlanta nie zapomni ci tego nigdy. Bardzo przyjemnie jest móc ludziom współczuć.

- Wolałabym, abyś czasem bywał poważny.

- Czy słyszałaś kiedy wschodnie przysłowie: „Psy szczekają, karawana idzie dalej”? Pozwól im szczekać, Scarlett. Zdaje mi się, że twojej karawany nic nie zatrzyma.

- Co im to jednak szkodzi, że trochę sobie zarabiam?

- Nie można mieć wszystkiego w życiu, Scarlett. Możesz albo zarabiać w swój obecny, nieodpowiedni sposób i spotykać się wszędzie z zimnymi spojrzeniami, albo być biedna, wytworna i otoczona przyjaciółmi. Ty dokonałaś już wyboru.

- Nie chcę być biedna - powiedziała pośpiesznie. - Ale... czy sądzisz, że wybrałam właściwie?

- Tak, jeżeli zależy ci na pieniądzach.

- Tak, pragnę pieniędzy bardziej niż cegokolwiek w świecie.

- Wobec tego dokonałaś jedyne go wyboru. Za to płaci się jednak drogo, jak za wszystkie rzeczy, których się bardzo pragnie, Ceną jest - osamotnienie.

Umilkli na chwilę. Było to prawdą. Była rzeczywiście trochę samotna, brakło jej kobiecego towarzystwa. Podczas wojny, gdy bywała w złym nastroju, jeździła z wizytami do Ellen. Po śmierci Ellen była przy niej Melania, choć z Melanią nic jej nie łączyło prócz ciężkiej pracy w Tarze. Teraz nie było nikogo, bo ciotka Pitty poza ciasnym kręgiem swoich plotek nic nie wiedziała o życiu.

- Myślę, myślę - zaczęła z wahaniem - że zawsze byłam samotna, jeżeli chodzi o towarzystwo kobiet. Nie tylko z powodu mojej pracy nie lubią mnie kobiety w Atlancie. Nie lubiłyby mnie i tak. Żadna kobieta nigdy mnie nie lubiła, z wyjątkiem matki. Nawet moje siostry. Nie wiem dlaczego, ale nawet przed wojną, zanim wyszłam za Karolka, panie kręciły nosem na wszystko, co robiłam...

- Zapominasz o pani Wilkes - rzekł Rett i oczy jego zaświeciły złośliwie. - Ona zawsze gotowa była kruszyć o ciebie kopie. Śmiem twierdzić, że wybaczyłaby ci wszystko, wyjąwszy może morderstwo.

Scarlett pomyślała ponuro: „Nawet i to wybaczyła” i roześmiała się wzgardliwie.

- Och, Mela! - zawołała, a potem z żalem: - To z pewnością nie przynosi mi zaszczytu, że Mela jest jedyną kobietą, która mnie lubi, bo ona ma nie więcej rozumu niż kura. Gdyby miała... - Przerwała z zakłopotaniem.

- Gdyby miała rozum, spostrzegłaby pewne rzeczy i nie mogłaby ich może tak łatwo wybaczyć - skończył za nią Rett. - Oczywiście, ty wiesz o tym więcej niż ja.

- Och, niech lichy porwie twoją dobrą pamięć i złe maniery!

- Pominę milczeniem ten niesprawiedliwy przytyk i wrócę do naszego poprzedniego tematu. Musisz się z tym pogodzić, Scarlett. Jeżeli jesteś inna, jesteś odosobniona nie tylko od swoich rówieśników, ale i od ludzi z pokolenia twoich rodziców, a także od pokolenia twoich dzieci. Nigdy cię nie zrozumieją i będą się zawsze gorszyli, cokolwiek byś zrobiła. Dziadkowie twoi jednak byłiby z ciebie dumni i mówiliby: „Oto nieodrodna nasza krew”,

wnukowie zaś twoi westchną z zazdrością i powiedzą: „Jakiż to numerek musiał być z tej babci”, i będą starali się być podobni do ciebie.

Scarlett roześmiała się ubawiona.

- Czasem mówisz jak z nut! Weźmy dla przykładu moją babcię Robillard. Mammy miała zwyczaj straszyć mnie nią, gdy byłam niegrzeczna. Babcia była zimna jak sople lodu i bardzo dbała o maniery swoje i innych, ale miała trzech mężów, mężczyźni stoczyli o nią niezliczoną ilość pojedynków, malowała się, nosiła bezwstydnie wydekoltowane suknie no... i... niezbyt wiele pod nimi...

- A ty bardzo ją podziwiałaś, mimo że gwałtownie starałaś się upodobnić do swojej matki. Ja ze strony ojca miałem dziadka, który był piratem.

- Naprawdę? Krwawym piratem?

- Zdaje mi się, że strącał ludzi do morza, jeżeli w ten sposób można było zdobyć pieniądze. W każdym razie zarobił tyle, że ojciec mój został bogatym człowiekiem. Rodzina jednak wspominała go zawsze bardzo ostrożnie jako „kapitana okrętu”. Został zabity w bójkę w szynku dawno przed moim urodzeniem. Śmierć jego stała się oczywiście wielką ulgą dla jego dzieci, bo stary pan bywał przeważnie pijany, a kiedy sobie podpiał, zapominał czasem, że jest byłym kapitanem okrętu, i snuł wspomnienia, od których dzieciom włosy stawały dęba. Ja mimo to podziwiałem go i starałem się go naśladować więcej niż ojca, bo ojciec mój jest wytwornym dżentelmenem o szacownych zwyczajach i nabożnych zasadach - widzisz więc, jak to się dzieje na świecie. Pewien jestem, że twoje dzieci, Scarlett, nie będą bardziej dla ciebie wyrozumiałe niż pani Merriweather, pani Elsing i im podobne. Dzieci twoje będą prawdopodobnie łagodnymi, potulnymi istotami, jak zwykle dzieci osób o twardych charakterach. Tym bardziej, że ty wzorem innych matek postanowiłaś zapewne, że nie powinny zaznać nigdy takich niepowodzeń, przez jakie ty przeszłaś. I to właśnie jest złe. Niepowodzenia tworzą ludzi albo ich łamią. Będziesz więc musiała poczekać na uznanie swoich wnuków.

- Ciekawam, jakie będą nasze wnuki!

- Czy przez „nasze” chcesz powiedzieć, że będziemy mieli wspólne wnuki? Pfe, pani Kennedy!

Scarlett zaczerwieniła się po uszy z powodu swego przemówienia się. Zawstydziała się nie tylko z powodu żartobliwych słów Retta, ale i dlatego, że nagle uświadomiła sobie swój stan. Żadne z nich nie wspomniało o tym ani słowem. Scarlett, kiedy była w towarzystwie Retta, podsuwała pled wysoko pod pachy nawet w upalne dni, pocieszając się w zwykły kobiecy sposób, że gdy tak jest okryta, nic nie widać, teraz więc ogarnęła ją złość, że jest w

ciąży, i wstyd, że Rett o tym wie.

- Zejdź z tej bryczki, ty obrzydliwco - powiedziała drżącym głosem.

- Nie mam najmniejszego zamiaru - odrzekł spokojnie. - Ściemni się, zanim dojedziesz do domu, a tu w pobliżu jest nowa kolonia Murzynów, zamieszkałych w namiotach i barakach nad najbliższym strumykiem, złych Murzynów, jak mi mówiono. Nie widzę potrzeby, abys dawała zapalczywym członkom Ku-Klux-Klanu powód do wkładania nocnych koszul i udawania się dziś w nocy na wyprawę.

- Zejdź w tej chwili! - zawołała ciągnąc za lejce, lecz w tej samej chwili ogarnęły ją mdłości. Rett wstrzymał szybko konia, podał jej dwie czyste chusteczki i dość zręcznie przechylił jej głowę nad bryczką. Promienie południowego słońca, padające skośnie przez świeżą zieleń drzew, na chwilę oślepiły ją aż do bólu plamami złota i zieleni. Kiedy atak mdłości minął, zakryła twarz rękoma i zaczęła płakać z upokorzenia. Nie tylko wymiotowała w obecności mężczyzny - co było najgorszą rzeczą, jaka może spotkać kobietę - ale tym samym odkryła nieprzyjemną prawdę o swoim stanie. Czuła, że nigdy w życiu nie będzie miała odwagi spojrzeć Rettowi w twarz. Że też musiało się to zdarzyć właśnie w obecności Retta, który nie miał żadnego szacunku dla kobiet! Płakała oczekując jakiejś brutalnej i ironicznej uwagi, której nie mogłaby mu nigdy zapomnieć.

- Nie bądź głupia - powiedział spokojnie. - A jesteś głupia, bo płaczesz ze wstydu. Słuchaj, Scarlett, nie bądź dzieckiem. Nie wątpisz chyba, że od dawna wiem o twojej ciąży.

Powiedziała „och” zdumionym głosem i mocniej przycisnęła palce do purpurowej twarzy. Samo to słowo już ją przeraziło. Frank o ciąży jej zawsze mówił z zakłopotaniem „twój stan”, Gerald był na tyle delikatny, że nazywał ciążę „błogosławionym stanem”, panie zaś między sobą mówiły elegancko, że któraś z nich jest „przy nadziei”.

- Jesteś dzieckiem, jeżeli wydawało ci się, że o tym nie wiem, chociaż się piekłaś pod tym grubym pledem. Wiem o tym od dawna. Po cóż bym inaczej ciągle ci...

Przerwał nagle. Zapadło milczenie. Podniósł lejce i cmoknął na konia. Mówił dalej ze spokojem i w miarę jak głos jego łagodnie dzwonił w jej uszach, rumieńce zaczęły znikać z jej pochylonej twarzy.

- Nie przypuszczałem, że się tak zawstydzisz, Scarlett. Wydawało mi się, że jesteś rozsądną osobą, i trochę się rozczarowałem. Czy to możliwe, aby tyle skromności kryło się w twojej piersi? Obawiam się, że nie zachowałem się jak dżentelmen wspominając tę sprawę. Wiem zresztą, że nie jestem dżentelmenem, bo nie odczuwam żadnego zakłopotania na widok kobiet w ciąży. Potrafię traktować je jak normalne istoty i widząc je nie patrzeć w ziemię, w niebo czy w przestrzeń, a potem rzucać za nimi te ukradkowe spojrzenia, które zawsze

uważałem za szczyt nieprzyzwoitości. Dlaczego miałbym to robić? Stan ten jest najzupełniej normalny. Europejczycy są daleko rozsądniejsi od nas pod tym względem. Winszują przyszłym matkom. Chociaż osobiście nie posunąłbym się aż tak daleko, uważam, że to rozsądniejsze od naszego udawania, że się tego nie widzi. Jest to stan normalny i kobiety powinny być z niego dumne, zamiast kryć się za zamkniętymi drzwiami jak po popełnieniu zbrodni.

- Dumne! -zawołała zdławionym głosem. - Dumne, pfe!
- Czy nie jesteś dumna z tego, że będziesz miała dziecko?
- Ach, na Boga, nie! Ja... ja... nie cierpię dzieci!
- Chcesz powiedzieć, dzieci Franka?
- Nie, nie, dzieci czyichkolwiek.

Na chwilę zrobiło jej się znowu słabo z powodu tego wyznania, głos Retta brzmiał jednak tak naturalnie, jak gdyby wcale tego nie zauważył.

- A zatem różnimy się bardzo. Ja lubię dzieci.
- Lubisz dzieci? - wykrzyknęła patrząc na niego z takim zdumieniem, że zapomniała o swoim zakłopotaniu. - Jak możesz tak kłamać!

- Lubię niemowlęta i małe dzieci, dopóki nie urosną, nie nabiorą dorosłego sposobu myślenia i dorosłego zamiłowania do kłamstwa, oszukiwania i podłości. To nie powinno cię wcale dziwić. Wiesz, że bardzo lubię Wade'a, mimo że jest niezupełnie taki, jaki powinien być.

To było prawdą, pomyślała Scarlett, nagle zdziwiona. Rett bardzo lubił bawić się z Wadem i często przynosił mu podarki.

- Teraz, kiedy ten straszny temat został wreszcie poruszony i przyznałaś się, że spodziewasz się dziecka w niedalekiej przyszłości, powiem ci coś, co chciałem ci powiedzieć od dawna - dwie rzeczy. Pierwsza, że niebezpieczne jest, abyś jeździła sama. Wiesz o tym zresztą. Mówiono ci to wiele razy. Jeżeli nawet nie boisz się, że ciebie skrzywdzą, mogłabyś się może zastanowić nad skutkami napaści na ciebie. Upór twój może wywołać taką sytuację, że twoi rycerscy współziomkowie będą cię musieli pomścić i zamordują kilku czarnych. To z kolei napędzi na nich Jankesów i ktoś prawdopodobnie zostanie powieszony Czy nie przyszło ci nigdy na myśl, iż jednym z powodów niechęci kobiet do ciebie może być to, że postępowanie twoje narazi na stryczek synów ich lub mężów? A jeżeli Ku-Klux-Klan nie przestanie się interesować Murzynami, Jankesi zaczną tak uciskać Atlantę, że rządy Shermana wydadzą się sielanką. Wiem, o czym mówię, bo dobrze żyję z Jankesami. Wstyd powiedzieć, ale uważają mnie za zaufanego i rozmawiają szczerze w mojej obecności. Mają zamiar

zniszczyć Ku-Klux-Klan, choćby to pociągnęło za sobą ponowne spalenie całego miasta i wywieszenie wszystkich mężczyzn powyżej lat dziesięciu. To zaś i ciebie dotknie, Scarlett. Narazi cię na straty materialne. I trudno przewidzieć, jak daleko rozszerzy się pożar raz wywołany. Konfiskaty majątków, wyższe podatki, grzywny na podejrzane kobiety. Ku-Klux...

- Czy znasz kogoś z członków Klanu? Czy Tomasz Wellburn, Hugon lub...

Wzruszył ramionami zniecierpliwiony.

- Skądże mam to wiedzieć? Jestem przecież renegatem, zdrajcą, Scallawagiem. Czy mnie powiedziano by o tym? Wiem jednak, kogo Jankesi podejrzewają, i wiem, że za pierwszym swoim nieostrożnym posunięciem ludzie ci będą zgubieni. Wiem dobrze, że nie miałabyś zmartwienia, gdyby sąsiedzi twoi z twojej winy znaleźli się na szubienicy, ale wydaje mi się, że nie chciałabyś stracić tartaków. Poznają po wyrazie zaciętości na twojej twarzy, że mi nie wierzysz i że słowa moje padają w próżnię. Jedyne więc, co mogę ci jeszcze poradzić, to abyś miała w pogotowiu pistolet, a kiedy ja będę w mieście, będę się starał być pod ręką, aby cię wozić.

- Rett, czy ty naprawdę... czy to aby mnie bronić...?

- Tak, moja droga, przysłowiowa moja rycerskość nakazuje mi ciebie bronić. - Drwiące ogniki ukazały się znowu w jego oczach, a powaga uleciała z twarzy. - A dlaczego? Z powodu mojej głębokiej miłości dla pani, pani Kennedy. Tak, tęskniłem w milczeniu i usychałem, i wielbiłem panią z daleka, ale będąc człowiekiem honoru jak szlachetny Ashley Wilkes, ukrywałem to przed panią. Jesteś, niestety, żoną Franka i honor nie pozwalał wyznać ci mojego uczucia. Podobnie jednak jak honor pana Wilkesa czasem zawodzi, tak i mój teraz nie wytrzymał próby i oto wyznaję ci swoją skrytą namiętność i swoją...

- Och, na miłość boską, uspokój się wreszcie! - przerwała Scarlett, zła jak zwykle, gdy pytaniem naraziła się na jego drwiny. Nie chciała też, aby osoba Ashleya stała się znowu tematem rozmowy. - Jaka jest ta druga rzecz, którą mi chciałeś powiedzieć?

- Co takiego? Zmieniasz temat, kiedy obnażam przed tobą kochające a rozdarte serce? A więc druga sprawa jest następująca. - Drwiące błyski znikły z jego oczu i twarz stała się znowu spokojna i posępna.

- Chcę, abyś zrobiła coś z tym koniem. Jest uparty, a pysk ma twardy jak żelazo. Kierowanie nim musi cię bardzo męczyć, prawda? Gdyby zaczął wierzgać, nie mogłabyś go z pewnością powstrzymać. A gdyby wyrzucił bryczkę do rowu, zabiłby ciebie i twoje dziecko. Powinnaś mu założyć mocniejsze wędzidło, najlepiej zaś pozwól, bym go zamienił na łagodniejszego, o delikatniejszym pysku.

Spojrzała na jego nieprzeniknioną, gładką twarz i nagle irytacja jej minęła, podobnie jak zakłopotanie po rozmowie o jej ciąży. Był bardzo pocziwy, że uspokoił ją kilka minut temu, gdy chciała się pod ziemię zapaść ze wstydu. Teraz zaś był jeszcze miłszy i pocziwszy. Poczła nagły napływ wdzięczności i zaczęła się dziwić, dlaczego Rett nie zawsze jest taki.

- Koń jest rzeczywiście trudny - zgodziła się łagodnie. - Czasem od szarpania bolą mnie przez całą noc ramiona. Zrób z nim, co uważasz za wskazane.

Oczy Retta błysnęły złośliwie.

- To brzmi bardzo słodko i bardzo kobieco, pani Kennedy. Bez śladu twego zwykłego despotycznego stylu. Zdaje mi się, że odpowiednie postępowanie przemieniłoby cię w istotę potulną jak baranek.

Nachmurzyła się i stała się zła.

- Zejdź w tej chwili z bryczki, bo cię zdzielę batem. Nie wiem, dlaczego się z tobą spotykam, dlaczego jestem dla ciebie miła. Jesteś zupełnie bez wychowania. Nie masz moralności. Jesteś zwyczajnym... Mniejsza z tym, zejdź stąd. Mówię poważnie.

Kiedy jednak zsiadł, odwiązał konia od bryczki i uśmiechając się do niej stał na cienistej drodze, nie mogła się powstrzymać i odjeżdżając uśmiechnęła się do niego także.

Tak, Rett był brutalny, był nierówny, nie można było na nim polegać i trudno było przewidzieć, kiedy tępa broń, którą mu się w niebacznej chwili dało do rąk, zmieni się w ostry sieczny miecz. Ale, trzeba to przyznać - był równie podniecający jak wypita ukradkiem szklanka koniaku!

Podczas owych miesięcy Scarlett nauczyła się pić. Kiedy po południu wracała do domu przemęczona, zboląła i połamana od długich godzin jazdy bryczką, podtrzymywała ją tylko myśl o butelce zamkniętej w szufladzie jej biurka i ukrytej przed podejrzliwym okiem Mammy. Doktor Meade zapomniał ją przestrzec, że kobieta w jej stanie nie powinna pić, bo nie przyszło mu na myśl, że przyzwoita dama może pijać rzeczy mocniejsze od wina owocowego, z wyjątkiem szklanki szampana na weselu lub gorącej nalewki podczas przeziębienia. Pewnie, że zdarzały się nieszczęśliwe niewiasty, które piły ku wiecznemu wstydowi swoich rodzin, podobnie jak spotykało się kobiety nienormalne, rozwiedzione czy takie, które wraz z Zuzanną Anthony uważały, że kobiety powinny głośować.

Ale doktor, chociaż bardzo krytycznie odnosił się do Scarlett, nie podejrzewał jej nigdy, że pije.

Scarlett odkryła jednak, że łyk czystego koniaku przed kolacją przynosi jej niesłychaną ulgę, tym bardziej że mogła żuć potem kawę lub płukać usta wodą kolońską, aby zatrzeć zapach alkoholu. Dlaczego ludzie mieli takie głupie poglądy na pijące kobiety, skoro

mężczyznom wolno pić, ile wlezie, i upijać się do nieprzytomności? Czasem, kiedy Frank leżał chrapiąc koło niej, a ona nie mogła zasnąć, tylko przewracała się po posłaniu rozdzierana obawą nędzy, strachem przed Jankesami, tęsknotą za Tarą i za Ashleyem, zdawało jej się, że zwariuje, i tylko koniak ją ratował. A kiedy przyjemne, znajome ciepło zaczynało się rozchodzić w jej żyłach, strapienia rozwiewały się od razu. Po trzech szklankach była w stanie powiedzieć sobie: „Pomyślę o tych sprawach jutro, kiedy będzie mi je łatwiej znieść”.

Zdarzały się jednak i takie noce, że koniak nie mógł ukoić bólu jej serca, bólu, który był mocniejszy nawet od obawy utracenia tartaków - bolesnej tęsknoty za Tarą. Atlanta ze swym rozgwarem, nowymi domami, obcymi twarzami, wąskimi, pełnymi koni, wozów i ciżby ludzkiej ulicami, czasem ją po prostu przytłaczała. Kochała Atlantę, ale... och, czegoż by nie dała za spokój i wiejską ciszę Tary, za widok czerwonych pól i ciemnych sosen dokoła! Och, wrócić do Tary, choćby życie tam było nie wiem jak ciężkie! Być blisko Ashleya, widzieć go, słyszeć jego głos, czerpać siłę z wiary w jego miłość! każdy list od Melanii z wiadomościami, że wszyscy miewają się dobrze, każda kartka od Willa - o oraniu, zasiewach, sadzeniu bawełny, potęgowały w niej pragnienie powrotu do domu.

„Pojadę do domu w czerwcu. Wtedy nie będę mogła nic tutaj robić. Pojadę do domu na kilka miesięcy” - myślała i serce jej rosło. Pojechała do domu w czerwcu, ale w niezupełnie takich okolicznościach, jakie sobie wymarzyła, ponieważ na samym początku miesiąca dostała krótkie zawiadomienie od Willa, że Gerald nie żyje.

ROZDZIAŁ XXXIX

Pociąg przybył z dużym opóźnieniem. Ciemnoniebieski zmierzch czerwcowy osnuwał okolice, kiedy Scarlett wysiadła w Jonesboro. W oknach sklepów i domów pozostałych w miasteczku widać było żółte płomyki lamp, było ich jednak niewiele. Na głównej ulicy, gdzie dawniej stały domy, teraz widniały szerokie szczyrby między budynkami. Zrujnowane budynki o podziurawionych od pocisków dachach i ścianach do połowy rozwalonych patrzyły na Scarlett milczące i ciemne. Pod drewnianym daszkiem składu Bullarda stało kilka koni i mułów. Czerwona zapylona jezdnia była pusta, w miasteczku słychać było tylko pohukiwanie i pijane śmiechy, które przez ciche powietrze płynęły z baru na drugim końcu ulicy.

Budynku stacyjnego nie odbudowano jeszcze od czasu spalenia go podczas wojny; na jego miejscu stała tylko drewniana szopa bez ścian, które by dawały ochronę przed wiatrem i deszczem. Scarlett usiadła pod tym dachem na jednej z pustych baryłek, które widocznie służyły tutaj za stołki. Zaczęła się rozglądać dokoła za Willem Benteenem. Powinien był już na nią czekać. Powinien był się domyślić, że przyjedzie pierwszym pociągiem po otrzymaniu wiadomości o śmierci Geralda.

Wyjechała w takim pośpiechu, że do małej torby podróżnej zdążyła włożyć tylko koszulę nocną i szczoteczkę do zębów, i nawet nie zabrała zmiany bielizny. Było jej niewygodnie w ciasnej czarnej sukni, którą pożyczyła od pani Meade, bo nie miała czasu sprawić sobie żałoby. Pani Meade była teraz szczupła, a że ciąża Scarlett była już zaawansowana, suknia obciskała ją bardzo. Mimo smutku z powodu śmierci Geralda pamiętała jednak o swoim wyglądzie i patrzyła z obrzydzeniem na swoje ciało. Straciła zupełnie figurę, miała spuchniętą twarz i kostki. Dotąd nie troszczyła się wcale o swój wygląd, teraz jednak, gdy za niecałą godzinę miała zobaczyć Ashleya, zaczęło jej na tym zależeć. Mimo bólu zastanawiała się, jak spojrzy mu w twarz nosząc dziecko innego mężczyzny. Kochała go i on ją kochał, a to dziecko, którego sobie nie życzyła, wydawało jej się dowodem zdrady. Ale chociaż nieprzyjemnie jej było, że zobaczy go w chwili, gdy jest niezgrabna i stąpa ociężale, nie mogła już tego teraz uniknąć.

Niecierpliwie stukwała nogą po podłodze. Will powinien był na nią czekać. Mogła oczywiście wstąpić do Bullarda i zapytać się o niego lub poprosić kogoś stamtąd, aby ją podwiózł do domu, gdyby się okazało, że Will nie mógł przyjechać. Nie chciała jednak iść do Bullarda. Była to sobota, więc zastałaby tam prawdopodobnie połowę znajomych z powiatu. Nie chciała pokazywać się w takim stanie i w tej źle leżącej sukni, która raczej podkreślała,

niż przysłała jej kształty. Nie chciała także usłyszeć słów współczucia, które by jej zaczęto wyrażać z powodu śmierci Geralda. Nie życzyła sobie współczucia. Bała się, że się rozplacze, jeżeli ktoś bodaj wspomni jego imię. Postanowiła zaś nie płakać. Wiedziała, że jeżeli przestanie nad sobą panować, będzie tak płakała jak owej okropnej nocy po upadku Atlanty, gdy Rett zostawił ją na ciemnej drodze za miastem, że będzie przelewała straszne, szarpiące serce łzy, których nie zdoła powstrzymać.

Nie, nie będzie płakała! Czowała, że znowu coś ją ściska za gardło, jak wiele razy od chwili otrzymania bolesnej wiadomości, płacz jednak nie zdałby się na nic. Tylko by ją osłabił i przygnębił. Dlaczego, ach, dlaczego nie napisały jej siostry, Melania czy Will, że Gerald niedomaga? Przyjechałaby pierwszym pociągiem, aby go doglądać, sprowadziłaby lekarza z Atlanty, gdyby zaszła tego potrzeba. Ci głupcy! Czy rzeczywiście nie potrafili niczego bez niej załatwić? Nie mogła być jednocześnie w dwóch miejscach, a Bóg jeden wie, że w Atlantie pracowała z całych sił - dla nich wszystkich.

Kręciła się niespokojnie na baryłce, coraz bardziej zdenerwowana, że Willa jeszcze nie widać. Gdzież się podziewa? Nagle usłyszała skrzypienie żwiru na torze za sobą i odwracając się zobaczyła Aleksa Fontaine'a kierującego się przez tor w stronę wozu, z workiem owsa na plecach.

- Na Boga! Czy to ty, Scarlett? - zawołał zrzucając worek i biegnąc w jej stronę z uśmiechem radości na zgorzkniałej, ogorzałej twarzy. - Tak się cieszę, że cię widzę. Widziałem Willa u kowala, konia tam podkuwa. Pociąg się spóźnił, więc wydawało mu się, że zdąży. Czy mam po niego pobiec?

- Tak, proszę cię bardzo - powiedziała uśmiechając się mimo smutku. Przyjemnie było widzieć znowu znajomą twarz.

- Och... hmmm... Scarlett - zaczął ze zmieszaniem, ciągle jeszcze trzymając jej rękę w swojej - szczerze ci współczuję z powodu śmierci ojca...

- Dziękuję ci - odrzekła żałując, że to powiedział. Słowa jego przywiodły jej jasno na pamięć rumianą twarz Geralda i jego gromki głos...

- Chcę ci jeszcze powiedzieć, Scarlett, że jesteśmy tutaj bardzo z niego dumni - ciągnął dalej Aleks opuszczając jej dłoń. - Umarł... uważamy, że umarł jak żołnierz na posterunku.

„Cóż on przez to rozumie - myślała ze zmieszaniem. - Jak żołnierz? Czyżby go ktoś zastrzelił? Czy zaplątał się, jak Tonio, w bójkę ze Scallawagami?” Nie chciała jednak nic więcej słyszeć. Rozplakałaby się mówiąc o ojcu, a nie chciała płakać, póki nie wsiądzie z Willem na wóz i nie wyjedzie za miasto, gdzie nikt obcy jej nie będzie widział. Will się nie liczył. Był dla niej bliski jak brat.

- Słuchaj, Aleks, ja nie chciałabym o tym mówić - powiedziała krótko.

- Nie mam ci tego wcale za złe, Scarlett - rzekł Aleks i ciemny rumieniec oburzenia oblał mu policzki. - Gdyby to była moja siostra, to... Scarlett, nigdy jeszcze nie powiedziałem ostrego słowa o żadnej kobiecie, uważam jednak, że ktoś powinien wysmagać Zuelę pasem rzemiennym.

„O czymże on teraz mówi? - zdziwiła się. - Co wspólnego ma z tym Zuela?”

- Wszyscy tutaj są niestety tego samego zdania. Will jest jedynym, który się za nią ujmuje... no i oczywiście pani Melania, ale ona jest świętą osobą i nikogo nie potrafi potępić.

- Powiedziałam ci już, że nie chcę o tym mówić - rzekła bardzo oschle, Aleks wcale się jednak nie obraził. Wydawało się, jak gdyby doskonale rozumiał jej nieuprzejmość, i to było najbardziej przykre. Nie chciała słyszeć krytyki swojej rodziny z ust obcego, nie chciała przyznać się przed nim, że nie wie, co się stało. Dlaczego Will nie podał jej dokładnie szczegółów?

Krępowало ją, że Aleks tak się jej przygląda. Czuła, że zauważył jej stan, i była z tego powodu bardzo zakłopotana. Aleks jednak, przypatrując się jej w mroku, myślał tylko, iż twarz Scarlett zmieniła się tak bardzo, że mógłby jej wcale nie poznać. Może to dlatego, że spodziewała się dziecka. Kobiety wyglądały strasznie w tym okresie. I, oczywiście, musiała się bardzo przejąć śmiercią starego pana O'Hary. Była jego ulubienicą. Ale nie, zmiana sięgała głębiej. Scarlett wyglądała właściwie lepiej, niż kiedy widział ją ostatnio. W każdym razie widać było, że się dobrze odżywia. Wyraz niepokoju ustąpił częściowo z jej oczu. Teraz oczy te, które dawniej wyrażały strach i rozpacz, były surowe. Nawet, kiedy się uśmiechała, twarz jej wyrażała pewność siebie, zdecydowanie i skupioną wolę. Stary Frank miał z nią pewnie niezbyt łatwe życie! Tak, zmieniła się bardzo. Była przystojną kobietą, to fakt, ale z twarzy jej znikła zupełnie śliczna, słodka miękkość, przestała też patrzeć na mężczyznę z wyrazem takiego podziwu, jak gdyby był samym Panem Bogiem!

Czy jednak nie zmienili się wszyscy ludzie dokoła? Aleks spojrzał na swoje kiepskie ubranie i znowu się nachmurzył. Czasem, gdy podczas bezsennych nocy zastanawiał się, skąd weźmie pieniędzy na operację matki, w jaki sposób opłaci nauki synka zmarłego swego brata Józefa i za co kupi drugiego muła, żałował, że wojna już się skończyła i że nie mogła trwać wiecznie. Nie zdawał sobie wtedy sprawy, jak byli szczęśliwi. W wojsku zawsze było coś do jedzenia, choćby tylko placki kukurydzowe, zawsze był ktoś, kto wydawał rozkazy. Nie miało się piekielnego poczucia, że człowiek stoi przed problemami nie do rozwiązania - w wojsku nie groziło nic prócz śmierci. Gnębiła go także sprawa Dimity Munroe. Chciał się z nią ożenić, ale wiedział, że nie stać go na to teraz, gdy ma już tyle osób na utrzymaniu. Kochał ją

od bardzo dawna, teraz zaś róże zaczęły już znikać z jej policzków, a wesołość z oczu. Gdybyż jeszcze Tonio nie musiał uciec do Texas! Obecność drugiego mężczyzny na plantacji uprościłaby wiele rzeczy. Jego miły zapalczywy braciszek był teraz gdzieś na Zachodzie, bez grosza przy duszy. Tak, zmienili się wszyscy dokoła. Ale czy można się było temu dziwić? Westchnął ciężko.

- Nie podziękowałem ci jeszcze za to, co oboje z Frankiem zrobiliście dla Tonia - powiedział. - To wy ułatwiście mu ucieczkę, prawda? Bardzo to było ładnie z waszej strony. Słyszałem okreśną drogą, że jest teraz bezpieczny w Texas. Bałem się pisać do was i pytać o to - ale czy pożyczycie mi pieniędzy? Chciałbym wam zwrócić...

- Och, Aleks, uspokój się, proszę! Nie teraz! - krzyknęła Scarlett. W danej chwili pieniądze nic dla niej nie znaczyły.

Zamilkł na chwilę.

- Poszukam ci teraz Willa - rzekł - jutro zaś zobaczymy się na pogrzebie.

Kiedy wziął na plecy worek owsa i odszedł, z bocznej ulicy wynurzył się chybotały wóz i ze skrzypem podjechał w ich kierunku. Will już z kozła wołał: - Przepraszam, że się spóźniłem, Scarlett!

Zszedłszy niezgrabnie z wozu, pokuśtykał ku niej i pochylając się pocałował ją w policzek. Nigdy dotąd tego nie robił i nigdy nie nazywał jej po imieniu, więc mimo że to Scarlett bardzo zdziwiło, rozgrzało jej serce i bardzo jej się spodobało. Podniósł ją ostrożnie na wóz - przyglądając się uważniej, przekonała się, że był to jeszcze ten sam wóz, którym uciekła z Atlanty. W jaki sposób wytrzymał tak długo? Will musiał go bardzo starannie naprawiać. Zrobiło jej się smutno, gdy przypomniała sobie tę straszną noc. Choćby miała chodzić boso i skąpić w domu jedzenia, postara się, aby Tarze kupić nowy wóz, a ten kazać spalić.

Will nic z początku nie mówił i Scarlett była mu za to wdzięczna. Rzucił swój zniszczony słomkowy kapelusz na dno wozu, cmoknął na konia i wolno ruszył. Will nic się nie zmienił, był tak samo jak dawniej chudy i niedbały, rudawy, o łagodnym spojrzeniu, cierpliwy jak zwierzę pociągowe.

Wyjechali z miasteczka i skręcili na czerwony gościniec do Tary. Błada różowość barwiła jeszcze brzegi horyzontu, a gęste pierzaste chmury brzeżone były złotem i najjaśniejszą zielenią. Spokój wiejskiego zmierzchu koił ich jak modlitwa. „Jakże mogłam wytrzymać przez tyle miesięcy - myślała Scarlett - bez zapachu wiejskiego powietrza i zaoranej ziemi, bez wonności letnich wieczorów?” Wilgotna czerwona ziemia pachniała tak dobrze, tak swojsko, tak przyjemnie, że miała ochotę zsiąść i nabrać jej w garść. Powoje gęsto

splątane nad rowami po obu stronach drogi pachniały po deszczu upajająco - była to woń najśłodsza w świecie. Nad głowami ich kołowały bez przerwy na chyżych skrzydłach stada jaskółek, a od czasu do czasu smyrzał przez drogę spłoszony królik, ruszając białym ogonkiem jak puszystym pomponem. Kiedy mijali zaorane pola, na których zielone krzaczki wystawały już wysoko nad ziemię, Scarlett stwierdziła z przyjemnością, że bawełna zapowiada się dobrze. Jakież to wszystko było piękne! Jasnoszare opary nad moczarami, czerwona ziemia i młoda bawełna, faliste pola o poprzecznych bruzdach, za nimi zaś ciemne sosny jak czarny mur... Jakże mogła tak długo wytrzymać w Atlancie?

- Scarlett, zanim opowiem ci wszystko o twoim ojcu - a chcę to opowiedzieć, nim zajedziemy do domu - chcę znać twoje zdanie w pewnej sprawie. Teraz ty jesteś przecież głową domu.

- O co chodzi, Willu?

Zwrócił na nią na chwilę spokojne, łagodne spojrzenie.

- Chciałem twojej zgody na moje małżeństwo z Zuelą. Scarlett chwyciła się rękami oparcia, tak zdumiona, że omal nie straciła równowagi. Małżeństwo z Zuelą? Nie przypuszczała, że ktokolwiek zechce się z nią ożenić, kiedy sama odbiła jej Franka Kennedy'ego. Któż mógłby chcieć Zuelę za żonę?

- Na Boga, Willu!

- A więc nie masz nic przeciwko temu?

- Przeciwno temu? Nie, ale... Ależ Will, dech mi po prostu zapało! Ty chcesz się ożenić z Zuelą? Will, ja zawsze myślałam, że kochasz się w Karinie.

Will patrzył na grzbiet konia i potrzasał lejcami. Profil jego nie drgnął, ale Scarlett wydało się, że westchnął leciutko.

- Może tak było - powiedział.

- No więc, czy ona ciebie nie chce?

- Nigdy jej o to nie pytałem.

- Och, Will, jesteś głupcem. Zapytaj ją o to. Warta jest dwa razy więcej od Zueli.

- Scarlett, nie wiesz o wielu rzeczach, które zaszły w Tarze. W ostatnich miesiącach nie darzyłaś nas swymi względami.

- Nie darzyłaś względami, co? - wybuchła. - A jak ci się zdaje, co robiłam w Atlancie? Rozjeżdżałam zapewne czwórka koni i chodziłam na bale? Czy nie przysyłam ci pieniędzy co miesiąc? Czy nie zapłaciłam podatków, nie dałam na naprawienie dachu, nie kupiłam nowego pługa i mułów? Czy nie...

- No, nie unós się i nie folguj swojej irlandzkiej naturze - przerwał jej niewzruszenie. -

Nikt lepiej ode mnie nie wie, ile zrobiłaś. To była robota dla dwóch mężczyzn.

Trochę udobruchana, zapytała; - No więc, co masz na myśli?

- Dałaś nam po prostu dach nad głową i żywność w spiżarni, temu wcale nie przeczę, ale nie zastanawiałaś się wcale, jakie myśli chodzą po głowach ludzi w Tarze. Nie potępiam cię, Scarlett. To już taki twój zwyczaj. Nigdy się nie przejmowałaś tym, co się dzieje w ludzkich sercach. Chcę ci wytłumaczyć, że nigdy nie prosiłem Kariny o rękę, bo wiedziałem, że to się na nic nie zda. Odnosiła się do mnie jak młodsza siostra i mam wrażenie, że jest ze mną szersza niż z kimkolwiek innym na świecie. Nigdy jednak nie przeboleła śmierci tego chłopca i już nie przeboleje. I wolę ci to od razu powiedzieć: zamierza wstąpić do klasztoru w Charlestonie.

- Cóż to za kpiny?

- Wiedziałem, że cię to zdziwi, więc chcę cię poprosić, Scarlett, abyś się jej nie sprzeciwiała ani jej nie łajała i nie wyśmiewała się z niej. Niechaj to zrobi. Niczego więcej teraz nie pragnie. Ma złamane serce.

- Ale do stu piorunów! Niejedna osoba ma złamane serce, a nie ucieka zaraz do klasztoru. Popatrz choćby na mnie. Straciłam męża.

- Ale nie miałaś złamanego serca - powiedział Will spokojnie i podniósłszy źdźbło słomy z dna wozu, wziął je do ust i zaczął wolno żuć. Słowa jego pozbawiły Scarlett pewności siebie. Jak zwykle, kiedy słyszała prawdę, choćby bardzo nieprzyjemną, tak i teraz wrodzona uczciwość zmusiła ją do przyznania się przed samą sobą, że Will ma słuszość. Nic przez chwilę nie mówiła, starając się zżyć z myślą, że Karina będzie zakonnica.

- Przyrzeknij mi, że nie będziesz z niej kpila.

- Och, dobrze już, przyrzekam ci - i potem spojrzała na niego nowymi oczami, z pewnym zdziwieniem. Will kochał Karinę, kochał ją jeszcze i teraz tak bardzo, że wstawiał się za nią i w miarę możliwości pragnął jej ułatwić wycofanie się z życia świeckiego. I mimo to chciał poślubić Zuelę...

- Dobrze, a cóż to znowu za sprawa z Zuelą? Nie kochasz jej przecież, prawda?

- Ależ tak, owszem, do pewnego stopnia - rzekł wyjmując z ust słomkę i przypatrując się jej z wielkim zaciekawieniem. - Zuela nie jest tak zła, jak sądzisz, Scarlett. Wydaje mi się, że będzie nam ze sobą dobrze. Trzeba jej po prostu męża i dzieci, tak samo zresztą jak każdej innej kobiecie.

Wóz podskakiwał po wyboistej drodze. Przez kilka minut zupełnego milczenia Scarlett rozmyślała z natężeniem. Musiała być jeszcze jakaś głębsza przyczyna, głębsza i ważniejsza, że łagodny, spokojny Will postanowił się ożenić z płacziwą grymaśnicą, jaką była Zuela.

- Nie podałeś mi prawdziwej przyczyny tego postanowienia, Will. Jestem teraz głową rodziny i mam prawo wiedzieć.

- To prawda - rzekł Will - ale wydaje mi się, że mnie zrozumiesz. Nie mogę porzucić Tary. To jest teraz mój dom, Scarlett, jedyny prawdziwy dom, jaki miałem. Kocham tutaj każdą piędź ziemi. Pracowałem tutaj jak na swoim. A kiedy człowiek pracuje koło czegoś, zaczyna to kochać. Czy rozumiesz, co mam na myśli?

Zrozumiała go doskonale i serce jej wezbrało uczuciem dla niego, gdy usłyszała, że i on kocha tak bardzo to, co dla niej było najdroższe w świecie.

- I wyobrażam to sobie tak. Ponieważ ojciec twój umarł, a Karina wstępuje do klasztoru, ja zostaję tutaj sam z Zuelą, nie mógłbym więc mieszkać w Tarze nie żeniąc się z nią. Wiesz przecież, jak ludzie gadają.

- Ależ, Willu, jest przecież jeszcze Melania i Ashley...

Na dźwięk imienia Ashleya odwrócił się i popatrzył na nią, a blade jego oczy były nieprzeniknione. Odezwało się w niej dawne przekonanie, że Will wie wszystko o niej i o Ashleju, że wszystko rozumie i ani nie krytykuje tego, ani nie pochwała.

- Oni wkrótce stąd wyjadą.

- Wyjadą? Dokąd? Tara jest ich domem tak samo jak twoim.

- Nie, nie jest ich domem. To właśnie gnębi Ashleya. To nie jego dom; a poza tym Ashley ma poczucie, że nie zarabia na swoje utrzymanie. Jest bardzo złym farmerem i wie o tym. Stara się, jak może najlepiej, ale nie został stworzony do gospodarowania na roli - zresztą wiesz o tym równie dobrze jak ja. Kiedy rąbie drwa na opał, zacina się zawsze to w rękę, to w nogę. Nie lepiej potrafi orać niż mały Beau i to, czego nie wie o sadzeniu i sianiu, wypełniłoby całe tomy. To nie jego wina. Nie był na rolnika chowany. Martwi się więc bardzo, że chociaż jest mężczyzną, mieszka w Tarze na łasce kobiety i tak mało daje w zamian.

- Na łasce? Czy powiedział kiedyś...

- Nie, nigdy nie powiedział ani słowa. Znasz Ashleya. Ja jednak wiem. Wczoraj, kiedy czuwaliśmy przy twoim ojcu, powiedziałem mu, że poprosiłem Zuelę o rękę i że się zgodziła wyjść za mnie. Wtedy Ashley odrzekł, że to mu ułatwia sytuację, bo czułby się podle, zostając dłużej w Tarze, a wiedział, że musiałby tu zostać z panią Melą po śmierci pana O'Hary, aby ludzie nie gadali na mnie i na Zuelę. I powiedział mi jeszcze, że ma zamiar wyjechać z Tary i poszukać pracy.

- Pracy? Jakiego rodzaju? Gdzie?

- Nie wiem dokładnie, co ma zamiar robić, ale powiedział mi, że chce wyjechać na

Północ. Ma przyjaciela Jankesa w Nowym Jorku i ten mu napisał, że mógłby tam pracować w banku.

- Ach, nie! - wydarł się Scarlett okrzyk z głębi serca. Will rzucił jej takie samo spojrzenie jak poprzednio.

- Może to by było i lepiej, gdyby wyjechał na Północ.

- Nie! Nie! Wcale tak nie uważam!

Mózg jej zaczął pracować gorączkowo. Ashley nie może jechać na Północ! Mogłoby się zdarzyć, że nigdy by go więcej w życiu nie zobaczyła. Mimo że nie widziała go od wielu miesięcy i nie mówiła z nim sam na sam od owej pamiętnej rozmowy w sadzie, nie było dnia, aby nie myślała o nim, aby nie czuła zadowolenia, że jest bezpieczny pod jej dachem. Kiedy posyłała pieniądze Willowi, rada była, że w ten sposób ułatwia Ashleyowi życie. „Pewnie, że nie umiał gospodarować. Przeznaczony był do czegoś lepszego - myślała z dumą. - Przeznaczony był do rządzenia, do życia w pałacu, jeżdżenia konno, czytania poezji i wysługiwania się Murzynami. Nie zmieniła tego okoliczność, że teraz nie było pałaców ani koni, niewolników ani książek. Ashley nie nadawał się do orania ziemi i rąbania drew. Nic dziwnego, że chciał wyjechać z Tary”.

Nie mogła jednak dopuścić, aby wyjechał z Georgii. Jeżeli zajdzie tego potrzeba, poprosi Franka, aby dał mu zajęcie w sklepie, wpłynie, aby wymówił chłopcu, który pełnił obowiązki subiekta. Ach, nie, skądże znowu! - miejsce Ashleya nie było za ladą, jak nie było za pługiem. Wilkes subiektem! Och, nigdy! Musi znaleźć coś innego... Ależ oczywiście! Jej tartak. Ulga, jaką sprawiła jej ta myśl, była tak wielka, że uśmiechnęła się do siebie. Czy jednak Ashley zgodzi się na tę propozycję? Czy może będzie znowu myślał, że to łaska? Musi to tak urządzić, aby się wydawało, że to on jej robi grzeczność. Odprawi Johnsona i zrobi Ashleya zarządzającym starego tartaku, a Hugon będzie zarządzał nowym. Wy tłumaczy mu, że słabe zdrowie i nawał zajęć w sklepie nie pozwalają Frankowi na pomaganie jej, i zasłoni się swoim stanem jako jeszcze jedną przyczyną, dla której jego pomoc jest jej potrzebna.

Postara się dać mu jakoś do zrozumienia, że w tym okresie swego życia nie będzie się mogła obyć bez jego opieki. I da mu udział w tartaku, jeżeli zgodzi się przyjąć - zrobi wszystko, byle mieć go przy sobie, byleby móc czasem widzieć uśmiech rozjaśniający mu twarz czy wymowne spojrzenie, świadczące, że jeszcze ją kocha. Ale, przyrzekła sobie, nigdy; nigdy już nie będzie się starała sprowokować go do wyznań miłosnych ani doprowadzić do odrzucenia precz tego głupiego honoru, który sobie cenił więcej niż miłość. Będzie musiała go w jakiś sposób delikatnie powiadomić o tym nowym postanowieniu. W przeciwnym razie mógłby jej odmówić z obawy przed drugą, podobną do tamtej sceną.

- Postaram się znaleźć Ashleyowi zajęcie w Atlancie - powiedziała.

- No, to już sprawa twoja i Ashleya - rzekł Will i znowu wziął słomkę do ust. - Ruszaj, Sherman. I jeszcze coś, Scarlett: chciałbym cię jeszcze o coś poprosić, zanim opowiem ci o śmierci ojca. Nie chcę, abyś gromiła Zuelę. To, co zrobiła, już się stało i żadne zmywanie jej głowy nie wskrzesi pana O'Hary. Ponadto zaś... była przekonana, że postępuje właściwie.

- Chciałam cię właśnie o to zapytać. Co to za sprawa z Zuelą? Aleks powiedział coś zagadkowego i twierdził, że należałoby ją wysmagać. Co ona zrobiła?

- Tak, ludzie są tu bardzo źli na nią. Każdy, kogo dzisiaj spotkałem w Jonesboro, zapewniał, że się jej za następnym widzeniem nie ukloni, ale może im to przejdzie. A więc przyrzeknij mi, że nie będziesz na nią krzyczała. Nie życzę sobie kłótni, dziś wieczorem, kiedy pan O'Hara leży martwy w salonie.

„On nie życzy sobie kłótni! - pomyślała Scarlett z oburzeniem. - Mówi już tak, jak gdyby Tara należała do niego!”

I nagle pomyślała o leżącym w salonie Geraldzie i zaczęła gorzko płakać i szlochać. Will otoczył ją ramieniem i przyciągnął blisko do siebie, ale nic nie powiedział.

W miarę jak z wolna posuwali się po ciemnej drodze, Scarlett opartej o ramię Willa zacierał się obraz Geralda z ostatnich dwóch lat, pomyłonego starca, który wpatrywał się w drzwi i wyczekiwał osoby dawno zmarłej. Przypominała sobie pełnego wigoru starszego pana o rozwianej siwej czuprynie, jego głośną wesołość, ciężkie kroki, niezręczne dowcipy, wielką hojność. Przypominała sobie, jak to w dzieciństwie wydawał jej się najdoskonalszym człowiekiem na ziemi, ten ojciec-zawadiaka, który brał ją przed siebie na siodło, gdy przeskakiwał przez płoty, który krzyczał na nią i dawał jej klapsy, gdy była niegrzeczna, a potem płakał z nią razem i darowywał jej kilkanaście centów, aby się uspokoiła. Przypominała sobie, jak wracał z Charlestonu czy Atlanty, obładowany podarkami, które zawsze były nieodpowiednie, przypominała, uśmiechając się blado przez łzy, jak o świcie wracał do domu z sesji sądowych w Jonesboro, pijany jak bela, skacząc przez płoty jak diabeł i śpiewając na głos „Zielony nasz sztandar”. I z jakim zawstydzieniem patrzył na Ellen następnego rana. Tak, teraz już połączył się z Ellen...

- Dlaczego nie napisałeś mi, że ojciec jest chory? Przyjechałabym natychmiast...

- Nie był chory ani chwili. Czekał, kochanie, weź moją chustkę, a wszystko ci opowiem.

Wytarła nos w wielką perkalową chustkę Willa i znowu oparła się na jego ramieniu. Jaki on był miły. Nic go nie wyprowadzało z równowagi.

- A więc to było tak, Scarlett. Za pieniądze, które nam przysłałaś, zapłaciliśmy z

Ashleyem podatki, kupiliśmy muła, nasiona i różne jeszcze rzeczy, parę świń i trochę drobiu. Pani Mela doskonale się zajmuje kurami, tak, doskonale. To dobra kobieta, ta pani Mela. Mniejsza jednak z tym. Kiedyśmy już wszystko do Tary kupili, jasne, że nic nie zostało na fatalaszki, ale nikt się na to nie skarżył. Jedna tylko Zuela. Pani Melania i Karina siedzą w domu i noszą stare suknie, jak gdyby były z nich dumne, ale znasz Zuełę, Scarlett. Dotąd nie przyzwyczała się obchodzić bez szmatek. Musiałem jej pakować do głowy, żeby kładła stare suknie, ilekroć jechała ze mną do Jonesboro czy Fayetteville. Grymasiła tym bardziej, że niektóre z żon tych Carpetbaggerów zawsze się puszą wystrojone. A żony tych przeklętych Jankesów, którzy prowadzą Biuro Wyzwoleńców, te ci się dopiero stroją! Wobec tego panie z całego powiatu postawiły sobie za punkt honoru, że do miasta będą brały najgorsze suknie, aby wszystkim pokazać, że nie dbają o to i że są z nich dumne. Tylko Zuela nie chciała tego robić. I chciała mieć powóz i konia, tym bardziej że ty masz powóz.

- To nie powóz, tylko stara bryczka! - zawołała Scarlett z oburzeniem.

- No, wszystko jedno. Muszę ci zresztą powiedzieć, że Zuela nie przebaczyła ci, żeś wyszła za Franka Kennedy'ego, i nie wiem, czy można to jej mieć za złe. Wiesz sama, że to było wielkie świństwo w stosunku do własnej siostry.

Scarlett podniosła głowę, rozwścieczona jak zmija, gotowa ukąsić.

- Wielkie świństwo, co? Wolałabym, żebyś się trochę grzeczniej wyrażał, Willu! Cóż miałam na to poradzić, że Frank wolał mnie od Zueli?

- Jesteś mądra, Scarlett, i wydaje mi się, że gdybyś chciała, tobyś mogła. Kobiety zawsze to potrafią. Zdaje mi się, że to właśnie ty go w sobie rozkochałaś. Jesteś bardzo czarującą osobą, jeżeli chcesz. Ale tak czy inaczej, Frank był wielbicielem Zueli. Miała nawet od niego list na tydzień przed twoim wyjazdem do Atlanty; w liście tym był słodki jak cukier i pisał, że chciałby się z nią pobrać, jak tylko zbierze trochę pieniędzy. Wiem, bo pokazywała mi list.

Scarlett umilkła, bo czuła, że Will mówi prawdę, i nie przychodziła jej na myśl żadna odpowiedź. Nigdy nie przypuszczała, że właśnie Will będzie ją krytykował. Tym bardziej, że kłamstwo, którym zdobyła Franka, nigdy zbytnio nie ciążyło na jej sumieniu. Jeżeli dziewczyna nie umie utrzymać wielbiciela, zasługuje na to, aby go stracić.

- Słuchaj, Will, nie bądź niesprawiedliwy - powiedziała. - Gdyby Zuela wyszła za Franka, nie dałaby grosza ani na Tarę, ani dla nikogo z nas.

- Powiedziałem ci, że umiesz być bardzo czarująca, jeżeli chcesz - rzekł Will zwracając się ku niej ze spokojnym uśmiechem, - Nie, nie przypuszczam, aby Zuela chciała nam pomagać. Mimo to zrobiłaś świństwo; jeżeli uważałaś, że cel uświęca środki, nie moja to

sprawa i nie moja rzecz ciebie osądzać. Zuela jednak stała się od tego czasu zła jak szerszeń. Nie sądzę, aby bardzo kochała starego Franka, ale zraniło to jej próżność i często powtarzała, że ty masz konie i powóz i mieszkasz w Atlancie, a ona zakopana jest w Tarze. Lubi jeździć z wizytami i na przyjęcia i, jak wiesz, lubi się stroić. Nie mam jej tego za złe. Wszystkie kobiety są takie same. A więc jakiś miesiąc temu zabrałem ją do Jonesboro. Ona poszła z wizytami, a ja załatwiałem interesy; kiedy wracaliśmy, siedziała cicho jak mysz pod miotłą, ale zauważyłem, że jest bardzo podniecona. Myślałem, iż dowiedziała się, że jakaś znajoma spodziewa się... że słyszała jakieś interesujące plotki, i nie zwracałem na nią wielkiej uwagi. Przez tydzień chodziła po domu zaabsorbowana czymś i podniecona i bardzo mało mówiła. Potem pojechała z wizytą do pani Kasi Calvert - Scarlett, płakałabyś, gdybyś widziała panią Kasię. Biedna kobieta, lepiej by dla niej było umrzeć niż wyjść za tego podłego Jankesa, Hiltona. Czy wiesz, że nie może spłacić hipoteki, którą wziął na majątek, i że będą się musieli z niego wynosić?

- Nie, nie wiedziałam i nic mnie to teraz nie obchodzi. Chcę, abys mi opowiedział o ojcu.

- No więc, zaraz, właśnie do tego zmierzam - rzekł Will cierpliwie. - Kiedy Zuela wróciła stamtąd, powiedziała, że my wszyscy nie doceniamy Hiltona. Mówiła o nim „pan Hilton” i że to taki mądry człowiek, ale myśmy się z niej tylko śmieli. Potem zaczęła twego ojca wyprowadzać na przechadzki po obiedzie i często, kiedy wracałem z pola, widziałem, jak siedzą na murku cmentarnym i jak Zuela przekonuje go z zapalem i wymachuje rękami. A stary pan patrzył na nią w zdumieniu i potrząsał głową. Wiesz, jaki był ostatnio, Scarlett. Był coraz mniej przytomny, jak gdyby nie wiedział wcale, kim jest i kim my jesteśmy. Pewnego razu widziałem, jak Zuela wskazuje na grób waszej matki - pan O'Hara zaczął wtedy płakać. A kiedy Zuela wróciła do domu, zadowolona i podniecona, zbeształem ją mocno i powiedziałem: „Panno Zuelo, dlaczego, u diabła, denerwuje pani swego biednego ojca i przypomina mu matkę? On wcale nie pamięta, że matka nie żyje, a pani mu właśnie o tym mówiła”. A ona tylko podniosła głowę do góry, roześmiała się i rzekła: „Niech się pan nie wtrąca w nie swoje sprawy. Przyjdzie czas, że będziecie mi wdzięczni za to, co zrobiłam”. Pani Melania powiedziała mi wczoraj, że Zuela mówiła jej o swoich zamysłach, ale nie przypuszczała wtedy, że Zuela mówi serio. Powiedziała, że nic nikomu o tym nie mówiła, bo zmartwiła się bardzo tym pomysłem.

- Jakim pomysłem? Czy nigdy nie zaczniesz mówić do rzeczy? Przejechaliśmy już połowę drogi do domu. Chcę wiedzieć, co się stało z ojcem.

- Przecież opowiadam ci o tym - rzekł Will - ale jesteśmy tak blisko domu, że lepiej,

jeżeli się tutaj zatrzymam, póki nie skończę mówić.

Ściągnął lejce, koń zatrzymał się i parsknął. Przystanęli koło żywopłotu z bzów włoskich, ograniczającego ogród MacIntoshów. Patrząc przez gęstwinę ciemnych drzew Scarlett mogła odróżnić w mroku zarysy kominów, sterczących nad zastygłą w milczeniu ruiną. Żałowała, że Will nie zatrzymał się w innym miejscu.

- Otóż Zuela wpadła na pomysł, aby Jankesi zapłacili nam za spaloną bawełnę, za zabrane bydło i za zburzone płoty i stodoły.

- Jankesi?

- Czy nie słyszałaś nic o tym? Rząd jankeski płaci odszkodowanie za straty wojenne wszystkim zwolennikom Unii na Południu.

- Rozumie się, że słyszałam - rzekła Scarlett. - Co to ma jednak z nami wspólnego?

- Zuela uważała, że bardzo dużo. Tego dnia, kiedy ją zabrałem do Jonesboro, spotkała panią MacIntosh. W czasie rozmowy Zuela zauważyła, że pani Macintosh ma piękną suknię, więc zapytała, skąd ją wzięła. Wtedy pani MacIntosh zaczęła się bardzo puszyć i odpowiedziała, że jej mąż dostał odszkodowanie od rządu federalnego za zniszczenie mu majątku, bo był lojalnym stronnikiem Unii, który nigdy w żadnej formie nie popierał Konfederacji.

- Nigdy nie popierał nikogo - warknęła Scarlett. - Pół Szkot, pół Irlandczyk!

- No, może i prawda. Nie znam tych ludzi. W każdym razie dostali od rządu już nie wiem ile tysięcy dolarów. Bardzo okrągłą sumkę, to pewne. To zastanowiło Zuelę. Myślała o tym przez cały tydzień, ale nam nic nie mówiła, bo wiedziała, że ją wyśmiejemy. Musiała jednak z kimś porozmawiać, więc pojechała do pani Kasi, i ten przekłety łotr Hilton poddał jej nową myśl. Przypomniał jej, że ojciec wasz nie urodził się w Ameryce, że nie brał udziału w wojnie, że nie miał na wojnie synów i że nie piastował żadnego urzędu za Konfederacji. Powiedział, że można by może uznać pana O'Hare' za lojalnego stronnika Unii. Podburzył ją takimi głupstwami, więc po przyjeździe do domu zaczęła urabiać pana O'Hare'. Scarlett, załóż się, o co chcesz, że ojciec twój nie wiedział nawet, o czym ona mówi. Zuela na to właśnie liczyła - że złoży Żelazną Przysięgę i nawet nie będzie wiedział, co robi.

- Papa miałby złożyć przysięgę! - wykrzyknęła Scarlett.

- Przecież w ostatnich miesiącach bardzo słabo się już orientował i sędzę, że Zuela na to liczyła. Nie zapominaj, że nikt z nas niczego nie podejrzewał. Wiedzieliśmy, że coś knuje, ale nie mogliśmy przypuszczać, iż użyje imienia waszej zmarłej matki, aby mu robić wymówki, że córki jego chodzą w łachmanach, chociaż może wydestać od Jankesów sto pięćdziesiąt tysięcy dolarów.

- Sto pięćdziesiąt tysięcy dolarów - wyszeptała Scarlett i oburzenie jej trochę osłabło.

Ileż to było pieniędzy! I można je było otrzymać za pomocą głupiego podpisu przysięgi poddańczej dla rządu Stanów Zjednoczonych, stwierdzającej, że podpisany zawsze popierał Unię i nie wspomagał ani nie wspierał jej nieprzyjaciół. Sto pięćdziesiąt tysięcy dolarów! Tyle pieniędzy za tak małe kłamstwo! Wobec tego zupełnie nie mogła potępić Zuela. Na Boga! Czy to miał na myśli Aleks mówiąc, że należy jej się wysmaganie pasem? Dlaczegoż by ludzie mieli przestać jej się kłaniać? Jakaż to banda głupców! Ileż by mogła zrobić z taką sumą pieniędzy! Jakżeby się te pieniądze przydały wszystkim ludziom z powiatu! I cóż znaczyło wobec tego to małe kłamstwo? Ostatecznie, wszystko, co można było wydostać od Jankesów, było jak wygrane, a sposób wydostania nie miał najmniejszego znaczenia.

- Wczoraj koło południa, kiedyśmy z Ashleyem rąbali drwa, Zuela wzięła ten oto wóz, ubrała ojca i pojechała z nim do miasta, nie mówiąc, nikomu ani słowa. Pani Mela podejrzewała, co chce zrobić, ale modliła się tylko, aby Zuela zmieniła zamiar, i nic nam nie powiedziała. Nie mogła sobie wyobrazić, że Zuela będzie naprawdę zdolna do takiej rzeczy.

Dziś dowiedziałem się, jak to się wszystko stało. Ten łotr Hilton miał jakieś stosunki wśród innych Scallawagów i republikanów w mieście, więc Zuela zgodziła się dać im część pieniędzy - nie wiem, wiele - żeby przymknęli oczy i przyznali, że pan O'Hara jest lojalnym stronnikiem Unii, stwierdzili, że jest Irlandczykiem, że nie brał udziału w wojnie i tak dalej, i podpisali wszystkie zaświadczenia. Ojciec miał tylko złożyć przysięgę i podpisać papier, który miano potem przesłać do Waszyngtonu.

Wyklepali tekst przysięgi bardzo szybko, pan O'Hara nic nie powiedział i wszystko szło dobrze do chwili, gdy trzeba było złożyć podpis. Wtedy stary pan przyszedł jak gdyby na chwilę do siebie i potrząsnął głową. Nie przypuszczam, aby wiedział, o co chodzi, ale nie podobało mu się to wszystko i Zuela kierowała nim nieodpowiednio. To ją bardzo zdenerwowało, gdyż miała z tym wszystkim już i tak dużo trudności. Wyprowadziła ojca z urzędu. Zaczęła jeździć z nim tam i z powrotem po ulicach i powtarzać, że matka wasza płacze w grobie, ponieważ ojciec pozwala, aby dzieci jej cierpiały nędzę, kiedy może się im dzieć tak dobrze. Ludzie mi mówili, że pan O'Hara siedział w wozie i płakał jak małe dziecko - jak zwykle, gdy słyszał imię matki. Wszyscy w mieście widzieli ich wtedy i Aleks Fontaine podszedł dowiedzieć się, co się stało, ale Zuela ofuknęła go ostro i powiedziała, żeby pilnował swego nosa, więc odszedł rozzłoszczony.

Nie wiem, skąd jej to przyszło do głowy, ale po południu kupiła butelkę koniaku, zaprowadziła pana O'Harę z powrotem do urzędu i zaczęła go poić. Scarlett, w Tarze nie mieliśmy trunków przez cały rok, najwyżej trochę wina porzeczkowego czy moszczu, który

robi Dilcey, więc pan O'Hara odwykł od alkoholu. Upił się naprawdę, po kilku godzinach namów ustąpił i powiedział, że podpisze wszystko, czego sobie Zuela życzy. Wyjęli znowu dokument; w chwili kiedy ojciec miał już kłaść podpis, Zuela zrobiła wielki błąd. Powiedziała: „No teraz już Slattery'owie i MacIntoshowie nie będą się nad nas wynosili!” Bo wiesz, Scarlett, Slattery'owie zażądali wielkiego odszkodowania za tę swoją małą chałupkę, którą spalili Jankesi, i mąż Emmy przeprowadził to dla nich w Waszyngtonie.

Podobno, kiedy Zuela wypowiedziała te dwa nazwiska, ojciec wyprostował się cały i spojrzał na nią ostro. Był wówczas zupełnie przytomny i zapytał: „Czy Slattery'owie i MacIntoshowie podpisali też coś takiego?” Zuela zdenerwowała się, zaczęła mówić „tak” i „nie” i jąkać się, więc krzyknął głośno: „Powiedz, czy ten przekłety Orańczyk i ten podły nędzkarz podpisali to także?” A Hilton wtedy bardzo uprzejmie powiedział: „Tak, proszę pana, podpisali i dostali za to dużo pieniędzy”.

Wtedy stary pan ryknął jak rozjuszony byk. Aleks Fontaine mówi, że usłyszał go aż na dole w barze. Po czym powiedział gwarą irlandzką: „A wyście pewnie myśleli, że O'Hara z Tary pójdzie śladami przekłętego Orańczyka i białej hołoty?” Rozdarł papier na dwoje, rzucił go w twarz Zueli, wrzasnął: „Nie jesteś odtąd moją córką!”, i jak strzała wypadł z urzędu.

Aleks mówi, że widział go na ulicy, rozwścieczonego do ostatecznych granic. Mówi, że stary pan wyglądał po dawnemu po raz pierwszy od śmierci twojej matki, że zataczał się i kłął, ile sił w płucach. Nigdy w życiu nie słyszał podobno wspanialszych przekleństw. Koń Aleksa stał obok, ojciec wsiadł na niego bez pytania i odjechał wznosząc chmurę gęstego kurzu i nie przestając kłać.

O zmierzchu siedzieliśmy z Ashleyem na frontowych schodkach, patrzyliśmy na drogę i byliśmy już trochę niespokojni. Pani Mela płakała na górze, ale nie chciała nam powiedzieć dlaczego. Nagle usłyszeliśmy tętent na drodze i okrzyki jak na polowaniu. Ashley powiedział: „To dziwne! Przypomina mi to zupełnie głos pana O'Hary, kiedy do nas przyjeżdżał przed wojną”.

W tej samej chwili zobaczyliśmy go na skraju pastwiska. Musiał tam przeskoczyć przez płot. I jechał pod górę na złamanie karku, śpiewając z całych sił, jak gdyby był najszcześniejszym człowiekiem na świecie. Nie przypuszczałem, że twój ojciec ma taki głos. Śpiewał irlandzkie piosenki, bił kapeluszem konia, który pędził jak szalony. Nie wstrzymał go, kiedy podjechał do szczytu pagórka. Widzieliśmy, że znowu chce przeskoczyć płot, więc zerwaliśmy się, przerażeni śmiertelnie, a on zawołał: „Patrz, Ellen! Zobacz, jak skaczą!” Ale przy samym płocie koń wspiał się, nie chciał skoczyć i ojciec twój zrobił koziołka przez głowę. Wcale nie cierpiał. Kiedyśmy do niego podbiegli, już nie żył. Przypuszczam, że

złamał sobie kręgosłup.

Will zamilkł i przez chwilę czekał, czy się Scarlett odezwie. Nic nie powiedziała, uniósł więc lejce, zawołał: - Wio, Sherman! - i ruszył w stronę domu.